



NASTĘPNE ŻYCIĘ ATTICUS LISH

Imponująca. Obdarzona pędem,
który zapiera dech w piersiach.
Treściwa i kusząca.

Patrick Flanery „The Guardian”

**NASTĘPNE
ŻYCIĘ**

**NASTĘPNE
ŻYCIĘ
ATTICUS
LISH**

przełożył Szymon Żuchowski



Dla Beth,

w tym życiu i następnym

Od tłumacza

Następne życie to powieściopisarski debiut Atticusa Lisha, urodzonego w 1972 roku w Nowym Jorku. Wydana w 2014 roku książka od razu odniosła znaczny sukces i otrzymała kilka nagród literackich, w tym Plimpton Prize for Fiction, Carla Furstenberg Cohen Literary Prize, New York City Book Award, Grand Prix de littérature américaine, przyznawaną przez „The Paris Review”, oraz PEN/Faulkner Award, którą wyróżniano przedtem autorów takich jak E. L. Doctorow, E. A. Proulx, P. Roth, M. Cunningham czy J. Updike. Książkę chwalono jako bezkompromisową i niesentymalną współczesną opowieść o miłości w mieście, które nie sprzyja parze zakochanych bohaterów. Podkreślano też „szorstki liryzm” języka powieści.

Akcja *Następnego życia* rozgrywa się w prawdziwych miejscach – w Stanach Zjednoczonych, na Bliskim i Dalekim Wschodzie – i nawiązuje do rzeczywistej topografii, historii oraz kultury tych okolic. W swojej prozie autor łączy jednak elementy faktograficzne z literacką fantazją, a odbywa się to głównie na płaszczyźnie języka. Lish studiował mandaryński, a wśród bohaterów jego książki nie brak przybyszów z Azji; mimo to – jak autor sam stwierdza w obszernym komentarzu skierowanym do tłumaczy jego utworu – odniesienia do języka i kultury szeroko pojętego Wschodu cechuje u niego pewna *licentia poetica*. Lish przyznaje, że czasem „all this is made-up language. I was going for the sounds of words” – chodziło mu bardziej o brzmienie słów niż wierność realiom lingwistycznym. Nazwy miejscowości, dialektów i obiektów występujących w powieści mają raczej oddawać ducha języków i kultur niż być tłumaczeniem autentycznych wyrażeń; podobnie niektóre wtręty obcojęzyczne, głównie dalekowschodnie i bliskowschodnie, nie odzwierciedlają rzeczywistego kształtu wyrazów z konkretnych języków, lecz mają przekazać ogólne wrażenie, pełnią funkcje stylizacyjne.

Analogicznie dzieje się z kulturą arabską, islamską, co widać chociażby w używanych przez bohaterów nieortodoksyjnych, jakby skontaminowanych formułach czy w kazaniu mułły (rozdział 43), przypominającym raczej natchniony strumień świadomości niż wykładnię teologiczną. Narracja również przypomina rwący potok – bywa urywana, repetycyjna, wyboista; raz oschła, raz niespodziewanie poetycka. Gmatwaninę tę wzmacnia przeplatanie się mowy zależnej i niezależnej, niekiedy zupełnie nieoczekiwane, oraz rozszczępienie języka bohaterów – także na poziomie czysto gramatycznym. Dotyczy to zwłaszcza Zou Lei, która innym językiem myśli, innym rozmawia z kolegami z pracy, a innym ze Skinnerem; innym posługuje się, kiedy jest spokojna, innym zaś w sytuacjach pełnych napięcia.

Wszystkie te zabiegi można postrzegać jako próbę uniwersalizacji przekazu poprzez wyrwanie go z ograniczających ram konkretnego uniwersum. Mogą też one służyć wzmożeniu poczucia, że akcja powieści osadzona jest w tyglu kultur i subkultur w obrębie grup etnicznych, religijnych i społeczno-ekonomicznych, a także indywidualnych opowieści, dla których stały wspólny mianownik po prostu nie istnieje, a co najwyżej na chwilę się wyłania i zaraz znika. Zdaje się, że w świecie bohaterów Lisha wierne tłumaczenie w szerokim sensie to mrzonka, a komunikacja sprowadza się do mniej lub bardziej rozpaczliwego poszukiwania kolejnych przybliżeń i zbliżeń.

Część I

Po drodze zaliczyła Archer, Bridgeport i Nanuet; pracowała w różnych miejscach wzdłuż dziewięćdziesiątej piątej międzystanowej, w dzinsowych spodniach, klapkach pod prysznic i kurtce, ściskając reklamówkę i kartkę z numerem telefonu, czekając obok przejścia podziemnego, z pustą od dawna torebką po chipsach, oszołomiona.

Zgarnęli ją z autostrady, sprzed prostej białej szopy obok znaku Army-Navy oraz drzew obwieszonych huśtawkami z opon. Chevrolet caravan z naklejką z *Malpiego króla* na desce rozdzielczej zatrzymał się, a ona wsiadła. Zabrali ją do Motelu 8 i umieścili w pokoju z kilkoma innymi kobietami z Fujian oraz litrową butelką oranżady. Całą noc słuchała przyjeżdżających ciężarówek i szumu klimatyzacji.

Dali jej daszek i koszulkę z identyfikatorem, przesiąkniętą tłustymi oparami. Wszyscy jej powtarzali: musisz być szybka, bo szefunio ma cię na oku. Nie znali nawzajem swoich dialektów, więc mówili ze sobą po angielsku. Pierwszego dnia przez zużyte podeszwy adidasów poślizgnęła się na tłuszczu i upuściła zamówienie, niteczki makaronu rozsypały się jak larwy. Tej nocy, zaciskając szczęki i mrugając, leżała twarzą do ściany.

Amerykanie parkowali od frontu; ich pick-upy lśniły w słońcu, a oni wchodzili do środka powoli i cicho, w bandanach i koszulkach na ramiączkach. Kładli łokieć na ladzie, pokazywali grubym palcem na menu i mówili: porcję tego. Czarni od razu trzymali w rękach to, co zamierzali wydać – zmięte banknoty i drobne.

Jest opcja, że dostanę skrzydełka? Gadaj, co do nich podajecie.

Wiedziała, jak powiedzieć „okej”. Kiedy pokazywali na menu, wszystko rozumiała. W Nanuet zamawiali „jesz, ile chcesz”. Było to dla niej jasne, ale potrzeba wprawy. Okej. Umiała się śpieszyć i dopiąć swego, pracowała, bo musiała, pracowała czternaście godzin, a co dziesiąty lub jedenasty dzień miały wolne, przerwę na fajkę, jak mówił szef, ponieważ i tak było to lepsze niż sortowanie śmieci w brygadzie produkcyjnej na południe od rzeki.

W motelu nie wyłączały telewizora, żeby wciąż ćwiczyć angielski. Przycupnięte na dywanie, poruszały ustami w niebieskim świetle, patrząc na półki sklepowe z jedzeniem i szybkie samochody. Niewiarygodne, mówiły. W najbliższy wtorek na kanale Fox. Smutny dzień w Iraku. Przyglądała się żołnierzom w goglach i antenom radiowym przejeżdżającym obok glinianych domków na pustyni, na której kiedyś mieszkała.

Wielbłąd, pokazywała. To zwierzę, bardzo dobre.

Za trudne, odpowiadały. Nie da się strawić. Mózg kołkowacieje.

Ktoś ziewnął.

Całe życie trzeba to ćwiczyć.

W nocy, kiedy kończyły pracę, przechodziły przez parking do jedynego samochodu, który czekał tam, żeby zabrać je do motelu. Podawały kierowcy jego zamówienie na wynos, a on kładł je na gazecie otwartej na informacjach z Hongkongu. Podczas podróży do domu patrzyła, jak przelatują długie odcinki nocy, czarne plamy lasu, ciemna szosa i niebo. On miał złoty łańcuch i zieloną kartę i jechał z wyłączonymi światłami, bo bał się glin.

Kobiety były z Dnia Świątecznego, Czterech Spotkań, Połączonych Gór i Szczerości Uwielbionej. Powiedziała im, że jest z miejsca na południe od rzeki.

Ale jesteś skądinąd, odparły.

Jestem z Chin, jak wy.

Nie wyglądasz.

W słońcu widać było, że włosy Zou Lei są brązowe, a nie czarne. Układały się jakby w fale. Miała lekko zakrzywiony nos i syberyjskie oczy.

Nasze Chiny to wielki kraj, stwierdziła.

Brzmisz jak ktoś z północy.

Północnego zachodu.

Jest z mniejszości, powiedziała jedna z kobiet.

Możecie nauczyć mnie swojego języka.

To bez sensu. Mamy dialekty Tarasu Ludu, Spokojnego Strumienia, Pogodnego Jeziora, Serpentyn Południa, Bawełnianego Muru, Zhangpu, Spotkania w Pokoju, Swatow, Powszechnego Ukojenia, Samyap, Jungcan, Pokoju Świata, Trzech Prowincji, Rodziny Zhang i setkę innych. Którego mamy cię nauczyć?

Zou Lei zastanowiła się przez chwilę. No to powiedzcie, jak się mówi „niebo jest w górze”. Uśmiechnęła się i pokazała palcem na brudny sufit. Niebo jest w górze, a ziemia jest szeroka. Niektóre kiwały głowami, kilka odsłoniło w uśmiechu popsute zęby. Prawda, prawda, potakiwały, a jedna z kobiet westchnęła.

Nauczyła się za to, jak przyjmować zamówienie. Ciasteczka z wróżbą są w pudełku pod kalendarzem z Rokiem Kozy i plastikową świątynką. Serwetki, słomki i pałeczki na półce. Plastikowy widelec dawać każdemu, bez wyjątków. Kiedy klient wchodzi, pytać: Co pan zamawiać? A następnie krzyknąć treść zamówienia do tyłu: kurczak-brokuły, wołowina-brokuły, wołowina-groszek, trzy w jednym, w ten sposób, żeby było szybciej.

Nikt nie musiał uczyć jej myć podłogi ani wynosić śmieci, ani przebierać warzyw, usuwać ich niejadalnych części. Widzieli, że ciężko pracuje. Większość tych zajęć знаła już wcześniej. Prała swoje ubrania w wannie, siedząc w kucki, wyżywała je spękanyimi, chłopskimi, czerwonymi dłońmi i wywieszała na zasłonce prysznicowej obok innego ociekającego prania, mokrych dżinsów z cekinami i spranych postaci z kreskówek.

Gdy obsługiwała za ladą, kładła kawałek kartonu na dnie torby, spinała krawędzie styropianowego pudełka zszywaczem i umieszczała je na kartonowej podkładce. Kolejne pudełka stały jedno na drugim, przedzielone kartonem. Przypinała do torby menu i podawała całość przez ladę szczupłemu facetowi z długimi blond włosami wystającymi spod czerwonej bejsbolówki. Dodatkowe menu, powiedział, no, robisz się coraz lepsza. Zmierzyłem ci czas.

Szef mówił, że kobiety potrzebują kogoś, kto o nie zadba, starszej siostry, która będzie go informować. Kazał im się nauczyć na pamięć zdania: To nie kwestia czasu – to kwestia pieniędzy, żeby powtarzały je tysiąc razy dziennie, najszybciej jak tylko zdołają.

Co to znaczy? – spytała.

To nie ma znaczenia. Znaczenie niewiadome.

Jedna z kobiet była niezrównoważona psychicznie, na zmianę milczała albo opowiadała, że policja w Guangxi zmusiła ją do aborcji.

Gdy się ochładzało, niektóre z nich spały razem. Rozwiesiwszy mokre ubrania pod prysznicem, kucali naprzeciwko grzejnika, wszystkie chore; kaszlały i słuwały do kosza na śmieci.

W telewizji pokazywali dziewczyny, które surfują, prowadzą ciężarówkę, trenują boks i biegają maratony w słońcu. Kiedy przychodziła dostawa, wylatywała na zewnątrz i przenosiła na plecach worki ryżu. Innym kobietom się to nie podobało, mówiły, że to robota dla mężczyzn, dla kucharza i jego kuzyna. Nie podlizuj się szefowi. Zou Lei odpowiadała, że lubi rozprostować nogi. Nocą robiła przysiady. Brała z vana gazetę i czytała ogłoszenia drobne z ofertami pracy w innych stanach.

Wyjechała do Riverhead i przepracowała tam resztę zimy w La Quinta z grupą kobiet, które mówiły dialektem Trzech Świateł i prowincjonalnym mandaryńskim. Wspólnie korzystały z jednopalnikowej kuchenki elektrycznej.

Ameryka to dobry kraj, mówiła starsza kobieta. Wyplłynęliśmy łodzią rybacką na ocean. Straż przybrzeżna złapała nas i zamknęła na wyspie niedaleko San Francisco. I to mnie ocaliło – podczas rejsu prawie umarłam. Miałam szczęście. Innych zmuszono do powrotu do domu, ale mnie nie. Kuzyn złożył podanie o azyl. Niektóre siostry raz już przedtem deportowano. Ale wracają. Z jednego razu robią się dwa, a z dwóch trzy. Docierają do półwyspu Jukatan, przekraczają granicę w Arizonie. Oczywiście, to trudne. To pustynia, nie dla nas, ludzi znad rzeki. Język mojej wsi to Trawa Wodna. Jesteśmy pięćdziesiąt kilometrów od dialektu Starego Pola i tamci nie rozumieją słowa z tego, co mówimy.

Zou spędziła rok w Archer i sześć miesięcy w Riverhead. Skończył się sezon świńskiej grypy, a w Nowym Świecie media huczały na temat wojny z terroryzmem i problemów z dostaniem zielonej karty. Przewróciła stronę gazety i zobaczyła czarno-białe zdjęcie nagiego więźnia leżącego na podłodze z workiem na głowie. Przewróciła kolejną i studiowała wyrazy takie jak: „budowla”, „szwaczka”, „restauracja”, „uroda”, „co łaska”.

Pojechała do Nanuet i dostała następną koszulkę z identyfikatorem i kolejny daszek. Kobiety mieszkaly w przyczepie ustawionej na pustakach, które z kolei leżały wprost na sosnowych igłach, i wywieszały pranie na sznurze. W czasie „przerwy na fajka” szła wzdłuż autostrady i przeskakiwała barierkę, by dostać się do supermarketu i podziwiać przez szybę adidasy produkowane w Chinach.

Szef nosił nefrytową bransoletkę i jeździł brudnym astrovanem. Kazał Zou Lei myć samochód z tyłu, gdzie znajdował się podjazd dla dostawców. Dalej były śmietniki i płot, a za nim las. Puszczala wodę z węża i patrząc ponad śmietnikami, wyobrażała sobie, jak biega wśród drzew.

W następnym roku, w kolejnym stanie, mieszkała w pokoju motelowym z ośmioma kobietami, które używały szyfru, nawet mówiąc w swoim dialekcie. Kiedy zapytała, z jakiej są wioski, jedna z nich odparła, że z Cynamonowego Drzewa. Inne naskoczyły na nią, pytając: dlaczego zdradzasz nasze tajemnice komuś z zewnątrz?

Miały wielką siostrę o imieniu Sophia, która decydowała, kiedy mogą oglądać telewizję. Jeśli ktoś pukał, nie wolno było otwierać drzwi, chyba że Sophia była na miejscu i wyraziła zgodę.

Po jakimś czasie Zou Lei zrozumiała, że w rymowanym slangu tych kobiet „żaglówka” oznaczała pieniądze, które wysyłają do domu w Chinach. „Krzyk” to był telefon, „kruk” – nielegalny imigrant, a „Andy” – policja.

Jakiś mężczyzna w pilotkach i ze smokiem na przegubie przyniósł im paczkę podpasek Stayfree. Szef kocha muzykę, powiedział. *Everything I do, I do it for you*. Znaście tę piosenkę?

Pewnego razu, kiedy Sophii nie było, Zou Lei wpuściła do pokoju sprzątaczkę i zapytała ją o pochodzenie oraz pracę.

Honduras, odpowiedziała kobieta z krzyżem wytatuowanym na dłoni. Były mniej więcej w tym samym wieku.

Zou Lei pobiegła do łazienki i wróciła z mokrymi ręcznikami w rękach, żeby włożyć je do pojemnika. Honduranka uśmiechnęła się i powiedziała: *gracias*.

A jak praca, praca pieniądze? – spytała Zou Lei.

Nie, niedużo pieniądze. *Poquito* pieniądze. Ma papiery do pracy?

Zou Lei odparła: Zgadnij. Jak myślisz?

Nie. Obie się roześmiały.

Maria nauczyła ją uścisku dłoni. Zou Lei pokazała jej ogłoszenie w „Sing Tao”, w którym ktoś oferował pomoc w kupnie numeru ubezpieczenia społecznego.

Zapukała do stalowych drzwi i dostała pracę na osiem godzin dziennie przy pakowaniu tarcz sprzęgieł do kartonowych pudełek, za najlepszą stawkę w życiu: dziewięć dolarów za godzinę minus podatek. Podczas lunchu jadła indyka z ryżem z pojemnika Tupperware, podczas gdy Amerykanie w ciuchach Dickies i bandanach stali w kolejce do bufetu na kółkach. Cały czas nosiła w nerce u pasa wszystkie swoje pieniądze oraz telefon komórkowy i fałszywe dokumenty – rzeczy, których nie wolno jej było zgubić.

Któregoś dnia w środku jesieni poszła do sklepu spożywczego i została zatrzymana przy wyjściu.

Tylko spokojnie. Masz coś w kieszeniach? Coś ostrego? W porządku. Tylko spokojnie. Latynos w koszulce futbolowej podniósł jej ramiona, przyglądał się, kiedy wywracała kieszenie na lewą stronę. Odpiął saszetkę z jej bioder i podał ją facetowi z pistoletem wystającym spod bluzy. Właśnie zrealizowała w sklepie swój czek z wypłatą i nie spuszczała saszetki z oczu. Potrzebujesz tłumacza? Czuję, jak ci wali serce. Po prostu *cálmate*. *Tranquilo*, dobra? Mówisz po hiszpańsku? Kto ty jesteś, *Chinita*? Chinka?

Czemu nie uciekłam?

Obmacali ją pod ubraniami, zabrali jej pieniądze, skrępowali opaską zaciskową i wsadzili do vana z zatrzymanym Salwadorczykiem. Trwało to całe popołudnie. Hej, mama, nieśmiała jesteś? Mieli ludzi z Fujian, Kambodży, Gwatemali. Zabrali ją do przeszklonego pomieszczenia z ławką ze stali nierdzewnej, betonową podłogą i włączoną świetlówką, a inne dziewczyny pojawiały się i znikwały całą noc, aż została przeniesiona. Rozcierała nadgarstki obolałe od plastikowych więzów.

Jakaś biała dziewczyna z tuszem rozmazanym po policzkach powiedziała: Niech te czarnuchy lepiej wypuszczą mnie na urodziny mojego chłopaka.

Zabrali ją w środku nocy. W odbiciu w lustrze zobaczyła, że ktoś jej się przygląda, wąsaty Amerykanin. Odezwał się interkom. Tak, ty. Wstawaj. Zrobiła, co jej kazano. Otworzyły się drzwi. Kiwnął na nią palcem. Wyszła z pomieszczenia. Korytarze w całym więzieniu były ciemne i nie wiedziała, dokąd idą. Byli tam jedynie ona i funkcjonariusz, tylko w głębi jakaś rozczochrana postać myła podłogę z dziwnie ofiarną cierpliwością, jakby nieobecna, a do Zou Lei dotarło, że ma przed sobą więźnia.

Bierz. Funkcjonariusz wskazał na kosz pełen wystrzępionych pomarańczowych kombinezonów. Musiała go zapytać, gdzie może się przebrać, sam z siebie nie powiedział. Zamknęła się w łazience i przez chwilę była sam na sam z umywalką, lustrem, ceramicznym sedesem i kafelkami. W radiu na jego biurku leciała reklama. Pośpiesznie zdjęła dzinsy, nie patrząc w lustro, wciągnęła kombinezon – zauważyła, że nie ma rękawów – zasunęła suwak i od razu wyszła, z ramionami chłodniejszymi od reszty ciała, wyciągając dzinsy do funkcjonariusza niczym podarunek. Zabrał je.

Wziął ją za ramię i zaprowadził w głąb obiektu – buty ugięły się pod jego ciężarem, gdy stąpił po nawoskowanej podłodze, a pięty jej kłapek stukwały za nim pośpiesznie. Po raz kolejny skręcili. Nie słyszała już radia. Zapanowała ciemność i czuć było zwierzęcy zapach. Weszli w wielkie czarne okno i funkcjonariusz się zatrzymał. Otworzył drzwi. Wewnątrz było duże pomieszczenie. Chwycił ją za ramię i pchnął do środka. Przypominało to zadaszone boisko do koszykówki. Dostrzegała tylko ponumerowane cele po drugiej stronie podłogi z betonu. Odwróciła się, by spytać, co ma robić. Tam. Siedemnaście, odpowiedział i zamknął ją na klucz. Poczowała, że strażnik się oddala. Z kocem w rękach wytężyła wzrok, aż rozpoznała swój numer i ruszyła w jego kierunku. Nad nim był kolejny rząd. W swojej malutkiej, numerowanej celi, za ciężkimi drewnianymi drzwiami pomalowanymi farbą olejną, wyczuła dłońmi coś stalowego. To była prycza. Położyła się. Jej wzrok przyzwyczaił się do ciemności. Zobaczyła graffiti na betonowej ścianie. Wstała i zamknęła drzwi. Nie było zasuwki. Położyła się i nasłuchiwała z zamkniętymi oczyma.

Wytrzymam, powiedziała, kiedy zapaliło się światło i zobaczyła, gdzie jest – ta metalowa rzecz na ścianie to była toaleta. W Chinach warunki byłyby gorsze.

Wyszła z celi i zobaczyła, jak wyłażą też inne: grube, nalane, wrogie, pryszczate, z postawionym afro, przenoszą stolik turystyczny na środek sali, włóczą się wokół schodów, podchodzą do szklanej szyby i wracają. Bawiły się nawzajem swoimi włosami. Czarna dziewczyna pierdnęła i spytała: Słyszałaś? Były tam wiejskie kobiety z indiańską krwią w żyłach i z krzyżkami na dłoniach, które trzymały się razem. Można było określić, która zaliczyła wpadkę z imigracyjnymi. Było oczywiste, że i ona do nich należy. Kuliła się w sobie tak jak wszyscy migranci.

Przyszedł funkcjonariusz i wpuścił zaufaną więźniarkę pchającą wózek z jedzeniem. Wszystkie wstały. Zou przycupnęła na uboczu i puściła przodem Murzynki oraz Amerykanki. Kiedy dostała swoją tackę, zabrała ją do celi i zjadła kanapkę z mortadela i serem, celowo omijając wzrokiem toaletę.

Spędziła dzień na chodzeniu w tę i w tę, do okna w dużej sali, wzdłuż ściany, aż w budynku pogaszone światła.

Była tam już od dwóch lub trzech dni, kiedy uświadomiła sobie, że nie jest pewna, ile dokładnie minęło. Tyle albo tyle, a może więcej. Starła się liczyć dni, ale nie miała jak ich odróżnić. Nie było zegarów. Przyszło jej do głowy, że powinna założyć kalendarz, jednak brakowało jej czegoś do pisania. Nie było tam niczego poza nimi samymi, nią i innymi kobietami, w gwarnym, brudnym, zatrzęsniętym pomieszczeniu.

Próbowała dowiedzieć się od jakiejś białej kobiety ze złamanym nosem, czy kiedykolwiek mogą pooglądać telewizję.

Telewizję? Się wie, telewizor jest zaraz obok jacuzzi.

Przy szybie był płatny telefon, a obok niego przyklejono wizytówkę z bezpłatnym numerem poręczyciela za kaucją. Patrzyła, jak niektóre z niego dzwonią. Silvio, odezwał się głos w słuchawce, kiedy wybrała numer i uzyskała połączenie. Z całych sił starała się wytłumaczyć mu, kim jest. Zapytał, skąd dzwoni, ale nawet tego nie wiedziała. Dobrze, żaden problem, może podzwonić w tej sprawie. Skoro złapali ją w Bridgeport, w grę wchodzi jedno lub dwa miejsca. Czy wie pani, o co jest oskarżona? Nie? Chyba po głosie poznał, o co chodzi: Jeśli trafiła pani do kraju, że tak powiem, poza radarem, nie przysługuje pani wyjście za kaucją. Tak stanowi ustawa Patriot Act. Powtórzył to jeszcze raz. Tak, pokiwała głową. Wiem o tym.

Czy ma pani kogoś, kto może za panią poręczyć?

Nie, odpowiedziała. Jestem w tym kraju sama. Będę pracować dla pana, kiedy wyjdę, jak mnie pan wyciąga – robiła, co w jej mocy, żeby zrozumiał. Uczciwa. Wszystko płacę, powiedziała z na wpół pochyloną głową do ściskanej w ręce słuchawki.

Och, odparł. Nie wątpię. Ale w takiej sytuacji mam związane ręce.

Słuchała.

Tak to już jest.

Musiał kończyć.

Żeby nie upaść na duchu, wróciła do chodzenia w tę i z powrotem wzdłuż ściany i zajęła się liczeniem kilometrów.

Zaczęła robić wypady nogą co trzeci krok, licząc w myślach. Usłyszała krzyk, ale nie pomyślała, że to na nią. Zdziwiła się, kiedy ktoś wstał od stolika turystycznego i podszedł do niej. Starła się wyminąć tę osobę, ale ona podążyła za nią. Zbliżała się i była coraz głośniejsza. Krzyczała, że Zou Lei ma przestać. Spasuj z tym, laska. Powaga, to nie jaja. Zou przestała robić wypady. Wrzask ustał. Było słychać ciężki oddech krzykaczki.

Pierdolone suki ściemniają, że nie rozumiają, co do nich gadasz.

Coś niepokoilo Zou, ale wypychała to ze świadomości. Nikt jej nic nie powiedział. Nie było prawników. Później w nocy śniło się jej, że ojciec przyszedł do więzienia, wyrazisty, niski, śniady, umundurowany, milczący. Amerykanie ukorzyli się przed nim. Zabrał ją z posłania i musieli ją wypuścić. Sen powtórzył się w drugiej wersji, w której popełniła straszny błąd, sama weszła za kraty, a potem nie mogła wyjść. Usiadła na pryczy pełna wątpliwości.

Patrzyła na kobietę, która została zwolniona i z jedną ręką wolną dumnie kroczyła za funkcjonariuszem po drugiej stronie szyby, ku przedniej części budynku, gdzie zaraz miała dostać z powrotem ubrania i wyjść na zimową ulicę.

Zou Lei zjadła kanapkę z mortadela i robiła przysiady w celi, przy toalecie.

Stały w kolejce do pracownika socjalnego, który spytał ją, czy ma jakieś choroby weneryczne. Wyjaśnił, o co mu chodzi. Myślała, że o AIDS. Nie, odpowiedziała.

Czy jest pani w ciąży?

Pokręciła głową.

Czy wie pani, jaki dziś mamy dzień?

Pokręciła głową.

Wtorek. Czy mówi pani po angielsku?

Pokiwała, a potem pokręciła głową.

Czy należy pani do jakiegoś gangu?

Nie wiedziała. Nie.

Oznajmiła, że chciałaby wiedzieć, czy spotka się z nią prawnik. Nikt nie wyjaśnił, o co jest oskarżona ani na jakiej podstawie jest przetrzymywana. Kiedy próbowała zapytać, co ją czeka, funkcjonariusz kazał jej się cofnąć i wrócić na swoje miejsce w pokoju.

Latynoski zawiązały dla wzajemnej ochrony gang, który nazywał się Niñas Malas[1]. A ty kto jesteś? – dopytywała biała kobieta z włosami w strąkach. Ktoś rzucił: Al-Kaida. Jestem Chinką, wyjaśniła Zou Lei. Zmoczyła włosy w umywalce i zawiązała w kitkę, żeby nieco zmienić swój wygląd.

Nie lubiła ćwiczeń w celi. Kiedy była sama, jej umysł wywracał się na drugą stronę jak rękawiczka. Kręciła się w tę i w tę, a godziny mijały. Pewnego razu wróciła myślami do fabryki tarczy do sprzęgieł, gdzie przedtem pracowała – miała przed oczyma oraz w uszach tamtejsze rozmowy o tym i owym. Mówili: pamiętasz tę dziewczynę? Co się z nią stało? I wiedziała, że to ją mają na myśli. W jej wyobrażeniu niebo było tego dnia niebieskie i czuć było asfalt i pole, i wózek z jedzeniem.

Któraś z latynoskich dziewczyn zapytała: Ogarniasz? Ej ty, ogarniasz? A Zou, zamiast je zignorować, spojrzała w ich kierunku i powiedziała: Nic nie ogarniam. Udawała, że ich nie widzi, ale była przerażona. Strach narastał i zanikał jak sygnał radiowy. Kiedy całkiem minął, wróciły mdłości. Podniosła słuchawkę telefonu, posłuchała sygnału, odłożyła ją z powrotem, wyjrzała przez szybę i czekała, aż ktoś przed nią przejdzie. Jej nudności brały się z ograniczonej przestrzeni sali. Nie wytrzymam, pomyślała. Od czasu do czasu pojawiały się funkcjonariuszki w zielonych mundurach. Niekiedy przechodził funkcyjny z bródką, a jego twarz wyrażała pewność siebie. Kobiety odskakiwały wtedy od stolika turystycznego i śpieszyły do szyby, waliły w nią i pokazywały mu coś na migi.

Od samotności bolały ją oczy. Kiedy je zamykała, po twarzy spływały jej łzy.

Później tego samego sztucznego dnia stała z innymi więźniarkami, które rozmawiały na schodach, zgromadzone wokół zdecydowanej młodej dziewczyny podkreślającej znaczenie swoich słów uderzeniami pięści o dłoń. Zou podeszła na tyle blisko, na ile mogła, i starała się słuchać. Dziewczyna opowiadała, że dostała trzydzieści lat za napad z bronią w rękę.

On miał broń, a ja byłem z nim.

99 problems.

Powaga. Samo życie.

Zostajesz tu? – odezwała się Zou Lei.

Pozostałe spojrzały na nią, a potem na tę od napadu, czekając na jej reakcję.

Czy zostaje? Nie, przeniosą mnie do więzienia stanowego.

Po chwili dziewczyna, jakby naburmuszona, zeszła ze schodka, na którym siedziała, i oddaliła się od reszty. Zou Lei zbliżyła się do niej i zadała pytanie, które ją męczyło.

Deportują cię, oceniła dziewczyna. Nie wiem, może posadzą cię w Uncasville.

W końcu Zou Lei dostała swoją odpowiedź: Nikt nie wie, co z tobą zrobią.

Co mogło ją czekać?

Pewnie posiedzisz z rok. Na dźwięk tych słów Zou Lei skupiła uwagę.

Rok, a dalej?

A dalej zdecydują, co z tobą zrobić.

Okej, odpowiedziała. A co ze mną zrobią?

W tym rzecz. Mogą zrobić, co chcą, przez twój status.

Mogę siedzieć tam całe życie?

Sporą część. Weź na przykład Guantánamo.

Jak się dowiedziała, to nie było wszystko. Dopiero początek. Każdy funkcjonariusz może pociągnąć cię za ramię na długi spacer na drugą stronę więzienia. Może wprowadzić cię do pralni pełnej funkcyjnych, mężczyzn. To wasza nowa pomocnica. Zostawić wam ją? Poczekaj, aż obleje cię zimny pot. Żartowałem! Posrałaś się w gacie? Masz ochotę się przekonać? I odprowadzi cię do skrzydła dla kobiet. Po drodze powie: Założę się, że teraz będziesz grzeczna. Może zamknać cię w łazience i wrócić po ciebie później. Jak będziesz stawiać opór, wolno mu rzucić się na ciebie, złapać jak mężczyznę, walnąć twą głową o podłogę, porazić cię paralizatorem, a jak się będziesz czołgać, powlec za nogę, mimo twoich krzyków, pod okiem kamer rejestrujących wszystko czarno na białym, przywiązać pasami do krzesła, założyć płócienną torbę na głowę i zostawić cię tak nawet na dwanaście godzin, błagając o wodę. A może liczyć te godziny, jak mu się spodoba. Pracownik socjalny spojrzy na śliwy pod twoimi oczami i spyta: I po co było się stawiać strażnikom? A w formularzu wpisze „postawa aspołeczna”.

Dołożą ci odsiadkę do wyroku, kiedy go wreszcie dostaniesz, żeby mogli się poczęstować większym kawałkiem twojego życia. Potrzebują tylko pretekstu. Będą cię gwałcić, aż zaczniesz zachowywać się w określony sposób, a nawet wtedy mogą w każdej chwili przydybać cię w pralni. Robili to małym pół-Indiankom z gangów meksykańskich. Jeśli będziesz za dużo potem płakać, dostaniesz trazodon. Zawiozą cię na górę przywiązaną do noszy i postawią na korytarzu.

Każda osoba złapana przez imigracyjnych jest winna pogwałcenia Patriot Act. W wypadku podejrzenia o terroryzm robi się naprawdę ciekawie. Na górze jest cela, z której nikt nigdy nie wrócił. Chyba że coś przeoczyła?

Pokazali jej, co się działo na górze, w celi, z której nikt nigdy nie wrócił. Pracowali tam nad pewnym projektem. Na pryczy leżała kobieta. Funkcjonariusze nam ją zostawili, a myśmy się nią zajęły. Tuż po jedenastym wrześniu umieścili ją w celi z jakąś piętnastką koleś. Naprawdę była z Al-Kaidy. Nie wiem, jak mogli dać radę, bo jest paskudna. Popatrz na nią. Jest stara. Zou Lei spojrzała na kobietę. Nie umiała stwierdzić, czy tamta oddycha. Powiedzieli, że jest Libanką, matką. Zabrali jej męża samolotem z New Haven na przesłuchanie w Syrii. Na ścianach – wyschnięte odchody. Miała czarne stopy, twarz okalały splątane, siwiejące włosy. Kobiety rzucały w nią papierem toaletowym. Zużytymi tamponami. Jakaś czarna dziewczyna krzyknęła: Ohyda. Ale cuchniesz! – i wybiegła, rechocząc.

Kobieta nie mogła się ruszać ani mówić. Amerykanie odsłoniли jej głowę, leżała z twarzą zakrytą rękami.

Zou Lei chciała iść.

Boisz się? – spytała współsadzona. Nie mam ci tego za złe.

Na północnym zachodzie widziała mężczyzn leżących pod młodymi drzewkami na starej jak świat ulicy w pustynnym mieście, gdzie dorastała. Ponad domami z gliny wznosiła się kopuła meczetu. Leżeli bezpośrednio na kamieniach, przodem do krawężnika, z twarzami spalonymi słońcem. Wciąż mieli na głowach czapeczki – kufi. Niektórym sandały zsunęły się ze stóp i leżały metr dalej. Ulica prowadziła pod górę, do meczetu, i kiedy Zou była mała, zanim dowiedziała się, co to heroina, myślała, że ci mężczyźni wspinali się na wzgórze do świątyni, ale zmęczeni się po drodze i ułożyli do snu.

Bóg z tobą, powiedziała do kobiety.

[1] Hiszp. „złe dziewczyny” (wszystkie przypisy pochodzą od tłumacza).

Jeśli – stojąc pod meczetem – obejrzało się i spojrzało w dół, można było zobaczyć koniec miasta, ostatnie kamienie muru, a dalej żwir, czerwony piasek i zaczynającą się w oddali pustynię. Ziemia uciekała spod nóg i nagle otwierał się widok na ośnieżone szczyty gór na widnokręgu. Aż chciałoby się rzucić w tę przepaść i poprunąć ku góróm, wyraźnie widocznym w przejrzystym powietrzu.

Zanim z meczetu rozbrzmiało wezwanie do wieczornej modlitwy, słycać było tylko pustynny wiatr. W sadach było cicho. Wózek zaprzężony w osła przetoczył się obok, klap-klap-klap, lejce trzymał opalony staruszek, który woził z tyłu arbuzy, brzoskwinie albo swoje córki. Z niektórych części miasteczka dochodziły odgłosy młotków druciarzy. Na zachód od sadów stały kamienne szopy, na palenisku trzaskał ogień, a chłopak w białym kufi, nagi od pasa w górę, dął w miechy i uśmiechał się, a zęby błyszcząły mu z przyprószonej węglem twarzy.

Jej matka zbierała arbuzy w sadzie przy kanale nieopodal budującego się odcinka szosy. Było tak cicho, że dało się słyszeć brzęczenie muchy, uderzenie owocu o wózek, skrzypienie pojazdu, kiedy ruszał długouchy osioł. Kobiety pracowały w kolczykach i kwiecistych chustach na głowie. W południe modliły się na dywanikach. Pracowały powoli w pustynnym skwarze, a ich pot błyskawicznie wysychał. Chodziły do kranu przy błocie, piły wodę z cynowego kubka i śmiały się podczas rozmów, jeśli zgromadziło się ich więcej.

Miasto znajdowało się przy drodze, która prowadziła z pustyni na zachód. Ciężarówki przyjeżdżały z Aksu i wracały załadowane owczymi skórami. Pamiętała zapach tych zwierząt, ich nawozu, dymu z ogniska, ludzi wykładających na poboczu to, co mieli na sprzedaż, różowe sandały z plastiku, które kupiła jej matka, oraz brudne stopy. Grę w piłkę nożną na gliniastej ziemi obok przystanku autobusowego.

Kiedy przyjeżdżały ciężarówki, wybiegała na skraj drogi, żeby zobaczyć, kto ich odwiedził. Pewnego dnia to będzie on, wiedziała – miała nadzieję i o to się modliła – bo tak jej powiedziała matka. Jak Bóg da. Czasem na pace samochodu z niebieską szoferką jechały żywe owce. Czasem jakiś żołnierz albo Mongoł w znoszonych wojskowych ciuchach lub dzwonych schodził w dół albo przykucał w półcieniu, żeby zjeść szaszłyk jagnięcy, a Zou Lei kręciła się w okolicy i obserwowała.

Czy jesteś z daleka?

Jakiś dorosły mężczyzna; ignoruje ją, zezując tylko z ukosa. Czasem mruczy coś i podnosi utłuszczony podbródek, patrząc w dal. Odgania muchy albo nie zwraca na nie uwagi. Słońce odbijające się od glinianych domów wzdłuż drogi, jedynej rzeczy wzniesionej ludzką ręką, a wszędzie wokół olbrzymia ziejąca przestrzeń.

Północny zachód był terytorium wędrownych plemion pasterskich, które nie uznawały granic międzypaństwowych. Handlowały owcami i końmi i znały nawzajem swoje języki. W winnicach hodowali owoce. Ich określeniem na człowieka było słowo *adam*. Na jabłko – *alma*. Jedwab, jurta, wielbłąd i chan brzmiały tak samo po uzbecku i ujugursku. Tybetanki w czarnych kapeluszach kowbojskich i z finkami opuszczały Qinghai pieszo, dźwigając koce i wyroby ze srebra na sprzedaż. Nie dawały się tknąć. Zmarli z rodziny jej matki leżeli na Syberii.

Piosenki również były te same. Dziewczyny z łańcuszkami monet na głowach śpiewały, tańcząc dokoła, oglądając się przez ramię.

Słońce odbite od złotej ziemi, śnieżne szczyty gór – Afganistan w rozpalonym powietrzu – ani chmurki – muzyka baranów – cudownie czysty błękit nad tą częścią świata. Bóg jej matki w górze, nakazujący strumieniom spływać z ośnieżonych gór, by łąki i winnice mogły się zielenić – pasące się kazachskie konie!

Rosyjskie budownictwo w Kuldży miało europejski charakter – białe kolumny jak pałace we Francji, ale nad czubkami drzew iglastych jaśniała kopuła meczetu. Lud jej matki przybył ze stepów, zanim Chińczycy, którzy nadeszli ze wschodu, wszystko skolektywizowali.

Chińczycy zamknęli granicę. Dla dobra ogółu wybrukowali szosę i zawiesili czerwone sztandary oraz plakaty. W prowincji Ałtaj założyli plantacje bawełny. Nomadzi zostali zmuszeni do ograniczenia handlu. Na życzenie Chińczyków stali się chłopami i pracowali przy zbieraniu bawełny. Wszystko to dla ich własnego dobra. Jesteśmy jedną wielką rodziną. Aby udowodnić, że to prawda, nomadzkie dziewczyny mogły liczyć na sto dolarów, jeśli rozwiodą się ze swoimi mężami i poślubią Chińczyków. Nowe głośniki zamontowane na prastarych budowlach w pustynnych miastach oznajmiały, że jesteśmy bardzo szczęśliwi. Zostaną wydane kartki na różne towary. Separatyzm jest poważnym przestępstwem.

Pustynią przejechał konwój. W środku przemieszczała się duża platforma z jakimś elementem do budowy rurociągu naftowego. Reszta pojazdów była w barwach maskujących, z tyłu siedzieli w nich żołnierze. Konwój jechał prędko, wzniecając tumany kurzu, nadjeżdżał ku osadzie, nie zwalniając. Ludzie sprzedający przy szosie pieczywo i wodę zeszli mu z drogi. Zou Lei, wówczas pięcioletnia, rozdziawiła usta, z których wyrwało jej się „och”, i zbliżyła się, wypatrując żołnierzy w metalowych hełmach, mknących wśród warkotu silników.

Starsza dziewczynka podbiegła do Zou, odciągnęła ją od drogi i przytrzymała, aż kawalkada przejedzie. Pył dotarł do nich i opadł. Dziewczynka wzięła ją za rękę i zaprowadziła do jednego z glinianych domów z szarego pustynnego drewna, krytych strzechą.

Bawiła się za blisko drogi, więc ją skarciłam. Przejeżdżała wielka ciężarówka.

Słyszałam ją, odparła matka Zou. Stała przy stole w częściowo oświetlonym wejściu i robiła lagman. Słońce w plasterkach kładło się na blacie. Wyrabiała ciasto, zwilżając ręce wodą z niebieskiego plastikowego kubka.

To była największa ciężarówka na świecie. A ona chciała pod nią wpaść.

Jak to?

Chciała do niej wsiąść. Leciąca do niej i gdybym jej nie złapała, wbiegłaby prosto pod koła.

Matka Zou Lei spojrzała na córkę.

Coś ty zrobiła? – spytała ją, po czym zwróciła się do dziewczyny: Przyłałaś jej?

Dałam jej po nodze.

To zrób to jeszcze raz tak, żebym widziała. Nie w ucho, tylko po nodze.

Dziewczyna uderzyła Zou Lei w nogę w wyblakłych pomarańczowych spodniach.

Musisz się bardziej postarać. Tego to nawet nie poczuła.

Dziewczyna wymierzyła Zou mocnego klapsa w pośladki, aż ta podskoczyła, zrobiła dwa kroki i wyciągnęła rękę do tyłu, żeby się osłonić.

Więcej tak nie rób! – przykazała dziewczyna.

Zapamiętaj to sobie! – potwierdziła matka.

Powiedziałam jej, że ojciec jest na stepie, z wojskiem. Nie na ciężarówce. Gdyby był na ciężarówce, toby zszedł. Poza tym musiałby poprosić swojego przełożonego o przepustkę na spotkanie z rodziną. Gdyby nie mógł dostać przepustki, pomachałby chociaż, żebyś mogła to zobaczyć. Na tyle pozwoliliby mu w wojsku: na pomachanie.

Matka zmoczyła dłonie i zaczęła formować ciasto w wałek.

Pobawisz się z nią, dobrze? Albo pośpiewaj jej może. Umiesz już coś zaśpiewać?

Śpiewać nie umiem, ale potrafię trochę tańczyć, odpowiedziała dziewczyna.

Poruszała rękami, złączywszy czubki palców, obracała przegubami, jej dłonie falowały.

Tylko tyle potrafię.

Próbowała nauczyć Zou Lei, ale ona nie miała na to ochoty.

Pobawmy się, że jestem wilkiem, zaproponowała Zou.

Po południu dziewczyna sobie poszła, a matka Zou Lei odpoczywała na dywanach. Były same w mieszkaniu, na ogniu gotowały się kluski. Zou Lei podczołgała się do matki, żeby pobawić się jej włosami. Matka odgoniła od nich muchę. Przez pewien czas grały w wymyśloną grę: trzymały się za ręce, matka pytała: Gdzie jest chleb i sól? Jest w górach. Jest w rzece. Jest z końmi na pastwisku.

Światło zrobiło się pomarańczowożółte, a upał zelżał. Obie wsłuchiwały się w warkot kolejnej

ciężarówka, która przejechała drogą. Matka odsączyła kluski, żeby przestygły, zanim zjedzą je z zieloną papryką i cebulą.

Zrobiło się ciemno, a przez szpary w dachu prześwitywało niebo. W przedpokoju widać było słońce zachodzące nad górami, jego promienie godziły prosto w oczy, przebiegłszy krańce pustyni spowitej granatowym mrokiem.

Kiedy zbierałam bawełnę, do jedzenia mieliśmy tylko zupę, powiedziała matka. To było, zanim się urodziłaś. Wtedy wciąż jeszcze byłaś ukryta w torbie na bawełnę twojego taty. Zapytał, czy chciałabym cię urodzić. Powiedziałam, że tak, i dał mi ciebie. Chodź, zjedz kawałek – matka miała brzoskwinie, które zebrała przy drodze – dobrze je wyszorujemy. Nie jedz z piachem. Siadaj no tu. On niedługo wróci. Jak Bóg da. Opowiedzieć ci coś? To słuchaj.

Czy wiedziałaś, że jest miejsce lepsze od wszystkich innych? Dobrze, opowiem ci o nim. Po pierwsze jest daleko, z dala od bandytów i wilków. Szmat drogi stąd, dobre trzy miesiące jazdy konno. Urzędnicy nikomu o nim nie mówią, ponieważ chcą je mieć dla siebie. Ale ludzie i tak wiedzą, że istnieje. I tam wszyscy się cieszą. Spędzają całe życie na zabawie i śpiewie, więc dlaczego by nie mieli się cieszyć? Nikomu nic nie brak, każdy ma to, czego potrzebuje, buty, ubrania i ładną czapkę. To miejsce błogosławione przez Boga, w zielonej dolinie za górami i rzekami. Stada się pasą, winogrona rosną w winnicach, a latem ludzie jadą do modrzewiowego lasu, gdzie panuje chłód. Polują, ile chcą, a potem wracają na dół, gdzie słońce świeci na zieloną trawę. Wystarczy, że wyciągniesz dłonie, a jeżyny same ci w nie wpadną. Powietrze przepelnia słodka muzyka zień siedzących na drzewach. Każdy dostaje jogurt, śmietanę, mleko, chleb i mięso – ile dusza zapagnie. Ogień strzela, tłuszcz skwierczy, a na garnkach podskakują pokrywki. Nie trzeba tam być bogatym. Jeśli ktoś czegoś chce, to zaraz to dostaje. Wystarczy powiedzieć: Życzę sobie chleba! – a bochenek wyskakuje wprost z pieca. Tak się tam ma sprawa z jedzeniem.

Kobiety są piękne jak gwiazdy na niebie, według przysłowia – policzki mają jak rumiane jabłuszka, a cerę jasną jak mleko. Siostra i kuzynka ramię w ramię idą zbierać kwiatki, a chłopcy patrzą na nie tęsknie, słuchając ich śmiechu niczym głosu skowronka. Mężczyźni cały czas śpiewają i zalecają się do nich. Wystarczy, że dziewczyna upuści grzebyk na ziemię, a dwudziestu mężczyzn walczy o to, by móc go podnieść. Ledwo ziewnie, od razu dają jej cień i wzywają wiatr, żeby ją ochłodził, wołając: Wiej, wietrze, wiej! Cóż, wszystko pięknie, ale kto za mnie wypieli ziemniaki dla matki na kolację, kiedy ja tak sobie leżę? – mówi ona i zaraz mężczyźni padają na ziemię, żeby plewić.

Kiedy tak wszyscy jedzą i się bawią, gra muzyka, są tańce i śpiewy, wszystkim lekko na sercu. Przez cały dzień mężczyźni rywalizują w jeździe konnej, biegach i zapasach. Są tak ładni i dzielni, że każdy nadawałby się na księcia. Galopują po stepie w tę i z powrotem, jak błyskawice przemierzają go raz za razem, a ludzie wstają i wiwatują jak jeden mąż. Na całym stepie gości szczęście. Wyobraź sobie tylko ten donośny głos tysięcy ludzi naraz, jak niesie się po całym świecie. Sprawia, że na wszystkich zboczach gór zakwitają żółte i czerwone maki, a śnieg ze szczytów topi się z podziwu i spływa rzekami.

Jeśli jakiś urzędnik żąda zapłaty podatku, mówisz mu: za tydzień! – a on przyjmuje tę odpowiedź i notuje w księgach. Jeśli nie, to pokazujesz mu włos na swojej głowie i mówisz: Nawet tyle nie dostaniesz – a on odchodzi jak niepyszny. Bramy więzień są otwarte na oścież, a skazańcy wychodzą ze śpiewem i podziękowaniami na ustach, po czym wracają do swoich bliskich.

Matka Zou dotknęła jej twarzy w ciemnościach.

Śpisz?

Nie spała. Choć dostrzegały gwiazdy przez dach, siebie nawzajem już nie. Nocą znikwały dywany, powierzchnia, na której siedziały. Łatwo było sobie wyobrazić, że znajdują się nad przepaścią i że niemądrze byłoby się poruszać, dopóki słońce nie wstanie i nie przyniesie znów ze sobą ziemi. W nocy Zou Lei budziła się i wydawało się jej, że dom jest pusty, a wtedy słyszała jakiś dźwięk, pojawiała się wstążka nocnego nieba, matka zaś wracała z drogi, na którą wyszła w przekonaniu, że podjechała ciężarówka.

Opowiedziała Zou Lei historię o dziewczynie, której ojca porwała wiedźma. Jedynym sposobem, by go odzyskać, było udanie się na zachód. Matka Zou zmieniła pozycję i mówiła rękami, opisywała nos

czarownicy, długi jak kiełbaska. Na zewnątrz niebo zaciemniały chmury burzy piaskowej. Rano czyściły dywanik, wytrząsały piach z włosów, szły do kranu i myły stopy przed modlitwą, matka z rękami na twarzy poruszała ustami z zamkniętymi oczyma.

Matka powiedziała jej, że Mądra wzięła siedem nasion morwy i zasadziła po jednym na każdej z pustyń, które przemierzała. W ciemności Zou Lei widziała żwirowate wzgórza, wąwozy i jaskinie, miejsca takie jak księżyc, wyschła rzeka, bezkresne zarośla, złota pustynia. Mądrą polubili nawet bandyci. Jedna pustynia była ze szkła, inne z żelaza – matka gestykulowała. Mądra zdarła buty. Wędrówka trwała siedem lat. Skończyły jej się nasiona i woda w bukłaku z owczego pęcherza. Żelazna pustynia poraniła podeszwy jej stóp, aż popłynęła krew i zagotowała się na gorącym metalu. Ale Mądra szła dalej, ufna w Boga, aż oślepiło ją słońce. Poczuvszy zbliżającą się śmierć, położyła owczy pęcherz na kolanach i uderzała w niego jak w bębenek, śpiewając: Odtąd jestem duchem. Bębniła tak przez siedem dni. Na niebieściuchnym niebie pojawił się ptaszek i rzucił na nią swój cień. Dopóki śpiewała, leciał z nią i przemierzali step jak wilki. Dotarli do czystej błękitnej rzeki, do której Mądra wskoczyła, a kiedy z niej wyszła, odzyskała wzrok i ujrzała Kotlinę Fergańską.

Ojciec wrócił do domu. Nikt nie spostrzegł, że nadchodzi – usłyszeli jego głos przy drzwiach i oto on – jak nierzeczywisty. Wziął ją na ręce i przytulił. Mama upuściła kosz: O Boże! Wciągnęła go do domu. Pachniał benzyną. Coś ci ugotuję. Bogu niech będą dzięki! Złapała go za ramię i wytarła oczy brudnymi, ogorzałymi palcami.

Nie płacz. Nie masz się czym martwić. Patrz! Uśmiechnął się, wyjął z kieszeni wojskowej bluzy kartki i wręczył je matce. Mąka, olej, ziemniaki – wszystko dla nas, ha!

Wciągał do środka swój worek z bagażem, a Zou Lei patrzyła, jak pręży się jego ramię.

Wyprały jego rzeczy w kanale obok sadu. Zou Lei i jej mama wyżeły jego mokry zielony mundur.

Matka dała jej nóż i ziemniaka do obrania.

W ten sposób, powiedział spalony słońcem chiński tata i pokazał jej, jak usunąć skórę, żeby powstała jedna nieprzerwana spirala. Wykopał za domem dół saperką i zabił kozę.

Poproś mamę o miskę.

Powiesił purpurowo-białe mięso wysoko z tyłu domu; zawsze pracował, nawet kiedy miał wolne, z papierosem w ustach i z solą wysychającą na koszuli.

Na pustyni Takla Makan trwało lato. Zostawiali herbatę na noc w czajniku, żeby ostygła. W ciągu dnia niebo było czyste, powiększało jak lupa góry w oddali i wieczny śnieg na ich szczytach. Prędkie parowanie sprawiało, że pustynia wydawała się mniej gorąca. Dorośli przycupnęli na drewnianych stołeczkach przed drzwiami i pili herbatę zaparzoną poprzedniego popołudnia. Zerwał się wiatr i przyniósł tumany pyłu, które toczyły się drogą jak gigantyczne postacie w sukienkach.

Zou Lei porzuciła zabawę.

Wieje coraz mocniej.

Na to wygląda.

Ojciec zabrał swój stołeczek.

Chodź.

Weszli do domu i pomogła mu zamknąć drzwi.

Będzie burza! – zaśmiała się matka.

Drzwi stuknęły, ojciec podparł je stołem, ale nic to nie pomogło. Kiedy burza piaskowa smagała domy, zapadła ciemnogrnatowa noc. Zapalili lampę i odsunęli jedzenie od dziur, przez które wdierał się wiatr. Matka podzieliła chleb na trzy porcje.

Jedz, tylko się nie poparz.

Chleb był gorący. Zou Lei przytuliła się do opalonego ramienia ojca.

U nas w wojsku mówimy: nie guzdrz się. Guzdrała zmywa gary.

Jesteś powolny?

Ja? Nie. Czemu pytasz?

Sama nie wiem. Próbowałam sobie wyobrazić swojego męża myjącego gary.

Twoja mama lubi myśleć.

Tak, lubię. Myślę bez przerwy.

Ja za to niespecjalnie dużo.

Och, byłbyś pierwszym mężczyzną, który tak mało myśli.

Nie, ja po prostu wykonuję rozkazy.

Ach, jesteś jedyny w swoim rodzaju!

Drzwi przestały walić. Nadszedł późny wieczór. Lampa nadal rzuciła czerwone światło zza kotary. Z krótkimi włosami żołnierza i z umięśnionymi kończynami ojciec wyglądał jak tygrys. Opowiadał im o swojej pracy. Nad górskim stawem było płasko i dziwnie. Jego pułk obozował tam, gdzie kończyła się Żółta Rzeka. Nosimy strzelby, ale łopaty również. Praca przy rurociągu jest jak praca w kopalni, ale choć niebezpieczna, przykładamy się do niej, żeby nasz kraj mógł iść naprzód. Pewien Kazach chciał oddać mu swojego konia, żeby zakończyć spór o trzodę, ale ojciec Zou, żołnierz, nie chciał go wziąć. Jesteśmy po to, żeby służyć ludziom. Nie wiedział, że był jednym z nas, ale był. W ludziach mieszczą się wszyscy. No więc potem przyprowadził swoją córkę w ładnej sukience, a wszyscy chłopcy śmiali się ku mojemu zakłopotaniu. Czy była bardzo ładna? – spytała Zou Lei. Ojciec wziął ją na kolana, a ona słuchała głosu rezonującego przez pierś. Matka pólleżała z boku, łowiąc słowa męża, a kwiaty na jej sukience przechodziły w ptaki na dywaniku pod jej stopami.

Zou Lei poszła z ojcem pobiegać – klapała różowymi sandałami, a on odwrócił się i truchtał tyłem w dół wzgórze. Poważnie podchodził do uczenia córki. Za miejscem, gdzie zatrzymywał się autobus, teren robił się płaski.

Ojciec podciągnął się na poręczach, pohnął się, wyprostował nogi, po czym zaczął unosić się i opadać na rękach. Zeskoczył. Pamiętała dźwięk uderzenia jego butów o ziemię. Wszystko wychodziło mu tak zgrabnie i łatwo. Otrzeptał dłonie i podsadził ją na poręcz.

Gdy była w górze, widziała jego opaloną twarz, krótką żołnierską fryzurę, czuła zapach papierosów, potu wysuszonego przez pustynię – białe kryształki soli pośrodku jego klatki piersiowej. Różowy sandał spadł jej z nogi. Spojrzała na majtającą się stopę. Nie patrz w dół, poradził, asekurując ją. Bała się, ale z jego pomocą dawała radę się utrzymać. Chustka zsunęła jej się z głowy. Trzymaj się rękami. Podnosił ją i opuszczał, a ona się podciągała. Ha, Ha! – zaśmiała się. Udało ci się. Postawił ją na ziemi. Przeskakiwała z nogi na nogę, żeby nie dotykać rozgrzanego betonu, i trzymała się taty. Założył sandał na jej brudną stópkę. Dobra robota, żołnierzu! – orzekł. Schylił się po chustkę.

Wszystko się układa, powiedział. Krok po kroku. Matka miała całe ręce w mące, piekła chleb w glinianym piecu, który ojciec własnoręcznie postawił przed ich domem.

Melony, brzoskwinie, jabłka, migdały, daktyle, czekający w cieniu Ujgurzy, czekający na pracę, czekający na odrobinę wody, a nad dachami – minarety. Zou Lei zmrużyła oczy. Miała pieczywo w reklamówce. Podjechał autobus, a chmura pyłu się rozwinęła. Wsiadły opalone kobiety w chustach i z pieniędzmi w rękach. Po ile chleb? Zou Lei chowała do kieszeni ułamki dolarów.

Patrzyła, jak nad pradawną ulicą wieszają czerwone transparenty, żołnierze przejeżdżają przez wioskę, a boscie dzieci wychodzą z powrotem na drogę. Chińscy aktywiści – w okularach, czapkach roboczych i butach z tworzywa, z rękami schowanymi za plecami – pozowali na pustyni do zdjęć robionych przez innych ludzi, którzy wyglądali dokładnie jak oni, za to ani trochę nie byli podobni do swoich ojców, na dowód, że są tu od dawna i odnieśli sukces.

Głośnie krzyczał: Zacofaniu powiedzmy nie! – i rozbrzmiewała triumfalna fanfara. Widziała walkę o zwierzęta hodowlane. Jakiś mężczyzna uderzył sąsiada, wrzucił jedną z owiec na ciężarówkę, a pozostałe doskoczyły do niej, zwabione beczaniem. Po ulicy rozszedł się zapach palonego drewna i kebabu jagnięcego. Pocięła jej ślinka. Sandały rozpadły się od kopania w piłkę i dostała za to lanie od mamy.

Po tamtej stronie jest Rosja, tłumaczył ojciec. Tam kraje muzułmańskie. A po drugiej stronie są Chiny. Zapalił papierosa. Rosyjscy żołnierze są dobrzy, mają nowoczesny sprzęt. My jesteśmy po to,

żeby bronić tej granicy przed Rosjanami. Muzułmanie mają przestarzałą armię. Są z nich kiepscy żołnierze, bo czują się zbyt niezależni. Podczas wojny potrafią się wycofać i iść pilnować stada. Ameryka ma najlepsze wyposażenie, to najbogatszy kraj. W Ameryce każdy szeregowiec ma samochód. U nas na samochód stać tylko generała. Mamy sprzęt średniej jakości, ale niezbyt zaawansowany. Nasza siła tkwi w populacji. Warunki się powoli poprawiają. Żeby zwyciężyć, trzeba wszystko zrównoważyć. Jak w zapasach – jeśli jestem za słaby, daję się wypchnąć poza matę. Jeśli jestem za silny, sam z niej wypadam. Należy trzymać się środka. Chiny są w środku, czyli jak trzeba. Za trzydzieści, czterdzieści lat będziemy w stanie pobić Amerykę lub Rosję.

Autobusy zwoziły Ujgurów z zachodu, w tym także z Fergany. Fryzjer wystawiał krzesło niedaleko drogi. Zou Lei patrzyła, jak przesuwa otwartą brzytwą po tyle głowy jakiegoś mężczyzny, kępki włosów spadają na ziemię, a wiatr znosi je pod krawężnik. Panowie siedzieli w kółku. Podnosili opalone ramiona i rzucali jej monety. Jesteś z krainy mlekiem i miodem płynącej, mówiła do nich. W kufi na głowach, gładko ogoleni, zapatrzeni w nieskończoność, jedli chleb od jej matki. Kto ci tak powiedział? My wszyscy zbieramy bawełnę w Ferganie. Tak nam każą. Idź i powiedz to swojej matce.

Jak daleko umiesz pobiec, tato? – spytała ojca.

Biegiem czy truchtem? – dopytał. Bo jest różnica.

No, do tych gór.

W sensie: niekoniecznie biegiem, ale czy dam radę dojść tam piechotą?

A dasz? Ktokolwiek da?

Myślę, że tak. Jak się ma samozaparcie. I wystarczająco dużo wody.

Dekada dobiegła końca i nagle zaroiło się na ulicach. Ich sąsiedzi znikli. Alani nie przyszedł do szkoły. Piłkę nożną uznano za fundamentalistyczną, więc przestali grać. Rzucali nią do kosza. Ojca zmobilizowano i wyjechał.

Weź to, powiedziała matka i podała jej pilaw, żeby zaniósła go przed budynek, gdzie jedli ich klienci.

W bocznych uliczkach chłopcy bawili się w zapasy. Tyson! – krzyczeli. Cegły z gliny oznaczone były arabskimi graffiti. Rambo to ja!

Dziewczyna rzucała w nią kamieniami. Twoja matka ma za męża brudnego świniózercę.

Kierowcy ciężarówek przyjeżdżający z Gilgitu opowiadali o tym, co widzieli. Zamawiali kluski na zimno i piwo. Jakiś karamajczyk zerwał kapsel zębami. Przemytnikom ucinają tam głowy. Pastę z opium chowa się zwykle w piecach chlebowych. Po tej stronie wsadzają cię tylko do gułagu, nic więcej. Członków gangów i separatystów. Wyobraź sobie, że nie możesz się odzywać przez pięć lat. Nie widzieliście szybów naftowych na pustyni? Widziałem, jak ciągną kawał rurociągu, dość duży, żeby w nim zamieszkać. Wszędzie naokoło stacjonuje wojsko. Mają wszystko, czego zapragną. Dostają dziewczyny z wioski. Mają dla siebie namiot i lekarza, który dba o ich zdrowie.

Przyniosła im więcej piwa. Zaczęła się burza piaskowa, więc weszli do środka i usiedli na dywanach. Zamówili jogurt i wódkę. Zawołali jej matkę.

Ile ma lat?

Idź do kuchni i nie wychodź.

Kiedy przyszło zawiadomienie z pułku, czekały na słońcu od jedenastej dwadzieścia do drugiej czterdzieści, kiedy to pracownicy poczty mają oficjalną przerwę. W tym czasie Chinka i jej koleżanki w pielęgniarskich czepkach jadły pierogi, wachlowały się i rozmawiały za zakratowanym oknem. Matka siedziała na krawężniku i trzymała się za głowę. Kiedy krata się podniosła, weszły do środka. Jedna z kobiet w czepku powiedziała, że zawiadomienie oznacza śmierć kogoś z pułku.

Ale tu nie ma nazwiska, proszę pani. Może to nie on.

Może i nie. Chodzi o kogoś z pułku, wrzasnęła kobieta. Jak masz kogoś w pułku, to chodzi o niego.

Matka zaczęła głośno płakać.

Zawiadomienie trzeba podstemplować, wyjaśniono im.

Gdzie mam je podstemplować?

Kobieta wyrwała jej dokument, przystawiła pieczętkę i schowała.

Dlaczego mi pani tego nie odda?! – krzyknęła matka.

A co zamierzasz z tym zrobić?

Ale matka waliła w kraty, szarpała je i krzyczała, aż kobieta oddała jej papier. Na ulicy ktoś powiedział im, że mają pójść do takiego a takiego biura. Nikt nie wyjaśnił, jak zginął jej ojciec. W biurze dowiedziały się, że zawiadomienie jest konieczne do odbioru zasiłku, małego pliku różowych banknotów z bohaterskimi profilami, w tym ludzi z mniejszości etnicznych. Matka zwinęła je i wsadziła w pończochę, a Zou Lei zwiesiła głowę.

Teraz mieszkały w dużym mieście na zachodzie, tym razem bez ciężarówek, przegrane, i nie dawały sobie rady po odejściu ojca. Banknoty się rozeszły. Miała piętnaście–szesnaście lat i była głodna. Pisała do niego. Nosiła taką samą fryzurę, żeby jej o nim przypominała. Żołnierka we wszystkim, co robi. Koniec ze szkołą. Nie było kartek żywnościowych, chyba że kupiło się je od dzieciaków w dresach, sierot, które handlowały haszyszem. Sprzedawała różne rzeczy z rozłożonego koca. Taśmy magnetofonowe. Zmatowiały róg z jakiegoś tadżyckiego wesela. Ulicę oplatała sieć latarni, żeby można było kupować po zmroku. Od kolejnego stołu czuć było kożę pieczoną w całości. Grała w piłkę nożną, kiedy tylko mogła. Prezydentem Stanów był Clinton. Na śmietniku za bazarem znalazła ułamany nóż i rzucała nim, jak najdalej mogła.

Była opalona, zarumieniona, łuszczyła jej się skóra na twarzy; miała siedemnaście lat. Wszyscy byli spaleni słońcem, grali w piłkę na krańcu alei Wyzwolenia, aż im się kurzyło ze starych wojskowych ubrań. Tarik był przy piłce, a ona biegła łukiem, jakby jakaś cienka linia trzymała ją z dala. Kopnął, a ona podbiegła, żeby przejąć. Nie ustawała w ruchu. Trafiała łokciem w twarz chłopaka, po czym walczyli o piłkę nogami jak dwie żerujące modliszki. Słońce było pełne jasnego, oczyszczającego zimowego blasku. Wszystko pachniało skórą, czymś kwaśnym, pyłem węglowym i nawozem. To był skraj miasta. Mur miał czterysta lat, a za nim rozciągała się pustynia.

Na krawężniku w wąskim cieniu jałowca przycupnęła zdziczała kobieta z dzieckiem, małym umorusanym chłopczykiem, który grzebał palcami w wykruszającym się bruku. Próbował wyciągnąć jedną z kostek, by znaleźć pod nią skorpiona.

Droga biegła znikąd, z pustyni, i była na tyle szeroka, by pomieścić cztery czołgi obok siebie. Teraz Zou Lei szła nią, dryblując piłką. Coś budowano, coś burzono, kamienie do budowy leżały w stosach. Wielkie bloki betonu, z których sterczało zbrojenie, wyglądały jak zęby wyrwane z ziemi, wykopaliska w prochu. Brzegi drogi się kruszyły. Szosa strzelała pod górę i nagle się urywała. W głębokim rowie zalegało morze opon, wśród których ktoś buszował, lustrując bieżniki.

Przestrzeń była długa i szeroka, ciągnęła się aż do ruchliwej części miasta przy dworcu kolejowym, do zbiorowiska brązowych autobusów u wylotu tunelu, znaków po ujgursku i chińsku, gdzie migranci szukali pracy i spali, gdziekolwiek było trochę cienia. Wśród starych domów z wypalanej cegły stały budynek służby bezpieczeństwa i areszt, pokryte kafelkami niczym łazienka wywrócona na drugą stronę. Słońce skrzyło się na iglicy górującego nad placem budowy meczetu. Daleko w dole była kopuła,

wyczuwalna jak rosnący bąbel.

Czekała je kolejna przeprowadzka, tym razem w głąb kraju, do jednej z fabryk w Shenzhen, która wciąż potrzebowała nowych migrantów. Na zachętę obiecano Ujgurkom wsparcie finansowe. Powiedziano im, że to fabryka soków owocowych, ale mało to miało wspólnego z rzeczywistością. Pierwszą niepokojącą oznaką tego, że wpakowały się w kłopoty, była wilgoć na polach ryżowych – upał zupełnie różny od skwaru pustyni. Wszechobecna parność, brak linii horyzontu, monotonne pola przechodzące w niebo. Fabryka wytwarzała pochodne polietylenu i nie zapewniała sprzętu ochronnego poza maskami chirurgicznymi. Kto tylko podniósł głowę, od razu dostawał po niej od tajwańskiego szefa. Szef nie musiał płacić. Okazało się, że jesteś nielegalnym imigrantem we własnym kraju. Takie wielkie są Chiny.

Było im niedobrze, mdliło ich od jedzenia, bakterii w wodzie, od mięsa nieznanego pochodzenia leżącego na stołach wzdłuż utwardzonych dróg, od much i krwi. Żadnych imamów w okolicy; były za to ptasia grypa, malaria i schistosomatoza. Krzyk nad uchem, kiedy się przysypiało. Cucenie się wymierzającym sobie policzkiem. Strupy od rozdrapywanych ugryzień. Matka nie chciała jeść wieprzowiny. Kucaly w wilgotnych latrynach w wiosce, obok innych dziewczyn. Ryby w stawach pokrytych kożuchem. Jadły rybę, kiedy udało się ją zdobyć, bo rolnik zdeptał żywego leszcza, który wypadł na zabłoconą podłogę autobusu. Matka musiała wracać na motorze robiącym za taksówkę, obejmując w pasie motocyklistę. Na ulicy były psy, zdechła koza na stercie śmieci, skąd wygrzebywały papier i plastik. Czasem jadły jagnięcinę, ale głównie kapustę, gotowały na okrągłych brykietach węglowych, które udało się zebrać, na wpół wypalonych. Przyrządzały gorczycę sarepską, ziemniaki, ryż i kości wszystkiego, byle nie świni.

Od pracy w fabryce – gdzie z trudem znosiły zamknięcie dla ich własnego dobra – dzielił je mały krok od zostania bez niczego i życia w brygadzie produkcyjnej, zbierania papieru i śmieci do recyklingu. Nie było mowy o opłaceniu matce wizyty w przychodni. Wiele dziewczyn zatrudniało się w barach karaoke, żeby śpiewać i pić z partyjnymi kadrami. Tymczasem Zou Lei o drugiej w nocy, pod plastikowym zadaszeniem, w świetle jeszcze działających żarówek zawieszonych nad niewybrukowaną ulicą wybierała butelki po piwie spośród styropianowych pojemników ociekających olejem chili i pałeczek jednorazowych, po czym szła kilometr błotnistą drogą, ledwie wyczuwając w ciemności ściany i chaty, aż do miejsca, gdzie zaczynało się pole ryżowe. Stosy gówna wyrzuconego przez rolników. Okropny smród w mroku. Postój, żeby odłożyć brzęczący ładunek, ona sama wśród błota, które prowadziło do wielkich połaci wody.

Mówili, że jeśli chcesz nieba, to nie wybrałeś najlepiej. Zawsze zostaje Ameryka, jeśli myślisz, że zdołasz tam dojść.

Spotkała matkę w tłumie idącym z meczetu. Poszły na Bulwar Wyzwolenia, gdzie chłopci, synowie nomadów, ciągnęli przez zniszczoną ulicę ogromne drewniane wozy. Ludzie z pustyni – ze złotymi zębami, chropowatymi dłońmi i twarzami. Mężczyźni w białych kufi i czarnych marynarkach, trzymający przaśne pieczywo na sprzedaż. Miski daktyli i orzechów, poprzecinane arbuzy, wisząca w górze czerwona flaga zarżniętego jagnięcia, szprychy kół przemieszane z nogami ludzi idących przez plac, przemieszane i zazębione na setce skrzyżowań. W późnopołudniowym słońcu coś błysnęło z boku fontanny ozdobionej mozaiką, gdzie mężczyźni myli stopy po jednej stronie, a kobiety po drugiej. To przechodziła dwójka policjantów z dużymi natłuszczonymi głowami, lśniącymi jak u fok.

Matka relacjonowała jej, co imam powiedział w kazaniu. Głośnik upominał: Jeśli dostrzeżasz oznaki fundamentalizmu, powiedz przywódcom. Zou Lei wskazała na grupkę młodych mężczyzn i chłopaków w dresach. Jeden miał boa dusiciela zawieszzonego na szyi i lustrzane okulary; nie nosił koszuli.

Kim oni są?

Dziećmi policji.

Dostrzegła żyłki i igły do strzykawek w wiadrze pod wózkiem, z którego jej matka kupowała jabłka. Podeszła do węża i dotknęła jego gładkiej, paciorkowatej skóry; przesuwiała się pod jej palcami.

Na tym świecie nie można na nic liczyć, powiedziała matka.

Wróciły do miejsca, w którym mieszkały – śmierdzącego betonowego pokoju obok latryny – położyły się na wspólnym łóżku i nie mogły zasnąć. Miała nauczyć się maszerować. Miała poćwiczyć na polu.

Obudziła się w nocy. Goła żarówka była zapalona, a matka kręciła się w kółko. Zawodziła z twarzą ukrytą w dłoniach, cała rozczochrana, z włosami sterczącymi na boki, prawie dotykając ściany. Zou Lei patrzyła, jak matka wiruje, dostaje zawrotów głowy i się chwieje. Jestem na koniku. Jestem wśród modrzewi. Zou Lei próbowała zaciągnąć ją z powrotem do łóżka. Matka mówiła, że widzi jelenia. Zou Lei sięgnęła ręką do wyłącznika. Światło kosztuje.

Przebyłam tysiąc mil, powiedziała matka. Powinam być zmęczona, ale nie jestem.

Położyła się do łóżka, odsuwając córkę grubą, silną ręką.

Pojechali do sądu. Była tam brązowa wykładzina. Ktoś kazał jej ruszyć dupę. Biała kobieta w spodnicy w prążki z aktami w ręce powiedziała: Nie postawiono zarzutów. Nikt jej nie wytłumaczył dlaczego. Potem po prostu stwierdzono, że wychodzi. Zabierz swoje rzeczy – poinstruowała ją funkcjonariuszka. Na ladzie leżała papierowa torebka z džinsami. Wzięła ubrania i przebrała się pod świetlówką, a pieniądze przeliczyła dopiero, kiedy była na zewnątrz. Zabrzęczało, szklane drzwi się otworzyły i wyszła, mijając tablice z przyszpilonymi do nich instrukcjami z napisem „JAK ODWIEDZIĆ WIĘŹNIA” w czterech językach, aż dotarła do otwartej przestrzeni miasteczka – była siódma rano – trakcji kolejowej, drutu kolczastego i wody.

W autobusie oparła głowę o szybę i patrzyła, jak wyjeżdżają z miasta. Jechali wzdłuż oblażących farbą domów i Kościoła Uzdrawienia Chorych. Było tu taniej niż w MetroNorth. Kierowca spojrzął w lusterko wsteczne i obwieścił przez głośnik: Proszę nie palić, dziękuję. Włóczęga w czarnym kapeluszu kowbojskim i ze swastyką na karku spytał: Masz ogień? Na Roy Rogers wszyscy zabrali się do jedzenia – oprócz niej. Na dziewięćdziesiątej piątej międzystanowej zamknęła oczy i słuchała dźwięku z czyichś słuchawek. Kiedy je znów otworzyła, jechali przez osiedle pełne policjantów w kamizelkach i żołnierzy ze strzelbami z Port Authority.

3

Złapał podwózkę, zanim zrobiło się jasno, tam gdzie ciemne drzewa stały wzdłuż autostrady, podobne do strzał.

Jesteś dezerterem? – spytał kierowca.

Powinienem być nim zostać, odparł Skinner.

Słońce wstało i opromieniło wnętrze szoferki. Purpurowym światłem namalowało wzdłuż szosy niekończący się las. Patrzył, jak to się dzieje. Droga zakrzywiła się powoli niczym orbita planety. Siedział wysoko w kabinie przy akompaniamencie jednostajnego hałasu.

Nie był zbyt wysoki, ale miał spore dłonie i czaszkę, przez co wydawał się większy. Oparł but na kokpicie bez pytania o pozwolenie. Kierowca kazał sobie wykończyć wnętrze pojazdu aksamitem i chromem.

Mieszkasz tu?

Tylko kiedy jestem z dala od domu, odpowiedział kierowca i wyjechał z fotografiami dzieci i platynowoblond żony upozowanych na wirującym tle. To Kyle, a to Connor. To dla nich żyję. Moi chłopcy są całym moim życiem.

Skinner rzucił zdjęcie na deskę. Kierowca podniósł je bladą, piegowatą dłonią i schował do portfela.

Planujesz w ogóle stanąć?

Po co?

Żeby skoczyć do Maka albo coś?

Nie jem, dopóki nie dojadę na miejsce.

Twardziel z ciebie.

Mów, co chcesz, odparł kierowca.

Skinner zwrócił jednak jego uwagę. Masz dwa wyjścia, powiedział więc. Albo jadę dalej, albo staję. Jeśli mam stanąć, ty wystawiasz kciuk w poszukiwaniu innej podwózki.

Wszystko mi jedno, odpowiedział Skinner. Rób, jak uważasz.

Położył na desce drugi but i patrzył na drogę. Zapalił papierosa. Założył okulary. Spoglądał zza szkieł na pobocze, w lusterko wsteczne i z powrotem na samochody. W miarę, jak kierowali się na północ, ruch gęstniał. Zdjął stopy z deski i usiadł prosto. Krajobraz zmienił się na gołe drzewa na wzgórzach. Zapalił następnego papierosa. Kierowca też palił, a w radiu leciało country.

Wyprzedził ich czarny samochód. Wjechał przed nich i pruł naprzód, wymijając kolejne auta. Skinner zacisnął szczęki. Zaczął machać stopą.

Chcesz się odlać albo coś takiego?

W radiu kobiecy głos zaśpiewał: Ma swoją rodzinną dumę.

Nie, odpowiedział Skinner.

Z powrotem położył but na kokpicie.

Wygodnie ci w nich?

Całkiem, całkiem.

Wsunął kciuk za język buta i pociągnął sznurowadła.

Dobrze trzymają. Ale to jest kolejna para. Na poprzedniej był czyjś rozbryzany mózg.

Kierowca spojrzął na niego.

Pierdolonej armii zajęło pół roku, żeby przydzielić mi nową parę. Gdzie w ogóle jesteśmy?

Chyba wciąż w Wirginii.

Skinner popił gatorade'em sześciokątną pigułkę. Popatrzył na mijany szyld McDonald's. Na wzgórzach pojawiał się śnieg, a w kabinie zrobiło się chłodniej. Zawinał się w zielony płaszcz żołnierski, spod którego wystawały brązowe buciory, przewiesił głowę przez krawędź siedzenia. W okularach na pobludłej opalonej twarzy i z połamanymi paznokciami u dużych dłoni wydawał się nieprzytomny. Kierowca znów na niego spojrzął. Słońce pojawiała się i zachodziło jak w grze światłocienia, jak

w rejestracji poklatkowej na przykład chmur.

Skinner przespał całą Pensylwanię, gdzie mieszkała jego matka z bratem, i obudził go jakiś rap. Niebo poszarzało. Potarł się po twarzy.

Kierowca wyłączył radio.

Skinner leżał bezwładnie i gapił się na drogę jak w katatonii.

Ile przed nami?

Jeszcze kawalek.

Spojrzał na śmietnik pod nogami i znalazł w nim butelkę gatorade'a. W porządku. Robił to cały czas. Obrócił się na bok i napełnił ją. Wolałbym tego nie widzieć, powiedział kierowca. Nie zobaczysz. Skinner zakręcił butelkę i schował ciepły płyn o barwie piwa do plecaka.

Od dłuższego czasu zbliżali się do miasta z tym charakterystycznym uczuciem – droga robiła się trudniejsza, szybsza, węższa i bardziej zatłoczona, podskakiwali na dziurach. Tu i tam pojawiały się graffiti, naraz zaczęły się mnożyć. Skinner znów zapalił papierosa i siedział pochylony, machając stopą.

Myślę, że przejechałeś, kolego. Na pewno już je minęliśmy.

Prawie zmierzchało, kiedy skręcili na zachód. Niebo się przejaśniło i mknęli wzdłuż płotów, domów, rozgałęzień autostrady, które wyrastały, znikwały, powracały i rozwidlały się. Wpatrywał się przed siebie. Oto jest. Zobaczył słynną panoramę miasta minus dwie wieże. Wciąż jednak było daleko i przestało być widoczne, kiedy autostrada zeszła niżej. Ale zaraz pojawiło się znowu, wyraźny kontur na tle zachodu słońca o kolorze lawy.

Miasto schowało się za jezdnią, hałdami żwiru i stojącymi po bokach drabinami dźwigów. Gdzieś błysnęła woda. Sylwetka Nowego Jorku znowu się ukazała. Byli już blisko. Blond włosy i opalone cycki na billboardzie. Gentleman's Club. Zatarł ręce. Zapamiętałeś adres? Kierowca nie odpowiedział.

Gnali zjazdem z autostrady, po bokach niczym kurtyny wyrastały ceglane bloki pokryte graffiti. Szosa pojawiła się nad nimi jak samolot startujący ponad głowami. Wbiło ich w fotele od przyspieszenia, kiedy ciężarówka pruća przez aleje, potem zwalniała, kluczyła i zajęchała elegancko pod stację benzynową. Hamulce pneumatyczne. Szarpnęło nimi do przodu. Kierowca wrzucił niski bieg i samochód potoczył się do następnego dystrybutora, a kiedy zgasł silnik, błyskawicznie zrobiło się cicho, chociaż w głowie Skinnera motor wciąż jakby chodził.

Mężczyzna powiedział, że tutaj go zostawi – co było w porządku, bo widać było, jaka jest jego dalsza trasa – i wysiedli. Gdy kierowca tankował ciężarówkę, Skinner wszedł do sklepu na stacji. Skierował się prosto do suszonych mięs, zdjął opakowanie z metalowego stojaka i wyjął red bulla z chłodziarki. Po drodze do kasy zatrzymał się przy czasopismach. Jakiś Haitańczyk o sinoczarnej skórze przeglądał ogłoszenia samochodowe. Skinner sięgnął mu nad ramieniem i wziął egzemplarz „Ironmana”, na okładce którego mięśniak unosił ciężar tak wielki, że sztanga się wyginała, a na napiętej szyi pojawiła się siatka żył. Skinner podszedł do kuloodpornego okienka i rzucił kartę płatniczą na ladę.

Daj mi do tego paczkę marlboro.

Wyszedł na zewnątrz i wyciągnął swoje rzeczy z kabiny kierowcy. Wbił się w kurtkę polową w barwach maskujących i zarzucił na głowę czarny kaptur. Butelkę z sikami zostawił na krawężniku, może się komuś przyda. Kierowca w koszulce wciąż tankował wóz. Skinner podszedł do niego i zapytał, jak ma dalej iść.

Jakoś w tym kierunku.

Skinner poprawił paski przy plecaku i zerknął na autostradę. Podniósł wojskowy płaszcz spod nóg, strząsnął go, rozprostował i przytrzymał. Przyjrzał mu się, zwinął go w rulon i przewiesił przez ramię.

Dobra. Dzięki za podrzucenie.

Nie ma sprawy.

Kierowca w ostatniej chwili wysunął rękę i uściśnił sobie dłonie.

Powodzenia.

Przyda się.

Skinner skręcił i zniknął za ciężarówką.

Mijał teraz monumentalne wieżowce. Ich kontur zaburzała jego objuczona sylwetka, rytmicznie przemierzająca wielki jałowy krajobraz gigantycznych cieni i budowli zalanych zimnym światłem. Pojedynczy samochód stał zaparkowany pod rzędem zakratowanych witryn, całych w graffiti – ogromnych, dzikich, krzykliwych – których litery napinały się jak mięśnie, gotowe zaraz wybuchnąć; niczym chmury dymu nabrzmiewające, kłębiące się, wzdęte nad ścianami z betonu i stali, jakby wszystko trawił pożar. Samotny i objuczony, przekroczył otwartą przestrzeń i zagłębił się w cień po drugiej stronie.

Szedł obok mieszkań tak maleńkich, że gdyby włożyć rękę przez okno, można by sięgnąć drzwi wejściowych. Bywały zniszczone, zabite dechami i sąsiadowały ze śmietnikami. Niektóre miały lokatorów. Gdy tak maszerował, żuł kolejne paski suszonej wołowiny. Red bull, którego wlał sobie w gardło – puszkę cisnął pod beczkę po paliwie – zmroził go do szpiku. Serce mu waliło, buciory uderzały o beton, znad twarzy unosiła się para, a ciało zlewał zimny pot.

Hej, krzyknął, kiedy zobaczył kogoś i chciał zapytać o drogę. Zwrócił się do niego per *papi*. Idź tam – mężczyzna wskazał mu sygnalizację na skrzyżowaniu przed nimi. Monopolowy, warzywniak, iglesias de Dios. Skądś dochodziła latynoska muzyka. Przed oczyma mignęły mu tylne światła samochodu, który przemknął przez most. Przeszedł pod autostradą – pod jej wielkim, wysokim sklepieniem było ciemno, stał dudniła od przejeżdżających samochodów – i wspiał się po schodach upstrzonych gołębiami odchodami. Dotarł na poziom dachu, na wysokość billboardów – gotówka za twój samochód – i zobaczył Manhattan po drugiej stronie czarnej wody, jak z pocztówki ze światełkami i mniej więcej jej wielkości, z energetycznym fioletowym niebem w tle.

Wyjął komórkę i zrobił zdjęcie. Od wspinaczki po schodach parowała mu głowa. Obrócił się, żeby sfotografować się z oświetlonym zielonymi laserami Empire State Building w tle. W blasku flesza jego twarz wydawała się biała i rozkojarzona.

Za mostem, który spiralnie schodził na pusty teren, odnalazł początek alei, zaśmieconej i ciemnej, ciągnącej się prosto i jaśniejącej w miarę upływu kilometrów, gęstej od nawarstwionych świateł w oddali. Zaczął nią iść, zgarbiony pod ciężarem.

Dotarł do muralu przedstawiającego brązowe kobiety przy pracy w polu, miały białe sukienki i słomkowe kapelusze, a na plecach zawiniątka z dziećmi. Minął kolejny mural z młodymi ludźmi stawiającymi czoła życiu i śmierci. Jesteście w naszych sercach. Była też Armia Zbawienia. Przecznicę dalej wyprzedził dwóch ludzi pchających wózki dziecięce po spękany chodniku, spod kół pryskały odłamki szkła. Na podświetlanym kasetonie znak Królestwa Boga Wszechmogącego. Ze sklepu monopolowego wyszedł mężczyzna z zestawem słuchawkowym w uchu, mówiąc: Wpadnij na przedmieście i przekonaj się, co robimy. Jak działamy. Skinner zostawił za sobą bar ze smażonym kurczakiem. Wymijał ludzi, którzy wchodzili mu w drogę. Pomimo dźwiganego ładunku zachowywał niezwykłą zwinność, przemykał się ledwie zauważony w czarnym kapturze i spłóviałym, zakurczonym moro oraz butach, jak gdyby wracał z farmy.

Zatrzymał się wielki biały samochód i wysiadła z niego duża kobieta w krótkiej czerwonej kurtce ze skóry. Przyglądało jej się pięciu facetów stojących na rogu we włóczkowych czapkach. O cholera, powiedział jeden z nich. Skinner zatrzymał się i porozmawiał z nimi przez chwilę. Powiedzieli Skinnerowi, gdzie jest akcja.

Na Czterdziestej Drugiej.

Tam są hotele?

Tam jest impreza. Tu nie bardzo. A tam odchodzi niezła jazda. Jakiś hotel, więcej nie wiem. Piwo, dziwki, zioło, dobry towar, tyle kojarzę, i wszystko w samym centrum.

Obok nich przemknął SUV z halogenowymi światłami i Skinner się wzdygnął.

Mają wszystko, powaga. Nieźle to pojebane. Hotele, motele, dupy, laski z kutasami...

Laski bez kutasów...

Może skuszę się na jakąś dupę.

Jak masz kasę, to bierzesz, co chcesz.

Złapał pociąg i jechał nim przyklejony do siedzenia, patrząc na stacje. Kiedy drzwi się otwierały, ludzie przechodzili obok niego. Wysiadł i wjechał ruchomymi schodami na ulicę, w feerię srebrnych świateł stadionowych i ekranów.

Przez pół godziny krążył po Broadwayu i lustrował bary, zanim się zdecydował. Zajął jeden z wysokich stolików, przy których się piło. Był tam telewizor z płaskim ekranem. I kelner. Może na początek coś do picia, na początek jakieś zakąski, na początek jakieś guacamole. Wypił serię szotów. Dobrze jest! Wychylił margueritę, jakby miał co uczcić. Kiedy był na etapie jedzenia chipsów kukurydzianych, kelner wziął od niego kartę i elektronicznie usunął z konta czterdzieści dolarów. Skinner siedział dalej i wodził wzrokiem od baru do telewizora. Przetrzeźwiał. Weszła jakaś blondynka, ale w towarzystwie dwóch koleś. Wszyscy mieli teczki. Jej głos niósł się w powietrzu. Musisz to skapitalizować, powiedziała. Zmienili kanał w TV. Ktoś klaskał. Ktoś nalewał sok pomarańczowy. Reportaż o golfie. Skinner zebrał swoje rzeczy i wyszedł.

Zza którychś czarnych szyb dochodził łomot muzyki. Przejechały dwie limuzyny z laserowo podświetlanym podwoziem a na przednim siedzeniu innego wozu siedziała Filipinka z ultrafioletową szminką. Odwrócił za nimi głowę i patrzył, jak skręcają za rogiem ulicy pełnej teatrów.

Po przejściu Times Square z północy na południe postanowił wybrać kierunek zachód-wschód. Zatrzymywał się przed barami i miejscami, które za nie wziął, cofał się, szedł znów do przodu, gapił się chwilę w witrynę kina porno, po czym ruszał, nie rozstając się z bagażem, który podskakiwał w takt marszu. Paski poskrzypywały jak siodło. Palił papierosa, którego od czasu do czasu zostawiał w ustach, żeby przytrzymać dłońmi zwinięty płaszcz, ciężący mu coraz bardziej.

Na Jedenastej Alei wyrzucił kiepa i wszedł do baru kanapkowego, gdzie krzesła stały do góry nogami na stołach, a Meksykanin szorował podłogę. Ani śladu jedzenia. Młoda kobieta z kręconymi włosami, w zielono-niebieskiej koszuli służbowej, ze złotym łańcuszkiem i kolczykami szperała pod ladą w stercie kubeczków i serwetek.

Zamknięte?

Wstała i zanim odpowiedziała Skinnerowi, skończyła notować na podkładce braki w zaopatrzeniu. Włosy miała zaczesane do tyłu, co nadawało jej wysokiemu czołu jajowaty kształt. Nad wąską talią widać było obfity biust, zakryty służbową koszulą.

Jest to, co widać, powiedziała, nic więcej już teraz nie zrobię.

Zna pani hotele w okolicy?

Jest ich kupa. Na przykład jaki?

Jakiś zwykły motel.

Wymieniła Marriott.

Czy to nie ten superwielki?

No, to może coś mniejszego.

Jasne.

Kazała mu zaczekać i poszła na zaplecze. Barczysty Meksykanin stanął z boku i przyglądał się, jak wychodzi.

Skinner usiadł, ściągnął włóczkową czapkę i podrapał się po głowie. W lustrach na ścianie widział swoje mokre ciemne włosy, tatuaż na karku i zapadnięte oczy, spoglądające na niego milionem odbić. Wyglądało, jakby sam siebie nie poznawał; przeniósł wzrok na inne rzeczy.

Wróciła ze stroną wyrwaną z książki telefonicznej.

To tam. Zadzwoń albo od razu tam idź. Pokazała na adres, który zakreśliła piórem kulkowym. Miała kobiece pismo. Brakowało tylko, żeby dopisała BUZIAKI i narysowała serce. To jak tam dojdę?

W dół i na drugą stronę – ustawiła dłonie pod kątem prostym.

No to dzięki. Oznaczało to dodatkowe dwa kilometry.

Nie ma sprawy.

Wiesz co, powiedział, tak sobie myślę, może mógłbym się jakoś odwdzięczyć? Mówił dalej, usiłując namówić dziewczynę na randkę. Jak skończysz pracę czy coś. Na luzie, tłumaczył. Bez zobowiązań, czaisz? Zasadniczo dobry ze mnie człowiek. Śledził zapadłymi oczyma reakcję na jej

twarży. Przyjechałem tu dosłownie godzinę temu. No dobra, dwie. Może pójdziemy na drinka i opowiesz mi o sobie.

Dzięki, ale nie.

Pewna jesteś? Wczoraj wyszedłem z wojska. Dosłownie dopiero co przyjechałem. Chcę tylko postawić ci drinka, żeby podziękować. Co ty na to? Serio, gadasz z porządnym człowiekiem.

Ja myślę.

No to czemu odmawiasz? Tylko pytam.

A ja tylko odpowiadam. Skoro masz, co chciałeś, to idź tam.

Kurde – pokręcił głową – nie chciałem się narzucać. Nie jestem z tych. Po prostu mam mętlik. Wiesz, nic w tym złego. A może bym kiedyś zadzwonił? Kiedy indziej, co? Poszlibyśmy się napić... Życie jest krótkie, chyba wiesz?

Nie ma takiej opcji. Zauważył, że Meksykanin przygląda mu się w lustrze.

Oj, daj spokój, zaśmiał się, pokazując zęby pokryte nikotynowym nalotem.

Dziękuję, nie.

Przeszedłem dwadzieścia kilometrów z tym wszystkim. Niedawno walczyłem za mój kraj.

Pewna jesteś?

Nie uśmiechała się.

Czemu nie? Coś ze mną nie tak?

Sam sobie odpowiedz na to pytanie. Nie moja broszka.

Auć, zabolalo. Naprawdę chodzi mi tylko o niewinną randkę.

Nie moja broszka. Nie chodzę na randki.

Okej.

Dostałeś odpowiedź. Pogódź się z nią.

Okej. Bez odbioru.

Według wyświetlacza nad bankiem była pierwsza w nocy i minus dziesięć stopni. Pił w barze, który miał się niebawem zamknąć. Szedł Broadwayem ze zmrużonymi oczyma. Wiatr unosił parę buchającą ze studzienek.

Pod neonową markizą teatru działał całodobowy McDonald. Skinner wmaszerował tam, trzaskając drzwiami, i cisnął płaszcz na podłogę. Damy radę. Jest ciepło. Grzbiety jego dłoni były mocno zaczerwienione. Podniósł zawiniątko z płaszczem na ladę i wbił wzrok w menu. Chuda kobieta z potarganymi włosami i wąskimi biodrami czekała, kołysząc stopą, aż zamówi. Wyjął kartę płatniczą. Z głośników leciało *Cherry Baby*. Rzucił swoje rzeczy przy stoliku, wrócił po tackę, usiadł i żarł brudnymi rękami. Wyciągnął nogi, beknął i sparzył język kawą. Frytki były zimne, zamoczył je w kawie i włożył do ust całą garść na raz.

Po posiłku odepchnął tackę i zaczął rozglądać się za swoim „Ironmanem”. Opuścił powieki i ponownie je uniosł. Wstał. Zebrawszy swoje manatki, minął kolejkę bezdomnych przy stolikach po drodze do łazienki i wysikał się do obsranego kibla.

Ktoś walnął w drzwi. Moment, zawołał.

Ściągnął kurtkę, bluzę z kapturem i koszulę, po czym położył wszystko na torbach. Pod ubraniami miał śmierzący, przepocony podkoszulek. Zdjął go, odsłaniając tors, i wyżył nad umywalką. Jego ciało pachniało metalicznie. Był opalony „na koszulkę”, ręce i kark miał zbrązowiałe. Jego klatka piersiowa była szarawobiała, a skóra pokryta pryszczami. Urządził sobie łaźnię polową w umywalce. Na przedramionach miał pionowe tatuaże. Przy użyciu ręczników papierowych umył się pod pachami. Na twarzy i dłoniach widniały na wpół zaleczone skaleczenia. Rozpiął dżinsy i wytarł się w dole. Podniósł mosznę i mrużąc oczy, przytrzymał między nogami gorący ręcznik. Grzybica krocza. Triceps zdobiły mu chińskie znaki.

Nad blizną na plecach miał wytatuowaną czaszkę i skrzydła śmierci rozpostarte na ramiona. Na karku była gwiazda upamiętniająca zaciągnięcie się, a na ramieniu flaga USA, pomysłana tak, żeby wyglądało, jakby przez cały czas miał na sobie mundur. Naciągnął skórę brzucha i napiął go, próbując

zobaczyć sześciopak. Podniósł ręce i wyeksponował bicepsy. Widać było chińskie znaki na tricepsie, a także jasnoróżową bliznę pod żebrami. Obrócił się i obejrzał w lustrze swoje plecy. Okolice blizny miały kolor, który w ogóle nie przypominał ciała. Wyglądał jak stopiona zabawka z plastiku.

Wziął się do roboty i zmienił koszulkę. Na nowej był napis „Army Strong”. W plecaku miał pistolet zawinięty w sprany zielony ręcznik wojskowy, beretkę kaliber dziewięć milimetrów, odwinął go i sprawdził. Wyjął magazynek, odciągnął zamek, zbadał palcem komorę, odbezpieczył, zwolnił spust, włożył magazynek z powrotem i wepchnął broń w głąb torby.

Ktoś walił w drzwi, ale Skinner ponownie to zlekceważył.

Znowu walenie.

Wyluzuj, powiedział.

Po powrocie do stolika rozsznurował buciory i zmienił skarpety, pocierając łuszczące się stopy. Muzyka nie grała. Słysząc było sprzątanie kuchni. Oparł głowę na rękach. Ktoś popukał w stolik pałką, jakiś człowiek w granatowej bluzie z nylonowymi łatami na łokciach i szewronami jak u sierżanta. Przy pasku miał kajdanki i coś, co mogło być smith & wessonem.

Skinner wyprostował się i westchnął.

Tylko mi nie mów, że nie znasz zasad, powiedział ochroniarz. Powinieneś znać zasady. Inni mogą nie znać, ale ty powinieneś.

Skinner spojrzał na niego, po czym odwrócił wzrok.

Wszędzie pełno włóczęgów. Jakiś koleś w czapeczce Metsów o trójkątnej, nieogolonej twarzy pewnie podszedł do zniewieściałego chłopaka w dzwonach i powiedział: Ej, laska, kopsnij ćwierć dolara.

Zegar na ścianie wskazywał coś koło trzeciej w nocy. Połowę światła pogaszono, jakby w trybie oszczędzania energii, a przez okna widać było czarno-bursztynową nawierzchnię ulicy. Przejechał samochód, tylko jeden, a poderwane śmieci poleciały za nim, wirując.

Znów wyjął czasopismo, ale czytanie mu nie szło.

O czwartej ochroniarze kazali wszystkim się zbierać. Cały McDonald stanął na równe nogi i skierował się ku drzwiom w żywych kolumnach śmierdzących szczykami i brudem. Pozbierał swoje rzeczy i wylazł razem z resztą. Tak bardzo musiał się odlać, że aż go to rozbudziło. Wiatr porwał stronę gazety z rynsztoka i przykleił mu ją do łydki. Usłyszał, jak ktoś, może ochroniarz, mówi, że na ulicy jest otwarty inny lokal. Niebo było czarne; stojąc na rogu w świetle wypełnionym drobinkami srebrnego pyłu, można było odnieść surrealistyczne wrażenie, że milczące budynki to górskie szczyty.

Nikt inny z nim nie poszedł. Może zeszli do podziemnej stacji metra albo czekali na ulicy. Ale on znalazł kolejny McDonald, którego drzwi otworzyły się pod naciskiem jego rąk, a gdy je zamknął, poczuł ciepło. Zrzucił bagaż. W męskim akurat sprząkali, więc skorzystał z damskiego, gdzie opróżnił pęcherz, oddając niekończący się strumień cuchnącego moczu. Kupił kolejną kawę, pociągnął przez dziurkę w plastikowej pokrywie i poparzył sobie język. Latynos ze złamanym nosem i wytatuowanymi przedramionami mył podłogę, kołyszając się na boki. Dostęp do schodów na piętro zagradzał łańcuch, a Skinner był jedynym klientem.

Myślisz, że mógłbym się walnąć na górze?

Właż, powiedział facet. Zdjął łańcuch i zabrał go na piętro. Pieprznij tu swoje graty. Siedź se nawet do dziewiątej. Będziesz miał miejscówkę tylko dla siebie.

Zajebicie. Dzięki, koleś. Wyrokowiec się zmył, a Skinner ułożył swoje rzeczy w stosik na podłodze i wyciągnął się na ławce.

Po przybyciu do okręgu portowego próbowała nie spać całą noc, żeby nie zauważyła jej policja. Usiadła na ziemi i oparła głowę na rękach, skulona przy bucującym automacie z napojami. Policja patrolowała okolicę, słyszała krótkofalówki, więc wstała i poszła. W łazience na podłodze leżała rozwinięta rolka papieru toaletowego, a jakaś czarna kobieta objijająca się o ściany wcierała mydło w płyńnię w ręce i nogi, jakby to był balsam. Zou Lei weszła do tunelu metra i trafiła na pustą stację. Pociąg przyjechał, wsiadła i zajęła miejsce na końcu wagonu, kurczowo ściskając reklamówkę z ubraniami.

O drugiej rano otaczali ją tylko czarni lub Meksykanie, sami mężczyźni, rozkraczeni na siedzeniach, śpiący z otwartymi ustami. Otworzyły się drzwi między przedziałami i do środka wtoczyła się chwiejna kolumna facetów ryczących na całe gardło. Mieli nisko opuszczone dżinsy, podwinięte przy kostkach, chustki na głowach, a z kieszeni zwisały im bandanki.

Skrzyżowała ręce na piersi i patrzyła przed siebie, śledząc migające światła.

Raz za razem przysypiała, obsuwała się, próbowała podtrzymywać brodę rękami. Kiedy się obudziła, torba spadła jej z kolan i wysypały się z niej jej rzeczy. Pozbierała je i z powrotem wepchnęła do środka, kiedy pociąg mknął tunelem.

Podczas jazdy odcinkami naziemnymi obserwowała świt, wieże ciśnień wyrastające na tle granatowego nieba. Na twarzy miała podciskane ubrania, których próbowała używać jako poduszki. Robotnicy budowlani w zakurzonych butach i dżinsach zaczynali pracę. Usiadła prosto, założyła nogę na nogę, a głowa leciała jej w dół, kiedy pociąg ruszał. Ludzie zaczęli rozmawiać. Wstała, żeby przyjrzeć się mapie, utrzymywała równowagę, opierając się na kimś obok. Przesunęła palcem wzdłuż kolorowej linii pod plastikiem.

Czy to Chinatown?

Jakaś Salwadorka w białej bejsbolówce i złotych kolczykach, której adidasy ledwo sięgały ziemi, zdjęła słuchawki i zapytała: *Qué? Sí.*

Zou Lei na powrót usiadła. Wyjęła z torby grzebień i przeczesła nim włosy, po czym związała je w kucyk. Z drugiej strony wagonu przyglądał jej się mężczyzna w kombinezonie, ale zaraz znów zamknął oczy.

Wysiadła na stacji z przepelnionymi metalowymi kubłami na śmieci. Kiedy pociąg odjechał, usłyszała dźwięk napoju wylewanego na beton. Zobaczyła kogoś w kilku płaszczach na sobie, ale bez butów, grzebiącego w śmieciach i wybierającego butelki.

Po obu stronach ulicy stały śmietniki. Minęła miejski ośrodek leczenia bólu z oblażącymi z farby ławkami od frontu. Przecznice dalej zobaczyła Manhattan Bridge przechodzący nad mieszkaniem w chmurę jak z suchego lodu wrzuconego do wrzątku. Pod spodem były sznury na bieliznę i schody pożarowe pokryte uliczną kaligrafią, a z dachów spływały graffiti.

Weszła do kawiarni, stanęła z boku z reklamówką w rękach i patrzyła, jak przygotowują kawę, dolewając zagęszczonego mleka. Macie gazetę? Nie tutaj, padła odpowiedź. Metro zadudniło po moście nad ich głowami. To była bardzo mała kawiarnia. Ktoś popchnął ją, wyciągając banknot dolarowy. Gdzie najlepiej szukać pracy? Założyli pokrywkę i podali kubek przez ladę. Na zewnątrz, usłyszała. Najlepiej na zewnątrz.

O blachę na zimnej ulicy uderzył łańcuch. Otwierano zamki, podnoszono stalowe rolety, rozstawiano stoiska. Chodziła od drzwi do drzwi wzdłuż sklepów z kaczkami smażonymi w cukrze na hakach za zatłuszczonymi szybami i pielgrzymowała do stoisk z kasą, by zapytać, czy nie potrzebują kogoś do pracy.

Czasem szefem był mężczyzna stojący tuż obok osoby, do której mówiła, ale nie odezwał się, dopóki nie zapytała wprost: To pan tu rządzi?

Nikogo nie potrzebujemy, ale sprawdź w gazecie.

Na Wschodnim Broadwayu stał owiany złą sławą budynek, gdzie można było się przespać za

dziesięć dolarów, jeśli znało się numer. Wybrała przyciski na domofonie – bez rezultatu. Zerknęła do środka przez szybę za częściowo zdrapanym ogłoszeniem i czekała, aż coś się stanie. Kołysała się na palcach i poklepywała po rękach i udach przez tkaninę, twarz miała poczerwieniałą. Stojący za nią autobus odjechał i odsłonił rozkład Nowy Jork–Wirginia po drugiej stronie ulicy. Patrzyła na niego i myślała.

W podziemiu, dokąd zeszła, żeby się ogrzać, usłyszała głuchy brzęk, a głębiej w korytarzu, który pachniał piwem, odkryła podziemną górę aluminium i tłuczonego szkła – skupowano je od ludzi znajdujących się na ulicy.

Przeczytała odręcznie napisaną kartkę przyklejoną do sygnalizatora, ponacinaną na dole, żeby można było sobie oderwać powielony numer telefonu.

O zmroku zobaczyła otwarty płomień na chodniku i starą kobietę w pikowanej kurtce, która szczypcami wrzucała w ogień fałszywe banknoty – ofiarę dla duchów.

Drugiego dnia po wyjściu z więzienia, we wczesny piątkowy poranek, dotarła w poszukiwaniu pracy aż do Imperial Dragon Kitchen na South Jamaica – szerokiej, pustej alei, po której walały się ubrania. Na świątlach siedziały gołębie. Zmarznięta od długiego czekania, obejmowała się rękami, uderzała po nogach i chuchała w dłonie.

Przyglądało się jej trzech mężczyzn w chustkach na głowie.

Ulica pachniała nawilżanymi chusteczkami i olejkiem do włosów. Gołębie okazały się mewami. Pierwsza strona „Sing Tao” była niebieskim kwadratem. Wyglądał jak niebo nad zachodnimi Chinami, był w tym samym kolorze co znak nad ujgurską restauracją z soczysto zielonym szyldem, na którym widniały wół i złote arabskie litery. Wyglądał jak dzisiejsze niebo w Nowym Jorku.

Patrzyła, jak zdejmują kłódki i podnoszą rolety, po czym zeszła z zimowego słońca i weszła do restauracji z pochyloną głową. Na środku podłogi leżał szczur.

Jeszcze zamknięte. Mówiący miał czarne buty z tworzywa i trądzik.

Ja w sprawie pracy.

Jakiej pracy?

Tej z gazety.

Do środka wepchnęły się dwie kobiety z drugim śniadaniem w reklamówkach, narzekając na zimno, i zniknęły za ladą, na której stała figurka kota z uniesioną łapką.

Napisane, że trzeba przyjść osobiście.

Przeczytał, dłubiąc w nosie. Z krosty na jego brodzie wyrastał długi włos. Wyjął z nozdrza mały palec z dłuższym paznokciem, spojrział na to, co wyciągnął, strząsnął, ale się kleiło, więc położył paznokieć na ogłoszeniu i wytarł go o nie. Tutaj, powiedział. Numer. Dzwonić na ten numer.

Zadzwoiła, odebrał automat, zaczęła grać muzyczka, więc przechadzała się w bladym zimowym słońcu, nie zatrzymując się nawet przy wejściu do metra. Przeciwnie, przyspieszyła, przeszła pod wiaduktem, a potem przez ulicę z pasem zieleni i maszerowała na północ według słońca. Minęła wszystkie miejsca, w których można dostać kawę i sajgonki, i kontynuowała, aż skończyły się sklepy i ludzie i zostały tylko wieżowce oraz niebo. Szła żwawo, kołysząc reklamówką z ubraniami. Wyprzedził ją autobus, do którego nie wsiadła. Chodziła tak do popołudnia, wałęsając się wzdłuż budynków z balustradami połączonymi jakby w jedną wielką ścianę fortecy. Graffiti ciągnęło się kilometrami. „Stigz”. „Luni”. „Blib”. „Crew”. „Opony i koła”. „Audiotronic”. Po przeciwnej stronie płotu wstał pies i podążał za nią jak cień, aż dotarł do końca ogrodzenia, a ona powędrowała dalej.

Zmienił się jej cień, zmieniło graffiti. Przeszła przez Metropolitan Avenue i hałaśliwe przejście podziemne. Kiedy znalazła kolejną drogę na północ, samolot przeleciał nad nią jak sokół wyprowadzający bębniącą dziewczynkę z pustyni. Słońce czaiło się za jej drugim ramieniem, padało tylko na połowę ulicy. Wyczuwała las za domami. W oknach były kwiaty, połamane żaluzje, flaga Portoryko, kamienna figurka świętego w przeszklonej kapliczce w którymś ogrodzie. Na jednym z garaży wisiał plakat „Tito Swing a la Semana”.

Na Sto Dziesiątej Ulicy ktoś zawołał *Chinita* i posłał jej całusy. Był wieczór, grała muzyka.

Weszła do lokalu z pizzą z odręcną kartką na drzwiach wejściowych: „Baño sólo para clientes”[2]. Za ladą jeden z niskich mężczyzn z wydatną klatką piersiową i czapeczką daszkiem na bok, wyrabiający ciasto, spytał, czy jest jej *frío*, zimno.

Zmęczona, powiedziała. Ja bardzo zmęczona.

Oparła łokcie na szybie i spojrzała na dłonie, którymi sypał mąkę na ciasto.

Por qué?

Wiesz, gdzie jest Jamaica? Szłam stamtąd, bardzo daleko.

Nie, powiedział, za daleko. Nie zrobiła tego.

Ja iść bardzo daleko.

Naprawdę? – zapytał po hiszpańsku.

Tak. Nie kłamię.

No, może, zgodził się.

Przedtem ja w więzieniu.

Jej wygląd sprawił, że w to akurat uwierzył – miał przed sobą niską kobietę w dżinsach, bez czapki, z reklamówką w garści.

Pozwolili jej skorzystać z toalety. Okej, *mamacita*, powiedział. Odkręciła ciepłą wodę nad umywalką, umyła dłonie mydłem kokosowym i wytarła papierowym ręcznikiem. Zamknęła oczy. Były tam plastikowe kwiaty. Miłe pomieszczenko. A obok wąska knajpka i pizza dochodząca w piecach.

Przez telefon jakiś mężczyzna kazał jej przyjechać do Queens. Zdrobniale określił je jako Queensie. Podjechał po nią na stację na Roosevelt Avenue z widokiem na blokowiska, zajezdnię kolejową oraz stadiony i żurawie po drugiej stronie rzeki. Popędzili bulwarem mniej więcej równoległym do niej. W minivanie było jej ciepło. Nie wyspała się i bolała ją głowa. Patrzyła na magazyny budowlane przemykające za oknem i myślała, żeby zasnąć.

Gdy skręcili w boczną uliczkę, wyprostowała się. On był grubym, potężnym mężczyzną w drogiej parce, brzuchem dotykał kierownicy, kiedy skręcał i przyśpieszał, mijając pędem ściany i podwórka całe w graffiti. Zwalniając przy placu budowy, powiedział: Budują. Sięgnęła po torbę, ale on powstrzymał ją gestem dużej, miękkiej dłoni, prawie jej nie dotykając. Nie. Jeszcze nie. Zwolnił ponownie. Budują. Wszystko nowe. Były tam podniszczone deski i rusztowania. Może kupię. Może to inwestycja w nieruchomości. Upierał się, żeby mówić z nią po angielsku, miękkim, delikatnym głosem, który u siebie, w domu, określiłaby jako słodki – zastanawiała się, czy kierowca nie jest z Tajwanu.

Zaparkowali w alei niedaleko drogi szybkiego ruchu, otoczonej wyblakłymi ścianami z cegły. Wygramoliła się z samochodu i stanęła na zimnie z założonymi rękami, a wiatr zdmuchiwał jej strąki nieumytych włosów na znużoną twarz. Czekala z torbą na ramieniu, a on szukał kluczy. Zobaczyła czyjeś pranie wywieszane przez okno. Otworzył odrapane drzwi i wprowadził ją do środka, schodami w górę, przez ciasne przejście cuchnące papierosami i zalane ostrym światłem padającym pod kątem. Nikogo nie ma w domu, powiedział. Usłyszała martwą ciszę, odbijającą się echem od desek i boazerii, oraz jego oddech, przyśpieszony od wysiłku. Byli sami, odsunęła się, aby go przepuścić. Na pierwszym piętrze lawirowali między kłapkami pod prysznic i plastikowymi sandałami. Było to standardowe nielegalne mieszkanie podzielone na klitki, po osiem lub więcej osób w każdej. Pierwsza buda zrobiona była z półki na buty, sklejki i przeźroczystej folii. Prowizoryczne drzwi były zamknięte na łańcuch rowerowy. Przez plastik zobaczyła czyjś materac. Przyłożyła oko i wzrokiem wyłowiła puszkę kirin afternoon tea.

Kuchenka była we wnęce. Mężczyzna w parce całkowicie wypełniał przestrzeń, obracał się w miejscu i patrzył na różne rzeczy, żeby ona też na nie spojrzała: na niedomkniętą szafkę, na zamrażnięte graty. Nie było widać ścian, tylko pudła z kartonu i worki na śmieci wypchane szmatami i ubraniami. Grzyby pływające w woku.

Lodówka, powiedział. Próbuując ją otworzyć, uderzył się w nogę. Zlew, wskazał. Wszystko do kompletu. Odkręcił kran, włożył paluchy pod wodę i potarł je, jakby dotykał jedwabiu. Spojrzał na nią. Podniósł palce do ust i spróbował wody, starł ją z warg, pochylił się i napił prosto z kranu; podniósł się

z wypełnionymi policzkami, wypluł do zlewu, osuszył usta i otrząsnął palce.

Woda, powiedział. Ciepła, zimna, do wyboru, do koloru.

Łazienka – pokazał. Pranie ociekało w korytarzu.

Podszedł do niej z szelestem ramion pocierających o boki parki i cofnął się. Proszę bardzo. Odsunął przepierzenie, którego nie zauważyła, i wskazał na poczerniałą materac.

Jest chyba wszystko. Zerknij. Masz okno. Wcisnął się do środka i pociągnął za sznurek przy gołej żarówce, by pokazać, że światło włącza się i wyłącza, pociągnął roletę, a ta poszła do góry. Zobaczyła szare domy przycupnięte na zboczu za oknem, sznury na bieliznę, anteny i gałęzie. Ściany jej boksu zrobiono z dyktowych barierek budowlanych. W pseudodrzwiach brakowało zamka.

Materac jest przybrudzony. Połóż sobie może prześcieradło. Obróć go. Latem włącz sobie wiatrak. Chyba nie potrzeba ci wiele. To akurat dla ciebie. Nie masz męża, stwierdził z uśmiechem. Nie masz dziecka.

Czekał na nią nad popsutym materacem.

Potrząsnęła głową z wejścia.

Jest dobrze, zapewniła.

Sięgnęła do ciasnej kieszeni i wymacała pieniądze.

Daj klucz.

Kiedy usłyszała w dole trzask zamykanych drzwi, weszła do swojej budy i usiadła na materacu, myśląc, że wreszcie zaśnie. Zdjęła adidas i skarpetki. Położyła się na boku, a jedna z zardzewiałych sprężyn sterczących z płótna przebiła jej dzinsy. Przesunęła się. Uklękła i starannie oddzielając od siebie banknoty lśniącymi, stwardniałymi palcami, aby upewnić się, że nic nie pominęła, sprawdziła, ile jej zostało pieniędzy. Liczyła, poruszając ustami. Wytrząsnęła z torby ogłoszenia, rozłożyła je i skupiła się na ich treści.

Wróciła na Roosevelt Avenue i szybkim krokiem, z założonymi rękami, przygarbiona poszła na skrzyżowanie, gdzie było metro. Ludzie wylewali się z podziemia. Przed Dunkin' Donuts zobaczyła Pakistankę z dziećmi. Zaraz zniknęli jej z oczu. Tłum ją wypchnął. Zaczęła się poruszać z falą, zerkając nad głowami ludzi, i stwierdziła, że kierują się do Chinatown, gęstwiny pionowych znaków, żagli sampanów i nadmiaru dziadowskich, nieczytelnych szyldów wśród monotonnej muzyki. Zero angielskiego. Głośniki, dedykacje i banery z Psem Roku. Masa głosów dookoła, wołają i wołają. Tutaj, tutaj, tu, chodź i sprawdź! Ktoś spluwa na ulicę. Inni wrzeszczą i biegają obok niej, popychają i zagadują, łapią za rękaw kurtki. Wciskają jej w rękę ulotki, a ona je upuszcza. Z brakującymi zębami wyglądają na starszych, niż są. Nielegalni z wdowich wiosek. Mycie ciała, masaż stóp, tajski prysznic, autobus do Atlantic City. Po zmroku jarzy się neon Karaoke TV. Widziała niekończące się sznury nieznanymi, krótko ostrzyżonych robotników, wyciągających z paki vana skrzynki rzepaku. Drepczące stopy w adidasach, butach roboczych, kobiety na szpilkach. Kanciaste twarze mężczyzn palących golden crane'y, ubranych w gore-tex i wojskowe ciuchy z lumpeksu. Czarnowłose kobiety w czarnych skórzanych kurtkach, czarne torebki, lwie grzywy natapirowanych włosów, pomarańczowe pasemka i rozdwojone końcówki. Twarze pobielone wywoływaczem fotograficznym. Zapach wiader pełnych ryb. Przepychanka przy wagach. Daj pan pół kilo. Daj dwa w cenie jednego. Daj trzy. Trochę uczciwości.

Tłum był jak rzeka, którą dziewczyny płynęły niczym barwne łódki. Matki przyglądały się pomarańczom na straganach. Dziewczyny udawały, że są grzeczne. Musiały tylko dać matkom gadać. Patrzyły na to, co działo się na ulicy. Należały do innego społeczeństwa. Zou zobaczyła Chinkę bez towarzystwa, ze strupem na uchu i z implantami piersi, o poczerwieniałej, tłustej cerze ćpunka.

Tłum wparował do przejścia pod torami. Bilbordy ostrzegające przed zapaleniem wątroby. Wysocy Afrykanie ubrani na czarno-niebiesko sprzedawali coś na ulicy, gestykułując. Z winy sprzedawców przejście było wąskie. Na grillu zasyczała kostka galaretki z kałamarnicy. Poczula zapach węgla. Szaszłyk z kurczaka za dolara. Ale nie wolno ci nic kupić, dopóki nie znajdziesz pracy, powiedziała sobie. W tłumie zobaczyła twarz jakiegoś Amerykanina, miał warkoczyki plecione ciasno przy skórze, rozglądał się na boki, prześlizgiwał przez tłum, oglądając się na nią. Zaraz skierował się na jedno z osiedli, które były tam przed tymi wszystkimi Azjatami, takimi jak ona, ludźmi z łodzi i ludźmi ze wsi, ze złotymi zębami, przed tymi, którzy wyrosli w komunizmie, którzy wzięli pożyczki i coś zbudowali. Mokre worki ze śmieciami piętrzyły się wzdłuż krawężników, tworząc kanał, którym przepływał tłum. Za wiele bodźców, zauważała tylko drobiazgi. Czyjeś uczesanie, czarnego irokeza na brązowej podgolonej skórze, a potem twarz, miała pewność, musiał być z Meksyku i zajmował się dostawami dla mężczyzny z jadeitową bransoletką, który znał hiszpański na tyle, żeby wytłumaczyć, czego mu potrzeba. Mijała kaczki na metalowych hakach za zatłuszczonymi witrynami knajp, gdzie chciała poszukać pracy. Tu wszyscy byli jak ona, a do tego ani śladu policji.

Znalazła się w Nowym Jorku nie bez powodu. Nie da się więcej aresztować. Będzie przebywać z samymi nielegalnymi, takimi jak ona, gubiąc się w tłumie i schylając głowę. Trzeba zapomnieć o amerykańskim stylu życia. Wystarczy być wolnym i chodzić po ulicy. Wołała już przekręty, gruźlicę, przeludnienie. Wiedziała, jak sobie poradzić. Wypatrywała tajniaków. W gazetach roiło się od historii o deportacjach, bezprawnym zatrzymaniu, znęcaniu się nad więźniami. Mówili, że taksówkarz syryjskiego pochodzenia z Morristown jest przetrzymywany w miejskim areszcie na Brooklynie. Federalne Biuro Więziennictwa miało spis zatrzymanych, ale nie wszyscy aresztowani byli na liście. Prawnik wynajęty przez rodzinę stwierdził, że człowiek nie może tak po prostu zniknąć.

Zou Lei przestała czytać i zaczęła robić przysiady.

Będę szybka, pomyślała. Nigdy mnie nie dopadną.

Potrzebowała tylko coś zarobić. Opłacić czynsz. Zjeść szisz kebab.

Świeże powietrze było za darmo.

Co chcesz? – spytała po angielsku dziewczyna w McDonalddie. Nie gadam po mandońsku.

Wrzątek. Nie herbatę, samą wodę.

Ze co?

Czego ona chce? – zapytał chłopak w daszku na głowie.

Nic takiego, już łapię. Dziewczyna wyciągnęła dłoń z hakami w postaci akrylowych tipsów, napełniła styropianowy kubek i nałożyła pokrywkę.

Zou Lei wzięła kubek do ręki i przesunęła nim po ladzie.

Dostanę łyżeczkę?

Dziewczyna dała jej plastikową łyżeczkę.

Dolar dziewiętnaście.

Dziękuję.

Nie, dolar dziewiętnaście.

Dziękuję. Zou Lei cofnęła się, trzymając kubek.

Podszedł chłopak, któremu znad daszka sterczały nażelowane włosy. Co jest?

Wzięła wodę, pewnie żeby zaparzyć herbatę. A teraz nie chce... nieważne.

Anuluj, powiedział chłopak. Anuluj, anuluj.

Dostała pracę na Main Street, w podziemnym punkcie gastronomicznym zakamufLOWANYM jako

sklep „wszystko za 99 centów”, ukrytym w gęstwinie chińskich szyldów. Nikt by go nie zauważył, chyba że wiedziałby, czego szukać. Zou Lei biegła w swoich ciasnych džinsach od jednej minikuchni do drugiej, prosząc o zatrudnienie.

Jakaś kobieta zapytała, czy Zou wie, na czym polega ta praca. Umiesz zrobić ten makaron? Znasz się na tym smaku? Sprzedana miska to jeden dolar. Nikt nie kupuje drogo, nikt nie ma pieniędzy. Jak ja nie zarobię, to jak ci zapłacę? Nic nie zarobisz na pracy tutaj. Ty pomoc kuchenna, wyciągasz to i wyrzucasz śmieci. Nie używamy mięsa. Strata pieniędzy. Wszystko warzywa, na przykład dynia. Nie taka, jak mają w domu. Klientowi wszystko jedno, mnie też wszystko jedno. Płaci dolara, wie, że nie będzie nic specjalnego. Szybko zjeść, i do widzenia. Obchodzi go tylko, że za dolara. Gotujemy po południowemu, makaron cienki jak włos – widzisz, taki. Za stówę mam piętnaście paczek, dobrze na Brooklynie. Zanim sprzedam, może za trzy razy tyle, prawie nic nie zarobię. Jak tanio pracujesz?

Szefowa nosiła bejsbolówkę, była niższa od Zou Lei, a gdy mówiła, jej usta miały kształt „O”, tyle że z wystającymi zębami. Uczyla się interes nad Mekongiem. Pomiędzy klientami przecierała ścierką ladę, a kobieta udawała, że jej nie zauważa. Nosiła złoty wisiołek, a do rozmowy przez telefon miała słuchawkę bezprzewodową. Jedenaście godzin później, kiedy zakręcono butlę z propanem i płomień zgasł, Zou Lei zapytała: Mam przyjść jutro?

Możesz, odparła kobieta.

Podczas dostawy powiedziała do Zou Lei: Patrz, pokażę ci – i wskazała chochlą na miejsce u szczytu schodów, gdzie jakiś mężczyzna zostawił skrzynki z logo Goodyear Farms. Zou Lei znosiła po dwie na raz i ustawiała za ladą. Kiedy się zsuwały, przytrzymała je kolanem i poprawiła ze sztucznym uśmiechem. Wróciła na schody i zaraz pojawiła się z powrotem między filarami, robiąc szybkie kroki i uginając się pod ciężarem wiadra, z jedną ręką wyciągniętą na bok, a drugą sztywno w dół. Cienki uchwyt wpijał jej się w palce. W połowie drogi postawiła wiadro na gumowej macie z dziurkami, żeby woda mogła spłynąć, i poruszała dłonią. Coś walnęło o plastik. Obeszła wiadro, chwyciła je drugą ręką i przyniosła na miejsce. Szefowa zdjęła pokrywkę i pacnęła chochlą w żaby.

Patrz, jeszcze żywe.

W czasie przerwy Zou Lei chodziła na górę i patrzyła na towary w pojemnikach, a sprzedawcy rozmawiali we własnych dialektach. Urywki ich słów docierały do jej uszu i układały się w coś półsensownego. W telewizorze zobaczyła postać w džinsowej kurtce, z kucykiem – to była ona. Sprzedawali radia na baterie z różowo-niebieskim napisem „Happy Sound” na opakowaniu. Praktyczne, chwalili sprzedawcy. I tanie. I możesz nauczyć się z tym angielskiego. Kiedy indziej wychodziła na ulicę, żeby porobić wypadu na świeżym powietrzu pod schodami pożarowymi. Nastolatki z cienkimi warkoczami próbowali wtedy zwrócić jej uwagę, a gdy to nie pomagało, wyśmiewali się z niej, mówiąc w dialekcie z Fujian: Masz taką wielką dupę, żeby ciaśniej było posuwać.

Później wypróbowała inne drzwi i wylądowała wśród instalacji technicznych budynku, między piwnicą a poziomem ulicy, gdzie miała nadzieję pobyć sama.

Mekong to na południu, opowiadała szefowa. Ja mieszkam po chińskiej stronie. Ja mieszkam w Ameryce Południowej, Ekwador – ja wszystko widzę. Oni mają tam wojnę. Ja robię pieniądze na wojnie, na wojnie lepiej, lepiej niż tu. Bo ludzie chcą kupować DVD, chcą zapomnieć o swoim życiu.

Zniszczonymi dłońmi Zou wkładała żaby do garnka i włączała gaz. Udeptywała kartony i układała do wyrzucenia. Zapewniam ci posiłek dziennie, oznajmiła szefowa. Kiedy Zou Lei dostała wypłatę, zrobiła pranie i nazajutrz przyszła do pracy z warkoczem chleba smażonego na oleju i gorącym mlekiem do picia. Interesy to żart, powiedziała kobieta. Włączyły kantońskie radio. Zou Lei zabrała w nocy do domu paczki z przyprawami.

W czasie przerwy stanęła pod ścianą na rękach i próbowała zrobić pionową pompkę, choćby kilka centymetrów. Najpierw wyjęła telefon, który wysuwał się jej z kieszeni, i położyła go na schodach, po czym wróciła pod ścianę i odbiła się od ziemi do pozycji stojącej do góry nogami. Zleciała jej czapka, a koszula opadła do pach, odslaniając napięty, płaski brzuch. Opadła stopami na ziemię, przykucnęła, otrzepała dłonie i spróbowała ponownie.

Kiedyś postanowiła przebiec się parę przecznic – ale tych właściwie nie było. Otoczenie składało się z różnych poziomów. Ściany i płoty. Szło się ulicą, a ona nagle się zamykała, odcinała idącego, ujawniając podwórka i boczne alejki pokryte słomą w zmarzniętym błocie. Wypływały cegły budynków szarzały, aż zamieniały się w pumeks. Deski i barieryki budowlane w alejkach były szare i podniszczone, bezlistne krzewy były zszarzałe, suche jak łupiny, piętrzyły się pod oknami jak zardzewiałe płoty z siatki. Z bocznej uliczki widać było stary mur, drzewo na murze, początek następnej kondygnacji, budynek, jedno z nowych mieszkań z fundamentami na poziomie oczu. Można się było wspiać. Domy i ściany były jak schody. To było zbocze góry poznaczone tarasami, labirynt pod kątem.

Brudne białe domy wciskały się między inne budynki, na drzwiach widniały czerwone życzenia z okazji niedawnego chińskiego Nowego Roku. Na deskach rozdzielczych caravanów i questów stały figurki Buddy. Bezustannie widać było rozwieszane pranie. To z nich składały się osiedla. Rośliny coraz większych rozmiarów, drobne wzorki, kot na pieniądze, liny z plecionych reklamówek, rozpięte między słupami, ustrojstwo nigdy niepoznanego przeznaczenia.

W zrujnowanej alejce czuć było pieniądze palone w ofierze dla duchów. Gdzieś stała kradziona corolla. Jeśli w środku była dziewczyna, samochód podskakiwał. Z tyłu, gdzie odpadała rdza, a kraty osmały się na cegłach, wszystko było zadbane: układ desek i wiader po farbie, precyzyjna piramidka. Czasem można było usłyszeć głosy dochodzące z okna, mówiły... Co mówiły w dialekcie z Zhejiang?

Wracający do domu robotnicy mogli być wyczerpani lub wyglądając zawadiacko z papierosem zwisającym z kącika ust i rękami umazanymi farbą. Rozmawiali przez komórki, czekali w furgonetkach z pomarańczowym przedłużaczem zwiniętym z tyłu. Samochód kopcił z wydechu na jałowym biegu, a oni pili kawę, w pięciu lub sześciu kuzynów, kawalerów o jednym nazwisku.

Wieczorem wracali do mieszkania, jedli późny posiłek na wynos, a ona słyszała, jak nastawiają zasilane bateriami radio na Głos Chin Kontynentalnych, gdzie mówiono we wspólnym języku. Śpiewali ballady. Księżyc jest kołem, księżyc jest kołem. Oprócz Chińczyków byli też Gwatemalczyki i Honduranie oraz inni z Ameryki Środkowej, którzy zostawili za sobą tak zwane problemy w kraju. Bywali tu i tam, tu – żeby pracować wzdłuż szosy, w okolicach gigantycznego modelu kuli ziemskiej w Flushing Meadows–Corona Park i przy stadionach na drugim brzegu rzeki. Szczególnie na Coronie – z wyjątkiem samego środka, który kontrolowali Włosi. Wiedziała, że latem zobaczy w parku spalonych na węgiel bezdomnych Salwadorczyków grających w piłkę puszką od piwa niedaleko ich wózka sklepowego, stojącego pod drzewem jak pasący się koń ozdobiony proporcami ich koszulek. Gdzieniegdzie widywała też Chińczyków w dżinsowych spodniach i kurtkach – wracali z domu cali w tynku – i tego zżarane go dzwaka w labiryncie zaułków.

Byli też ludzie z Indii pracujący w biurach obsługi klienta i w informatyce. Mieli szereg punktów przy głównej arterii: wypożyczalnie wideo, zakłady fryzjerskie, pendzabskie spożywczyki. Neony, ganki na piętrze i talerze satelitarne. Pakistańczycy mieszkali nad swoimi sklepami po drugiej stronie Cherry, obok sfatygowanych markiz Małego Kabulu.

Przy następnej przecznicy – przy tym podwórku z kotami i zrakowaciałymi drzewami, które wyglądały jak ugotowane, ostudzone i zastygłe – można było zbłądzić we Franklin Avenue. Były tam wysokie bramy, takie jak na podjazdach dla ciężarówek. Na tyłach budynku zaśmiecona szopa i podziurawione amerykańskie flagi. Każdy segment miał stalowe drzwi pomalowane na białoczerwono-niebiesko, jak pasta do zębów. Napis sprejem na nich głosił: „Świrus”. Na fundamentach sięgających do ramion – „Wreck, Remy, Slugz '92”. Graffiti było wyblakłe. Azjaci mieszkali w niskich budynkach, ktoś niedawno nabazgrał „Morderstwo”, ale gdzie się podziała alejka? Można było się wspiać i zajrzeć w niestrzeżone niskie okna na parterze, mało kto miałby jednak ochotę.

Ulice te miały coś, co niektórzy zwali kulturą, jeszcze sprzed czasów Azjatów. Franklin, nie odchodź, mówili. Ciągnęło się to od Hillcrest aż do Woodside i Sutphin. Byli tam Hiszpanie, czarni i Irlandczycy z ogolonymi głowami, tacy, co się z tobą ciągle porównują. Można było tak dotrzeć aż do Rockaways, do South Suicide Queens. Panował tam duch ulicy, niesławne imprezy w blokach, głębina pięciu dzielnic.

Stąd autobus sunął w dół i otwierało się pole, cmentarz – jakby szeroki cień. Widać było kobiety

w czarnych burkach czekające na przystanku, niechętnie odzywające się do nieznajomych. Albo nie czekały, brały wszystkie swoje manatki i z dziewczynkami – również w burkach – szły piechotą, pchając wózek na zakupy z dziesięciokilowym workiem ryżu jaśminowego w środku. Były objęte pomocą społeczną, miały azyl. Każdy widoczny kawałek ich skóry – wokół oczu, na dłoniach – był pociemniały od płonącego pola naftowego.

Pole było o wiele rozleglejsze, niż można było przypuszczać. Czują nadchodzący zimowy świt, biegła i biegła pod drzewami, mijając rowy, miejsca, gdzie ziemia była wyżłobiona przez opony koparek Bobcat; szara grudkowata ziemia przyskała jej spod stóp, a za drzewami czały się domy. Przed nią jednak był tylko dystans. Przebiegła ulicę, park ciągnął się dalej. W miarę upływu czasu w niebie zaszła przemiana: brzask. Wreszcie zatrzymała się w rogu boiska bejsbolowego, niespecjalnie bliżej wieżowców mieszkalnych, które niczym góry wyrosły na horyzoncie, wywierając na niej takie samo wrażenie, jakie znała z dzieciństwa. Jej dres był przepocony, zaczęła biec z powrotem, ze słońcem za plecami. W ogrodach botanicznych Chińczycy ćwiczyli tai-chi.

[2] Hiszp. „łazienka tylko dla klientów”.

Wstrząsnął nim dreszcz. Jęknął. Ławka była śliska. Poruszył nogami w brudnych dżinsach. Skarpetka mu się zsuwała, jego ciało w kamuflażu z amerykańską flagą i rzeczy leżały w nieładzie.

Mózg już się włączył, ale Skinner jeszcze się nie rozbudził. Szybę rozświetlało białe słońce, wdzierало mu się pod powieki. Panował straszny upał. Jechali samochodem, a on patrzył, jak droga umyka spod kół. Metal był gorący w dotyku. Panował hałas, czuł wibrację, która wypełniała mu uszy i otaczała go jak spiekota. Na brzydkiej pustyni przesuwały się palmy.

Przyglądał się poboczu, które podskakiwało w celowniku, tak jak biedni spaleni słońcem ludzie ze zwierzętami, kozami, białymi kózkami, namiotami i wszystkim, co tylko mieli na sprzedaż, chlebem, pamiątkami, haszyszem... po czym nagle pustka – płaska jak stół.

We śnie widział, co się stanie. Kiedy po raz pierwszy się tam zjawili, jeszcze nie mieli pojęcia, ta świadomość była przed nimi. Ich oddział zapewniał ochronę pułkownikowi podczas jednodniowych wizytacji zwanych SAM, Sector-Assesment Mission, które przeciągały się do nocy, a oni widzieli bardzo mało walki. Jeśli to ma być wojna, powiedział Nowling, to jestem rozczarowany, że robię za ochroniarza w tym skwarze. Spojrzeli na sznur samochodów przy starszych stopniem zgromadzonych wokół pułkownika w jasnym kamuflażu, pokazującego jakieś punkty w terenie. Co jakiś czas dobiegały ich odgłosy walki, patrzyli na rozbłyski i czuli dudnienie ziemi. Trudno było zasnąć. Koledzy mówili: Tęsknię za dziewczyną. Przydałaby się jakaś. Jako załoga posterunku ostrzelali samochód. Ich lekarz z Opa-locka wlał w Irakijczyka całą kroplówkę środka przeciw krzepnięciu krwi. Jego matka szalała z wściekłości. Blady jak ściana Sconyers pobiegł po pluszowego misia dla ich córki. Polali ręce lekarza wodą z menażki, jej krople wyparowały z ziemi. Ktoś zrobił zdjęcie przedniego siedzenia.

Widzieli dostawców i żołnierzy sił specjalnych w kapeluszach polowych i z różnym uzbrojeniem, w tym z długimi karabinami snajperskimi. Dominguez powiedział, że rozmawiał z nimi i to Brytyjczycy. Pułkownik pojechał. Roilo się od plotek na temat tego, co jest w planach, co mówią w CNN. Wpadali na inne oddziały, ludzi, którzy brali udział w ciężkich walkach w mieście, którzy wyglądali, jakby chcieli coś komuś zrobić, a tym kimś byłeś ty. Kapitan Friedman kazał im się zbliżyć i poinformował ich, kto jest aktualnie najbardziej poszukiwany w Iraku. Następnie dostali oficjalny rozkaz napisać pocztówkę do domu. Znaleźli zardzewiały pustynny hangar, w którym rzekomo przechowywano broń chemiczną. Ci z sił specjalnych odjechali z cygarami w ustach, a oni weszli do środka. W gorącu stały rozwalające się beczki. Kompania została podzielona. Z beczek zrobili sobie sracze, a gówno podpalali ropą, w maskach przeciwgazowych na twarzy.

Okazało się, że będą odpowiadać za obszar ponad sześciuset kilometrów kwadratowych. Zabrali się do roboty. Podzielono ich na plutony, plutony na sekcje, sekcje na drużyny, a drużyny na załogi. Nocą wypuszczali się do miast nad kanałem. Zanim wyruszyli, gromadzili się w kółku, sprawdzali nawzajem broń, wkładali do ust porcję tytoniu do żucia, stukali się hełmami i krzyčili: Na pohybel! W ciągu dnia objeżdżali sektor, mijając Irakijczyków biegnących wzdłuż drogi i wykrzykujących coś do nich. Znaleźli spalone domki z suszonej cegły, nad którymi unosił się czarny dym, a przed nimi porzrzucone ubrania. Meczet był zdemolowany. Wiesz, czym to pachnie. Nie wiadomo skąd nagle ktoś krzyknął: Po lewej! – i ostrzelali dachy. Nie spuszczała palca ze spustu karabinu M240, aż stopiła się lufa. Potem obejrzała się nawzajem, ale nie wyglądało na to, żeby któryś dostał. Adrenalina to jest coś, stwierdził Dominguez.

W piwnicach znaleźli sprzęt elektroniczny, zakrwawione szmaty, rozwalającą się książeczkę do nabożeństwa. Przyglądały im się dzieci. Na początku ciał było niewiele, ale potem zaczęli codziennie jakieś znajdować. Niektóre zostały zmumifikowane przez ogień. Wybuchła bomba; człowieka stojącego w drzwiach odrzuciło. Zapach palonych włosów. Minęła ich ciężarówka pełna brodatych ludzi z zadowolonymi minami. Czemu ich puszczaamy? Nie łapię, powiedział Sconyers, który miał w plecaku egzemplarz raportu komisji do spraw jedenastego września.

Bo to jest wojsko. Bo to ich kraj. Bo to nie ma mieć sensu.

Nocą przepłynęli przez rów kanalizacyjny, żeby zabezpieczyć siły specjalne, które miały dorwać kogoś ważnego. Misja została odwołana i musieli wrócić tą samą drogą. W hangarze rozebrali się i zmyli z siebie gówno wodą z menażek. Wyczyścili broń. Nie spali. Wzięli przedtem coś na pobudzenie. Cokolwiek działo się w mieście, słyszeli to doskonale. Nowling otworzył usta, strzyknął śliną z tytoniem, po czym zwymiotował. Jaki dziś mamy dzień? Chyba czternastego. Sierżant gangu Hells Angels mówi, że macie się wziąć w garść, chłopaki. Żołnierze zawołali *hooah* – usłyszano, zrozumiano, przyjęto. W drodze do miasta oberwali, i to nie było urojenie. Po atakującym nie było śladu. Nocne ostrzały robiły się coraz częstsze. Czuło się obecność ludzi na dachach. Dostawali kulki, obrywali w kamizelki, buty i kevlarowe hełmy. Sierżant Rogers – w ramię. Mogę ruszać palcami. Będzie medal, cholera jasna. Daj zajarać. Hej, Jones, pobiję cię na medale.

Nie ruszaj się, rozkazał lekarz.

Doktorek się na mnie wkurzył. Myślicie, że wrócę do domu?

Piętnastego dnia od przyjazdu wjechali nieopancerzonym pojazdem na bombę przydrożną i stracili Chidestera. Fala eksplozji wyleciała z drogi i rozpostarła się jak skrzydła nietoperza. W kolejnym pojeździe siedział Skinner, który usłyszał trzask jak w przeciążonym głośniku i naraz zupełnie stracił słuch. Ewakuacja rannych nie przebiegała gładko. Na ziemi piętrzyła się czarna, wysuszona lava – mógł myśleć tylko o niej, zamiast zając się tym, co do niego należało. Kiedy wrócili za zasieki, pluton był w rozsypce. Ktoś kazał Lawsonowi obetrzeć się z krwi, a on na to, że nie czuje takiej potrzeby. Skinnerowi wciąż dzwoniło w uszach. Rozkazano im wrócić i w podcierwieni obserwować teren przez noc. Rozeszła się wieść, że szykujemy nalot bombowy na miasto. Dobry Boże, daj mi zabić kogoś dziś wieczorem. Podczas dni spędzonych w obozie siedzieli bez koszulek, pokazując blade klatki piersiowe, wymęczone od noszenia kamizelek i pokryte potówkami, palili papierosy i przez okulary przeciwsłoneczne oglądali stopy oblażące ze skóry.

Wypierdolimy ich bombami w powietrze.

Tak nie będzie.

Zapodają im białego fosforu i spalą ich żywcem. Właśnie tak. Dlatego teraz mamy przestój.

Okazało się, że nie ma zgody między kapitanem Friedmanem a batalionem. Kiedy wrócił, powiedział, że są wątpliwości co do tego, czy da się przeżyć te ataki, z którymi mamy do czynienia. Ostrożnie dobierał słowa. Dostosujemy się. Odmaszerować. Pod koniec miesiąca kolejny pomnik wyrósł obok beczek. Cóż, okazało się, że Lugo też nie dał rady. Czemu mi to mówisz? Lawson stracił z ramienia rękę kapelana. Pojawił się pułkownik, opowiadał o bezzębnej naturze walki. A może bezwzględnej? Kiedy poszedł, kapitan stwierdził, że to najlepsze, co mogą zrobić dla uczczenia tych, których stracili. Zamontowali na ciężarówce prowizoryczny pancerz i wrócili do miasta.

Panował smród nie do wyobrażenia. Przejeżdżali obok willi o kutych balustradach, a Skinner rozglądał się za ludźmi, którzy w nich mieszkali. Zamiast nich widział jednak brodatych mężczyzn z komórkami i lśniącymi zegarkami. Jeden facet najwyraźniej nie miał oka. W niektórych okolicach ściany były dziurawe jak ser szwajcarski. Przez dziury widać było ruch i słyszać gwar, a potem pojawiały się psy szarpiące coś na gruzach. Wolno stojąca klatka schodowa prowadziła donikąd. Sierżancie, kogo dziś mogę zabić? – spytał Lawson. Minęli autobus bez kół, stojący na nagich osiach. Kobieta z zasłoniętą głową wyszła z wiadrem i chlusnęła jego zawartością do kałuży gówna na ziemi. Dzień ciągnął się w nieskończoność. Skinner zmienił pozycję, oparł broń, balansował w przód i w tył, rozglądał się, sprawdzał kciukiem blokadę, a stojąc wśród gruzów, czuł się obserwowany. Żuł wężyk od camelbaka, zasysał wodę o ciepłym, bakteryjnym posmaku plastiku. Czas to płynął szybko, to włókł się niemilosiernie. Ile nam jeszcze zostało? – spytał Nowling, a reszta kazała mu się zamknąć. Zobaczmy. Liczył na krótkich palcach, ale bez rezultatu. Przez tydzień obozował z nimi inny oddział. Skinner patrzył na ich ciemnoskórych więźniów, skrępowanych opaskami zaciskowymi w drodze do Abu Ghraib, pochłaniających racje żywnościowe ze sprawnością akrobatów. Świat zewnętrzny wydawał się daleki i niezbyt realny. Patrzył, jak się modlą, szepcząc z zamkniętymi oczyma, z czołami opartymi o piach. Trzeszczący głośnik w mieście odtwarzał wezwanie do modlitwy.

Allah ci nie pomoże, powiedział żołnierz z Południa. Teraz masz tylko mnie.

Zastrzelili kożę jakiegoś farmera, a Broadbent upiekł ją nad beczką po jamajsku. To miała być stypa po Chidesterze. Tłumacz załatwił haszysz. Prawie jak przyjęcie. Opowiadali historie o Chidesterze, o tym, jakim był człowiekiem. W środku nocy kapitan Friedman wyszedł z hangaru i skierował się wprost ku nim.

A czy te skurwysyny z was, które chleją właśnie pieprzoną wodę od brudasów, są gotowe powiadamiać potem ze mną rodziny kumpli, którzy przez nich zginą?

Skinner zwiesił głowę.

Miłej, kurwa, imprezki.

Kapitan odszedł, a oni wbili wzrok w ciemnopomarańczowy ogień płonący w beczce. Tłumacz sprzedał im tabletki. Dominguezowi spadały spodnie. Zrzuciłem chyba z dziesięć kilo. Wszyscy byli chudzi. Dwóch kolesi się pokłóciło i zaczęli grozić sobie granatami. Sprawa jest taka, powiedział dowódca sekcji. Jak ktoś będzie miał problem, to dostanie lanie po dupie od całego pododdziału. Od wszystkich. A jak to nie pomoże, to poczęstuję go granatem. Osobiście.

W pełnym świetle dziennym wysłedzili na poboczu chłopaka ukrywającego bombę pod plastikową reklamówką i zrobili mu zdjęcie.

Nie mogę znieść tego lęku, powiedział Jones lekarzowi. Zrobiłbym wszystko, żeby się go pozbyć.

Więc pogadaj z pielęgniarzem od stresu bojowego, a nie ze mną.

Pojawiła się plotka, że mieli ich wysłać gdzieś indziej, ale to nie była prawda. Nie wierzyli w nic, co usłyszeli. Przyszło zaopatrzenie. Ustawcie się w kolejce, zarządził kierowca. Bierzecie i spadacie. Paczki z amunicją tworzyły sześcian prawie trzy na trzy na trzy. Teksańczyk z radiem oczyścił styki baterii gumką od ołówka i trzy razy sprawdził swój przydział, zanim poszedł. Upał przybierał na sile, o ile to w ogóle było możliwe, a Pomerant padł jego pierwszą ofiarą: panowała zgodność co do tego, że go popierdoliło. Było ich coraz mniej. Wybuchł budynek, przed którym akurat stali, a Danzig, licealny zapaśnik, zniknął. Umysł Skinnera zinterpretował powyginany kawałek metalu jako ukrzyżowanego i spalonego człowieka, ale błędnie. Snajper postrzelił w głowę ich sierżanta sztabowego, który rzucił się za swoim kevlarowym hełmem jak za źle podaną piłką, chwycił go i włożył z powrotem na głowę. Pozostali odskoczyli od niego, jakby obsiadły go szerszenie.

W poszukiwaniu bomb pieszo przeczesywali drogi wzdłuż kanału. Wciąż myślał, że to ostatnia rzecz, jaką zobaczy – czerwona ziemia, a nad nią rozjarzone słońce.

W pulsującym skwarze podszedł do nich mężczyzna w podrabianych okularach przeciwsłonecznych i obcisłych dżinsach. Ciągnął ze sobą za przegub brudnego chłopca z mocno zakurzonymi włosami. Mężczyzna zignorował wycelowaną w niego broń. Pokazując na zrujnowane domy, powiedział: Ci ludzie to wróg. Ja jestem przyjacielem. Chodźcie ze mną współpracować.

Bił od niego zapach ciężkich, duszących, kobiecych perfum.

Nie znam cię, stwierdził Graziano, pocierając szczękę pokrytą czarnym zarostem.

Poznasz. Uwierz mi.

Skinner zobaczył wnętrze zielonego pokoju, w którym kiedyś była szkoła. Meble piętrzyły się pod oknami. Przez zachodzące na siebie nogi ławek szkolnych widać było osmalone budynki po drugiej stronie ulicy. W oczach i ustach dzieci leżących na podłodze roiło się od much. Zasłonił sobie usta kawałkiem materiału.

Kiedy jechali, owiewani gorącym wiatrem, zawiązał tę szmatkę na twarzy dla ochrony przed piachem. Używał jej, kiedy odchodził na bok i przecierał iglicę broni, pozostawiając na tkaninie czarne smużki pachnące kordytem i smarem. Siadał po turecku z papierosem w ustach, opróżniał magazynki i nie śpiesząc się, czyścił szmatką po kolei każdy nabój wyciągany z hełmu służącego za miskę, po czym wkładał go z powrotem do magazynka, a następnie lekko stukał tym ostatnim o hełm przed wsunięciem go do broni.

Nazywali swojego kapitana Freebirdem, wolnym ptakiem. Spoczniej, powiedział. Miał białą tablicę na stojaku i ścieralny mazak w ręce. Nauka nie poszła w las. Wiemy o telefonach komórkowych i głośniku na meczecie. Kiedy przebywacie w danym miejscu dłużej niż pięć minut, znajdujecie się w strefie czerwonej. Każdy musi mieć w głowie odliczanie. W drogach o miękkiej nawierzchni łatwo się

kopie, a więc to oczywiście również miejsca niebezpieczne. Zawsze kiedy droga przechodzi nad kanałem albo strumieniem, mogą coś tam podłożyć. Musicie patrzeć na pobocza. Jeśli ich nie widać, to znaczy, że mogą się do nich dostać niezauważeni. Mówimy o coraz większych ładunkach. Narysował koło na tablicy. Wchodzimy w obszar rażenia, zanim jesteśmy w stanie coś dostrzec, więc trzeba być uważnym. Szukamy miejsc, w których mogli ukryć detonator. Ilekroć widzicie kupę kamieni, chatkę, cokolwiek. Lont wystający z ziemi. Śmieci, torebki plastikowe, wszystko co zakrywa coś innego. Musicie ze sobą rozmawiać. Gramy do jednej bramki. Nasza strefa bezpieczeństwa jest tu. Próbowaliśmy narysować ją na tablicy, ale w mazaku skończył się tusz. Pieprzony szajs. Wyrzucił go. Pański ka-bar, sierżancie sztabowy. Dziękuję. Wy tam z tyłu, wstańcie, żebyście też widzieli. Dwudziestolatkwie wstali. Narysował nożem kreskę na piasku. To jest tomahawk. Tu jest Hogan. Narysował kolejną kreskę. To jest linia nieprzekraczalna. Paczka po amunicji to ratusz. Kamień to poczta. Gąbka to farma. Zdjął swojego g-shocka, położył na ziemi i kucnął nad nim z nożem. Wszyscy widzą? Robimy, co możemy. Nie da się zrobić wszystkiego, co byśmy chcieli, więc mamy, co mamy.

Cysterna, która przyjechała z konwojem, przywiozła im ropę. Monotonny pejzaż falował, zasnuty dymem. Rozładowali piętnaście kilo połamanych ciasteczek z USO, organizacji pomocowej współpracującej z wojskiem. Sconyers, który miał kolorowe tatuaże przedstawiające między innymi karpia i ptaki o długich szyjach, dostał książkę od rodziców, nauczycieli z Zachodniej Wirginii. Założył okulary, poszedł za hangar i wziął prezent do rąk. Odjeżdżająca ciężarówka wzbijała tuman kurzu. Skinner wypił ciepły gatorade, przeczytał numer „Muscle and Fitness” i zapadł w niespokojny sen.

Obudził się zagubiony i dezorientowany. Był pewien, że zaszła jakaś zmiana. No raczej, usłyszał w odpowiedzi. Druga sekcja weszła w kontakt z wrogiem, to nie przelewki. Palili, czekając na ich powrót. Do dupy, mówili nieogoleni i wpatrzni w czerwony horyzont. Było ciemno, a ciężarówka nie włączyła świateł, aż nie dotarła do obozu. W reflektorze zasilanym generatorem na ropę zobaczyli krew i bladą twarz. Dominguez przepchnął się do przodu, mamrocząc: Nie, nie, nie, koleś, kiedy zdejmowali ciało Lawsona. Dajcie mi jebaną igłę. Mam grupę zero. Chcieli potrzymać jego głowę w ramionach i niechcący wkładali dłonie w dziurę w czaszce – któryś z nich raptownie wyrwał stamtąd rękę, a Skinner poczuł na bucie coś mokrego.

Freebird został zmieniony na stanowisku. Oceniam ponownie całe swoje życie, powiedział Sconyers. Nowy dowódca miał takie same poglądy na temat nieoddawania pola wrogowi. Graziano oświadczył, że jak się służy w jednostce wysuniętej, to i tak żyje się na kredyt, i patrzył na nich wyzywająco. Pozatykali wszystkie dziury w samochodzie wolnymi kamizelkami. Panowie, na koń, zarządził sierżant Hells Angels.

Ładunek sprawdzony, nadał Teksańczyk przez radio do Graziana.

Jego sygnał wywoławczy to Topór Wojenny.

Skinner oddalił się od reszty. Nikt się nie żegnał, udawali, że nie wyjeżdża. Wspiął się na ciężarówkę z całym majdanem. Podał rękę Sconyersowi i wciągnął go do środka. Niski, niezależny Nowling, chłopak z Georgii, wsiadł bez pomocy. Sierżant Hells Angels usiadł za kółkiem. Graziano zatrzasnął skrzypiące, opancerzone drzwi. Silnik zaskoczył i wszystko zaczęło się trząść. Skinner wbił wzrok w nicość. Znaleźli sobie miejsce wśród broni. Obejrzał się za siebie. Za ciężarówką snuła się cieniejąca droga, worki z piaskiem zamieniały się w czarne muldy, a M240 małały. Z braku czegoś lepszego zjadł porcję kawy rozpuszczalnej ze swojej racji żywnościowej.

We śnie nie dało się patrzeć na rozjarzony, umykający krajobraz. Zobaczył na drodze kobietę w czarnej burce. Szybko przejechali parę kilometrów, a za nimi unosił się kłęb kurzu. Śmignęli koło znaku drogowego po arabsku. Nowling krzyknął do przodu: Czy to czasem nie była linia nieprzekraczalna? No jasne, że była. Ale nikt się nie odezwał. Wjeżdżali w strefę wypalonych, wybebeszonych domów. Sconyers poruszył bezgłośnie wargami: Co do kurwy...? Przez dziury po oknach widać było, że wewnątrz brak podłóg, brak dachu, została tylko skorupa przeświecona promieniami słonecznymi. Kiedy indziej metalowe szczątki białe od popiołu. Objechali zepsutą ciężarówkę. Ominęli zakręt. Graziano wyregulował radio. Ktoś pytał: Czy to Omaha? Sierżant zatrzymał się i cofnął. Wskoczyli, żeby sprawdzić, czy jest bezpiecznie, wymierzili w linię dachów, oślepieni

słońcem, i wsiedli z powrotem. Samochód skręcił w uliczkę, prawie ocierając się o ściany domów. Skinner celował w tarasy nad nimi, wyciągając szyję. Gdy podskakiwali na kamieniach, przytrzymał hełm ręką. Skrzyżowania były zalane blaskiem. Pojechali przedłużeniem uliczki, która robiła się coraz ciaśniejsza, aż zaczęli rysować bokami samochodu o cegły. Panowała cisza. Nagle radio przemówiło, a Graziano poprosił: Topór Wojenny, powtórz ostatnie.

Czekać.

Sierżant zaczął zwalniać. Okazało się, że droga przed nimi jest zablokowana samochodem stojącym w poprzek, z oderwaną maską i sterczącymi kablami. Sierżant zahamował i rzuciło ich do przodu. Ja pierdołę. Utknęliśmy. Skinnerowi wydawało się, że wyłowił coś kątem oka, ale mogła to być sprawka kofeiny. Wypatrywał ruchu przez dziury w ścianach budynków.

Daj na wsteczny, polecił Graziano. Pokieruję cię.

W tej uliczce ledwo dało się prowadzić. Za każdym razem, gdy sierżant naciskał pedał gazu, ujeżdżali jakieś pół metra i ryli w ścianę. Przez trzy minuty przejechali dwukrotną długość samochodu.

Jak głęboko jesteście?

Nowling podbiegł na tył i sprawdził.

Dwieście metrów do najbliższego skrzyżowania.

A jakbyśmy staranowali ten samochód z przodu?

I tak nigdzie nie dojedziemy.

Okej, powiedział sierżant, starając się brzmieć spokojnie. Osłaniajcie mnie, a my ogarniemy ten pierdolnik.

Skinner wysiadł, czuł się słaby i miękki. Przez sen próbował powiedzieć: Nie mogę tego zrobić. Ktoś walnął go pięścią w klatkę piersiową – nie wiedział kto – i spytał: Śpisz tam? Gotowe – i podał mu granat. Z największym wysiłkiem wciągnął powietrze. Przykłęknął na nakolanniku i wycelował w czworobok słońca między murami. Dobięły go słowa Graziana: prosto do tyłu, prosto. Prosto. Stój. W lewo, trochę w lewo. Usłyszał odgłos samochodu szorującego o ścianę i warkot silnika na wysokich obrotach. Sierżant zaklął: Kurwa. Otarł twarz z potu zieloną szmatką do smaru karabinowego. Kolejny raz już odliczał w głowie. Czworobok zmienił kształt, a on zamrugał i spojrzał na drogę, ale nie był pewien, co widzi. Jedną z pierwszych rzeczy był kształt, blask i ruch oczu. Rozejrzał się w poszukiwaniu kogoś. Najbliższy kolega chował się we wnęce. Czy ja ich tam widzę? – krzyknął. Twarz pobladła mu pod hełmem.

Byli tu przez cały czas. Przepadliśmy.

Skinner krzyknął przez sen i uderzył się o ławkę.

Kiedy zaczęła się strzelanina, nie umiał powiedzieć, jak bardzo jest źle. Ta niewiedza trwała sekundę. Potem powietrze wokół niego zaczęło drżeć i stało się jasne, że zaraz zginie. Miał wrażenie, że ktoś chwycił go za uprząż. Zanim to nastąpiło, sam też już strzelał. Ktoś powinien być na wozie z dwieścieczterdziestką, pomyślał, ale nikogo tam nie było. Próbował upewnić się, że ma w zasięgu wzroku przynajmniej jednego człowieka w mundurze. Dopóki ich widzę, jeszcze się trzymamy. Do tej pory, kiedy kładł rękę na piersi, wyczuwał magazynki. Ale strzelaliśmy za mało i przez cały czas było słychać, jak szala zwycięstwa przechyla się na stronę przeciwną, której ogień był gęstszy. Czuł, że wszystko zaraz runie, że wróg ma przewagę. Wtedy spojrzał ponownie i stwierdził, że nie widzi mundurów. Nie słyszał, kiedy go wołali, i wycofali się bez niego. Musiał więc biec sam i dotarł tak blisko, że niemal wpadł na nich od przodu, kiedy go osłaniali – niewiele brakowało, a byłby to kolejny fatalny wypadek w tej wielkiej katastrofie.

Schronili się w budynku, w którym nie powinni się byli znaleźć. Wróg był tak blisko, że dokładnie było widać poszczególnych ludzi pokazujących, gdzie chowają się Amerykanie. Przez jakiś czas liczyli na wsparcie z powietrza. Dopiero widok smugaczy uświadomił im, jak długo to trwa – że minęło dwanaście niewiarygodnych godzin. Ten widok i pragnienie.

Usłyszał trzask. Potem kolejny. Trzask. Trzask. Trzask. Trzask. Świst, świst, świst, świst, świst... I cisza. Nic w zasięgu wzroku. Świst, świst, świst. Smuga światła. A następnie uderzenie, które przeszło

po ziemi i dało się odczuć w nogach, uszach, piersi. Dziwna fala, która zaburzyła mu tętno.

Graziano podczołgał się do niego, walnął go w hełm i ryknął mu do ucha, wskazując postrzępiony czarny kształt i kolejny. Widzisz swoje pole ostrzału? I odczołgał się z powrotem.

Sconnie, zachrypiał.

Skin, to ty?

Myślisz, że pomogą nam z powietrza?

Myślę, że postanowili poczekać.

Masz wodę?

Wtedy z ziemi wystrzeliły strumienie zielonego, żarzącego się światła. Rozległ się huk – przeraźliwy, ogłuszający, rozdzierający. W ostrym świetle płonącego metalu, wśród tumanów pyłu, widać było jakby postacie. Biegające cienie. Przenikliwy hałas nie ustawał. Błyski przecinały ciemność i opadały łukiem jak piłka bejsbolowa. Ziemią i powietrzem wstrząsały uderzenia. Zapomniał, na czym leży, czy to podłoga, czy dach. Detonacje dalej następowały z łoskotem. W pęcherzach dźwięku panowała cisza, a ślepotą w nagłej bezbrzeżnej czerni. Wszystko, co nie było ogromne, ulegało zatarciu. Dudnienie przybierało na sile, jak ćwiczenie na utratę słuchu. Zielone gwiazdy zostawiały za sobą smugi przypominające węże ogrodowe. Ziemia przenosiła ich drgania. Hipnotyczne i kinetyczne. Świszcząca energia i efekty akustyczne były coraz bliżej. Wtem miejsce, skąd dobiegał głos Sconyersa, wyleciało w powietrze i zasypał ich piasek.

Zsunął się na podłogę. Kiedy się w pełni obudził, próbował zebrać się do kupy, mimo że serce waliło mu jak oszalałe. Z początku nie wiedział, co robi w McDonalddie. Miał przyspieszony oddech i skrobał palcami po posadzce.

Serce wciąż biło mu tak mocno, jakby dostał zastrzyk z atropiny. Kiedy wybuch dosięgnął jego kolegę, coś uderzyło Skinnera w plecy. Po tym, jak odłamki przestały opadać, podczołgał się do Sconyersa, wymacał go w piasku i próbował podnieść. Nie dał rady. Ciężar ciała i sprzętu pociągnął go w dół. Piasek wilgotniał od krwi. Pozwalał mu umrzeć. Próbował podnieść Sconyersa, a ten usiłował pomóc. Piach zamienił się w grząski, krwawy lej, który wciągał ich obu. Miał we krwi spodnie, bokserki, nogi, chlupało mu w skarpetkach. Spływała mu po dłoniach i ramionach, czuł jej smak w ustach. Krew miała swoją wagę i piach miał swoją wagę, a w połączeniu tworzyły krwawe błoto, które ich pochłaniało.

Wtedy pomogli mu inni, pojawiło się ciało Jake'a i biegli z nim zwieszającym się przez ramiona. Położyli go na pelerynie. Skinner otrzymał rozkaz wzięcia się w garść. Wysłano go z powrotem na teren targany wstrząsami, żeby przyniósł resztę ciała kolegi; ledwo był w stanie biec, robiąc uniki i potykając się, sapiąc ze zmęczenia, nie mógł znaleźć drogi. Upadł, bo jego ciało wreszcie zdało sobie sprawę z tego, że też jest ranne. Graziano wyciągnął plastikowy opatrunek z przenośnej apteczki i przykleił mu go do dziury w klatce piersiowej.

Skinner zatrzymał się.

Wokół nie było nikogo – skulił się, zeszywniały z zimna, i czekał, aż wszystko wróci na swoje miejsce. Kawałek po kawałku rozluźnił się, oparł plecami o plastikowe siedzenie, wypuścił powietrze, usiadł na podłodze, osłepiony białym światłem słonecznym. Wśród czystych stolików modułowych było jasno i spokojnie. Zza grubego szkła dobiegał cichy, regularny szmer. To mogła być świetlica w szpitalu wojskowym. Dźwięk na zewnątrz to odgłos samochodów, amerykańskich. Postanowił założyć brudną skarpetkę, która się zsunęła. Dalej buty. Zwinął płaszcz i schował go trzęsącymi się, nieposłusznymi dłońmi. Wziął tabletkę i popił ją wodą z kranu w łazience. Po chwili zebrał swoje rzeczy i balansując ciężarem, zszedł po schodach. Przepchnął się przez tłum ludzi kłębiący się przed drzwiami.

Rzucił swój bagaż na chodnik, stanął i zapalił papierosa w słonecznym chłodzie.

Skinnera i Jake'a ewakuowano i uratowano. Trafili żywi do obozu, choć ledwo dychali w obłożonym workami z piaskiem szpitalu polowym ich batalionu na pustyni. Skinner strasznie cierpiał, konwój miał opóźnienie ze względów taktycznych, po ulicach świstały kule, spadały na nich rozpalone łuski, spokojny głos nadawał komunikaty przez radio, cekaemista się wydierał, wszyscy panikowali,

Skinner krzyczał i jęczał, kierowca wrzeszczał, że muszą się wycofać i pojechać inną drogą, bo nie wytrzymają ostrzału. Inni żołnierze zginęli na miejscu. W radiu słychać było śmierć. Wszyscy byli jej bliscy. Udało im się dotrzeć do batalionu, ich ciała umierały. Z Jake'a została górna połowa, rzucili ją na łóżko polowe; ociekał krwią, generatory pracowały, po bokach jego odsłoniętych genitaliów widniały mięsne przekroje tego, co kiedyś było jego udami. Rany oczyszczano szczotkami obrotowymi i strumieniem wody. Odesłano ich do ogromnego szpitala wojskowego na Wschodnim Wybrzeżu. Jake'a podtrzymywano przy życiu w centrum medycznym Waltera Reeda.

Sześć tygodni później Skinner trafił do plutonu rehabilitacyjnego w Georgii, gdzie towarzyszył koleśiom na wózkach inwalidzkich. Grabił piasek na boisku do siatkówki, brał środki na bóle głowy, powłóczył nogami po stołówce, polewał pieczeń sosem, oglądając wojnę w telewizji. Letnie dni były ciemne i burzowe, a drzewa pochylały się aż do ziemi.

Lekarz, facet z Kolorado, który wyglądał jak kapitan uniwersyteckiej drużyny zapaśniczej, powiedział Skinnerowi, że ma coraz lepsze wyniki. Cztery na pięć. Oddział ucieszy się, że do niego wrócisz. Dobra wiadomość, nie? Nazywał Skinnera skurczybykiem. Teraz, skurczybyku, możesz chwycić za M4. Miał brązowe włosy, atletyczną budowę, zapadnięte policzki i nieszczerą uprzejmość chłopca z drużyny. Rzucił teczkę na biurko w gabinecie i zawołał: Następny! Skinner wyszedł, szurając nogami.

Nikt nie przekazał mu wyników tomografii czaszki. Miał nieznośne bóle głowy i dwoiło mu się w oczach. Wojsko dało mu okulary do czytania. Nie było mowy o PTSD ani urazie wewnątrzczaszkowym. Kiedy wrócił na wojnę, stwierdzono, że ma problemy z dyscypliną. Nastąpiły chłodne dni, na niebieskiej pustyni stepowe wiatry zawiewały z Kurdystanu, cały jego oddział spał opatulony w hangarze po osiemnastogodzinnym patrolu, a on palił fajkę przykucnięty na zewnątrz i wpatrzony w nieokreślony punkt poza obozem. Jego słowa brzmiały sztucznie. Nie umiał sam siebie zdiagnozować. Dostał karę dyscyplinarną za noszenie naboju w magazynku, mimo że broń miała być rozładowana. Przyłapano go na łażeniu z odbezpieczonym pistoletem. Dostał rozkaz odbycia leczniczej gimnastyki w kombinezonie ochronnym i masce przeciwgazowej.

Na przepustce spotkał się ze swoją rodziną i dopuścił przemocy fizycznej na młodszym bracie. Matka wyrzuciła go z domu. Wrócił do bazy i myślał, że po wyjściu z wojska wszystko się unormuje. Przeprosił brata, a ten mu wybaczył, choć matka tego nie uczyniła. Armia dała Skinnerowi do zrozumienia, że kwalifikuje się do programu rehabilitacyjnego, i już zaczął planować kupno samochodu i wizytę u Jake'a, kiedy powołano go z powrotem do służby czynnej. Była to druzgocąca wiadomość. Matka płakała przez telefon i powtarzała, że jest jej przykro. Batalion rozdawał antydepresanty jak cukierki, a w sklepie wojskowym można było kupić czasopisma, iPody, biało w proszku i napoje energetyczne, które potem brało się na wojnę. Po powrocie do Iraku stawał się coraz gorszym żołnierzem. Trafił do nowego obszaru tuż nad Eufratem, a bomby samochodowe wybuchały w godzinach modlitwy. Zaczęła się wojna domowa. Nie potrafił funkcjonować. Zasnął na warcie. Sierżant, rugbista, wędził go za to w kombinezonie ochronnym w pełnym południowym słońcu, wyzywał od zasańców, darmozjadów, przygłupów i tak dalej.

Skinner wypił pięć menażek wody, która teraz wypływała z niego, wpatzonego w nicość, osuszanego z potu przez słońce. Gumowy kombinezon leżał na piasku u jego stóp jak pusta skorupa, ludzka skóra.

Na wojnie wszyscy się zmienili, sama wojna się zmieniła, a dziwaczność Skinnera nie rzucała się w oczy. Zrzucano ją na karb wojny, jakby to było logiczne. Wojna z kolei była coraz dziwniejsza. Zaczęto go kojarzyć z grupą zwaną w oddziale Ekipą Zasańców. Nazwa pochodziła od torebek na odchody, które określano też jako torebki Wookiego. Kiedy przybijali pięści, mówili: Hej, Wookie! co znaczyło tyle, że pozostają przy życiu. Mieli swoje przesady, rytuały, które coraz bardziej się komplikowały. Rozpoczął się plemienny żywot. Niektórzy z gangów w piechocie zamieszani byli w morderstwo. Porzucali drut, broń, trupy. Sierżant artylerii z Akron w Ohio prowadził szwadron śmierci.

Skinner był chory psychicznie. Dzień po dniu meldował się w strefie walki, kolekcjonując

dolegliwości: rany, które nie chciały się zaleczyć, ból pleców, biegunkę, ubytek słuchu, podwójne widzenie, bóle głowy, mrowienie w dłoniach, bezsenność, apatię, gniew, smutek, nienawiść do samego siebie, depresję, rozpacz.

Ludzie śmiali się z niego, patrząc, jak próbuje podnieść wołu.

Któregoś razu podeszło do Skinnera dwóch Irakijczyków, rzekomo aby zapewnić go, że nie są buntownikami. Poczul się zagrożony, zaczął kopać, trafił jednego nogą, tamten upadł, a Skinner zastrzelił go z M4. Drugi próbował chwycić za broń. Podbiegli koledzy Skinnera. Wykręcili lufę, aż wycelowano nią w Irakijczyka, który zaczął wykręcać się i krzyżeć. Skinner pociągnął za spust, zabijając go z zimną krwią.

Jego wojna trwała każdorazowo osiemnaście godzin warty. Czuł, jak skoki adrenaliny popędzają mu serce, i zastanawiał się, ile jeszcze takich uderzeń nastąpi, zanim przejdzie kolejna minuta, godzina, osiemnaście godzin. Jego świadomość tłumiły leki, przemęczenie, nawracające myśli. Ale wojna prowadziła do mistycznego postrzegania – jak u pacjenta oddziału psychiatrycznego. Liczył czas w inny sposób. Dzisiaj nie zginie, jeśli zrobi dziesięć powtórzeń w martwym ciągu z karabinem.

Kiedy przeniesiono go do Stanów Zjednoczonych, wpadł na Freebirda przy centrum handlowym. Był z rodziną i nie odwzajemnił pozdrowienia Skinnera. Spojrzał tylko na niego, splunął na asfalt i patrzył złowrogo, aż Skinner się oddalił.

Jake pisał w mailu:

„Skin przyjacielu kope lat. chciałem napisac ale najpierw musiałem sie nauczyć. pisze ustami. powinienies mnie zobaczyć. wygladam jak przyglup bo mój mozg jest uwieziony. to frustrujace byc uwzany za wadliwego. zwlaszcza dla nas trepow jak konował mowi do mnie jak do 5-latka!!!! szkoda, ze nie widzial jak wyglada nasza robota..

nie moge wytrzymac jak ludzie mowia dzielny bohater itp chcialbym moc wszystko zmienic
wszystko, wozek komputer pochodzi z datkow plakac mi sie chce

plan zeby pojechac z tb do NYC – odpada z wiadomych wzgl. stwierdzilem, ze uczelnia to dla mnie kolejna wojna – chce uwolnic umysl. tak sie skupilem na terapii ze nie mam czasu ogarnac calosci. boje sie, ze zapomne wiele rzeczy, ktore widzieliśmy – to takie nierealne. tak, gniew. a tkze dar, cos czego nikt nie wie

kocham cie bracie
jake”.

Skinner poszedł do auli bazy na spotkanie podsumowujące, na którym usłyszeli, jak sprawić, żeby ich doświadczenie w wojsku wyglądało użytecznie w CV. Był słoneczny zimowy dzień, a zdemobilizowani żołnierze nosili bluzy z polaru do spodni moro i czarne włóczkowe czapki – jak przestępcy napadający na bank w filmach. Błękitne niebo było przejrzyste i zimne. Trzy bezlistne drzewa sterczały w górę niczym pęczki wikliny. Podczas przerwy przyszli cywile palili w grupach, niektórzy o lasce, trzymając lśniące broszurki z napisem: „Raz żołnierz – zawsze żołnierz”.

Rozeszła się wieść, że Jake nie da rady pójść na studia. Przeszedł za wiele operacji, a w końcu infekcja, którą przedtem udało mu się zwalczyć, wróciła z nową siłą i zaatakowała opony rdzenia kręgowego. Rodzice przyjechali z Wirginii, żeby być z nim podczas jego ostatnich dziesięciu dni, które spędził w śpiączce. Tłok oddychającej za niego maszyny wędrował w górę i w dół. Rodzice spali na krzesłach w poczekalni przy windach, za pokojem pielęgniarek. Stali przy łóżku Jake’a, dotykali jego wytatuowanego ramienia i wpatrywali się w poślizgniętą twarz w poszukiwaniu oznak wracającego życia. Wyostrzyły mu się rysy. Zrobiono mu tracheotomię i wprowadzono przez dziurę w szyi rurkę, otoczoną opatrunkiem i przymocowaną taśmą. W pokoju czuć było skórą zaklejoną taśmą miesiącami i zaczynającą się rozkładać. Nie dochodził do siebie, więc postanowili dać mu odejść. Pielęgniarka przestawiła trzy przełączniki, a oni czekali przy łóżku, aż syn przestanie żyć. Kochamy cię, Jake, powiedział ojciec, wciąż w krawacie, w którym prowadził lekcje historii w liceum, rozluźnionym wokół kołnierzyka koszuli w kratę. Wysłał maile do znajomych Jake’a.

Tę wiadomość otrzymał Skinner, zanim samotnie udał się do Nowego Jorku, trzymając się myśli,

że jeśli będzie imprezował wystarczająco ostro, wreszcie uda mu się dobrze zabawić i wróci mu chęć życia.

Broadway w świetle dnia. Ludzie wylewający się z metra, przemieszczający się w gromadach, które rozpadają się na kawałki i przechodzą przez inne kolumny ludzi jak przez sito. Poczł zapach precli. Czarny denali, widoczna rka na kierownicy, muskularna, z drogim zegarkiem. Wszystkie laski chodzą w eskimoskach. Włosy powiewają za nimi. Jest ich taka masa, że aż trudno uwierzyć. To dziewczyny z biur, palą przed wejściami do firm. Razem z nimi wychodzą na papierosa kolesie bez kurtek, w spodniach od garnituru, zwykli kolesie, którzy nie poszli do wojska po szkole średniej. Przechodząc, słyszał normalny ton ich głosów – i wszystko to brzmiało dziwnie.

Zatrzymał się w hostelu przy Port Authority, pił i surfował po necie. Kiedy szedł po piwo, po drugiej stronie popękanego chodnika chwiejnym krokiem przechodziły jakieś drag queen. Kupił torebkę zioła i wypalił je w otwartym oknie, zawinięty w płaszcz i wsłuchany w wycie syren. Sprawdził pocztę, wpisał: „Hej, co tam, stary”, i nacisnął wyslij. Nikt z oddziału nie odpisywał. Przecznicę dalej, obok peep-show i Foo Ying Kitchen znalazł bar ze striptizem, a w nim te same blond włosy i opalone cycki, które widział po drodze. Już kilka dni później jego konto bankowe było lżejsze o tysiąc dolarów. Po całym łóżku walały się jego ubrania – dziny z American Eagle, koszule do miasta i na ruchanie – kupione za setki dolarów z dodatków za niebezpieczne warunki pracy. Ubrał się i wyszedł się napić. W Blarney Rock, gdzie za barem wisiała amerykańska flaga, pamiątki po World Trade Center i zdjęcia zabitych, kilku kolesi postawiło mu piwo, stuknęło się z nim butelkami i nazywało bratem. Tylko tyle? – pomyślał. Ale był miły, oglądał mecz. Kiedy zaczął odpływać, zaproponowali mu podwózkę. Wyszedł bez słowa. Spokojnie, brachu, mówili. Daj mu spokój. Daj spokój. Matka wysłała mail z Pittsburgha, by poinformować syna, że marnuje życie. Popił lekarstwa piwem i uwalił się na łóżku z twarzą zasłoniętą wytatuowanym ramieniem, opierając jasnobrazowy but o ścianę. Chińskie znaki układały się w napis: „Bez pracy nie ma kołaczy”, a przed oczyma migał mu widok Sconyersa w konwulsjach. Inni w hostelu mówili: Wydawałeś z siebie odgłosy przez sen.

Trzeciego albo czwartego dnia po przybyciu do miasta, tuż po wzięciu lekarstw poszedł znów do metra, wsiadł w pierwszy lepszy pociąg i nie ruszył się, dopóki skład nie wyjechał na wiadukcie z tunelu na światło dzienne, mijając plecy bilbordów, zajezdnie kolejowe i wieże ciśnień. Kilka stacji dalej podszedł do okna, przyłożył twarz do szyby i patrzył na przemykające dachy. Przejeżdżał kolejne przystanki. Dotarł daleko od centrum. Nad morzem domów zobaczył dźwigi, a w dole samochód skręcający na zaśmieconej ulicy, i usłyszał warkot wiertarki udarowej z serwisu samochodowego.

W teorii dzięki mapie mógł się zorientować w swoim położeniu i zawrócić. Zamiast tego powiedział sobie: nie, pojedę do samego końca.

Kiedy dotarli do ostatniej stacji, wysiadł, bo musiał, i wyszedł na ulicę.

Była zatłoczona, jakaś kobieta wpadła na niego z reklamówkami z Caldoru. Podniósł zakapturzoną głowę, spojrzał na nią, a ona przeprosiła. Na krawężniku ludzie kucali po azjatycku, ze stopami płasko na ziemi, sprzedawali portfele, paski, czapki z napisem „New York”, plecaki i DVD. Panowała wrzawa pełna krzyków. Na skrzyżowaniu stał samochód na luzie, blokując przejazd, silnik warczał i słychać było hałas ropy eksplodującej w trzęsących się stalowych tłokach. Skinner wzdrygnął się na odgłos klaksonu.

Zapalił papierosa i patrzył na Meksykanów znoszących na plecach świnię z wozu. Dźwigali ciężkie, zimne, białe tusze przez tłum i przez pasy plastiku zwisające w wejściu na zaplecze chińskiego sklepu.

Wszędzie widniały pionowe chińskie szyldy. Ktoś próbował wcisnąć mu ulotkę, Skinner powiedział: Nie rozumiem cię – i ją wyrzucił. Wszedł do kiosku i kupił red bulla. Metalowe półki były pełne pornografii. Zobaczył dziewczynę z mokrymi włosami przylepionymi do twarzy i rozmazanym tuszem.

Wciąż go popychano i zaczęło go to drażnić. Przepchnął się przez ludzi wchodzących do kiosku, a dotarłszy na zewnątrz, wypił napój, dając się ponieść tłumowi.

Kolejna kobieta metr dwadzieścia wręczyła mu ulotkę.

Ma-sa-dzi, powiedziała.

Na kartce było napisane: „masaż 1 godzina”.

Świetnie, powiedział, i wsadził ulotkę do kieszeni.

Śmieci na ulicy miały dziwny zapach. W oknach widział czerwoną pieczoną wieprzowinę na stalowych hakach. Matka kucnęła, żeby pomóc synkowi wysikać się do ścieku. Kiedy rzucił pustą puszkę do śmietnika, jakiś imigrant w kwiecistych rękawiczkach wychynął z tyłu i podniósł ją szczypcami. Skinner usłyszał zawodzenie wielu nakładających się głosów. Kobiety miały na sobie czarne skórzane kurtki i kozaki na szpilkach z klamerkami oraz frędzelkami. Jedna z nich spojrzała wprost na niego – miała podkreślone oczy i grzywę włosów farbowanych na czerwono – po czym zniknęła w tłumie.

Szedł aleją, przeszedł pod mostem kolejowym, skręcił w uliczkę i rozglądał się, aż trafił pod drzwi ze schodkami – każdy z napisem „Table Shower” – które prowadziły do salonu masażu na pierwszym piętrze. Nocą schodki świeciły jak pas startowy i z łatwością można było stwierdzić, co to za zakład, ale w ciągu dnia trzeba było czytać po chińsku, żeby się tego dowiedzieć. Doszedł do osiedli za torami kolejowymi. Stamtąd zobaczył most i rzekę, po czym kolejną uliczką dotarł znów do zatłoczonej alei.

Wyjął z kieszeni ulotkę i ją przeczytał. Fala ludzi niosła go jak pas transmisyjny z powrotem wzdłuż wszystkiego, co już mijał. Kiedy po raz drugi przeszedł pod mostem, zobaczył grupę ludzi stojących bezczynnie przed budynkiem wyglądającym na przeznaczony do rozbiórki, palili papierosy. Na piętrze wisiał zepsuty szary neon z napisem Karaoke TV. Skinner spróbował zajrzeć do środka przez okno pokryte grubą warstwą brudu.

Mężczyźni zmierzili go wzrokiem. Co ten cudzoziemiec robi? Popatrz na jego ciuchy. Glina? Inspektor sanitarny. Ktoś, kto ma za dużo czasu. Nie zwracaj na niego uwagi.

Skinner otworzył drzwi i wszedł do środka. W budynku były woda i światło, poczuł to od razu. Tylne drzwi były otwarte. Jakiś mężczyzna, młody, jeśli sądzić po głosie, stał na ulicy, głośno rozmawiając przez telefon w ostro brzmiącym azjatyckim języku. Schody prowadziły na górę i w dół. Kiedy Skinner zaczął kręcić się po parterze, odkrył labirynt pełen towarów za dziewięćdziesiąt dziewięć centów. Z sufitu zwisały plecaki i parasole. Sprzedawcy, wciągający kluski ze styropianowych opakowań i rozmawiający donośnie, ucichli, kiedy przechodził korytarzem. Gdy spojrzął za siebie, zrozumiał, że przypatrują mu się przez kamery przemysłowe.

Co jest tam dalej?

Ostentacyjnie go zignorowali. Zauważył, że wymieniają spojrzenia, a jakaś kobieta przygląda mu się, jakby był potworem. Mężczyzna w złotym łańcuchu kręcił się wokół niego, udając, że nie patrzy. Kiedy Skinner powtórzył pytanie, robiąca na drutach arogancka kobieta koło czterdziestki pokręciła głową. Następnie odwróciła się do pozostałych i powiedziała: Bądźcie ważni.

Nie mówić po angielsku, tak? Wszystko jasne.

Włożył dużą dłoń o połamanych paznokciach do kartonu, wyciągnął stanik powiększający biust, wrzucił do pudła.

Poczłapał na górę w swoich ciężkich butach. Natknął się tylko na zamknięte drzwi i stolik na półpiętrze, zavalony paczkami przypraw i innymi rupieciami. Zbiegł na dół i wystawił głowę na ulicę, poczuł zapach śmieci, zobaczył schody pożarowe i usłyszał wentylatory. Nie było śladu po osobniku, który przedtem rozmawiał przez telefon. Wszedł z powrotem do środka i zajrzał na schody – tym razem do piwnicy, w której jeden przy drugim stały wózki gastronomiczne. Słychać było głośny syk ognia. Na podłodze rozmiękały serwetki, spod sparciałego linoleum wyzierało drewno. Obszedł rdzewiejące składane stoliki, przy których w dżinsach, z kluczami przypiętymi do pasków siedzieli Azjaci, wgapiając się w swoje telefony.

Czego chce? – krzyknęła jakaś kobieta.

Gdzie jest masaż?

Gdzie kto jest?

Gdzie jest punkt masażu? Dziewczyny?

Nie! Nie ma dziewczyny! – wrzasnęła. Makaron!

Skinner zajrzał do metalowego garnka.

No dobra, co to za makaron?

Pokazała chochlą na tabliczkę nad głową. Na górze, powiedziała.

Na tabliczce widniało: „Drób po domowemu północny ostry 2,75\$”.

Wędrował przez labirynt stolików i filarów ledwo podtrzymujących sufit, wśród syku gazu, wrzasków i szczęku woków. Kiedy nie dało się już dalej pójść, wrócił do słabo oświetlonych stalowych drzwi i przekrzywionego szyldu, którego przedtem nie zauważył. Przyjrzał im się znowu. Styki alarmu zostały zamalowane. Po tej stronie nie było klamki, ale widział, że zasuwka jest otwarta. Obejrzał się szybko przez ramię, włożył palce w szparę i pociągnął. Nic nie zaczęło wyc. Otworzył drzwi na oścież i schylił się, by wejść. W środku zobaczył betonowy korytarz.

Sufit był w połowie rozwalony, a podłoga usiana połamanymi, zamokłymi, wypaczonymi, przegniłymi płytkami dźwiękochłonnymi. Trzasnęły za nim drzwi pożarowe. Stał przez chwilę i nasłuchiwał. Powietrze było zimne. W oknie w betonowej ścianie wisiała płachta plastiku, nadymała się przy zmianach ciśnienia. Zza płachty słyszał ulicę. Coś szumiało cichutko, na granicy słyszalności; odwrócił głowę w kierunku źródła dźwięku. Zrobił krok, spod pięty wystrzeliły mu odłamki betonu. To pewnie brzęczy transformator, pomyślał. Zagłębił się w korytarz, mijając hydranty sterczące z podłogi, i zaczął dostrzegać światło jarzeniowe. Gdy korytarz skręcił, Skinner przeszedł za róg i kogoś zobaczył.

Siedziała na schodach pożarowych w obcisłych poprzecieranych dżinsach. Miała ręce brudne od pracy i ciemne włosy związane w kucyk, uda zaokrąglały się jej w miejscu, gdzie siedziała. Na szyi, od linii kołnierzyka do żuchwy, odznaczał się mięsień. Rondo jej kapelusza podniosło się do góry i spojrzała na niego.

Hej, powiedział.

Patrzyła, a on się zbliżył.
Spokojnie. Źle skręciłem.
Zgubiłeś, powiedziała.
Tak, zgubiłem się.
Podszedł nieco bliżej.
Nie spuszczała z niego wzroku. Z początku pomyślała, że to gliniarz. Teraz zauważyła jego moro.
Jesteś wojsko?
Spojrzał na siebie.
Tak. Właśnie wyszedłem. Jeszcze parę dni temu byłem na południu. Dopiero co przyjechałem.

Pierwszy raz w Nowym Jorku.

Wysłuchała go i założyła włosy za ucho.
Mieszkasz tu?
Ja mieszkam? – zapytała.
Tak, ty. Czy mieszkasz – pokazał na podłogę – tutaj?
Nowy Jork? Tak, mieszkam Nowy Jork.
Podoba ci się tu?
Tak, dobrze.
To musi być dobre miejsce na imprezy.
Imprezy?
No wiesz, piwko, jakaś dobra muza, te sprawy. Po prostu imprezy...
Zaśpiewał dam, da, da, dam, da, da i powyginał się tanecznie.
Lubię, powiedziała z uśmiechem. To jest bardzo dobre.
Ich oczy spotkały się, po czym oboje uciekli wzrokiem.
Wyjął papierosy.
Palisz?
Nie.
Grzeczna dziewczynka, co?
Jestem biegaczką.
Biegaczką? W sensie, biegasz?
Tak, biegam.
A czemu pytałaś, czy jestem z wojska? – spytał Skinner.
Czemu? Czemu ja pytać?
No, czemu?
Bo moja rodzina, jesteśmy wojsko.
Byłaś w wojsku? Jakim?
Nie ja jestem. Mój ojciec. W Armii Ludowo-Wyzwoleńczej. Mój ojciec jest sierżantem.
No co ty! To dlatego jesteś taka silna? Wyglądasz na silną.
Silna? Tak! Wstała i zrobiła głęboki wykrok.
Codziennie biegam, robię gimnastykę. Tak jak to – pogłębiła wykrok, dotykając kolaniem

podłóża.

Skinner patrzył, jak zginają jej się nogi.
Mogę zrobić takich dużo. I... i *jangwotui*.
Co?
Jangwotui, powtórzyła. Ruchy takie jak te – zrobiła gest naśladowy pompki.
Większość dziewczyn nie umie.
Tak! Ja umiem.
No, nie wiem. Musiałbym zobaczyć.
Pokazuję ci.

Opadła na kolana, odgarnęła kawałki betonu spod dłoni i założyła stopę za kostkę drugiej.
Skinner patrzył na telefon komórkowy rysujący się w tylnej kieszeni džinsów. Zrobiła idealną pompkę.

A po wdechu wykonała całą serię.

No, no, pochwalił.

Wstała z uśmiechem i otrzepała ręce.

Dziesięć, podsumowała.

Coś niesamowitego.

Proszę! – powiedziała, cofając się i gestem zapraszając go na podłogę.

Że niby ja?

Tak! Ty pompki! Proszę!

Ile ma być? – spytał, ściągając kurtkę.

Och! Sto! W chińskiej armii chłopcy potrafią sto. Jeśli chcesz lepszy od nich, to może sto dwadzieścia!

Tylko tyle?

Schylił się i zaczął robić pompki.

Patrzyła na jego wyprostowany kark i krótko ścięte włosy, na muskularne łopatki schodzące się i rozchodzące, jego energię kinetyczną, kiedy podrzucał i opuszczał ciało. Odliczał szybkimi, cichymi słowami. Przesunęła wzrokiem od gwiazdki na jego szyi w dół, aż do cholewek butów. Koszulka wilgotniała mu pośrodku pleców. Zatrzymał się, prostując wytatuowane ramiona z napiętym tricepsem, odetchnął i kontynuował. Kark mu poczerwieniał. Odliczał miarowo, nawet pod koniec. Wreszcie mruknął, wygiął grzbiet i powoli wstał.

Pięćdziesiąt starczy?

Dobry jesteś! Uniosła kciuki do góry.

Czy ja wiem. Byłem.

Tak, silny! Bardzo silny! – zapewniła.

Nic wielkiego.

Pomacała go po ramieniu. Napiął mięśnie, żeby mogła za nie złapać.

Masz chińskie słowo?

Podciągnął rękaw i pokazał.

Tu jest napisane „Bez pracy nie ma kołaczy”. Umiesz przeczytać? Czy to jest tam napisane?

Coś w tym rodzaju, oceniła.

Chcesz dotknąć? Spytał, wskazując na klatkę piersiową. Spokojnie przejechała po niej dłonią.

A ty? Też pokażesz?

Tak. Napięła dla niego biceps. Oboje patrzyli, kiedy macał go przez podkoszulek z długimi rękawami.

A nogę?

Nogę? Dobrze.

Zrobiła krok wprzód, ugięła kolano i położyła sobie jego dużą dłoń na udzie. Rany, westchnął. Pozwoliła mu przejechać dłonią do biodra. Dobre? – zapytała. Napięła dla niego mięsień.

Cholera.

Po chwili odskoczyła.

Skinner spojrział za nią.

Muszę iść do pracy.

Musisz?

Tak, idę.

Podniósł kurtkę ze schodów i popędził za dziewczyną.

Przemierzył za nią zaniedbany korytarz i wyszli przez drzwi pożarowe.

Ej, czekaj.

Zou Lei zwolniła dla niego.

Chcę cię o coś zapytać, powiedział Skinner.

Rano na stromej uliczce okolonej krzakami i płotami, przypominającej górski szlak nad autostradą, Zou Lei widzi kobietę w stożkowym słomianym kapeluszu, z włosami podzielonymi na trzy czarne strumienie, jeden spływający w dół pleców, a dwa pozostałe po bokach, aż do pasa. Kobieta pcha kosz na pranie wypełniony butelkami, których szyjki sterczą w różnych kierunkach i się krzyżują. Włosy zwisają jej jak zniszczona czarna chusta. Chuda kobieta, której wiek trudno określić, nie widząc twarzy, cała zdaje się historią swoich włosów, jak gdyby przygotowywała się dla ukochanego i czekała na niego wiele lat, całe życie.

Telefon zadzwonił jej w kieszeni, kiedy była w okafelkowanym pokoju ze zlewem i siekała. Odłożyła tasak, wytarła ręce o fartuch i wyjęła aparat.

Wai? – zapytała. Halo?

Sprawdziła zasięg i nasłuchiwała, ale nikt się nie odzywał. Gdy przyszedł czas na przerwę, schowała się w bocznej uliczce i próbowała oddzwonić. Chodziła w tę i w tę pod schodami pożarowymi z telefonem przyciśniętym do ucha, zgięta w pół, i patrzyła w niebo. Było dziwnie rozjarzone, jakby za wrzącymi żółtymi chmurami płonął magnez. Usłyszała trzask na linii i głos Skinnera powiedział: Hej.

Hai! – odpowiedziała. Oddzwaniam. Nie mogę odebrać przedtem. Ty dzwoniłeś, prawda?

Wytarła o udo kawałek dyni, który przyczepił się jej do dłoni opuchniętej od pracy, i zaśmiała się z czegoś, co rzucił Skinner. Oparła się o mur i przyłgnęła stopą do ściany za sobą. Mówił, że mogliby się spotkać. Pokiwała głową.

Jeśli jesteś wolna, upewnił się.

Tak, jestem wolna. Jak tylko praca kończy, jestem wolna.

Słuchając jego słów, wsunęła kosmyk włosów za ucho i uśmiechnęła się, ukazując dołeczki w policzkach, mocne zęby i cieniutkie zmarszczki mimiczne wokół ust.

Otaczało ich światło neonów i reflektorów, kiedy wynurzali się z ciemności wśród chińskich szyldów i znaków, by zaraz z powrotem się w nią zanurzyć. Skinner musiał prawie krzyczeć. Dookoła roilo się od Azjatów. Zou Lei szła z rękami skrzyżowanymi na piersi, śmiała się, a wiatr zwiewał jej włosy na twarz.

Ale śmieszne!

A ja na to: nie, koleś!

To zwierzę.

Ja na to: nie rób tego, weź się zastanów!

Ich połączony pęd spychał im ludzi z drogi. Albo ludzie ani drgnęli, tylko Zou Lei i Skinner rozdzielali się, mijali przeszkodę i spotykali się po drugiej stronie. Skinner kontynuował:

Ja na to: weź na wstrzymanie!

I mówił dalej, nie bacząc na mijanych ludzi, którzy wyrastali przed nimi na drodze jak papierowe tarcze.

Nagle stanął i ona też stanęła; ktoś ją popchnął, ale nie zauważyła. Czekwała i wyjmowała sobie włosy z oczu, a Skinner zapalił.

Z jego złożonych dłoni buchnął kłęb dymu, wzbil się i rozpląnął w ciemnym powietrzu, a kiedy opuścił rękę, trzymał w niej żarzącego się papierosa. Ruszyli dalej.

Patrz! Przyda się do tej historyjki.

Zaśmiała się: Ale śmieszne! Niesamowite.

Popatrz na to, mówię mu. Patrz, co robisz!

Zwariowane!

Ty to jakoś rozumiesz. Nie wiem, jak to robisz. On nie rozumiał.

Kiedy znaleźli się na drugim końcu Chinatown, stwierdził:

Nie mam pojęcia, gdzie jesteśmy. A ty?

Znów się zatrzymał, rozejrzał dookoła, a ona towarzyszyła mu w oglądaniu osiedli, zajezdni kolejowych, autostrady i dźwigów.

Walić to! Zaczął znów iść.

Warić to! Zaśmiała się i pogroziła pięścią w powietrzu.

Walić. Wisi mi to. Nie ma znaczenia. Będziemy drałować, aż nie pierdolniemy. Nie ma znaczenia, dziura w ziemi czy most. Zrobimy to po wojskowemu. Zajmie nam to piętnaście godzin – to trudno. Powyglupiajmy się.

Poszalejemy!

O, tak, poszalejemy. Będziemy strzelać do osłów.

O Boże!

Łapię kolesia za ramię, a on się cały trzęsie z przerażenia.

Śmieszne.

To takie głupie. Robiliśmy masę głupot. Naprawdę mam nadzieję, że jutro nie pracujesz, bo nasza dwójka nie wróci.

Przeszli mostem nad wodą i dotarli do przemysłowej dzielnicy na brzegu, gdzie stały dźwigi i kontenery. Spojrzała na małe chińskie szyldy za nimi.

Myślę, że możemy po prostu zawrócić i iść do tyłu.

To prawda, ale widzisz, w tym rzecz. Nie myślisz jeszcze po wojskowemu.

Muszę być bardziej szalona.

Szalona! Nie bój żaby, nauczysz się. Wiem, że się boisz, ale jestem z tobą i pomogę.

Poklepał Zou po plecach, po czym spróbował objąć ją ramieniem.

O mój Boże. Jesteśmy tacy zwariowani. Zgniatasz mnie tą ręką.

Już dobrze. Jestem tu, żeby podnosić cię na duchu.

Za ciężka. Ta ręka jest zwariowana. Boże, nie mogę iść. Chodźmy normalnie.

Okej, ale potem podniosę cię na duchu.

Daleko jesteście.

To dopiero zadupie.

Mijali stadiony i parki. Niebo było nieco jaśniejsze, a wszystko na ziemi czarne. Czerwony żar papierosa pojawiał się i znikał wraz z ruchami ręki Skinnera. Powędrował do ust, rozjarzył się, pofrunął łukiem i odbił się od ziemi.

Stańmy na chwilę, powiedział Skinner.

Co?

Stań na chwilę. No chodź. Chodź tu.

Dlaczego?

No chodź. Trochę bliżej.

Po co?

Bo jestem zwariowany. Chcę znowu dotknąć twojej nogi.

Nie, nie teraz.

No dawaj, przedtem byłaś taka wyluzowana. Chcę sobie przypomnieć, jakie to uczucie.

Teraz za zimno. Za zimno. Teraz za zimno, żeby stawać. Daj spokój. Musimy iść.

Obok nich przejechał samochód; na białej twarzy Skinnera pojawił się rozciągnięty cień palców dłoni, którą zasłaniał się przed blaskiem.

Chodź, idziemy.

Tak jest, psze pani. Odbiór.

Niedługo dojdziemy na miejsce.

Wiesz, gdzie jesteście?

To niedaleko.

Kiedy przeszli Sto Jedenastą Ulicę, pojawiło się więcej reflektorów błyskających pod wiaduktem i zaczęli się trzymać chodnika. Z daleka dobiegało ich coraz głośniejsze dudnienie, a metro przejechało z łoskotem nad ich głowami, zwolniło i zatrzymało się ze zgrzytem. Pufnęło, otworzyły się drzwi, padło na nich zimne białe światło z wnętrza wagonów i odezwały się głośniki. Zanim doszli do metra, pociąg odjechał, rzucając niebieskie iskry. Schodami w kształcie litery Z schodziła na ulicę grupka milczących mężczyzn o hinduskich twarzach, z plecaczkami na cienkich szelkach i w butach roboczych.

To miejsce miałaś na myśli?

Na skrzyżowaniu pachniało słodkimi smażonymi zielonymi bananami i kurczakiem.

Byłam tu już przedtem.

Grupa mężczyzn przechodziła przez skrzyżowanie przed charczącą ciężarówką, której reflektory rzucały ich cienie na betonową ścianę stacji. Zou Lei im się spodobała, jeden z nich zagwizdał.

Mają tu bary. Napijesz się ze mną?

Jak chcesz.

Weszli do bezokiennego jednopiętrowego budynku wypełnionego czerwonym światłem i hiszpańskim śpiewem. Niektórzy mężczyźni stali w ciemności prawie bez ruchu, kołysząc się tylko w kowbojskich kapeluszach i paskach z klamrami. Jeden z nich się zatoczył i złapali go koledzy. Nie dochodził od niego żaden dźwięk, ale było widać, że ma otwarte usta i zamknięte oczy i woła coś albo po prostu się drze.

Skinner i Zou Lei czekali przy barze, aż podeszła do nich niska barmanka w kowbojskim kapeluszu.

Dwa piwa, powiedział, podnosząc dwa palce. Coorsy.

Corony, poprawiła kobieta.

Gdy tylko butelka stanęła przed Skinnerem, chwycił ją i błyskawicznie wypił połowę.

Zou Lei mówiła coś do niego, ale jej nie słyszał. Uniosła swoje piwo i stuknęli się butelkami, po czym nieco upiła. Objął ją ramieniem. Odsunęła się trochę i zrobiło się dziwnie.

Podnoszę cię na duchu! – wrzasnął, ale ona pokręciła głową, więc opuścił rękę.

Wciąż jesteśmy zwariowani, powiedział. Wiem, że jesteśmy.

Nie słyszę.

Wiem, to wariactwo.

Tęczowe lampki otaczały szafę grającą, która pośrodku miała wizerunek świętego.

Lubisz muzykę?

Rozglądał się dookoła w ciemności. Na dźwięk jej głosu spojrzął jej w oczy i powiedział: O tak.

Skierował jej uwagę na wiszący nad barem telewizor o wysokiej rozdzielczości, na którym leciała profesjonalna walka bokserska między zawodnikami z Meksyku w szortach z frędzlami i wysokich butach. Przyglądał się jej profilowi, kiedy patrzyła na mecz.

Niezły telewizor! – ryknął.

Pokiwała z powagą, twarz miała niebieską od ringu.

Skinner zauważył, że jakiś facet w bandanie się na niego gapi. Barmanka postawiła przed nimi następną kolejkę.

Ej, sprawdzimy, jak szybko jesteśmy w stanie wypić te dwa? Popatrz tylko!

Wypił swoje piwo duszkiem na jej oczach.

Twoja kolej.

Odchyliła głowę, a on patrzył na pracę jej gardła, gdy połykała zawartość całej butelki, którą postawiła pustą na barze obok jego.

Ja nie upijam.

Ale zmierzasz w dobrym kierunku.

Ustawili na kontuarze lasek z pustych butelek.

W Chinach piwo jest o wiele większe – o, takie duże! Rozłożyła ręce, żeby pokazać rozmiar. Nie umiem takiego wypić. To małe tutaj to nic.

No dobra. Więc jeszcze jedno razem.

Ale ja i tak nie upijam.

Podszedł do nich mężczyzna w bandanie.

Masz najładniejszą dziewczynę w barze.

Dzięki.

Myślę, że jest tu najlepsza.

Skinner stuknął się z nim butelką. Mężczyzna pochylił się ku Zou Lei i dotknął również jej butelki.

Powiedziałem mu, że jesteś najładniejszą dziewczyną w barze.

Podniosła swoje piwo, a on swoje.

Niech was Bóg błogosławi, oznajmił mężczyzna. Spod bandany wyczierała poważna twarz i chociaż nie mógł liczyć więcej niż dwadzieścia pięć lat, miał otłuszczoną klatkę piersiową i brzuch. Zou Lei stwierdziła, że nie umiałby zrobić zbyt wielu pompek.

Przez pół minuty wszyscy troje skupili się na telewizorze. Mecz się skończył i na ringu kłębili się różni inni ludzie, niesportowcy. Wkrótce poważny mężczyzna się wycofał i stanął ze znajomym.

Latynoska muzyka była tak głośna, że można by w niej pływać.

Zou Lei popukała się palcem w ucho.

Co? Myślisz, że to świr?

Nie, muzyka!

Pokazała gestem dzwonek. Chyba nadchodzi zwierzę!

I naśladowała rękami ruch kopyt.

Nie przypominaj mi nawet!

Zastrzeleń to zwierzę!

Nie. To nie ja, przysięgam!

Otoczył ją ramieniem, przycisnął do siebie i zaraz puścił, zanim zdążyła zaprotestować. Minutę później objął ją z tyłu i chwycił za pukiel włosów. Na środku parkietu mężczyzna w czarnym kapeluszu kowbojskim tańczył z kobietą, która wyglądała tak, że gdyby urodziła córki i synów, to wszyscy oni

byliby pijani przez wieczność. Około pięćdziesiątki, miała na sobie czarną miniówkę, na obcasach była wyższa od partnera, któremu zarzuciła ręce na ramiona. Kiedy się poruszała, widać było klin jej rajstop.

Nie zabiłem go, zapewnił Skinner. Następna kolejka?

Jesteś wariatem.

Trzymam rękę na pulsie.

Silny z ciebie chłopak.

Przyciągnął ją do siebie, położył jej ręce na biodrach, oparł twarz o tył jej głowy; czuł zapach jej włosów i stali tak, kołysząc się.

Okej, starczy.

Barmanka w kowbojskim kapeluszu zebrała puste butelki do pojemnika, a kiedy się pochylała, czerwone światło padło na jej zwisające piersi.

Jeszcze raz, krzyknął Skinner, próbując nie wypuścić z objęć Zou Lei, która zaczynała się z nim mocować.

Za nas!

Za ciebie!

Za Amerykę! – wrzasnęła. Za twój kraj!

Jesteś spoko, powiedział.

Twarz Zou Lei tak bardzo zaczerwieniła się od alkoholu, że mogła wyglądać na poparzoną od słońca.

Mój kraj jest przyjacielem twojego kraju. Są jak jedno. Jak brat z bratem, przyjeżdżamy tu, żeby żyć. Niech się dzieje co chce, jesteście bracia.

Czuję to.

Wplótł palce w jej włosy, a ona się nie broniła.

Po tym, jak wręczył barmance swoją kartę płatniczą, oddała mu ją i pokazała na coś za ich plecami. Przeszli przez cały bar, zastanawiając się, co tam znajdują. A znaleźli bankomat przytwierdzony do przeciwległej ściany. Zou Lei poszła do łazienki, kiedy Skinner płacił rachunek. Oparła się na umywalce w malutkim zielonym pomieszczeniu. W kabinie ktoś wydrapał w farbie na ścianie: „Cholo BCB. Mi Corazón”[3]. Serce przebite strzałą.

Wyszli na zewnątrz i chwiejnym krokiem wędrowali pod wiaduktem metra. Śmiali się, Skinner wykonał swój taniec.

Biegniemy! – krzyknęła.

Wyrwała mu się i zaczęła biec, a on gonił za nią po schodach przez drzwi obrotowe i znów schodami w górę. Dysząc i rycząc ze śmiechu, wpadli do metra.

Wielkie dzięki. Tego mi było trzeba. Czy na miejscu zrobimy sobie wuef?

Sprawdzam cię.

Ty mnie sprawdzasz? Pewnie lepiej, żebym zdał.

Musisz się bardzo postarać.

A jak nie zdam? Więcej pompek?

Pompki, tysiąc!

Metro zawiozło ich tam, skąd przyszli. Czuli pustkę mijanych terenów, jak gdyby poruszali się po innej części świata, gdzie między domami przy rzadko rozstawionych latarniach jest tylko samotność.

Z ostatniej stacji, położonej pod ziemią, wspięli się schodami na ulicę. Na ostatnim biegu schodów minęli trzech zakapturzonych mężczyzn w luźnych dzinsach z niskim krokiem.

Co się lampisz? – spytał jeden z nich.

Skinner stanął i obrócił się na schodach. Wszyscy trzej patrzyli na niego.

Chcesz dostać, koleś?

Tu jestem, powiedział Skinner.

To zrób coś, koleś.

W plecaku jest pistolet, koleś.

Zou Lei zeszła do Skinnera i pociągnęła go za ramię.

Sprawdź mnie, koleś.

Facet z plecakiem zaczął wchodzić po schodach. Z głowy zwisały mu długie czarne warkoczyki – jak u Apacza.

Skinner nie ruszył się i nie powiedział ani słowa.

Słuchaj swojej dziwki, koleś.

Sprawdź mnie, koleś.

Kurwa, przestraszył się. Idź, koleś, idź.

Twoja dziwka uratowała ci życie, koleś.

Trzech mężczyzn pociągnęło się nawzajem w dół schodów.

Tu jestem, powtórzył Skinner.

Zou Lei pociągnęła go znowu, aż wyszedł z nią na ulicę.

Nie rób tak, poprosiła.

Nie powinni lecieć ze mną w kulki.

No chodź.

Nie odzywał się, kiedy przechodzili przez skrzyżowanie, które przypominało wielką, pustą scenę. Chodnik zaśmiecały ulotki, a w ciemności majaczyły chińskie szyldy.

Nie zwracaj na nich uwagi.

Nie zwracam.

Został w tyle, a potem ją dogonił. Zauważyła, że zapalił papierosa.

Ej! – wykrzyknęła i uderzyła go w ramię.

Wierz mi, nie zwracam.

Usłyszeli nadjeżdżający pojazd. Skinner trzymał głowę w dole, dopóki samochód nie wyjechał z za kulis sceny i migiem nie popędził ku nim, zalewając światłem i mijając ich szybko. Cienie zatańczyły na metalowych okiennicach sklepów, uniosły się i z powrotem opadły.

Popatrz tylko, zauważył, Mak jest jeszcze otwarty. Lubisz go?

Oczywiście, że lubię.

Okej, to idziemy!

Chwycił klamkę i wyrzucił papierosa na ulicę. Zou Lei weszła, pocierając ręce, i powędrowała do lady, a on za nią; stanął z tyłu i patrzył przekrwionymi oczyma na menu.

Chciała go zaprosić, ale kazał jej schować pieniądze.

Ja stawiam. Ona nie płaci.

Razem? – spytała dziewczyna za kasą, która tym razem nie była Chinką.

Tak, ale ona nie płaci. Jest po prostu uchachana.

Następnym razem ja zapraszam, uparła się Zou Lei. Prawdziwe chińskie jedzenie.

Czekali przez chwilę, kiedy dziewczyna podeszła do pochyłej półki, wyciągnęła dłoń i poczekała, aż wpadnie w nią hamburger. Mówisz, że to Mak. Ta nazwa, Mak, jest spoko. Spoko facet, powiedział Mak. Jesteś spoko? Nauczę cię chińskiego słowa: *maidanglao*.

Majdan-głał.

To znaczy Makdonal. Wymawiasz doskonale. Chyba jesteś Chińczykiem, może w połowie.

Jak się mówi „bądź moją dziewczyną”?

Dziewczyna: *niupengyou*.

Niu-pę-dziu.

Dostali swoje zamówienie, usiedli w jednym z boksów i odwinęli kanapki.

A więc jeśli koleś mieszka w Chinach, mówi niu-pędziu i ona już wie?

Daje jej prezent, żeby pokazać swoje uczucie. Jeśli jest bogaty, to kupuje jej telewizor albo lodówkę. Czasem chłopiec kupuje małe zwierzę, królik.

Królika?

Robi uszami cyk-cyk, ma czerwony nos, z nosa wychodzą mu włosy jak u kota. Tak, królik. Możesz trzymać w więzieniu.

Znaczy w klatce?

Tak, klatce, i dawać mu warzywo. Kiedy grubszy, to można go zjeść. Uciąć głowę – ciach – i upiec.

Robią kanapki z królika?

Może. Myślę, że można zrobić, jak ktoś chce.

Czy w Chinach można iść do McDonalda i dostać McKrólika?

Może niedługo. Chyba za tydzień.

Odłożył swojego burgera, wyłowił z kieszeni telefon i przysunął się do Zou Lei.

Usiądź koło mnie, żeby nas złapało. Muszę zapamiętać ten dzień.

Objął ją w pasie i przyciągnął do siebie. Zrobił zdjęcie, odwrócił telefon i spojrzał na nie. Na zdjęciu widać było jej głowę, przechyloną i opartą o jego kurtkę moro. Wyszła staro i pięknie.

Jej nogi pod stołem wyglądały młodo, ale nie uwolniła jego rąk i nie pozwoliła pomacać.

Wracaj na miejsce.

Twarda z ciebie sztuka.

Mówiłam, sprawdzam cię.

A co będzie, jak zdam test? Będiesz moją dziewczyną?

Chyba mogę.

A co będę miał z tego, jak będziesz moją dziewczyną?

Dziewczyne.

Tak, ale co dokładnie będę miał?

Puściła jego słowa mimo uszu.

Nie zadawaj tego pytania.

Ooo, daj spokój. Przepraszam.

Zjadł swoje jedzenie, bo będziesz głodny.

No już, powiedział i postawił między nimi duże frytki. Weź sobie. Odłożył kanapkę i przetarł twarz. Przydałaby się jeszcze jedna cola. Przekreślił się na siedzeniu i zerknął, czy przy kasach jest kolejka. Spojrzała na gwiazdę na jego szyi i szczękę, zaczerwienioną po goleniu.

Też chcesz?

Potrząsnęła lodem w kubku. Mam jeszcze, odparła.

Patrzył, jak Zou Lei wkłada frytki do swoich kobiecych ust splekanymi, zrogowaciałymi dłońmi, siedząc prosto z nogą założoną na nogę.

Nie wiem, która godzina, stwierdził, kiedy byli znów na zewnątrz. Było ciemniej niż przedtem, może dlatego że zgaszono część latarni. Powiedziała, że Skinner nie musi odprowadzać jej do domu, ale on odparł, że nie ma mowy i pójdzie z nią, więc zaczęli iść w górę długiej alei. Przeszli pod mostem kolejowym, minęli pogaszone szyldy, stragany nakryte brezentem, puste drewniane stojaki, które w ciągu dnia ugiwały się od warzyw i owoców. Skinner wszedł w jakiś owoc, rozsmarowany po chodniku jak połyskliwe wnętrzności.

Skęcili na rogu za parkingiem i poszli wąską drogą między budynkami z łukami nad wejściem. Na betonie wznoszącym się aż do wysokości piersi, zanim zaczynały się cegły, widniały powtarzające się imiona i liczby, szybko nabazgrane spływającym sprejem. Ostry zakręt. Obeszli kolejny róg, ulica zaczęła opadać. Prowadziła pod drzewami. Na balkonach pierwszego piętra wisały sznury z praniem. W ciemności dostrzegli flagę z półksiężycem. Ulica zrobiła się bardzo stroma. W oknie pojawiło się migające niebieskie światło i usłyszeli strzały, syreny i stłumioną muzykę. Gdzieś w dole wzgórze skręcili ponownie ku długiemu rzędowni szeregowców ciągnących się aż do autostrady. Wielkie czarne przestwory. Mijali samochody pod zadaszeniami i anteny satelitarne.

Mieszkasz tu?

Zatrzymała się, by wyjąć klucz.

Tak. Idę do domu.

Pozwól mi pójść z tobą.

Nie.

Będzie fajnie, obiecuję.

Nie. Mówimy do widzenia.
Chciał jej dotknąć, ale złapała go za przedramię.
Co? Chciałem tylko przytrzymać drzwi.
Pozwoliła potrzymać się za rękę.
Nie wiesz, jak to jest, powiedział.
Wiem.
Pozwól mi to zrobić. Tylko tyle. Tylko tyle co poprzednio.
Okej, wystarczy. Bądź grzecznym chłopcem.
Okej, zgodził się.

[3] Mieszanka angielskiego i hiszpańskiego. W wolnym tłumaczeniu: „Wróć do mnie, kochanie. Serce moje”.

Zdjęła dzinsy i przycupnęła na materacu z gołymi nogami i w samej koszulce, po czym zanurkowała w plastikowej torbie, która zawierała jej rzeczy. Wciągnęła spodnie od dresu, podwinęła je nad kolanami, odsłaniając mięśnie łydek napinające się podczas chodzenia, schylania się, kucania. Zniosła dzinsy do łazienki i odkręciła wodę nad wanną. Za sedes wciśnięty był karton detergentu. Wyjęła go i potrząsnęła, żeby przywrócić proszkowi sypkość, nabrała garść biało-niebieskich granulek i wtarła je w mokre spodnie. Jako dekoracja ściany występował karaluch. Nucąc pod nosem, złapała tkaninę obiema rękami i zaczęła ją pocierać.

Karaluch pomachał do niej czułkami. Nie jesteś taki znowu wspaniały, powiedziała do niego.

Zakręciła kran, wyjęła dzinsy i rozwiesiła na pałaku od zasłonki prysznicowej.

Nie przestając nucić, wytarła dłonie i wyrzuciła resztki proszku do mokrej torby w kuchni. Oplukwała ręce i wyjrzała za okno na szosę. Był środek popołudnia, odgłosy ruchu ulicznego przenikały przez izolację. Wyniosła śmieci, zmiotła podłogę i ustawiła sandały przed swoim boksem. Poszła sprawdzić dzinsy. Kiedy ścisnęła je w dole nogawek, po dłoniach pociekła jej woda. Zdjęła spodnie z pałaka i wyszła na zewnątrz.

Poprzedniego dnia kupiła na ulicy od jakiegoś Afrykanina bluzę za trzy dolary. Jestem teraz spoko koleś, powiedziała do siebie po angielsku, jakby sprzedawca mógł ją usłyszeć, i wciągnęła na głowę kaptur.

Szła drogą pod koronami drzew, mijając niską zabudowę, wypłowiałą amerykańską flagę, całą w strzępach, i stary, szeroki, kanciasty samochód pod zardzewiałą bramą. Parter był cały popisany farbą w spreju. Na końcu korytarza drzew przemknął autobus. Po chwili doszedł do niej jego odgłos.

W pralni automatycznej spędziła ostatni kwadrans na suszeniu spodni, oparta o suszarkę, której ciepło czuła na boku, zahipnotyzowana cykaniem ubrań podnoszących się i opadających raz po raz w miarę obrotów bębna.

Jakaś Portorykanka zapytała: Przepraszam, można? – a Zou Lei się przesunęła.

Do środka wszedł człowiek o lasce, w długiej ciepłej kurtce. Ten jedyny dorosły mężczyzna w pomieszczeniu usiadł z oczyma skrytymi pod daszkiem czapki, wyciągając nogi. Miał bardzo bladą opowatą twarz. Portorykanka popchnęła ku niemu dziecko. Trzymaj go. Niech nie biega.

Kiedy bęben się zatrzymał, Zou Lei otworzyła drzwiczki i pomacała ręką w środku.

No, nieźle. A jak się zbiegły, to nawet będą lepiej leżeć. O, nie bądź taką wariatką. Ja trochę jestem. Zwiń, wyładź. Złóż w kostkę. Wszystko jak w wojsku.

Szorty ujawniały bladość jego łydek. Miał szczupłe nogi, których mięśnie wyraźnie się rysowały, kiedy wchodził na siłownię po antypoślizgowej podłodze. Od tyłu jego sylwetka wyglądała jak litera V. Gdy był bez bluzy z kapturem i kurtki moro, tylko w podkoszulku, widać było mały sposób trzymania ramion i sztywny chód pakera, które były skutkiem odniesionej rany.

Dali mu biały ręcznik, z którym chodził od maszyny do maszyny, odbijając się krzywo w lustrach na ścianie, eksponując żółte emblematy na koszulce koloru khaki. Na plecach miał napis: „Trzeci Batalion Pustynny – Działamy w Ramadi – Prawdziwy żar to my”. Założył obciążenie na maszynę do ćwiczenia nóg, jeden talerz po drugim, jakby przygotowywał się do niezliczonych godzin harówki. Usiadł, oparł stopy na czarnych platformach i zwolnił hamulce po obu stronach. Ciężary zaczęły się podnieść. Na jasnych łydkach pojawiły się bruzdy napiętych mięśni, kiedy opuściwszy ciężar, podnosił nogi, by podnieść go z powrotem. Kiedy skończył, skoczył na równe nogi i zmienił obciążenie. Zdjął talerz i odwiesił go na stojak. Lustro odbijało jego grube, wytatuowane przedramiona, głowę nosił wysuniętą i pochyloną, jakby był przybity, ale nie do końca o to chodziło. Pewnych rzeczy nie widział. Upuścił ręcznik i przeszedł po nim.

Ile ci jeszcze zostało? – spytał ktoś.

Sporo. Mam przed sobą dużo pracy. Wydawało się, że nie może skupić się na jednej rzeczy;

wzrok miał nieobecny. Jak chcesz, to siadaj.

Spoko. Twój ręcznik?

Co?

Chyba rozzłościło go to pytanie. Wkrótce został sam. Pchał ciężary na suwnicy przez godzinę. Chodził do stojaka, żeby zmieniać talerze, i za każdym razem deptał po swoim ręczniku. Wreszcie kiedy niósł dwudziestokilowy ciężar oparty o klatkę piersiową, kopnął ręcznik butem poza pokonywaną przez siebie trasę, nawet na niego nie patrząc.

Kiedy skończył na suwnicy, podniósł ręcznik i wrzucił go do kosza na pranie po drodze do szatni. Jego ubrania leżały na dnie szafki bez zamka. W pomieszczeniu byli też inni ćwiczący. Kiedy zdjął koszulkę i odsłonił żebra i kręgosłup, zamilkli. Ich dyskusja o najlepszych miejscach na weekendową przejażdżkę na rowerze – przez most Henry’ego Hudsona do mostu Jerzego Waszyngtona, a nawet do Palisades, prawie dwadzieścia kilometrów, jeśli ktoś jest na siłach – na chwilę zamarła. Włożył czarną koszulkę Army Strong. Zarzucił na głowę kaptur, w którym wyglądał jak zakonnik. Kiedy sięgnął po portfel do kieszeni kurtki, zagrzechotały w niej tabletki. Wyszedł z szatni, dudniąc buciorami. Zauważywszy, że nie są zawiązane, przyklęknął na antypoślizgowej macie z gumy i zasnurował je.

Podszedł do stoiska z odżywkami, gdzie sprzedawano koktajle białkowe. Niezdrową skórę miał zlaną potem. Spytano go, co chce zamówić. Coś na masę, wyjaśnił. Krążył po sali z ciężarami i sącył z papierowego kubka gęsty płyn o smaku kredy. Podszedł do modlitewnika i odstawił napój na podłogę. Był sam środek popołudnia, więc na siłowni nie było prawie nikogo oprócz Karaibki składającej ręczniki. Sięgnął do przodu po sztangę i zaczął uginać ramiona. Pomiędzy seriami wlewał sobie do ust koktajl.

Po drugiej stronie białego pomieszczenia wypełnionego stałą pojawił się kierownik. Podszedł do niego. Skinner, który zdawał się patrzeć na kilka rzeczy jednocześnie, nie przestawał ćwiczyć. Kierownik mierzył metr osiemdziesiąt parę. Miał muskularne ramiona i nosił wysoko podciągnięte dżinsy, wpijające się w pośladki.

Przepraszam pana.

Kierownik nie był pewien, czy ćwiczący go zauważył. Bluza z kapturem zasłaniała mu głowę, biło od niego lekko ciepło, zapach potu i metalu unoszącego się znad ciężarów.

Przepraszam pana.

Skinner z sykiem wypuścił powietrze.

No?

Kierownik, cięższy od niego o jakieś trzydzieści kilo, oznajmił:

Nie wolno tu wchodzić w ciężkim obuwiu.

Prawie skończyłem.

Proszę skończyć serię i zmienić buty na sportowe.

Do końca zostało mi jeszcze pięć serii.

Kierownik jednak nalegał na bezzwłoczną zmianę obuwia. Skinner poszedł więc do szatni, ściągnął buty i cisnął je do szafki, po czym wrócił na salę i trenował w skarpetkach, aż znowu nie zjawił się kierownik.

Przepychali się w przejściu. Wypchnęła go i wygładziła bluzę. No chodź, chodź. Już dobrze. Już nie będę. Napał na nią w drzwiach, a ona ponownie go wypchnęła. Zaczekaj, zaczekaj, zaufaj mi. Było zimno. Starał się o nią otrzeć. Podniosła kolano. Odskoczył. Wycelowała palec w jego twarz: Jestem twoją siostrą. Nie mam siostry. Przytrzymała go za przeguby, a kiedy się wyswobodził, uchyliła się ze śmiechem. Objął ją, a ona strząsnęła jego ręce i rozłożyła siłą na boki. Nie dotykać. Niech będzie, jak jest. Nie. O co chodzi? Gapią się na nas. Odwrócił się, żeby sprawdzić, co miała na myśli, ale z tyłu nikogo nie było.

To zabawne. Daj spokój. Nachylił się ku niej, włożył jej rękę pod bluzę i ledwo zdołał dotknąć piersi, tak się wyrywała.

Stop! – rozkazała. Odepchnęła go i wymierzyła mu kopniaka w nogę.

Obrócił się bokiem i otrzymał cios pięścią w ramię.

Nie kłóćmy się.

Złapała go za ubranie, jakby chciała go nim zakneblować albo je rozedrzeć. Niechcący chwyciła za pasek jego plecaka.

Chwila.

Odsunął się i poprawił plecak.

Okej, wracamy do gry.

Nie. Niegrzeczny chłopiec.

Oj, nie nudź. Chodź tu.

Nie.

Serio, no chodź.

Nie. Jesteś jak dziki. Zero kontroli.

Poszedł za nią na główną aleję pełną ludzi i świateł. Zachowywała się, jakby przeczesywała stoiska w poszukiwaniu tego czy owego. Założyła ręce za plecami.

Patrz na to jabłko.

Dogonił ją.

Naprawdę ci odbiło?

Spoglądała na tłum ludzi na zakupach.

Patrz, brzoskwinia, gruszka, melon. Niesamowite.

Stali na skraju plamy światła z gołej żarówki zawieszanej na straganie, żeby można było widzieć towary, on w luźnym jasnym moro, oboje ze zsuniętymi kapturami i silnymi głowami jak u dwojga dzikich zwierząt, które powodowane czystą ciekawością wychyły z mroku i zawitały wśród ludzi.

Przeniosłam ze sto albo dwieście tysięcy takich melonów, powiedziała. Ja i matka.

Popukała w owoc palcem.

Skinner pomacał go.

Jak dla mnie to jest coś.

Patrz na rybę, pokazała.

Ryby były duże i ciężkie. Przeczytała tekturową tabliczkę zatkniętą w lodzie. Sześć dolarów. Hm, mruknęła.

Lubisz rybę?

Jest droga.

Chodzili po brzegu chodnika, mijani przez sznury kupujących, którzy znikali w ciemności. Zaryzykował i objął Zou Lei. Nie, inaczej, poprawiła i położyła dłonie na jego przedramieniu.

Wpadniemy do baru?

Ona jednak odpowiedziała: Nie, idziemy tędy.

Na szczycie wzgórza stał srebrny wózek z minarecikiem, który obracał się na dachu, wyrzucając kłęby dymu, prawie niewidzialnego w mroku. Czuć było jego zapach. Z boku wózka widniał napis „Xinjiang Shaokao jeden dolar”. Sprzedawca był w maseczce chirurgicznej i wojskowym ubraniu, obok przenośnej lodówki stała torba węgla. Wachlował grill kawałkiem kartonu. Patrzyli na rozżarzające się węgielki. Sprzedawca obrócił wszystkie szaszłyki po kolei.

Liangge yang, zakomenderowała Zou Lei.

Dwa razy baranina, powtórzył sprzedawca po chińsku spod maseczki.

Co mu powiedziałaś? – spytał Skinner.

Zamówiłam szaszłyk z baraniny. Mówiłam, że zaproszę cię na prawdziwe chińskie jedzenie.

Lade bulade?

Lade.

Co on powiedział?

Zapytał, czy ostre, czy nieostre.

Sprzedawca wziął szczyptę przyprawy z kubeczka i posypał mięso. Kiedy było gotowe, odciął końcówki patyczków specjalnymi nożycami. Dwa razy baranina! Podał Zou Lei szaszłyki niczym bukiet i zainkasował zapłatę.

Twój *nanpengyou*? – spytał ją.
Tak jakby.
Amerykanie to mają pieniądze, no nie?
A skąd mam wiedzieć.
Wszyscy wiedzą, tylko nie ty! Czemu nie kazałaś mu zapłacić?
Co się interesujesz?
Sprzedawca zsunął maseczkę, odsłaniając szczupłą twarz.
Zwrócił się do Skinnera. Ty, rzucił i potarł kciuk o palec wskazujący. Pieniądze.
Że co? – spytał Skinner.
Sprzedawca wrócił do podtrzymywania ognia, obracania mięsa i zagładania do lodówki.
Za bardzo się przejmujesz, stwierdziła Zou Lei.
Uważaj na siebie, siostró.
A, to o to chodzi.
Tak, o to chodzi.
Pilnij lepiej ognia. Nie popał sobie patyczków, poradził Skinner.
Sprzedawca wydał z siebie łagodny dźwięk, jakby uspokajał dziecko kołysanką.
Zou Lei wzięła Skinnera pod rękę i poszli do następnej przecznicy.
Minęli bloki mieszkalne i drzewa. Aleja została w tyle. W bardziej oświetlonych miejscach mienił się beton. Oparli się o rusztowanie, żeby zjeść.
Co z nim nie tak?
Może jest zły. Chińczycy biedni ludzie. Może nie ma pieniędzy na żonę, rodzinę.
Nie stać go na dziewczynę.
Albo nie stać ich na wspólne mieszkanie. Wiele rodzin jest rozdzielonych.
A więc wyżywa się na innych.
Możliwe. Może jest zazdrosny.
Łapię, potwierdził Skinner.
Jedli z brodami umazanymi tłuszczem.
Jadłeś już coś takiego?
No, powiedział, gryząc. U ciapatych itepe.
Smakuje?
Jak cholera! Dobrze. Trochę namieszało.
Jak namieszało.
Gryź swoją porcję.
Wiesz, trawienie, te sprawy.
Nie jesteś przyzwyczajony. Ale możesz się przyzwyczaić. To jest bardzo zdrowe. Ludzie, którzy to jedzą, rosną, rosną, rosną.
Podniosła ręce do góry, ponad ich głowy.
Ten nie jest najlepszy. U mnie w domu jest najlepszy. Nie uwierzyłybyś. Baran jest bity tuż przed.
Rano jest żywy, biega sobie. Po południu wisi. Tniesz mięso, rozpalasz ogień.
Pokiwał głową.
W życiu takiego nie jadłeś. Chleb piecze moja matka. U mnie w domu są góra, las, opowiadała dalej. Rzeka. Wszystko.
Przyglądał się jej sylwetce. Zaczęła coś mówić, lecz przerwała.
Co? – spytał.
Zgaduj.
To daj odpowiedź.
Nie jestem Chinką.
Myślałem, że jesteś.
Nie. W połowie.
Pochyliła się, aż dolna połowa jej twarzy wyszła z cienia. Przyjrzał się jej podbródkowi.

To kim jesteś?
Nie miał pojęcia.
Muzułmanie. Oni jedzą barana.
Wyszczrzyła się, ugryzła szaszłyk i wzięła kolejny kęs.
Jaja sobie robisz?
Obeszła go i uśmiechnęła się do niego w ciemności.
Wzruszyła ramionami.
Trąciła go w łydkę czubkiem adidasa.
Dziwiony?
Nie. Czuję, że jest w tobie coś innego.
Może już nie chcesz się ze mną bawić?
Nieprawda.
Przytulić ją. Stój w miejscu, to pokażę ci w okamgnieniu.

Trafili do KFC w chaotycznej latynosko-czarnej okolicy. Doszli tam przez pofałdowany teren z wysokimi drzewami i małymi domkami oraz wąskim paskiem chodnika, czasami idąc jedno za drugim z nią na przedzie, deptając po zamokłych kartonach, które mogły pozostać po kempingach. Szyby restauracji były zaparowane, a po całym lokalu, wydzierając się do siebie nawzajem, biegały bandy nastolatków ubranych jednorodnie na czerwono i z afro. Zaklepała dla nich dwójga stolik. Twarz miała opaloną, oczy błyszczące. Skinner wrócił od kasy z zamówieniem, prawie potykając się o czerwono-czarne jordany na nogach wyciągniętych wzdłuż przejścia między stolikami.

Postawił przed nią tackę. Zaklaskała.

Mamy wszystkiego!

Wiem. Masz, twoja cola.

Usiadł i coś ciężkiego w jego plecaku, który znowu zabrał na spotkanie z nią, uderzyło o siedzenie. Wyswobodził się z szelek i odstawił plecak pod stół, między nogi. Sięgnęli do kubelka po kurczaka. Nachyliła się i jadła obiema rękami. Włożył do ust panierkę schodzącą z kurczaka i wytarł twarz, a potem ręce, które z powodu brudu przy paznokciach nawet po umyciu wyglądały, jakby przerzuczał węgiel.

Przy sąsiednim stoliku wydierał się damski głos: Przystaniesz wreszcie pieprzyć? – po czym nastąpiła burza krzyków. Jeden z nastolatków piał z zachwytem i tupał jordanami o podłogę.

Chcesz lody? – spytał Skinner Zou Lei.

Lody! Pokiwała głową. Może. Może to fajne.

Chyba rozumiem.

Przyniósł im lody w waflu. Kiedy byli w połowie jedzenia, przysunął się do niej, sięgnął pod stołem i ścisnął ją za udo. Noga nie stawiała oporu, jak gdyby ciepło restauracji rozluźniło jej mięśnie.

I jak te lody, kochanie?

Dobre!

Polizała lód z boku. Skinner patrzył na nią, na poziomą linię jej warg. Powoli przejechał ręką w górę jej uda. Przełknął. Przesuwał ręką po całej długości jej uda i ścisnął.

A to?

Spojrzał na nią.

Pokiwała głową, skupiona na rożku, jakby nieobecna. Znow przełknął. Patrzyła prosto przed siebie. Jego ręka pracowała pod stołem. Przez dżinsy czuć było ciepło skóry. Udawał, że je swoje lody. Chwilę później westchnęła i pochyliła się do przodu, chowając twarz przed nim i innymi. Zarumieniła się, znieruchomiła i rozchyliła nogi. Słyszał bicie jej serca, jej dżinsy zwilgotniały. Kontynuował, rozglądając się na boki. Wtem wyraźnie zadrżała, zachwiała się, osłabła i zawisła na jego ramieniu.

Na zewnątrz, obejmując ją w pasie, powiedział:

Wszystko jedno, gdzie pojedziemy, ale musimy coś znaleźć. Czujesz to? Przycisnął się do jej nogi.

Tak, czuję.

Rozglądał się za jakimś czarnym samochodem, który mógłby być taksówką.

Masz to ze sobą?

Co?

No... *Biyuntao*.

Gumkę? Tak, mam. O, jedzie. Zatrzymam tego głupka.

Kiedy lincoln town car z machającą anteną stanął przed nimi, Skinner i Zou Lei usiedli na skórzanej tapicerce. Na lusterku wstecznym dyndały drewniany krzyżyk i choinka zapachowa, a z głośników dudnił reggaeton.

Koleś, potrzebujemy jakiegoś hotelu w okolicy, nie za daleko. Czaisz? Jakie tu mają hotele?

Kierowca, którego ledwo widzieli, powiedział, że zawiezie ich na Queens Boulevard.

Nie możemy pojechać do ciebie, prawda? – upewnił się Skinner.

Nie, bo ma współlokatorki.

No to jazda, na Queens Boulevard.

Zanim jednak taksówkarz zdążył przycisnąć pedał gazu, Skinner kazał mu poczekać. Wskoczył z wozu i pobiegł z powrotem do KFC. Po chwili wyszedł z czymś w rękach – był to jego plecak, a w nim pistolet, pozostawione pod siedzeniem w restauracji.

Gdy po raz pierwszy zdjął przed nią koszulkę – to było w motelu, który znaleźli w Rego Park – zobaczyła żółtawoszary tors w świetle lampy, która rzuciła na niego cieplejsze światło, sprawiając, że jego skóra zdawała się żywsza niż w rzeczywistości. Nie zwracała na to uwagi. Przesunęła ręką od ramion ku plecóm, po czym cofnęła dłoń i przestali się na chwilę całować. Obróciła go, żeby lepiej się przyjrzeć w świetle. A, o to chodzi, powiedział.

Nie wiedziała, co to takiego; nie powiązała tego z wojną.

Myślała, że Skinner ma tę skazę od urodzenia albo że to coś zakaźnego.

Niczym się nie zarazisz.

Dobrze, powiedziała. Dotknęła. Tkanka była zimna.

Boli?

Niespecjalnie.

Położyła rękę na nierównej, grudkowatej, powgłębianej, śliskiej powierzchni ciała.

To z wojny?

No, przytaknął.

Zacmokała.

Postrzelili cię?

Szrapnel, odpowiedział, stojąc do niej plecami.

Przyglądała się jeszcze przez moment. Westchnęła. Przeniosła rękę powyżej blizny i przejechała nią po skrzydłach śmierci rozpostartych wzdłuż jego ramion.

Znalazł na Craigslist pokój w jej okolicy, stację dalej, na Long Island Railroad. Z Chinatown złapał autobus przez Franklin Avenue i wysiadł na Sto Sześćdziesiątej Ulicy. Tam, pod linią energetyczną, stały same małe domy, a przed nimi leżały porzucane adidas. Chodniki były powgłębiane, przez co można było odnieść wrażenie, że na ziemi zalegają kałuże wody, jak po deszczu. Za drzewami widać było tory kolejowe i graffiti na kamieniach.

Jeden z domów miał mikroskopijne podwórko pełne posążków i figurynek, wizerunków elfów, mędrców, ukrzyżowania, skrzatów i zwierząt. Były tam również sztuczne kwiaty, sanki i obracający się wiatraczek. Na ganku wisiały dzwonki powietrzne i naklejka na zderzak z flagą amerykańską z obchodów rocznicy jedenastego września. To był cel jego podróży. Zza firanek w oknach z domu wyzierała martwota. Były też aniołki. Zepsute żaluzje w oknie na piętrze.

Obszedł pick-upa – tym razem bez naklejek na zderzakach – którego ktoś zostawił zaparkowanego na popękany chodniku, podszedł do bocznych drzwi i zapukał.

Nie usłyszawszy niczego, nacisnął dzwonek, ale może niepotrzebnie, bo w tym samym momencie usłyszał czyjś głos: Już idę.

Drzwi otworzyła ogromna, o głowę wyższa od niego, młoda kobieta w czerni.

Od razu zapanowała między nimi atmosfera chłodnej niechęci, unikali patrzenia sobie w oczy. Nie przywitała się z nim. Powiedziała tylko: Matka jest w kuchni – po czym odwróciła się do niego plecami i jej wielka czarna koszula prawie zniknęła w ciemnym korytarzu. Była, a zaraz już jej tam nie było.

Usłyszał tup-tup-tup i zobaczył jej zimne, bose stopy pokonujące po trzy stopnie, jakby chciała przed nim uciec do drzwi swojego mieszkania, okolonych linią światła. Przepchnęła się przez nie i zaraz zatrzasnęła je tak, że wewnątrz zdążyło tylko mignąć: żółta lampa, drewniany stół. Wspiął się po schodach w swoich ciężkich butach i poszedł za nią do środka. Przy dużym stole siedziała kobieta z papierosem w ustach.

Nie było to najuprzejmniejsze zachowanie na świecie, tyle tylko powiem.

Nic mu nie jest, odparła olbrzymka, nie patrząc na Skinnera.

Zatrzasnął mu drzwi przed nosem.

Nie, nieprawda, zaprzeczyła córka, obchodząc stół i krąg żółtego światła lampy, i zniknęła w korytarzu z ciemnymi obrazami na ścianach, a kiedy już jej nie było widać, wymamrotała coś tym swoim dziwnym głosem, nie dało się jednak zrozumieć, o co chodziło i czy w ogóle zwracała się do nich.

Ta, jasne. Kobieta przewróciła oczyma. Wejdz, poleciała Skinnerowi.

Nie wstydź się. Chodź, chodź.

Olbrzymia, wyglądała na dobre sto trzydzieści kilo. Była ubrana w aksamitną fioletową sukienkę po domu. Miała potężne ramiona i pulchne dłonie i już z drugiej strony kuchni słyszeć było, jak wciąga dym papierosowy do płuc, a potem go wypuszcza. Jej skóra była zniszczona: dziobata, szorstka i poszarzała. Włosy nosiła krótkie po bokach, a z czubka głowy spływała jej grzywka, która przemieszczała się jak kil statku, kiedy się obracała. Spod zmrużonych od dymu powiek patrzyła, jak Skinner się zbliża.

O, hej, powiedział.

Hej, odparła. Oczyma wskazała miejsce po drugiej stronie stołu, przy którym siedziała.

Odsunął krzesło, opadł na nie z szeroko rozłożonymi nogami, przygarbił się i spojrzął na nią z naprzeciwnika.

Odwzajemniła spojrzenie.

Jak leci? – zapytał.

Leci. Trzymała papieros przy policzku, oparłszy gruby łokieć na blacie. A więc udało ci się dotrzeć?

Masz na myśli znalezienie domu?

Dotarcie tu i znalezienie adresu, tak.

No jasne, odrzekł. To betka.

Cóż, pytam, bo wyglądało na to, że będzie z tym problem. Dla niektórych to kawał drogi.

Nie taki znowu kawał.

No dobrze. Więc jesteś.

Jeżeli wiem, gdzie coś się znajduje, to w końcu tam dotrę.

Jak mówię, udało ci się.

Żaden problem.

Dobrze.

Po tym, jak się zapieprzało parę razy po kilkadziesiąt kilometrów, dostanie się na Queens to nic specjalnego.

Jak się co robiło?

Zapieprzało. Z plecakiem na grzbiecie przez kilkadziesiąt kilometrów. Piechota.

Tym się zajmujesz?

Zajmowałem, ale tak.

Byłeś w wojsku?

Właśnie wyszedłem, będzie ze trzy tygodnie temu.

Właśnie wyszedłeś.

Tak, właśnie wyszedłem.

Zauważyłam twoje ciuchy, płaszcz – tak myślałam, że jesteś żołnierzem, ale nie byłam pewna, czy to z tobą rozmawiałam, czy z kimś innym.

Nie, to byłem ja.

Cóż, stwierdziła, cóż, mamy wobec ciebie dług. Tak uważam.

Właśnie wróciłem po trzech misjach w Iraku.

Trzech?

Nie jednej. Nie dwóch. Trzech.

Pokręciła głową. Rany boskie. Słowo daję. Zerknęła przez ramię w kierunku lodówki. Dałabym ci się napić piwa, jakbym jakieś miała. Gdybym wciąż pracowała za barem.

Wysłali mnie do domu.

A podobno stamtąd nie można odejść.

No, nie można odejść, nawet jak się powinno.

Słyszałyśmy o tym, mówili w wiadomościach.

Nawet jakby twój lekarz mówił, że musisz odejść, całe konsylium, cokolwiek, choćbyś miał dziecko w drodze albo inne cholerstwo, nie puszczą cię, mimo że według kontraktu muszą. Legalnie cię dymają. Legalnie mówią: walić ten świstek, wracasz do służby.

Brakuje im ludzi na wojnę.

Miałem wyjść kawał czasu wcześniej, ale wciąż mnie przywracali. Musiałem odsłużyć cholerne trzydzieści sześć miesięcy na polu walki.

To...

To ma być okej.

Bogu dzięki, wyszedłeś.

Pokręcił głową.

I to w jednym kawałku, dodała.

Ta.

Odbyłeś służbę i – Bogu dzięki – jesteś w jednym kawałku, i wyszedłeś. Wyciągniętą ręką strząsnęła papierosa do popielniczki na środku stołu.

Mówiła dalej: Mamy takiego znajomego, to znajomy mojej córki, Gambiowie z sąsiedztwa mają syna w wojsku – w piechocie morskiej, jednego z dwóch – i wysyłają go, wysyłają do Iraku. Już tam jest, tak sobie teraz myślę. Jest w osiemdziesiątym drugim skrzydle, w osiemdziesiątym drugim czymś tam.

Czyli w lotnictwie Marines.

Chyba tak. To elita, tyle wiem. Specjalny pluton, do którego trafiają tylko najlepsi. Nie mogłam uwierzyć, co oni robią, jak mi opowiadała. Biegi i pompki, jak wszyscy, i tak trudne, ale mówiła, że napychają sobie plecaki kamieniami, aż faceci zaczynają wymiotować. Największa liczba walk czy tam zwycięstw, tak mówiła.

Nie umiałbym powiedzieć.

Są znani poza wojskiem, ale nie mogę sobie przypomnieć nazwy. Mają takie powiedzenie. Jego matka przychodzi do mnie w T-shircie z tym napisem. Barbara. Cała w chwale. Pewnie nie kojarzysz tego powiedzenia? Szkoda, że zapomniałam. A przecież mówiła. Poprosiłabym ją o taką koszulkę, ale nie sądzę, żebym w nią weszła.

Nic nie odpowiedział.

Jak mówiłam, poczęstowałabym cię piwem. Podniosła głowę, żeby jej głos niósł się przez korytarz, i zawołała: Erin! – a wobec braku odpowiedzi spojrzała przez drugie ramię, próbując obrócić się ku lodówce. Popchnęła stół, który podskoczył, ale jej krzesło ani drgnęło. Skinner usłyszał, jak kobieta nabiera tchu i przygotowuje się do obrotu. Jej stopa przesunęła się po linoleum.

Byłbyś tak dobry? Zajrzyj do lodówki, powinno być tam piwo, przynajmniej jedno.

Wstał i podszedł do urządzenia, które wyglądało na użytkowane przez wiele osób. Pachniało zaschniętym majonezem. Wewnątrz był karton michelobów, dwudziestoczeropak zajmujący całą półkę. Wsadził rękę w dziurę wydartą w tekturze i macał, aż całe ramię weszło mu do środka i wyczuł pojedynczą zimną puszkę na samym końcu.

Otworzył piwo, opadł na krzesło, wymamrotał podziękowanie, odchylił głowę i wypił pół puszki. Otarł brodę. Wyrwało mu się beknięcie – i to głośne.

Lepiej?

Ups.

Nie ma o czym mówić. Wychowałam dwóch synów i męża. Dla ciebie to pewnie prehistoria.

No, odparł.

Wierz mi, uważają się za Conanów Barbarzyńców.

Wyszczrzyła się, odsłaniając brak jednego kła.

Nie zrozum mnie źle, to dobrzy Irlandczycy, zapewniła poważnie.

Podniósł puszkę z dziesięć centymetrów nad stołem i odstawił. Czuję to.

Tak czy siak, powiedziała, gasząc papierosa, przyszedłeś w sprawie pokoju. Silnym, chrapliwym głosem zabrała się do opisu. Jest czysty, zapewniła. Świeżo malowany. Kiedyś w okolicy mieszkali głównie Irlandczycy – teraz do wyboru, do koloru.

Przełknął resztkę piwa, które zmieszało się z lekami w jego krwi, wywołując ucisk u podstawy czaszki.

Chińczycy, stwierdził.

Kiedy zachęcała do obejrzenia pokoju, powiedział, że to niekonieczne.

Wolałabym, żebyś to zrobił.

Ej, skoro ma cztery ściany, to ma wszystko, czego potrzebuję. Pokój to pokój, prawda?

Po prostu idź i zerknij. Powiedz, co myślisz.

Odpowiedział więc: tak jest, psze pani, wstał i w kompletnych ciemnościach zszedł schodami do suterenu; badał dłonią ścianę, aż namacał wyłącznik.

Nastąpiło głośne kliknięcie i zapaliły się lampy schowane w dźwiękoszczelnych płytach na suficie. Poczuł zapach środka czyszczącego. Było tak cicho, że słyszał lodówkę, tykanie bojlera. Swoje własne kroki. W metalowym zlewie obok czteropalnikowej kuchenki elektrycznej były białe zacieki z ajaxu. Otworzył drzwi pokoju, jego cień padł na podłogę i rozciągnął się aż do pościeli we wzorki. Pomieszczenie było czyste i puste. W kącie stały plastikowa zmiotka i szufelka.

Nie rozstając się z puszką, wspiął się schodami na górę.

Kobieta uczciła jego powrót sięgnięciem po paczkę slimów.

Okej, więc na czym stoimy? Pokój widziałeś. To jak będzie?

Jak dla mnie w porządku.

Czy to znaczy: tak? Dobrze. Odstawże tę puszkę, na miłość boską. Wyrzuć – kosz jest tam. Siadaj. Usiądź sobie. Zapaliła i rzuciła zapalniczkę Bica na stół jak żeton do gry w karty. Spojrzała na Skinnera. Wymieniła, ile za wynajem. On już to wiedział. Wiem, wiesz? Wszystko po kolei. Jak dostanę pieniądze, ty dostaniesz klucz.

On na to, że spoko.

Dym unosił się znad jej papierosa. Skinner zauważył, że za oknem już noc.

Omówiła parę spraw. To dom rodzinny. Nie interesują jej niczyje sprawy prywatne. Wiem, że mężczyźni to nie aniołki. Nie wymagam tego, ale są pewne granice. Mogę nawet wyrzucić – nie żebym chciała, chyba że zajdzie szczególna sytuacja.

Skinner powiedział: Szanuję to.

Dobrze, odparła, a on na wszystko, co mówiła, odpowiadał, że spoko, jak sobie życzysz.

Przychodził po nią do pracy i czekał, aż skończy, a potem zabierał ją taksówką bez licencji, ponieważ autobus jechał za długo. Po stopniach pokrytych wykładziną schodziła do sutereny, a Skinner tuż za nią, poganiając, no dalej. Patrzyła na nagie ściany w szarym cieniu, na pustą kuchnię. Szli do jego pokoju, on włączał dla niej światło. Bojler w szafie pachniał miedzią. Podchodziła do łóżka, siadała, zakładała nogę na nogę i odchyłała się, oparta na dłoniach, patrząc, jak on zrzuca buty i ściąga moro.

Nadchodzi wilk. Boję się.

Dużo później w nocy otwierali drzwi pokoju i wypuszczali wyprodukowane przez siebie ciepło. W samym T-shircie poszła za nim do kuchni, gdzie z kolei było chłodniej. Światło wydawało się oślepiac, a czarny prostokąt okna nad zlewem odbijał wewnątrz sypialni. Skinner przecesał szafki w poszukiwaniu jedzenia. Nie znalazł, poinformował. Na skroniach lśnił mu pot. Napiła się wody z kranu. Będziemy jeść wodę, powiedziała z uśmiechem i otarła brodę. Nie, tak nisko jeszcze nie upadliśmy. Zamówił pizzę, którą zjedli przy okrągłym stoliku obok lodówki. Umierałam z głodu, a ty? Pozwoliła mu się karmić. Polizała go po ręce. Skończyli; Skinner, w samych bokserkach, odchylił się i zapalił papierosa, dotykając twardym, bladym kolaniem jej uda.

Kiedy wróciła do pokoju, żeby założyć dzinsy, zauważyła, co zrobili z łóżkiem. Wymięte prześcieradło, cała podłoga w częściach wojskowego ubrania. Skinner spał na swojej kurtce. Na stoliku nocnym leżały jego tabletki, magazyn kulturystyczny i pasek czterech kondomów w niebieskich opakowaniach. Pokój pachniał nim i nią, ich potem, a także lateksem i tytoniem. Po całym pomieszczeniu wały się puste puszki, których używał jako popielniczek. Pod łóżkiem leżała zużyta, mokra, żółta prezerwatywa. Kolejna zaplątała się w kurtkę.

Przesunęła wzrokiem po jego papierosach i dzinsach. Buty leżały tam, gdzie je przedtem kopnął. Wylądowała na nich para wyblakłych błękitnych majtek – jej majtek.

Podszedł do niej od tyłu, objął ją w pasie i przysunął twarz do jej karku. Złapała go za rękę. Jego twarz pachniała papierosami. Kołysali się tak w przód i w tył.

Och, od tego chce mi się spać.

Ale zmusiła się do wciągnięcia spodni, bluzy z kapturem i dzinsowej kurtki, do związania włosów opaską i zasnurowania znoszonych adidasów. Sprawdziła godzinę na telefonie i zaraz schowała go do kieszeni, w której odznaczał się, wypychany przez mięśnie.

Okej, idę.

Pójdę z tobą, powiedział. Poczekaj chwilę.

Wyszli razem w nocną ciszę i zaczęli iść Franklin Avenue, aż małe amerykańskie domki ustąpiły miejsca budynkom getta, a potem obok wielkiej katedry w Chinatown, przez wzgórze, przez ciemne drzewa i wzdłuż rozległych zabudowań, które ciągnęły się do szosy jak molo.

Teraz będziesz musiał robić całą drogę z powrotem.

Nieważne. I tak nie mogę spać.

Kazała mu uważać. Oboje powiedzieli sobie: Do zobaczenia jutro.

Stał na warcie, dopóki nie weszła do środka i nie szczęknęła zasuwka.

Weszła po schodach, przekonana, że inni najemcy nie śpią i wiedzą, że wróciła. Gdyby straciła równowagę przy zdejmowaniu butów w ciemności, pomyśleliby, że jest pijana. Najciszej, jak mogła, otworzyła harmonijkowe drzwi. Boksy były otwarte od góry, jak przebieralnie, więc kiedy pociągnęła sznurek od lampy, sąsiad zza dytki zamruczał z niezadowolenia. Wyłączyła światło i uklękła na popsutym materacu, na kupionej w Chinatown kołdrze w misie w muszkach. Po omacku podłączyła do ładowarki telefon – jej łącze z nim – ekran rozbłysnął jej w rękach na błękitno na kilka sekund, przeświecając między palcami.

cześć mam wszystko u mnie w porządku w NY zgodnie z planem. nic się nie dzieje/złego. pamiętaj że fox news się przedtem mylił wiem, że masz rację co do szkoły, ustawy o weteranach itd.

jestem dość dojrzały żeby wiedzieć że nie jestem jeszcze dość dojrzały, żeby to zrobić. dobrze wykorzystuję czas – przynajmniej tego nauczyłem się w wojsku
brad

Masz naczynie? Garnek?

W samym T-shircie sprawdziła w szafce pod zlewem.

Była tam tylko butelka ajaxu. Zajrzała do lodówki, gdzie znalazła tylko pudełko po pizzy, i zamknęła ją z powrotem.

Drzwi do łazienki były otwarte, a on stał tyłem do niej z rozstawionymi nogami i papierosem poruszającym się w ustach, kiedy mówił. Sikał głośno i nie słyszała jego słów. Kiedy skończył, strząsnął kroplę, obrócił się, nie przerywając, po czym poprawił bokserki, podchodząc do niej.

Garnki i patelnie? Szukam, ale nic nie widzę.

Przeszedł się po kuchni, otwierając szafki jedną po drugiej i zamykając je z trzaskiem.

Wspięła się na palce, żeby sprawdzić w górnych szafkach, napinając przy tym mięśnie nagich łydek. Koszulka z napisem „I’m Falling for Juicy” podjechała jej do brzegu pośladków.

Czy to wystarczy jako odpowiedź?

Cmoknęła i założyła ręce na ramionach.

Typowy chłopak. Żadnych naczyń. Co będziesz jeść? Może kupię dla ciebie. Garnek, talerz, miskę.

W dzień kupił piwo i prezerwatywy na stacji benzynowej przy Northern Boulevard. Pili razem przy okrągłym stoliku w kuchni. Produktów spożywczych nie kupił. Zou Lei się upiła i głaskała go po włosach. Takie słodkie. Wskazała na puste półki. Brak garnka. Brak niczego. Jesteś jak facet. Napręż mięsień. Napiął ramię, a ona dotknęła. Jak mój ojciec. To znaczy? Robi jak facet. Pochyliła się i wpiła w niego całkiem wilgotne oczy. Dobry człowiek. Skinner przytaknął tak, jak się przytakuje przy kieliszku. On dać mi wszystko. Nam. Mojej matce. Wszystko on dla nas zrobi, nawet jak nie ma nic. To biedny człowiek. Podzieliła się ze Skinnerem jedną z historii o tym, co tata dla niej zrobił. Miała takich tylko kilka do opowiedzenia, bo nie został z nimi zbyt długo.

On dać mi wszystko.

Wiem, zgodził się Skinner.

Z jej oczu popłynęły łzy.

Już dobrze.

Pociągnęła łyk z puszki i stwierdziwszy, że to już koniec, otworzyła następną. Ojej. Skinner przytrzymał papierosa w kąciку ust i wyjął jej piwo z ręki. Okej, powiedział. Zawsze zdążysz jeszcze się napić. Zabrał jej puszkę i postawił najdalej, jak mógł sięgnąć.

Zaczęła szlochać z twarzą ukrytą w ramionach skrzyżowanych na stole. Wyciągnął rękę, ścisnął ją za ramię i delikatnie potrząsnął. Wszystko będzie dobrze. Powiedziała coś, czego nie dosłyszał. Powtórzyła:

Nigdy więcej jego nie zobaczę.

Wiem. To jest do dupy.

Zaprowadził ją do pokoju i okrył swoją kurtką.

W sumie jednak była szczęśliwa. Straciłam go wiele lat temu. Za dużo piję. Pokazała na opróżnione puszki walające się po całym pokoju. Przelewaj krew, nie łyż – tak brzmiała zasada na północnym zachodzie, no – chyba że chodziło o picie. Można też było wykazać się umiejętnością śpiewu. Ona jednak nie śpiewała. W pracy zaśpiewała imię Skinnera, a szefowa zapytała: Z czego się tak cieszysz?

Z żab, odparła Zou Lei.

Wykazywała się, przychodząc do jego sutereny codziennie po pracy, a potem wracając taki kawał w nocy. Mam energii dużo. Nie kupiła mu garnków ani patelni. Nie umiała matkować innym. Któregoś dnia pozbiierała puszki i odebrała za nie kaucję, ale dlatego, że to było zabawne, a nie dlatego, że poczuwała się do sprzątania po Skinnerze. Za uzyskanego dolara z kawałkiem kupiła szaszłyk z kurczaka i zostawiła go dla nich na później do zjedzenia na pół. Mięso zdążyło ostygnąć, zanim doszła na miejsce, mijając domki pokryte latynoskimi graffiti. Kroczyła energicznie przez tych kilka kilometrów – i to było w porządku. Nadchodziła wiosna, a koło zamachowe miasta szło w ruch.

Nie mogę się ciebie pozbyć. Może to kwestia pizzy. A może to coś innego, co ode mnie bierzesz, zauważył.

To twoje moro, wyjaśniła. Kurtka wojskowa. Płaszcz. Twoje buty. Kocham twoje buty.

A co powiesz na to? – spytał i podciągnął koszulkę. Na szrapnel w moich plecach? Na moją wojnę?

Kocham twoją wojnę.

Jestem małym dzieckiem, ojciec opowiada mi, jak to jest być żołnierzem. Jest dużo obowiązków, które trzeba wypełniać. Wszyscy mieszkają w kiepskich warunkach, ale nie wolno im narzekać. Ludzie mieszkają w kiepskich warunkach, więc żołnierz musi mieć tak samo. Nie może mieć więcej niż oni. Ma pracować, żeby zapewnić im lepsze życie. Więc mówią: jesteście jak kuzyni z daleka. Kiedy ojciec przyjeżdża do miasta, mieszka z nami, a my go karmimy. Dopiero jak on zje, wojsko może zjeść kolację. Więc wojsko jest chude, a społeczeństwo grubsze.

Dawno temu cały kraj jest w tarapatach i mamy wroga w środku i za granicą. Stany Zjednoczone, Związek Radziecki, Japonia – wszyscy atakują, bo nasz kraj taki słaby. Przestępcy korzystają z tej słabości i okradają nas. Wojsko nas uratowało i ukarało przestępców.

Ludzie i wojsko są ze sobą połączeni, chociaż nie są tym samym. Każdy, jak skończy osiemnaście lat, to musi iść do wojska. Ja chcę iść do wojska, kiedy mam osiemnaście lat. Tak naprawdę nie mogę. Chińczyków jest tak dużo, że trudno wstąpić do armii. To dobra praca i każdy chce to zrobić.

Nie wiem, jak w amerykańskim wojsku, ale Armia Ludowo-Wyzwoleńcza jest bardzo surowa. Żołnierze pochodzą z biednych okolic i są przyzwyczajeni. Niektórzy nigdy przedtem nie widzieli toalety. Nie potrafią czytać.

Ale w tamtych czasach jakość żołnierzy bardzo wysoka. Potrafią przeżyć przy małych racjach żywnościowych. Nie wiem, czy amerykańskie wojsko potrafi. Amerykanie są duzi i chyba byliby zbyt głodni. Ale w Chinach jesteśmy przyzwyczajeni. Sytuacja zmienia się, kiedy jestem dzieckiem. Przedtem nie ma u nas żadnej techniki. Teraz technika coraz silniejsza. Możemy prowadzić cyberwojnę – bardzo dzisiaj popularne. I mamy broń nuklearne, prawie na równi. Mniej zależy od pojedynczego żołnierza. Może kiedy my robimy się coraz silniejsi, to jednostka coraz słabsza. Kiedy naszemu krajowi przydarza się katastrofa, wojsko robi, co w jego mocy, żeby ratować ludzi. Jeśli wylewa rzeka albo osuwa się ziemia. To w naszej historii zdarza się mnóstwo razy. Kiedy to się zdarza, nikt nas nie uratuje oprócz wojska.

Naprawdę, wszyscy muszą być im wdzięczni, bo bez nich by nie przetrwali. Kiedy rolnik jedzie ciężarówką pełną warzyw, to dzięki ropie, która pochodzi z rurociągu. Jeśli jesteś kobietą na targu i kupujesz warzywa, to musisz podziękować mojemu ojcu.

Chyba nikt o tym nie pamięta. Nawet ja zapominam, chociaż nie powinnam. Wszystko skądś się bierze.

Mówię: mój ojciec, ale oczywiście nie on sam. To znaczy: za dostarczanie paliwa odpowiada pułk Lanzhou i Strategia Rozwoju Zachodu. Upewniają się, że to my je dostaniemy, a nie Rosja.

Na początku zbudowali rurociąg bez sprzętu, poza łopatami, kilofami i koszami. Ropa jest zakryta łańcuchem górskim nazywanym Górami Cebulowymi. Wyobraź sobie tylko, przekopali się przez góry. To trochę jak z budową kolei przez Chińczyków, tyle że tym razem służyli własnemu narodowi. Używali tyle dynamitu, że pasterze opowiadali zabobony. Sądziли, że diabeł próbuje ich przestraszyć. A po jakimś czasie się przyzwyczaili. Nazywali żołnierzy Gromami. Podsunęło to ojcu pomysł. Nazwał mnie Gromem, na szczęście.

Jeśli zapytasz w Chinach, jaka jest najniebezpieczniejsza praca, każdy odpowie, że górnik węgla kamiennego. Tak naprawdę ta praca była jeszcze gorsza. Czasem pracujesz, a ktoś inny podkłada dynamit tuż obok ciebie, i nawet o tym nie wiesz, dopóki nie wybuchnie. Góra może się zawalić w każdej chwili. Kiedyś się zapadła i uwięziła dużo ludzi. Mój ojciec ma szczęście, że poszedł napić się wody. Zapadło się dokładnie tam, gdzie przedtem był.

Próbowali od razu ratować uwięzionych. Myślę, że w bogatym kraju ktoś by sprowadził specjalistyczny sprzęt. Dziś może też mają w Chinach taki sprzęt, ale wtedy to było niemożliwe. Mogli tylko kopać narzędziami i rękami. To oczywiście nie mogło się udać, więc ich przyjaciele zginęli. A dokładniej to tamci zostawili ich na śmierć. Przywódcy nie mieli czasu do stracenia na ratowanie. Kazano wszystkim wrócić do pracy. Tak samo jak na wojnie. Kraj prowadzi wojnę o postęp i wielu ludzi

musi oddać życie.

Tak jak mój ojciec. Tym, co zrobił, nauczył mnie, co to znaczy być bohaterem.

Popatrz, to ja i ty.

No.

W Maku.

To mój wygaszacz.

Sięgnęła mu przez ramię, opierając o nie pierś, i przełączyła na następne zdjęcie. Był na nim Skinner na tle Nowego Jorku w nocy. Empire Building, stwierdziła. Przyjrzała się twarzy bladej od flesza aparatu, otoczonej czarnym niebem, i galaktycznej sylwetce wieżowców. Tydzień zanim się poznali.

Kliknęła ponownie i zobaczyła monotonną ziemię i niebo, błękit nad brązem, ciemne palmy, zamazany cień pojazdu, kroczącą sylwetkę w galabii. Kliknęła i pojawił się tuman kurzu nad budynkami z niewypalanej cegły. Meczeta, przejeżdżająca obok ciężarówka, oślepiająca światłami. Koza leżąca na stercie cegieł w rowie, zarys dziecka niosącego wiadro i żołnierz patrzący w przeciwną stronę.

Ucichła. Klikała dalej.

To ci mężczyźni.

Zła twarz w hełmie. Kliknęła. Ktoś pokazał fotografowi środkowy palec. Śmiech. Zdjęcie pojazdu wojskowego z otwartym włazem i sprzętem porzucanym wszędzie, jakby porwał go huragan. Żołnierze ze spuszczoneymi głowami. Wyglądają na zdezorientowanych i rozproszonych. Skupiony mężczyzna nadaje przez radio.

Na kolejnym zdjęciu żołnierz w drewnianej latrynie z rolką papieru toaletowego w ręce brudnej jak u górnika. Mówi coś do kamery.

Cholera, to Sconnie.

Dalej zdjęcie ludzkiej stopy leżącej na piasku i kolejne, z większej odległości, na którym nie widać jeszcze, że to stopa. Ale można zobaczyć co innego – stertę mokrych ciuchów w oddali. Udało jej się dostrzec brodę, może twarz. Nieostrzy żołnierze palą. Widziała zwierzęta, psy. Kobieta ubrana w coś jakby habit zakonniczy, z przerażoną twarzą i ustami otwartymi do krzyku, uniesionymi grubymi dłońmi, jakby zaraz miała rzucić kłutwę na robiącego zdjęcie.

Kliknęła. Zobaczyła pluton żołnierzy śpiących jak bezdomni w płytkich grobach wykopanych w glinie, but przy bucie, jakby komuś rozlała się na piasek plama moro.

W miarę klikania ogólny chaos zdawał się z powrotem składać w porządek. Widziała ich w okularach przeciwsłonecznych, eksponujących broń, ubranych jak na plażę – w japonkach i ręcznikach – z tym że w okularach i z bronią.

Na którymś zdjęciu spał młody mężczyzna, a nad nim stał ktoś trzymający parówkę na wysokości swojego krocza – wsuwał ją do otwartych ust śpiącego.

Ani Skinner, ani ona się nie zaśmiali. Mruknęła coś i klikała dalej.

Pojawiło się zdjęcie młodego mężczyzny bez koszulki, w ruchu, blisko aparatu. Był niezwykle wysportowany. Miał wyrzeźbiony każdy mięsień klatki piersiowej. Otaczało go złociste światło. Był podobny do człowieka siedzącego obok niej na łóżku. Jakiś kuzyn, pomyślała. Ale miał takie same tatuaże.

No, to ja, przyznał. Wiem, że teraz nie jestem taki fajny.

Na widok czasopisma pod jego łóżkiem zapytała: Hm, a to co? – po czym wyciągnęła je i zaczęła kartkować. Zawierało zdjęcia ludzi uprawiających seks, i to w dużej rozdzielczości. Dwie kobiety z jednym mężczyzną oraz dwóch mężczyzn z jedną kobietą.

Oj, to nic takiego. No wiesz, co to jest.

Wiedziała, co to porno, tak, wiedziała. Chińczycy mieli takie gazetki z Japonkami związanymi sznurem do bielizny, którym męskie palce ścisnęły sutki. Były tam artykuły edukacyjne o mechanice, wymowie i aspektach zdrowotnych różnego rodzaju aktów płciowych, na przykład tak zwanej gry na flecie, którą opisywano jako oddanie najwyższego hołdu męskiej sile jang przez uległą kobietę na

klęczkach. Kawalerowie czytali te historyjki, gdy po powrocie do domu z pracy w restauracji potrzebowali sobie ulżyć. Odgłosy masturbujących się mężczyzn dobiegały ją przez ścianki z dykty, kiedy usiłowała zasnąć.

To zachodnie czasopismo nazywało się „Club International”. Z uniesionymi brwiami obejrzała scenę podwójnej penetracji, a potem długo i sceptycznie przyglądała się kobiecie wystawiającej język, najwyraźniej zadowolonej i dumnej z tego, że mężczyzna miał wytrysk w jej ustach.

W końcu Zou Lei rzuciła gazetę na podłogę. Dla innych to się nadaje, ale nie dla niej.

Pewna jesteś? – spytał Skinner, a ona wymierzyła mu kuksańca. Ale on mówił serio.

Człowiek nie zawsze zna samego siebie.

Tak czy inaczej, kontynuował, zerknij na to. Popatrz. Z papierosem w ustach przeszukał podłogę, mrużąc oczy od dymu, aż znalazł i otworzył przed nią „Iron Mana”. Popatrz, co teraz robię. I oglądała z nim pakerów: atletów dzielących swoje ciało na sekcje i stosujących odpowiednie obciążenie dla każdej z nich według logicznej dyscypliny. Kulturysta na okładce napinał się, aż pulsowały mu wszystkie żyły, skóra naciągała się i podbiegała krwią, a zęby szczyrzyły się w grymasie największego wysiłku. Mięśnie twarzy drgały, różowiały, żyłki wychodziły na wierzch, tak że nawet czoło wydawało się kolejnym kawałem mięcha.

Dobre, podsumowała. Jaki ciężar?

Jakieś trzysta kilo na sztandze. Patrz, jak się zgina. Na wojskowych posiłkach tego nie osiągniesz.

A jak on to robi? Używa leków?

Pokazał jej dział z odżywkami. Kreatyna, glukozamina, gainer na masę – bomba białkowa. Kiedy zaczyna działać, robisz się wielka.

Udała, że wbija sobie igłę w żyłę, naśladując ustami dźwięk czegoś pękającego.

O tym cholerstwie mówię. Popukał w gazetę papierosem. Muszę pamiętać, żeby to wziąć.

Będiesz wyglądać jak on?

Raczej nie.

Wyjęła mu czasopismo z rąk i wertowała, aż dotarła do Miss Fitness Arizony w turkusowym spandeksie i białych reebokach, wykonującej wspięcia na tydki na maszynie firmy Cybex. Potem robiła przysiady ze sztangą, ciemne oczy miała utkwione w suficie. Wyglądała na Meksykankę albo kogoś z Bliskiego Wschodu. A dalej pokazano ją na plaży, odciągającą kciukiem paseczek bikini, z ustami pociągniętymi błyszczkiem i falami obmywającymi uda.

Zou Lei napięła mięśnie nóg i przyjrzała się sobie. Hej. Zaśmiali się.

Nieźle.

Podoba mi się ona.

Jesteś do niej bardzo podobna.

Ma bardzo piękne ubrania.

Któregoś niepracującego dnia Zou Lei wyznaczyła Skinnerowi spotkanie na Roosevelt Avenue. Jego zbyt długie, nieuczesane włosy sterczały mu na głowie, niepodobne do fryzury żołnierza. Przejaśniło się po deszczu, a na ulicy rozmakały śmieci.

Szli pieszo z Chinatown, aż dotarli wystarczająco daleko, żeby dojrzeć lakierowane na czerwono chińskie okapy i schody pożarowe, i maszerowali dalej. Nie było planu, po prostu szli, mijając szosę

i warsztaty samochodowe z szyldami po chińsku. Droga powiodła ich obok cmentarza, a potem pasa domków o skośnych dachach, z których odłaził siding.

Powietrze było przejrzyste, to chłodne, to ciepłe – myląc pogodą pod koniec zimy. Wydawało jej się, że czuje wiosnę w powietrzu unoszącym się z asfaltu i z brudu na potłuczonych ceglach.

Wpadli w rytm, wędrowali tak kilometrami. Zou Lei zatraciła się w marszu, ich stopy uderzały o ziemię jak o bęben.

Kiedy doszli do wzniesienia, gdzie Jewel Avenue przecinała pola i otworzył się widok na wszystkie strony – na stare bloki mieszkalne, plamy wody, dachy i przestrzeń – stanęli i patrzyli. Znajdowali się w środku koła. Skinner otoczył ją ramieniem.

To dopiero widok, podsumował.

Ogarniała wzrokiem, ile się dało. Miasto było niezmierzone. Pokrywało rozległy obszar i wrastało w świat. Nie miało określonego końca na widnokręgu. Bezlik budynków, w większości ciągnących się aż po horyzont. Widziała połacie drzew, ich cień, zamazaną gmatwaninę konarów wśród domów. Autostrady – masywne, industrialne, samotne – ciągnęły się po lewej. Po prawej było jakby osobne miasto, a za nim sylwetka Manhattanu, rozpoznawalna dla niej dzięki Empire State Building, który Zou mogła zakryć czubkiem palca. Między dachami domów mieszkalnych zobaczyła jeden z mostów wiszących, które wiodły do dalszych dzielnic. W sumie było to z dziesięć miast. Z wysokości dostrzegała elementy normalnie dla niej niewidoczne. Patrząc na północ, w kierunku wody, dojrzała zieloną kopułę, z pewnością meczetu, a obok wieżyczkę strzelającą spośród płataniny dachów, schodów pożarowych i wież ciśnień. Przecinała ją na pół gąsienica metra na wiadukcie. W błękitie stratosfery na południu tkwiły odłamki metalu – samoloty prujące naprzód. Przelatując obok niej i Skinnersa, wydłużały się i konkretyzowały jako odrzutowce pasażerskie, kierujące się ku lotnisku nad wodą. Zauważyła skomplikowaną linię brzegową, brak kontrastu między brązem miasta i wody, jakby stanowiły one jedność – część geografii ziemi, którą można było w życiu przewędrować.

Zapytała, które z obserwowanych przez nich miejsc dotąd odwiedził. Byłeś tam? To Bronx.

Byłem. Przyszedłem stamtąd, powiedział, pokazując na brunatnym horyzoncie przebytą drogę. Aż tam, gdzie są te budynki.

To idzie tak: tędy, tędy, tedy, do Chinatown. Nie widzisz? Zaczynij stąd – obróciła się o trzydzieści stopni na wschód – tam, gdzie Connecticut. Daleko, daleko, w tamtym kierunku, na Long Island, Riverhead...

Zmrużyła oczy od słońca. Patrz! Poklepała go po ramieniu i skierowała ku punktowi na zachodzie, który pokazywała. Pracuję tam, gdzie jest Nanuet.

W czym robisz?

W restauracja. Złapała go za ubranie. Jeśli idziesz tędy, na zachód, zachód, zachód, to dojdiesz nad ocean, a potem do Chin. Nikt cię nie zrozumie. Wszyscy będą mylić. Może dla ciebie to co innego. Rano wstajesz, żeby iść po wodę. Rozpalić ogień. Ludzi jest miliard. To więcej niż tutaj. Jedziesz autobusem. Pociągami. Ciężarówką. Wielbłądem. Śpiesz na ziemi. Widzisz góry.

Spojrzała na jego zniszczone buty i amerykańską flagę na rękawie, po czym zaczęła się zastanawiać nad dodatkowym zajęciem, żeby lepiej wykorzystać czas w dni, kiedy nie pracowała na stoisku z makaronem. Wymagałoby to jeżdżenia metrem z glinami, ale czuła, że może zaryzykować.

Próbowała zbierać butelki i puszki, żeby odzyskać za nie kaucję w Beer Center, punkcie recyklingu na Parsons Boulevard naprzeciwko fabryki, która robiła paski klinowe i paski zębate.

Dwa razy roznosiła broszurki sklepu spożywczego Western Beef, rzucała je na ganki szeregowców nad Grand Central Parkway. Książeczki były zwinięte i schowane w plastikowe osłonki. Pobierała ich całe naręczą z bagażnika vana i ładowała do wózka na zakupy, który grzechotał po całej przecznicy, po której Zou Lei jako jedyna poruszała się biegiem.

Pozostali ludzie od ulotek to byli bezdomni narkomani w dżinsach True Religion. Mężczyzna, który im przewodził, miał złoty łańcuch i ledwo mówił. Wciąż był całkowicie zachrypnięty. Miała lepsze wyniki niż pozostali, ale nie płacono jej ani grosza więcej. Z pozostałymi rozmawiał na tym samym poziomie. W drodze powrotnej do vana rozprawiali o zakupie butelki.

Pokazując na witrynę sklepu monopolowego, krzyknęli: Wypuść nas! – a on się zatrzymał.

Ona też wysiadła i nie wróciła. Trafiała na numer w jakiejś chińskiej gazecie i niedługo potem zaczęła sprzedawać DVD.

Mężczyzna, który dostarczał jej płyty, starannie unikał aresztowania. Nie podał swojego nazwiska, żeby nie mogła go wsypać, w razie gdyby wpadła. Wiedziała tylko tyle, że pochodził z Wenzhou w Prowincji Zhejiang, a ludzie z Wenzhou wiedzieli, jak przetrwać. Przez telefon polecił jej spotkać się z nim w bramie, a ona poszła, gdzie jej kazał. Podjechał fordem expedition, w bejsbolówce daszkiem na bok, i przekazał jej towar. Wyglądał jak kierownik z chińskiej fabryki zimą – cały na czarno, w puchowej kamizelce i rękawiczkach bez palców, palił papierosy Mild Seven. Kontakt z pestycydem w dzieciństwie zniszczył mu twarz, przez co dziś wyglądał jak ktoś, kto nie da się drugi raz oszukać.

Handlowała w pociągu, ubrana w granatowy dres, z torbą na ramieniu, trzymając pirackie filmy w przezroczystych foliach rozłożone jak wachlarze z kart do gry, i mruczała: Di ńi di, di ńi di. Hej, di ńi di.

Co tam masz? – spytali wagarowicze.

E tam, skwitowali i oddali jej filmy z powrotem. Jakiś pracujący mężczyzna w szklach korekcyjnych potrząsnął głową, niezainteresowany komediami kung-fu w klimacie *Powrotu do Dynastii Tang we śnie*.

Sprzedawszy jedną płytę, wysiadła przy Termon Avenue na Bronxie, stanęła plecami do peronu, przeliczyła i schowała gotówkę. Stację zdobiły graffiti: „Ka\$ \$mierdzi”. „Bestia”. „LLL. Byron”. „Bezlitosny AKA Jie Burn”.

Złapała pociąg w przeciwną stronę i jechała nim aż na Brooklyn. Wysiadła przy budynkach sądów federalnych. Byli tam gliniarze w neoprenowych rękawiczkach i kominiarkach oraz Arabowie sprzedający szisz kebab, nad ulicą unosił się dym, a przed budynkami wyglądającymi jak Biały Dom stały policyjne barykady. Przez jakiś czas chodziła jak gdyby nigdy nic, obserwując, czy aby policjanci nie wlepiają mandatów ulicznemu sprzedawcom.

Weszła do Wendy's i krążyła między stolikami, pokazując ukradkiem swoje filmy. Pary wielkich Afroamerykanów grzecznie odmawiały. Kobieta, której dziecko było ubrane identycznie jak jej chłopak, w adidas i dżinsową czapkę, uspokajała chłopca: Jamal, nie wygłupiaj się.

Któryś mężczyzna spytał, czy ma jakieś kung-fu.

Razem przejrzeni to, czym dysponowała. To jest kung-fu, powiedziała. Powiedział, że w porządku, ale woli Jackiego Chana.

Jet Li jest dobry, przekonywała.

Jackie Chan to mój człowiek.

Więc może to?

Podniosła hongkoński film pod chińskim tytułem *Czarne społeczeństwo*, a pod angielskim – *Buttonman*.

Musi być Jackie Chan, upierał się. Wyjaśnię ci, co jest nie tak z tym tutaj. W tym filmie używają efektów ubocznych. W Jackiem Chanie nie ma efektów ubocznych. Sam ogarnia całą kaskaderkę. Popatrz – i wykonał serię uderzeń i blokad, wymachując rękami i pokrzykując: Ho!

Zaśmiał się ze świstem. Widzisz, malutka? Patrz tu. Pokazał jej kostki palców, stwardniałe jak całe jego dłonie. Wszystko to od walczenia w stylu shaolin. Wziął ją za rękę, żeby dotknęła jego dłoni. Nie podskoczą mi takie gnojki ze spluwami.

Okej, następnym razem ci załatwię.

Mówię im, skoro jesteś taki kozak, to pokaż, co masz!

Wyszła z restauracji. Ulicę wypełniał huk z placu budowy, przy którym stała ogromna ciężarówka z kablem na szpuli. Na rogu Fulton Street Pakistańczyk z Lahauru, miasta na końcu Szosy Karakorumskiej wiodącej z Chin, sprzedawał owoce. Miał rudą brodę, modlił się na kawałku kartonu. Zou Lei popatrzyła na patrol nowojorskiej policji przejeżdżający obok niego, ale funkcjonariusze nie zwrócili na nią uwagi. Całym swoim ciałem czuła, że jest chroniona.

Barczyści czarni Amerykanie, którzy kręcili się po Fulton Street i patrzyli w witryny Jimmy Jazz, mieli na sobie skórzane kurtki ze skrzydłami, orłami i gryfami na ramionach, w stylu tatuaży Skinnera.

On jest przy tobie, pomyślała.

Policja jej nie zatrzymała. Gdyby ją prześwietlili, zobaczyliby amerykańską flagę. Poczuli się uniesiona, a przed nią frunął jego cień. Unosił ją nad ziemią, żeby nie raniła sobie stóp. Chronił przed zniszczeniem i zhańbieniem w celi wysmarowanej gównem.

Na Pennsylvania Avenue w wielkiej przestrzeni zimowego nieba stały niskie budynki i płot, a za nim znajdowało się podniszczone boisko do koszykówki. Przelazła przez dziurę w siatce, depcząc puste butelki po mocnym piwie, półlitrowe i litrowe, po czym zeszła na dół przez suche chaszczce, zakapturzona sylwetka w dżinsach, przekonana, że nie spadnie. Stała na pasie zieleni pod rozjazdem. Kiedy samochody zatrzymywały się na światłach, podchodziła do szyby od strony kierowcy i wyciągała filmy. Obok kobieta w czapce, z twarzą ukrytą pod kapturem, opatulona kurtką w szkocką kratę, sprzedawała róże. Zmieniły się światła i wróciły na trawę.

Con cuidado, ostrożnie, przestrzegła kobieta.

Tak. *Sí*.

I uważaj *la policia*. *Siempre*.

Kobieta miała ładną twarz o policzkach usianych widocznymi zaskórnikami. Powiedziała, że ma wózek sklepowy, który może odsunąć, jeśli przyjdą psy, mówiła też chyba coś o tym, że ma vana, do którego może schować kwiaty, ale Zou Lei go nie widziała. Gliny wystawiały jej mandaty – setkę, pięć dych, może dwie stowy.

Tak. *Sí*. A co z tym?

Kobieta spojrzała na siebie, na miejsce, które pokazywała Zou Lei. W portfelu zawieszonym na szyi miała licencję na sprzedaż. Złapała ją rękawiczką bez palców i coś powiedziała, a następnie wsunęła do kieszeni kurtki.

To kosztuje pieniądze? Dużo *dinero*?

Kobieta pokręciła głową i wyjaśniła po hiszpańsku: To nie jest prawdziwa licencja.

Zou Lei kołysała się na palcach w oczekiwaniu, aż zatrzyma się jakiś samochód, i rozcierała ręce.

Mucho frío.

Zou Lei kiwnęła. Tak, *sí*, wiedziała to dobrze.

Powtarzała sobie: jeszcze tylko jeden film.

Mogła robić cokolwiek – sprzedawać zabawki, pomarańcze, latem lody, karty telefoniczne, żeby ludzie mogli zadzwonić do domu. Do Singapuru. Na Filipiny. Do Jemenu. Iraku. Na Wybrzeże Kości Słoniowej. Do Salwadoru. Mogła rozdawać ulotki do „jesz, ile chcesz”, *compramos oro*, skupu złota, załatwić sobie wózek i jeździć nim górą i doliną – teraz, kiedy on był z nią.

Mogła wziąć pożyczkę i kupić ciężarówkę, i być prawdziwie wolna. Fantazjowała, że żyją ze Skinnerem na drodze, jeżdżąc z miasta do miasta, sprzedając, co udało im się kupić lub wymienić. Widziała ich w kapeluszach kowbojskich, z finkami, pędzących konno przez zalaną słońcem ziemię poza zasięgiem władz.

Chciał jej pokazać, że on też pracuje. Skorzystam z programu, który tu mają, wprowadzę dwa treningi dziennie. Zbuduję masę. Musiał tylko znaleźć siłownię bez głupiego regulaminu – i gotowe.

Pochodził z miejscowości zwanej Shayler, którą określał jako opcję podstawową. Były tam bary, kościoły luterzańskie i sklepy 7-Eleven. Słowo „dom” przeciągał z lokalnym akcentem. Budynki wyrastały tam na wzgórzu przypominającym hałdę po kopalni. Wszystko to niedaleko Wirginii Zachodniej. Pod autostradą przechodzącą przez miasto piętrzyły się góry żwiru. Dużo lokali, dużo picia. Niezła drużyna futbolowa Steel Town. Mieszkańcy dość rasistowscy, ale całkiem otwarci. Mogli się zaprzyjaźnić z każdym. Tacy po prostu byli. Prawdziwi patrioci. Pod jego domem mieszkał szop. Byli biedni. Zasadniczo cała okolica była biedna. Matka, szczupła energiczna kobieta o krótkich blond włosach, siadywała w ich przyczepie i czytała „Reader’s Digest”, popijając wódkę z niebieskiego plastikowego kubeczka. Kręciło ją wszystko, co niezwykle. Ale przeważnie nic niezwykłego się nie zdarzało – poza piciem. Jego pierwsze wspomnienie pochodzi z czasów, kiedy miał pięć lat – matka pokazała mu zdjęcie stukilowego psiska w programie telewizyjnym i powiedziała: Popatrz tylko. Widziałeś coś takiego w życiu? Zaciągnąłby się i tak, nawet gdyby werbujący nie przyszli wprost do jego szkoły. Jedenasty września był głównym powodem, ale tak czy inaczej by wyjechał, byle czymś się zająć.

Mówił, obejmując ją wytatuowanym ramieniem i trzymając zapalonego papierosa z dala od niej. Powiedział, że grał kiedyś w szkolnej drużynie futbolowej i pamięta stadion, cyferki na tablicy wyników i złożoną z samych czarnych drużynę z gangsterskiej okolicy na szczycie wzgórza. Skręcili przy stacji benzynowej obok stadionu. Wszystkie samochody białych jechały w dół do barów dla białych, a samochody czarnych jechały na górę, do barów dla czarnych na Lafayette Hill.

Miałeś dużo kolegów?

Nie. Jak to się mówi?

Nanpengyou.

Nam-pę-dziu. A ty?

Nie. Ja biłam z chłopakami. A co z twoim ojcem?

Jak to: co z nim?

Nie mówisz o nim za dużo.

Skinner opowiedział jej, że kiedy miał koło siedemnastki, w barze za rzeką uświadomił sobie, że koleś odlewający się do pisuaru obok to jego ojciec. Opisał go: kurtka robocza i spodnie Carhartt, niesamowicie mocny uścisk dłoni, pił z dwiema kobietami przy barze. To był jego ojciec. A twój? A, tak, racja, mówiłaś mi o nim. Chiński żołnierz. Ale koleżanki... – kontynuował Skinner. Była jedna, którą lubił, i cała szkoła wiedziała, że ją lubi. Zrobiło się wielkie halo. Wtedy znalazł się najbliżej sławy. Kiedy spotykali się przy wejściu do szkoły, patrzyli się na siebie, czując presję wszystkich wokoło. Ona rzucała tylko: Hejka, Brad. Do niczego więcej nie doszło. Nigdy nie powiedział, że ją lubi. Nie było sensu, skoro wszyscy to wiedzieli, włącznie z nią. Byli w piątej klasie, dzieciaki uczyły się plotkować.

Złamała ci serce?

O tak, rozdarła na dwoje.

Wahała się, czy przyznać się do pobytu w więzieniu. Wiesz, jestem dziwiąca, że mnie lubisz.

A to czemu?

Bo jestem stara.

Nie, nie jesteś.

Imigrantka.

No i?

Możesz z amerykańską dziewczyną. Ona z żółtymi włosami. Wysoka, piękna kobieta.

Nie wiem, czy zauważyłaś, ale nie jestem za wysoki. Żadna taka się ze mną nie umówi.

Umówi, umówi. Pewnie. Pokocha cię.

Dla niektórych miłość wprawia w ruch ten świat, stwierdził.

A co wprawia w ruch świat?

Szczerze mówiąc, wojna.

Wojna?

W sumie, przede wszystkim pieniądze. Najpierw one, potem wojna. Wszyscy podniecają się patriotyzmem, flagą, całym tym radosnym pierdoleniem.

Spółeczeństwo potrzebuje dzielnych mężczyzn i kobiet do walki.

Na jej prośbę przysunął się, żeby mogła znów przyjrzeć się jego bliźnie.

Powiedziała, że się goi.

Zaparła się stopą z tyłu o ławkę i robiła jednoonożne wypady, przenosząc ciężar na ruchomą nogę z rękami założonymi za głowę, wpatrzona w niebo nad Queens, licząc szeptem, żeby sprawdzić, czy uda jej się zrobić serię. Miała mocne nogi. Wobec braku siłowni korzystała z parku. Dzięki stronie z czasopisma Skinnera z Miss Fitness na okładce, schowanej do torebki, ustaliła sobie grafik ćwiczeń z podziałem na dni, serie i powtórzenia. Uczyła się od każdej widzianej osoby, a było masę rzeczy, które wymyślili ludzie dysponujący tylko wyobraźnią. Latynosi przychodzili do parku w rękawicach roboczych i ćwiczyli kalistenikę, którą poznali w zakładach karnych, różne rodzaje podciągnięć, z nachwytem, z podchwytem, pompki szerokie, wąskie, diamentowe, na jednej ręce, w pochyleniu ze stopami na ławce, a także z oderwaniem rąk i nóg. A potem biegali wkoło z napompowanymi mięśniami ramion. Robiła pompki, wejścia na podwyższenie i rozciąganie pleców przy rurkach na siłowni plenerowej, a następnie kładła się na betonie i po szpagacie podskakiwała do góry i łączyła nogi.

Brudni mężczyźni kopnięciami rozgarniali chaszcze w poszukiwaniu torebek po prochach, bujając nogami jak kosą. Kobiety w workowatych spodniach wyprowadzały swoje pitbule, chrapliwymi głosami gadały z facetami z domów na Elder Avenue, paląc podczas rozmowy. Odmiana czerwono-nosa. W połowie czerwono-nosa, w połowie amerykański pitbulterier. Bliźniaki. Tamten wabi się Szczęściarz. Ten to Piorun. Chodź do mamusi. Uważaj. Jest kochany, ale gryzie.

Za metalową siatką kobieta z laską inwalidzką i torebką zaczęła wydzierać się na zgarbioną staruszkę o połowę od niej mniejszą: Zgubiłaś klucze! Zgubiłaś moje klucze! Bez nich nie wejdziesz do siebie!

Zagrał walc, Chińczycy ustawili się w szeregu. Nagrany głos odliczył: *yi... et... san... si*. Rozłożyli ramiona i podnosili wyimaginowane garście wody, ziemi, unieśli ręce i rozstawili palce, by deszcz mógł miarowo spadać na ich zadarte głowy. W chińskich miastach wędrowni mnisi włązili na ciężarówki ze zbożem i ćwiczyli w owijaczach i klapkach. Rozwalali cegły o swoje ogolone głowy i uderzali się nawzajem po brzuchach młotami kowalskimi. Kierowali *czy* do punktu nad sercem i wyginali miecze o klatkę piersiową. Nieposkromieni nastoletni nowicjusze pokonywali na rękach dwieście metrów, robili pompki do góry nogami z kłaśnięciem, krzycząc z wysiłku. Mieszkańcy wioski patrzyli na to z otwartymi ustami, a z wysuszonych słońcem twarzy błyskały im korony zębów. Chińska policja obserwowała widzów, by upewnić się, że nie zbierze się ich zbyt wielu w tym samym miejscu o tym samym czasie i że wszystko, co robią, jest właściwe, właściwe politycznie.

W Kissena Park Zou Lei po raz pierwszy w życiu patrzyła na członków zakazanej sekty Falun Gong. Ubrani byli w dobrane kolorystycznie białe dresy, stali w kręgu i poruszali kołem Dharmy do nowego rodzaju muzyki z odtwarzacza. Każde z nich miało miniaturkę tego kosmicznego koła na brzuchu. Wierzyli, że akt poruszania kołem zapewnia zdrowie, leczy raka i zmienia historię. W Chinach trafiali do więzień i obozów pracy. Uważali, że dzięki swoim ćwiczeniom będą kiedyś w stanie obalić tych

bestialskich zbrodniarzy w garniturkach z Pekinu. Członkowie sekty dysponowali fotografiami i dokumentami na temat tego, czego władze chińskie dopuszczają się w imię bezpieczeństwa państwa: porwań, przestępstw seksualnych, handlu narządami i tym podobnych.

W kantonimskim radiu usłyszała reklamę centrum handlowego Flushing Mall na Trzydziestej Ósmej Ulicy, za Sheratonem La Guardia. Szefowa powiedziała, że tam się robi pieniądze. Po pracy Zou Lei przecisnęła się przez tłumy na Roosevelt Avenue i przeszła na drugą stronę parkingu, a dalej przez ulicę, aż dotarła do wnętrza budynku – przestrzeni biurowo-handlowej ogólnego przeznaczenia – ze złotym napisem na dachu, obok Holiday Inn prowadzonego przez Hindusów.

Budynek był wypełniony dzieciakami – piętnastoletnimi dziewczynami, które krzyczały, chodziły z wyciągniętymi rękami, dały się, przeganiając chłopaków. Siedziały na stołach w eskimoskach i spodniach zsuniętych nisko na biodra i wysyłały SMS-y. Dorośli mężczyźni podnosili łby jak konie, odwracali swoje długie głowy o zapadniętych policzkach i gapili się na nie, po czym opuszczali twarze z powrotem nad miski, z oczyma tuż nad ich brzegiem. Mieli reklamówki, czarne włosy i adidasy, jedli długimi, szponiastymi palcami. Stoiska były oświetlone punktowo. Widać było stężałe twarze kobiet w fartuchach, które stały, czekając, by kogoś obsłużyć, a za nimi z kuchni buchała para jak w publicznych prysznicach.

Podeszła do pierwszego stoiska i powiedziała, że szuka pracy.

Pogadaj z nim. Z tamtym.

Szef miał włosy zaczesane do tyłu na żel i różową koszulę z postawionym kołnierzykiem. Siedział przed tacą pełną ociekających, pomiętych serwetek, resztek ścięgien i flaków wołowych oraz korzeni lotosu. Dekolt w serek, nefrytowy naszyjnik. Moje imię Polo, powiedział. Zakasłał. Wytarł usta i czerwony nos. Miał bransoletkę z drewnianych paciorków i duże ręce człowieka z północy. Był szczupły, wysoki i łagodny.

Gdzie przedtem pracowała?

Pracowałam wszędzie. Stąd aż do Karoliny. Fast foody. Uczyłam wszystkiego, pracowałam bardzo ciężko, szybka jestem, biegam. Umieję otwierać lokal, rozpalać ogień, nalewać olej, nastawiać czajnik, siekać mięso, mielić mięso, kroić mięso, robić ryż, robić sos, obierać warzywa, robić ciasto, robić pierogi, robić frytki, przynosić składniki – bo jestem silna, chociaż kobieta. Jestem po szkoleniu wojskowym. Przyjmuję rozkazy, wydaję rozkazy, potrafię dostarczać z dowozem, zliczać kasę, wyrzucać śmieci, zamiatać podłogę, wycierać podłogę, czyścić ladę, zmywać talerze, miski, garnki, chochle, tasaki, pałeczki, łyżeczki, wyłączać ogień, wyłączać światło, zamykać lokal. Codziennie pracować ciężko, spać jak zabita.

Rozumiesz po kantonimsku?

Jasne, skłamała.

Wstał, zostawiając tacę. Podniosła ją i opróżniła za niego.

Nie trzeba, powiedział.

Lubię pracować, zapewniła.

Wpuścił ją za stoisko. Druga kobieta gapiała się na nią. Zou Lei dostrzegła cień do powiek pod postrzępioną grzywką.

Potrzebuję ludzi, którzy dadzą radę z dużym menu. Rozszerzamy ofertę.

Kiedy szli przez kuchnię, zagłuszył go wiatrak pochłaniacza. Czyjeś blade spocone ramiona podrzuciły zawartość woka i zakołysały nim, aż buchnął płomień.

Wyszli na zaplecze, które czuć było śmieciami, całymi beczkami odpadków i ryżu. Na ścianach ślady kopnięć, bieżnik buta. Zakrzepły brud, kubel na śmieci. Poszła za nim do magazynu, gdzie zaczął przerzucać papiery w pustym kartonie po warzywach.

Chcesz tą robotę?

No pewnie.

Obok chińskiego kalendarza Han na maj wisiało przyczepione zaświadczenie odbycia inspekcji sanitarnej. Wydrukowana na nim nazwa brzmiała: Eugene Cheung D.B.A. Fong i spółka. Przez ścianę słyszała ludzi pracujących po drugiej stronie.

Twoje nazwisko?

Zou.

Imię?

Lei.

Patrzyła, jak zapisuje na kartce, którą pokrywało już pismo odręczne, numery telefonu, podkreślone, obwiedzione i skreślone.

Inne Lei.

Nie jak pąk kwiatu?

Nie, nie jak źdźbło trawy.

Takie Lei? Jak grom? Zapisał poprawnie.

Tak.

To nie imię dla dziewczyny. Jesteś chłopakiem?

Nie, tak mi dali.

Chyba chcieli syna. Albo słabo umią piśmienność. Dużo Chińczyków nie umie piśmienność.

Tak?

Nic nie odpowiedziała.

Chińczycy chcą syna. W Ameryce kobiety górą, tak? Słyszałaś o tym?

Mężczyźni i kobiety równe.

Wierzysz w kobiecą siłę?

Tak, odparła.

Ja myślę, podsumował z uśmiechem. Interes mój rozwija. Ta okolica rośnie. Dużo pieniędzy przychodzi. To dopiero zaczyna, więc chcemy zmienić, złapać nową falę. Sprowadzamy smaki zza oceanu, wołowinę, węgorki, sos shacha. Chcemy drużynę, jak w armii. Zgiął palce jak szpony, żeby podkreślić znaczenie swoich słów. Przejąc rynek, zwiększyć udział w rynku bardzo, bardzo, bardzo – coraz bardziej rozczapierał palce. Wyglądało, jakby dyrygował orkiestrą. Tym razem okazja, prawdziwa okazja. Patrz: olimpiada będzie w Chinach. Jak świetnie!

Jaka jest pensja?

Rozsądna, odpowiedział.

Płaca minimalna?

Oczywiście, takie jest prawo. Muszę przestrzegać prawa. Ty musisz przestrzegać prawa. Każdy w społeczeństwie musi przestrzegać prawa.

Spytał o pozwolenie na pracę, pewnie doskonale świadom, że Zou Lei go nie ma.

To bardzo poważny problem, stwierdził. Jeśli cię zatrudniam, mam ryzyko. Tak? – upewnił się wobec braku reakcji Zou. Mam ryzyko. Bardzo poważne. Jeśli ja mam ryzyko, kto odpowiada? Ty musisz odpowiadać. Jeśli ja ci mam pomóc, ty masz mi pomóc. Całkiem uczciwie. Więc pensję trzeba dopasować. Napisał ją na papierze i zakreślił. To jest pensja.

Policzyła w głowie.

Dolara więcej, powiedziała.

Nie, odparł z uśmiechem. Pomagam ci. Naprawdę. Nie rozczarowuj się. Powiem ci coś. Prawdę. To kupa forsy.

Pierwszego dnia Zou Lei dotarła do strefy gastronomicznej za wcześnie i musiała zaczekać pół godziny, aż wiatraki pochłaniaczy zaczną huczeć w kuchni z tyłu. Zaraz z trzaskiem zapaliły się światła. Usłyszała szelest reklamówki i hałas, którego źródłem okazała się kobieta ze stężałą twarzą przesuwaną się w świetle.

Dzień dobry, przywitała się Zou Lei. Przyszłam do pracy.

Kobieta prychnęła i pociągnęła z plastikowego pojemnika z żółtym napojem. Zou Lei rozejrzała się. Czekala. Nie widziała mężczyzny, który ją zatrudnił. Przycupnęła pod ladą.

Nikt cię tu nie prosił, wycedziła kobieta z pierożkiem won-ton zwisającym jej z ust.

Przyszłam do pracy.

Zapamiętaj to sobie.

Kazali jej czekać. Pojawiła się dziewczyna od kasy i zapytała: Może się przesuniesz? Cisnęła torebkę na półkę pod ladą. Z kuchni dobiegał szcęk łopatki o wok. Przynieśli rybne tofu. Śmierzące tofu jest dobre jak cholera, powiedziała ta od kasy o połyskujących, nierównych włosach. Trzymała szaszłyk dłońmi z akrylowymi tipsami. Mówiły slangiem, za którym nie nadążała. Ciągłe numer dziewięć. Nauczyła się, że to fiut, czyli kutas. Nie możesz tu stać. Zou Lei przesunęła się ponownie. Wyłonił się kucharz, który wsunął do bamaru kolejny pojemnik.

Weź to odwieś. Nie możesz w tym pracować. Miały na myśli jej kurtkę. Haczyk był pod kamerą. Kobieta odsunęła swoją zupę. Ja kierownik. Miała lśniąca bladą twarz i proste brwi wymalowane na czole – kantonka. Gdzie masz fartuch? Chodź tu. Pokazała Zou Lei frytkownicy, sos do sałatek, ryż, pastę mięsną – podnosiła metalowe pokrywki i demonstrowała, wałąc łychę. Musztarda! Nie zapomnij! Wyrwała pojemnik spod stojaka na naczynia. Potrzebujesz worka na śmieci, bierzesz stąd. Kopnęła pojemnik z powrotem na miejsce. Smażone udka, wskazała. W wodzie podskakiwało mięso. Kulki rybne. Obeszły wiadro. Pochłaniacz działał. Kucharz tłukł wokiem po palniku. Zlew, wok, nóż, zmywak. Siekasz na tym stole, nie tam.

Jazda! – poganiała. Zabrała Zou Lei do magazynu, gdzie wisały szmaty i stały kilkukilowe opakowania skrobi.

Harmonogram, rzuciła. Notatnik z długopisem na sznurku. Podpisujesz codziennie, zanim pójdziesz.

Co powiedziałaś?

Czego?

Nie zrozumiałam do końca, wyjaśniła Zou Lei.

Już powiedziałam.

Ale co?

Spytaj kogo innego, jak nie rozumiesz.

Dostała firmową koszulę, daszek i pomarańczowy fartuch. Musisz za to zapłacić.

Kiedy zapytała, za co, myślały, że chce się kłócić.

Wszyscy zapłaciliśmy. W życiu nic za darmo.

Posłały ją z wózkiem, żeby pozbierała tace. W podziemiu panował hałas. Zebrała tace ze wszystkich stolików. Nie, tylko nasze! – pouczyły, kiedy wróciła. Trochę pomyślunku. Nikt jej przecież nie mówił. Spociała się. Całe ręce miała w jedzeniu innych ludzi. Okej, powiedziała ta młodsza, o imieniu Sunnie. Porozdzielaj je po prostu i odnieś niepotrzebne.

Starala się naprawić złe wrażenie. Dźwigała naczynia w pojemnikach. Nad głową grało chińskie techno. Uwaga! – syknęła kasjerka. Dobrze. Obeszła wiadro. Pojemnik ważył prawie tyle, ile była w stanie unieść. Wyślizgnął jej się z palców, ale zablokowała go kolanem i wstawiła do zlewu. Od lady dobiegały rozkazy. Shacha. Kucharz powtórzył: Shacha.

Umiesz zmywać? Kiwnęła głową. Wstawiła pałeczki do ażurowej puszkii. Niektóre wystawały przez szpary. Potrząsnęła nimi, lekko uderzyła, żeby się dobrze ułożyły, i prysnęła na nie silnym strumieniem wody. Pochlapała swój pomarańczowy fartuch. Uniosła się para. Kucharz wyrwał jej wylewkę i połał naczynia. Woda zadudniła o metalowy zlew. Nacisnął płyn do zmywania, ciężkie bańki poleciały na boki, mieniąc się tęczo. Kucharz zostawił Zou Lei, która zabrała się do naczyń ze zmywakiem. Ruchy, ruchy, ruchy! – krzyknął. Walił garnkami, w tę i z powrotem jeździł ścierką po blacie ze stali nierdzewnej. Jeden po drugim wyciągała talerze, żeby obciekły. Miała mokre ramiona. Pyskająca woda spływała po zlewie. Wszystko było pomoczone, karbowana podłoga też. Czuła, jak czarny brud odmaka z zagłębien i trafia do odpływu.

Sytuacja się uspokoiła. Kobiety stały przy ladzie z napojem w kubkach.

Nikt się do niej nie odezwał. Nalała sobie pełną porcję coli, bez lodu, i wypila prawie duszkiem, łapiąc szybko powietrze. Od razu lepiej. Cukier rozświetlił jej wnętrze jak słońce pustynię.

Wzięła mięso z bamaru i zrobiła dla Skinnera coś na kształt paczki żywnościowej. Napelniła styropianowe pudełko ryżem, wołowiną i pierożkami, włożyła do reklamówki, schowała na półce obok skrobi i zniosła mu po pracy. Miała tylko plastikowy widelec, ale powiedział: Nie, nie trzeba – i zjadł posiłek na zimno, palcami, tak jak nieraz w wojsku. Kiedy przyszła jej kolej, pochyliła się i zjadła na swój sposób, jak każdy azjatycki pracownik – używając widelca jak szufli. Musieli zmieniać się przy paśniku, bo inaczej zderzaliby się głowami. Szturchnęła go łokciem. Spojrzał na nią.

Tongkuai.

Znaczy dobrze?

Tak. *Tongkuai* to ciepłe. Mamy tu bardzo ciepło. Pokazała na suterene, pomalowaną na fioletowo i otoczoną zimną, ciemną nocą panującą za oknem.

Znaczek na ich uniformach głosił „Ah Genuine”; w firmie pracowały dwa rodzaje ludzi. Były bliźniaczki na kasie, Angela i Kay, które skończyły szkołę w Nowym Jorku i mówiły slangową hybrydą, w której DG oznaczało masturbować się. Imigrantów nazywało się pchłami albo przywłokami, łódkarzami, saaiwokami albo ładunkiem – ze względu na to, jak wielu z nich zginęło na pakach ciężarówek przekraczających granicę. Rodzice kasjerek przybyli tu legalnie. Same prowokująco podkreślały, że nie potrafią tak naprawdę pisać po chińsku. W SMS-ach używały mieszanek kantońskich znaków i angielskich skrótowców. Nosily kabaretki i staniki podkreślające biust.

Starsza od nich Sassoon była w Ameryce już od piętnastu lat. Przyjechała, kiedy Azjaci byli jeszcze na ulicach w mniejszości, na początku obecnej fali imigracji, w okolicach pierwszej wojny w Zatoce Perskiej. Czarni naśmiewali się z jej angielszczyzny. Ona mieszkała blisko nich i nazywała ich *jiekwan* w rozmowach z sobie podobnymi, którzy rozumieli jej kantoński i mieli zielone karty.

W rodzinnym Guangdong miała bliżej nieznanych krewnych: mieszkali w Rozległej Sieci i Trawie Wodnej, chodzili boso w wypłowiałych spodniach podwiniętych do kolan, orali pługiem zaprzężonym w woły, a ich chłopskie twarze były pobrużdżone i zmarszczone od lat przepracowanych w słońcu. Pola nawozili ludzkimi odchodami. Chorowała na zapalenie wątroby, ale miała przeciwzrodzinę w Hongkongu, więc stosowała preparat wybielający do twarzy. Nawet zimą chroniła twarz przed słońcem za pomocą egzemplarza „Sing Tao”. Latem nosiła parasolkę. Chodziła do salonu urody na czerwone pasemka we włosach, na masaż skóry z kremem i na odmładzanie jajników.

Była znów sama po małżeństwie z niekochanym przez siebie mężczyzną, który wrócił do Chin. Brat prowadził własny interes – razem z kuzynem montowali okna. Raz w tygodniu gotowała dla nich niefiletowaną rybę w brązowym sosie i zostawiała im całość w lodówce, w niebiesko-białej misce przykrytej talerzem. Nie lubiła rozmawiać z ludźmi, którzy nie rozumieli jej języka, ponieważ musiałyby

przechodzić na mandaryński lub angielski, a te znała kiepsko – brakowało jej wykształcenia. Ale nie odmawiała sobie kontaktu z Polem, który siadywał sam przy stoliku dla klientów i eksponował nagłówki gazety trzymanej w dużych, krzepkich, dobrze naoliwionych dłoniach.

Podczas przerwy Sassoon i dziewczyny z kasy szły usiąść przy stoliku Pola. Częstoowały się jedzeniem z bamaru, tym samym, które podawały klientom. Angela była wybredna. Mówiła, że mięso ją brzydzi. Sassoon była na diecie zupełnej w trosce o linię. Kucharz, Rambo, też przysiadł się do szefa i pochłaniał mnóstwo gorącego ryżu. Miał złoty łańcuch, ogoloną głowę, mięsiste, silne przedramiona, całe we fioletowych poparzeniach, jedno ozdobione wytatuowanym smokiem, oraz kilka złotych zębów. Było jeszcze dwóch mężczyzn jakoś związanych ze stoiskiem, którzy jedli albo z Rambem, albo sami.

Ci mężczyźni, pochodzący z rejonu wydobywania węgla na północnym wschodzie Chin, spłacali hipoteki za nieruchomości na Queens. Jeden z nich miał za sobą pracę w ochronie kopalni. Rozmawiali o powrocie do Chin, gdzie można teraz było zarobić fortunę, i rzeczywiście, regularnie jeździli tam i z powrotem w interesach, podobnie jak Polo.

Polo udowadniał przy nich swoją znajomość angielskiego, a Sassoon wpatrywała się w szefa, jedząc z otwartymi ustami i z twarzą połyskującą od wybielacza do skóry. Rambo rozmawiał tylko z innymi mężczyznami. Polo za to z różnymi ludźmi w różnych językach, zależnie od tego, z kim miał do czynienia. Skrzyżował nogi i usiadł pod kątem do nich, żeby coś wyjaśnić. Był rozsądny i zorientowany, mówił ponad ich głowami. Śmiał się ze zrozumieniem. Jeszcze to do was dotrze. To przychodzi z czasem. Człowiek uczy się powoli. Albo rozkładał gazetę i czytał ją, a przy stoliku zapadało milczenie.

To był pierwszy typ ludzi w restauracji, i to oni ją prowadzili. Drugi gatunek, klasa podporządkowana, nie jadł przy stoliku z Polem. Wśród kuchennej kakofonii jedna spoglądała na zegar i wrzeszczała: *jie bun*, a reszta chwytiała za miski. Jadły na zmianę. Wychodziły do części dla klientów, któraś niosła wspólny garnek kiełków fasoli, którymi się potem dzieliły. Przysługiwały im porcje z siedemdziesięcilitrowego gara ryżu. Jako członkini tej drugiej, niższej klasy, Zou Lei jadła, kiedy przyszła jej kolej. Wszystkie to były nielegalne imigrantki. Jadły zgarbione, z opuszczonymi głowami, wokół stolika przy wyjściu.

Z kuchni, gdzie siekali warzywa, wychodzili czasem dwaj Meksykanie o twarzach mocno opalonych nawet zimą i dzielili z nimi posiłek. Nosili tyłem na przód stare bejsbolówki. Kiedy indziej zajmowali inny stolik, też przy drzwiach, i po cichu rozmawiali w którymś z języków Indian meksykańskich.

Kobiety były starsze – albo zwyczajnie wydawały się starsze – i mniejsze z powodu niedożywienia w niemowlęctwie. Niektóre miały donośne wiejskie głosy. Łączył je fakt, że żadna nie miała pozwolenia na pracę. Większość pochodziła z południa; Zou Lei była wyjątkiem.

Nie rozumiesz mnie, bo jestem z Prefektury Źródeł Mineralnych, powiedziała kobieta w chustce, która zmywała naczynia. Bardzo wieś. Upaprana ziemią, cała w ziemi. Byliśmy brudem i żyliśmy w brudzie, to on dawał nam życie. Mieliśmy kiedyś pola. Mieliśmy jedzenie, żeby jeść bez końca. Wtedy tam była wieś. Po czym zniszczyli pola i wszędzie powznosili budynki. Nie ma już gdzie siał. Wybudowali fabryki i nic już nie rośnie. Życie jest tłamszone. Nie ma pracy. Ludzie łowią, jeśli mogą. W fabrykach też nie ma zatrudnienia. Prace dostają mniejszości, Dai i Wey w turbanach i ci, jak im tam.

Jak im tam?

Ujgurzy.

Kto to Ujgurzy?

Ludzie spoza miasta. Zacołani. Jedzą rękami, bez pałeczek, chaps, chaps, chaps. Noszą z sobą noże. Rząd pozwala im mieć tyle dzieci, ile chcą. My możemy mieć jedno, oni mogą mieć dużo. I dostają pracę w fabryce, bo pracują za grosze. To obniża standardy dla wszystkich. Noszą turbany i w ogóle.

Nieprawda, zaprzeczyła Zou Lei.

Owszem, noszą. W stylu Osamy bin Ladena, noszą turbany. Widziałam ich na Wzgórzu Buddy w fabryce, dużej, wielkiej, zagranicznej fabryce, dużej z dwoma dużymi budynkami, zagranicznymi szefami, dużymi pieniędzmi z Tajwanu. Grube ryby. Zatruwają całe pola. Nie dało się tam żyć i my,

zwykli ludzie, powstrzymywaliśmy ich, protestowaliśmy. Ci Ujgurzy mieli takie wielkie turbany i trzy-cztery razy dziennie trzeba było zamykać cały zakład, żeby mogli się pomodlić do Mekki – olaboga, olaboga, wielkie zabobony. Fabryka nie zarabiała i to wszystko zniszczyło, zero gospodarki.

To nieprawda.

A ty skąd tyle wiesz? Patrzcie tylko, wygląda, jakby coś przed nami ukrywała, no nie? Coś tam wiesz, prawda? Założę się, że jesteś Ujgurką! Ha, wiedziałam!

Co to jest Ujgurka?

Niech ci ona powie. Naucz swoje nowe koleżanki. Jesteś specjalistką.

Turban nosi imam. Mężczyźni noszą doppę. Kobiety noszą chustę.

To cudzoziemcy?

Są z Afganistanu, z bardzo daleka, ale należą do Chin. Powiedz im. Gdzie masz chustę?

Czemu miałabym nosić chustę?

Bo pewnie nie chcesz, żeby ludzie wiedzieli, kim jesteś.

Jestem w połowie Han.

Widzisz, jaka cwana jesteś. Tak jak oni. Teraz jesteś w połowie Han. Na pewno mówisz tak, bo się boisz, że będziemy cię dyskryminować.

Większość z nich jednak nie pamiętała, skąd dokładnie była. Nie zauważali, że ona biega, podczas gdy inni chodzą, że przychodzi wcześniej, a wychodzi późno i udaje, że była w wojsku. Widziały tylko, że jest inna – z mniejszości na północy i nie mówi po kantońsku. Wbiły sobie do głowy, że jest Mongołką albo Rosjanką, byle wyjaśnić jej odmienny wygląd i mowę. Przede wszystkim dostrzegały, że ma inną budowę ciała od pozostałych Chinek. Któregoś razu Polo nadzorował dziewczyny przy pracy i powiedział, że Zou Lei jest inna. Jest zdrowa. Amerykański styl! Zaśmiał się: Ha, ha, ha! Stwierdził, że kasjerka wygląda chudo. Czemu nie przypakujesz? Na co kantonki wykrzywiała twarze.

Dały jej pudełko foliowych woreczków i kazały włożyć do każdego torebkę z sosem do kaczki, sosem sojowym, serwetkę i plastikowy widelec. Zobaczymy, ile ci zajmie zrobienie pięciuset. Tak – dmuchasz, żeby otworzyć woreczek. Czekaj chwilę, zrobisz to później. Wtaszczyła brudne naczynia. One siekały kapustę.

Spróbuję, zaproponowała.

Nie, rzucił Rambo. Jesteś od naczyń, śmieci, pierogów i mopa.

Zastąpiła Sunnie przy pracy z chochlą w dłoni; wspięta na palce, patrzyła na światła i dzieci z czapkami na bakier, większe od rodziców, i słyszała, jak mówią: To mój ziomal, mój człowiek. Zou Lei widziała, jak przechodzą, a oni widzieli, że się im przygląda, taksowali ją, oceniali i rozmawiali o niej, nie spuszczać z niej wzroku, dopóki gdzieś nie zniknęła.

Gadają o tobie. Mówią, że widzieli, jak ćwiczysz w parku. Serio to byłeś ty? No co ty! To nowa pracownica. To była ona. Muszę to komuś powiedzieć.

Kasjerka zaczęła pisać SMS-a do siostry.

W sensie, jakie ćwiczenia? Oralne?

Gimnastyczne, powiedziała Zou Lei.

Kasjerka zaśmiała się przeszywająco z czegoś innego, co przeczytała na ekranie telefonu.

Ich słabo rozumiały kantoński odbijał się echem od płytek. Stały plecami do niej. Ona plecami do zlewu. Weź *gwat*, usłyszała – tak przynajmniej jej się wydawało. Miała wrażenie, że te słowa dochodzą jakby przez filtr. Dialekt występował w różnych odmianach, zależnie od pochodzenia danej osoby – z głębi łądu lub z wybrzeża. Sunnie wyszła z za rogu. Wyciągały skrzynki spod metalowego stołu. Sassoon wsunęła rękę do środka i wyjęła wnętrze kurczaka, które wyslizgiwały jej się z ręki. Weź klejnot. Gotuję klejnot, powiedziała jedna z nich i ściągnęła błonkę. Weź jedwab, mówiły. Lepiej nie marnować. Weź dłoń Buddy. Odsuń się. Wysmarowana tłuszczem ręka podniosła nóż. Zou usłyszała odgłos krojenia na plasterki i pomyślała, że to, co nazwały *gwat*, to marchewka.

Co robimy? Robimy włochatego kraba, bogactwo całej rodziny. Strasznie to nudne. Sunnie przyszła z miskami i postawiła je na stole. Ta jest na tłuszcz, klejnot, ściągną, lotos, parasol, klejnot, kurzy płód. Wycelowała nóż w Sunnie; nie liczysz matematycznie! Wezmę kolejnego, powiedziała. Trzy więcej jeden! Widzisz? Nie liczysz matematycznie! Sunnie powiedziała okej i znowu wyszła. Jeden razy trzy to trzy. Zrozumiała, że chodzi o miski. Kobiety zajmowały się mięsem. Miesięczny zapach. Czuję, że masz napięcie miesięczne, rzuciła kobieta z małymi oczkami, ozdobiona kawałkami żółtego złota. Podeszły do brudnych skrzynek na podłodze i wzięły rzodkiew, po czym pocięły ją na talarki. Błaszki grzybów, które siekały, przylepiały się do metalu, trzony były oblepione błotem. Po przecięciu lotos był podobny do przekroju świńskich zatok. Wciąż brudne. Lepiej wyczyść albo chwycisz Buddę za stopy. Z kawałka kartonu zrobiła szufelkę do czyszczenia podłogi. Brud przyczepiał się do niej jak do dziewczyny ze wsi.

On mówi, pokręciłaś coś z zamówieniem. Zamówienie jest na żylastą wołowinę, kurczaka, wieprzowinę i ostrygi. Osobno indyk. Kiedy zamówienie ma dodatki, to jest wątpliwość. Możesz mieć połączenie z ryżem albo z kluskami. Jeśli mięso, pytasz, jaki sos. Ostrygi są tylko z ryżem. Jeśli chcą kurczaka z ostrygami, krzyknij do kuchni, żeby Rambo dołożył. Jak ona mówi zamówienie, najpierw mówi zamówienie, a potem dodatki. Jeśli zamówienie idzie z kluskami, mówi wołowina i kluski. Żeby oszczędzić czas, mówi tylko wieprzowina. Mówi sto razy dziennie, niech nie powtarza, wszyscy powariujemy. Jedno słowo i tyle, wszystko jasne. Proste! Kluski raz. Jeśli chcą nitki, jeśli chcą ściągną, nie trzyma w sekrecie. Krzyknij do kuchni.

Nie ćwiczyła podczas przerwy. Nie było na to czasu. Zanurzała pałeczki we wspólnej misce, wyjmowała mokry zwitek warzyw, rzucała na ryż i wciągała do ust, w przeznaczonym na to czasie wciągała ryż i przeżuwała z opuszczoną głową.

Kiedy przychodziły dostawy, rozładowywała skrzynki z Meksykanami, a po pracy biegła do Corony i z powrotem. Czasem wsiadała w metro i jechała do Skinnera, a gdy była zmęczona, jeździła autobusem bez biletu. Jej adidasy się rozpadały, podeszwy były kompletnie zdarte. Wpatrywała się w witrynę Footlockera.

Barczysty, czarnoskóry chłopak w sklepowym uniformie powiedział coś do kolegi i wyszedł na zewnątrz, żeby sprawdzić, czy może jej pomóc. Obliznął usta i zapytał: Czego szukasz? Stała oparta na jednym biodrze i sprawdzała ceny. Czym mogę służyć?

Na jej ustach gościł uśmiech. Odliczała dni do wypłaty.

Może wejdiesz do środka, tam jest cieplej?

Tyle że po zapłaceniu czynszu prawie nic by jej nie zostało.

Dobrze, dobrze, nie musisz wchodzić. Jestem tu, żeby pomóc.

Zanim pozwolił jej odejść, uparł się uściskać jej dłoń, którą pocałował, a ona szarpnęła rękę ze śmiechem. Zawołał za nią, kiedy oddalała się ulicą.

Wszystko jasne! Proszę to przemyśleć!

Rano pobiegła dalej, minęła ulicę, za którą park rozciągał się w kierunku wysokich samotnych budynków, które dla niej były jak góry. Dotarła do boiska do koszykówki, gdzie mężczyźni i chłopcy z Afganistanu grali w piłkę nożną w skórzanych sandałach przy minus sześciu stopniach. Mężczyźni mieli brody jak imamowie, a chłopcy problemy z koordynacją – skutek opadu promieniotwórczego uranu.

Kiedy dostała wypłatę, kupiła parę niemarkowych adidasów w sklepie „wszystko po 99 centów”. Obcierały jej pięty, więc wykleiła je sobie taśmą, żeby było wygodniej.

Gdy nikogo nie było w pobliżu, przycupnęła za bemarem, wyjęła styropianowe opakowanie i rozejrzawszy się, podniosła pokrywkę ze stali nierdzewnej, by sprawdzić, co pod nią jest. Tylko woda. Zou wypuściła pokrywkę – upadła z niemal symbolicznym dźwiękiem – i złapała się za poparzoną rękę. Chwyliła chochlę i podniosła kolejną pokrywkę trzonkiem. Buchnęła para. Usłyszała czyjś kroki, odłożyła wszystko i stanęła z boku. Zgięty w pół kucharz, Rambo, wszedł szybkim krokiem, jakby chcąc dogonić kocioł, który niósł przed sobą, trzymając go przez ściereki. Zrobiła mu przejście. Odstawił kocioł, uniósł pokrywkę i opuścił ze szczękiem. Z miejsca, w które się cofnęła, widziała ciepło unoszące się znad ryżu. Rambo wziął chochlę i zerwał nią pokrywki z garnków, po czym złapał je jak żongler kręcący talerzami w orientalnym cyrku. Zou udawała, że układa kubki. Kucharz przykucnął i podkręcił płomień. Odłożyła styropianowe opakowanie, schowała swoją ścierekę do szafy z kurtkami, torebkami i skrobią. Na podłodze stały torby zakupowe pracowników z ich własnymi warzywami. Goji, szanghajskie kiełki kapusty. Ktoś przyszedł z kawą. Zou wyszła do sali i zauważyła, że dziewczyna na kasie je ciastko – okruszki na serwetce, odcisk kubka z kawą – czuć było mleko i cukier.

Co robisz? Chowasz się?

Chciała kawałek żylastej wołowiny.

Kiedy weszła do kuchni, żeby zmyć naczynia w godzinach największego ruchu, Rambo jej zasalutował.

Wyszła z pracy nocą. Akurat przecinała parking przy Roosevelt Avenue, gdy w jej polu widzenia znalazł się ktoś biegnący między blokami po drugiej stronie ulicy. Patrzyła, jak postać w dresie przeskakuje barierkę, podbiega do metalowych drzwi i zaczyna kołysać tyłkiem w przód i w tył. Drzwi otworzyły się z łoskotem i pojawiła się grupka hałaśliwych, roześmianych dziewczyn w bejsbolówkach. Pierwsza z nich zaczęła podskakiwać i klaskać, dołączyła do niej kolejna. Klaskawy idealnie równo – na znak rozsunęły się na bok, zrobiły kilka kroków w jednym rytmie – do uszu Zou dobiegł okrzyk – i dołączyły do pozostałych, przeszły pod latarnią i zmieniły się w grupkę cieni wędrujących energicznie w noc, a za nimi niesły się ich głosy.

Wtem Zou Lei dopisało szczęście. Na Junction Boulevard znalazła sklep Colombiana z używanymi rzeczami i półkę z ubraniami „wszystko po trzy dolary”. Kupiła parę dzinsów. Na metce, której nie mogła rozczytać, napisane było „Euphoria”; tak czy siak były jak nowe i jej podeszły. Któregoś wieczora zrobiła trzysta przysiadów, założyła te spodnie i pasowały jak ulał.

Polo rozmawiał z Sassoon.

Każdy ma swój charakter. Popatrz: jedna, druga, trzecia, czwarta. Jedna styl z Tajwanu, druga z Hongkongu, kolejna z Japonii. Polo zatrzymał się, by pomyśleć. Następna z Tajlandii, następna z Singapuru, następna z Korei. Coraz więcej, coraz dalej. Bardziej nowoczesny styl.

Ale my, jacy my jesteśmy? Myślcie.

Sassoon czekała, aż jej wyjaśni.

Dostarczamy nowoczesnych smaków, powiedział. Pierwsza linia. To jest nasza cecha. Popatrz:

Sa-cha. Gęsta zupa. Ostrygi. Wszystko opiera się na Hongkongu, Tajwanie. To jest pierwsza linia. Nie tylko zapach. Smak. No i kultura. Wielki talerz. Czemu wielki talerz? Bo to nowoczesne. Zobacz, ktoś je – płaci dolary, je, ale talerz jest mały! Jak dwadzieścia lat temu! Jak na wsi! Czuję się taki biedny! Czemu ja płacę? Jestem niezadowolony. Chcę duży talerz. Duży talerz tworzy atmosferę wolności. Współczesna kultura. Ach! Teraz jestem taki wolny, taki wielkoduszny, taki rozluźniony.

Rozumiecie to? Przyjrzał się słuchaczkom, nim podjął:

Wiecie, co to sushi? Ha, ha! Pokazał na swoje usta zakrzywionymi palcami. Sushi jest zaawansowane. Tam – pokazał na inne stoisko – dają sushi. Lubicie jeść sushi? Skąd macie wiedzieć? Jestem od was starszy, a sam dopiero się dowiedziałem. Zaproszę was. Możecie spróbować. I co myślicie? Ha, ha.

Musicie rozważyć znaczenie. Znaczenie jest bardzo głębokie, ten, właśnie ten charakter. Jeśli zrozumiecie ten charakter, możecie iść naprzód, możecie zwiększać swój udział w rynku. To wasz kapitał. Inaczej nikt o was nie usłyszy.

Nauczycie się pomalutku. Musicie wciąż pracować. Będziecie mieć własne biznesy.

Za stara, powiedziała Sassoon.

Może fryzjerka? Może kosmetyka? Będziesz mieć własny biznes i będziesz moją konkurencją! Nastroszył sobie grzywkę i zaśmiał się, ha, ha, ha.

Za stara. Szukam na męża. Bogatego. Niech mąż pracuje.

A ty co będziesz robić?

Fitness!

Fitness! Tak? Disco, aerobik... Uśmiechnął się i podniósł ramiona.

Schudnąć. Chciałabym schudnąć, powiedziała Sassoon. Zatańczyła na siedząco.

A, stwierdził szef.

Chłopak z liceum imienia Cardoza rozmawiał z Kay albo Angelą przez ladę. Boisz się o swój image. Dziewczyn tu nie ma, spokojnie. Ja cię obronię. Muszę bronić swojego image'u. Ej, no, ej, no, powiedział. Ej, no. Ej, no. Już ci mówiłem. Aha, aha. No. Możesz dotykać kaski. Dasz dotknąć kaski? Nawet o tym nie myśl. Krejzolka. Krej-kurde-zolka. To oni są szurnięci. Cmmmmok! Nie gadaj tyle. Twój chłopak w gangu. Po co tyle gadać? Wiem, że podkradasz. Wiem, że wiesz, o czym mówię. Bierzesz pieniądze. Cicho bądź. Ty cały dzień przy kasie, więc pokusa dla takiej jak ty. Może tak dwie dychy. Może stówkę. Może tysiaka. Seryjnie, wrzuc na luz. Jestem w kamerze. Cały czas patrzą na mnie cztery kamerki. Film typu X. Bez kitu. Film XXX. Porno z tobą. Chyba cię powaliło. Musi cię podejrzewać. Ten lokal trzepie niezłą kasę. Ile to jest niezła kasa? Dwadzieścia dolarów? Stóweczka? Chyba dużo więcej. Gruby hajs. Powaga? Sze fuńcio ma kasy od cholery. Mieszka w Jersey. Czym jeździ? Cadillakiem escalade. Escalade... Taki duży czarny. Lubisz escalade'y? No, raczej. Uśmiechnęła się i przejechała językiem po zębach. Lecisz na kasę tego koleśia. Zanuciła pod nosem. Kto to wie. Nie bujaj. Mogłabym wsiąść za kółko. Złapała niewidzialną kierownicę i zakołysała swoim chudym ciałem na boki.

Mężczyźni stwierdzili: Zdrowa jest.

Siedzieli we trzech przy stoliku najdalej od kasy, z widokiem na sprzątające tace kobiety w pomarańczowych czapkach i fartuchach.

Dasz jej steka, a ona go zje, to taka dziewczyna. Nasze chińskie dziewczyny takie nie są. Są skromne, taki mają charakter. Kiedy pokazują swoje kwiaty i gałązki, to co innego.

Panienko, panienko, nie gniewaj się. Ja siedzę na krześle, ty siedzisz na ziemi. Ja jem arbuza, ty jesz mięso.

W ich dialekcie z kraju węgla te słowa się rymowały. Rozmawiali o nieruchomościach, podatkach i o tym, jak wymigać się od mandatu przed amerykańskim sądem.

Dobrze by się nadała dla Pola.

Za miękki dla niej.

To facet z klasą. Nie byłby zainteresowany. Mówię wam.

Jakby był, to sami-wiecie-kto, ten zabójca z *Krzyku*, by się jej pozbył.

Ta kocica go przeraża.

Były ochroniarz o imieniu Qing, które w klasycznym chińskim oznacza szept, opowiedział historyjkę. Był sobie kiedyś brygadzysta w naszej kopalni. Związany z klanem, więc trzymaliśmy się od niego z daleka. Ale wiedzieliśmy, że ma dziewczynę, narzeczoną. Jeszcze nie mieli ślubu, rozumiecie. Zabraliśmy ją z drogi, zaprosiliśmy do spokojnego miejsca. Poprosiliśmy, żeby usiadła. Żeby się rozgościła. Rozpaliliśmy ogień. Pomogliśmy jej zdjąć płaszcz i spodnie. Jest strasznie gorąco, tłumaczyliśmy. Uważaj na zdrowie. Nie chcemy, żebyś dostała gorączki. W naszej wiosce hodujemy fasolę, nasza wieś z niej słynie. Przygotowaliśmy lejek. To ci przypomni twojego ukochanego, powiedzieliśmy jej. Twoje łyzy to łyzy niecierpliwości. Podgrzaliśmy kilo fasoli, aż dymiła na palenisku. Właliśmy ją w dziewczynę przez lejek.

Jeden z mężczyzn, który nazywał się Dzwon albo Kołatka, zapytał, czy to prawdziwa historia.

Nie wiem, odparł Qing. A jak myślisz?

Dlatego nie mieliśmy jedenastego września, dorzucił trzeci.

Mieliśmy jedenastego września. Tak wielki kraj jak nasz miał więcej niż jeden jedenasty września, ale o nim nie słyszeliśmy. Dlatego doganiamy Amerykę. Bo nie pozwalamy zacofanym ludziom nas spowalniać. Tu mają czarnych, wszędzie czarni – ćpają, biegają z bronią. Gdyby trzymać ich żelazną ręką tak, jak się robi u nas w domu, Ameryka byłaby o wiele silniejszym przeciwnikiem.

Otwarty kraj.

Zbyt otwarty. Kobiety są otwarte. Kup im oranżadę, a zaraz rozkładają nogi.

Niektóre z naszych azjatyckich dziewczyn też się takie robią.

Spółczeństwo stopniowo się zmienia, wraz ze wzrostem jakości życia, poziomu materialnego. Ludzie też mają poziomy. Nie da się pomylić człowieka niskiej jakości z osobą cywilizowaną. Jeśli ludzie nie są zdeorientowani, społeczeństwo nie jest zdeorientowane. Ale niektórzy ludzie dezorientują społeczeństwo, opowiadają kłamstwa, takie rzeczy, i wstrzymują postęp kraju.

Skinner słuchał jej głosu przez telefon, siedząc w samych bokserkach i paląc papierosa. Rozłożył silne blade nogi i machał bosą stopą, słuchając Zou, rozglądając się, kiwając czasem głową w pustym pokoju.

Wpadaj i zrób to ze mną.

Jej głos w jego uchu powiedział, że nie może.

Oj, daj spokój. Owszem, możesz – zaśmiał się, ukazując poślizgnięte zęby.

Muszę pracować. Po pracy przyjdę. Musiała pracować. Po raz kolejny powiedziała nie i się pożegnała, a on zrobił skręta i wyszedł zapalić na ulicę. Spacerował pod nagimi drzewami i liniami elektrycznymi.

Przed nim były sklepy monopolowe oraz chińskie bary na wynos na Sto Sześćdziesiątej Drugiej Ulicy, à la holenderskie domki, porozbijane witryny i meksykańskie graffiti. Nie zdążył do nich dojść, zawrócił. Wszedł z powrotem do swojej sutereny, w moro przesiąkniętym mocnym zapachem trawy. Wziął tabletkę, usiadł i odpłynął.

Sassoon zaczęła rzucać przedmiotami i wrzeszczeć, i zażądała, żeby Zou Lei wyszła z nią na korytarz ze śmietnikiem. Tam zaczęła krzyczeć na Zou. Chińczycy z Fujian pracujący w sąsiedniej kuchni otworzyli drzwi i patrzyli.

Każdzi mają uważać, tak? Znasz to powiedzenie, każdy sobie. Mężczyzna, kobieta, dziecko też. Takie życie. Chcesz, żebym była wyluzowana, to co mi dasz? Zastanów. Tu jest Ameryka. Każdy przyjeżdża tu z tą samą historią. Ten, co płył na łodzi rybackiej, na łódce, ten, co wsiada w autobus, do ciężarówki, chowa się, szmugluje, jak Meksykanie. Oni tu umierają. Płacą dużo pieniędzy całe życie. Jeden jest legalny, inny nielegalny. Wszyscy mają problem, wyplakują łyzy – nie słyszałaś o tym? Jestem kantonką. Ta jest z mojego rodzinnego miasteczka. Z tej samej rodziny. Nie prosz mnie o nic. Nie znam

cię. Takie życie. Ty ze mną postąpisz tak samo. Nie wyjaśnisz, prawda? Po prostu zrobisz. Ameryka. Rzeczy są martwe, ludzie są żywe. Codziennie to samo, rzeczy są martwe. Siekasz warzywa, siekasz, obierasz, myjesz. Może każę ci pokroić mięso, ty pokroisz na takie kawały, a powinny być mniejsze. Bo nie rozumiałaś. Dlatego wysyłam cię na zmywak. Masz uczyć, dzień za dniem, ludzie są żywe, powinny się zmieniać, nie? Jak nie łapiesz, nie myślisz rozsądnie, to ja cię nie potrzebuję. To jest wylatujesz. Wylatujesz. Zatrudniam nową. Mądra sobie poradzi.

Ogarnął trochę śmieci w swoim pokoju. Sprawdził pistolet i odłożył go do plecaka. Ustawił buty równo przy łóżku.

Mieli śnieg. Gdy spojrzeć wzwyż, widać było śnieżną równinę, jakby odwrócony obraz gór. Śnieg pokrył parkingi, dachy budynków i samochodów oraz pola przy autostradach. Nocą jeździły buczące pługi śnieżne. Stąpała przez pluchę, plastikowymi torebkami osłoniła nowe, tanie buty, które już się rozlażyły. Była zmęczona pracą. Zasnęła na jego łóżku – w jego pokoju z bojlerem w szafie – a pod plastikowymi torebkami utworzyła się kałuża.

Zsunął jej skarpety i położył je na podłodze jak dwa plastry boczków. Na kostkach dżinsów miała kryształki śniegu. Rozpiął jej obcisłe spodnie i ściągnął. Były lekkie, mimo telefonu w kieszeni i wody u dołu nogawek. Nakrył ją swoją wiatrówką.

Przez sen czuła padający śnieg – ogromne niebo produkowało go nad ich głowami i zrzucało na kratę w oknie nad chodnikiem.

Usiadł koło niej, podłączył słuchawki do laptopa i słuchał rocka stadionowego. Przez dźwięk muzyki przebiło się coś jakby przecucie – jakiś odgłos. Zmrużył oczy i spojrzął w bok, ku drzwiom. Coś się działo. Wyciągnął z uszu słuchawki jak pacjent zrywający elektrody od EKG i nasłuchiwał. Ona też to słyszała. Obudziła się zdezorientowana, z włosami na oczach.

Coś słyszałam.

Następnie znad ich głów dobiegł tupot stóp. Męski krzyk. Wrzask drugiego głosu cichł i znów narastał. Ton robił się coraz wyższy. Dźwięk przesuwanych mebli. Nastąpiło uderzenie, aż dom zadrżał w posadach. Zou Lei usiadła i odsunęła kołdrę. Hałas skonkretyzował się w kobiecy krzyk.

Skinner wstał i wystawił głowę na korytarz. Zou podeszła do niego na palcach, żeby też posłuchać. Kobieta krzyczała i krzyczała, i krzyczała – teraz słyszeli również płacz. W ciemności wypatrywali źródła wrzasku. Mężczyzna dalej się na nią wydzierał. Mówił z silnym akcentem. Skinner przekrzywił głowę, starając się zrozumieć słowa. Głos krzyczał:

Nie będę tu trzymał kurwy! Nie będę trzymał kurwy!

Drzwi od kuchni Murphych otworzyły się z impetem, ktoś wyleciał z nich i wybiegł bez tchu bocznymi drzwiami.

Ich córka, powiedział Skinner.

Stali dalej, nasłuchując, co się wydarzy.

Usłyszeli głos:

Cały czynsz to dla ciebie kolejne czterysta dolarów do przepicia przez miesiąc.

Zou Lei zapytała, o czym mowa.

Od niej wynajmuję pokój. Zmyła facetowi głowę.

To była ostatnia rzecz, którą udało im się zrozumieć, nim głosy ucichły.

Jeszcze nie dręczyły go napady płaczu, ale wkrótce miały się pojawić. Jej miłość, coś, do czego był tak nienawykły, wydawała się prowokować zalew emocji. Bezsenność i drażliwość znał od dawna. Jej miłości nie dało się obwinić o żadną z nich. Ale szukał kogoś, by obarczyć go winą – typowe. Nie rozumiał, przez co przechodził. Nie kończył medycyny. Nie był to proces zdrowienia. Załamanie było jego przeciwieństwem. To nie była katharsis. Nie wiedział dość, by bać się tak, jak powinien, inaczej poszedłby do instytucji pomagającej weteranom.

Wprowadził się w sobotę. Jego worek i plecak leżały na podłodze nowego pokoju. Skinner siedział na krawędzi łóżka. W ręce trzymał klucze od pani Murphy. Drzwi pokoju zostawił uchylone i przez szparę widział schody, które prowadziły na ulicę i w marcowe popołudnie.

Zakreślił kluczami na palcu i złapał je z cichym brzękiem. Ziewnął i potarł się po twarzy. Przeciągnął worek na łóżko, i rozsunawszy zamek, zaczął wygrzebywać z niego rzeczy, które wyłaziły ze środka jak wypełnienie z przestrzelonego siedzenia w samochodzie. Zwinięte dzinsy i T-shirty położył obok siebie na łóżku. Wtedy poczuł znaczny ciężar przedmiotu w kształcie litery L – odwinął pistolet z zielonego wojskowego ręcznika i rzucił go na górę skarpet.

Przez chwilę udawał, że go nie widzi. Buszował wśród ubrań w poszukiwaniu kosmetyczki i innych rzeczy. Były tam tabletki, które miały zwalić go z nóg i pomóc mu zasnąć; stwierdził, że mógłby właśnie jedną wziąć. Może tak będzie najlepiej. Albo może wyjdzie na zewnątrz. Pada? Obejrzał się na okno powyżej łóżka. Chyba nie. Widział kratę i szare niebo nad nią. Przymrużył oczy. Nie padało.

Ale po południu wrócił do broni. Wymachiwał stopą. Słyszał ciężar ludzi chodzących po jego suficie. To był ich dom. Wsłuchiwał się w głosy, wyrabiając sobie obraz tego, kto jest kim, kobiety rządzącej kuchnią, palącej slima tego samego koloru co białe światło wpadające przez okno.

Jedną ręką podniósł swoją dziewczynkę, ściskając bezpiecznik, i wycelował w ścianę. Kciukiem wyłączył drugi bezpiecznik – teraz widać było czerwoną kropkę. Chyba rozpoznał głos olbrzymiej córki – mężczyzny nie znał – no i głos palącej kobiety. Może byli też inni – ilu? Może czworo. Położył palec na spuście. Docisnął.

Tyle wystarczyło, żeby poruszyć kurek.

Pif-paf, powiedział – a serce waliło mu jak młotem.

Poczuł, jakby zrobił coś złego. Zdjął palec ze spustu i wysunął go poza kabłąk, na właściwe miejsce. Z powrotem zabezpieczył broń kciukiem. Ale jego mózg nie miał bezpiecznika i nie dało się go wyłączyć.

Część II

Biały mężczyzna przypominał długonogiego motocyklistę. Zupełnie jakby nie siedział otoczony murem z drutem kolczastym, tylko rozparł się na chopperze mknącym wzdłuż autostrady, z wyciągniętymi nogami i butami opartymi na chromowanych podnóżkach. Miał miękkie brązowe włosy i wąskie oczy. Wąsy upodabniały go do wilka. Był blady i wysoki, a chodząc, wspinał się na stopach w górę i w dół – jak tłok w silniku, zawsze z uniesioną brodą, w jednej ósmej Czirokez, nazwisko: Turner.

Siedział na dziedzińcu z członkami gangu, którzy powiedzieli, że w obrębie gułagu można być przenoszonym wszędzie, z kraju do kraju, i skończyć w więzieniu. W CNN właśnie ujawniono skandal z dręczeniem więźniów w Abu Ghraib. Mówili, że jeśli wypowiedziałeś wojnę stanowi Indiana, wypowiedziałeś ją całym Stanom Zjednoczonym. Ta organizacja jest większa od Stanów Zjednoczonych. Rozciąga się cztery–pięć tysięcy kilometrów dalej. To cały system. Jesteśmy jak Al-Kaida. Dają nam dożywocie, podwójne dożywocie, dożywocie bez szansy na warunkowe. Państwo trzyma naszych szefów w izolatkach, zero kontaktu z ludźmi przez dwadzieścia cztery godziny na dobę, a oni wciąż prowadzą politykę, operacje, wszystko co trzeba. Decydują, kto dostaje czapę. Państwo zabiera wszystko, co może, a my wciąż działamy, czary. Kontrolujemy prochy, kontrolujemy jednostki. Kontrolujemy samych siebie. Ludzie się nas boją i tu, i na ulicach. Kontrolujemy też przemysł papierosów, mówili.

Jimmy, który palił pod gołym niebem, pokiwał głową. Posługiwał się lakonicznym slangiem z Queens. Nie było to jego pierwsze miejsce, odsiadkę zaczął w Rikers. Jestem gotowy, powiedział swojej kuratorce. Przeszedłem przez Rikers, to były krótkie wyroki. Miałem coś jakby życie. Przegapiłem swoje szanse.

Na co musisz uważać?

Prochy. Zdecydowanie na prochy.

Kuratorka była otyłą blondynką o twarzy, na której wszystkie elementy zdawały się skupiać pośrodku. Nie jestem jak inni kolesie, powiedział i zerknął na nią, żeby sprawdzić, czy jej twarz się rozluźniła, lekko wygładziła.

Pewna sprawa, podkreślił.

Był piętnastolatkiem z gitarą elektryczną przewieszoną przez bladą, płaską klatkę piersiową, kołyszącym się w przód i w tył na bosych stopach, z długimi włosami; robił długą nogą wykop do przodu, stroił miny i wydawał dziwne dźwięki, kiedy z wieży leciał Led Zeppelin. Pokrywał swoje dżinsy rysunkami z niebieskiego tuszu, ścigał spodnie i rysował po gołych nogach. Zapytany, czemu to sobie zrobił, odpowiadał: bo to jest sztuka.

Erin oświadczyła koleżankom: Wiem, że on to zwinął.

Nie umiał grać, ale twierdził, że uczy się sam, tak jak niektórzy muzycy. A symbole oznaczały, że nigdy nie popadnie w alkoholizm, jak jego rodzice.

Jimmy dorastał w kraciastej koszuli, rozmyślał, stojąc z zamkniętymi ustami, nad którymi sypał się wąs, i czekał, aż Patrick powie: Daj klucz. Jimmy brał klucz z czerwonej skrzynki na narzędzia i podawał mu go w piwnicy któregoś z sąsiednich domów, między bojlerem a schodkami.

Patrick był facetem rozmiarów herosa. Wyglądał jak ktoś z filmu o drugiej wojnie światowej. Po pierwsze był wielki. Miał dużą twarz niczym sierżant-major z cygarem w zębach. Mówili, że w każdym barze Belfastu uważają go za bardzo, bardzo silnego. Był miotaczem. Możesz być pewien, że spośród wszystkich mężczyzn, którym kiedykolwiek podawałeś rękę, on miał najsilniejszą – grube łapy, uścisk miażdżący jak skała. Musiał ważyć sto kilkanaście kilo, a w butach to jeszcze więcej. Lepiej było z nim nie zadzierać. Stalowoczarno-siwe włosy miał ładnie zaczesane gładko do tyłu, zdobiła je pojedyncza, posłuszna fala, zmuszona grzebieniem do lekkiego wybrzuszenia się, ale równiutko przycięta nad uszami i ceglasczerwonym karkiem, co przydawało mu staromodnego sznytu.

Tam, w Irlandii Północnej, poznał, co to konflikt. Jako dziecko nie dojadł. Teraz zajmował się

hydrauliką i średniej wielkości zleceniami, niczym specjalnym. Kiedy czołgał się po podłodze w poszukiwaniu rury, na twarz opadał mu pukiel włosów, jak u Elvisa.

W wieku piętnastu lat Jimmy zrobił sobie na rękę tatuaż w kształcie koniczyny. Ale jego ręka nie była tak silna jak Patricka. Ześlizgiwała mu się z klucza francuskiego, więc Patrick przejmował go i obracał, aż rura puściła.

Nauczycielka z liceum imienia Cardoza powiedziała mu przed całą klasą, że nie jest zapisany jako Jimmy Murphy. Nie wiem, co powiedzieć.

Pomyślał, że lada chwila zrozumie tajemnicę słów pewnej piosenki, więc przegrał ją ponownie w swoim pokoiku, wyglądając przez zepsute żaluzje.

Dom pełen był dziwnych rzeczy, pościeli, zdrapek, mebli ogrodowych i nagrań na winylach. Jego matka miała na sobie szlafrok i z nogami w górze siedziała w salonie z koronkowymi firankami.

Czemu jestem zapisany jako Turner? – spytał.

Odwróciła ku niemu swoją imponującą twarz i powiedziała: Chodź no tu, coś ci opowiem. Była napita, więc historia była zupełnie o czym innym.

Dom w zasadzie mieścił w sobie dwa. Na pierwszym piętrze były firanki i plastikowy pokrowiec na meble, w kuchni zegar z kukułką na ścianie, a do tego portret Elvisa na welurze, wiszący elegancko nad siedzącą na kanapie matką. Na podwórku stali święci i elfy. W pokojach na górze, gdzie walały się ubrania i rupiecie, mieszkaly jego matka i siostra, wśród flakonów perfum, szamponów, kart tarota, papierosów, podpasek, lokówek, puszek po piwie i albumów ze zdjęciami. W szufladzie zepsutej komody znalazł stos polaroidów i sytuacji nie do rozpoznania, potem spojrzął w lustro i zastanawiał się, do kogo jest podobny. Grill z lat siedemdziesiątych, blask słońca, zieleń pól i motory. Wśród obciętych twarzy było widać dwadzieścia kilo młodszą matkę, która z błyskiem w oku unosi piwo.

Patrick był wyższy od jego prawdziwego ojca, który spędził życie w więzieniu i umierał właśnie na AIDS w Morristown.

Dam ci na przejazd, jeśli chcesz się z nim zobaczyć, jakbyś chciał, powiedziała matka. Nie będę cię powstrzymywać. Ale nie pros, żebym jechała z tobą. Głos jej się załamał. Nie dam rady. Otarła oczy dłonią i sprawdziła, czy są na niej ślady łez. Wstała, w szlafroku, T-shircie i obszernych szortach zawiązanych na sznurek, po czym przeszła z pokoju do kuchni po butelkę whisky. Pociągnęła solidny łyk, oparła się o blat dla złapania równowagi i poszukała syna wzrokiem. Znalazła go. Nie patrzył na nią.

Moje oko, powiedziała przesuwając palcem po twarzy. Policzek. Szczęka. Ten ząb – odwinęła wargę, żeby odsłonić dziurę po brakującym kle.

O co ci chodzi?

O to mi chodzi, żebyś nie ciągnął mnie ze sobą.

Miało wyglądać na to, że została pobita przez ojca Jimmy'ego, Jerome'a Turnera, ale Jimmy pamiętał to inaczej. Pamiętał, że to Patrick kłócił się z nią w tym domu nie dalej jak trzy lata wcześniej. Walczyli jak dwa niedźwiedzie stojące na tylnych łapach, zakleszczeni w uścisku, trzymając się za łby, aż powalił ją na ziemię.

Planowali remont piwnicy i zrobienie z niej miejsca nadającego się na mieszkanie.

Erin zawsze mówiła, że jest kapłanką. Jej działką była magia. Narysowała portret kobiety wyglądającej jak Elvira, władczyni ciemności, w płaszczu podwiewanym przez wiatr w świetle księżyca, z wilkiem u boku. Pokazała koleżance i pochwaliła się: Maria uważa, że to jest niezłe, że to coś nowego. Nikt nie może jej tknąć, powiedziała Erin o kobiecie na obrazku. Bo umie rzucać zaklęcia, czaisz. A jesienią, stojąc z przyjaciółkami na rogu Utopii, oznajmiła: Ojciec może mi skoczyć. W wieku szesnastu lat stwierdziła zaś: Rzuciłam palenie. Już nie imprezuję. Słuchała L7 na walkmanie. Rok później rozpowiadała, że wybiera się na studia artystyczne z powodu swoich rysunków. Rozmawiała z kolesiem z LaGuardii, który wybierał się do Fashion Institute of Technology. Miała egzemplarz *Chalice and the Blade*. Zrobiła się duża i wysoka, a pewnych rzeczy nigdy nie spróbowała. Jakiś jej znajomy miał problemy z dziewczyną, więc służyła mu za troskliwą przyjaciółkę. Któregoś razu zapaliła świecę w ciemności i przepowiedziała mu przyszłość, trzymając go za ręce. Wiedziała, że do niczego nie dojdzie, bo muszą szanować swoją przyjaźń. Zabiję cię, jeśli pozwolisz jej łązić za tobą. Unikała swojego ojca, Patricka, nawet kiedy był trzeźwy. Telewizor chodził w środku dnia, nadawał za Erin, stojącą do ojca plecami, u Jerry'ego Springera jakaś baba darła się i darła, płakała i krzyczała: Jesteś kupą gówna! Wypikali to i wiele innych rzeczy. Jerry powiedział: Ojej. Tak nie można. Udawała, że pochłania ją czarna magia, biała magia. Po roku niewidzenia się wpadła na Marię, która była już matką, miała męża strażaka, Kevina, i w wieku dziewiętnastu lat mieli razem zamieszkać. Nie po drodze mi z dziećmi, powiedziała Erin. Była ubrana na czarno, ważyła około setki i właśnie stała bosymi zziębłymi stopami na wadze za domem. Żyła w klaustrofobicznej, przygnębiającej, napiętej ciszy, odkodowując dźwięki, odgłos butów przy drzwiach, w jakim stopniu był pijany i jak bardzo wkurzony. Była przyjaciółką swojej matki, ale nie najlepszą. Pomagała jej ustawiać figurki w ogrodzie z okazji świąt. Postawiła tam Chrystusa bez koszulki. Chodziła po kanapki albo ciastka na Sto Sześćdziesiątą Drugą Ulicę, kiedy ktoś inny coś świętował, kiedy w czymś życiu zachodziła zmiana. Wiedziała, co się dzieje u ludzi, dzięki biegłości w magii wicca. W życiu chodzi o coś więcej, jest inny wymiar, oświadczyła kiedyś przyjacielowi. Skąd wiedziała? Bo kiedy byłam młodsza, próbowałam się zabić. Wtedy to zobaczyłam. Zawiesiła pod okapem dzwonki powietrzne – jedno druciane kółko w drugim. Któregoś razu, kiedy była mała, wróciła do domu ze szkoły i coś było nie tak. Była sama. Nagle dotarło do niej, że wcale nie. Ktoś nadchodził z piwnicy. Kroki na schodach były coraz wyraźniejsze. Spytała: Co ty tam odpierdalasz, Jimmy? Zobaczyła tylko długie włosy, czyniące jego twarz niewidoczną, i pentagram wyrysowany na jego jasnej piersi. Była tylko grubą dziewczyną. Ojciec wyzywał ją od kurew. Z piętra dobiegał huk rocka jej brata. Na zewnątrz jeździły samochody, słyszała ich silniki i wrzaski ludzi. Czuć było groźby, kłótnie i bójkę na ulicy, nawet wtedy, gdy nie było ich widać. Stali tam rozglądający się ludzie. Słysząc było energię pobrzmiwającą we wrzaskach. Coś się działo. Czasem wybiegała, żeby popatrzeć albo pomóc. W szkole biła się kiedyś z dziewczyną, otoczona przez tłum dzieciaków w kurtkach Raidersów. Czerwone światła kogutów migały w oknach. Czasem ktoś walił do drzwi i mówił: Dobry, policja. A potem słyszała, jak aresztują jedno z nich albo mierzą matce ciśnienie, robią okład z lodu i odciągają wargę dłonią w niebieskiej rękawiczce, świecą i mówią: Straciła pani ząb. Ceramiczna ozdóbka, którą matka wystawiła na ganku, miała napis: „Weź głęboki wdech, jesteś w domu”. Przemoc podążała za fazami księżyca.

Jej brat pojawił się nie wiadomo skąd. Raz, kiedy była mała, prawie wpadł w poważne kłopoty. Nigdy nie postawiono mu zarzutów, ale była mowa o tym, że zrobił coś jakiejś dziewczynie. Była koleżanką Erin i odwiedzała ją w domu. Jimmy grał dla niej na gitarze, kiedy poprosiła, nic więcej.

Potem, kiedy Erin usłyszała, co tamta mówi, stwierdziła: Kłamiesz o moim bracie. Koleżanka wszystkim rozpowiadała, że ją napastował. Podobno była tak wstrząśnięta, że zwierzyła się księdzu. A on, zamiast donieść na policję, w trosce o prywatność zainteresowanych powiedział o tym jej matce. Ta z kolei zadzwoniła do matki Erin z płaczem i krzykiem, i w rezultacie wiedziały cała szkoła i okolica. Ofiara opisała księdzu z Saint Andrews ciało napastnika. Matka Erin obiecała, że porozmawia z Jimmym. Chciała tylko uczciwej konfrontacji, a nie żeby zlinczował go tłum. Pomówiła z synem i z zadowoleniem stwierdziła, że w wersji dziewczyny są luki. Miała go poprosić o zdjęcie koszulki podczas gry na gitarze. To przekazała matce dziewczyny przez telefon.

Kobieta podjechała samochodem z kilkoma mężczyznami w środku. Krzyczała: Jebany gwałcieciel, gnój – i ciskała w ich dom różnymi rzeczami.

Nigdy jej nie lubiłam, stwierdziła Erin. I nigdy z nią potem nie rozmawiałam. Była zdziwą, a ja nigdy jej nie zaufałam po tym, co rozpowiadała o Jimmym.

Jimmy został związkowcem, paradował teraz w gumowym kombinezonie i buciorach, i hełmie z czasów pierwszej wojny światowej, i schodził pod ziemię dla tego miasta. Wrócił na dobrą drogę, oznajmiła jego matka w barze. Na złożonej naszywce nowojorskich robotników podziemnych widać było przekrój skomplikowanego systemu podziemnych tuneli i pracujące w nich postacie. W jednym miejscu potrafiły ryc pokolenia tej samej rodziny. Ojciec, syn i wnuk w jednej dziurze. Patrick wypił z nim szybkiego w barze Feeneya.

Powodzenia na dole, młody.

To, co tego dnia świętowali, stało się jego codziennością. Po lecie przyszła jesień, a Jimmy jeździł szerokim buickiem skylarkiem w kolorze matowego złota wśród domów z odłazającym sidingiem i butwiejącymi liśćmi piętrzącymi się pod zardzewiałymi płotami. Zupełnie niepotrzebne słońce wschodziło i zachodziło za jego przednią szybą w drodze tam i z powrotem, a z radia leciał Led Zeppelin.

Miał licencję na pracę pod ziemią. Robotnicy przebierali się w kombinezony w niskiej przyczepie z beżowymi szafkami i plakatem BHP przyklejonym do imitującej drewno ściany, po czym wjeżdżali w hałas. Sprzęt do wiercenia, który poruszał się po szynach, wart był trzydzieści milionów dolarów. Czuć było, jak wiertło obracające się siedem razy na sekundę ściera skałę na proch. Spod tej częstotliwości dobiegały dwa głosy nie do rozróżnienia, irlandzki i zachodnioindyjski. Drugie śniadanie jedli pod ziemią przy świetle lamp, poczerńiałe ręce Jimmy'ego zostawiały na chlebie odciski palców.

Na ręce miał srebrne sygnety z trupa czaszką. Zakładał je z powrotem po pracy, kiedy oczy bolały go od światła dziennego, i znowu puszczał Led Zeppelin, tę tajemniczą wersję podziemnej muzyki wiertła, tyle że w ludzkim języku. Drażyli w Midtown na Manhattanie, nad rzeką. Jechał przez migoczący kanał utworzony przez ciągła mostu, wracał do zardzewiałych płotów i podniszczonych domów, do baru ze związkowymi naklejkami na zderzaki przyklejonymi do boazerii, gdzie rozbrzmiewał specyficzny akcent. Oraz kolejny rodzaj muzyki. Kiedy wchodził, witali go: Jimmy!

Jak tam ojciec, pytali.

Dobrze.

Jimmy poszedł zagrać w Keno.

Z podziemnej groty trafiał do ciemnej barowej nory. Picie otwierało w jego głowie tunele wiodące do trzeciego grobowca nocy.

Oglądał amatorskie wideo koleś wykonujących akrobacje na motorach do dźwięków hip-hopu jakiegoś białego DJ-a. Jechali na tylnym kole, przednim, palili gumy. W tle gęsty szpaler drzew. Jimmy sięgnął ręką do plastikowej miski doritosów. Facet, do którego należał dom, przyszedł z kuchni, usiadł na swoim fotelu i powiedział do telewizora: Ona robi hot dogi. Oglądali w milczeniu. Nie odwracając wzroku od ekranu, Jimmy potarł palce, żeby strząsnąć sól. Motocyklista w kasku nachylił swoją maszynę do przodu, uniósł tylne koło i przejechał przed kamerą na przednim. Zsiadając, pokazał na logo Wheelz z tyłu kurtki. No nieźle, powiedział facet, do którego należał dom. Słysząc było, że kobieta w kuchni gotuje wodę.

Telewizor był ogromnym lśniącym obiektem wielkości szafy. Obraz był bardzo jasny i ostry. Taki sprzęt kosztował półtora tysiąca dolarów, o ile zamierzało się płacić. Przed ekranem siedziało trzech mężczyzn: Jimmy, hydraulik i facet, do którego należał dom. Tylko hydraulik znał obu pozostałych. Może wyjdziemy na miasto? – zaproponował Jimmy'emu. Zabawimy się, ściągniemy bucha... Miał na

sobie czarno-biały sweter na opalizującej zielonej koszuli; usiadł między nimi i odstawił piwo na podłogę obok swoich białych najków.

Jeden z motocyklistów stracił panowanie nad maszyną, która mu się wymknęła. Motor wylądował na nim i zsunął się po zboczu. Wszyscy trzej zakrzyknęli: Jej! Będzie miał bliznę. Ja pierdołę. Aż mnie jaja zaboląły. He, he, he.

Gdzie oni to robią? – spytał hydraulik.

Na Bay Shore. Mój kumpel filmował. Zarabia na promocji.

Kasa, jaką robią w Vegas, jest nieziemską.

Patrz, patrz, wpadnie w poślizg.

O, w dupę.

Ha, ha, ha, ha, ha.

Kurde, zaliczył ostrą glebę. Koleś przepadł.

Idą. Podnoszą go.

I co o tym powiesz, Jim-bo?

Już po sprawie.

Jest następny.

Kobieta faceta, do którego należał dom, przyniosła tacę hot dogów i postawiła na ławie za ich plecami. Hydraulik obrócił się i powiedział: Dzięki, mała.

Tu macie sosy.

Usiadła na kanapie za ławą, posmarowała hot doga sosem, ugryzła, trzymając drugą dłoń pod spodem, na wypadek gdyby skapnęło, i znów ugryzła.

Chcesz też? – rzuciła w stronę karku swojego mężczyzny.

Nie.

Filmik się skończył. Po ekranie przesunął się napis „Strong Island Wheelz”. Facet wycelował pilotem w telewizor i przełączył na mecz.

Kto gra? – spytała.

Philly, odpowiedział.

Hydraulik dodał: Darius Johnson, z czterdziestką czwórka. Najszybszy facet w NFL.

No, ale Capslock by go rozwalili.

Musiałyby go najpierw dogonić, kolego.

Kobieta z nastroszonymi włosami i nosem oraz ustami krytyka wyszła z pokoju. Hydraulik wyjął flaszkę captaina morgana i napili się z papierowych kubeczków. Facet, do którego należał dom, rozkraczył się w fotelu, górne światło blikowało mu w oczach. Ubranie miał czyste, tak samo jak dom. Dżinsy z pętlą na młotek wyglądały na świeżo uprane. Przemówił w kierunku sufitu:

Załatwię sobie najzajebistszy motor... Mają tam klub... Można robić wypadki na Virginia Beach...

Hydraulik powiedział, że kiedy służył w lotnictwie, sporo jeździł. Vegas, Lake Havasu. Poznawałem od groma kobiet, stary. Nosilem awiatory... Wołali na mnie CHIPS.

Powinniśmy jeździć wszyscy razem. On wygląda jak biker.

Mój ziomek Jimmy ma ten styl.

To kwestia tego, jak się nosisz, wyjaśnił Jimmy.

Trzeba być wyprostowanym.

Mężczyźni przyjrzeni mu się spod opadających powiek. Wziął z tacy hot doga upierścienioną ręką, otworzył usta i odgryzł połowę. Przeżuwszy, oblizwał się, co upodobiło go do wilka pożerającego o zmroku prowiant jakiegoś obozowicza na śniegu.

Mój ziomek Jimmy. Popatrz no tylko. Hot dogi mu nie podskoczą. Nie martw się, stary. Każę swojej starej zrobić mu więcej. Ha, ha, ha, ha, ha.

Jest w związku?

Robi pod ziemią. Pracuje na największym wykopie w mieście, zaraz po Holland Tunnel.

To warte sporo kasy.

Chyba tak, przyznał Jimmy.

Wiesz, narzędzia, te sprawy.

No.

Sporo gratów pewnie ginie.

No, może.

Masz pojęcie, ile kosztuje taka minikoparka? Podnośnik? Taki teleskopowy wysięgnik? Sto tysięcy najmarniej.

Z taką kasą możesz zarywać do każdej laski i powiedzieć jej, że ty tu rządysz.

Żeby przewieźć taki sprzęt, potrzeba ciężarówki.

Mężczyzna zapalił newporta i oparł kostkę jednej nogi na kolanie drugiej, jakby to był stół do rozłożenia planu. Wskazał na Jimmy'ego i powiedział: I mamy swojego człowieka w środku. Będziemy kurewsko bogaci, zauważył hydraulik. Jimmy spowolnił ruchy, by upewnić się, że pociągnie wygazowane piwo z butelki w najbardziej wyluzowany sposób. Każde słowo zdawało się brzemienne w znaczenie. Jimmy wolno powtórzył zdanie zasłyszane w filmie: Ochrona to fikcja. Właśnie na nią patrzysz. Hydraulik spojrzał na faceta, do którego należał dom, jak gdyby faktycznie było to bardzo znaczące stwierdzenie. Najwyraźniej nikomu nie przeszkadzało zapożyczenie tego zdania z filmu. Czując to, powiedział mężczyzna. Nie wdawali się w szczegóły. Poprzestali na ogółach, a potem omawiali, co zrobią z pieniędzmi po udanym skoku i z jakimi zarzutami karnymi mogą się liczyć. Hydraulik zaproponował, żeby się zjarali. Podawali sobie jointa i oglądali mecz. Dobięły ich kobiece głosy. To córka mężczyzny, brązowowłosa siedmio- czy ośmiolatka, wracała do domu. Powiedziała, że coś dziwnie pachnie, a kobieta stłumiła śmiech. Możesz zamknąć? – spytał facet, a kobieta zamknęła przesuwane drzwi pokoju. Usłyszeli jeszcze, jak mówi: Oglądają mecz – głosem, jakim się mówi do dziecka.

Do kradzieży ciężkiego sprzętu – koparek i podnośników – ani wywiezienia ich na ciężarówkach nigdy nie doszło. Owszem, Jimmy został aresztowany, ale za prowadzenie pod wpływem. W bagażniku miał kilka worków cementu i urządzenie wielofunkcyjne Ryobi warte sześćset dolarów. Nie wychowaliśmy go na złodzieja, powiedziała pani Murphy. Wiem, że to rozsądny chłopak. Związek na Bronxie dostał sygnał w jego sprawie i w barach mówiono, że zostanie wyrzucony. Tymczasem dalej pracował. Miał swoich sprzymierzeńców. Trzymaj głowę wysoko, Jim. Udał się do prostokątnego budynku z wieloma oknami na Queens Boulevard, niedaleko Union Turnpike, przeszedł przez wykrywacz metali i znalazł odpowiednią salę sądową.

Jego obrońca, sarkastyczny gość z podwójnym podbródkiem, wydawał się nie rozumieć, co oznacza fakt, że obaj są Irlandczykami, a Jimmy jest dodatkowo związkowcem. Ten ostatni stał przed salą, czekając na swoją kolej, oparty o brudną ścianę z marmuru razem z innymi, którzy kręcili się w tę i w tę. Obrońca pojawił się długo po wywołaniu sprawy, przepychał się przez tłum ze swoją teczką, spocony i rozproszony.

Wzywali mnie już.

Przepraszam, miałem inną sprawę. Gadatliwy sędzia. Ale ty mnie już przecież nie potrzebujesz. Oddalili zarzuty o wandalizm, nie?

Jaki wandalizm? To nie moje. Ja mam jazdę pod wpływem.

Pod wpływem, prawda. Ty jesteś Turner. Myślałem, że Rodriguez. Jesteś pewien, że to tu?

Zerknęli na nazwiska w gablocie.

To ty. Wejdźmy. Mam tu innego klienta. Poczekaj, muszę z nim pogadać.

Rozprawa została odroczone. Kiedy znów go aresztowano, zabrali mu buicka, a jego zamknęli, więc przed sądem stawał w adidasach bez sznurowadeł. Na sali mówili do niego per panie Turner. Zwrócił się do obrońcy: Myślałem, że mnie pan z tego wyciągnie. Ten odparł: Nikt cię stąd nie może wyciągnąć. Prawda czy nie? Zrobiłeś to, tak? Tak czy nie? Więc przyjmij ugodę i na przyszłość zamawiaj taksówkę.

Potem odprowadzili go znów do autobusu po ośmiu godzinach oczekiwania w areszcie sądowym,

gdzie nie można było korzystać z toalety. Usiadł i odepchnął innego faceta w kajdankach, który na niego napierał. Przejechali przez Jackson Heights, patrzyli przez szyby na światła samochodów i Latynoski wysiadające z metra. Spojrzał na przód autobusu, gdzie przed kratą siedzieli funkcjonariusze, żeby sprawdzić, dokąd zmierzają. Wokół siebie mieli budynki przemysłowe i lotnisko. Nad głowami rozległ się przypominający odkurzacz dźwięk odrzutowców i Jimmy zobaczył pędzący obok nich cień samolotu, który zapikował i przyziemił. Obok przepływała czarna woda, w ciemności widoczne były światła na ogrodzeniu.

Od więzienia Rikers można było ogłuchnąć. On się od niego zaśmiał. Przez ileś tygodni po wyjściu wciąż wrzeszczał. Podkreślił mu się regulator. Przez przypadek spotykał się w metrze albo na ulicy z innymi facetami, którzy przeszli przez ten zakład. Ochrypliymi, suchymi głosami krzyczeli do siebie o awanturach i zamieszkach, i o tym, że pięć lat temu, przed reformą, było gorzej. Rozpoznawali się po tym, jak mówili w miejscach publicznych, w kolejce przed nieoznaczonym wejściem do Ozone Park, gdzie Jimmy czekał z innymi przestępcami w kapturach na głowach, buchającymi parą na zimnie, szorującymi na górę, żeby podać swój numer i dostać leki, co należało do warunków zwolnienia.

Stali na rogu z twarzami smaganymi wiatrem i z nieobecny spojrzeniem mówili: O, jesteś ze związków. Jest duma, odpowiadał Jimmy. Udało ci się, chwalili. Teraz musisz się trzymać. Trzymaj się mocno! – powtarzali ze śmiechem. Mieszkali w schronisku z tyłu Centre Street i wykonywali prace tymczasowe – rozładowywali ciężarówki dla chińskich handlarzy, którzy prowadzili firmy oświetleniowe na Bowery.

Kiedy po pięciu latach wyszedłem, wziąłbym każdą pracę, powiedział Portorykańczyk imieniem Cat. Miałem wyrok za morderstwo. Odsiedziałem swoje, trudno. Wszystko z powodu kobiety. Była Dominikanką, kręciła facetów. Gdy byłem z nią, wszyscy zwracali na mnie uwagę. Był taki koleś, wielki typ, podobała mu się i do niej uderzał. Poszedłem z nim pogadać. Złamał mi nos, zranił dumę. Wróciłem i zapukałem do drzwi. Wyszła ona, więc powiedziałem: Zawołaj Joségo – a kiedy tylko się zjawiał, wyciągnąłem nóż rzeźnicki. Rzuciłem się na niego i zacząłem dźgać. Wlepili mi morderstwo. W pierdłu skakałem na skakance, biegałem, robiłem wszystko, byle zabić czas. A ty co myślisz o Rikers?

Nie rusza mnie.

Kiedy ja przez nie przechodziłem, procesowali się z miastem. To by cię ruszyło, stary, zapewniam cię.

Wiem tylko tyle, że przywykłem.

Ja też przywykłem. To nic nie znaczy.

Nie będę się zmieniał tylko dlatego, że ktoś mi każe coś zrobić.

Ja też nie, zgodził się Cat. Ale czasu nie cofniesz.

Życie.

Życie. Ale sprawiedliwe to to nie jest.

Żeby to sobie wynagrodzić, przejechał przez Bronx do Nassau i wysiadł przy Webster Avenue. Kiedy zaszedł wystarczająco daleko, zobaczył kobietę z czarną torebką i w czarnych butach. Była bardzo gruba, blada i miała małe oczka. Gdy założyła mu gumę, zaczął mieć problem, więc zmienili pozycję. Spojrzała na niego przepaszająco i powiedziała: Nie dam rady, jak mnie będziesz przyduszał. Tylko na nią spojrzał. Wszystko okej, ale nie duś mnie i tyle. Teraz było lepiej. Zostaw. Nie opieraj się. Rób tak dalej. Jego sygnet z czaszką odbił się na jej białej szyi. Z brakującym zębem i chrapliwym głosem naprawdę przypominała mu matkę, tyle że ważącą dziewięćdziesiąt kilo zamiast stu czterdziestu. Na skórze miała siniaki od uderzeń – albo były to mięsaki Kaposiego od AIDS.

Kiedy trzeci raz trafił do więzienia, jako alternatywę wobec pełnej kary piętnastu miesięcy pozbawienia wolności dostał możliwość pięciomiesięcznego intensywnego odwyku, w stylu obozu dla rekrutów. Jego konkubina właśnie zaszła w ciążę, więc odczuwał znaczną presję, żeby postąpić właściwie.

Musi się zgodzić i skorzystać z tego jak najwięcej, stwierdziła pani Murphy. Szkoda, że nie zaproponowali mu tego, kiedy pierwszy raz mu się to zdarzyło, ale wtedy nie było takiej możliwości. Dyscyplina to coś, czego Patrick nigdy go nie nauczył. Niektórym trzeba tego więcej niż innym. Nie

dotrze się do niego, jeśli nie zdobędzie się jego szacunku, dlatego wiązałam takie nadzieje ze związkiem.

Program zakładał, że sześć razy dziennie trzeba się stawić na apelu w pełnym umundurowaniu. Kadra zwracała się do uczestników per przestępco. Wydano mu pościel, ręczniki, białe skarpetki, spodnie dżinsowe, szare koszule, czarne oksfordy i czarny krawat. Uprawiali grupowo gimnastykę, wykonywali prace ręczne, szlifowali meble. Ograniczona liczba upomnień dyscyplinarnych, choć istniała procedura odwoławcza. Najczęstszym przewinieniem, za które się wylatywało, było palenie. Jednego dnia podczas zajęć czarny chłopak z głową całą w warkoczykach podniósł rękę i powiedział instruktorowi: Chcę to wygrać dla siebie. Szorowali podłogę w całym ośrodku, aż pachniał płynem czyszczącym, a białe zimowe słońce wpadało przez okna ich cel, przez które widać było kawałek nieba.

Po dwóch miesiącach podczas odwiedzin pani Murphy powiedziała Jimmy'emu, że dostrzega w nim zmianę. Już się opłaciło.

Każą nam biegać dwadzieścia kilometrów dziennie.

Przyznał, że dostał już dwa upomnienia dyscyplinarne. Mówią, że nie byłem na apelu w mundurze.

To test, tłumaczyła pani Murphy. Patrz na to w ten sposób.

Był poruszony, że jego kobieta się nie pojawiła.

Nie czuła się dobrze, wyjaśniła pani Murphy.

Niektórzy z nas muszą tu być niezależnie od tego, czy czują się dobrze, czy nie.

Nie chcę się mieszać. Wiem tyle, że ty tu jesteś. Nie będę dolewać oliwy do ognia.

Robię, co w mojej mocy.

Wiem. Nie dolewajmy oliwy.

Oznajmił, że nie wie, po co się starać.

Jim, powiedziała błagalnie.

Mogłaś kazać jej przyjść.

Mamy czterdzieści pięć minut. Weźmy się w garść. Płakać mogę w drodze powrotnej. Oczy już wyplakałam. Uśmiechnęła się, ukazując miejsce po brakującym zębie.

Na koniec się przytulili. Do następnego.

Ale pod koniec pięciomiesięcznego okresu, otrzymawszy już ostatnie ostrzeżenie, on i czterech innych przestępców skręciło papierosa, wykorzystując kopertę przeznaczoną na list do domu, i zapalili go tulipanem – zwitkiem papieru toaletowego podpalonego za pomocą baterii i folii aluminiowej. Wypalili go, stojąc na szafce w szatni i wydmuchując dym do wentylacji.

W związku z pogwałceniem zasad Jimmy został wysłany do innego ośrodka, by tam odsiedzieć cały wyrok. Aby nie pokazać, że pękło mu serce, powiedział tylko: Nie podobało mi się w tym ośrodku. Próbuja tam z ciebie zrobić grzecznego chłopca.

Nowe miejsce było inne. Gdy tylko wysiedli z autobusu, cała siódemka przeszła przez dziedziniec, niosąc swoje koce, a reszta więźniów na nich gwizdała. Ktoś powiedział: Nie zgrywajcie kozaków. Strażnicy mówili jedno, a osadzeni drugie. Chodziło o to, żeby robić dym. Nie chcieli mieć grzecznych chłopców. Po teście moczu udali się na blok, gdzie współwięźniowie w czarnych koszulach siedzieli przy przekrzywionych kwadratowych stolikach. Niektórzy nosili koraliki i krzyżyki. Jeden z mniejszych świeżaków, nazwiskiem Mayfield, starał się unikać konfrontacji. Miał wielkie uszy. Mówili do niego: Wyglądasz na zmartwionego. Znasz tę laskę? Brittany? (To oznaczało tchórza). Śliczne uszka. Uśmiechnij się.

Mayfield pozwolił im się pobić – tak dla zabawy – i trafił do hałaśliwego aresztu ochronnego, gdzie nie dało się spać. Słyszał beładną nicość. Więźniowie na lekach niestrudzenie chodzili w kółko, powtarzając: Kręcę się i kręcę. Zamienili mi kwetiapinę na trazodon. Pocę się od tego i mam dreszcze. Mayfield miał tak przeżyć kolejnych piętnaście lat.

Jimmy był spięty, dopóki nie wdał się w bójkę. Nadbiegli strażnicy, rozdzielili walczących, ale gdy go wyprowadzili, trzymał głowę wysoko. Dwanaście godzin później odprowadzili go do celi i napięcie ponownie zaczęło rosnać. Wraz z nim pojawił się plan. Chodziło o to, żeby zdobyć tytoń lub kawę albo cokolwiek, co daje kopa. Spiknął się z grupką koleś z Nowego Jorku, których łączyło to, że

nie byli czarni.

Jeden był pół Niemcem, pół Włochem, młodym facetem, przez którego mysie włosy widać było blizny na czaszce. Z jakiej jesteś dzielni? Grali w karty, używając zabranych ze stołówek torebek z cukrem jako żetonów. Ja też stamtąd jestem. Na Flushing tylko nasi! Jak to możliwe, że nigdy o tobie nie słyszałem? Z jakiej wysokości jesteś?

Jimmy wstał, gotów do nowej bójki. Frankie go uściśnął. Sztama, dzieciak. Frankie z Franklin Street, tam całe życie od dziewięćdziesiątego trzeciego. Łap orient. Nawalamy tu czarnuchów dwadzieścia cztery na siedem.

Po kolejnej wpadce wylądował w Krayville w stanie Indiana, dokąd przyjęto go w słoneczny dzień. Szkolenie było krótkie. Zapytali go tylko o jedno: Jesteś naziem lub skinem?

Wymienił nazwę swojego ostatniego więzienia. Byłem tam z tymi białymi.

Zaprowadzili go na rozległy dziedziniec wypełniony osadzonymi, od razu poczuł coś namacalnego, jakby ciśnienie powietrza, trudności w oddychaniu.

Zobaczył wąsatych białych mężczyzn prowadzonych na uwięzi w japonkach, białych skarpetach i czerwonych kombinezonach, wypuszczanych z bloku pod specjalnym nadzorem, obszukiwanych, wystawiających język, rozkładających ramiona jak Chrystus, o białych oczach z czarnymi źrenicami bez wyrazu – jak u rekina.

Jeden ze skinów rzucił do niego:

Ej, kocie, będziesz trzymać z nami.

Po rejestracji zabrał swoje nowe rzeczy i wprowadził się do celi z dwoma białymi, którzy mówili o gangu Mongols.

Nowy Jork? Może nam powiesz, gdzie przepadł Jimmy Hoffa. Póki co możesz mieszkać z nami.

Chodzili razem na stołówkę, na dziedziniec, chodzili całym gangiem, a kiedy ćwiczili, wystawiali jednego na straży.

Pracujesz w pralni. Czasem będziesz musiał coś przemyścić. Mamy swoje wymagania.

Od razu pojął, że znajduje się w strefie działań wojennych. Uprawiano tam politykę, i to tajną politykę – jak nie wiesz, to nie pytaj. Na dziedzińcu kładli ręczniki na ziemi i ćwiczili we wspólnym rytmie. Serie przysiadów, wykroków i krokodylków, niczym w poruszającej się naprzód kolumnie żołnierzy. Każdy musiał być w gotowości. Napięcie, które czuł, było ciągłe i rzeczywiste. Biegali razem pod niebem Indiany, obok znaku z napisem „Tylko jedna osoba naraz” zamontowanym na gładkiej budowli z cementu i cegły syntetycznej, a zielone szkło okien w dziennym świetle wydawało się czarne. Budynek przypominał matematyczną układankę zarządzaną z centralnego bloku przez ludzi ze Środkowego Zachodu o tubalnych wiejskich głosach.

Gang nauczył go, jak się zachować, gdy zarobisz kosę pod lodowatym prysznicem, jak nie odpuszczać. Ich treningi były tajne niby u mnichów z Shaolin. Jimmy przechowywał dla nich niebezpieczne narzędzie. Nie chodzi o nienawiść, każdy jest w jakimś gangu, tłumaczyli, objaśniając nazistowskie symbole. To rodzina. Na piersiach i powiekach mieli chińskie znaki oznaczające siłę, honor, tajemnicę. Sama swastyka była buddyjskim znakiem symbolizującym kształt ducha biegnącego przez starożytne pole. Tatuowali sobie twarze, golili głowy, kradli u fryzjera sprężynę z utwardzanej stali z maszynki do strzyżenia, żeby – zamiast medytować – wyrzeźbić sztylet w metalowym wykończeniu

pryczy tysiącem nacięć w tych samych miejscach. Nie mów o tym, nie mów, słyszał od kulturystów, którzy dostali odpowiednio trzydzieści i pięćdziesiąt dwa lata więzienia za włamanie i włamanie z napaścią seksualną. Umysł jest bronią. Włącza się zawężone pole widzenia. Strażnicy trwają w wierze, że mają władzę – a tak naprawdę mają więź. Złudzenie. Kazali Jimmy’emu wsadzić sobie w odbytnicę coś, co nazywali piórkiem. Wyniósł to na dziedziniec, wyjął i ukrył pod stołem piknikowym.

Kiedy na dziedzińcu doszło do incydentu, zawyła syrena, której dźwięk poniósł się po całym więzieniu oraz polach i drzewach za jego murami. Niezależnie od miejsca przebywania w takim wypadku trzeba było paść twarzą do ziemi i rozłożyć ręce. Pięciuset osadzonych w białych skarpetkach do kolan położyło się na piachu. Strażnicy podbiegli po trawie do dwóch mężczyzn atakujących trzeciego. Ten szal, to niesamowite – patrzysz, jak dostaje raz, drugi, trzeci, czwarty – upada i zbiera się z ziemi, próbuje biec i się przewraca. Dostaje w plecy od drugiego napastnika. Strażnicy tłuką ich pałkami. Walczący przekoziółkują do stolików piknikowych. Ofiara zostaje dźgnięta. Kolejny strażnik przylatuje z drugiej strony. Jeden z mężczyzn pada – widać, jak nóż wysuwa mu się z ręki. Kolejny dostaje gazem, kiedy próbuje zadać ostatni cios, leży jak długi. Ofiara odczołguje się, przez bluzę w czerwonych strzępach prześwituje mu skóra, jakby pogryzł go lew.

Jego matka zapożyczyła się, żeby mieć na kaucję za syna, który twierdził, że czekając w areszcie, nie jest w stanie dobrze przygotować się do obrony. A potem nie przyszedł na wyznaczoną rozprawę. Z tego powodu odebrano jej samochód.

Pytana o syna, odpowiadała, że straciła co do niego nadzieję. Nie należy tracić nadziei, doprecyzowała. Ale łatwo to zrobić. Czemu jest w więzieniu? W gruncie rzeczy to złodziej. W dużej mierze to wina alkoholu i narkotyków. Też swoje przesłam – zresztą kto nie przeszedł – ale nigdy nie wpadłam w narkotyki. Nie, nie uważam, żeby powinny być legalne. To nie rozwiązanie. Chodziliśmy do psychologa, był na odwyku. On łamie mi serce. Ale nie można się poddać. Musi się jakoś odnaleźć.

Odbił denko dezodorantu, wsadził palec do środka i trafił na zwitek folii. Rozwijał go i zwił wiele razy. Po rozwinięciu widać było, że leży na nim kawałek czegoś, co wyglądało jak skrzydło karalucha. Jego kumpel spod celi miał rurkę cieniutką jak wkład do długopisu, z igłą na końcu. Po zgaszeniu światła zawiesili koce na kratkach, podgrzali i zażyli. Kiedy Jimmy już był naćpany, siedział z zamkniętymi oczyma, kiwał głową, poznaczone bliznami ręce miał wyciągnięte, a na brzuchu widać było fałdki tłuszczu. Jego kumpel miał ogoloną na łysy szarą, dyniowatą głowę, przypominającą hełm nasadzony na jego opaloną twarz, leżał bezwładnie, a jego państwowe adidas sterczały pod dziwnym kątem w stosunku do nóg. Nie otwierając oczu, łysy powiedział:

O tej porze roku zarzynaliśmy ładnych kilka świń, a wszyscy zjeżdżali się z daleka. Na motorach, furgonetkami, co kto miał. Mieliśmy taki bimber, którego nie dało się pić. Nosilem wtedy murzyńskie warkoczyki. Na zębach miałem takie złote, tutaj...

Jimmy odparł: Ja byłem największym rockmanem.

Kim?

Grałem rocka... na gitarze.

Mój kuzyn gra wszystko, co mu wpadnie w ręce.

Jeździliśmy do Nassau... wszyscy fajni ludzie tam bywali. Kręciło się tam ze dwadzieścia lasek. Wszystkie słuchały, jak gram.

Nie uśmiechali się, nawet na haju. Jimmy od roku się nie uśmiechnął. Najbliższy uśmiechu był krótki grymas wyrażający tolerancję wobec mówiącego. Jimmy położył się, nakrył prześcieradłem i leżał tak jak wór z rzeczami do prania.

Kiedy wyjdę, nauczę się grać naprawdę.

Jak miałeś jazdę, zauważył potem z niewinną miną jego kumpel spod celi, to mówiłeś, że będziesz się uczył grać na gitarze.

Umiem grać, protestował Jimmy.

Skini byli bikerami i poczekawszy na odpowiedni moment, Jimmy dał im do zrozumienia, że

sam też pomykał na motorze. Nie był bikerem, ale też jeździł na Bay Shore. Robił akrobacje, zasuwał na samym tylnym i przednim kole, na zgrabnych maszynach produkowanych przez żółtków. Kiedyś motor mu się wymknął i upadł na niego, i wszyscy myśleli, że Jimmy nie żyje. Bolało jak cholera, ale wstał i zszedł z toru o własnych siłach, a wszystkim szczęki opadły. No, jak teraz o tym pomyśleć, to faktycznie był prawdziwym bikerem. Jeździł harleyem, jednym z tych wydłużonych kozackich modeli, na których siedzi się o tak, w odchyleniu, z awiatorami na nosie, w rękawiczkach, i mknie się po autostradzie. Był z niego samotny wilk. Jeździł, pomyślmy, do Virginia Beach, jeśli dobrze kojarzy. Zahaczył o Vegas, gdzie laski szalały za takim kolesiem na motorze jak on. Był też jeszcze w jednym miejscu – w szufladzie w domu ma fotkę stamtąd – zielone pole, grill, nie pamięta gdzie, ale pamięta, że na wolności to były czasy i honor, i dobra muzyka, i co to wszystko dla niego znaczyło.

Korespondencja gangu szła przez pocztę zakodowana, upchnięta wewnątrz kartek pocztowych, zapisana niewidzialnym atramentem, który pod wpływem światła laseru pojawiał się między słowami „Kocham cię”. Ich ludzie na zewnątrz brali kawałek materiału i naprasowywali na niego warstwę heroiny typu czarna smoła, aż zrobiła się cienka jak papier. Brali dwie identyczne kartki okolicznościowe, rozdzielali papier żyłką i składali w jedną, z kontrabandą wsuniętą między nie. Taka półprzezroczysta brązowa wkładka warta była w więzieniu osiemset dolarów.

Jego urodziny nadchodziły i mijały w okresie deszczów, kiedy strażnicy patrolowali obrzeża dziedzińca w wiatrówkach moro, a osadzeni dreptali w błocie i podciągali się na drążku w żółtych ubraniach na złą pogodę. Kartkę, którą matka wysłała mu trzy miesiące wcześniej, otrzymał dopiero po otwarciu przez funkcjonariuszy i oświetleniu laserem. Znaleźli tylko zdjęcie tortu ze świeczkami. Żadnych pieniędzy. „Z pieniędzmi u mnie teraz krucho. :-* Mama”.

W drodze na stołówkę przechodzili obok celi pełnej zakrwawionych ręczników leżących na betonowej podłodze. Funkcjonariusze w umazanych krwią rękawiczkach podnosili mężczyznę, który wyglądał jak zrobiony z żółtego plastiku. Zakrzepła krew na głowie, rany klute na kończynach obwiązanych gumowymi rurkami, takimi jak do spuszczenia benzyny, rany niczym po ugryzieniu przez rekina. Zginął od miecza.

Żal sam-wiesz-kogo, mówili przy jedzeniu.

Czasem spał nawet dwadzieścia godzin, ale kiedy otwierał oczy, wciąż był ten sam dzień w kalendarzu, w celi ta sama świetlówka, jak z przystanku autobusowego albo łazienki, a on był otumaniony niezmiennym dźwiękiem więzienia, dalekimi trzaskami, wołaniem, tym samym beznadziejnym dźwiękiem tego miejsca.

W kolejnym przechwyconym liście ktoś pisał:

Nie możesz zatopić mojego zen, kolego, jeśli myślałeś, że działa uchodzi za wojownika w trybie krzyżowca z pałaszem w domku na wielkiej sośnie.

Po bezowocnych próbach odszyfrowania wiadomości więzienny wywiad do spraw gangów przekazał ją do działu kryptografii w Quantico.

Owiany najgorszą sławą w tym zakładzie więzień lubił czytać. Jimmy poznał go, kiedy trafili do sąsiednich wolno stojących klatek w ośmiokątnym przeszklonym pomieszczeniu. Tatuaze na jego szyi wyglądały jak zielony golf. Wśród jego lektur byli Sun Zi, Lao Tse, Machiavelli, Musashi Miyamoto i von Clausewitz. Jestem wojownikiem, rycerzem. Studiuję bushido. Dostał trzysta trzydzieści trzy lata. Możesz kochać tę grę, ale ona nie kocha nikogo. Opisał, jak uwolniono go od zarzutu, za który sądził, że pójdzie siedzieć, po czym skazali za drugie morderstwo, które popełnił, oczekując na pierwszy proces w więzieniu okręgowym.

Trzeba śmiać się z tego, jak toczy się świat, powiedziała legenda, okularnik metr siedemdziesiąt.

Zaszedłem go od tyłu, chwyciłem gołymi rękami za głowę, uśpiłem. Skręciłem mu kark. Kiedy skręcasz komuś kark, czujesz, jak kość trzaska o tu, na wysokości twojej klatki piersiowej. Pyk, i tyle. Wyciągnąłem nóż i wbiłem w niego. Uderzałem w gardło, serce, wątrobę. Rozprułem mu brzuch.

Dźgnąłem go dwadzieścia pięć razy. Zaczął się trząść i sapać. Wziąłem rurkę i waliłem go po głowie, aż pękła mu czaszka. Wszędzie krew.

Była też inna rzecz, obrosła legendą, może słyszałeś. Kompletna nieprawda. Chodziło o to, że byliśmy głodni po pracy. Zrobiłem palnik z ciasno zwiniętego ręcznika. Nazywaliśmy to bombą. Zapaliłem bombę i upiekliśmy sobie tosty z serem na jego ciele, używając go jako podstawki. Historia zaczęła żyć własnym życiem. Gadali, że zjedliśmy jego serce. Wszystko zmyślane.

Zdarzały się w tym zakładzie niezłe ziółka. Całe życie robiłem wszystko, żeby zostać zabijaką. Kierowałem się lojalnością. Kiedy dowiedziałem się, że gang postanowił się mnie pozbyć, byłem wstrząśnięty. Mimo całego poświęcenia, wysiłku i kulek wpakowanych w naszych wrogów? Aż, to zdrajcy. Ale nie jestem tchórzem, co to, to nie. Pomimo przerażenia powiedziałem: Spoko, nie będę się kitrał, i tak wcześniej czy później mnie dopadną. I stało się. Pocięli mi twarz. Pobiegłem do celi i napchałem kawy do rany, bo obkurcza naczynia. Nie poleciałem do ambulatorium, bo wsadziliby mnie do aresztu ochronnego. Minęły dwa albo trzy tygodnie, ale wreszcie dorwałem kolesia, który mi to zrobił. Poczęstowałem go papierosem, spytałem: Rozejm? Kiedy nachylił się, by wziąć fajkę, ugodziłem go w serce. No i nara.

Nie mam złudzeń. Wiem, że ze mną też koniec. Niedługo wybije moja godzina. Takie jest życie, a ja to akceptuję.

Szyfr, wersja kodu Enigmy z drugiej wojny światowej, został rozpoznany i złamany przez federalnych kryptografów. Wiadomość pochodząca od kolesia zamkniętego w bloku pod specjalnym nadzorem zawierała prośbę o zabicie strażników. Autor znajdował się pod całodobową obserwacją, nie miał kontaktu z ludźmi. Jego list był arcydziełem pomysłowości.

W świetlicy funkcjonariusze zawsze nosili kamizelki i pałki, klucze mieli przypięte do pasków długim łańcuchem, który zwisał im przy zielonych spodniach jak u skejtów. Były wśród nich kobiety w krótkich kurtkach ze złotymi naszywkami, oceniały mężczyzn w zwierzęcych kategoriach: silny albo słaby. Miały rodziny, nie miały złudzeń co do swojego bezpieczeństwa poza murami.

Po pracy nie chodzę w miejsca, gdzie są ludzie z gangów. A do pracy nie zabieram swojego życia osobistego.

Jimmy wystawił stopę do tyłu jak podkuwany koń, kiedy przesuwali detektorem, żeby sprawdzić zdartą podeszwę jego państwowych adidasów. Obmacali go pod ubraniem, bluzę, szerokie płócienne spodnie. Idź, pokazali palcem.

Gestem kazali mu przechodzić dalej i dołączył do tego, co nazywali jego rodziną na dziedzińcu. W wełnianej czapce wyglądał jak drwal. Był zimowy dzień, a niebo było błękitne. Beznamiętnie przyglądał się przestrzeni dookoła, czasem obrócił się przez ramię, żeby zerknąć na facetów innych ras, którzy wychodzili gęsiego i kierowali się do swoich obozów, pocierając dłonie w wełnianych rękawiczkach, prowadząc lakoniczne rozmowy, pozornie beztroszy.

Poszła do sklepu z koszulkami futbolowymi południowoamerykańskiej produkcji. Sklep mieścił się przy opuszczonym parkingu i domu z kościołem zielonoświątkowców na parterze, a resztą piętér spaloną. Okolicę zamieszkiwały gwatemalskie rodziny. Vany, które parkowały na tych ulicach, podobnie jak drzwi garażowe, pomazane były konkretnym rodzajem graffiti – samymi słowami, inicjałami i liczbami, bez kolorowych obrazków: „MS!” „MSX3” „MS13” „GC13” „Fuck S42” „R2B” „Niños malos” „Sur 13”. La Colombiana, z szyldem przedstawiającym kobietę leżącą twarzą do ziemi z uniesionymi biodrami, żeby było widać jej dżinsy, znajdowała się pięć przecznic dalej. Do sklepu z akcesoriami piłkarskimi nie dało się zajrzeć. Okno zakrywała flaga z jastrzębiem i słowami: „Śniada duma”.

Zaplecze sklepu wypełniały worki z odzieżą używaną. W powietrzu czuć było ciężki zapach tłuszczu. Mężczyzna, pewnie Meksykanin, jadł smażoną wieprzowinę ze styropianowego pojemnika. Włosy miał ścięte na jeża, jak w wojsku, na czubku głowy widać było ich wyraźniejszy cień. Miał też pulchne policzki niczym Budda oraz przystrzyżony wąsik. Kiedy otworzył usta, ukazał się w nich złoty ząb.

Dała mu sto pięćdziesiąt dolarów, które schował zaraz do kieszeni czerwonej bluzy Adidas. W zamian dostała dowód tożsamości wydany przez stan Nebraska na nazwisko Suzy Lin Hong. Zam.: North Burdette Street 1101, Omaha, 68101 Nebraska. Włosy – czarne. Oczy – czarne. Wzrost: 154 cm. Ur.: 3 marca 1979. Przy krawędzi jej fotografii widać było przycięte pismo japońskie.

Tydzień po tym, jak kupiła dokument, „Sing Tao”, „El Diario” i „Pakistani Times” opublikowały historie nalotu na zakład przetwórstwa mięsnego w Greely w Karolinie Północnej, podczas którego urząd imigracyjny zatrzymał ponad dwustu latynoskich robotników podejrzanych o złamanie prawa imigracyjnego, rozdzielił ich z rodzinami i wysłał do federalnych ośrodków w Pensylwanii i Teksasie. Zou Lei przeczytała też, że amerykańscy senatorzy chcą wprowadzenia elektronicznej kontroli tożsamości. Żeby dostać pracę, trzeba by przejść e-weryfikację.

Myślisz, że ujdzie? – zapytała Zou Lei i pokazała swój dowód kobiecie bez pozwolenia sprzedającej krem z tofu z wózka sklepowego.

Obleci.

Kobieta, która sama też miała dokument z innego stanu, powiedziała, że niedawno ją zatrzymano i skazano na pół dnia przymusowego sprzątanía peronu metra. Nie tyle bała się policjantów, ile była zła, że przeszkadzają jej zarabiać na życie.

Gliniarz mnie dyskryminuje. Mówię do niego: Ty robisz swoje, daj mi robić swoje.

Jeszcze inną historię miał do opowiedzenia gujański muzułmanin, którego Zou Lei poznała na północ od Kissena Park. Był to nieogolony młody mężczyzna w bejsbolówce założonej tyłem na przód; stał na uschłej trawie przy parkingu obok Golden City, dokąd dostarczał ryż jaśminowy. Zaparkował samochód i palił papierosa.

A mąż mojej ciotki, która mieszka w Jersey? Zapomnij o dokumentach, on miał naprawdę coś – dostał zieloną kartę. Szła do niego pocztą, a na razie wydali mu papier zaświadczący, że karta jest w drodze. Gliny wpadły na niego, mówili, że szukają kogo innego, a przy okazji zapytali, czy jest tu legalnie. On na to, no raczej, kurwa, i pokazuje im ten papier. A oni i tak go aresztowali i wsadzili do więzienia w hrabstwie Passaic.

I co się z nim dzieje? – spytała Zou Lei.

Zgnoli go. Strażnicy czepiali się każdego, kto był Azjata, muzułmaninem, Trynidadczykiem,

czarnym, śniadym itepe – byle podobny do Araba; bo to tępi, pieprzeni rasiści, myślą, że wszyscy ludzie o ciemniejszej skórze to to samo. Potrafią przyjść w środku nocy z psami i podrzeć twoje papiery imigracyjne. Mój wujek ma słabe zdrowie, a oni trzymali go skutego na podłodze przez osiemnaście godzin, zanim puścili go do szpitala. Potem deportowali go z powrotem do Gujany. Tam jest inaczej niż tu. Nikt niczego nie ma. Zniszczyli jego rodzinę. Dzieciaki ciotki są w opałach. On nie może wrócić do Stanów. Prawnik powiedział jej, że powinna poczekać, aż George Bush odejdzie ze stanowiska.

Zou Lei zapytała, gdzie jego zdaniem jest bezpiecznie.

W Kanadzie! – odparł, wyrzucając peta i wydmuchując resztkę dymu. Mieszkam w Ozone Park, tam jest masa Hindusów, Trynidadczyków, ale nie ma pewności. Osobiście nie muszę się martwić, ale w mojej rodzinie są tacy, co muszą. Nie wiem, co więcej powiedzieć.

Myślisz, że przepłaciłam za dowód?

Ile dałaś?

Sto pięćdziesiąt.

Widzisz, wszyscy je mają. Psy wiedzą, że to fałszywki.

Za radą Gujańczyka Zou Lei poszła do dwupiętrowego minicentrum handlowego, gdzie jakiś gang miał sprzedawać podrobione zielone karty. Był tam salon manikiuru i szkoła taekwondo na piętrze. Latynoscys rodzice posyłali tam dzieci, które uczyły się sztuk walki, żeby umieć się obronić i móc trzymać głowę wysoko. Czekala, kręciła się, a potem oparła o barierkę, starając się zorientować w sytuacji, a kobiety w salonie robiły sobie jedwabny manikiur. Minęło pół godziny. Naganiacz z baru na parterze wciąż jej się przyglądał zza okularów przeciwsłonecznych.

Ulicą przejechał radiowóz i zwolnił do tempa chodu. Odniosła wrażenie, że nie powinno jej tam być. W obawie przed posądzeniem o prostytutkę oddaliła się. Kiedy schodziła po schodach, naganiacz zaoferował, że dostanie darmowego drinka, więc może wejdziesz? I gestem pokazał drzwi do baru, otwarte na czarną przestrzeń, w której niczego nie mogła dojrzeć.

Stwierdziła, że wróci kiedy indziej, ale potem przeczytała, że za posługiwanie się cudzym numerem ubezpieczenia można dostać zarzut podszywania się, i uznała, że gra jest niewarta świeczki. Za przeskoczenie bramki w metrze można było wylądować w więzieniu federalnym. Od jedenastego września deportacja groziła za najdrobniejsze wykroczenie, zależnie od kraju pochodzenia. Według „World Journal” istniały różne klasyfikacje krajów i imigrantów. Zou Lei nie wiedziała, czy podpadała pod tych z Chin, partnera handlowego USA, czy z Jamajki, Gujany, Meksyku, Egiptu, Pakistanu i Afganistanu.

Ludzie mówili, że zawsze warto się zapisać do szkoły angielskiego, nie można na tym stracić, a koszt to trzydzieści dolarów za lekcję.

Ale to cena biletu autobusowego, pomyślała. Cena nocy w hotelu, kiedy jest się w drodze. Tymczasem mogła do woli ćwiczyć angielski ze Skinnerem, prawdziwym Amerykaninem, i to całkiem za darmo. Odsunęła myśl o szkole. Za siedem dolarów kupiła sobie zeszyt i używany słownik chińsko-angielski pod tytułem *New Century*, i z umiarkowanym przekonaniem zabrała się do samodzielnej nauki. Otworzyła zeszyt i zaczęła w nim notować, świadoma, że pisze znaki źle i tak kanciąście, jak żaden Chińczyk. Widać było, że jej pierwszy język był inny i przebijał się teraz przez jej pismo. Zapisła na pierwszej stronie tylko kilka słów bez związku i wcisnęła zeszyt z kotkiem na okładce do plastikowej torby.

Za siedem dolarów mogła dostać siedemdziesiąt deka jagnięciny i żałowała, że jej właśnie nie je. Żeby nie zmarnować pieniędzy, poczytała sobie słownik na wrywki, stwardniałymi palcami przerzucając cieniutkie strony z prześwitującego papieru. Uczyła się słów, czytała je na głos, czytała definicje, które były dziwne, niezwykle, staroświeckie – chociaż nie zdawała sobie chyba z tego sprawy. Wojownik – osoba waleczna, bohater. Miłość – dwa motyle, dar serca. Wolność – decydowanie o sobie. Stany Zjednoczone to kraj wolności.

W nocy miała koszmary o Bridgeport, a rano zadzwoniła do Skinnera.

Śniło się jej, że agenci imigracyjni przyjechali do Chinatown w nowych białych furgonetkach

Departamentu Bezpieczeństwa Krajowego, włączyli się do centrum handlowego i zablokowali wszystkie wejścia, wszystko pozamykali i zaczęli kontrolować pracowników skanerem biometrycznym. Agenci ustawili wszystkich w szeregu, polecieli unieść ręce, skanowali ich dłonie i siatkówki. Polo i Sassoon byli w porządku i mogli przejść, ale kontrola wykryła wszystkich nielegalnych: Meksykanów i kobiety z restauracji. Agenci kazali im położyć się na brzuchu. Nie miała dokąd uciec i wiedziała, że ją dorwą.

Przez telefon Skinner brzmiał, jakby był daleko, ale zgodził się spotkać z nią po pracy.

Wychodząc z centrum handlowego, zaszła do publicznej toalety na parterze, żeby zetrzeć z dżinsów plamy po jedzeniu, przeczesać włosy, nałożyć błyszczak ze sklepu „wszystko za 99 centów”, założyć czapkę z napisem „New York”, obrócić się i zerknąć na swoje plecy w lustrze przed wyjściem. Kiedy zobaczyła go przed Caldorem, podbiegła i złapała go za rękę.

Nie zaproponował, żeby gdzieś poszli, a ona nie chciała wpraszać się na obiad, więc chodzili tylko, oglądali wystawy lombardów i sklepów z butami sportowymi.

Jesteś dziś zajęty? – spytała.

Zdawał się nie słyszeć pytań na swój temat.

Dotarli do bazaru oświetlonego gołymi żarówkami w drucianych osłonach. Pokazała na kartony wypełnione persymonami, rdestem, żeń-szeniem, kolczastym owocem wielkości granatu, którego nazwy nie umiała przetłumaczyć, i longanami wyglądającymi jak oliwki wyrosłe na winorośli.

Znasz te? Nazywają się smocze oczy.

Łącząc kciuk z palcem wskazującym, zrobiła kółko oznaczające okej, i mlasnęła językiem. Pokazała na smocze oko i spojrzała na Skinnera.

Longyan. Powtórzysz?

Jakiś Meksykanin rozerwał karton dokładnie za jego plecami; Zou poczuła, że Skinner podskoczył, jakby poraził go prąd.

Skinner?

No co?

W porządku?

Kiwnął głową. Wydawał się speszony i zły.

To chińskie słowo jest bardzo trudne.

Może chciałby zobaczyć prawdziwy azjatycki sklep? Chyba chciał. Weszła do środka, a on w przejściu, gdzie potracali ich wszyscy wychodzący, puścił jej ramię. Teraz była w sklepie sama i nie wiedziała, czy Skinner wejdzie. Wzięła pierwsze lepsze pudełko z półki. Mleczko pszczele z Pekinu. Skinnera ani śladu.

Fasolka mung, kleik ryżowy, sum. Powoli zagłębiała się w zapach lodówek, warzyw korzennych, ziemi, suszonych towarów, chcąc dostać się do przodu. Syrop o smaku miodu, stare wino z Fujian, sos z kałamarnicy, ocet trzciniowy, miąższ kokosowy, ocet Sarap-Asim, rosół z kury. Metalowy stojak z suszoną kałamarnicą wiszącą na hakach. Słodka suszona wieprzowina po siedem dolarów dziewięćdziesiąt dziewięć centów. Sprzedawali też kulki sproszkowanej wieprzowiny w plastikowych kubeczkach i konserwy mięsne na obiad. Spam, Ma Ling, Vitarroz, z aromatem dymu wędzarniczego. Grzyby shitake, młode zielone dzakfruty, lokwaty, liczi, palmę winną. Każda z tych rzeczy nadawała się jako dodatek do czegoś innego.

Na środkowych półkach stała kawa rozpuszczalna trzy w jednym, Oldtown White Coffee, Milo Fuze i Glow-San Kentucky. Sos Chaozhou, gluten pszeniczny, gluten z orzeszków ziemnych, kiszona sałata i masło Frentel. Był też majonez Kewpie, masło orzechowe i Kool Aid. Masło orzechowe Skippy wydawało się dobre i ciężkie. Zerknęła na kalorie. Kosztowało dwa pięćdziesiąt cztery.

Może, pomyślała. Nie była pewna. Odstawiła na półkę.

Skinner doszedł do niej, kiedy stała w alejce przy konserwach rybnych. Sardynki słodko-ostre były po dwa pięćdziesiąt. Puszka wydawała się pusta, Zou Lei ją odłożyła.

Skinner wziął puszkę wędzonej ryby mlecznej.

To ciekawe.

Co?

Nic. Cokolwiek to jest.

To ryba. Powinieneś spróbować, namawiała go. Była chyba trochę pogniewana. Dużo składników dla ciała, wyjaśniła. Dobra na długie życie.

Oleje do smażenia stały pod ścianą w złotej piramidzie, na paletach piętrzyły się dwudziestokilowe worki ryżu. Żeby go trochę ukarać, postanowiła nie spieszyć się w sklepie. Próbowwała obliczyć, ile jest kalorii za dolara w ryżu plum rose, który trzymała w ręce. I kazała Skinnerowi iść za nią do dalekiej alejki, żeby przyjrzeć się akcesoriom do gotowania – butlom z gazem, maszynkom do gotowania ryżu, nożycom kuchennym, sprejowi przeciw karaluchom. Wok za osiem dziewięćdziesiąt dziewięć. Schyliła się i przekopywała zawartość dolnej półki, starając się niczego nie przegapić. Nie przegapiła. Najtańszy ryż kosztował piętnaście dolarów amerykańskich, a to było za dużo.

Przeszli obok chłodziarki na mleko sojowe, czarnych kurczaków i cafej ryby na lodzie. Jest za dużo do jedzenia, stwierdziła. Już nie była taka wkurzona.

Bierzesz coś? – zapytała, pomyślawszy, że mogą połączyć składniki.

Pasuję, odparł.

Widział przedtem pojemnik pełen ryb z długimi wąsami, w którym pienieł się śluz, brudne akwaria z zieloną wodą – pływały w nich ciężkie stworzenia.

Zbliżali się do stoiska mięsnego. Pomyślała o swoim ojcu, rozpalającym ognisko i zarzynającym jagnię, i znów wzięła Skinnera pod rękę.

Chudzi rzeźnicy w fartuchach przybrudzonych na różowo sprzedawali podroby i kurze łapki. Skinner spojrział przez zasłonę z pasów plastiku. Ktoś rozcinał żeberka piłą taśmową. Szpik przyskał na boki. Skinner się wzdrygnął. Rzeźnicy krzyczeli: Co podać? Kobiety z długimi lśniąco czarnymi włosami prosiły o podroby. Staruszka poprosiła o żołądki, gąbczastą wyściółkę żołądka o bladej barwie kapusty. Śpiesz się trochę szybciej! Rzeźnicy wspinali się na palce, żeby ich zobaczyć. Nad ladą powędrowała cynaderka zawinięta w papier.

Zou Lei spojrzała na cenę jagnięciny. Sama nie wiem, powiedziała. Spojrzała na niego, ale on patrzył w inną stronę. Jak dla niej wyglądał na zmęczonego pobylem w sklepie. Może tego nie potrzebowała.

Zauważyła, że w niektóre dni przytulał ją, kiedy go odwiedzała, ale równie dobrze mógł otworzyć drzwi i obrócić się do niej plecami bez słowa, jak któregoś wieczora, kiedy sama musiała zejść po schodach, by znaleźć go leżącego w ciemności na materacu twarzą do dołu.

Skinner? Bawisz się w chowanego?

Dotarła do niego po omacku.

Mogę świecić?

Nie odpowiadał. Usiadła na łóżku i dotknęła jego nogi. Co z tobą dzieje?

Powiedział coś do materaca, nie mogła zrozumieć.

Co mówisz?

Mówię, że boli mnie głowa.

Pogłaskała go po nodze.

Za dużo pijesz alkohol. Idziesz na imprezy, w porządku. Nie mam zazdrości. Ale za dużo to źle. Jesteś silny facet, a leżysz w łóżku. Popatrz na tego silnego faceta. On leniwy facet.

Przysunęła się.

Kiedy ty idziesz na imprezy, ja robię ćwiczenia, spodobają ci się.

Podniosła jego ciężką łapę, położyła sobie na udzie i napięła mięśnie.

Czujesz?

Cofnął rękę i obrócił się twarzą do ściany. Naciągnął na głowę swój T-shirt z napisem „Goarmydotcom”, żeby osłonić się przed światłem.

Przyjrzała mu się z bliska i zorientowała się, że naprawdę może być chory.

Żeby być blisko niego, została i czytała jego gazety, zamiast sobie pójść.

Aż do późnej nocy w pokoju panowała absolutna cisza, przerywana tylko odgłosem przerzucania stron.

Zrobiłam coś cię złości?

Nie, odparł.

W porządku, powiedziała. Ale ostrzegam, jestem naprawdę twarda. Nawet jak ty dla mnie niemiły, ja nie idę.

Tam, skąd pochodziła, mężczyzna i kobieta mogą żyć z dala od siebie przez wiele lat z powodów ekonomicznych, widując się raz albo dwa razy w roku, kiedy dostają pozwolenie od władz.

Któregoś dnia wpadł do niej do pracy o jedenastej. Trwały godziny szczytu i nie mógł z nią porozmawiać, więc wyszedł na Main Street i zapalił przed Modell's i Burger Kingiem.

Pod markizą grupka osób czekała na autobus. Palili, gapili się na ulicę, zdążali donikąd, bez celu, niektórzy o lasce – wszyscy ci ludzie, których żołnierze określali frajerami. Wyzywali się od nich, bo wielu z wojskowych, nawet najlepszych, pochodziło z niższych warstw społeczeństwa. Jakaś kobieta w luźnych różowych spodniach do biegania darła się do telefonu.

Pójdę do więzienia! – upierała się. Tak, pójdę! Noszę w sobie dziecko. Przynajmniej mnie tam nakarmią... Zamknij się! Co zrobiłeś z dwudziestoma dolarami, które ci dałam?

Dopalił papierosa i wrócił do centrum handlowego. Był to dawny budynek biurowy, przejęty przez Chińczyków. Zdawało się zawieszony między poprzednim przeznaczeniem a nowym, wyglądało na niedokończone i prowizoryczne. Po podłodze walały się kartonowe opakowania. W niektórych pomieszczeniach z podłogą z gołego betonu wisiała tylko jarzeniówka. W jednym z nich urządzono magazyn tysięcy suszonych ziół leczniczych, które trzymano w kubłach, pudełkach, koszach, miskach, drewnianych szufladach – w chaosie rozmaitych pojemników, wszystkim, co nadawało się do przechowywania czegoś innego, nawet w kopertach – leżące jak popadnie bez ładu i składu. Dwudziestolatek ze złotym łańcuchem wcinał pierożki wonton z otwartymi ustami i oglądał DVD. Szylt nad nim głosił: „Zakład Optyczny Cohena”. Nie dało się stwierdzić, co tu jest nowe, a co stare. Nie można było powiedzieć, czy coś dopiero się pojawiło, czy zaraz zniknie. To otoczenie wydawało się Skinnerowi znajome.

Starsi obywatele w czapkach z emblematem Armii Czerwonej, ludzie, którzy przeżyli trzydzieści lat wojen i rewolucji, przechadzali się, jakby dokonywali inspekcji i zatwierdzali wszystko, co widzą.

Nasunął okulary przeciwsłoneczne na czoło i szukał jej za klientami, ale nie mógł wypatrzeć – bar, w którym pracowała, był wciąż oblegany. Obrócił się więc na pięcie i wyszedł na zewnątrz.

Tym razem przeszedł przez Roosevelt Avenue i minął trakcję, pod którą stało dwóch Afrykańczyków w zakurzonych ubraniach i z matowymi twarzami oświetlonymi przez słońce. Przed nim znajdował się budynek, w którym pracowała poprzednio, wtedy kiedy ją poznał. Zauważył grupkę ludzi, przypatrujących się czemuś z rękami założonymi za plecy. Między ich nogami błysnęło ciało. Pomyślał, że pewnie gapią się na kogoś rannego na ulicy, i odruchowo rozejrzał się w poszukiwaniu pożaru, członków rodziny krzykiem domagających się zemsty. Ale przy restauracjach panował normalny ruch uliczny. Podeszedł i zerknął gapiom przez ramię. Okazało się, że przyglądają się serii powiększonych zdjęć leżących na chodniku.

Pierwsze przedstawiało Azjatkę po czterdziestce, o twarzy ukazanej z profilu, unoszącą sukienkę, żeby pokazać szerniały pośladek z głębokim ropniem pośrodku. Na kolejnym był tułów kobiety. Miała usunięte piersi. Jej ciało przypominało lasagne. Następne przedstawiało białe prześcieradło, na którym leżała. Wyraz jej twarzy świadczył, że na pewno nie żyje. Do dużych palców u nogi zmarłych były przyłączone etykiety z chińskimi napisami. Na innej fotografii widniały czyjeś nogi ze stłuczeniami, a obok dłoni trzymająca linijkę wskazującą rozmiary obrażeń. Było też zdjęcie przesiąkniętego krwią ubrania przy odpływie na betonowej podłodze.

Jakaś kobieta zbliżyła się do Skinnera, jakby pchała ją ku niemu jakaś magiczna siła, i poprosiła o złożenie podpisu. Oczy jej płonęły, wpatrywała się w niego pustymi oczyma i choć nie miała donośnego głosu, mówiła jak komputer, którego nie da się wyłączyć.

Zbrodnia przeciw prawom człowieka, wyjaśniła.

Niczego nie podpiszę.

Kiedy nalegała, powiedział:

Nie znam cię. Może to podpucha. Wzruszył ramionami. Cztery trupy, no i co? Na aparacie w domu mam dwieście takich zdjęć.

Towarzyszający jej mężczyzna powiedział po chińsku, żeby z nim nie rozmawiała, więc nagle się ulotniła.

Skinner ponownie zerknął na zdjęcia, zanim poszedł dalej.

To nie moi kumple, pomyślał.

Przy kiosku, gdzie można było kupić magazyny z modelkami na okładkach, Skinner zapytał: No, i o to właśnie chodzi – a jakiś Pakistańczyk obrócił się i zmierzył go spojrzeniem.

Wypalił papierosa do połowy i zdusił peta podeszwą.

Przez Kissena Park dotarł do baru z jedzeniem na wynos i zamówił smażoną wieprzowinę z ryżem. Miał trudności komunikacyjne z ludźmi prowadzącymi stoisko, ale nie było to nic, czego nie dałoby się rozwiązać przez pokazywanie palcem, a przynajmniej tak sądził. Mężczyzna zdjął mięso z haka za oknem i posiekał tasakiem na jego oczach. Policzyli mu więcej, niż się spodziewał. Pieczona wieprzowina. Myślałem, że dostanę tamto. Pokażę palcem, widzisz?

Przyprowadzili kogoś, żeby wyjaśnił. Dostałeś pieczoną wieprzowinę. Patrz, są dwie, dostałeś droższą.

Nie pierdol, powiedział Skinner. Założę się, że to przypadek.

Odszedł i usiadł.

Ryż był zimny i wymazany tłuszczem, który zastygał i robił się biały. Przypomniawszy sobie, że gdy ciało się pali, tłuszcz się wytapia i pokrywa wszystko jakby warstwą wosku. Jego widelec śmierdział czymś zjełczałym. Ten zapach obudził coś w Skinnerze, który zerwał się od stolika i wyszedł na zewnątrz, licząc na to, że poczuje się lepiej na zimnie, ale dwie sekundy później zgął się wpół i chlusnął na chodnik pomarańczową treścią z żołądka. Ludzie obchodzili go z daleka i tylko się gapili. Wrócił do środka i zaczął wyciągać serwetki z podajnika, żeby wytrzeć twarz.

Kiedy był czysty, przetrął oczy i kupił napój w innym miejscu. Zapalił kolejnego papierosa. Ręce przestały mu się trząść, znów przetrął oczy. Czuł się już dobrze.

Poszedł do kiosku, podszedł do tylnych półek i zaczął przeglądać niewidzącym wzrokiem czasopisma, a następnie odkładać je z powrotem, jedno po drugim.

Potrzebujesz pomocy?

Nie od ciebie.

Wrócił do miejsca pracy Zou Lei i usiadł przy stoliku w strefie gastronomicznej z nieprzeniknionym wyrazem twarzy, przygarbiony, bez ruchu, jakby był upalony, tyle że pod stołem podrygiwał stopą jak nakręcony.

Kiedy przyszła zebrać tace, od razu wypatrzyła go w kłębiącym się tłumie.

Hej! Nie widziałam, że to ty! Zaskoczyłam się!

Wreszcie. Zdjął okulary, odsłaniając sińce pod oczyma. Niu-pędziu. Gdzie się podziewałaś? Zmrużył oczy jak ktoś, kto właśnie się obudził i kogo razi słońce.

Dziś czujesz lepiej, powiedziała. Wczoraj był chory, polepszyło mu się, i to fajnie, dodała. I przychodzisz do mnie. Tak się cieszę. Witaj. Witaj w mojej pracy.

Zabrała się do stolików w pobliżu, żeby móc z nim porozmawiać.

Może to nie dobra praca, rzuciła, pochylając się nad stołem i przecierając go ścierką. Skinner patrzył na jej ruchy. Tutaj sami imigranci – czy zauważył? Ale każdy musi gdzieś pracować i praca nie hańbi. Kiedy jej angielski się poprawi, będzie mogła robić coś innego. Cieszyło ją, że Skinner przyszedł, podskakiwała, zbierając tace, zgarniając z nich do śmieci i odstawiając je na wózek. Kiedy skończyła z tacami obok niego, odeszła do dalszych stolików na skraju. Pozbierała wszystko stamtąd i wróciła do niego.

Skinner zapytał, co ma w planach na dzisiaj.

Klatkę.

O, twoją klatkę?

Tak. Klatę i barki.

A, klatkę i barki.

Chodzisz na siłownię?

Tak, chodził. Wyjaśnił, że musi.

Ja też chodzę na siłownię.

Naprawdę?

Nie teraz. Będę! Będę niedługo. Na razie ćwiczę poprzez pracę. Widać? Zrobiła szybki przysiad, podniosła upuszczoną pałeczkę i wrzuciła ją do kosza.

Chciał wiedzieć, kiedy Zou Lei kończy, żeby móc po nią przyjść.

Nie będziesz zmęczony? – spytała.

Nie, nie ma mowy. To było wczoraj, a dziś jest dziś.

Nie chciała mu przeszkadzać, jeśli był zmęczony.

Nie ma problemu. Chciał się z nią spotkać.

Wytarła spuchnięte palce w ścierkę.

Praca kończy o szóstej.

Dobra, będę czekał.

W porządku.

Cieszysz się?

Jestem ekscytowana! Jeszcze tylko pięć godzin.

Wrócimy na chatę.

Było to w połowie pytanie. Spojrzał na nią, ciekaw, co odpowie. Nie powiedziała, że nie ma ochoty.

Patrzył, jak Zou przepycha wózek wzdłuż wszystkich stoisk gastronomicznych do zmywarki na zapleczu. Kiedy zniknęła, wziął okulary i przeszedł przez tłum na zewnątrz. Kiedy rozmawiali, noga przestała mu się trząść, a kaptur zsunął się z głowy, odkrywając pobrużdżoną szyję. Ale od rana zrobiło się chłodniej, naszło chmur, więc założył kaptur z powrotem i zaczął iść, żeby się rozgrzać, mijając lokale zabite dechami i zabezpieczone – do niektórych z nich się włamano i pozakładano w nich biznesy – oraz schody poniżej poziomu ulicy, na które wyrzucano śmieci. Za na wpół zasuniętą kratą zauważył bele wykładzin dywanowych.

Dotarł do baru, jednego z niewielu na Flushing, i wszedł do środka. W rogu stał automat do gier. W sąsiednim pomieszczeniu ze składanymi metalowymi krzesłami była lada, a na niej mikrofalówka. Kable elektryczne były pokryte kurzem. Przed sofami stał wielgachny telewizor starego typu z wmontowanym kolorofonem przypominającym sygnalizację świetlną i oświetlającym ekran niczym rzutnik do slajdów.

Sam bar sprowadzał się do lady, za którą była półka z alkoholami. Brakowało kranów do piwa beczkowego. Jeśli ktoś miał ochotę na piwo, mógł liczyć na butelkę z lodówki turystycznej, w której leżała również paczka hot dogów. Światła były pogaszone. Pomieszczenie pachniało płynem do czyszczenia, bo starszy facet o imieniu Johnny właśnie sprzątał w łazience. Kiedy skończył, wyszedł z mopem, zapytał barmana, co jeszcze jest do zrobienia, i usłyszał: Nic, o czym by mi było wiadomo. Starszy mężczyzna odstawił mop, a Skinner poprosił o coś do picia. Barman nalał. Skinner sączył drinka i oglądał koszykówkę w telewizji.

Barman, którego nie trzeba było namawiać do rozmowy, zaczął mu o czymś opowiadać. Któregoś wieczora musiałem podwieźć pewnego gościa. Też byłem wypity, ale on był naprawdę nawalony i nie było mowy, żeby prowadził, więc powiedziałem: No dobra. Wzięliśmy mój samochód i podrzuciłem go do domu. Była czwarta rano. Wychodzę z jego garażu, a przed nim stoi gliniarz, który właśnie zgarnął kogoś za jazdę po pijaku.

Barman przerwał czyszczenie baru płynem do mycia szyb, żeby dokończyć. Dla podkreślenia dramatyzmu sytuacji robił miny, jakby zadziwiała go własna opowieść.

To było w piątek, więc groziłby mi naprawdę długi weekend. Musiałbym czekać aż do

poniedziałku albo wtorku, żeby stanąć przed sędzią. Wydał policzki, jakby chciał powiedzieć: To ci dopiero! Skinner kiwał głową, kiedy powinien. Na zewnątrz poszarzało. Barman nie przestawał mówić. Stwierdził, że Skinner ma akcent, jakby nie był stąd. Zapytał go więc o pochodzenie i wyciągnął z niego, że jest weteranem. A kiedy to usłyszał, złapał flaszkę parrot bay i nalał mu do pełna.

Skinner czuł już pierwszego drinka i nie planował więcej pić. Dzięki, powiedział.

Choć tyle mogę zrobić, odparł barman i stał przez chwilę z rękami na blacie i pochyloną głową, aby minutą ciszy uczcić siły zbrojne. Kiedy rozmawiali, starszy mężczyzna, Johnny, siedział przy barze z puszką budweisera. Teraz odwrócił się do nich i z trudem zapytał:

Byłeś pan tam?

Skinner nie dosłyszał.

Johnny do ciebie mówi, powiedział barman.

Spojrzał na staruszkę poruszającego ustami.

Byłeś pan w Iraku?

No, potwierdził Skinner.

Johnny to marynarz, wyjaśnił barman.

Ekstra. Zdrowie.

Służyłem w marynarce. Ale to, co wy robicie... Jest niesamowite.

Skinner wlał sobie drinka do gardła i przełknął. Barman polał kolejnego.

Ja stawiam, szefie.

Dzięki za troskę, mruknął Skinner, pocierając twarz. Kolano znowu zaczęło mu podskakiwać.

To przyjaciel, zapewnił Johnny. Zaopiekuje się tobą.

Gdzie byś nie trafił na całym świecie, szukaj irlandzkiego baru, wyjaśnił barman. Zawsze ci dopomogą. A jak nie będą mogli, to wskażą kogoś, kto może. Zrobił minę, jakby w grę wchodziła wielka tajemnica.

Johnny chwiejnym krokiem poszedł do łazienki, którą przedtem wyczyścił – tym razem, żeby z niej skorzystać – a kiedy go nie było, barman znów zrobił tajemniczą minę i ściszone głosem zdradził, że Johnny powinien już od lat nie żyć.

Skinner pociągnął kolejny duży łyk i poczuł, jak alkohol pali go w żołądku, lekko mdli, rozchodzi się po ciele i robi coś z mózgiem, daje wrażenie opuszczających się rolet.

Zjeździłem cały świat, mówił barman. Brazylię, Amsterdam, Chiny.

I co tam robiłeś?

Rzynałem dziwki.

Nie zalewaj.

Wszędzie rżynałem dziwki. Nazywałem to w osiemdziesiąt zdzir dookoła świata.

Skinner nie rozumiał wszystkiego przez akcent barmana i poprosił o powtórzenie.

Aaa, osiemdziesiąt zdzir. Łapię. Zdziry. Nigdy nie wiadomo, czego się człowiek dowie od ludzi.

Wzniesli oficjalny toast.

Jeszcze jedno dla mojego kumpla, powiedział Skinner, pokazując na piwo Johnny'ego.

Uściskał chudą, piegowatą dłoń barmana. Sobie też nalej, kolego.

Nie mam nic przeciwko, zgodził się barman.

Tak minęła kolejna godzina. Barman, który miał na sobie czarny T-shirt, wyszedł z baru. Okazało się że nosi również czarne dżinsy i długie czarne skórzane buty z kwadratowymi szpiczastymi czubami. Wyjmując zapalniczkę ze skózanego futerału przy pasku, wyszedł na papierosa. Na ulicach była już noc, światła samochodów migały na autostradzie, ludzie wracali z pracy do domu, a pod barem dudniło metro. Johnny nachylał się ze swojego krzesła ku Skinnerowi. Znów rozmawiali o wojnie.

Kobiety i dzieci, powiedział staruszek z żalnością. Kobiety i dzieci. Nie potrafiłem tego zrozumieć.

Skinner rozejrzał się za barmanem.

Polej jeszcze, koleś.

Ile tylko zechcesz, stary.

Butelka nie miała dozownika, Skinner patrzył, jak przezroczysty płyn spływa po palcach nalewającego. Wypił i usiłował śledzić rozmazujący się mecz. Zawodnicy biegali tam i z powrotem jak stado jeleni w programie o myśliwych, jak cywile w wiosce. Lecieli przez boisko, po czym nagle stawali i wciągali nosem powietrze. Nigdy nie wiedzieli, kto uderzy ich piłką.

Po skończonym meczu wyświetliły się reklamy, a Skinner został sam.

Gdzie on się podział?

Kto, Johnny?

No, on.

Musiał iść do domu, stary.

Skinner spróbował wstać, ale opadł na krzesło i walnął głową o blat. Z kieszeni wysunęły mu się komórka i klucze.

Cholera, rzucił barman. Sądziłem, że wy to macie większy spust. Nie wydaje mi się, żebyś aż tyle wypił.

Przestraszył się, że właściciel baru zorientuje się, co jest grane, albo co gorsza zawoła gliny. Oglądając się przez ramię, obszedł kontuar i pomógł Skinnerowi wstać.

Trzymaj. Moje klucze.

Trzymam twoje klucze. Chodź, odprowadzę cię kawałek.

Kiedy Skinner szedł ku drzwiom, wsparty na ramieniu barmana, odezwał się jego telefon, leżący na podłodze.

Moja komórka.

Mężczyzna wrócił i podniósł telefon.

Halo? – powiedział. Chwileczkę.

Podał telefon Skinnerowi.

Kochanie? Przyłożył telefon do ucha i usłyszał jej głosik ledwo przebijający się przez hałas ulicy. Oczy mu się zamykały. Zouuuu?

Oznajmiła, że go nie widziała, czekała długo, a potem poszła do domu.

Gdzie jesteś, kochanie?

W domu, powtórzyła.

Na linii zaległa cisza.

Czekałam na ciebie. To właśnie robiłam przez cały ten czas.

Skinner wychylił podwójnego drinka i wykonał swój ironiczny taniec. Pił od południa, kiedy to udał się metrem do centrum, żeby odwiedzić bary nieopodal Port Authority. Potem nie mógł już tańczyć. Była noc i sznur samochodów wjeżdżał aleją w ciemność między budynkami, rozjaśniany purpurowym rozbłyskiem.

Poszedł do klubu ze striptizem, którego reklamę widział na billboardzie; nie pamiętał, jak dotarł tam pośród teatrów i barów, z odbiciem tęczy neonów w oczach. Ochroniarz go wpuścił, a w świetle, pomarańczowym świetle, kelnerka, która odebrała zamówienie na obowiązkowego drinka, nie zwróciła jego najmniejszej uwagi. Musnęła jego ramię. Skinner podskoczył. Zmarszczył brwi i wbił w nią wzrok pełen potępienia. Przy sąsiednim stoliku zobaczył dziewczynę w ubraniu przypominającym habit, krzyczącą nad bezgłowymi zwłokami matki.

Coś nie tak? – zapytała kelnerka. Myślałam, że chcesz się zabawić.

Zgasły światła, na scenę wyszła tancerka, a Skinner opuścił klub. Jego lekarstwa nie należało łączyć z alkoholem. Chodź, wezmę cię na plecy, powiedział do faceta idącego z dwoma znajomymi przez środek Times Square.

Jeb się na ryj, cwelu.

Nie, nie tak. W ten sposób. Wyciągnął ramiona. Jak strażak. No, chodź.

Ktoś go popchnął, Skinner upadł na ulicę i prawie potrafiła go taksówka. Wstał z powrotem i wydawało się, że nie słyszy śmiechów wokół siebie. Działo się to przed innym barem. Obok stała furgonetka Con Ed z włączonym kompresorem.

Wreszcie jakiś kierowca ciężarówki dał się wziąć na plecy Skinnerowi. Ten pobiegł z nim do następnej przecznicy, zrobił przysiad i przybiegł z powrotem, a potem jeszcze trochę tak z nim szedł. Oddychał coraz szybciej w ciemności. Kierowca kazał się odstawić, ale Skinner nie chciał go puścić. Mężczyzna przesunął się na barkach Skinnera i dzięki swojej znacznej wadze zmusił go do wykonania polecenia.

Ważę sto osiem kilo. Dajesz radę.

Skinner próbował znów go podnieść, ale kierowca nie pozwolił. Odepchnął Skinnera. Daj spokój. Skinner podjął kolejną próbę. Wywiązała się szamotanina. Silna bestia, powtarzał kierowca. Mały skurwysyn. Nie chcę go zabić. Walczący zostali rozdzieleni. Skinner się oddalił, a tamci o nim zapomnieli. Pozostali kierowcy ciężarówek zaczęli się nosić na plecach, jakby to była taka zabawa, dźwigali się i opuszczali. Ile ważysz? Ile skrzydełek zjadasz?

Skinner wrócił do klubu ze striptizem. Przed drzwiami bramkarz polecił: Zdejmij kaptur. Kaptur w dół. Musisz być widoczny w kamerze. Nie chcieli go wpuścić. Krążył tam i z powrotem przed wejściem do klubu, czarny i zakapturzony, a ochrona nie zwracała na niego uwagi.

W internecie zaczynały krążyć historie o powracających żołnierzach – wywiady z ich żonami i tak dalej – a Skinner oglądał te materiały, podobnie jak filmiki wrzucane przez rozgoryczonych towarzyszy broni, którzy dawali świadectwo szaleństwa i potworności tego, w czym wzięli udział.

Żołnierz Gwardii Narodowej, który robił kiedyś zakupy dla Home Depot, trafił do Iraku jako specjalista od logistyki. Jego konwój wjechał na bombę przydrożną. Została mu po tym pamiątka – ubytek czaszki. Kiedy obracał głowę na boki, trudno było uwierzyć, że wciąż żyje. Stracił uszy i nos. W wywiadzie wspominał trudne chwile po ósmej operacji.

Miałem myśli samobójcze, bo myślałam, że córka będzie się mnie bała.

Starając się nie rozplakać przed kamerą, podniósł do oczu dłonie – a raczej różowe kikuty nadgarstków i jakiś wyrostek przypominający palec.

Czasem osoba wypowiadająca się do kamery miała na sobie więzienny kombinezon. Skinner oglądał film za filmem. Usłyszał:

Analiza. Czujność. Weryfikacja. Gdziekolwiek wychodzę, sprawdzam, czy nie ma tam broni.

Zdjęcie samobójcy po napisaniu listu pożegnального.

Brak równowagi. Drażliwość. Kłopoty ze snem. Dwie godziny spania, dwie doby na nogach. Trzy godziny spania – i tak dalej.

W Iraku zażywałem nielegalne w USA środki pobudzające i wracając do domu, wziąłem je ze sobą. Nie było sensownego okresu przejściowego. Pomógł mi alkohol. Myślałem, że to mój jedyny przyjaciel. Miałem problemy zdrowotne. Rzuciłem kluczami w ścianę. Kopałem w szybę. Popychałem moją dziewczynę.

Wyzwalacze reakcji: trzaśnięcie drzwi, czyjś wrzask. Drętwienie ze strachu. Alienacja. Wina. Nie mogę się pozbyć widoku tego dziecka ze swojej głowy.

Leki przeciwpsychotyczne, nasenne, uspokajające.

M16 wytatuowane na całych ramionach. Zabiłem dziecko. Zabiłem żonę. Kluby nocne. Gwałty w bazie. Mówił, że jestem miłym facetem z bronią. Wsadził kierowcę taksówki do bagażnika i spalił żywcem w Karolinie Północnej.

Nikt nie wie, przez co przechodzą rodziny żołnierzy. Wojskowa psycholożka powiedziała mojemu mężowi, że nie umie go wyleczyć z koszmarów sennych. Więc zadzwoniłam do jego dowódcy i usłyszałam, że wojsko nie jest od cackania się z maminsynkami. Wtedy już mnie bił i raz zagroził mi śmiercią.

Pourazowe uszkodzenie mózgu. Mimo wszystko wysłali go na misję. Wiem, że już go nie odzyskam. Nasza córka mówi: To nie jest mój tata.

Powiedziałbym: Beznadziejnie. Zagubiony, przybity. Odcięte głowy. Potwór. Śmiech z niewyobrażalnej przemocy. Oderwana noga.

Popchnąłem ją. Oskoczyła. Upadła pod prysznicem. Kiedy wstała, zaczęła krzyczeć. Twarz miała całą we włosach. Skojarzyło mi się to z tym, co widziałem: krzyk ze strachu przed atakiem, i zareagowałem. Zatkąłem jej usta ręką. To matka moich dzieci (głos mu się łamie). Kiedy ją puściłem, nie ruszała się (zaczyna płakać).

Chciałem ją ocucić, ale już nie żyła.

Wyszedł z baru i próbował przypomnieć sobie, gdzie się znajduje. Prawe drzwi czarnego sedana zaparkowanego na krawężniku otworzyły się i ktoś do niego zawołał.

Ej, koleś.

Skinner zerknął na samochód.

Chcemy cię o coś zapytać.

O co?

Podejdź na chwilę.

Czemu nie możecie zapytać mnie stamtąd?

Na przednim siedzeniu poruszył się cień, a inny głos spytał: Kiedy wyszedłeś, bracie?

O, cześć. Tego, całkiem niedawno.

Skinner przytelepał się do samochodu.

Pasażer miał na sobie kurtkę pilotkę. Kierowca w okularach i czapce Jetsów wychylił się ponad nim. Obaj nosili broń.

Byłeś na misji?

No, misji. Na misji.

W czym? Czasem nie w wywiadzie?

Musiałbym być mądrzejszy. Piechota.

Mój człowiek, stwierdził kierowca. Wystawił pięść przez drzwi, a Skinner przybił żółwika.

Hooah, bracie.

Hooah, odpowiedział Skinner. Aż do końca.

Zobaczyłem cię i pomyślałem: ej, to swój koleś.

Ta jest, potwierdził Skinner.

Glina w pilotce dodał: wyglądałeś na zagubionego.

Nie jestem.

Jesteś stąd?

Nie, wyszedłem prosto z bazy.

Masz gdzie się zatrzymać?

O, tak. Jak cholera.

Bo wielu koleś – trudny temat. Wiesz, popełniają błędy po wyjściu z woja.

Aha.

Mają umiejętności bojowe, ale nie mają cywilnych.

Skinner pokiwał opuszczoną głową, po czym zakrył oczy.

Obaj mężczyźni w samochodzie zamilkli.

Skinner z trudem się kontrolował. Chwila, powiedział. Poszedł za samochód, charknął i splunął na chodnik, wytarł oczy i wrócił.

Emocje opadły. Pojebane, powiedział i znowu splunął.

Wsiadaj i mów.

Wszystko okej.

Masz rodzinę?

No. W sensie: mam. Ale jest okej. Znaczący, nikt się nie musi o mnie martwić.

Musisz wziąć się w garść, jasne?

Wiem.

Jak będzie problem, to go rozwiąż, tak?

Wiem.

Masz do kogo zadzwonić?

W sensie: do urzędu do spraw weteranów?

Do każdego, kto może pomóc ci w kłopotach – do weteranów, rodziny, kumpla z jednostki, w ten deseń. Do przyjaciela itepe. Zamiast na przykład chlać przez całą dobę.

Kierowca przyglądał mu się, pochylony w jego stronę z wyciągniętą szyją. Wargi miał zaciśnięte w cienką linię, a zaparowane okulary odbijały światło.

Okej, odpowiedział Skinner. Przyjąłem. Doceniam. Serio. Daję radę.

Poradzi sobie, podsumował pasażer. Jest w porządku.

Kierowca ściągnął czapkę Jetsów. Do jego łysiejącej głowy przyczepiło się kilka wilgotnych pasemek włosów, a kilka wyszło przy zdejmowaniu bejsbolówki. Kiwnął głową.

Skinner spojrzał na Roosevelt Avenue.

To chyba mój autobus.

Jego autobus. Złap to, kolego, zachęcił pasażer.

Kierowca ponownie wystawił pięść za drzwi, a Skinner raz jeszcze przybił.

Trzymaj się, brachu.

Hooah, odpowiedział Skinner, okrążył sedana i przeszedł przez ulicę ku autobusom stojącym w ciemności na jałowym biegu.

Poszedł na górę, żeby zapłacić za wynajem, i zastał mieszkanie pełne ludzi pijących piwo i wcinających kanapki z pizzerii Fratelli.

Pani Murphy gadała z kilkoma różnymi osobami naraz. Pstryknęła zapalniczką, odchyliła się i celowała dymem w szafki, z dala od innych osób. Miała na sobie tę samą aksamitną podomkę, co przedtem, obok niej na stole stał kubek zimnej kawy, jak gdyby właśnie wyszła ze śniadania. Jednym z jej rozmówców był duży mężczyzna o rudych włosach i barytonie sportowca, ubrany w koszulkę Jetsów w rozmiarze XXL.

Wchodź, wchodź, zaprosiła Skinnera, który właśnie się pojawił. Dał jej pieniądze, a ona postawiła na nich kubek. Weź sobie piwo.

To jest Brad z dołu. Lokator.

Jestem John, przedstawił się duży facet. Pasierb.

Siema, powiedział Skinner i uściśnął jego dłoń.

W mieszkaniu znajdowało się z dziesięcioro innych ludzi: kobiety w dresach i kolczykach w kształcie kół, młodzi mężczyźni w bluzach i dżinsach umazanych czarnym pyłem od pracy z żelazem na budowie, o twarzach poczerwieniałych z zimna. Wszyscy mówili z silnym akcentem nowojorskim, który nadawał im włoskie brzmienie. Nie każdy od razu się witał. Mężczyźni nie rozmawiali z nieznajomymi. Nie było jasne, jaki cel przyświeca temu zgromadzeniu. Duży facet, pasierb pani Murphy, dorastał z dala od niej. Był synem Patricka z inną kobietą i grał w NFL.

Skinner odkapslował micheloba, złapał szyjkę butelki palcem wskazującym, podniósł do ust i oparł o dolną wargę. Na twarzy miał kilkuniedniowy zarost i był boso, w samych skarpetach. Piętami przydeptywał sobie dżinsy, z których wystawały bokserki. Pół godziny wcześniej wziął sertralinę, która stworzyła dystans między nim a światem. Jakby z oddali dobiegł go baryton futbolisty.

Mówił o oponach. Zostawił je kiedyś w ogródku za domem. Przyszedł do nich hydraulik, żeby coś im naprawić. Od słowa do słowa i Pat oddał mu te opony, nie mając pojęcia, ile są warte.

Tak, wiem, widziałam je, skomentowała pani Murphy. Leżały przez sześć miesięcy. Całe w błocie.

Nówki, sześć stów za sztukę.

Nie były wcale nowe.

Nawet jeśli były stare, to mówimy o jakimś tysiącu dziewięćset-dwóch tysiącach w oponach.

Dobrze, niech ci będzie. No i co z tym zrobiłeś?

Zadzwoiłem do typa. Zostawiłem mu wiadomość na poczcie. W końcu powiedział, że nie ma tych opon.

No, nie wątpię. Pewnie sprzedał.

Niewiele mi to pomogło.

Wiem, że nie pomogło. Przewróciła oczyma. Mi też nie pomogło.

Wiem.

Gdybym wiedziała, że Patrick to robi, zanim to zrobił, tobym była wróżką. Nie wiedziałam, co zamierza.

Wiem.

No myślę.

Tak bywa. Życie toczy się dalej, powiedział futbolista.

Miejmy nadzieję.

A co z tamtą sprawą?

To się dopiero okaże. Póki co była mowa o kwietniu. Ale ten system jest do niczego.

Damy radę.

No, cóż, zobaczymy.

Przy stole kuchennym, obok pani Murphy, siedziała kobieta z czarnymi włosami. Paliła papierosa, ze stopami na krześle i kolanami pod brodą. Co jakiś czas obrzucała kogoś taksującym spojrzeniem i wracała do wpatrywania się w popielniczkę, którą dzieliła z panią Murphy. Miała wydatne kości policzkowe, a jej skóra była żółtawa i szorstka. Na imię było jej Vicky.

Zobaczymy, powtórzyła.

Po czym zwróciła się do pani Murphy:

Z którym to kolesiem mieliście problem?

Nazywał się Rick.

Rick z Brooklynu?

Z tutejszego baru.

Tak, to brooklyński Rick. To ten sam.

Skoro tak twierdzisz.

Strasznie chudy? Zero tyłka?

To chyba on, potwierdziła. Znasz go?

Vicky kiwnęła głową, wypuściła w górę dym z płuc.

O tak, odparła. To złodziej.

Okej. A ja mądra go wpuściłam do domu. Ale przy mnie chodził jak w zegarku.

Zaliczył niezłą odsiadkę.

Każdy coś zaliczył. No weź. Jeśli miałabym brać to pod uwagę, to na tej imprezie nie byłoby nikogo. Rozumiesz, co chcę przez to powiedzieć, Vicky? Bądźmy realistami. Ten facet ma sześćdziesiąt lat i siwe włosy. A tamten? Pani Murphy zniżyła głos i zerknęła na pasierba po drugiej stronie kuchni, rozmawiającego z dwiema niskimi dziewczynami. Widzisz, jaki on wielki?

Jasne, jasne.

Gdybym była młoda, niezależnie, czy on złodziej, czy nie złodziej, zareagowałabym w porę.

Wiem, o co biega.

Vicky, to dłuższa historia. Nie na teraz.

Dobra, zostawmy.

Która jest?

Pani Murphy zerknęła na komórkę, która leżała na stole obok kubka z kawą.

Chyba już niedługo.

Skinner dopił piwo i odłożył butelkę do zlewu. Przewróciła się, kiedy ją odstawiał. Powiedział „oj” i celowo ustawił ją znów prosto, żeby zobaczyć, czy ponownie się przewróci. Kobieta imieniem Vicky wstała i oparła stopę na siedzeniu. Muszę coś przekąsić, oświadczyła, obeszła stół, zbliżyła się do blatu i przełożyła sobie pół kanapki, z której wypadła sałata, z folii aluminiowej na plastikowy talerzyk.

Hej. Jesteś kumplem Grega?

Kogo?

Tego, co mieszkał tu przed tobą. Myślałam, że się znacie.

Nie. Nie znam go. Nie jestem stąd.

A co, studia?

Nie.

LaGuardia? Ona chce tam pójść.

Pokazała na Erin, która stała z jedną stopą na drugiej, oparta ciężkim biodrem o blat. Była ubrana w za dużą koszulę, która spływała w dół, zakrywając najszerszą część dziewczyny. Zdjęła górę z kanapki i wybierała ser. Głowę trzymała opuszczoną, a jej twarz wyrażała opanowanie. Ignorowała Skinnera, odkąd tylko przyszedł.

Nie, nie jestem na studiach.

Więc przyjechałeś tu do pracy?

Nie, tak jakby się rozglądam.

Fajnie. Poznajesz świat. Więc nikogo nie znasz. Myślisz sobie: kim oni wszyscy są?

Znam ją i jej córkę.

Poznałeś Pata, ojca?

Nie wiem.

Wiedziałbyś. Po jego uścisku dłoni wiedziałbyś. Jakby ci wyrwał rękę.

Czy on ma, ten no, irlandzki akcent?

Patrick Murphy? No.

Chyba słyszałem go przez podłogę.

Przez podłogę? Brzmi możliwie. To był on.

Ponownie spojrział na Erin, szukając na jej twarzy siniaków, podbitych oczu albo opuchniętych warg.

Skąd jesteś?

Z Pittsburgha.

Jakżeby inaczej. Poznałam po wymowie. Nie brzmisz, jakbyś był z miasta.

Jestem stamtąd, gdzie mieszkają wieśniaki.

Ktoś, kto usłyszał ich rozmowę, wspomniał, że John Gambia z sąsiedztwa po powrocie ze szkolenia wojskowego mówi jak burak.

Daj spokój. Zajmij się własną słomą w butach, poradziła Vicky.

Skinner wziął kolejnego micheloba. Przy otwieraniu kapsel upadł i odbił się od linoleum. Kiedy Skinner schylił się, by go podnieść, mignęła gwiazdka na jego szyi.

Vicky pokazała na Johna, mówiąc: Wiesz, ten koleś jest zawodnikiem Jetsów.

Ekstra. Kibicuję Steelersom.

Ho, ho, skomentował John.

Bez urazy.

Skinner chciał się z nim stuknąć piwem, ale zawodnik nie miał butelki. Podniósł swoją wielką pięść, a Skinner przytknął do niej micheloba.

Każdy chciał porozmawiać z zawodowym sportowcem, który nie był wprawdzie zbyt gadatliwy, ale dość przystępny i rozmawiał ze wszystkimi. Ogólnie z nikim nie spędzał za dużo czasu. Skinner zatrzymał go nieco dłużej, żeby pogadać o sile i ćwiczeniach. Grałem w bejsbol w liceum, powiedział. John był uprzejmy. Przyznał, że ma za sobą naprawdę wyczerpujący trening. Dwa tygodnie przed rozpoczęciem sezonu były trudne. Zaczął się odsuwać. Skinner na to: Poczekaj, koleś.

Przysiady, ławeczka, podciągnięcia, sprint.

Okej, odparł John.

A co z zarzutem sztangi na klatkę i pompkami na poręczach?

W porządku.

Pompki na poręczach to takie przysiady dla górnej części ciała.

Aha.

Burpee, hit-it, suicides? Sześć razy w tygodniu, dwa razy dziennie.

Obciążający plan treningowy. Po co robisz to wszystko?

Skinner tylko pokręcił głową.

Nie wiem.

Ile dotąd miałeś takich programów, kolego?

Skinnerowi zajęło trochę czasu, nim odpowiedział. Ktoś inny – starsza kobieta z włosami związanymi frotką – podeszła, przywitała się i uściśniła Johna. Ledwo mówiła, połowa jej słów była szeptem.

To straszne, jak wygląd człowieka się zmienia z dnia na dzień!

Poprawiła frotkę, żeby utrzymać jasnoblonde włosy w wysoko uniesionym ogonie. Sportowiec obrócił się, żeby z nią porozmawiać. W ten sposób stanął plecami do Skinnera.

Jeden.

Zawodnik nie zareagował.

Miałem jeden, powiedział Skinner głośniej. Dziewiętnastoletni budowlaniec ze srebrnym kolczykiem i w intensywnie pomarańczowej włóczkowej czapce zaczął mu się przyglądać.

Ogólnie rozmowa wróciła do Johna Gambii i tego, co robi w Iraku. Panowała zgoda co do tego, że idzie mu bardzo dobrze.

W tym momencie zadzwonił telefon przy kubku pani Murphy. Odegrał chórek z piosenki Elvisa: *I can't go on, because I love you too much, baby*. To był ważny telefon. Wszyscy ucichli. To on, powiedziała. Chce z tobą rozmawiać. Podała aparat Vicky, a ona zabrała go i wyszła na korytarz. Po jej wyjściu podjęto konwersacje. Powieki Skinnera robiły się ciężkie. Odstawił pustą butelkę na blat i potarł twarz. Słuchał rozmów o ludziach, których nie znał. Po kilku minutach Vicky wróciła i oddała telefon pani Murphy. Teraz proszę cię. Odwróciła się od innych na tyle, na ile pozwalały jej rozmiary, ale każdy, kto tylko chciał, mógł usłyszeć jej część dialogu. O co chodzi?... Co się dzieje?... To ten sam strażnik?... Możesz zrobić to na innej zmianie?... Czy ty siebie słyszysz?... Za dużo sobie pozwalasz... Weź na wstrzymanie... Dobrze. Weź na wstrzymanie. Niedługo się zobaczymy. Spokojnie, dobrze? W porządku. Do widzenia.

Rozmowa dobiegła końca. Odłożyła telefon na stół. Sięgnęła po slimy.

Jak sobie radzi? – spytał John.

Wkurza się ograniczeniem rozmów telefonicznych. Miał tylko tyle czasu. Ale u niego w porządku.

W porządku.

Wciąż ma problemy z tym samym strażnikiem? – zapytała ją Erin.

Pani Murphy zgromiła ją wzrokiem.

Vicky, która kulila się na kuchennym krześle jak czarny kot, powiedziała: No – i zgasiła papierosa w popielniczce.

O kim mowa? – spytał Skinner z przeciwległego końca pokoju.

W mieszkaniu nagle zapadła cisza. Wszyscy spojrzeli na niego, a następnie na panią Murphy, ciekawi, co odpowie. Z tyłu kuchni Erin wymamrotała coś narastającym, śpiewnym głosem, którego nie trzeba było słyszeć, żeby zrozumieć. Budowlaniec ze srebrnym kolczykiem wymienił spojrzenia z kolegami.

O moim synu, odparła pani Murphy.

A co, jest za granicą? – spytał Skinner. Służy w komandosach?

Z kimś go mylisz.

Można tak powiedzieć, powiedział ktoś inny. Nie do końca. Ha, ha. Nie Jimmy, nie. Nie jest w wojsku. To musiałby być ktoś inny. Wyobrażasz sobie Jimmy'ego, jak wykonuje rozkazy? Lepiej to zostawmy.

Ale Skinner czuł, jakby coś przegapił. Pytam tylko, czy jest w wojsku?

Nie jest w wojsku. Tak to ujmijmy.

Zjechał sprawę.

To gliny zjechały sprawę, jak by mnie ktoś pytał, stwierdziła Vicky i pokiwała głową nad papierosem.

Jest tam, gdzie się trafia, jak się zjebie sprawę, powiedział John ze śmiechem. Poprzestańmy na tym.

Dziękuję, powiedziała pani Murphy. I proszę się nie wyrażać w mojej kuchni. Zapanowało ogólne rozbawienie. A skoro tak bardzo chcesz wiedzieć, to tak, siedzi, na północy stanu. Wychodzi w kwietniu.

Wtedy będzie kolejna impreza, obecność obowiązkowa.

Coś się pomyśli. Bądź tak dobry – następnym razem weź guinnessa i możesz przyjść. Jeszcze większy śmiech. Zapaliła papierosa i rozmawiała z przyjaciółką ściszym głosem. Najwyraźniej incydent poszedł w niepamięć. Erin zobaczyła, co zostało, i zapytała matkę, czy jadła. Skinnerowi nikt

nie proponował niczego do jedzenia. Wypił trzy piwa. Pani Murphy poprosiła, żeby córka coś jej przyniosła. Nie całe. Odkrój mi kawałek.

Skinner był tak otepiały od leków, że oczy mu się kleiły.

Chcesz zobaczyć, jak ćwiczę? – spytał sportowca. Powiesz mi, czy dobrze.

W odpowiedzi usłyszał: Dobrze, kozaku. Innym razem.

Pociągnął z butelki wiśniowego baccardi i włączył na laptopie egzekucję. Ciało jakiegoś mężczyzny napięło się, kiedy zabójca ucinał mu głowę piłą. Klęczało na nim dwóch mężczyzn. Dźwięk był kiepski, Skinner podkręcił głośnik. Słyszał było ryk mordercy. Czas mijał. Film trwał. W ciągu ostatnich trzydziestu sekund z ofiary uszło życie. Oddzielili głowę od ciała i podnieśli ją do góry.

Skinner wziął kolejny łyk napoju. Słabość dźwięku wynikała z tego, że jego laptop był zapaszczone. A jego właściciel miał czterdziestoprocentowy ubytek słuchu po silniejszej stronie ciała; tej, po której trzymał broń. Bitewny kurz wnikał przez płuca i rany.

Oglądał detonacje amatorskich bomb – jak wylatywały w powietrze samochody, ludzie, drogi, po czym brązowa chmura wznosiła się i rozprzestrzeniała, a pojazd leżał na boku. Patrzył na facetów, którzy obrywali od snajpera i padali na ziemię. Patrzył na rannego strzelca leżącego na piachu. Szeroki pas ziemi był czerwony od krwi. Strzelec uniósł swój AK-47 i śmiertelnie oberwał. Iskry przeszły pod różnymi kątami przez jego ciało, klatkę piersiową, ramiona. Znieruchomiał. Skinner patrzył, jak jego koledzy strzelają z dachu; oglądał dziesięciominutowy fragment, w którym trzech wypuszcza z M60 serie pocisków, rozmawiają, celują, obracają M60, a łuski wypadają jak wyschnięte odchody przy akompaniamencie death metalu.

Słuchał cock rocka, thrash metalu, wielkich ballad rockowych, muzyki *country and western* – te kawałki puszczała sobie podczas walki. Rozkręcał na cały regulator, ale wciąż miał wrażenie, że niczego nie słyszy. Nie żeby był głuchy – rzecz w tym, że taki hałas to było nic w porównaniu z odgłosami walki.

W głębi duszy wiedział, że ona jest kimś szczególnym. Wyobrażał ją sobie leżącą na łóżku, z wiatrówką zwiniętą między nogami, wpełzającą na jej nagie biodro jak zielony wąż. Jej oczy feniksa wpatrzony w niego, wojskowa fantazja. Była tym, czego pragnął, kiedy był w Iraku. Kiedy koniec wydawał się bliski, cały jego ból sprowadzał się do myśli o tym, że nigdy nie miał u swego boku kochającej kobiety. Teraz, siedząc na linoleum z pustą butelką u stóp, zbadał samego siebie i stwierdził, że ból zniknął. Świat wydawał mu się irytujący i ponury, a ona była jak każda inna – miała swoje funkcje do spełnienia. Widział już, jak podczas eksplozji materiałów wybuchowych te funkcje zostają przenicowane niczym rękawiczka, wiedział, co ludzie mają w środku – i że nic tam nie ma. Było to wstrętne. Nudne. Obrzydliwe – i tyle.

Przeraziła go utrata tego uczucia. Kolejna rzecz, która stała mu się obojętna.

W młodości zawsze chciałem się kiedyś zakochać. Myśl, że to już przeszłość, że już tego nie czuję, zdzieliła mnie jak obuchem. Odebrała mi nadzieję.

Włączyła bęben, ustawiła temperaturę, zmyła podłogę w kuchni, pstryknęła włącznikiem światła nad ladą. Zjawiły się pozostałe kobiety, zaczął się hałas, więc poszła do korytarza na zapleczu i opróżniła wczorajsze wiadro z brudną wodą.

Przed południem zerknęła na telefon. Brak wiadomości. Pchała swój wózek korytarzem, przyspieszając przed drzwiami do kuchni z wnętrznościami na blatach, zdechłym gryzoniem pod bębenem i masą klientów po drugiej stronie, z murem na końcu. Chudy staruszek w białym fartuchu umazanym żółtym tłuszczem wychylił się na korytarz i upuścił jej pod nogi kupę pustych kartonów, a ona prawie go potrafiła.

Oplukiwała tace strumieniem wody i rzucała je na pas transmisyjny, skąd trafiały do zmywarki, skrzyni z nierdzewnego aluminium o powierzchni sześćdziesięciu centymetrów, połączonej rurą z przyczepionym do ściany zasobnikiem na mydło. Opuściła dźwignię i maszyna ruszyła.

Na sali stała nad dziećmi w parkach North Face. Każde z nich miało trwałą i okulary przeciwsłoneczne; bawiły się jedzeniem, a Zou czekała na ich tace. Chłopak z Hongkongu mówił o imigrantach z Trzeciego Świata i śmiał się, ha, ha, ha.

Daj ludziom jeść, powiedział do Zou.

Błąd, stwierdziła i zabrała mu tacę.

Szedł za młodym człowiekiem w kurtce Frontrunners i szerokich spodniach z wystającymi bokserkami, który zaprowadził go za róg i powiedział: To będzie dwadzieścia. Co tam masz? Wymienili się tym, co trzymali w rękach. Potem wszedł do kiosku przy Roosevelt i kupił paczkę cygar Dutch Masters. Pakistańczyk ze znużoną i wyniosłą miną położył je na ladzie z obrzydzeniem, jakby klient był niedotykalny. Skinner zebrał resztę i wyszedł bez słowa.

Pod autostradą zrobił sobie postój, żeby wyjąć saszetkę i otworzyć jedno z cygar. Usunął tytoń i zdmuchnął go, jego drobiny spadły na karton czyjegoś obozowiska, gdzie w kolorowych reklamówkach rdzewiały puszki po spreju.

Skinner wspiął się na schody i spalił blunta sam, przechadzając się po kładce nad drogą, zupełnie na widoku. W połowie mostka stanął i złapał rękami kratę. Pod nim przepływały samochody. Patrząc między schodami pożarowymi we właściwą stronę, mógł dostrzec miejsce, gdzie była teraz Zou Lei. On mieszkał pięć kilosów na wschód. Jeszcze dalej, za majaczącym w oddali zadymionym Manhattanem, mieściła się jego jednostka. Tam żołnierze wracali do życia w cywilu, siedząc w szeregu na wózkach inwalidzkich w wieloosobowych salach i odbywając zmodyfikowany trening personalny.

Odwrócił twarz w przeciwną stronę – gdzieś tam, za nim, gdyby iść wystarczająco długo, toczyła się wojna.

A gdybyśmy byli teraz w Iraku, pomyślał, walilibyśmy do wszystkich tych samochodów. Spojrzał na przesuwały się łańcuch aut. Ci ludzie nie mają pojęcia. Ściągnął bucha i przykucnął, przytrzymując dym w płucach. Zjarałem się jak chuj. Gdybym tam był, w całej tej kuwecie, miałbym teraz komu podać jointa.

Pod wpływem trawy roił mu się piasek pokrywający cały kontynent. Połamane drzewa palmowe, budynki z gliny, budy z blachy falistej, popsute samochody oraz kopuły i minarety meczetów. Słyszał głośniki zamontowane przez mężczyznę, pasterza z brakującymi palcami, ważącego dziesięć kilo mniej i wyglądającego na dwadzieścia lat starszego niż on, choć byli w tym samym wieku. Usłyszał zakłócenia i szofar, i jednoczesne głosy ludzi w luźnych szatach koloru nieba, klęczących razem, wstających razem, śpiewających razem. Widział ich jakby przez lornetkę wśród zapadającego arabskiego zmierzchu. Dobiegł go swąd spalonych słońcem ludzkich odchodów i zobaczył pociemniały błękit nieba oraz swoich kolegów, ich uzbrojenie, białka oczu i rzadkie uśmiechy. Poczł smród płonących opon, haszyszu, smaru do broni, zwierząt, węgla drzewnego, kurczaków, ryżu i tabasco. Ciężar sprzętu. Obolałe ciało. Wszystko to, na co narzekali. I coś większego od nich – samą wojnę. Ją jedyną. Wychodząc z bazy, nigdy nie wiedziałeś, czy zginiesz, czy nie.

Kiedy robił brzuszki na podłodze w swoim pokoju, brud przylepiał mu się do pleców. Czuł, jak rozkłada się na tkance bliznowatej. Założył dzinsy, buty, bluzę z kapturem i kurtkę moro. Żadnego prania, żadnych zakupów. Autobus, następnie metro, bez lektury czy nawet patrzenia na cokolwiek. Tylko podskakiwanie pociągu na zakręcie przy wjeździe w tunel. Szary dzień, jakby wszystko pokryła sadza – tory, ślady stóp na podłodze wagonu. Ozdobne niebieskie kafelki z napisem „Hunter’s Point” przy podziemnym peronie. Jak antyczna ceramika, którą widział przestreloną na wylot, przyskającą odłamkami spod butów. Krew na kafelkach. Porozwalane i rozprute mury, powykręcane pręty zbrojeniowe. Kiedy ściany z pustaków były przedziurawione albo całkiem rozwalone, ich przekroje wyglądały jak rybie skrzela. Po muldach dziwnie się chodziło przez wrażenie, że pod nimi znajduje się coś, co nie jest piaskiem. Z wierzchu był utleniony na czarno, a kiedy się go rozkopało, ukazywał żółte wnętrza, jakby rozciętego narządu. Ślady pozostawiały w piasku takie żółte rany. Coś zaśmierdziało. Gówno, śmieci albo trupy przykryte piaskiem. O tym właśnie myślał.

Pojechał na miasto i spędził tam czas zupełnie beczynnie. Wrócił do domu, rzucił się na wiatrówkę i tylko tak leżał przy lampce na stoliku nocnym ze sklejki, na którym piętrzyły się czasopisma porno; ani myślał na nie zerknąć. Słuchawki i komórka wały się gdzieś wśród rzeczy na podłodze, poplątanych dżinsów, skarpet i kurtki. Głowę miał opartą na pistolecie zawiniętym w ręcznik. Usłyszał z góry dudnienie kroków lub przesuwanych mebli. Okno było czarnym kwadratem. Jaki mamy dzień, miesiąc, którą w nocy? Ożywiony zdawał się jedynie bojler w szafie. Nie było niczego do jedzenia ani picia.

Wreszcie usiadł prosto. Następnie dźwignął się i wstał. Przyjrzał się bałaganowi na podłodze w poszukiwaniu ostatniej racji żywnościowej. Poddał się i pomacał kieszenie kurtki. W palcach zaszeleściła mu jakaś folia. Wyciągnął ją i znalazł tylko opakowanie z głową Indianina i substancję osuszającą. Malutki kawałek suszonej wołowiny. Skinner zgniótł opakowanie i cisnął je na podłogę. Kurwa mać. W tym pokoju inspekcja mu nie groziła. Nie było sensu sprawdzać w lodówce, ale i tak poszedł do niej, szarpnął drzwi – była to staroświecka lodówka z klamką – a zimno zasyczało na niego jak arabskie głosy oferujące haszysz i wyzywające go od psów.

Wrócił do sypialni i tym razem zauważył gazety porno i fiołki z lekarstwami. Wytrząsnął na dłoń tabletki – niebieski romb, biały sześciokąt, różowy owal. Wrzucił je do ust i poszedł do kuchni z żuchwą wysuniętą jak dziób u ptaka, żeby je utrzymać, pochylił się i napił wody z kranu.

Gdzie jest telefon? Naładowanie go wymagało wysiłku, zwłaszcza w sytuacji, gdy miał ochotę jedynie położyć się na wiatrówce. Ale jeśli nie zrobisz A, B nigdy się nie wydarzy, nastąpi za to C – umrzesz. Więc zmusił się do podłączenia komórki. Walnął się na brzuch ze stopami zwisającymi z łóżka tuż nad ziemią. Wiatrówka lepiła mu się do skóry tam, gdzie zachowała jego kształt; na pustyni organizm tracił dużo wody i jego cień wdrukowywał się w nylon. Lek sprawił, że głowa mu ciążyła. Świat widziany z lotu Brada sprowadzał się do zielonej płachty wiatrówki i jego ręki na niej – druga uwięziona była pod nim – żółtego światła lampy i stolika z widnokregiem słoiczków na leki. W odbiciu na lśniącej pokrywce dostrzegł zarys pięknej damskiej nogi w szpilce.

Wojsko dało mu leki przeciwlękowe, przeciwpowrotkowe i coś na sen. Na coś być może pomagały – ale na pewno nie na koszmary.

Spał, ale jego głowa pracowała jak maszyna. Pociski mózdzierzowe spadały z prędkością trzystu metrów na sekundę. Od nowa przeżywał wybuchy – z otwartymi ustami i czerwoną poświatą w oczach, wywołaną czynnikami neurologicznymi, nie czysto fizycznymi, zatkanymi uszami i dusznością. Był zagubiony, ale coś jednak wiedział.

Podskoczył na łóżku i zaczął walczyć.

Czuł ból w rękach, chciał coś z tym zrobić – ale nie miał pojęcia co, był zdezorientowany. Wiedział, że to ważniejsze niż cokolwiek innego, i wiedział, że poniesie porażkę. Serce przepełniały mu miłość i trwoga. Wbijał palce w piasek. Usłyszał swój głos wykrzykujący imię Jake'a.

Pomacał go, jego pierś była jak płótno naciągnięte na stal, a głowa odkryta. Nie mógł znaleźć jego twarzy – tylko piach. Musiał go podnieść. Chwycił za uprząż, wstał na równe nogi i próbował podciągnąć kolegę.

Każdy z nich dźwigał jakieś czterdzieści kilogramów sprzętu, a Skinner był tak zmęczony, że ledwo mógł ustać. Uginał się pod ciężarem; na sekundę zdołał podnieść Jake'a, ale nie było szans, żeby go utrzymał. Plecy mu nie wytrzymały i poleciał w dół, upadając na niego.

Leżał twarzą w piasku, wdychał go, wykastywał i pluł nim. Groziło mu przyduszenie przez własny sprzęt. Odepchnął się od ziemi. Wyciągnęli do siebie ręce. Skinner próbował złapać równowagę i cofnął ramię. Podciągnął kolana. Coś metalowego drasnęło go w jedno z nich i jego bokserki wypełniał piach, jakby się zesrał, ciążyło między nogami i ściągało mu bieliznę. Sconyers umierał i wyciągał do niego dłoń. Złapali się za ręce. Szorstki piach i niedający się z niczym pomylić dotyk żywej dłoni obudziły Skinera, aż podskoczył. Miał wrażenie, jakby kumpel dosłownie sięgnął do niego z drugiej strony i chwycił go za rękę. Zrób to teraz albo zobaczysz. Podali sobie ręce, jakby się witali, poczuł ciężar dłoni kolegi i wielkie, niewzruszone brzemie wspólnej walki, pociągnął i obudził się fizycznie napięty, trzymając brzeg materaca, jakby chciał go objąć ramionami, zgiąć wpół na stalowych

sprężynach i owinać się nim. Podnieść całe łóżko. Ruszyć dom z posad.

Czuł się niewyspany, otumaniony lekami, zagubiony. Odezwał się w przestrzeń. Sprawdził telefon, wyjrzał przez okno, przysłuchał się dźwiękom domu. Było wpół do szóstej, a on nie spał. Nie jestem w stanie nic zrobić, nawet zasnąć. W małej, jasno oświetlonej łazience strumień jego moczu uderzył w wodę w sedesie. Wyłączył światło. Oślupiały i ogłupiały w ciemności. Głowa mu pękała.

W mieszkaniu na górze zaskrzypiała podłoga, u pani Murphy otworzyły się drzwi, ktoś wyszedł i przemierzył trzy stopnie do półpiętra nad schodami do piwnicy, otworzył boczne drzwi domu i się oddalił. Drzwi trzasnęły. Odgłos butów na ziemi sugerował ciężkiego mężczyznę, który skończył na dzisiaj. Skinner śledził te dźwięki zeszywniały, jakby siedział w stacji nasłuchowej albo szykował zasadzkę, dopóki właściciel butów (z pewnością pan Murphy, sądząc po akcencie) nie wsiadł do pick-upa i nie odjechał.

Gdyby mógł spać, toby spał, ale nie mógł. Ubrał się na autopilocie w te same nieprane ubrania co poprzedniego dnia – i jeszcze poprzedniego, i trzy dni wcześniej, jakby mieszkał w obozowisku. Pistolet leżał odkryty na łóżku. Wsunął berettę do plecaka i zabrał ze sobą.

W pół drogi między przecznicami stanął. Szedł na siłownię? Był naprawdę potężnie wyczerpany i nie miał ochoty niczego dźwigać. Obrócił się i obszedł dom ze spuszczoną głową, na wypadek gdyby ktoś go obserwował, a następnie zamknął za sobą drzwi. Zamek kliknął. Zszedł do swojego pokoju i zdjął plecak. Wyjął pistolet i położył na wierzchu w głowach łóżka. Nigdzie się nie wybieram. Nigdzie się nie wybierasz, powiedział sam do siebie. Miałeś swoją szansę. Padł na łóżko, zakrywając oczy ramieniem. Leżał tak i oddychał płytko. Nie zasnął. Słyszał bicie swojego serca, jakby należało ono do kogoś innego. W końcu ściągnął buty. Uderzyły o podłogę. Ukrył głowę pod poduszką, a dziewiątka zsunęła się i utkwiała między materacem a ścianą.

Potem przekręcił się na bok i wyczuł, że broń odłupała kawałek tynku. Przesunął po ubytku palcami, na których pojawiły się białe ziarenka. Z zewnątrz dobiegało ćwierkanie ptaków. Mieszało się z przeciągłym dźwiękiem przypominającym odrywanie kilometrowej taśmy z opon, niosąc się między budynkami i drzewami.

Pomyślał, żeby ze sobą skończyć. Spokój i cisza w głowie. Zero bólu. Czy powinienem teraz to zrobić? Myśl zbladła, gdy tylko się z nią skonfrontował. Wreszcie zdołał coś zrozumieć. Wkrótce pomysł zszedł na dalszy plan wobec potrzeby jedzenia.

Kiedy po raz drugi wyszedł z domu, skierował się na przystanek autobusowy. Późnozimowe słońce wstało i świeciło na wszystkich – skwaśniałe panie z rejestracji w przychodni, chłopaki w raperskich chustach na głowie i czapkach z daszkiem na bok, na wagarach albo w drodze na koncert w jakimś magazynie. Facetów z Ameryki Środkowej, o wyrazistych szczękach, pracujących na budowie, z plecakami Timberlanda na jednym ramieniu, całych w pyłe. Skinner dotarł metrem do Dunkin' Donuts i zamówił kawę. Miła Hinduska z kolczykiem w nosie spytała: Americano, złociutki? Z mlekiem i cukrem? Skinner odparł: Czemu nie? A ona na to: Właśnie, czemu nie, złociutki? Chcesz w zestawie, bajgiel z twarogiem za dziewięćdziesiąt dziewięć centów? Aha, w porządku. W porządku, złociutki, już podaję. Wziął gorącą, słodką kawę i bajgla, po czym usiadł na ostatnim krześle barowym pod oknem z lumpami i obserwował ludzi mijających się w słońcu. Hinduska mówiąca złociutki albo złociutka. Skinner grał się w środku. A z podziemi dochodziły regularne pomruki metra.

Po czterech dniach, w ciągu których nie zadzwonił, jej gniew przerodził się w coś innego, w ciężar, którego nie miała siły dźwigać, i zaprzestała biegania.

Chodziła do pracy i zapominała, co w niej robi. Patrzyła na swoje ręce, jak sprzątaję tace, wycierają stoliki, i zastanawiała się, po co pracuje. W czasie przerwy stała przy wejściu dla dostawców i wpatrywała się w przestrzeń ponad schodami pożarowymi.

Sunnie powiedziała: Nic nie jadłaś. Nie będziesz mogła dobrze pracować.

Racja, zgodziła się Zou Lei. W głowie czuła taką samą pustkę jak w żołądku, a na jej twarzy gościł dziwny uśmiech.

Ponownie zadzwoniła do handlarza nielegalnymi filmami z Wenzhou, spotkała się z nim i dostała od niego najnowsze amerykańskie produkcje, które sfilmował w kinach na Czterdziestej Drugiej Ulicy. Trochę sztuk walki i pornografii o tytułach w stylu *Rozkwitający pęk dziewictwa*. Podał jej nowy numer komórki i odjechał w bezpieczne miejsce. Z plecakiem pełnym filmów poszła na stację metra Flushing Main Street, gdzie policjanci od miesiąca przeszukiwali torby, i – jakby lunatykując – przedefilowała przed ich stanowiskiem, po czym przeszła przez bramkę metra. Czuła na sobie ich wzrok i ten krótki strach był znośniejszy niż samotność.

Wsiadła do pociągu i jechała z głową opartą o szybę, patrząc na przemykające dachy, kamienice przechodzące w domy, wierzchołki drzew wyłaniające się i znikające z powrotem, na wielkie połacie graffiti.

Tory przywodziły jej na myśl autostradę, a na niej ciężarówkę zbliżającą się do dziewczyny na poboczu; ciężarówkę bez niego.

I wówczas Skinner pojawił się nie wiadomo skąd i pomyślała sobie: Bóg nad nami czuwa.

Dostawca wszedł do środka tyłem, przeciągnął wózek przez próg, oparł swojego timberlanda na szczebelku u podstawy, chwycił karton z góry i odłożył na stos innych. Pod jego ciężarem oderwał drugą stopę od ziemi. Miał na sobie golf, rękawiczki i uszatkę Armii Czerwonej. Przeszedł wzdłuż kartonów, uderzając je dłonią po kolei: Superior King, przegrzebki, węgorze, uszaki, lotosy, ostrygi, olej sezamowy, papryczki chili, flądry, skrobia kukurydziana. Przypiął fakturę do kartonu Superior King, wyjął długopis spod nosznika, poczekał na podpis i oderwał różową kopię. Przesunął pudła, przytrzymał wózek butem i zsunął z niego ładunek, po czym wykręcił i odjechał.

Dotarł do rampy załadunkowej, wrzucił wózek na tył swojego isuzu, pokrytego graffiti. Drzwi trzasnęły, silnik zawarczał. Słyszała to z korytarza. W kabinie kierowcy musiało pachnieć makaronem na wynos. Patrzyła, jak dostawca wyjeżdża pod schodami pożarowymi i skręca przy Sheratonie.

Widziała słońce świejące przez jego przednią szybę. Podskakiwał na siedzeniu, zmieniał biegi i trzął się od pracy silnika. Na kokpicie leżał segregator z fakturami i atlas drogowy, żeby się nie zgubić. Codziennie jechał gdzie indziej, przemierzając uliczki prowadzące do Northern Boulevard, na Szlak Jedwabny.

W dni, kiedy jakoś funkcjonował, ćwiczył w małej siłowni nad sklepem meblowym przy bocznej uliczce. Znajdowała się niedaleko, ale niełatwo było na nią trafić. Składała się z jednego pokoju, ciężary leżały na zniszczonej podłodze. Na treningi chodził w swoich buciorach. Sufit zdobiły staromodne metalowe płyty z tłoczonymi kwiatami i liśćmi, zamalowane na biało. Zabrał ją tam.

Minęli Kissena Park, nad ziemią unosiła się mgła, a boisko bejsbolowe majaczyło w ciemności. Poprowadził ją obok liceum. Pod zadaszeniem, wyciągnięty, spał mężczyzna w butach roboczych. Usłyszała ptaki w koronach wysokich dębów.

Szli pod górę uliczką naprzeciwko cmentarza. Była otoczona barierką, pod którą samochody pędziły autostradą na wschód, ku Long Island, i drżała, kiedy przejeżdżała pod nią ciężarówka. Wzdłuż ulicy wyrastały domy mieszkalne, a przy krawężniku piętrzyły się pożółkłe gazety i zwiędłe liście. Na którejś ze ścian widniało graffiti z twarzą o wampirzych zębach. Jego siłownia mieściła się w betonowym bloku wyglądającym jak fabryczka; zamiast drzwi miała opuszczaną metalową kratę, a zagłębienie do środka, oczekiwało się zapachu fluorowęglowodorów i widoku robotników w maskach, malujących karoserie.

Przeszli przez betonowy korytarz i wspięli się na schody wyłożone gumą, omijając kolejno plamy z plwociny na stopniach. Skinner stapał w swoich buciorach, a tuż za nim Zou Lei w tenisówkach Closeout City. Już ze schodów słychać było walenie ciężarów i muzykę hip-hopową.

Weszli do środka i zameldowali się przy drewnianym blacie recepcji z napisem: „Opłacanie składek obowiązkowe”. Z tyłu stały blender i odżywki na sprzedaż: American Bodybuilder Nitro Speed Stack, Cellmass, Animal Pack, Creaforce, Isopure, i Rage. Nad płatnym telefonem obok cennika wisiało zdjęcie Berniego Cole’a reklamującego opaski elastyczne na nadgarstek Valeo.

Powiedziała, że to jej pierwszy raz na amerykańskiej siłowni. Uparła się, że sama zapłaci pięć dolarów za wstęp.

Na podłodze niski facet ze sztyftem w uchu zrobił trzy krótkie wdech, jakby zamierzał wskoczyć do lodowatej wody, i zbliżył dwie hantle do klatki piersiowej. Podniósł je pięć i pół raza, podczas gdy jego koledzy stali dookoła w gotowości, żeby odebrać od niego ciężarki. Dawaj! – dopingowali. Wyprostował ramiona. Sześć – obwieścili. Jest moc! Upuścił hantle, które głośno uderzyły o ziemię, aż zadudniło w całej sali, od otynkowanych ścian począwszy, po sufit z metalu – Zou obróciła się na ten dźwięk. Facet zerwał się z ławki, odebrał gratulacje od kolegów. Pokazał na któregoś z nich w sposób, w jaki sportowcy wskazują fanów na widowni, i puścił oczko. Miał dżinsy i złotą bransoletę.

Skinner zapytał, czy ma jej pomóc, ale powiedziała: Nie martw się, wiem, co robić – przyniosła z sobą kartki wyrwane z czasopisma. Nalegała, więc Skinner się oddalił, a ona przechadzała się wśród ćwiczących w niesportowych butach, złotych łańcuchach, dresach i chustkach na głowie, polując na wolną parę odpowiednich dla niej wagowo ciężarów. Zardzewiały stojak na sprzęt do ćwiczeń biegł wzdłuż całej pokrytej tynkiem ściany jak niska poręcz do przypinania rowerów. Znalazła parę pięciokilowych sztangielek i zaczęła robić wypad.

Inni ćwiczący przelazili przed nią, przeszkadzali jej, zagradzali drogę szerokimi barami, nadmuchanymi klatkami, ramionami odstającymi od boków ciała. Zauważywszy ją, zachowywali się niczym krowy niemające pojęcia, jak zejść z drogi furgonetce, która wlecze się za nimi i trąbi klaksonem.

Poszła do przeciwległego kąta, między stary atlas BodyMasters a zamalowane okno z wmontowanym w nie klimatyzatorem.

Wróciła do swoich ćwiczeń, a Skinner przyszedł spytać, co się stało, że wylądowała w kącie sali.

Wszystko w porządku?

U mnie w porządku.

Dobrze ci tu?

Dobrze, podoba się. Muszę się przyzwyczaić.

Chciał przeczytać artykuł wyrwany przez nią z czasopisma.

Rozłożyła przed nim strony, na zgięciach delikatne jak płótno od wielokrotnego składania i rozkładania. Obejrzał zdjęcia programu ćwiczeniowego Miss Fitness.

To chcesz robić?

Chyba za duży tłok.

Nie, damy radę, zapewnił. Będziesz miała swój trening. Chodź.

Najpierw poprowadził ją do suwnicy Smitha, która była wolna, bo wszyscy pracowali nad górną częścią ciała. Pokazał jej, jak stanąć i robić przysiady ze sztangą na ramionach. Wspólnymi siłami doszli do właściwego dla niej obciążenia. Kiedy była gotowa, kazał jej cofnąć tułów, ustawił się za nią i asekurował.

Dobra, powiedział, Zou zrobiła przysiad, a on razem z nią. Kucała bardzo szybko, jak wojskowy robot, nic sobie nie robiąc z obciążenia i z nacisku na stawy.

Dobrze będzie trochę zwolnić. Dwie sekundy w dole, jedna w górze. Przy wstawianiu stopy płasko na podłożu. Patrz w sufit. Raz-dwa.

Następnym razem zrobiła przysiad powoli, co zwiększało poziom trudności, i zaśmiała się. Dobrze ci idzie, pochwalił. Zaczęło jej się robić gorąco, jej granatowy dres szeleścił między ich ciałami. Czują go z tyłu, jego ramiona ocierały się o jej żebra, jakby chciał złapać ją za piersi. Ćwiczenie zrobiło się bardzo męczące dla nóg i serca. Liczyło się tylko, żeby wstać. Kiedy zaczęła się bać kolejnego kucnięcia, niepewna, czy zdoła z powrotem się podnieść, wydała rozpaczliwy odgłos, który oznaczał: dość.

Stawiając kroki ostrożnie, jakby mieli protezy, odłożyli sztangę na miejsce. Zou zajęczała – ajjj – i zachwiała się.

Skinner zmienił obciążenie, założył duże talerze, podniósł drążek i zrobił przysiad. Kiedy poruszał się w górę i w dół, ciężary chrobotowały jak naczynia w kredensie od przejeżdżającego pociągu. Nie potrzebował asekuracji. W połowie serii zaczął robić przerwy i wciągać powietrze, zanim kucnął. Podczas przysiadu napręzał się, jakby miał zatwardzenie i próbował się wysrać, po czym wstawał znowu. Patrzyła na niego. Twarz mu poczerwieniała i dyszał.

Myślała, że nie da rady zrobić następnego, ale on kucnął znowu. Kiedy jednak próbował wstać, plecy wygięły mu się w pałąk. Przekonana, że Skinner znalazł się w opałach, podbiegła mu na ratunek. Obciążenie wynosiło sto kilo. Kiedy usiłowała mu pomóc, czuła przez jego plecy, jak wali mu serce, a jego ciało drży. Stęknął – aaa – i wstał. Nie miała pojęcia, czy jakkolwiek mu pomogła. Odłożył sztangę i odsunął się od niej, jakby budziła w nim obrzydzenie.

Dzięki, powiedział z falującą klatką piersiową i twarzą pokrytą potem.

Zdjął bluzę od dresu, rzucił na podłogę i człapiąc, zdjął ciężary z obu stron maszyny, żeby była gotowa dla Zou. T-shirt z napisem „Jack Daniels No. 7”, który miał pod spodem, był przepocony. Jego potężne, wytatuowane przedramiona też były wilgotne. Ten widok wzmocnił jej determinację.

Położyła sobie sztangę na ramionach, przyjęła pozycję i zaczęła robić przysiady, antycypując ból. Gdy dotarła do ostatniego powtórzenia, nie poradziła sobie i Skinner musiał ją złapać pod rękę. Wyrwał jej się głośny krzyk.

Ból ją rozniewał, odeszła na bok zwawym krokiem. Po chwili wróciła, pełna powagi i gotowa, żeby asekurować Skinnera. Z pomocą Zou Lei uważnie założył obciążenie.

Przerobili razem cały program Zou. Skinner wiódł prym. Robił wszystko to samo co ona, chociaż ten zestaw ćwiczeń był przeznaczony dla kobiet. Kiedy nie byli pewni, co dalej, zaglądali do stron z czasopisma – pot kapał im z nosów na rozpadające się kartki – a następnie Skinner prowadził ją z opuszczoną głową do następnego urządzenia. Szła za nim, obchodząc mężczyzn, na przodzie jej koszulki pot utworzył literę V, jakby cały dzień przerzucała piach łopata.

Inni ćwiczący zwrócili na nich uwagę i stwierdzili: A, więc tak to robicie. Albo wszystko, albo nic. Przybili Skinnerowi żółwika, trzymając w dłoni gąbkę albo papier ścierny, albo jeszcze inny materiał domowego wyrobu do chwytania ciężarów.

Ostatnim ćwiczeniem, jakie wykonywali, były nożyce. Położyli się na podłodze i poruszali nogami jak żołnierze drepczący za sobą gęsiego. Gdy doszli do pięćdziesięciu, stopy Zou opadły na posadzkę. Sto, powiedział Skinner. Z powrotem podniosła nogi. Liczyli razem z zaśpiewem typowym dla ćwiczących w grupie. Przy setce opuścili stopy na podłogę, na której zostały po nich obrysy z potu. Wbiła wzrok w te widmowe odbicia. Intensywność ćwiczeń sprawiła, że naszły ją dziwne myśli.

Odpozywali na tylnych schodach, gdzie pracownicy siłowni składowali drabiny i rupiecie. Wiadra z tynkiem, kartony i wałki do malowania blokowały wyjście ewakuacyjne na dole schodów. Skinner kupił dla nich koktajle białkowe MuscleTech o smaku waniliowym. Wsysanie gęstego płynu przez słomkę było kolejną formą ćwiczeń dla szyi. Poklepała Skinnera przez koszulkę po wilgotnym, silnym ramieniu.

Dałeś mi dziś niezły wycisk.

Wyciągnął rękę i uszczypnął ją w pośladek.

To cię będzie boleć po dzisiejszym.

Au, krzyknęła, ale jednocześnie nachyliła się, żeby mógł lepiej poczuć jej mięśnie.

Ktoś zszedł tylnymi schodami w poszukiwaniu wyjścia, a Skinner cofnął rękę, dopóki do tego kogoś nie dotarło, że tędy się nie wydostanie.

Tędy wyjścia nie ma, wyjaśnił Skinner, a obcy się oddalił.

Kiedy zostali znów sami, Zou zauważyła:

Włosy ci odrastają. Dotknęła jego wilgotnej głowy. Ciemne włosy sterczały sztywno we wszystkich kierunkach, jakby promieniowały z jego czaszki. Złapała go za nie i potrząsnęła jego głową na boki. Za dużo włosów.

Wolisz krótkie?

Te. Pogłaskała go po policzku z kilkuniedniowym zarostem. Ty dzisiaj taki dobry nauczyciel. Nie chcesz już być żołnierzem.

Nie-e, odparł. Potarł się po zaroście. Mam wojska powyżej uszu.

Zapuszczę sobie włosy aż do rowa. I brodę dotąd. Co ty na to? Pokazał ręką długość do pasa.

Może dłuższą, zaproponowała.

No to może do kolan?

Tak lepiej.

Kupię też sobie tunikę.

Tunikę?

No, taką długą. I turban.

O, powinieneś mieć turban.

Wiem, odparł. Powiniennem. Zacznę się modlić pięć razy dziennie. Wiesz, o co chodzi.

O tak, zapewniła.

Będę się modlił – podniósł ręce do twarzy, jakby chciał obmyć ją Słowem Bożym albo wodą Bożą – i wyrecytował:

Allahu akbar.

Dobrze, podsumowała. Bardzo dobrze. Co jeszcze będziesz robił?

Hm, z całą pewnością się wysadzę. Pójdę do Dunkin' Donuts, wysadzę się i zabiję z dziesięć osób. Będzie zajebisty korek na czterdzieści pięć minut. Ludzie pospóźniają się do pracy. A potem, oczywiście, pójdę do nieba, po nagrodę w postaci siedemdziesięciu siedmiu dziewczic. Tyle że ja nie chcę dziewczic. Poproszę o zboczone mamuśki.

Będziesz miał w niebie masę roboty, stwierdziła. Mogę cię tam odwiedzić czy będziesz zbyt zajęty zboczoną mamuśką?

Może pozostanę w kontakcie, zaproponował. Poczekasz na swoją kolej?

Poczekam na kolej. Chyba warto. Bo jestem lepsza niż te siedemdziesiąt siedem. Myślę, że jak

mnie zobaczysz, to wybierzesz mnie.

Wybiorę, potwierdził.

Naprawdę?

No, pewnie.

Pociągnęła przez słomkę i wysiorbała z dna resztkę odżywkę białkową. Machała stopą, patrząc przed siebie, cała mokra i coraz chłodniejsza pod dressem. Położył jej rękę na nodze; poczuł, że pod poliestrem jest gładka, kształtna, mocna i naga, a różne grupy mięśni poruszają się jej selektywnie, kiedy przesuwa kolano.

Wnętrza dłoni mieli brązowe od rdzy na sztangach. Chociaż palce Zou były stwardniałe, otarła sobie rękę podczas robienia martwego ciągu. Trzymał ją za spoconą dłoń – otworzyła ją i znów zamknęła wokół jego. Czuł na niej metal, brud i pot, które składały się na łączący ich klej.

Po południu poszli na Jackson, gdzie mieściły się burdele i przez całą ulicę ciągnęły się bary z *meseras*, kelnerkami. Tam przy stolikach tkwili pijani w sztok mężczyźni z Ameryki Środkowej – siedzieli zakapturzeni, spali z głową na ramieniu, obejmując litrową butelkę, na której wspierali się, chcąc wstać, jak na poręczy. Skinner powiedział jej, że nocą stragany przed targiem owocowym potrafią się same poruszyć – o drugiej nad ranem, aż podskakujesz – a to zjawisko paranormalne spowodowane jest tym, że ktoś pod nimi śpi.

Mężczyźni, którzy spali w Park of the Americas, mieli fioletowoczarne twarze. Ich skóra była dziobata i pomarszczona. Spali bezpośrednio na betonie, bez butów, z gałązkami i liśćmi we włosach, a spod nich wypływał mocz.

Zza rogu wyłoniła się mazda z chromowanymi felgami, która oddaliła się wśród długich cieni rzucanych przez wiadukt kolejowy. Aż do następnej przecznicy ciągnęły się zasilane generatorami stoiska, na których Gwatemalczyki gotowali potrawę z mózdzka, kaszanki i kukurydzy, kobiety w fartuchach i bejsbolówkach szczypcami przekręcały świńskie głowy, zamienione pod wpływem pieczenia w skórzane maski z czarnymi dziurami w miejscu, gdzie przed obróbką były oczy. Zapach zwierzęcych wnętrzności.

Powiedzieli jej, że mają kozie mięso; kupiła taco i zjadła je, brudząc sobie palce gorącym tłuszczem i zlizując z nich kawałki cebuli i listki kolendry. Wciąż miały też smak rdzy.

Kiedy Zou czekała w parku, Skinner poszedł do zakładu fryzjerskiego, którego witrynę zdobiła setka fotografii latynoskich głów z cieniowanymi fryzurami, i kazał się ostrzyć po wojskowemu, krótko po bokach, a pośrodku dłużej. Za dziesięć dolarów można było sobie zrobić cezara, irokeza albo fryzurę z zaczeską. Zakład mieścił się przy sklepie z sukniami ślubnymi Nathaly's Bridal na Osiemdziesiątej Piątej Ulicy. Fryzjer był młodym Latynosem, młodszym od Skinnera, z grubą bladą twarzą. Na brodzie miał kolczyk, mały, sterczący sztyft. Mężczyźni w czapkach z płaskim daszkiem kręcili się po zakładzie, pisząc SMS-y. Piosenka po hiszpańsku grała na cały regulator, tak że od perkusji pękały bębniaki. Skinner pochylił głowę pod naciskiem maszynki, a fryzjer ostrzygł mu tył czaszki. Skończywszy, podniósł za Skinnerem lusterko.

Przelecieć ci to alkoholem, żebyś nie dostał pryszczycy?

Skinner powiedział: Dajesz, a chłopak rozpylił mu na czaszkę zimny spirytus, który następnie rozprowadził i wmasował w skórę.

Będzie szczypać jak cholera.

Odzyskałem uszy. Mojej lasce się to spodoba.

Chłopak zapytał, czy jest Meksykanką.

Nie.

Ale ty jesteś biały, nie?

Tak.

Więc co z twoją panną? Też biała?

Chinka.

Słowo? Jak to możliwe, że nie chodzisz z czarną? Nie chcesz wpaść w błoto?

Fryzjer rozśmieszył jednego z klientów i przybił mu piątkę.

Odwrócił się z powrotem do Skinnera. To będzie dycha, powiedział. Skinner sprawdził, czy włosy są równe, po czym wyjął portfel i zapłacił.

Kiedy Zou go zobaczyła, nazwała go *shuaige*, przystojniaczkiem, i pogłaskała go po tyle głowy, w który fryzjer wtarł alkohol.

Byli tak zmęczeni, że ledwo wdrapali się na schody do metra. Przyjechała siódemka i wsiedli do wagonu z brudną podłogą, całą w gazetach. Zou zajęła miejsce, a Skinner usiadł przy niej bokiem, żeby oprzeć stopy na siedzeniu. Odchylił się, położył jej głowę na kolanach i zamknął oczy. Trzymała jego głowę i głaskała go po czole. Rozmawiali ze sobą przez łoskot pociągu. Co? – dopytywała. Pochyliła się, żeby usłyszeć jego słowa, i wciągnęła zapach spirytusu z jego czaszki.

Jedźmy do mnie.

Pogładziła go po świeżo obciętych włosach.

Pojedziesz?

Spojrzała na niego i pokiwała głową.

W miarę jak mijali kolejne przystanki, dosiadało się coraz więcej ludzi. Wsiadali z jedzeniem, z toreb sterczały liście od kolb kukurydzy – jak skóra zrzucona przez grzechotnika. Przez reklamówkę przeświecał napis „Aztec Maize”. Wszyscy skupili się wokół nich, napierali na bok Zou Lei, wtryniali się między buty Skinnera. Skinner posunął się, by nikogo nie podeptać. Zou głaskała mu uszy, biorąc je między palce. Podskakiwali razem z pociągiem. Oboje przysnęli, mimo cudzych nóg uderzających o nich. Przysypiali też inni, z krzyżami wytatuowanymi na kostkach palców, była wśród nich również ciężarna kobieta z tatuażem „Serena” pochyłym pismem na wnętrzu przegubu.

Dotarli do jego pokoju. Skinner był bardzo miły, palił marlboro, kiedy Zou na nim zasnęła, a gdy przyszła noc, nie chciała wychodzić.

Leżała w połowie na nim, z nogą na jego nodze. Otoczył ją ramieniem, a jej uniesiona twarz była jak puzzel idealnie pasujący do krzywizny jego szyi. Zacieśnił uścisk; jej gibkie plecy nie stawiały oporu i Zou wygięła się, oparta o niego, i przycisnęła piersi do jego klatki. Spojrzawszy w dół, zobaczył silne mięśnie jej pośladków rozdzielonych przez trójkąt króciutkich różowych damskich bokserek.

Zapytała, czy nie będzie problemu, jeśli zostanie na noc, a on, gasząc papierosa, odparł, że ani trochę. Coś nawet na ten temat żartował, zastanawiając się głośno, czy to oznaczało, że został alfonsem.

Podziękowała mu.

Podobało ci się na siłowni?

Bardzo. Mieliśmy dziś dobry dzień. Jesteś dziś taki dobry.

Dziś było tak, jak zawsze powinno.

Zgodziła się, że było.

Od tej pory będziemy tak robić każdego dnia.

Chcę, żeby tak było. Wyobraź sobie, powiedziała do siebie w myślach, jak by to było fajnie.

Łyknął swoje tabletki i czuła, że tuż pod nią przenosi się w inny stan świadomości.

Każdziutkiego dnia, dodał.

W domu panowała cisza, przy łóżku paliła się lampka, była późnozimowa noc.

Poczuła, jak kula ziemską pędzi przez kosmos. Kosmos był czymś podobnym do syberyjskiego stepu, a Ziemia była przemierzającym go jeźdźcem. Wyruszał na południe z modrzewiowego lasu, gdzie martwi przodkowie żyli i polowali na renifery. Gnał dalej na koniu w tym samym kierunku, przez bezkresne trawy. Ona pędziła za nim i patrzyła na kwiatki wschodzące w szarobeżowym krajobrazie. On miał na twarzy drewnianą maskę z wydatnym dziobem, żeby mógł się przeistoczyć w jastrzębia i odnaleźć drogę. Zbliżyli się nad skraj doliny. W niej słały się soczyste zielone pastwiska i jabłonie ze stadem rozśpiewanych ptaków wśród gałęzi.

Coś obudziło ją w środku nocy. Otworzyła oczy. Patrzyła na pikowane płyty sufitu. Wokół było cicho, ale miała wrażenie, że obudził ją jakiś odgłos. Rozejrzała się. Światło żółtej lampki przy łóżku tłumiał abażur koloru pergaminu. W cieniu ściana naprzeciwko wydawała się chropowata. Spojrzała, czy drzwi wejściowe są zamknięte, a zamek przekreślony. W otwartej szafie widać było bojler.

Coś kazało jej obrócić głowę i zerknąć na Skinnera. Wyciągnęła rękę, by go dotknąć, i stwierdziła, że ma całe plecy mokre. Bawełna lepiła mu się do skóry. Wszędzie, gdziekolwiek dotknęła, był zimny i wilgotny. Podobnie wiatrówka pod nimi.

Biła od niego obcość, jakby jej nie znał. Kiedy się do niego odezwała, odpowiedział, ale dobrze słyszała, że był nieobecny. Zapytała: Skinner, wiesz, gdzie jesteś? A on odparł: Tak, wszystko w porządku. Ale po sposobie, w jaki to powiedział, zorientowała się, że nie jest przebudzony, i bała się dodać coś więcej.

Zaczął wydawać przez sen dźwięki, jak gdyby się dławił. Dotarło do niej, że szlocha. Przyglądała mu się ze zdumieniem.

Co się stało? – pytał błagalnie. Och, co się stało? O mój Boże, czemu to się stało?

Chciała go pocieszyć, ale miała przecucie, że jeśli go dotknie, on zaraz się odwinie i ją uderzy.

Okej, wszystko w porządku, powiedziała tylko.

Pokiwał głową z zamkniętymi oczyma, a ona stwierdziła, że jest przytomny i ją słyszy. Wyjęła mu wiatrówkę z zaciśniętych pięści i położyła na nim. Zwinęła się obok niego z bijącym sercem i wpatrywała się w jego plecy. Stopniowo się uspokoiła, czując, że i on się uspokaja, i znowu zasnęła.

Po jakimś czasie ponownie się obudziła. Pokój wyglądał tak samo jak przez resztę nocy. Światło wciąż się paliło, ale kiedy spojrzała na okno, zobaczyła, że nadchodzi szaroniebieski świt.

Przezołgała się nad nim i wstała z łóżka, starając się go nie obudzić. Obejrzała się na Skinnera. Brązowe włosy przycięte na jeża, jasne płaszczyzny nad jego uszami, krostki na skórze. Wyblakły zielony tatuaż na pobrużdżonej szyi. Brzydką cerę na czole. Lekko zarosniętą twarz. Rozchylone usta na poduszce. Zażył kolejną tabletkę i teraz wyglądał jak ktoś naćpany. Jak leżący na poboczu na wzgórzu przed meczetem w Kaszgarze.

Otworzyła drzwi wejściowe, wsłuchiwała się w dziwny dom i nic nie usłyszawszy, przeszła przez ciemną suterенę do łazienki i zapaliła światło. Wokół niej wyrosły ściany w odcieniu błękitu królewskiego. Zamknęła drzwi i złożyła ubrania w małą kupkę na swoich adidasach, po czym weszła pod prysznic. Łazienka była idealnie czysta i nie wyglądało na to, żeby ktokolwiek z niej korzystał, jeśli nie liczyć wyciśniętej tubki pasty Aquafresh w umywalce. Kiedy skończyła, odłożyła wszystkie rzeczy tak, jak je zastała, poprawiła matę prysznicową, wytarła ślady mokrych stóp i powiesiła jego ręcznik na ramie matowych szklanych drzwi do kabiny. Wyprostowała ręcznik, tak aby rogi się stykały, wygładziła zmarszczki. Widniał na nim napis „Camp Manhattan, Kuwejt”, czarnymi, wielkimi literami. Wciągnęła dres, zapięła stanik, otworzyła drzwi, żeby wypuścić parę, i przeczesała mokre włosy. Nogi tak ją bolały, że ledwo uklękła, żeby zawiązać buty. Gdy wychodziła do pracy, rzuciła: Na razie, chłopaku – ale nie odpowiedział; wciąż przemierzał step.

Po południu do niego zadzwoniła. Nie odbierał. Zostawiła mu wiadomość z kolejnym podziękowaniem. Była tak obolała, że ledwo mogła chodzić. Nie mogę śpieszyć się w pracy. Powiedziała, że potem się zobaczą.

Wieczorem zadzwoniła ponownie, ale był strasznie przybity i jego odpowiedzi były drętwe. Mimo wszystko – nalegała – byłam z tobą wczoraj w nocy. Coś było nie tak.

Milczał.

Bardzo płaczesz w nocy.

Skoro tak mówisz.

Leżę obok ciebie i słyszę to. Jestem, więc wiem.

W porządku. No i?

No i mówię ci, to źle. Chcę coś z tym zrobić. Co się dzieje?

Nie wiem.

O co chodzi?

Nie miał zamiaru odpowiadać.

Chcę ci w tym pomóc, co by się nie działo.

Nie możesz pomóc.

Chodzi o wojnę?

No.

Ktoś ci musi pomóc.

Wypłukała zaschnięte resztki coca-coli z subwayowego kubka, napełniła go wodą z kranu i zniosła Skinnerowi, żeby mógł popić lekarstwa z czterech fiolek. Widziała też piątą – leżała na podłodze między kółkami łóżka a ścianą. Podniosła ją. Skinner podziękował.

Te są na spanie.

Patrzyła, jak bierze sześciokątną niebieską tabletkę. Miała na sobie džinsy i bluzę Hollistera. Bieliznę z czarnej koronki wetknęła sobie do tylnej kieszeni. Kiedy Skinner połknął leki, zabrała mu kubek i zniosła do kuchni.

Rusz się, powiedziała, żeby mogła usiąść. Przesunął się i przyglądał się, jak Zou Lei bada każdy ze słoiczków w świetle lampki i studiuje ich nazwy chemiczne – sertralina, zolpidem, kwetiapina. Próbowwała przeczytać dawkowanie po angielsku. Niebieska, różowa, żółta, biała, czerwona, powtarzała, żeby zapamiętać.

To właśnie mi dali. Wiesz coś o tych rzeczach?

Powinniśmy dobrze przechowywać. W porządku.

Żeby przez przypadek nie wziął tej, co nie trzeba.

Od tej pory będziemy trzymać wszystkie w jednym miejscu. Jak weźmiesz, odstaw z powrotem.

Załatwione.

Jeśli chciał się położyć, musiał najpierw równo ustawić buty przy łóżku i położyć plecak w zasięgu ręki. Potem pozwolił jej przeleźć przez siebie na drugą stronę łóżka, od ściany, i przytulić się do niego, żeby dokładnie wiedział, gdzie się znajduje.

Pogłaskała go po uchu. Możesz opowiedzieć mi swój sen, powiedziała.

Po namowach zaczął opisywać jeśli nie sny, to przynajmniej objawy.

Widziałaś, jak się rozpraszam, jak moje oczy robią się takie? Kazał jej spojrzeć sobie w oczy.

Popatrz na prawe. Widzisz, jak drży?

Trudno jej było ocenić.

Widzisz, że nie mogę przestać tam patrzeć?

To zauważyła. Wciąż spoglądał nad jej głową, jakby sprawdzał ich bezpieczeństwo, ku wejściu do pokoju, które prowadziło do świata, gdzie wciąż jeździły samochody. Nieustannie się zbliżały, przybliżały do niego i jego towarzyszy broni za blokadami drogowymi z worków wypełnionych piaskiem.

Przewlekły lęk był dla niej czymś zrozumiałym.

Reflektory skierowane na mnie, tłum, dźwięk krótkofalówki w metrze, wyjaśniał. Dziury w jezdni. Drzwi samochodowe. Znasz dźwięk, jaki wydaje kula? Latała ci kiedyś osa tuż obok ucha?

Wpisali w wyszukiwarkę na jego laptopie „chory + żołnierz”. Mówił do nich z ekranu mężczyzna w swetrze w serek, stojący w dobrze oświetlonym gabinecie, obok regału z książkami. Skinner zapalił marlboro i słuchał razem z nią. Filmik się zaciął. Mieli słaby zasięg. Wyciągnął rękę, nacisnął klawisz, a popiół spadł mu na klawiaturę, dołączając do piasku. Pieprzony szmelc. Filmik się ładował, musieli poczekać. Zrestartował się i mogli oglądać. Skinner wstał i dopalił papierosa w drugim pomieszczeniu.

Widziałaś, jak się wściekam, nawet jak próbuję być miły?

Coś wstrząsnęło twoim umysłem. Może masz siniaka w środku głowy.

Umówiły się tak, że kiedy tylko Sunnie będzie potrzebowała przerwy, Zou zastąpi ją w kuchni. Często Zou sama mówiła Sunnie: Potrzebujesz przerwy, siostró. Sunnie śmiała się niepewnie i odpowiadała: Chyba nie bardzo.

Owszem, potrzebujesz. Nie powinnaś się przepracowywać. Masz, kubek zupy dla ciebie.

Ojej, ale już się najadłam. Chcesz uczyć się potraw, no nie?

Tak, muszę się uczyć.

No dobrze. Jesteś pewna, że rozumiesz zamówienie?

Jak będę ćwiczyć, to zrozumiem. Indyk idzie osobno.

W porządku, chyba nic się nie stanie, o ile Sassoon nie ma nic przeciwko.

Nie ma jej, powiedziała Zou Lei, wyjmując z ręki Sunnie chochlę. Wszystkim się zajmę. Jeśli chcesz, możesz być w okolicy, przy herbacie, i jeśli coś się będzie działo, zapytam cię, co robić. Spokojna głowa.

No dobrze.

Ty jesteś nauczycielką, a ja uczennicą. Ostro krytykuj moje błędy.

Nie jestem niczyją nauczycielką, zaprzeczyła Sunnie ze skromnym uśmiechem, zajmując miejsce Zou przy termosie.

Bardzo mi pomagasz, zapewniła Zou Lei.

Jesteś pracowita, powiedziała Sunnie.

Angela, przy której toczyła się cała rozmowa, spytała: Czy ktoś wie, co robicie?

Sunnie spojrzała na nią z przestachem. Zaczęła się wahać, ale Zou Lei mocno ścisnęła w dłoni chochlę.

Ty zajmujesz się kasą, wyjaśniła Zou Angeli, a my się zajmujemy tym.

Zadzwoił do niej o czwartej rano i zaczął mówić; jego głos był jak hałaśliwy owad wychodzący z telefonu i sąsiad Zou westchnął za przepierzeniem. Chwileczkę, wyszeptwała. Wzięła bluzę, znalazła sandały i wyszła na ganek. Niebo było mniej intensywnie czarne niż park za stacją benzynową po drugiej stronie bulwaru. Latarnie rzucały na chodnik dziwne światło. Mówił, że nie może spać. Zgodziła się z nim zobaczyć w McDonalddie.

W drodze na spotkanie widziała opuszczone rolety sklepów, całe w graffiti, którego nie dało się zobaczyć za dnia; skojarzyły się jej z tysiącem wytatuowanych powiek. Krzesła stały do góry nogami na stolikach, żeby łatwiej było zetrzeć podłogę.

Skinner zjawił się dziesięć minut po niej, prawie niezauważalny w czarnym kapturze. Wykazał się niemal oficjalną uprzejmością, dziękując jej za przybycie. Wciąż nie było widać jego oczu.

Muszę kupić coś do picia, jeśli mogłabyś jeszcze chwilę poczekać.

Nie ma problemu, zapewniła.

Kupił jej jajko na bekonie i ciastko z serem, po czym zaczął opowiadać o czymś, aż doszedł do Iraku i przestał jeść. Oparłszy łokcie na kolanach, trzymał kubek pod stołem, mówił ścisłym głosem, a ona słuchała, nachylona ku niemu, siedząc bokiem na krześle z podwiniętą kurtką, która odsłaniała jej nagie plecy. Co dziesięć sekund Skinner rozglądał się na prawo, na lewo, a potem znów patrzył na jej twarz. Pociągnął łyk napoju.

Trudno mu było zwalczyć suchość w ustach, ból głowy i wspomnienie o tym, jak jego przyjaciel wyleciał w powietrze, a kawałki jego ciała spadły na hełm Skinnera.

Byliśmy mniej więcej w takiej odległości od siebie, powiedział, pokazując kosz na śmieci pod szaro-niebieską ścianą z czarną obwódką. Na podłodze leżał kubeczek po lodach, którym ktoś nie trafił do kosza. Pokrywa na zawiasach się nie domykała i śmieci wysypywały się ze środka. Wy tłumaczył jej, co to takiego mózdzierz. Działo to w ten sposób. Zakreślił palcem łuk. A więc on był tam. Bum, trafiony.

Podbiegłem, żeby go zabrać. Wylądowaliśmy w szpitalu tutaj.

Wszedł w długą dygresję na temat szpitala, po czym nagle powiedział:

Nie wiem, dlaczego nie mogłem go podnieść.

Patrzyła, jak trudno Skinnerowi o tym mówić.

Mam wrażenie, że mogłem postarać się bardziej.

Podawała mu serwetkę, żeby wydmuchał nos.

Jakbym pozwolił mu umrzeć.

Wytarł oczy, które zaraz znów były mokre.

Rozmawiali, aż zaczęli się schodzić pracownicy z dziennej zmiany. Biała dziewczyna w siatce na włosy wyszła i zaczęła odwracać krzesła do góry nogami, a jakiś facet z Ameryki Środkowej, który mógłby być jej ojcem, wziął szufelkę, sprzątnął kubek po lodach i opróżnił kosz. W ciemności za oknem widać było idących ludzi. Czarny mężczyzna w ocieplanym kombinezonie Delta Airlines i okularach optycznych wszedł po sok pomarańczowy i skierował się ku LaGuardii. Niebo się rozjaśniało. Przenieśli się na półokrągłą kanapę. W restauracji robiło się tłumnie i głośno. Schodziły się chińskie matki krzyczące na swoje dzieci w dialekcie Tiochui i noszące je na plecach jak w Trzecim Świecie.

Chciała shake'a Shamrock, więc jej go kupił. Zapytał, co w pracy.

Anbu jiuban. To znaczy, że pracujesz tak: udała że robi krok jedną nogą, a potem drugą.

Krok po kroku, wyjaśniła. Taśma, którą naprawiała buty, odłaziła na piętach.

Zapytał, czy ma ochotę na coś jeszcze, a ona odpowiedziała, że nie, że i tak już za dużo zjadła.

Wzięła łyk zielonego, miętowego shake'a, wciągając policzki, i uśmiechnęła się.

Siedzieli pod znakiem „Tylko dla klientów” na pierwszym piętrze, gdzie ludzie przychodzili z plastikowymi siatkami i wysiadali przez długie godziny, roztaczając zapach swoich ciał. Młody czarnoskóry ćpun spał w rogu z otwartymi ustami, ukazując żółte zęby. Grała łagodna muzyka pop. Drzwi do łazienki otwierały się na żetony, ale zamek był popsuty, więc można było wejść.

Shangmian you zhengce, xiamian you duice. Przywódca ma swoją politykę, ale ludzie pod nim mają inną politykę. Przywódca myśli, że to on rządzi, ale ma tylko dwa oczy. Dwa oczy nie dopilnują dwudziestu osób.

Jeśli mój szef na mnie wrzeszczy, to ja tak – i pokazała, co by zrobiła, gdyby na nią nakrzyczano: podniosła dłoń i odbiła nią siłą wrzasku.

To ją bardzo złości, kiedy używam tej mocy, bo ona wtedy nic nie może zrobić.

Skinner nie mógł zrozumieć, czemu ktoś w ogóle miałby na nią krzyczeć.

Za każdy drobiazg. Mały jak ziarenko sezamu. Jak niteczka. Pociągnij za niteczkę, a wkrótce cały dywan się spruje.

W Chinach było wiele różnych grup etnicznych i było czymś oczywistym, że nie wszyscy się ze sobą dogadują. W mojej poprzedniej pracy, tej, gdzie mnie poznałeś, szef był z Malezji. W tej pracy z Guangzhou, z Hongkongu. Pracownicy są z Zhangzhou, Quanzhou, Wenzhou, Fuzhou, Guangdong, Guangxi, wielu miejsc. Z Sinaloa w Meksyku. Mężczyźni nazywają mnie *chiquita*. Są Gwatemalczyki. Ci ludzie przebyli długą drogę. Każdemu potrzebna praca, więc przyjeżdżają tutaj. Nawet Arabowie. Nawet terroryści.

Przy sąsiednim stoliku usiadł Meksykanin indiańskiego pochodzenia, o ciemnej skórze, w luźnych spodniach, kurtce motocyklowej, pantoflach i czerwonej czapce Yankees, były z nim żona i córki. Na zewnątrz, po drugiej stronie ulicy, widać było szyld Footlockera obok pizzerii Barone. Skinner siedział z butami na podłodze z szarej terakoty i uważnie przyglądał się Zou Lei.

Opowiedziała mu, jak niedawno zdarzyło się jej coś złego. Myślałam, moje życie skończone, ale coś mnie wyratowało. Wiesz co? Myślałam, że to koniec. Ale to był początek.

Musisz trzymać się nadziei, dla nas obojga, powiedziała, bo może zdarzy się coś dobrego.

Matka nie przyjechała odebrać Jimmy'ego. Wsiadł do autobusu przewoźnika Greyhound z Krayville, jadącego do terminala Port Authority na Manhattanie. Autobus zatrzymywał się na wielu przystankach, podróż trwała dwadzieścia godzin. Obawiano się, że chłopak nie dotrze, że wysiądzie gdzieś indziej i zboczy z drogi.

Dotarł do domu po jedenastej wieczorem. Pani Murphy wciąż siedziała w kuchni, sprawdzając godzinę na telefonie. Erin czytała informacje o kaloryczności na puszcze zupy. W kuchni pachniało wątróbką z cebulą, którą ojciec, Patrick, przedtem usmażył. Zostawił w zlewie patelnię zalaną wodą. Unosiły się na niej szare kłaczkę. Ojca już nie było.

Wtem Erin usłyszała jakiś dźwięk, krzyknęła: To on! – i poszła go wpuścić. Jimmy, jej brat, syn jej matki, wszedł do domu – obcy, obco pachnący, brudny, strasznie dziwny i milczący, jak gdyby jakaś wielka, potworna siła sparaliżowała mu struny głosowe. Miał na sobie ubrania, których nie nosił od lat dziewięćdziesiątych. Słyszał było, że Erin rozmawia z nim w przedpokoju. Drzwi mieszkania otworzyły się i Jimmy wszedł do środka. Oto on – wielki facet za Erin, dźwigający kartonowe pudło, jakby to było coś w stylu dodatkowej pokuty.

Padnie z wrażenia, powiedziała Erin. Patrz, kto przyszedł.

Pani Murphy wyciągnęła ręce i powiedziała: Chodź no tu do mnie. Jimmy odstawił karton na podłogę, zbliżył się, nachylił i przytulił ją. Cześć, mamó.

Przed drzwiami miał wątpliwości, czy go w ogóle wpuszczą. Wyobrażał sobie, że mogą odprawić go z kwitkiem. Usiadł przy kuchennym stole, a ponieważ się nie odzywał, jego matka i przyrodnia siostra debatowały nad tym, co mógłby zjeść, czy pizzeria Fratelli jest jeszcze otwarta i czemu nie zamówiły wcześniej.

On nic nie mówi.

Daj spokój, Erin. Właśnie przyszedł. Nic nie musi mówić.

Zapaliłbym.

Pani Murphy przesunęła paczkę po blacie. Proszę! – powiedziała. Jimmy wyjął damskiego papierosa i zapalił. Szybko wciągał dym, a potem trzymał fajkę schowaną w wielkich dłoniach.

To najbardziej sameczy sposób, w jaki ktoś kiedykolwiek palił slima, zauważyła Erin.

Stopniowo zaczął się odzywać. Jego głos brzmiał szorstko i chrypliwie, jak gdyby przeciągać strunami głosowymi po betonie. Nic z tego, co miał do powiedzenia, nie było związane z codziennym życiem. Mówił o tym, że regulamin przewoźnika, którego autobusem przyjechał, był źle pomyślany i niewłaściwie stosowany. Widział, jak ludzie handlujący seksem i prochami na przystankach autobusowych robią idiotów z władz.

W końcu Erin zostawiła ich samych i poczłapała na górę swoimi potężnymi bladymi nogami.

Na propozycję piwa zareagował z rozbawieniem, jakby w otrzymaniu czegoś za darmo, nawet od matki, było coś niezwykłego. Wypił z zadowoleniem, które mogłoby towarzyszyć wygraniu konkursu, a matka podjęła rozmowę.

Wydawało się jej, że czuła od niego alkohol, kiedy wszedł. Przyznał, że napił się w autobusie. Facet koło mnie był alkoholikiem. Posadzili nas obok siebie i zaproponował mi pierwsze piwo od dziesięciu lat. Co miałem zrobić?

Wymienili porozumiewawcze spojrzenia, jak kiedyś.

Bardzo późną nocą zwierzył się matce: Nie czuję się jeszcze gotowy do życia na zewnątrz. Wysłuchała jego wyznania i zapewniła, że wszystko będzie w porządku. Powtórzyła mu, co stary

znajomy powiedział jej na temat zaczynania życia od nowa na wolności po długim czasie za kratami – że strach minie.

No i to, że teraz wszyscy mają komórki. Ja nigdy nie miałem. Kiedy poszedłem siedzieć, używali ich tylko dilerzy. Sam też powinienem był dilać. Okej, brałem czasem, ale nigdy nie sprzedawałem. Gdybym handlował, tak jak mi zarzucano, wyszedłbym na tym lepiej. Piętnastoletnie czarnuchy nie mają już niczego, dzięki czemu mogliby czuć się wyjątkowi.

No dobrze, stwierdziła w końcu. Trzeba było iść spać, więc podniosła się z trudem, a stół zakołysał się i przechylił pod naciskiem jej ręki.

Powiedziała mu, że może iść do swojego dawnego pokoju na górze.

Jimmy odparł, że myślał o tym, by pójść do sutereny. Matka wyjaśniła, że tamtą część domu wynajęli lokatorowi.

Łatwy zarobek. Chciałbym, żeby ktoś ot tak dawał mi pieniądze.

Podniósł swój karton i wspiął się wąskimi schodami na zabałaganione piętro domu, gdzie mieścił się jego pokój. Wciąż tam był, z zepsutymi żaluzjami, przez które przeświecała noc. Na podłodze stały kosze na brudną bieliznę. Podeszedł do szafy, która miała drzwi przesuwne z wklęsłego drewna, otwierające się dzięki przymocowanemu do nich metalowemu kubkowi. Wypadły z prowadnicy i wisiały przekrzywione. Odnalazł zdjęcie starych przyjaciół i siebie z tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątego drugiego roku, chudego nastolatka wykonującego ręką dziwy gest, gangsterski znak. Na głowie miał kask z naklejkami założony tyłem na przód. Amerykańska flaga. Irlandzka koniczyna. ZoSo Zeppelinów. Znalazł też gitarę elektryczną z popękanymi strunami.

Plakaty odklejały się od ściany. Zatrzasnął drzwi i jeden odpadł, ukazując pusty, biały odwrot. Zanim go schował, otworzył swój więzienny karton. W środku były listy, karty, film o gangach motocyklowych, zupka instant Liptona, *Psalmy*, lusterko do golenia, para białych więziennych bokserów, wydawanych przez prywatną firmę więzienniczą Corrections Corporation of America, zgrzewka soczków Capri Sun, stary magazyn heavymetalowy, czerwona kowbojska bandana.

Nie mogąc zasnąć, zszedł na dół i włączył telewizor w pokoju od frontu.

W suterenie Skinner usłyszał telewizję i odgłosy ciężkiego, nieznanego osobnika poruszającego się po podłodze.

Podczas prysznicza korzystał z szamponów należących do wszystkich mieszkańców domu, tylko nie do niego. Z przyzwyczajenia spędzał na myciu bardzo mało czasu, byle się trochę opłukać, wychodził i zaraz wracał do pokoju, aby błyskawicznie się ubrać. Starannie uczesał włosy, przeglądając się pod różnymi kątami w aluminiowym lusterku do golenia.

Z dołu dobiegł go krzyk:

Jimmy! Mama chce wiedzieć, czy możesz przyjść.

Zszedł po schodach i dał sobie przyrządzić jajka. Kiedy czekał, aż się ugotują, matka, zamiast spytać go o plany, poprosiła, żeby zerknął na zawiasy drzwi do szafy. Jimmy poruszył się, wstał od stołu, przedelfilował przez pokój – ciężki od masy ciała i ponurej ciemności w oczach, brody mokrej po prysznicu oraz wilgotnej jasnej skóry pod koszulą w szkocką kratę – i zerknął na zawiasy.

Wszystko z nimi w porządku.

Możesz naprawić?

Nie od razu odpowiedział twierdząco.

To tylko śrubka, stwierdził.

Przypominał ludziom o rzeczach, które dla nich załatwił, nawet jeśli o to nie prosili, ale on i tak je dla nich zrobił lub zamierzał zrobić – a także o rzeczach, które wykonał dla członków rodziny lub zupełnie obcych osób z całkiem innej bajki, takich jak przedstawiciele władz – po prostu o rzeczach, które trzeba było zrobić; dał im wszystkim do zrozumienia, że stara się pomóc najszybciej, jak się da – nie żeby sprawiało mu to kłopot – prosząc tylko, by każdy zaczekał na swoją kolej, ponieważ nie dość,

że czasem ktoś mu się narzuca, to jeszcze narusza prawa kogoś innego. Jimmy miał zobowiązania wobec wielu ludzi, należało to zrozumieć. Usiłował zachowywać się fair wobec wszystkich. Wóz Patricka: tylko Jimmy był dość uważny, żeby stwierdzić, że jest problem z łożyskiem przedniego koła. Potem znowu płytki w łazience. Bez obrazu, ale pod jego nieobecność nieprzesadnie dbano o dom. Słowem się nie odezwał, ale jego pokój, jeśli faktycznie miał tam mieszkać, zamienił się w brudownik na rzeczy do prania. Zrobić z niego miejsce nadające się do życia – sam sobie był to winien. A szafą zajmie się, kiedy będzie miał czas.

Uśmiechnął się sam do siebie, ponieważ rozumiał, na co się zanosi. Nikt ani myślał wynagrodzić go za całą wykonywaną przez niego pracę. Tak po prostu było. I tak było w porządku. Ale dla siebie też musiał zrobić parę podstawowych rzeczy, a państwo nie dało mu pieniędzy na ubrania ani kosmetyki. Państwo go wykopało. A dla niego było trochę za wcześnie, żeby myśleć o nowych biznesach, chyba że chciałby od razu wpaść. Potrzebował więc dwudziestu dolarów na zakupy. Wiedział, że matka je ma. Przy okazji przyniosłby jej wszystko, czego będzie potrzebowała.

Kiedy wyszedł, pani Murphy powiedziała: Musi wrócić do związku. Chyba go przyjmą. Mają własne zasady. Nie oglądają się na wyrok. Nie zrobił niczego takiego, co by go na dobre wykluczało. Chłopak daje radę, jak mu się chce. Ma dwa wyjścia: albo związek, albo praca u Patricka. Z Patrickiem kiepsko to widzę. W obecnej sytuacji nie będzie miał zajęcia dla nich obu, nie co dzień. U Patricka raz jest robota, a raz nie ma. To problem, ta ciągła huśtawka. Jimowi potrzebny jest regularny tryb życia, jak wtedy, kiedy pracował w związku. Tamci byli dla niego dobrzy, kiedy schodzili razem pod ziemię. Nie opuścił ani jednej zmiany. Wiesz, powiedział mi: Mamcia, byłem na każdej jednej zmianie. Całe moje życie nic, tylko się ukrywam. Wiem, mówię mu, pamiętam. Chował się, kiedy Patrick go wołał. Udawał, że nie ma go w domu, podczas gdy cały czas był. Wagarował, nic nowego w tej rodzinie. Raz w środku dnia usłyszałam jakiś hałas – siedział w suterenie. Nie słyszałeś, jak wołamy? – pytam. A on na to: Słyszałem, ale mamcia, nie chcę jechać z Patrickiem. Ja mu na to: Wiesz, że spierze ci za to dupsko. Nie, nie tym razem. A więc zanosi się na walkę bokserską w mojej kuchni. No i Patrick sprzął mu dupsko.

Za to w związku nie opuścił ani jednej zmiany. Odkąd raz poszedł do przyczepy i założył pas, coś zaskoczyło, to było coś dla niego. Nigdy tego nie zawalił. Chodził do pracy, potem wpadał do Feeneya i prosto do domu. Lubił się rozerwać, ale bez przesady. Mówił, że zna granicę. Wiedział, że musiał być w formie na następnej zmianie, więc umiał się pohamować. Teraz musi znów odnaleźć tę granicę.

Gdy Jimmy wrócił wieczorem, nie było mowy o pieniądzach ani o tym, co robił. Siedział na jednej z kanap w pokoju z przodu i oglądał telewizję. Załatwię ci kablówkę, obiecała matka. W więzieniu oglądali programy o gotowaniu, *reality show* z celebrytami i te poświęcone budowie domu, ze wszystkimi szczegółami technicznymi, w których kolejne elementy składały się jak puzzle. Uwielbiał to.

A, proszę. Położył na stole kuchennym karton slimów – cały karton – warty o wiele więcej niż dwadzieścia dolarów, które mu dała.

Chcesz mnie zabić? – spytała, tłumiąc śmiech. Muszę to gdzieś przed sobą schować. Obróciła się na krześle na raty i ukryła papierosy w szufladzie.

Byłam w więzieniu, wyszeptła.

Ty? Za co?

W tym kraju jestem nielegalną imigrantką. Przyjrzała mu się. Nie wiesz?

Nie. Nigdy mi nie mówiłaś.

Jestem. Bez wizy. Bez papierów.

I za to cię przymknęli?

Tak.

Jak tu trafiłaś?

Przemyciłam przez granicę.

Granicę z czym?

Z Meksykiem. Z południowo-wschodniej Azji przyjechałam do Meksyku, a potem wsiadłam w ciężarówkę.

Opowiedziała, jak dotarła do Archer na południu, a potem do kolejnych miast na wschodnim wybrzeżu. Policja aresztowała ją w Connecticut, kiedy wychodziła ze sklepu, gdzie kupiła coś na obiad i do picia.

Ile dostałaś?

Trzy miesiące.

Kurwa.

Tak. Ale problem, że nic mi nie mówili. Nie wiedziałam, że to będzie trzy miesiące. Nikt mi nie mówi, kiedy ja wychodzę, więc ja nic nie wiem. Niektórzy mówili, że będę tam rok, inni, że jeszcze dłużej.

Nic ci nie wyjaśnili?

Nie, po prostu siedziałam w więzieniu i czekałam, i nic nie wiedziałam.

Skinner był w szoku. Przetrzył cię w pierdlu tak, jak mnie w wojsku. To najbardziej popieprzona rzecz, jaką można komuś zrobić...

Zgodziła się z nim. I powiedziała, że za kratkami nie było jej łatwo. Myślę, że mogę od tego zwariować, więc boję policji. To po to przyjechałam na Queens, bo tu jest tyle obcokrajowców i myślę sobie, że gliny mnie nie znajdą.

A co by się stało, gdyby cię jednak zatrzymali? Musiałabyś wrócić?

Nie wiem. Pewnie coś złego dla mnie.

Co najgorszego mogliby zrobić?

Zamknąć w więzieniu albo odesłać do Chin.

Możesz coś z tym zrobić?

Nie wiem. Może iść do prawnika, prosić azyl. Przed jedenastym września chyba łatwiej niż teraz.

Wiedzą, że jesteś muzułmanką? Psy wiedzą?

Nie. Chyba nie wiedzą. Mało ludzi wie, co to Ujgurzy. Myślę, że dla wszystkich przebywanie teraz w USA jest niełatwe.

Znaczy się, będziesz tak tu sobie żyła, nie wiedząc, co się z tobą stanie?

Chyba tak. Westchnęła. Uniosła dłonie i klepnęła się po udach. Nic nie poradzę.

Skinner wydawał się wzburzony. Za jej sugestią wyszli na dwór, gdzie świeciło wspaniałe białe-złote wiosenne słońce, i przechadzali się wśród domów przy Drodze Czterdziestej; oboje doszli do wniosku, że to zwykły dzień, a ich obawy były przesadzone. Kiedy jednak wrócili później do sutereny,

a złote światło zniknęło za żaluzjami, Skinner popadł w zły nastrój i przestał się odzywać. Po wielokrotnych namowach, żeby wyjaśnił, co się dzieje, odparł: Nie mogę tego spieprzyć. Nie dam cię stąd deportować.

Przypomniał mu się posterunek na drodze do Syrii. Uchodźcy z Bagdadu wędrowali na północ w nadziei na ucieczkę przed wojną domową. W wyniku uzgodnień politycznych iraccy policjanci kontrolowali przejście przy wsparciu żołnierzy amerykańskich. W praktyce oznaczało to, że iracka policja, zinfiltrowana przez mafię, mogła robić, co się jej żywnie podobało. Niektórzy żołnierze USA narzekali, że policjanci nakładają kosmiczne myto na ludzi spoza plemienia Zafir. Inni skarżyli się, że Irakijczycy odsyłają szyitów i drwiąco każą im wracać do ich wiosek, gdzie zabijają ich sunnickie szwadrony śmierci.

Skinner był świadkiem tego, jak iracki policjant odciągnął jakąś dziewczynkę na pobocze i przesłuchiwał ją, przeszukiwał jej torbę, próbując dociec, czemu podróżuje sama. Była bardzo młoda, miała może ze dwanaście lat. Jej rodzina zginęła w Bagdadzie. Któryś z amerykańskich żołnierzy powiedział mu, żeby dał jej spokój. Irakijczyk upierał się, że nie wolno jej podróżować bez męża.

Wziął ją za rękę i odprowadził na bok, w miejsce, gdzie teren schodził ku niewidocznemu dla nas uedowi. W labiryncie brązowych wzgórz kryło się ileś niezadaszonych budynków, których czasem używaliśmy jako latryn.

Widziałem, że dziewczynka się boi.

Poszedłem do naszego sierżanta, który kazał nam nie reagować. Nigdy więcej nie zobaczyliśmy tej małej. Kiedy po dwóch dniach ponownie spotkałem tamtego Irakijczyka, zapytałem, co z nią. A on spytał, czy psami też się tak przejmuję. To zła dziewczucha, popiera partię Baas i jest wrogiem Ameryki, więc znalazł dla niej męża.

Zou Lei powiedziała, że najlepszym wyjściem dla niej i Skinnera była wspólna praca. Powinni połączyć siły i pomóc sobie nawzajem w swoich problemach.

Namówiła go do konstruktywnej rozmowy na temat tego, co jest do zrobienia. Przede wszystkim nie wolno im skupiać się na smutnej przeszłości. Była to pierwsza z dyskusji, podczas których planowali przyszłość. Jasną stroną sytuacji, przekonywała, jest to, że go spotkała i mogą razem stworzyć swoją własną armię, dwuosobowy oddział do walki z trudnościami związanymi z jego powrotem do zdrowia psychicznego i jej statusem imigracyjnym.

Jim. Jak idziesz, to rusz się.

Była piąta i dom tonął w kompletnych ciemnościach, tylko na dole paliło się światło w kuchni, gdzie siedział Patrick o małych oczkach i z włosami płasko zaczesanymi na mokro do tyłu, w koszuli w kratę, pikowanej kurtce i spodniach Dickies, albo czymś w stylu Dickies – w portkach dla stróża, ale bez metki. Całe jego ubranie było sprane i płaskie, jakby przygniatane osobą noszącego je mężczyzny. Ten sprawiał lepsze wrażenie niż jego ubiór. Mimo wczesnej pory mówił normalnym głosem. Brzmiał, jakby nie znosił sprzeciwu.

W poszukiwaniu ubrania, które chciał założyć, Jim przewrócił w swoim pokoju lampę, zaklął i postawił ją z powrotem, ale zaraz znów się przewróciła.

Pani Murphy pojawiła się na dole schodów z włosami nawiniętymi na wałki.

Już idzie. Zaraz będzie. Czy panowie napiją się kawy?

Patrick odpowiedział coś po irlandzku.

Daj mu chwilę.

Jimmy zszedł na dół nieśpiesznie, nie obawiając się już ojczyma. W kuchni czekały cztery wiadra i poziomica metr czterdzieści, gotowe, by trafić na pakę. Dom zatrzęszczał pod ciężarem dwóch potężnych mężczyzn wychodzących na zewnątrz. Pani Murphy wróciła do łóżka.

W suterenie Skinner usłyszał, jak pickup z kaszlem budzi się do życia i odjeżdża.

Pan Murphy i Jimmy nie zamienili ani słowa na temat tego, jak to jest wyjść na wolność po długim okresie odosobnienia. Jechali Drogą Czterdziestą w świetle latarni, które wciąż się paliły. Patrick rzucił, że nie ma ochoty na muzykę z dżungli. Specjalnie to nastawiłeś? Nie, odparł Jimmy łagodnie. To włącz radio. Trafili na program na żywo, którego gospodarz opowiadał się za torturami stosowanymi przez Amerykanów.

Szanowni państwo, to nie są tortury. Niewygodna pozycja – to nie tortura. Nie może się to równać z tym, co ci ludzie robią od tysięcy lat. Ucinanie głów, kamienowanie, palenie lub zakopywanie żywcem, chłosta, obdzieranie ze skóry i tak dalej. Tym okrucieństwom poddają swoich współwyznawców. Może wszyscy ci liberałowie inaczej by śpiewali, jakby stracili kogoś jedenastego września: ukochanego ojca, męża, żonę, syna czy córkę. Uruchamiamy linie telefoniczne. Witaj, Ed, jesteś na linii.

Cześć, chciałem tylko powiedzieć, że lubię pański program.

Dziękuję, kolego.

Mój brat brał udział w inwazji na Afganistan w dwa tysiące pierwszym, więc zna te kłamstwa, które nam teraz podsuwają, jak media przedstawiają to, co oni robią, znaczy, że jak zbudują szkołę, to w mediach tego nie pokażą. Interesuje ich tylko to, co złe. To do nas dociera. A ci wszyscy ludzie z jakiegoś powodu chcą wierzyć w to wszystko, o czym trąbią media, z powodu jednego zabójcy dzieci. Dajesz irackim dzieciakom wodę pitną, a robią z ciebie mordercę dzieci.

Gospodarz programu i dzwoniący zaśmiali się z oburzeniem.

Wiem, Ed. Żyjemy w czasach, kiedy najwyraźniej niemodnie jest kochać ten kraj. Chciałbym podziękować tobie i twojemu bratu. Niech mu Bóg wynagrodzi jego służbę. Jesteśmy tak wdzięczni naszym dzielnym mężczyznom i kobietom w mundurach. A cała ironia, Ed, polega na tym, że ci dzielni mężczyźni, jak twój brat, i kobiety jadą do tej zapadłej dziury, zgłaszają się na ochotnika, podczas gdy ludzie tu w kraju tylko się... tylko na nich narzekają. Podczas gdy wcale nie muszą. To nie ich zasługa. Żołnierz jedzie i robi, co do niego należy, a gabinetowi liberałowie narzekają. Jak dla mnie, to jest pokręcone.

To prawda.

Dziękuję ci, Ed. Mamy następnego dzwoniącego, Johna z Maspeth.

Podjechali do sklepu budowlanego na College Point Boulevard, tuż obok Dunkin' Donuts.

Masz chwilę, żeby coś sobie kupić, powiedział Patrick, wysiadając. Jego trzydziestodwuletni pasierb stwierdził, że nie chce, i został na siedzeniu pasażera. Jimmy'ego coś gryzło. Nie był zadowolony, to jasne. Ale nie narzekał. Musiałbyś go błagać, żeby okazał urazę. Musiałbyś to z niego końmi wyciągać. Patrick nie miał takiego zamiaru. Wszedł do Dunkin' Donuts i stanął w kolejce. Przewyższał wszystkich wzrostem, nawet młodego umiejętnego portorykańskiego robotnika z wytatuowanymi przedramionami i przebitym uchem. Był pierwszą osobą, jaką było widać zza okna. Ale Jimmy nie zwracał na niego uwagi. Ze złośliwym uśmiechem przeglądał zawartość schowka. Kwity z parkometru, paragony, dowód rejestracyjny na pełne, trójczłonowe irlandzkie nazwisko Patricka. Po terminie ważności. Serio? Uśmiechnął się złośliwie. Sprawdził datę. Który dzisiaj? Przekręcił kluczyk w stacyjce i włączyło się radio. Niczym mechanik, rzemieślnik, muzyk skupił się na precyzyjnym ustawianiu radia, przekręcając gałkę. Programy były inne niż kiedyś. Ale skoro nie było Deep Purple, to przynajmniej powinien trafić się Elvis. Kiedy Patrick wrócił, leciał Frankie Valli, a Jimmy dostrajał częstotliwość. Był rozkojarzony. Nie spojrzął w górę. Patrick postawił dwie małe kawy na desce rozdzielczej. Była promocja na dwa pączki w opakowaniu z szeleszczącego papieru śniadaniowego. Jimmy wziął, co mu podano. Przez całą wyprawę wykazywał się tolerancją wobec zapyziałego samochodu i ojczyma, niechętnego, by dać mu do ręki dwa dolary, w obawie, że mogłyby pójść na coś innego niż kawa. Teraz przyszedł czas na stanowczość.

No to gdzie dzisiaj jedziemy? – spytał zdecydowanie.

Ogromne kraby z długimi pajęczymi odnóżami wyginały się i kuliły w zbiorniku na witrynie restauracji Favor Taste. Na parceli, gdzie znajdował się zakład recyklingu pod nazwą Andy Metal, mężczyzna w masce przeciwpylowej podrzucił w górę kawałek aluminium, który wylądował na szczycie sterty podobnych. Płyty cementowe Perma Base, gotowa zaprawa Super-Tek, plastikowy siding firmy Vision-Pro, cement Lehigh Portland, bezkielichowe rury PCV. Wszystko bez nadzoru, zauważył Jimmy.

Obok przeszły dzieciaki metr sześćdziesiąt z kolczykami w uszach. Jeden miał żółte buty za kostkę z logo w kształcie łyżwy.

Warzywa Golden Fields. Torby na pranie North Shore, umazane od dołu pociemniałym tłuszczem, piętrzyły się pod bocznym wejściem do restauracji, w której pomocnicy kuchenni siedzieli na betonie.

Kobiety na wysokich obcasach przechodziły bulwarem; sprawiały wrażenie chorych, jakby sprzedano je na niewolnice w stylu gejsz. Jimmy patrzył.

Fala Chińczyków. Szurających niedbale jak po lobotomii, jakby byli opóźnieni, zmuszeni w dzieciństwie do kontaktu z pestycydami. Kobiety z wrednymi skośnymi oczyma, o twarzach złych macoch. Napiętych, obłąkanych, zaburzonych, z wyskubanymi brwiami, wiecznie zmartwione, niezdolne do myślenia, zablokowane czymś, co utkwilo im w mózgach nad oczyma. Były też ciężarne. Pchały wózki dziecięce, prowadziły pociechy za rękę, ciągnęły przez pasy stadko maluchów trzymających się za ręce.

Na szyldzie przed brudnym wejściem widniały napisy: „Okłady wyszczuplające”, „Diamentowy peeling twarzy”, „Zabiegi dla cery trądzikowej, cery wrażliwej”, „Masaż”.

Wniósł zlewozmywak do czyjegoś domu i trzymał go, kiedy Patrick przymocowywał złączniki w dole. Między zlew a ścianę nałożyli warstwę silikonu. Patrick odkręcił kran, z którego popłynęła woda, uderzyła o dno i spłynęła do ścieków.

Podczas drogi powrotnej Jimmy zauważył, że jakimś cudem znalazły się pieniądze na odnowienie sutereny, podczas gdy w jego pokoju ściany były dziurawe. Mrugnął porozumiewawczo. On zrobiłby to samo, skoro była szansa zarobić parę groszy.

Patrickowi nic nie wspominał – uważał, z kim się tym dzieli – ale kiedy u Erin była grupka przyjaciół i pojawił się temat wojny, Jimmy stwierdził, że to przekręt.

W sensie, po kiego?

Jak wszystko. Dla kasy.

Że niby jak na tym zarabiają?

Jimmy, który pił piwo, zmrużył oczy i zrobił minę, minę znaczącą: chyba to jasne, to takie oczywiste, jak można być tak głupim, żeby myśleć inaczej. Był zdegustowany nie tyle faktem, że ktoś zarabia na wojnie, ile naiwnością pytania.

Któryś z gości powiedział, że zna kogoś, kto był w Wietnamie i wie, co się dzieje, kiedy samolot uderza w budynek, i to nie jest to, co zdarzyło się jedenastego września: samoloty kompletnie nie wyparowują, jak to się niby stało? Odnaleziono by raczej odłamki. To dowód na to, że nie było tak, jak nam wciskają! Myślisz, że jedenasty września został zaplanowany od wewnątrz?

No jasne.

Popieprzone, stwierdzili z przestachem i zachwytem.

Skinner poznał Jimmy'ego w następujący sposób: był świadom, że w domu jest ktoś nowy. Słyszał przez sufit nieznamy głos należący do mężczyzny mówiącego bez irlandzkiego akcentu. Był dla niego tylko szeregiem kroków, ciężarem na podłodze. Nie wiedział, kim on jest.

Poszedł do spożywczego na rogu, gdzie przebiegały tory. W sklepie sprzedawali fajki wodne ustawione w witrynie jak strzelby w zbrojowni. Skinner zapłacił za paczkę cameli. Na opakowaniu zawijała się niebieska smuga jakby dymu, mająca wskazywać na smak mentolowy. Schował papierosy do kieszeni, zapaliwszy jednego, i patrzył na Northern Boulevard. Zepsuty parkometr ktoś obwiązał kurtką. Skinner dopalił i skierował się z powrotem do swojej sutereny. Minął holenderskie domy i szpaler wciąż bezlistnych drzew pod ciężkimi deszczowymi chmurami.

Zbliżał się do irlandzkiego baru, gdzie jakiś facet w czarnym miejskim rynsztunku bojowym – luźnych džinsach, timberlandach, kamizelce i czapeczce w stylu SWAT – stał z owiniętą wokół dłoni łańcuszkową smyczą, na której trzymał pitbulla o tygrysim umaszczeniu.

Zza rogu wyłonił się potężny facet z energią kogoś, kto zaraz zetnie cały las jedną ręką. Kołysał się w górę i w dół, jakby szedł na sprężynach, długie włosy bujały się w przód i w tył, a na płaszczyźnie jego twarzy odznaczały się krótkie linie oczu i ust. Miał ponad metr osiemdziesiąt i ważył ze sto kilo. Broda upodabniała go do bikera z lat siedemdziesiątych. Skinnera uderzył pewien nietypowy detal: mężczyzna miał czerwoną bandanę zawiązaną wokół uda. Wszedł do baru, oddał swojego zapalonego papierosa właścicielowi pitbulla, który wziął go bez słowa, pewnie żeby go przytrzymać, aż tamten wyjdzie.

Gdy tego samego wieczora Skinner wyszedł na dwór po Zou Lei, mającą nadjeść od strony Sanford Avenue, jego uwagę przykuła sylwetka mężczyzny, który szedł aleją, ginąc za drzewami i wyłaniając się spomiędzy nich – jakiś kilometr dalej w mroku, czyli w zasięgu M16. Poruszał się w sposób nie do pomylenia. To był facet z baru i Skinner widział go tego dnia po raz drugi.

Którejś nocy pod koniec pierwszego tygodnia kwietnia Skinner zobaczył go po raz trzeci, wracającego do domu. Tym razem pociąg Long Island Rail Road przemknął z hukiem między drzewami szykującymi się do kwitnienia. Skinner drgnął od hałasu, a kiedy spojrzął w górę, pojawił się ten mężczyzna, przechodzący obok jakiegoś białego domu. Szedł nieco przed Skinnerem, który poznał go i przyglądał mu się kątem oka. Jednocześnie przeszli przez Sto Pięćdziesiątą Ósmą Ulicę i ich ścieżki zaczęły nakładać się na trasie prowadzącej do Murphych. Stało się jasne, że obaj zmierzają do tego samego domu. Żaden się nie odezwał. Najpierw wszedł nieznajomy, a za nim Skinner.

Już w domu usłyszał, jak tamten rozmawia z Erin, a potem idzie do mieszkania na górze, po czym jego kroki zyskały rozpoznawalne brzmienie, i wtedy Skinner zrozumiał, kim jest nieznajomy: synem pani Murphy, który znów tu mieszka. To on był ciężarem na podłodze.

Chwilę przedtem, kiedy nagle spotkali się przed drzwiami, Skinner po raz pierwszy zetknął się z nim z bliska, dostrzegając kątem oka obcą postać w mroku przedpokoju, wysoką sylwetkę wznoszącą

się ponad nim na półpiętrze.

Mężczyzna zostawił mu otwarte drzwi, ale ich nie przytrzymał.

Miło z twojej strony, rzucił Skinner, a tamten spojrzał na niego tak, jakby w miejscu, z którego pochodził, nawet najdrobniejszy żart był czymś niesłychanym.

Zou Lei powiedziała Sassoon, że weźmie niedzielną zmianę Zhang Zhuojin, o ile dostanie zapłatę za nadgodziny. Wyraźnie zapytała Sassoon, czy nadgodziny zostaną uwzględnione. Sassoon z rozdrażnieniem zbyła jej dociekania, ale w niedzielę Zhang Zhuojin i tak przyszła, więc Zou zaczęła się zastanawiać, która z nich dostanie pieniądze. Namawiała Zhuojin, żeby wróciła do domu, ale ta odmówiła i zasugerowała, że Zou Lei próbuje ją w jakiś sposób oszukać.

Zou Lei zapisała nazwiska ich obu w grafiku i dodała: „OBIE JESTEŚMY TUTAJ”, po czym dorysowała strzałkę do ich nazwisk. Zapytała Zhuojin, czy może zająć się za nią bemarem.

Ja tobą nie rządę, odparła Zhuojin.

Tamtego popołudnia ruch w interesie panował niewielki, a szefów nie było, ale mimo to dało się odczuć niewytłumaczalne napięcie. Kiedy Zou stała przy kuchni, słyszała, jak Zhuojin tłucze stalowymi garnkami do leniwego akompaniamentu tajwańskiej muzyki pop dochodzącej z głośników pod sufitem. Zhuojin twierdziła, że musi ugotować czterdzieści litrów zupy, o której Zou Lei nigdy nie słyszała, żeby była u nich w sprzedaży. Między drugą a czwartą po południu zjawił się tylko jeden klient, poprosił o *yuk haam*, czyli mięso mielone. Zhuojin zrozumiała jego prośbę i uparła się, żeby je dla niego przygotowały. Pod koniec pracy przybiegła z zapleczka z parującym garnkiem w rękach – żyły na szyi odznaczały jej się pod skórą bardziej niż napięte ścięgna – i przelała jego zawartość do wiadra na kiszone warzywa. Nad pokrywą od chłodziarki ze stali nierdzewnej wzbil się pióropusz pary. Zou Lei powiedziała jej, że nie trzeba było dźwigać takiego ciężaru samej. Mogła się poparzyć. W wiadrze zobaczyła wciąż buzujący płyn z czarnymi strzępami, w których rozpoznała rybią skórę unoszącą się z dna.

Po wejściu Skinnera rudowłosy barman zachowywał się z rezerwą. Kiedy gość wypił w jego obecności, barman rozluźnił się, jakby to on sam pił. Kiedy Skinner wychylił drugą porcję rumu Parrot Bay, tamten podszedł do niego i nagle się ożywiwszy, zaczął opowiadać mu o swoich kłopotach z kobietami.

Nie powinienem był podawać jej swojego prawdziwego nazwiska. Zajrzyj do książki telefonicznej. W dzisiejszych czasach na Flushing jest masa Chinów i Kimów, ale McIntyre'ów niezbyt wielu. Wiesz, ilu dokładnie? Jeden. No jasne, to ja. Więc widzisz, dzwoni do mnie: Czy to rezydencja pana Johna McIntyre'a, takiego i takiego, itepe?!

Udawał, że trzyma słuchawkę przy uchu, i wytrzeszczał oczy.

Nigdy nie podawaj swojego prawdziwego nazwiska. Zasada numer jeden, jeśli chodzi o kobiety. Moja dziewczyna też jest Chinką, zauważył Skinner.

Więc lepiej powiedz jej, że nazywasz się Kim, albo niech cię Bóg ma w opiece.

Grozi jej deportacja.

Więc nie masz się czym martwić, o ile masz z nią kłopoty.

Nie mam. Chcę, żeby została. To władze próbują się jej pozbyć.

Wszczęli już procedurę?

Nie wiem, co dokładnie robią.

Jest coś takiego jak zatrzymanie i wydalenie. Sam jestem imigrantem, więc wiem o tym wszystko. Zatrzymują kogoś, a potem wszczynają procedurę deportacyjną. Najpierw ją aresztują imigracyjni, albo obecnie raczej ci od bezpieczeństwa narodowego.

Jeśli to, kurwa, zrobią, mruknął Skinner, to spalę pierdoloną flagę tego pierdolonego kraju i podetrę się jej popiołami.

Czyli ją lubisz i chcesz, żeby została? Na tyle, żeby się z nią ożenić?

Skinner spojrział na dno szklanki i potwierdził: Tak.

To czemu jej nie poślubisz? Jesteś obywatelem amerykańskim, co nie? Bo, wiesz, w wojsku zdarzają się kolesie bez obywatelstwa, ale ty je masz, prawda? Jeśli obywatel poślubi babkę z innego kraju, może ją przywieźć ze sobą i ona ma prawo zostać. Nie słyszałeś o żonach na zamówienie z Rosji?

Jak chcesz tego, to ją po prostu zapytaj. Oczywiście nie twierdzę, że musisz brać ślub. Ja w życiu bym się nie mógł ożenić. Lubię skakać z kwiatka na kwiatek. Nudzą mi się i nie umiem usiedzieć w miejscu. Ale jeśli chcesz zatrzymać swoją tutaj i nie masz nic przeciwko ślubowi, to go weźcie. Choć spodziewam się, że urzędnicy będą wam rzucać kłody pod nogi. Ale to przynajmniej spowolni proces deportacji.

Tylne drzwi były otwarte i zamajaczył w nich tamten staruszek z marynarki, który powinien już nie żyć; wynosił śmieci. Na tle szurania pojemników po betonie słychać było, że coś mamrocze. John McIntyre, który jakimś cudem zrozumiał jego słowa, coś mu odpowiedział.

Tymczasem Skinner poszedł do centrum handlowego Flushing z telefonem przy uchu i zadzwonił do Zou Lei.

Kiedy po skończeniu pracy wyszła w fioletowy zmrok, Skinner na nią czekał. Zapaliły się latarnie, a oni zjedli po kawałku pizzy, mijając stację paliw, i szli wzdłuż rzeki.

Była tak poruszona, że nie odzywała się przez dobre półtora kilometra.

Co myślisz?

Masz wielkie serce, Skinner!

Cieszył się z jej szczęścia.

Po prostu mówisz, że ze mną ożenisz, niewiarygodne.

Zmierzali na północ w kierunku College Point, rzeka stawała się coraz szersza, a budynki coraz niższe i rzadsze. Przed nimi autostrada wznosiła się nad ziemią niczyją. Zerwał się wiatr.

Dziś wiem, co prawdziwy Amerykanin, powiedziała.

Odetchnęła głęboko i rozejrzała się, w oddali za czarną wodą majaczyły światła. Nie mogła uwierzyć w swoje szczęście. Życie tak bardzo ją zaskoczyło. W ciemności spojrzała na niego z uznaniem.

Rzucę palenie, stwierdził.

Okna od frontu zasłaniały białe rolety i koronkowe firanki. W ogródku od tyłu, obok zardzewiałego pojemnika z szybkowiążącą zaprawą, murszało drewno. Dom miał kilka pięter, może ze trzy. I więcej okien, niż dało się zobaczyć. Te na górnych poziomach były szarymi kwadratami odbijającymi szarość nieba i asfaltu. Dachy zwijały się jak języki, spod brakujących dachówek wyzierała smoła. Przez okienko na strychu wyłaziły namokła od deszczu żółta izolacja i srebrzyste poszycie.

Kiedy obeszła bok domu, wyrosło nad nią wiele okien. Stała do nich pod kątem, więc niczego nie mogła przez nie zobaczyć. Nocą w jednym czy dwóch się świeciło. Okno najbliżej po prawej – kiedy stało się pod drzwiami – należało do kuchni. Dobiegały z niego ściszone głosy, które milkły, kiedy zapukała do drzwi, i znów rozbrzmiewały na dźwięk kroków Skinnera wychodzącego z sutereny, żeby ją wpuścić. Często zamiast pukać, dzwoniła do niego na komórkę, aby dać znać, że jest pod domem. Nigdy nie użyła dzwonka. Przypuszczała, że słyszą, jak otwiera i prowadzi gościa na dół.

Przez całą zimę udawało jej się nie być widzianą. Nie stanęła twarzą w twarz z żadnym z domowników. Odwiedzanie Skinnera weszło jej w nawyk; uważała to za coś oczywistego.

Cały ten dom powoli nabierał dla niej jednego znaczenia – oznaczał jego. Spojrzeć na ten budynek było jak spojrzeć wprost na Skinnera, dom był dla niej tym, co akurat działo się między nimi: kiedy się dogadywali, wyglądał przyjemnie; kiedy się kłócili – przygnębiał ją. I choć unikała jego mieszkańców, nigdy nie bała się wejść do środka.

Pewnego popołudnia tamtej wiosny, kiedy zapukawszy, stała pod drzwiami, wydało się jej, że słyszy, jak ktoś podchodzi do okna kuchennego, patrzy na nią, po czym zwraca się do towarzyszącej mu osoby:

Kto tam jest?

Zerknę. Jakiś żółtek. Zamawialiście chińszczyznę?

My nie. Pewnie lokator.

Ślub to wspaniały pomysł, oświadczyła, ale to nie będzie proste ani łatwe. Może się wiązać z kosztami, od prawnika po zakup obrączki. I wyjście za Skinnera może nie wystarczyć, żeby mogła legalnie zostać w kraju. Mogą pojawić się kolejne przeszkody urzędowe i praktyczne. Dlatego namawiała go, żeby dobrze się zastanowił, zanim to zrobi. Na dodatek, naciskała, jest młodym mężczyzną i może potem żałować. Nie chciała go wykorzystywać...

Nie wiem, czemu miałoby nam nie wyjść, stwierdził.

Bała się, że będzie ich to kosztować sporo wysiłku, a on sam ma już tyle na głowie. Co, jeśli moje zmartwienia zsumują się z twoimi? Może powinniśmy poczekać.

Czekanie nie ma sensu, odparł. Jeśli chcesz coś zrobić, lepiej zrób to dzisiaj, bo nie wiesz, co przyniesie jutro.

Któregoś niedzielnego poranka szła ze Skinnerem Main Street w kierunku Franklin Avenue, mijając stragany z jedzeniem. Kiedy dotarli prawie na szczyt wzgórza, stoiska się skończyły, a uwagę Zou Lei przykuł szereg pojemników. Stały przed sklepem o niewidocznym szyldzie. Powiedziała Skinnerowi, że chce się przyjrzeć, podeszła bliżej i zobaczyła coś jakby suszone śliwki. Na kartonie napisano po chińsku: sześć rodzajów daktyli. Na prowizorycznych półkach wspartych na pustakach leżały kwiaty lili, nasiona lotosu, gotowane orzeszki ziemne, tubki pasty Darlie Double Action 2 Mint Powers oraz mydło Fan Medicated.

Na co patrzysz? – spytał, podchodząc. Osłoniła oczy dłońmi, żeby lepiej widzieć przez szybę.

To chyba medycyna chińska.

Medycyna chińska?

Tak. To jest to.

Odwróciła się do niego. Skinner, myślę, że możemy wejść. Poszukać czegoś, co cię wyleczy. Może pomóc w wielu sprawach, wobec których zachodnia medycyna jest bezsilna.

Złapała go za ramię.

No dobrze, zgodził się.

Wejdiesz tam?

Wejdę.

Nie ma problemu?

Nie ma.

Weszli do środka, gdzie pachniało imbirem. Na środku podłogi piętrzyła się góra suszonych składników: zwierząt wyglądających jak rośliny, roślin wyglądających jak zwierzęta, siekanych rogów, chrząstek, kości sterczących jak gałązki, drewna i korzeni. Na ścianach było pełno pudełek z lekami, jak w aptekach Duane Reade, tyle że z inną zawartością. Sprzedawali tam plastry Gou Pi. Za ladą widać było rzędy stojów aptekarskich zawierających muszle słuchotek. Na zapleczu kryła się wielka szafa z poopisywanymi szufladkami, przypominająca katalog kartkowy w bibliotece albo skrzynki depozytowe w banku.

Za ladą stało trzech mężczyzn w marynarkach i negocjowało coś po chińsku z grupką klientów. Przy paskach mieli komórki i klucze. Jeden z nich – łysiejący mężczyzna w okularach – powiedział: Dziesięć procent zniżki – dziesięć – i skrzyżował palce wskazujące w kształt chińskiego znaku na dziesięć.

Kolejny mężczyzna, który przypatrywał się negocjacjom, obrócił się, aby spojrzeć na Skinnera

i Zou. Przesunął po nich wzrokiem i spytał Zou: Czego chcecie?

Przyprowadziłam mojego przyjaciela po lekarstwo. Przeżył szok. Szok był poważny.

Mężczyzna uciszył ją, unosząc palec. Nie rozumiał, o czym ona mówi, więc musiała zwrócić się do pana Jia. Mężczyzna pokazał go ruchem brody, po czym odwrócił się, schował ręce za plecami, i odszedł na drugi koniec lady.

Obeszli sklep dookoła, mijając środki na potencję w przeszklonej szafie z tyłu: Twardy przez dziesięć dni, Moc czarnej mrówki, Pan Okolicy, Niemiecki bykowiec. Dla niej nie było to nic egzotycznego, a on nawet nie zauważył tych produktów.

Skinner zaczerpnął z tacy na środku sali garść cukierków w pozłotku.

Myślisz, że są dobre?

Może, odparła.

Pociągnął nosem, próbując coś poczuć przez opakowanie. Powąchaj, poprosił. Co to za zapach?

Szukała właściwego słowa. Na kawałku tektury wyciętej z kartonowego pudełka wetkniętym w cukierki widniał napis: „Cukierki ze złotego drzewa imbirowego”. Wykaligrafowano go cienkim niezmywalnym markerem.

To imbir.

Powiniennem kupić?

Musimy chyba poszukać czegoś, co ci może pomóc, a nie tylko smakować.

Słusznie. Wypuścił cukierki na tacę. Po prostu nie wiem, jak to wszystko działa.

Ja też nie wiem, ale popatrzeć możemy.

Zaczęła buszować w kolejnych produktach z półek, patrzyła na nie, obracała i odkładała na miejsce: plastry przeciwbólowe Dacon, plasterki na stopy, organiczna kasza z sorga, herbatka z serdecznika, herbatka Vita-nerki, Vita-heros (na potencję), owoce głogu, suplement diety z korzenia ban lan gen, herbatka z modligroszku, herbatka z tybetańskiej gujawy, suszone nasiona łzawnicy (łyż Hioba).

Na ścianie po przekątnej, jeśli patrzeć od słoików, wisiał plakat przedstawiający bladą kobietę łączącą kciuk z długim palcem wskazującym porcelanowej dłoni w geście „okej” i patrzącą przez powstałą pętelkę na widza. Napis po chińsku głosił: „Kiedy twoja miesiączka jest okej, wszystko jest okej”. Drugim okiem kobieta mrugała do patrzącego. Pozostali klienci wyszli i Zou Lei wróciła do lady, żeby porozmawiać z panem Jia, który był już wolny.

Czego ona chce? – zapytał pan Jia współnika, patrząc znad okularów.

Sama chce powiedzieć.

Zaraz powiem.

Dobrze. No to powiedz! – polecił pan Jia, dalej znad okularów. Brodę miał opuszczoną i patrzył na Zou z wyrazem rozbawienia, jakby sytuacja była komiczna, a on ledwo mógł się powstrzymać od śmiechu.

Przyprowadziłam przyjaciela po lekarstwo, powiedziała i zaczęła tłumaczyć, o co chodzi ze Skinnerem. Nie wiem, jak to nazwać. Służył w Iraku. Tam za dużo szoku. Ciągłe spadały bomby. Ciurkiem wybuchały koło jego ucha. Przeżył szok. Jest bardzo dzielny, ale ma niepokoję. Pije więcej niż ciut.

Był ranny?

Tak, był ranny. W plecy. Ale miał też wstrząs głowy.

Pan Jia skinął na Skinnera, by ten podszedł. Proszę pokazać ramię. Podwinąć rękaw. Ale Skinnerowi wygodniej było całkiem zdjąć bluzę. Pan Jia spojrzał na drugiego mężczyznę i skomentował: Mięśnie amerykańskiego chłopca są takie duże, że nie może podciągnąć rękawa. Wszyscy się uśmiechnęli. Do Skinnera zwrócił się zaś po angielsku:

Duży chłop. Dobrze!

Złapał go za nadgarstek i przez piętnaście sekund badał tętno.

Następnie kazał mu otworzyć usta i pokazać język. Zbliżył dłonie do jego twarzy, jakby chciał dotknąć jego języka, ale Skinner się uchylił.

Popatrz, popatrz! Żołnierza tak łatwo wystraszyć! – rzucił Jia do pozostałych.

A po angielsku: Nie martwi się. Nie dotykam. Tylko patrzę.

Pan Jia zmrużonymi oczyma przyjrzał się przez okulary językowi Skinnera. Już widzę. Już mówię. Ma chorobę. Ciało wewnętrzne nie działa dobrze. Przywołał współpracowników, Zou Lei też kazał spojrzeć. Widzicie? Sięgnął do twarzy Skinnera, a ten zamrugał. Widzicie reakcję? To zaburzenie. Normalny żołnierz nie boi jednej ręki. Powstrzymałby ją. A ten się uchyla. Tętno gwałtownie przyspieszone, oznaka szoku.

O tak, widzimy, zgodzili się współnicy. Wszystko jasne. Zaburzone reakcje.

Ty też widzisz? – zapytał pan Jia Zou Lei.

Dostałeś! – krzyknął do Skinnera. Prawie jak pięścią. *Piuyaa!* Uderzył jedną ręką o drugą. Skinner mrugnął. Szkodzi ciału, szkodzi umysłowi. Brak równowagi. Prawda? Jeden dzień szczęśliwy, drugi dzień smutny.

Aptekarz zrobił minę smutnego dziecka, zakwilił i potarł oczy pięściami.

Prawda?

Skinner tylko patrzył, ale Zou Lei potwierdziła, że to właśnie to, a pan Jia uśmiechnął się szeroko.

Kazał kolegom przynieść wuzhihuang super jakości, pomarańczowe pudełko rozmiarów zero siódemki. Pokazał im złotą pieczęć na pudełku i upewnił się, że Zou Lei przeczytała: „Narodowa Marka Chin”.

Przywraca równowagę, wyjaśnił. Czytaj. Wskazał na składniki: czyste *polygonatum*, *coronarium*, *angelica sinensis*, *scutellaria barbata*. Czyste, podkreślił – było to jedno z niewielu słów, które zechciał wypowiedzieć.

Jak wyjaśnił, czystość składników miała uzasadniać cenę wynoszącą pięćdziesiąt dziewięć dziesięćdziesiąt dziewięć.

Zawahała się i zapytała, czy pan Jia wie, co jest nie tak ze Skinnerem. Chciała jeszcze raz opisać objawy, by upewnić się, że nie doszło do pomyłki.

Objawy pochodzą od przyczyny, prawda? Więc musimy leczyć przyczynę, nie objawy. To stanowi o przewadze medycyny chińskiej nad zachodnią. Naklejenie plasterka na chorobę jej nie leczy. Choroba nadal jest. Musimy leczyć wewnątrz. Jego brak równowagi wynika z wewnątrz. Medycyna działa na wewnątrz. Słyszeliście o komórkach, prawda? Komórkach ciała, tak? Ta medycyna potężnie działa na komórki. Leczy komórki. Wiecie, co się wtedy dzieje? Oczywiście leczy się ciało. Naprawić komórkę to naprawić całe ciało.

A co z jego piciem?

To. Wskazał na obecną wśród składników *scutellarię*. Toksyny precz, wyjaśnił.

Jego ból jest psychologiczny.

Ma schizofrenię?

Nie. Ma smutek.

Kiedy ciało poczuje się lepiej, umysł też poczuje się lepiej. Za jego dzielną służbę dam dziesięć procent zniżki.

Chciała zadać kolejne pytanie, ale drzwi się otworzyły, zjawili się nowi klienci, a pan Jia wyszedł z za lady, żeby ich powitać. Byli Chińczykami i od razu zaczęli tłumaczyć, czego im potrzeba.

I co powiedział?

Mówi, że da zniżkę.

Medytowali razem nad pomarańczowym pudełkiem ze złotą pieczęcią.

Jak to się bierze? Tak jak odżywki MET-Rx, miesza się z sokiem?

Przeczytała dwujęzyczną instrukcję na pudełku.

Robi się herbatkę.

Herbatkę?

Musiałbyś wreszcie kupić czajnik, żeby zagotować wodę.

Mogę wziąć od gospodarzy. Myślisz, że powinienem?

Przyszło jej do głowy stare powiedzenie: Jakie lekarstwo sprzedajesz mi w tej tykwie? Nie

powiedziała, że nie ufa aptekarzowi, ale zauważyła, że lek dużo kosztuje.

To tylko pieniądze.

Chciał spróbować czegoś, żeby przekonać się, czy zadziała.

No to może spróbuj, stwierdziła. Ostatecznie ona też spróbowała.

Jeden z pracowników podszedł i wziął od Skinnera kartę. Zou Lei powiedziała, że aptekarz dał im dziesięć procent zniżki. Sprzedawca odparł, że tak, ale tylko przy płatności gotówką. Doliczył podatek i wyszło sześćdziesiąt pięć dolarów. Włożył pudełko do plastikowej torby, położył na ladzie i odszedł z paragonem.

W południe spadł deszcz, więc schowali się pod rusztowaniem i zjedli tam shaokao. Przestało padać, zaświeciło znowu słońce, a oni wspięli się na wzgórze i zeszli po drugiej stronie, gdzie ulica się rozdwała. Weszli do parku po drugiej stronie Elder Avenue.

Mokra droga schła w słońcu po deszczu. Niedaleko zobaczyli grupę budynków – Booth Memorial Hospital. Pod drzewem kobieta w średnim wieku wykonywała numer z chińskiej opery. Przeszli przez zachwaszczone boisko, po którym Zou Lei biegała przez całą zimę, porane śladami po maszynach budowlanych. Kobieta złączyła palce i obróciła nadgarstki w sposób, który wciąż przypominał Zou ujgurski taniec. Kiedy znaleźli się bliżej, usłyszeli fałszywe nuty jej pieśni. W kałuży leżała piłka tenisowa, którą Zou Lei podniosła. Spojrzała z powrotem na Skinnera, a on patrzył na nią, trzymając w dłoni plastikową torebkę z lekarstwem. Za nim rysowała się sylwetka miasta.

Coś nie tak?

Nic.

Chcesz zagrać?

Nie, odparł.

Podążyła mu piłkę – rzucił ją. Uderzyła o beton, pozostawiając mokry ślad.

Jimmy był w barze Feeneya, gdzie grano w Keno i Boardwalk. Większą szansę tobyś miał na uderzenie przez piorun, gdybyś stał z kawałkiem metalu w ręku, krzyknął Rick. Ta maszyna nic nie płaci. Małe szanse? Raczej bez szans. Śpiewali razem *Dust in the Wind*. Skądś zalaływało ziołem, ktoś coś jarał.

Nie rób wiochy. Wyglądasz jak Mick Jagger na herze, powiedziała Gladys do Ricka.

Naklejki na zderzak przy szafie grającej głośno: „Kocham czerwone światła”. „Dumny członek związku Spawacze Oddział 683”. „NapijSieZBobem.com”. „Temu koleśowi odwaliło!!!” „Faceci z wiertarkami”. „Dźwigowi”. „Nowy Jork i okolice”. „Guinness, o Boże!”

Ray, w dżinsowych szortach i białych adidasach, zamierzał wrzucić wybrany kawałek na szafę grającą, ale jakiś facet z burzą sterczących włosów poszedł za nim, szurając nogami.

Możesz puścić coś z rock'n'rolla?

Bez obaw. Idź, usiądź sobie.

Wczoraj ktoś próbował obciąć mi włosy.

Co? Idź usiądź.

Mężczyzna poszurał z powrotem do baru i próbował wspiąć się na swoje miejsce, ale jego uwagę zwróciły kobiety. Poczłapał do nich i coś wymamrotał.

Nie rozumiem tego gościa. Wiesz co, posiedź sobie spokojnie, aż będziesz mógł mówić.

Muzyka poleciała z szafy, a Gladys z wymizerowaną, męską twarzą i Rosy, i trzecia kobieta z białymi włosami, która odstawiła torebkę na bar, zaczęły śpiewać. Niezły kawałek! Podkreć trochę, kochanie! I recytowały tekst podczas mówionej części piosenki: *The lips that used to touch yours so tenderly*.

Pijany typ odsunął się od Jimmy'ego, który miał teraz wolne stołki po obu stronach swojego miejsca, nad którym górował – przerośnięty i milczący.

Ray wrócił za bar i złapał jego spojrzenie. Jeszcze raz?

W odpowiedzi tylko zamrugał.

Absolut, tak? Absolut blue. Nalał i wstawił butelkę z powrotem pod lustro i zatknięte za nie fotografie ludzi pijących w barze.

Do środka wszedł facet z wąsikami, w okularach na głowie i koszuli z krótkim rękawkiem, śmiejąc się i podrygując. Dotańczył do baru, przybijając wszystkim piątkę, i rzucił: Hej, mogę duże piwo? Jimmy'ego zapytał zaś: Co tam, Jim?

Zniżył głos i z zawzięciem mówił na ucho Jimmy'emu, który patrzył się przed siebie, milczący i nieruchomy:

Widziałeś wszystkie te podrobione dwudziestki? Są piękne i idą jak woda.

Rosy wrzeszczała: W związku najważniejsza jest lojalność! Jeśli nie ma lojalności, to gównem z tego masz!

Przestanieś walić w ten bar? – spytała Gladys.

Zarżały ze śmiechu.

Kto jest najgłupszym koleśkiem w barze?

Ty, Rick.

I tu masz, kurwa, rację.

Jaka jest różnica między burgerami z White Castle a filetem mignonem?

Ej, ja co wieczór wsuwam steka. Jak nie mogę kupić, to kradnę.

Jimmy podszedł do wyciągu z tyłu baru, gdzie palili trawę, a kiedy poszedł, malarz pokojowy szepnął do Raya:

Widziałeś go? Inny człowiek.

Myślę sobie, że niełatwo po czymś takim wrócić.

Dziesięć lat.

Ray zmienił temat i wyłączył światła nad stołem bilardowym. Malarz tanecznym krokiem podszedł do Gladys, Rosy i tej trzeciej.

Witam miłe panie.

Weź, bez jaj, powiedział do maszyny Rick, posiadacz płaskiego tyłka w niebieskich dżinsach, zgarbiony od siedzenia na stołku, o którego szczebelek oparł białe najki. Chyba wyrwę tą maszynę i wyniosę z baru. Zaraz się na nią odleję. Nie da się z niej nic wyciągnąć, choćby ją napierdalać kijem. Jebana nie płaci. Rick po raz kolejny nacisnął guzik. To nie jest wygrana. To gówno jest. Aaa. Jak słowo daję, więcej na niej nie zagram. Miałem mocne karty. Dużo widziałem, ale takiego skurwysyństwa w życiu. Ani ochłapu. Wpompowałem w nią sześćdziesiąt pięć dolców. A ta nie da nawet ochłapu na zachętę. Już ja ją zmuszę, żeby wypluła gotówkę. Przeszanę się kręcić w kółko. Ej no, ludzie, bez takich. Nacisnął guzik. Nacisnął guzik. Nic mi nie dajesz! Cwane gnoje. Zaraz pierdolnę na serce. Wyciągnę kopyta.

Jimmy wyszedł, żeby zapalić na ulicy obok Johna Foleya, który miał złoty zegarek i sweter bez rękawków. Barczysty i niechlujny Emmett, chwytając się do przodu, powiedział: Jak przyjdiesz do mnie do domu, pochowam wartościowe rzeczy! Jimmy spojrzał na niego, ale tamten mówił do kogoś innego, do Stana, wysokiego, potężnego mężczyzny z fryzurą na żołnierza i w kwadratowych okularach w czarnych oprawkach, w krawacie i szarej koszuli wypuszczonej ze spodni, jakby właśnie wyszedł z pracy w telemarketingu.

To sekcja ósma, powiedział Stan. Mieszkał z Haitańczykami na Bensonhurst. Na Flatbush. Unikam Brooklynu, jak mogę. Uważam, co tam kupuję.

We wnętrzu baru Rick okrążył stół do bilardu. Zapal światło. Chcę się poopalać. Kiedyś miałem piękny łańcuch, powiedział do malarza pokojowego, który pokazywał mu kilka sztuk biżuterii, rozkładając je na suknie. Sześćdziesiąt pięć gram. Oddałem w zastaw, aż tu przychodzi zawiadomienie, że zamierzają go opchnąć. Kompletnie mi to wyleciało. Rok później matka pyta mnie: Gdzie jest mój łańcuch? Zgubiłeś mój łańcuch. Kosztował sto siedemdziesiąt pięć dolarów. Ja na to: Coś ty, zgłupła? Złoto wysoko teraz stoi.

Do środka wszedł Emmett; pomacał łańcuchy, przesypywał je z jednej ręki do drugiej i owijał wokół palców, żeby obejrzeć je w świetle, które znów włączył Ray.

Kupili Manhattan od Indian za mniej, niż to warte.

Skąd je masz? – spytał Emmett i zachichotał oblesnie.

Jesteś pan od prokuratora okręgowego? Wyleciało mi z głowy pana nazwisko. Detektyw...?

Rick wyciągnął zwitek banknotów, same setki. Masz – weź pięć stów. Rzucił pieniądze na stół bilardowy. Malarz pokojowy zawinał swoją biżuterię w bandanę, obejrzał się przez ramię, złożył i schował.

Kto jest najtwardszym kolesiem w tym barze?

Ty, Rick.

Na ulicy Stan, przybyły z Alaski przez Karolinę Północną, opowiadał Jimmy'emu o dziewięćdziesięciu dniach, jakie wlepiają ci z automatu w Orlando. Leżałem na ławce, a obok leżała butelka – nie moja. Największy budynek w Orlando to więzienie. Więziennictwo to w tym kraju biznes korporacyjny.

Okolica się zmieniła, zauważył Jimmy.

Chińczycy korzystają z naszych swobód religijnych. Po co ci trzynaście kościołów na jednej przecznicy?

Swego czasu pijał z Patem Murphym u-booty z whisky i piwa.

To był jego drink, twojego starego. Mistrz u-bootów. Hej, Gladys. Gladdie. Kiedy ostatnio

widziałas Pata?

Pata? Patricka Murphy'ego? Widziałam go w Świętym Andrzeju. Tu gdzieś jest jego dzieciak. Zaraz, przed chwilą tam był.

Jest tutaj. Właśnie z nim gadam.

O, mój błąd. Siemasz. Tak podejrzywałam, że jesteś tutaj. Jak tam, co słyhać? Cho no tu!

Tu mu dobrze. Rozmawiamy.

Wyściskała go wątlými ramionami. Miała na sobie czarną koszulkę na ramiączkach, a z jej upiornej twarzy sterczał wielki nos. Masz ognia? No, powiedziała, wydmuchując dym, jak usłyszałam, że wyszłeś, to pomyślałam, że rychło, kurwa, w czas.

Jimmy wypuścił dym, pokiwał głową i wyrztał na ulicę.

To dobra okolica, ale nas wykupują.

Skinner spał u siebie, nagle obudził go hałas. Była jedenasta przed południem, a w domu zwykle panowała o tej porze cisza. Przez kraty wpadało rozproszone szare światło, niezmacone żadnym cieniem. Zasnął cztery godziny wcześniej, a ostatnim, co pamiętał, było ćwierkanie ptaków o świcie. Znów usłyszał ten dźwięk, wstał, otworzył drzwi i zobaczył Jimmy'ego robiącego coś pod jego zlewem.

Znowu ty, pomyślał.

Podszedł do lodówki za nim i wyjął sobie piwo. Żaden z nich się nie odezwał, choć przebywali w kuchni cztery i pół metra na trzy. Zaokrąglone ramiona i długie włosy Jimmy'ego przesunęły się pod zlewem. Skinner wrócił do pokoju i założył słuchawki, żeby o wszystkim zapomnieć, gapiąc się w ścianę. Trwał tak godzinami, zmagając się z przygnębieniem.

Ze zlewem było wszystko w porządku, stwierdził później. To po co było grzebać?

Zgniótł puszkę po piwie i rzucił na podłogę.

W miarę upływu czasu zauważył, że niekiedy pod nieobecność wszystkich słyszy ciche dźwięki dobiegające skądś nad jego głową, może z półpiętra. Były nikłe i subtelne, więc nie poświęcał im uwagi, ale nie znikwały, ich źródło zdawało się przesuwac, aż stwierdził, że dochodzą z sutereny. To mogła być kwestia wyobraźni. Zwykle był zbyt przybity, żeby wstać i sprawdzić. Zanim się zebrał, było za późno, żeby coś lub kogoś przyłapać. Sądził, że ma omamy słuchowe przez meflokinę. Wrażenie to było tak niejasne, że sensu nabrało dopiero później.

Uczyła się kantońskiego, bo musiała. *Gwat* to była kość, a rzeczny ryż oznaczał śliskie kluski, bulwę lilii wodnej, tłuste mięso i skrawki wieprzowe. Przywitała się z Rambem w tym języku, a on zignorował słowa i polecił jej zetrzeć podłogę. Nauczyła się słowa *hougeng*, co znaczyło wspaniale. *Hougeng!* – stwierdziła i złapała za mop. Mówiła tak, ilekroć kazali jej coś zrobić. Zauważyła, że powtarza to bez przerwy.

W godzinach szczytu, nie czekając na polecenie, stanęła przy ladzie i zaczęła obsługiwać. Czowała, że Sassoon obserwuje ją, jak polewa kawałki sałaty lodowej sosem tysiąc wysp. Nałożyła ryżu obok mięsa w galaretowatym brązowym sosie i podała talerz klientowi.

W głębi duszy czuła się bardziej chińska niż pozostali, ponieważ wojsko było rdzeniem narodu, a ona stała za ladą wyprostowana, kiedy reszta garbiła się i pisała SMS-y, ale Chiny to w końcu wielki kraj.

W ich dialekcie sos satay z cebuli, czosnku, krylu i sosu sojowego wymawiało się „sade”.

Podszuchała, jak Angela namawia kolegę, żeby zatrudnił się na wakacje w ich lokalu. Kolega okazał się wysokim mężczyzną z Hongkongu, który chodził do klasy z jej siostrą w liceum na Jamaica, w Queens. Szef zatrudni cię za moją rekomendacją, zapewniała Angela. Mamy tu kupę miejsca. *Daifong* oznaczało miejsce. Zou Lei to rozumiała.

Od lat przebywała wśród ludzi, których nie lubiła ani nie rozumiała. Jej współpracownicy uważali, że czarni mają wielkie, ale niedziałające członki, jak smoki w południowych wierzeniach. Dowiedziała się, że mówią na nie *jiekwan*.

Nie rozumiała, co mówi do niej klient – cokolwiek to było, brzmiało bardzo dziwnie, zamieniał miejscami *f* i *h* – więc nachyliła się nad ladą i poprosiła go najciszej, jak mogła, żeby powtórzył w standardowym języku.

W chwili największego obłożenia do restauracji wparowała Sunnie, a Sassoon powiedziała Zou Lei: Możesz już iść.

Ha, ha, ha, rzuciła Angela. Szkoda, że nie widzisz swojej miny.

Kiedy pod wieczór wyszła z centrum handlowego, na ulicach roiło się od ludzi wysiadających z autobusów, wylewających się falami, wychodzących z metra wśród hałasu nadjeżdżających pociągów. Po długiej zmianie czuła się mocno zdezorientowana i musiała na nowo odnaleźć się we wszystkim. Stragany uginały się pod ciężarem towarów przywiezionych nocą ciężarówkami z Sinaloa. W kieszeni na biodrze miała pieniądze z całego sześćdziesięciogodzinnego tygodnia pracy w kuchni. Przez wyświechtaną podszewkę czuła, jak zwinięte banknoty dotykają jej bielizny, jej skóry. Świadczą o powoli czynionych przez nią postępach.

Poszła się z nim spotkać, gotowa do rozmowy na temat ich planów, ale kiedy tylko go zobaczyła, naszły ją złe przeczucia. Jego pokój przepełniała woń potu i dymu. Od wielu godzin siedział kompletnie beczynnym.

Myślę, że nie jest dobrze, stwierdziła.

A ja, że jest, odparł, rozglądając się na boki i zgrzytając zębami.

Usiadła w rogu łóżka – jedynym zdatnym to tego miejscu – w dzinsach i podartym T-shircie. Czowała, jak twarz jej się starzeje w jego obecności, jak pogłębiają jej się bruzdy wokół ust. Przez chwilę przyglądała mu się w niepewnym milczeniu.

Przyjdzie lato. Słońce będzie jasno świecić, powiedziała i chwyciła jego mocną, wilgotną, nagą

stopę stwardniałą i przebarwioną dłonią.

Nic nie odpowiedział.

Chodź na spacer.

Skinner sięgnął na stolik nocny po marlboro, potrząsnął opakowaniem i złapał papierosa wargami.

Nie da rady.

Był bez koszulki i mimo mięśni oraz tatuaży widać mu było fałdkę tłuszczu na brzuchu, a nawet trwale opalone partie jego ciała przybrały kolor dymu papierosowego.

Skinner.

Co?

Brałeś lekarstwa?

Tak. Piłem nawet to chińskie świństwo. Wypiłem dwa kubki i nic nie podziałało. Nic nie pomaga.

Po tym stwierdzeniu zapadła cisza.

Nie poddam się, powiedziała wreszcie. A ty? Znów dotknęła jego stopy. Chyba mi obiecywałeś. Pamiętasz?

Nagle przyszła jej do głowy myśl: A co, jeśli on po prostu przejdzie nad tym do porządku dziennego, po wojskowemu, jak gdyby wszystko było z nim okej?

Myślę, że powinieneś znaleźć pracę.

Siedział z jedną nogą opuszczoną, a drugą zgiętą, jego masywne przedramię, poznaczone gotyckimi literami, spoczywało na kolanie, a między palcami ćmił się papieros. Przez nogawkę bokserek wystawały mu genitalia. Nie odpowiedział. Zaciągnął się, marszcząc brwi, wypuścił dym i obserwował, jak się rozchodzi; trzymał z boku papierosa i dmuchał na niego, rozpalając żar, jakby chciał nim rozniecić większy ogień, który – z powodów, których jeszcze nie rozumiała – miałby zasadnicze znaczenie dla ich przetrwania.

Myślę, że powinieneś znaleźć pracę, Skinner, powtórzyła. To dobre. Podała mu powody, że to zdrowo dla ciała, wyjść na zewnątrz, poruszać się, i zdrowe dla serca, choć tak naprawdę chciała powiedzieć, że to zdrowe dla umysłu, dla jego umysłu.

Ponieważ nie odpowiadał, zastanawiała się, czy równie dumnego mężczyzny nie obraża to, co powiedziała. Przeprosiła na wszelki wypadek. *Shuwozhiyan*. Przepraszam. Ale powiem wprost. Czasem nawet prawdziwy mężczyzna słucha kobiety.

Dalej nic nie mówił, więc patrzyła na niego, czekając na jakąkolwiek reakcję.

Nisehngqima? Złościsz? Skinner?

Próbowała spojrzeć mu w podkrążone oczy, ale on wciąż odwracał wzrok.

Zaczęła nucić coś pod nosem.

Kazał jej się zamknąć.

Wtedy uszło z niej całe powietrze. Wstała, wyszła z pokoju do kuchni i oparła się o zlew. Usłyszała szum wody z kranu, a następnie ruch, po czym zamknęły się drzwi i wówczas pojął, że wyszła, opuściła jego mieszkanie.

Kiedy Jimmy miał ochotę na kolejnego, wchodził za bar i sam się obsługiwał. Nazywał się niemym współnikiem, stawiał drinki znajomym i mówił, że to na koszt firmy. Bujam się tylko ze spoko

ludźmi, powtarzał.

Jakiś facet przyjechał na motorze, wszedł do środka, zdjął okulary i spytał: Turner, nie? Siedziałem z tobą, prawda? Przywitani się po wikińsku, ściskając się za przedramiona. To był prawilny koleś, powiedział barmanowi po kilku głębszych. To tu się bawisz? Sprowadzę chłopaków.

Pogadamy o interesach?

Poszli do wywietrznika, gdzie wsunął Jimmy'emu w łapę jakieś czerwone tabletki, a kiedy obaj je łyknęli, śmiał się jasnobłękitnymi oczyma spod okularów nasuniętych na ogorzałe czoło. Rękawy skórzanej kurtki zdobiły mu frędzle, a przy pasku wisiały klucze i królicza łapka. Najbardziej przymilnie, jak się da, przeprosił: Wybacz stary, będę musiał cię potem za nie skasować.

Ale to nie problem, zaoponował Jimmy. Biznes jest biznes. Wyszli spod wyciągu, wyraźnie się kryjąc – biker założył okulary – a Jimmy poinstruował Raya: Jakby ktoś o mnie pytał, to mnie nie ma. Wyszli frontowymi drzwiami i rozmawiali w cztery oczy przy motorze. Przybysz zapalił cygaretkę, wsiadł na maszynę okrakiem i pokazał, jak jeździ. Następną była kolej Jimmy'ego; usiadł, odpalił silnik rozrusznikiem nożnym i podkręcił obroty. Wrócili do środka, poklepując się nawzajem po plecach, a Jimmy polecił Rayowi gestem, żeby nalał jego znajomemu.

Ty stawiasz? – spytał Ray.

Jimmy udawał, że nie słyszy.

To ty stawiasz, odparł biker Rayowi.

Chyba nie.

Powiedział mi, że tak.

Weź, Jimmy dobrze robi twoim interesom, wtrąciła się Gladys. No nie, Ray?

Dopóki ktoś inny stawia, skwitował Ray i nalał alkoholu do kieliszków.

Gladys objęła Jimmy'ego za szyję. Zareagował na to nerwowym spięciem ramion.

Obczaj, Ray, prawda, że ładna z nas para? Ray, kochanie, polej mi jeszcze, co?

Uwolniła Jimmy'ego z uścisku i usiadła na stołku przy rogu baru.

Co tam u Vicky?

Mój dzieciak jest w dobrych rękach. Tylko to się liczy.

Ale Jimmy wyraźnie dał do zrozumienia, że ma coś do Vicky, coś stało się, kiedy siedział. Próbowwała to przed nim ukryć, ale i tak się dowiedział, co było do przewidzenia. Znał masę ludzi, miał mnóstwo informatorów. Nie wiedziała, że on wie. To bardzo niemądre z jej strony. Miał gdzieś to, co zrobiła. Bardziej mierziło go jej przekonanie, że wywinie się z tego kłamstwem.

No raczej, podsumowała Vickie, ta z baru.

To ją nauczy.

Słowa się dotrzymuje.

Sprawdza się jako matka. Tylko to mnie obchodzi. Poza tym, dodał, miał dostać telewizor od Ricka – o ile Rick kiedyś oderwie się od maszyny do Keno i zrobi, co obiecał. Miał zainstalować mu kablówkę w suterenie w domu matki.

Czerwone tabletki zaczęły działać. Powiedział, że pomaluje całe ściany w smoki, wysokie na trzy metry. To będzie jego nowa kwatery główna. Wystarczy nacisnąć guzik na pilocie i na parkiecie zadudni muzyka. Będzie tu improwizował na gitarze, a jego działalność artystyczna posłuży za przykrywkę dla przekrętów. Wstęp do jego przybytku będzie miało wyselekcjonowane grono.

Znaczy się, matka twojego dziecka nie będzie mile widziana.

Zero psiarni, zero frajerów, zero konfidentów, ćpunów palących crack. Żadnych dwulicowych zdir.

Ty to jesteś kumaty, zauważyła Gladys.

Kiedy się kłócili, niemal obezwładniał ją smutek, ale tylko wewnątrz. Z pozoru była w ciągłym ruchu – szła przed siebie, chodziła do pracy. Ściągała fartuch i poprawiała daszek nad czołem, jakby to miało znaczenie. A głęboko w środku myślała sobie: jestem sama. Byłam sama od dziecka. Na tę myśl jej twarz wykrzywiał grymas. Umrę, powiedziała, i poczuła złość. Coś było nie w porządku z jej głową. Miejsce, z którego brały się jej myśli, zdawało się zniekształcane przez jakieś ciśnienie. Była taka samotna.

Któregoś razu w suterenie naskoczył na nią i powiedział, że Zou nie ma prawa być jego przyjaciółką, więc nawet nie próbuj, nie zasłużyłaś, za kogo ty się, kurwa, uważasz, i tak dalej.

Wyszła i zaczęła rozpaczać na boisku do koszykówki, na którym grało kilku chłopaków. Płakała po ujgursku: Wiem, że nie dam rady! Tak mi smutno! – a jej rozdzierający szloch odbijał się od betonowych powierzchni.

Powiedziała sobie, że kiedy nie będzie mogła już wytrzymać, zacznie iść, będzie szła bez przerwy, aż przejdzie cały kontynent albo coś się jej przydarzy i stanie się duchem.

Udobruchanie Zou zajęło mu kilka dni wydzwaniania. Nie godziła się na spotkanie, była oziębła. Mówiła rzeczy w stylu: Wiem, że nie powinnam tracić na ciebie czasu. Jesteś za młody.

Proszę. Proszę cię, powtarzał.

Spotkał się z nią na parkingu przy jej pracy. Szczękę miał podrażnioną po goleniu, włosy wciąż mokre, a z jego piersi bił zapach sportowego dezodorantu w żelu. Było po zmroku, a oni od tygodnia nie byli tak blisko siebie. Pojechała z nim do suterenu. Kiedy się rozebrała, okazało się, że pod roboczym ubraniem ma czarną koronkową bieliznę, którą kupiła dla niego w latynoskim sklepie przy Junction Boulevard.

Miłość jest trudna, powiedziała. Trzeba wychować chłopaka. Jak psa. Im większy pies, tym mocniej trzeba go bić.

Ulżyj sobie, zgodził się Skinner. Sam się powinienem zbić.

Stojąc przed lustrem w łazience, przyłożył sobie pistolet do głowy, ale nie wspomniał jej o tym.

Przysięgał, że nie będą się więcej kłócić, ale było inaczej. Zamiast maleć, jego gniew rósł, rozlewał się na ulice, dotykał taksówkarzy i innych nieznanym. Zaczęli widzieć w nim najważniejszą rzecz, którą Skinner musi w sobie zmienić.

Kiedy się godzili, czuła niesamowity błogostan. Niczym soki łądygę rośliny wypełniało ją poczucie nieśmiertelności. Natychmiast zaczynała z powrotem cieszyć się życiem i wracali do snucia planów na przyszłość. Zanurzali się w świecie fantazji. On zapominał o wojnie. Przystawał wszystko psuć. Ona dostawała zieloną kartę. Do końca lipca był w stanie wycisnąć sto trzydzieści kilo. Tak przyjemnie było między nimi przez kilka godzin, po czym znów coś się psuło.

Zaczęła wypatrywać u niego znaków nadchodzącej zmiany nastroju. Liczyła się z tym, że szczęście nie jest jej dane na zawsze. Im gorzej wiodło jej się w życiu, tym bardziej potrzebowała tego szczęścia przy nim.

Zeszli obaj po schodach do sutereny, sutereny ich własnego domu, i obudzili lokatora o siódmej trzydzięci. Zerkniemy na bojler, oznajmił Patrick. Skinner otworzył im w bokserkach i butach wojskowych. Prawie na nich nie spojrzął, machnął obojętnie ręką, a oni weszli. Skinner wrócił do łóżka i włączył internet. Mężczyźni rozmawiali nad jego otwartą szafą. Jimmy wyjął wiadro spod zaworu bojlera, zaniósł do łazienki, wylał wodę z rdzą do sedesu i spłukał, w czasie gdy Patrick sprawdzał rury. Wiadro trafiło z powrotem na swoje miejsce. Spuszczali przez minutę gorącą wodę, aż Patrick stwierdził, że tyle wystarczy, żeby zmniejszyć ciśnienie, po czym wyszli, nie odzywając się słowem do Skinnera leżącego nieruchomo na boku. Po całym pokoju wałały się papierosy i puszki po piwie. Na widoku leżało pisemko porno z wielkim rysunkowym wykrzyknikiem i gwiazdką zakrywającą punkt między nogami kobiety. Lukrowana bułeczka. Skinner zrobił w pokoju pierdolnik. Czuć było marihuanę.

Dostała mniejszą wypłatę niż poprzednio, mimo że pracowała więcej godzin. Poszła z kopertą do biura na zaplecze.

Patrzcie państwo, mała Zou przyszła. Czego mała Zou chce? Pensja się nie zgadza? Niech spojrzę.

Wyciągnął długą dłoń. Podała mu kopertę, a on zerknął do środka.

Czemu twierdzi, że wypłata się nie zgadza?

Jest za mało, to niemożliwe. Co z dodatkowymi godzinami? Przychodziłam tu, żeby zarabiać więcej. Musi przecież być – szukała słów – coś więcej dla niej do roboty. Ciężka praca to nie problem.

A niech sobie pogada.

Czy mała Zou udziela mi zgody na odpowiedź? Czy nauczyła menu? Nie nauczyła. Sassoon mówi, że nie nauczyłaś menu. Dlaczego nie? To po pierwsze. Jest też drugie. Po drugie, następny krok to stanie za ladą. W społeczeństwie robi krok, potem następny, następny i jeszcze następny – po kolei. Wykonał spokojny gest dużą, gładką dłonią o długich paznokciach. Nie chaos. Zaśmiał się: Jak możesz rozumieć? Jak jestem tu, pokazał, ściągając palce w szpon, i skacze na szczyt góry – jeden skok na szczyt – do nieba! To to jest naprawdę? Nie. Tak nie ma. Prawda to krok po kroku. Dziś zarabiamy małe pieniądze, jutro duże pieniądze.

Zaoponowała i powiedziała, że pracowała przy ladzie, a Sassoon odsyłała ją na zaplecze.

Co to był za dzień?

Dzień, kiedy pracowałam przy ladzie?

Tak. Data, godzina. Sprawdzę z Sassoon.

Nie była w stanie podać mu dokładnie, kiedy pracowała za ladą. Już wiem, to była niedziela, Zhuojin tu była.

Zhuojin nie jest kierowniczką, powiedział.

Co pan zamierza? Chce mnie pan orznać?

Widzę, że mała Zou nie ma wcale wojskowego podejścia. Wojskowe podejście to: Tak jest! Co by się nie działo, wykonywać rozkazy. Prawda? Nie kwestionować ich. Pytanie, pytanie, mam pytanie – prawie jak Angela. Nie tradycyjna dziewczyna.

Jestem po szkoleniu wojskowym.

O, rozumiem. A co to było za szkolenie? Może to ja nie rozumiem.

Pani Murphy otworzyła drzwi do siebie i zawołała w dół schodów.

Skinner? Pozwól no na minutkę.

Wszedł po schodach do jej kuchni, gdzie siedziała za stołem i taksowała go z zapalonym papierosem w dłoni.

Poczta do ciebie.

Był to list z Departamentu Obrony. Wziął go ze stołu.

Obiło mi się o uszy, że masz tam bajzel na dole. Prawda to?

Nie. Tylko u siebie.

Jak to u siebie?

W sensie: w moim pokoju.

W pokoju jest bajzel?

Nie bajzel. Jest nieporządek. Jakbym trochę poukładał, toby było w porządku.

Słyszałam, że więcej niż nieporządek.

Co dokładnie?

Że pokój niszczeje. Że na podłodze walają się puszki po piwie i śmierdzi trawą. Masz mi coś do powiedzenia na ten temat?

Że niby co do powiedzenia?

Że ćpasz w tym domu.

Ja nie.

Nie ty?

Nie, zaprzeczył. Nie. Mowy nie ma. Jestem czysty i trzeźwy.

Już to gdzieś słyszałam.

Poważnie. Ściągnął koszulkę i obrócił się dookoła, ignorując jej prośbę, żeby się ubrał. Proszę spojrzeć, powiedział. Duże czerwone guzki pozostałe po zszywkach chirurgicznych w równych odległościach przebiegały przez wystającą bliznę na żebrach i przechodziły w fioletowe punkciki wyżej na ramionach, gdzie w połowie maskował je tatuaż. Widzi pani? Biorę na to leki przeciwbólowe.

Podniosła rękę. Bądź tak dobry i załóż z powrotem koszulkę.

Próbując z powrotem się ubrać, kontynuował usprawiedliwienia.

Nigdzie nie dojdziemy gadaniem o tym. Słyszałeś, co powiedziałam.

Skwapliwie pokiwał głową.

To było ostrzeżenie.

Zrozumiano.

Powiedziała potem do Erin: Miał szczęście, że to ostrzeżenie wyszło ode mnie. Z tego co słyszałam, trzyma tam świerszczyki. Patrick wywaliłby go na zbity pysk, dosłownie.

Świerszczyki?

Z gołymi babami, otwarte, na podłodze. I ma tabletki, nie zapominajmy o tabletkach. Dzięki Bogu, sama nie mogę tam zejść, żeby to zobaczyć. Jimmy zwrócił mi uwagę na zapach trawki. Tak silny, że upalił się od samego chodzenia po pokoju. Mamcia, wzięło mnie od razu, jak tam zajrzałem, powiedział.

Kobiety spojrzały na siebie.

No. Myślę to samo, co ty. Jeśli się w to wciągnie, to dopiero będzie. A więc to się dzieje na dole.

Jakby się dobrze zastanowić, to ma też dobre strony, dodała.

Jakie?

To, od kogo o tym wiem.

W sensie?

Wiem to od Jima. Równie dobrze mógł to zatrzymać dla siebie, żeby mieć na dole kumpla, z którym mógłby ćpać. Dziesięć lat temu tak by było.

Zamiatał podłogę w brązowym cywilnym podkoszulku z odciętymi rękawami. Widziała, że jego wojskowa opalenizna kończy się w połowie bicepsa. Lekką plastikową szczotką nagarniał brud na szufelkę, usiłując strząsnąć kłaczki kurzu, które przylegały do włosów. Pozbierał ubrania, spakował swoje rzeczy. Przez kratę wpadało do pokoju słońce.

Wyrzucił zawartość szufelki do worka na śmieci stojącego w kącie. Odstawił zmiotkę i szufelkę

pod ścianą. Prawie wszystko, co dotąd było porzucane po całym pokoju, znalazło się w jego dwóch torbach, worku moro i plecaku. Zauważyła, że okno jest otwarte. Czyżby wiosenne porządki?

Ćwiczenia polowe.

Chyba się gdzieś wybierasz.

Nie. Po prostu sprzątam.

Jest bardzo czysto.

Czyli mi się udało?

Ty się udałeś, poprawiła. Ale i tak uważam, że gdzieś się wybierasz.

Nigdzie się nie wybieram.

Ja wiem, że muszę gdzieś pojechać. Gdzieś daleko. Zawsze to wiem.

Masz na myśli Chiny?

Nie wiem. Może dalej. Może do Ameryki. Poznać mężczyznę. On ma tatuaż na ramieniu, amerykańską flagę. Mężczyznę, który zamiata swój pokój.

Położyli się na jego wiatrówe obok siebie, żeby odpocząć, nie uprawiać seksu.

Robiłem porządek z rzeczami, powiedział.

Pokazał, co ma na myśli, wstał i zawiesił sobie tobołki na ramionach, a ona przyglądała się z łóżka. Na dworze ciemniało, a w pokoju robiło się chłodno. Stał tak dziwnie objuczony przez kilka minut. Podniosła się i dołączyła do niego. Otoczyła jego szyję ramieniem i przytuliła się do niego, a on ją objął i przycisnął do siebie. Trzymał cały swój dobytek i ją także, dopóki mógł – a słońce zachodziło.

Nie było dowodów na to, żeby cokolwiek stało się z jego czasopiśmem, oprócz tego, że nie mógł go znaleźć. Kiedy ostatnio je widział, nie leżało ani na stoliku nocnym, ani w kiblu. Zamykanie pokoju, kiedy wychodził, nie było jego mocną stroną, mimo że zostawiał tam beretkę, która mogła łatwo paść czyimś łupem. Z drugiej strony równie dobrze mógł sam je gdzieś posiać. Wiedział tylko tyle, że już go nie było. Była to gazetka z twardą pornografią, przynajmniej dopóki nie zniknęła.

W poszukiwaniu czasopisma rozpakował swoje rzeczy, zastanawiając się, czy oszalał. Ubrania, które wyciągał z worka, czuć było ziołem. Spojrzał na swoje tabletki i zaczął się zastanawiać, czy aby nie wziął ich za dużo i nie zrobił sobie czegoś w głowę, czy nie urwał mu się film. Znalazł kolejną torebkę z lekami, a w niej trzy pełne fiołki, których posiadania nie był nawet świadomy; odstawił je przy łóżku.

Natrafił też na list z Departamentu Obrony, który przekazała mu pani Murphy, po raz pierwszy otworzył go i przeczytał. Wojskowa komisja lekarska orzekła, że jego uraz psychiczny nie został wywołany przez wojnę i Skinnerowi nie należą się z jego tytułu żadne pieniądze.

Chuj wam w dupę, jebane konowały.

Długi czas krążył po suterenie, wyklinając lekarzy od najgorszych, głośno i zdecydowanie, podnosząc rzeczy i odkładając je z powrotem. Szukał czegoś, ale wyleciało mu z głowy czego.

Nie przyszedłeś na robotę.

Wiem. Byłem zajęty.

No jasne.

Nie chcesz, to nie wierz.

Nie wierzę.

Jimmy wzruszył ramionami. Oczy Patricka się zwężyły. Pociągnął ze szklanki.

Co tam za biznesy robisz?

O czym ty mówisz?

Jesteś zajęty, to pytam, jakie robisz biznesy, skoro jesteś pieprzonym biznesmenem.

Kołuję.

Że co? Co, kurwa, kołujesz?

Hajs. Kołuję hajs.

To tym się zajmujesz o wpół do drugiej? Kołujesz hajs?

Możliwe. A ty co tu robisz?

Naprawiałem toaletę pewnej pani, kiedy spałeś, to właśnie tutaj robię.

Nie spałem.

Spałeś, że ja pierdolę.

Weź się zastanów.

Spałeś albo odpierdziałeś te swoje głupoty.

Tego też nie robiłem. Weź się zastanów.

Czyli mam się zastanowić.

To ty tu rządzisz.

Racja, to ja tu rządę. I lepiej przyzwyczaj się do tego albo cię stąd wypieprzę.

Że niby skąd?

Na twoim miejscu bym się tak, kurwa, głupio nie uśmiechał. Wylecisz na ryj. Z mojego domu.

To nie jest twój dom.

Jak, kurwa, nie jest.

Papiery nie są na ciebie.

Zobaczysz, będziesz stąd wypierdalał.

To mnie wyrzuć.

A żebyś wiedział.

Golnij sobie dla odwagi.

Ja cię zaraz golnę. Jak byłem w twoim wieku, dałbym radę dziesięciu takim jak ty. Dwudziestu takim jak ty! Ty mały skurwielu.

Między Patrickiem a jego pasierbem stał już barman, było też kilku innych. Ej, ej, krzyczeli, a Patrick przysięgał, że zatłucze na śmierć następnego, który go dotknie. Jimmy uśmiechnął się do niego.

Uważaj na pikawę. Robisz się czerwony.

Jesteś jebanym śmieciem. Jesteś jebanym śmieciem i zawsze nim będziesz. Odsiadka nic cię nie nauczyła. Wciąż jesteś tylko zwykłym śmieciem.

Jimmy wstał i przestał się uśmiechać, a mężczyźni z baru jakoś przekonali go, żeby sobie poszedł.

Odpuść, jesteś większy, mówili.

A oto, co śniło się Skinnerowi:

Dom, fioletowa piwnica. Wykładzina na schodach do suterenu. Ktoś stoi pod drzwiami Skinnera, ktoś jest na dole. Widzi potężnego mężczyznę myszującego po kuchni. Mężczyzna nic do niego nie mówi.

Wyżej: w dużym pokoju wszystko pozakrywane prześcieradłami jak w kostnicy. Niewidoczne części domu.

Z tyłu budynku: wysoka sterta przedmiotów. Bibeloty i narzędzia ogrodowe. Drzwi przy otwieraniu uderzają w łóżko – materac na pustakach, cały pokój w rzeczach do prania, kosz na bieliznę, cała podłoga zajęta. Jest też zepsuty budzik. Z okna odpada moskitiera. Porwała się i zwisa do wewnątrz pokoju.

Wchodzisz na górę. Najpierw: korytarz. Korytarz prowadzi do kuchni pomalowanej na musztardowo. Wszystkie sprzęty – kuchenka, lodówka – są w kolorze musztardowym. Stare, z lat osiemdziesiątych. Szafki z siedemdziesiątych. Jest zegar z kukułką, na ścianach wiszą drewniane przedmioty, na kanapach i krzesłach są prześcieradła. Czy pod prześcieradłem ktoś leży? Nikt nie wyszedł przez drzwi frontowe – nie korzystamy z nich. Z markizy od frontu coś zwisa. Dzwonki powietrzne zamontowane przez córkę metr osiemdziesiąt.

W korytarzu wiszą chyba zdjęcia, stare zdjęcia. A może nie wiszą. Może ściany są gołe. Jest niebiesko.

Nadchodziły upały. Wydawało jej się, że wie, czego się spodziewać. Lato miało być okazją do świętowania dla wszystkich nacji w mieście. Ludzie włączyli się po pracy niezadowoleni. Wymięte łobuzy surfowały wzdłuż samochodów. Wyrzucały na ulice butelki z koszy na śmieci. Imigranci pracowali, bezustannie pracowali, i przyglądali się przechodniom, którzy mieli dzień wolny, czas dla siebie, podczas gdy oni ani trochę. Starali się trzymać fason. Rodziny z piątką małych dzieci szły do Dunkin' Donuts, żeby spędzić razem wieczór w klimatyzowanym wnętrzu. Zaśmiecione podłogi, dziwni samotni mężczyźni czytający gazety. Taksówkarze siedzieli obok jednostek dysfunkcyjnych w oknie całodobowego baru tropikalnego. Pokręceni kolesie w czapkach z flagą portorykańską mówili do kelnerek, przybijali im piątkę i pytali: Kiedy kończysz? Latynoski z indiańską krwią, z krwią niewolników w żyłach, pucowały podłogi o trzeciej w nocy. Karaibki powtarzały: Przywieźli nas tu z Indii w niewoli. Skrzyknęłyśmy się z czarnymi i wykopaliliśmy Brytoli. Teraz słuchamy dubstepu. Powiem ci, gdzie jest gorąco jak w wulkanie. Gdzie jest imprezka. Gdzie mogą cię skroić, popchnąć, sklepać, kropnąć, a nawet wyruchać – na Sto Dziewiątej w kierunku Far Rockaway. Tam nikomu nie będzie cię żal, jeśli będziesz mieć jakiś problem.

Na Comellin Street, na składanych krzesłach, rozsiądą się ludzie z Wenzhou, będą rozmawiać na schodkach na dworze, w piżamach, wachlując się w rozświetloną noc. Ciężarne kobiety będą wynosić śmieci, zbierać reklamówki do recyklingu, oszczędzać grosze na drobne inwestycje, które – jak dzieci – przynoszą zysk z opóźnieniem.

Na razie jednak wszyscy musimy poradzić sobie z upałem – wszyscy, niezależnie od pochodzenia.

Siedemnastolatka z pitbullem na smyczy będzie miała grzywę włosów opadających na czoło, króciutkie obcisłe szorty, gołe nogi, tusz do rzęs i z nienawiścią będzie patrzeć na przechodzącą pod wiaduktem Zou Lei, za którą będą oglądać się mężczyźni. Ponieważ Zou Lei odkryje, że na Sto Trzeciej Ulicy można kupić parę szortów dosłownie za dolara dziewięćdziesiąt dziewięć i wszystkie dziewczyny spod wszelkich bander, z nią włącznie, będą je nosić.

Ludzie będą usiłovali sprzedać jej wszystko, co zdołają. Będą potrzebować tych pieniędzy, ona zresztą też. Na Corona Avenue jakiś Latynos w koszulce piłkarskiej będzie próbował wcisnąć jej zegarek, ale ona go nie kupi. Pod koniec lata natura każe jej się przenieść. Od sześciu do dziewięciu miesięcy w jednym miejscu, nie więcej. Na kamieniach przy huczącym pociągu LIRR, obok domu Skinnera, jest graffiti: „GLCS”. „Pocos Pero Locos”. Jest namalowane sprejem serce i słowa: „Brazalhax y Soldado”. Przed oczyma ma siebie i Skinnera wyjeżdżających z nastaniem jesieni.

Zatrudnili nowego pracownika, znajomego Angeli, który chodził do liceum imienia Cardoza. Polo nie mógł się nadziwić, jakim cudem chłopak w mig wszystko łapie, zna się też na komputerach, taki talent w wieku siedemnastu lat. Znany był jako Monroe. Sassoon stawiała go za ladą, chociaż był wyraźnie i otwarcie niegrzeczny wobec niej. Mówił głośno i zawsze było go słychać. Na wszystko się skarżył, powtarzał: Ta praca jest do dupy. Ludzie bardzo go lubili ze względu na atrakcyjny wygląd.

Nazwisko Monroe pojawiało się tam, gdzie kiedyś Zou Lei. Dali mu jedno z jej popołudni. Zapytała Sassoon, jak to wpłynie na jej płacę, ale ta odparła, że nie zajmuje się wynagrodzeniami, tylko grafikami. Kwestia pieniędzy to sprawa między Zou a Polem, a Polo był niedostępny. Zou Lei zauważyła, że to bardzo wygodne. Kilkoro innych pracowników wtrąciło się w tę rozmowę w obawie, że Sassoon się wkurzy. Kazali Zou Lei nie martwić się o pieniądze, szef jej przecież nie okradnie.

Powiedzieli, że przemawia przez nią zazdrość o zdolnego młodego mężczyznę.

No już, już, to nieładnie tak zazdrościć.

Wypuścili ją z pracy wcześniej. Na zewnątrz stwierdziła, że pada, lało tak mocno, że rozpryskujący się o asfalt deszcz robił się biały. Przebiegła cztery przecznice z kurtką na głowie i schroniła się pod rusztowaniem przed Footlockerem, słuchała dudnienia wody o aluminium i przyglądała się adidasom na podestach z pleksi. Kiedy weszła do klimatyzowanego sklepu, woda wylewała się jej przez dziury w butach. Zdjęła je więc, włożyła pod pachę i wzięła do ręki damskie najki do biegania, tak lekkie, że ledwo było je czuć. Kiedy próbowała je przymierzyć, zorientowała się, że są przyłączone do ściany linką przeciw kradzieży, powleczoną plastikiem. Zerknęła na inną parę najków i asicsów, sprawdziła ceny.

Pod kurtką miała tylko koszulę roboczą i widać było, że zimno jej od schłodzonego powietrza przewiewającego pomarańczowy materiał. Odrzuciła do tyłu mokre włosy, sięgnęła po parę reeboków mountaineer, na którą była pięćdziesięcioprocentowa zniżka, i dokładnie obejrzała nowiutkie, dobrze zaprojektowane podeszwy.

Po wypłacie albo po następnej. Jakoś tak. Zakołysała biodrem w rytm muzyki z głośników. Przystawało padać i chwilę później wyszło słońce, żeby świecić na nią – spoconą, biegnącą w kierunku horyzontu jak wielbłąd.

Ulewa się skończyła, Zou odłożyła reeboki i ruszyła z powrotem w dół wzgórza. Przechodząc obok rynsztoków, słyszała wodę wpadającą do studzienek niczym wodospad.

Kiedy dotarła do domu, w imigranckim mieszkaniu pachniało mokrymi szmatami. Okazało się, że wszystkie buty piętrzą się przed jej harmonijkowymi drzwiami. Z innego boks słychać było telewizor, a jego lokatorka, tęga kobieta, stała w korytarzu i mopem zgarniała brud z podłogi do aneksu kuchennego. Okno było otwarte i widać było, że znów zanoszą się na deszcz.

W drodze do swojego boks trąciła się z drugą lokatorką biodrami. Odepchnęła kij od mopa. Kobieta nie patrzyła na nią. Nie rozmawiały, gadał tylko telewizor – w zrozumiałym dla nich obu języku mandaryńskim. Kobieta wytarła cały korytarz, aż nabrał zapachu chińskich latryn.

Kiedy Zou rozsunęła drzwi, buty rozsypały się po podłodze, więc odsunęła je stopą na bok.

Kopanie butów wprowadza nieporządek, powiedziała kobieta.

Gdzie mam je ustawić? – spytała Zou Lei.

Wszystko jedno. Byle porządnie.

Ustawiły buty parami. Zou Lei poszła umyć potem ręce mydłem w płynie, które zawsze uważała za wspólne.

Każdy ma swoje produkty, upomniała ją kobieta. To jest cywilizacja.

Pod biblioteką, przed stołem sekty Falun Gong z fotografiami różnych potworności, jakiś facet smarował sobie klatkę piersiową oliwką dla dzieci. Miał na niej świeże blizny po dźgnięciach nożem.

Siema, co tam, Jimmy?

Zapytany odpowiedział na pozdrowienie z sympatią, i można by pomyśleć, że sprawił to blask słońca w pierwszy dzień lata, kiedy w powietrzu czuć zapach betonu i trawy rosnącej w pęknięciach chodnika oraz oliwki dla dzieci, masła orzechowego, perfum Davidoff Cool Water, afrykańskiego olejku na ludziach w metrze i Diorissimo z damskich bluzek. Nikt by nie przypuszczał, że poinformowano go właśnie o przeprowadzce jego konkubiny i dziecka do Bayonne. Chciał wsiąść w samochód matki i pojechać ich szukać. Ta jednak przestrzegła go, że skończy się to dla niego powrotem do więzienia.

Facet nacierał oliwką ramiona, brzuch i tors. Razem patrzyli na przechodzące tamtędy chińskie dziewczynki z pluszowymi misiami na breloczkach do kluczy.

Hej, co słyhać? Ile masz lat?

Z głośnika telefonu puścił piosenkę wytwórni Motown. Męski głos wyszeptał: Tak bardzo mi ciebie brak. Byli tam również Frankie i czwarty koleś, który machał szeroko rozłożonymi ramionami i gardłował na temat imigrantów, krzyczał i krzyczał, cofał się do krawężnika i podbiegał z powrotem, robił zwrot o sto osiemdziesiąt stopni i wymierzał cios w powietrze, tłumacząc, co wydarzyło się podczas bójki, w której brał udział na stacji benzynowej.

Nie trzeba nam ich tu tyle! – wrzeszczał z puszką bezalkoholowego buda w ręce.

Frankie miał włosy zaczesane na mokro do tyłu, czerwoną koszulkę bez rękawów wypuszczoną na wydatny brzuch i szare dresy. Powiedział: ta cholera obudziła mnie o wpół do szóstej, mordo.

Było jeszcze wcześniej i niektóre sklepy miały wciąż opuszczone rolety, z wyjątkiem spożywczego prowadzonego przez Pakistańczyka specjalizującego się w lotto. Bus kasyna stał pod sklepem, a Chińczycy czekali, żeby wsiąść, ręce mieli za plecami jak Deng Xiaoping dokonujący inspekcji brygad na południu. Czwarty facet stał pośrodku chodnika naprzeciwko procesji Chińczyków napływających do busu z kartonami, gotowych do pracy.

Oto oni, skwitował. Pociągnął szybki łyk piwa, odchylając głowę i wlewając je do gardła, po czym znów spojrzął na Chińczyków i otarł pianę z ust.

Ulicą zbliżała się do nich Chinka w koronkowej bluzce, czarnej spódnicy i butach na obcasie z kokardkami.

Co tam, laleczko? Idziesz do pracy? Patrz, jak się odstawiała, ładnie wygląda.

Cały dzień będzie walić konia różnym kolesiom.

Jej mąż to palant.

Koniec z mlekiem dla dzieci. Koniec z pieluchami. Koniec z wodą. Ktoś musi im powiedzieć.

Co takiego powiedzieć, mordo?

Powiedzieć, że jest ich za dużo.

Facet, który smarował się oliwką, spróbował wysepić papierosa od Jimmy'ego, który odparł: To mój ostatni.

Czwarty z nich miał tony papierosów. Dwie paczki – obie chińskiej produkcji w czerwono-złoty opakowaniach, Jinlongmingpai Xiangyan – które wyciągał sobie z kieszeni, otwierał i zamykał, wyciągał papierosa i wkładał go za ucho, do ust, proponował pozostałym.

Poczęstuj się. Poczęstuj. Weź sobie, bracie, mówił. Wszyscy jesteśmy biali. No, dalej. Dawaj, powtarzał czwarty, podając kolejne papierosy luzem, a opalający się brał je w utłuszczone oliwką ręce

i kładł obok siebie na poplamionym granicie.

Patrzcie, ile mi tego dał!

Daj jednego, polecił Jimmy. Frankowi też.

Tylko nie weźcie wszystkich.

Masz ognia? Daj odpalić.

Wypuścili dym z płuc. Miłośnik opalania patrzył na kobiety, trzymając papierosa w ustach. Uniesiony, wyglądał jak wzwód.

Nieźła! – zawołał do jednej z nich i zaklaskał.

Czwarty podniósł swojego bezalkoholowego buda z chodnika i pociągnął kolejny łyk. Wszyscy jesteście białymi Amerykanami. Pierdoli mnie reszta. Co moje, to i twoje, bracie. Co moje, to i twoje. Popatrz na mnie. Co moje, to i twoje.

A co moje, to nie twoje, wyjaśnił Jimmy czwartemu, który nie zareagował. Chyba nie usłyszał, bo właśnie zaczął krzyczeć o historii ze stacji. Naprawdę się darł, aż mu szyja poczerwieniała, ryczał, że nie mógł dać rady wszystkim naraz. Na białym podkoszulku nosił brązową koszulkę futbolową z numerem dwadzieścia pięć, a do tego szorty khaki, które opadały z braku paska, więc ciągle musiał je podciągać. Ramiona miał całe w śladach po nożu. Brudne dłonie. Opowiadał, jak ślizgał się podczas walki pełnej ciosów pięścią, kopniaków i mocowania się; jak udawał, że pada na ziemię, po czym odskoczył do góry, stanął na nogach, koślawych jak u młodego chłopaka, i kopał, a podeszwa jego adidasa o włos mijała ich twarze. Jimmy ziewnęła.

Całą noc palili crack, powiedział Frankie. I skręty, mordo.

Jimmy podrapał się po koniczynce na dłoni.

Ale ja wciąż się ślizgałem! Podłoga była zbyt śliska, żeby dać im radę.

Od Armor-All, nie? – spytał Frankie. Od środków do pielęgnacji samochodów.

Aha. Musiałem się jakoś wydostać, ciągnął czwarty, cofając się wzdłuż chodnika do klombu przy krawężniku, gdzie czekał chiński bus. Musiałem się wydostać, żeby mieć przestrzeń. Kiedy mam przestrzeń, wisi mi, ilu ich jest. Mam to gdzieś. Mam to gdzieś i mogę ich rozwalić. Wtedy mogę ich rozwalić.

Wlał sobie piwo do ust i pochylił się, nie przestając pić z niebieskiej puszki. Nie trafiał do ust, lejąc po klombie. Rzucił puszkę, zdeptał i odszedł z podniesionymi ramionami, krzycząc: Wszystkich ich zabiję. Chińczycy obracali się za nim.

Mijali ludzi, którzy ich znali, a oni mijali ich. Pozdrowił ich pasażer z kabiny samochodu dostawczego pokrytego graffiti z rozcięciem na górze, skutkiem lekceważenia dopuszczalnej wysokości pojazdu, obecnie zalepionym workami na śmieci.

Hej, wariacie! – krzyknęli na skrzyżowaniu. Czwarty podbiegł do niego, wspinał się na schodek i rozmawiał z nim przez okno, aż zmieniły się światła, po czym wrócił biegiem między samochodami.

Frankie jakiś czas siedział. To wychodził, to trafiał za kratki. Ten kutas mnie posadził. Trzydzieści dni na Long Island! Uratowała go śmierć matki. Dziewięć zero dziewięć dziewięćdziesiąt dziewięć. Rak jelita, mordo. Się namordowała. A on nadal tam mieszkał, rzut kamieniem od Pendżabczyków w niskich blokach na Blossom. Miał tatuaże: „777”. „Jan 3, 15”. Skóra rozerwana pazurami, jakby czał się w nim tygrys. Ręce miał całe w różowych śladach, jak gdyby cierpiał na łuszczycę, ale to było po ranach z bójek. Obok niego leżała czarna reklamówka, którą przydeptywał. Schylił się i wyciągnął z niej arizona iced tea, splunął na nakrętkę i potarł ją. Odkręcił i pociągnął łyk. Poczęstował innych. Czyste jest.

A więc jesteś na wolności już tyle czasu, powiedział Jimmy, jakby to było coś miłego.

W dzień po jedenastym września poszedłem do World Trade Center, jak się jeszcze dymiło. Jedyne, co się zmienia, to pogoda.

Czwarty znów wrócił do tematu bójki przy myjni samochodowej. Zrobimy tak. Pójdziemy tam. Przez Kissena Park obok mojego domu. Pierdoleni imigranci. Masz papiery? Jesteś legalny? Okej, dobra. Tylko że tym razem będę miał coś ze sobą. Pokazał im, co się stało i co stanie się następnym razem. Był urodzonym sportowcem, jeśli pominąć to, co ze sobą zrobił. Bo te Meksykańce zamierzały go dźgnąć.

Nagłym ruchem przyłożył pięść do brzucha Jimmy'ego. Naprawdę szybki chłopak z miasta. Ale ja celuję w oczy, w gardło. Potrafię zabić bez użycia noża. Łokciem. Odskoczył, machnął pięścią i zatrzymał tuż przed nimi. Frankie i Jimmy ledwo się spostrzegli, wybuchli śmiechem. Stał blisko, twarzą w twarz, domagał się uwagi, mówił patrz na mnie, patrz na mnie, patrz na mnie. To właśnie zrobię. Załatwię sobie rurkę. Elegancką rurkę. Łyżkę do opon! – wtrącił Frankie. O właśnie. Przywalisz komuś w łeb czymś takim i wiesz. Wstanę z samego rana, pójdę tam i zrobię to.

Frankie mówił do niego Charlie. Jak masz na drugie? James, nie? C-J. A na nazwisko French, nie? C-Rock! – zaśmiał się i mrugnął do Jimmy'ego, który nie zwracał uwagi na żadnego z nich i wpatrywał się w papierosa dopalającego się do koniczynki między jego obitymi kostkami.

Charlie wyjął znowu swoje dwie paczki chińskich papierosów. Oddałby ci własną koszulę. Wsadził kolejnego za ucho. Kiedy pokazywał swój styl walki, w wirze gestów upuścił palonego przez siebie papierosa na mokry chodnik, a teraz podniósł go i znow puścił dym.

Musiałem wyjść. Tam było za mało miejsca. Na zewnątrz więcej przestrzeni. Mój ojciec rzuciłby im puszkę tytoniu do zucia i trafił prosto w twarz. Puską copenhagena. Chcę tam dzisiaj wrócić. Powinienem zapytać o właściciela myjni, pójść tam i walnąć go prosto w pysk. Pięścią. Kostką brukową. To byłoby logiczne działanie. Rozwiązałyby sprawę, nie? No, może i nie. Sam nie wiem.

Ale rozwalileś żarcie jednego z nich, stwierdził Frankie.

Nie. Znaczący: tak. Byłem wściekły. Kopnąłem jego żarcie. Nie tego. Innego. Tego dużego z zębami całymi w złocie. Gdybym miał broń, tobym go zabił. Zabiłbym siedmiu z nich. Jeśli tam wrócę, to skończy się na siedmiu trupach. Albo czternastu. Może mi się uda. Prawo do samoobrony. Ale biały facet, obywatel...? Klasnął dłońmi dla podkreślenia wagi swoich słów. I co zrobią gliny? Wysłuchają mnie, białego człowieka? Weterana wojennego?

Miał lekko krzywe zęby. Czerwoną szyję. Krótko ścięte szpakowaciejące włosy.

Twoje słowo przeciwko słowu imigranta?

No chyba! Zbliżył ręce, jakby miał je skute kajdankami. Oddalał się od reszty i przybliżał z powrotem. Pójdę na długo do więzienia. Tym razem na długo. Będą tam ludzie z gangu, z MS-13, będą Meksykanie. Chińczycy. Bardziej już ufam czarnym. Może nie aż tak. Niekoniecznie. Pójdę prosto do skinów. *Sieg heil*. Będę się trzymał z nimi. Urodzony i wychowany tutaj. Skini. Biała siła. Będę w pierdlu z kolesiami z pieprzonego MS-13 – naśladując ich, złożył dłonie jak do modlitwy, ale skierowane do dołu, w kształt diabelskich rogów – i zrobił to z obrzydzeniem. A dajcie, kurwa, spokój... Nie mówią o tym, do czego tam doszło, o tym, co zrobili jednej lasce, wsadzali jej rurę w cipę, w dupę. Zabili ją, biedną Chinkę. Meksykańce o tym nie mówią. O, nie. Niektórzy nie zasługują na to, żeby żyć.

Jego uwagę zwrócił facet, który wyszedł na ulicę ze sklepu, ścierając zdrapkę – wyglądał mu na Meksykanina. Zaraz jednak Charlie się poprawił: A nie, to Turek. Prawie wchodząc na Jimmy'ego, podjął: Opowiem ci o jednym Turku. Jeśli Turek naprawia ci samochód, to następnego dnia przyjedziesz do niego ponownie. Już on to jakoś załatwi. A Hindus cię po prostu okradnie...

Jedynie samochody, jakie miałem w życiu, to minivan i nissan maxima, rocznik dziewięćdziesiąty pierwszy, oświadczył Frankie. Wciąż go mam.

Mają przewagę liczebną! Jest ich za dużo. Nadchodzą.

Członkinie Falun Gong w biało-czerwonych dresach szły ulicą z parku, gdzie tworzyły koło dharmiczne, za którego praktykowanie w Chinach czekałyby je prześladowania. Charlie stanął na drodze skurczonej buddyjskiej babci po siedemdziesiątce. Kiedy ona robiła ruch, on też. Zaczął tańczyć i podrygiwał tak z nią, kołysząc biodrami. Roześmiała się. Dobrze już, powiedział i dał jej przejść.

Patrz na tego skubańca.

Jimmy splunął na chodnik.

Jest nieźle popierdolony. Opalający się facet z bliznami po nożu podkręcił odtwarzacz.

Tańcz, koles! – zawołał Frankie.

Charlie tanecznym krokiem podążył za Chińczykiem, który wyszedł ze sklepu. Ten zgarbiony okularnik z zapadniętą klatką piersiową, przeczuwając, że coś się za nim dzieje, obrócił się, wyszczerzył w okropnym uśmiechu, wyciągnął obwisłe ramię i pokazał Charliemu palcem, dokąd powinien iść.

Jakby w kierunku autobusu. Stał z zębami na wierzchu, a Charlie przybił mu piątkę. Ludzie się uśmiechali. Kiedy przedstawienie się skończyło, zgarbiony mężczyzna poszurał do reszty Chińczyków z saszetkami w rękach, zbierających pieniądze na przejazd, i zaczął z nimi rozmawiać.

Charlie wrócił do chłopaków i zapytał, kiedy otwierają monopolowy. Frankie odpowiedział, że za pięć minut. To samo mówiłeś dwadzieścia minut temu, stwierdził Charlie. Pomógł jakiemuś Chińczykowi przenieść karton, zapytał: Ciężkie to? Podniósł i ocenił: Nie jest źle. Po czym odbiegł z kartonem, krzycząc: Na razie! A następnie przyniósł go z powrotem ze słowami: Nie zrobiłbym tego.

Ma ADHD, wyjaśnił Frankie. Nadmiar energii w mózgu, czy jakoś tak. Służył w Afganistanie. Tak wylądował w więzieniu. Żona mu się kurwiła. Więc zajeżdżał ją i gacha, wyrzucił ich przez zamknięte okno. Dostał dwa lata.

Ja byłem osiem lat w wojsku. Nie, dwa lata, osiem miesięcy i piętnaście dni. W więzieniu siedziałem trzy lata.

Dwa lata, stary.

Racja, dwa lata. Dostałem kosę. Postrzelili mnie. Byłem tu i tam, robiłem to i owo. Ale potem znowu mnie przymknęli.

A ja wpadłem razem z tobą, stary.

Frankie pokręcił głową na boki, dotykając czołkiem ramion, jak bokser rozluźniający kark przed walką.

Charlie podciągnął rękaw koszulki i napiął blade ramię, pokazując Jimmy'emu wojskowy tatuaż. W Iraku był sanitariuszem polowym. Frankie na to: Pokaż mu swój, stary. Charlie podniósł więc koszulę z przodu i zsunął odrobinę spodnie khaki, odsłaniając kępkę włosów łonowych i kość miednicy, a na niej bliznę.

Masz magnes? Chciałbym się pozbyć tego metalu.

Czekaj, czekaj, powiedział Frankie. Ej, Charlie, a skąd to masz? Dostałeś kulkę czy co?

Przydałby się magnes, żeby to wyjąć.

Pytam, skąd to, stary.

Z amatorskiej bomby.

W Iraku, prawda?

Na wzmiankę o Iraku Charlie odskoczył. Nie chciał się dać nikomu dotknąć. Frankie położył mu rękę na ramieniu, a Charlie spojrzał na nią, jakby się poczuł zbrukany tym współczuciem.

Co jest, C-Rock?

Odwrócił się na pięcie i odszedł szybko ulicą, jak gdyby stało się coś potwornego.

Frankie mrugnął do Jimmy'ego, a ten się uśmiechnął.

Właśnie otwierał się monopolowy. Weszli do środka, zostawiając na zewnątrz opalającego się, który kiwał do nich głową w rytm muzyki pełnej trzasków, jakby od źle nastawionej częstotliwości. Miał niewypełniony tatuaż, zaledwie szkic zwierzęcia na błyszczącym od oliwki bladym ramieniu, powstały w trakcie odsiadki.

Charlie wracał ulicą w towarzystwie atrakcyjnej krótkowłosej Amerykanki chińskiego pochodzenia, która prowadziła sklep. zaproponował, że pomoże jej otworzyć kratę, a ona odparła: Dam radę. Szarpnął za uchwyt rolety, zanim kobieta zdjęła kłódkę. Czekaj, powiedziała. Kiedy podniósł kratę, krzyknął z przerażenia i pokazał jej dłonie, czarne od brudu. Możesz umyć je tam, poinstruowała, wskazując na tył sklepu.

Do środka wszedł czarny mężczyzna z ręką w szynie ortopedycznej i przybił Frankiemu żółwika zdrową pięścią. Miał bliznę przechodzącą przez lewą powiekę, ubrany był w koszulę w niebieskie poprzeczne paski, ważył z dziewięćdziesiąt kilo i dobiegał czterdziestki piątki–pięćdziesiątki. Charlie podszedł, żeby się przywitać, a przybysz ostrzegł: Oj, tylko nie w chorą łapę, skurczybyku.

Pili wódkę Georgi z przeźroczystej plastikowej butelki, a Charlie znów wrócił do bójki na stacji benzynowej.

Muszę tego słuchać przez cały cholerny dzień? – spytał Frankie. Całe szczęście nigdy razem nie siedzieli. Charlie był w więzieniu na Long Island. Jego żona była pizdą. Renee. Wyrzuciłeś sukę przez

okno, nie?

Gdzie byłeś? – spytał Charlie. Mówił do Jimmy’ego. Ten koleś jest nie do namierzenia. Ja uległem przewadze liczebnej, a jego nie było.

Czasem ponosisz stratę, stwierdził Jimmy.

Frankie zakrył usta ze śmiechu.

Ta, właśnie jedną poniosłem, powiedział Charlie i zaczął nową opowieść.

Uczestniczyłem w walce podczas wystawy światowej. Miałem piętnaście lat. Piętnaście! Walczyłem z Ramirezem. Wiecie, kto to jest? Nigdy nie przegrałem. Stoczyłem sto dwadzieścia, dwieście pojedynków. W pierwszej rundzie zaliczył nokdaun. W drugiej było odliczanie do ośmiu na stojąco. W trzeciej rundzie znowu leżał. Wiecie, jak się nazywał sędzia? Ramirez. Uznali to za remis.

A ty wciąż o tym?

Nie daje mi to spokoju. Mój ojciec nie przyszedł na żadną z moich walk...

Och, mój tatuś, przedrzeźnił go Frankie.

Popatrz na mnie, powiedział Charlie. Jestem przegrany. Uderzył się w głowę plastikową butelką wódki.

Powiedz mu, że jest przegrany, bo tłucze się butelką po łbie.

Przez kilka minut Charlie tkwił przy skrzynce pocztowej na rogu.

Popatrz na niego. Facet nie wyrabia. Cała noc jarania... Nie dajesz rady, stary?

Robiło się cieplej, zaświeciło słońce. Charlie pokręcił głową, ewidentnie zmęczony albo po prostu nie mogąc mówić. Zdjął koszulkę futbolową i został w samym białym podkoszulku, wyglądał, jakby odpoczywał. Kilka minut później wrócił do nich, pociągając z flaszki, i znów się rozgrzewał. Spojrzeli po sobie i stwierdzili, że mają o czym rozmawiać. Frankie miał na twarzy bliznę.

Mój ojciec miał HIV. Odwiedziłem go w szpitalu i te kutasy powiedziały: nie dotykaj go, dostaniesz AIDS. Ja na to: oż, wy jebani ignoranci. Pobiłem się z nimi. Jeden z nich miał brzytwę i mnie pociął.

Frankie zabrał Charliemu wódkę, dopił i wyrzucił plastikową butelkę, która odbiła się od ziemi. Znowu pokręcił głową, jakby szykując się do sparingu.

Lepiej ze mną nie pogrywaj! – ryknął. A mój kumpel Kenny, Flash z Flushing, mój sąsiad z dzielni? To kwestia szacunku, upierał się Charlie.

A co mnie to, powiedział Jimmy.

Charlie nie odpuszczał. Spójrz na mnie. Stał twarzą w twarz z Jimmym, a ten go odepchnął. Charlie zrobił kilka chwiejnych kroków w tył i znów podszedł. Po prostu kwestia szacunku, powtórzył. Z ust, twarzy, skóry i przekrwionego gardła śmierdziało mu wódką. Opisał, jak gliniarze naszli go w domu i zażyczyli sobie usłyszeć, jak jego żona gra na skrzypcach. Była z tego znana w całej okolicy. Szli za mną całą drogę przez park do tych dwóch budynków tutaj, widzisz? Jak tylko przeszedłem przez linię, to mnie aresztowali. Dasz wiarę? Czternastu gliniarzy weszło do mojego domu, a zanim wyszli, kazali jej grać na fortepianie. Jeden z psów położył jej rękę na plecach i powiedział: Wszystko będzie dobrze. Już, już. Charlie spojrzał Jimmy’emu w oczy, czekając na reakcję. Fortepian, powiedział. Kiedy wszyscy razem pili kawę u mnie w domu. Moja żona miała na sobie koszulę nocną. Nie wolno im tego robić.

Był w moim domu! Moim domu! Nabrzmiała mu szyja.

To ciekawe, skwitował Jimmy.

Masz ładną żonkę, powiedział mi ten gliniarz. Jak pachnie jej cipka? Byłem skuty. Przywaliłem mu z dynki. W ten sposób. Stłukli mnie na zewnątrz. Jeździłem potem na wózku.

Dostałeś niezły wpierdol, brachu, powiedział Frankie.

Matka płakała. Nic nie widziałem.

Uderzył głową w ścianę, a pozostali dwaj patrzyli.

Mocniej, poinstruował Frankie. Charlie ponownie walnął czołem o granit, zarezonowało jak orzech kokosowy. Masz jakąś metę? Jakies grzybki? Meskalinę? Anielski pył? Żebym mógł przebić głową tą pieprzoną ścianę?

Mam zioło.

Nieeee, zioło nie da rady.

Przeszli na drugą stronę alei i usiedli w słońcu pod pendzabskim sklepem spożywczym przy płotku.

Jesteśmy tylko trzema białasami. Jesteś biały, tak? Jesteśmy dinozaurami, synu. Nie ma już takich jak my, mordo.

A ja czym według ciebie jestem? – spytał Jimmy. Frankie unikał jego wzroku. Jimmy zgasił papierosa o asfalt, który zazgrzytał pod jego butem.

Charlie mówił o busie do kasyna, że pojechał do Foxwoods, wyjaśniał, co tam dają – kupon na flambirowaną wołowinę i trzydzieści dolarów na obstawianie. Niekiepsko.

Co wy na to, jedziemy. No weźcie. Namówiłem was.

Mnie ani trochę, zaoponował Jimmy.

Właśnie, że tak. No już.

Zostawił koszulkę futbolową na płocie, a Frankie krzyknął: Wiesz, muszę go niańczyć! Pilnuj swoich rzeczy, do cholery. Zgubił komórkę za dwieście pięćdziesiąt dolarów.

Namówiłem was, upierał się Charlie.

Schowaj kasę, debilu. Masz czynsz do opłacenia.

Frank zerknął na Jima i oznajmił, że idzie do domu spalić blunta. Stał w słońcu z nogawkami dresu podciągniętymi nad grube łydki. Ja pierdolę, musisz przejść na dietę, powiedział Jimmy, wciąż siedząc; nie zamierzał do niego dołączyć. Wiem, że muszę, stary. Frankie ociągał się przez chwilę. Jimmy udawał, że jest zainteresowany Charliem, który wciąż bredził o wzajemnym szacunku.

Frankie zniknął za rogiem, jakby zamierzał pójść sobie na dobre, ale kilka sekund później zjawiał się z powrotem, ściągnął koszulkę z płotu i gdzieś z nią czmychnął. Charlie pogonił za nim. Frankie zatrzymał się i napaerł na siebie klatkami piersiowymi, jakby kryli się nawzajem w koszykówce, zagrażali sobie, syczeli sobie w twarz: Dawaj. No, dawaj. Dawaj. Nie boję się ciebie. Nie boję się ciebie, wycedził Charlie, stając na palcach, by być wyższym niż Frankie.

Koszulka upadła na ziemię, a Frankie na nią splunął. Nie dasz mi swojej koszulki, ale ją tu zostawisz dla jakiegoś czarnucha.

Charlie podniósł koszulkę.

Idziemy na tyły budynku. Chcę się bić.

Nie boję się ciebie.

Klincz potwał trzy albo cztery minuty. Robili krok w przód, krok w tył. Jimmy rozglądał się za patrolami policji.

Spierdalaj, nie boję się ciebie, powiedział Charlie, odchodząc, świadom, że nie może konkurować z Frankiem. Podszedł do drzewa, kopnął w nie, i oddalił się, machając koszulką. W którymś momencie odwrócił się do Franka, żeby pokazać mu środkowy palec, i krzyknął głośno: Pierdol się! Po czym jeszcze raz zawrócił, bo przyszło mu do głowy coś nowego:

I miłego palenia fajek, które ci kupiłem.

Będzie miłe.

Dzięki za wsparcie. Wielkie dzięki, po tym, jak ci kupiłem fajki. Dzięki za pomoc.

Aha, uśmiechnął się Frankie. Chuja bym ci pomógł.

Miłego palenia!

A żebyś wiedział.

Jeb się.

Przegrałeś. Jesteś przegrany. *Sieg heil.*

Pierdol swoje kazanie gdzie indziej. Idź na chatę, zwal se konia! Więcej się do ciebie nie odezwę, zagroził Charlie i zaczął się oddalać. Wtedy Frankie poszedł za nim, rycząc: Hej! Więc Charlie wrócił i kłócili się dalej na ulicy, a Indianki mijaly ich, pchając wózki sklepowe.

Wtedy Charlie podszedł do Jimmy'ego, który opierał się o podniszczony płotek z zamkniętymi oczyma i twarzą wystawioną do porannego słońca, z podkuloną jedną nogą i ramionami rozłożonymi na

barierkach w pozycji ukrzyżowanego Jezusa, i z bandaną na głowie niczym koroną.

Wszystko wina prochów, wyjaśnił Charlie. Jest ćpunem. Prochy przede wszystkim.

To zrób coś z tym, odparł Jimmy ze złośliwym uśmiechem.

Frankie to usłyszał.

Zrób coś z czym? – dopytywał.

Spytaj swojego ziomka.

Pytam ciebie, stary.

A ja mówię, żebyś spytał swojego ziomka.

A ja pytam ciebie.

Jimmy wydał z siebie prześmiewczy odgłos. Panował nad sytuacją, która dla każdego z nich miała nieco inny wydźwięk. Nie podniecam się jak wy, powiedział ochryplym głosem. On i Frankie podeszli do siebie, ale nie doszło do przepychanki. W którymś momencie stanęli oko w oko, a Jimmy prowokował: No, dalej. Dotknij mnie. Tutaj cię pochowam, stwierdził krótko i beznamiętnie, ale Frankie miał na ten temat więcej do powiedzenia. Jimmy mu przerwał.

Chuj kogo obchodzą wasze sprawy. Zostawię was tu z waszymi żółtkami i odpałami, was obu.

Chyba nie łapiesz.

Ty za to kłapiesz. Jimmy ułożył dłoń z koniczynką w kształt gadającej pacynki.

Frankie się wyklócał, mówił, że Jimmy niejedyny siedział w pierdlu. Tam cię poznałem, dzieciaku. Zasugerował, że Jimmy nieładnie wcina się między niego a jego przyjaciela Charliego. A on chciał tylko pójść dzisiaj na plażę. Mogli pojechać do Rockaway. Zawołał do Charliego, wyciągając pokryte cyframi ramiona. No i bynajmniej nie zmieniał zdania, mordo.

Zbaczasz z tematu.

Co?

Masz problem – zrób coś.

Frankie próbował zrozumieć.

Nic do ciebie nie mam. Zrób coś albo i nie, powiedział Jimmy. Tak, dostał dziesięć lat. Dla niego to tyle, co dożywocie. Więc rób, co chcesz. Wszyscy mają to w dupie. Ja też.

Pojechała metrem na East Broadway na Manhattanie, gdzie było chyba więcej prawników od imigracji niż na Flushing, a także więcej agencji pracy i pośredników wynajmu nieruchomości. Wynikało to z faktu, że społeczność chińska na East Broadwayu powstała w dużej mierze z nielegalnych imigrantów z Fuzhou. Weszła schodami obok kobiety gotującej na chodniku orzeszki ziemne w podgrzewaczu elektrycznym i wkroczyła do labiryntu biur na pierwszym piętrze, gdzie mieściły się rozmaite firmy. Tabliczka na jednych drzwiach głosiła: „Księgowość Li”; dalej w korytarzu znajdowało się studio tatuażu Czarny Smok. Za krystalicznie czystą szybą tatuażysta po trzydziestce szkicował coś na masywnym ramieniu młodego mężczyzny bez koszulki. Zza szkła dobiegało monotonne buczenie maszyny.

Inne firmy nie podawały swoich nazw, tylko wyszczególniały oferowane usługi: ubezpieczenia, małżeństwa, rozwody, mieszkania socjalne, wnioski o zasiłek, paszport bez certyfikatu urodzenia, wiza H-1, odsyłanie dzieci do Chin. W jednym z tych biur, nieodwiedzanych przez ich właścicieli, siedziała samotnie pracownica, która wyjaśniła Zou, że to nie są prawdziwi prawnicy i nie mogą załatwić wszystkiego, co proponują. Zou Lei powinna pójść do jednego z prawdziwych adwokatów, jakich nie brak w okolicy.

Za jej radą Zou wróciła na ulicę. Kamienice były ciasno upakowane jedna przy drugiej, jak książki na przeładowanej półce bibliotecznej. Szyld kancelarii prawnej sterczał jak przekładka, przyczepiony do nowoczesnego budynku wpasowanego między dwa domy mieszkalne. Weszła do wyłożonego lustrami hallu pod nadzorem kamer. Gdy nacisnęła guzik windy, zapaliła się wokół niego szmaragdowa obwódka. Drzwi rozsunęły się, a jej oczom ukazało się wewnątrz z ciemną boazerią jak w pokojach klubowych, w których magnaci finansowi z Hongkongu popijali na filmach koniak, i z kolejną kamerą pod sufitem. Wjechała do biura adwokata na pierwszym piętrze, pokonawszy odległość trzech metrów w pionie. Dostałaby się tu szybciej, gdyby dostępne były schody. Winda jechała wolno z powodu kosztownego drewnianego wystroju. Tak Zou dotarła do wielokątnej recepcji z marmurową posadzką.

Wcisnęli pałac do tego wąskiego budynekczku, pomyślała sobie. Za ladą nikogo nie było. Za przeszkloną ścianą zobaczyła kobiety pracujące przy rzędzie ciężkich metalowych biur. Oprócz komputerów i telefonów dysponowały stosami papierowych teczek. W biurze trwała intensywne praca; kobiety bez przerwy wprowadzały dane, odbierały telefony, podawały teczkę kolejnym pracownikom, które wychodziły z innych pokojów. Poziom napięcia przypominał restaurację w godzinach szczytu. W odróżnieniu jednak od restauracji, w kancelarii zasadniczo panowała cisza. Wyjątek stanowiła dyskusja, którą jedna z urzędniczek prowadziła z klientką, kobietą o obwisłych ramionach okrytych kurtką, na temat uzyskania porady prawnej.

Zou Lei oparła się o szklaną ścianę i lustrowała to, co za nią, czekając. Gdy mimo upływu paru chwil nikt nie zareagował, weszła do pomieszczenia i przeszła wzdłuż biur w poszukiwaniu wolnej osoby. Młoda kobieta w dżinsach z masą kieszeni zapytała: Czego pani chce?

Chcę zrobić imigrację.

Ma pani otwartą sprawę?

Zou Lei nie była pewna, co odpowiedzieć.

Więc chce pani złożyć podanie?

Nie wiem. Chyba mogłabym porozmawiać z adwokatem.

Adwokat nie może pani teraz przyjąć.

Zou Lei zapytała, kiedy będzie mógł.

Kobieta odwiesiła telefon, wstała, wyprowadziła Zou Lei z biura na powrót do recepcji i kazała jej usiąść na jednym z trzech wygiętych foteli z drewna różanego, po czym zapukała do drzwi prawnika i zapytała półgłosem, kiedy będzie wolny. Męski głos odpowiedział, że za piętnaście minut. Zamknęła

drzwi, przekazała Zou Lei: piętnaście minut, i wróciła do pokoju sekretarek.

Zou Lei siedziała, oglądając dyplomy na ścianach. Adwokat spotkał się z uznaniem ze strony biura burmistrza oraz Amoy Freemason Society of New York City. Wykaligrafowane podziękowania oprawione w ramkę porównywały zdolności prawnika do skaczących koni, a wdzięczność autora do wiosennego deszczu. Na ladzie recepcji leżały wizytówki z grubego papieru we wszystkich językach, jakimi władał. Zza drzwi dochodził jego głos, mówił po angielsku.

Po upływie minuty wróciła do młodej kobiety, żeby zapytać, ile będzie kosztować rozmowa z adwokatem.

Dziewczyna bez słowa odłożyła to, czym się zajmowała, i pomaszerowała z powrotem do biura prawnika, by spytać go o to szeptem. Zou Lei usłyszała kantońskie słowo oznaczające sto. Dziewczyna wróciła i poinformowała, że opłata to sto dolarów.

Zou Lei się zaniepokoiła, ponieważ była to duża suma. Ile czasu poświęci jej za sto dolarów? Czy mogłaby porozmawiać z nim krócej za mniej?

Dziewczyna obróciła się na pięcie, zajrzała do szefa i cicho coś powiedziała.

Prawnik wstał i wyszedł z biura. Był mężczyzną wyjątkowo wysokim, w białej koszuli Brooks Brothers, krawacie w czerwono-granatowe paski i długich czarnych oksfordach, które stuknęły o posadzkę. Na małym palcu miał złoty pierścionek z diamentem. Wyglądał, jakby jego stopy można było obrócić o sto osiemdziesiąt stopni – innymi słowy: jak gdyby jego kolana były luźne niczym kółka w wózku na zakupy. Podszedł do niej szybko, zatrzymał się pośrodku marmurowej podłogi i powiedział: Tak, dzień dobry. Więc nie może pani zapłacić stu dolarów?

Zapytał, w czym potrzebuje pomocy.

Nim zdążyła zareagować, dziewczyna wróciła i im przerwała. Adwokat poszedł z nią, wyjaśniając, jak zrobić coś związanego z nieruchomością. Zou Lei czekała. Wrócił i zaczął jeszcze raz. Nie wiedziała, od czego rozpocząć opis problemu. Wszedł jej w słowo. Ile chce pani na to przeznaczyć.

Zastanawiała się, co odpowiedzieć.

Trzydzieści dolarów.

Dobrze. Ona wystawi pani rachunek. Porozmawiam z panią, kiedy skończę.

Pośpieszył do biura, zatrzasnął za sobą drzwi i wrócił do rozmowy po angielsku. W sali nie było okien, a czas wskazywał zegar na ścianie. Otworzyły się kolejne drzwi, wyszedł z nich Amerykanin w jarmulce i pożegnał się z kobietami w biurze, które nie zwróciły na niego uwagi.

Powiedzcie Alwinowi, że poszedłem.

Nacisnął guzik windy i czekał, a kiedy przyjechała, wysiadło z niej dwóch Chińczyków wyglądających na dostawców. Usiedli na pozostałych dwóch fotelach. Położyli plastikowe torby między nogami i czytali „Sing Tao”. Siedzący bliżej trącał jej ramię łokciem. Odchyliła się i namacała portfel na biodrze.

Wstała, poszła do biura sekretarek i zwróciła uwagę innej, starszej urzędniczki, poważnej kobiety w okularach, z prostymi włosami i przykrym trądzikiem. Zou Lei poznała, że tamta pochodzi z Chin kontynentalnych, i zwróciła się do niej po mandaryńsku.

Mam porozmawiać z prawnikiem, ale ta dziewczyna wcale nie powiedziała mu, z czym przyszedłem, więc nie wiem, czy cokolwiek z tego będzie, a trzydzieści dolarów pójdzie na marne.

W jakiej sprawie chce go pani widzieć?

Chodzi o kwestie imigracyjne. Nie chcę, żeby mnie złapali.

Imigracyjni?

Tak, imigracyjni. Kiedyś mnie złapali i to było straszne.

Kobieta wskazała jej miejsce obok swojego biurka. Rozmawiały po mandaryńsku.

Czy ma pani otwartą sprawę?

Nie. To mój pierwszy raz u adwokata.

Jak trafiła pani do tego kraju? Czy posiada pani wizę?

Nie, nie mam wizy.

Więc jak się tu pani dostała? Czy...

Zostałam przemycona.

Przemycona z Meksyku? W ciężarówce?

Tak, w ciężarówce.

Kiedy panią aresztowali, a potem wypuścili, powinni byli dać pani dokument. Ma go pani?

Chyba tak.

Proszę pokazać.

Nie przy sobie, ale mam. W domu.

Następnym razem proszę wziąć ze sobą, ponieważ od niego zależy, kiedy będziemy składać podanie. Czy chce pani złożyć podanie?

Dobrze. Tak. Znaczy, co tylko się da. Nie wiem, co w tej chwili jest możliwe. Chcę zostać w tym kraju, jeśli się da. Pewien Amerykanin mówi, że może się ze mną ożenić. I to właśnie chciałabym wiedzieć. Czy mogę za niego wyjść, chociaż nie mam dowodu tożsamości?

Prawnik wyszedł i włożył teczkę do drucianego koszyka. Poprosił sekretarkę o sprawę Broadway 285 i wrócił do siebie.

Powinniście jak najszybciej wziąć ślub, to przyspieszy sprawę podania, wyjaśniła kobieta.

Czy mogę to zrobić bez dokumentów?

Czy on jest Amerykaninem?

Tak, żołnierzem.

I jest obywatelem amerykańskim?

Tak. Jest obywatelem.

Proszę iść do urzędu i sprawdzić. Podadzą wam wymagania. Ale powinniście zrobić to jak najszybciej i wrócić tu już jako małżeństwo. Wtedy możemy otworzyć sprawę.

Powiedziała Zou Lei, że będzie musiała wyjechać z kraju i wrócić do Chin na przesłuchanie w sprawie wizej. Sprawa może potrwać bliżej nieokreślony czas, podanie może zostać odrzucone, a ona wylądować w Chinach bez pola manewru.

Zou Lei chciała wiedzieć, czy będzie w stanie wrócić bez paszportu. Kobieta wyjaśniła, że można aplikować o paszport w chińskim konsulacie, ale wiąże się to z ryzykiem, ponieważ, jak to ujęła, chyba sprawdzają, i to może ułatwić deportację.

Potwierdziła obawy Zou Lei, że nietrudno o aresztowanie i trzeba unikać tego za wszelką cenę, bo po jedenastym września nikt nie wiedział, z czym może się wiązać zatrzymanie przez urząd imigracyjny.

Potem jakby zaprzeczyła własnym słowom, twierdząc, że Zou Lei pod żadnym pozorem nie będzie musiała wracać do Chin. Stwierdziła, że przepisy stały się bardzo ogólne, a rząd zrobił się nieprzewidywalny. Może w przyszłości będzie łatwiej.

Rozmawiały przez góra trzy minuty – kobieta wypowiadała się szybko i rzeczowo, jej oczu nie było widać zza okularów – aż nagle, jakby wyczerpał jej się czas, przestała mówić do Zou Lei i wróciła do swojego komputera. Telefon zabrzączał, odebrała i zapewniła: Tak, właśnie to robię – po czym się rozłączyła.

Bardzo dziękuję za pomoc, powiedziała Zou Lei. Czy ma pani wizytówkę?

Kobieta podała jej wizytówkę, a Zou poniewczasie zorientowała się, że to taka sama jak te, które leżały na recepcji, ogólna.

Kiedy wychodziła, zjawił się prawnik i zwrócił się do niej, wkładając kolejną teczkę do koszyka. Słyszałem waszą rozmowę. Jeśli ma pani brać ślub, lepiej, żeby to było na poważnie, inaczej będą duże kłopoty. To mogę powiedzieć pani za darmo. Gratisowa porada.

Nie rozumiała, o co mu chodziło. Co ma pan na myśli? Może jesteśmy prostymi ludźmi, ale nasze uczucie jest prawdziwe.

Po wyjściu z kancelarii od razu udała się z powrotem na Flushing, żeby spotkać się ze Skinnerem. Podczas rozmowy wstał i otworzył lodówkę. Stał i gapił się w nią przez pół minuty bez słowa.

O co chodzi?

Popatrz.

Wewnątrz, na obskurnej drucianej półce, stał sześciopak piwa.

To piwo.

No.

Nie rozumiała, na czym polega problem. Obszedł całą suterenę, zajrzał do śmieci, kopnięciem rozrzucił koszulki, zajrzał pod nie, sprawdził pod łóżkiem, a ona mu się przyglądała, zdziwiona jego zachowaniem. Wrócił do kuchni, otwierał szafki i zamykał je z trzaskiem. Wreszcie stanął przy blacie z wyrazem twarzy, który zdaniem Zou Lei świadczył o tym, że Skinner coś zauważył i nie był z tego zadowolony.

Zapytała go, w czym rzecz. Pokręcił głową.

Nic. Cholera by to.

Czyżby coś zgubił?

Miałem tu dwa sześciopaki.

No i?

A teraz mam jeden.

Wypiłeś?

Nie-e.

Na pewno?

Aha. Wskazał na kosz. Brak pustych puszek.

Ktoś zabrał?

Potwierdzam.

Kto?

Nie wiem.

Kto?

Zapalił papierosa.

Koleś z góry.

Nie wiedziała, kogo Skinner ma na myśli, i założyła, że chodzi o mężczyznę, którego słyszeli, jak krzyczy na córkę.

Ten zwiastun problemów z właścicielem sutereny sprawił, że jej plany zadrżały w posadach. Dopiero co rozmawiali o jej wizycie u prawnika, która wiązała się ze wszystkim, łącznie z miejscem zamieszkania. Zastanawiała się nad przeprowadzką do Skinnera.

I co z tym zrobisz?

Pokręcił głową, jakby sprawa nie była warta dyskusji. Wyjął z lodówki jedno z ocalałych sześciu piw, postawił na stole i przez jakąś minutę przyglądał się kroplom spływającym po zimnej puszcze. Nie zamierza zamknąć lodówki? A, racja. Wyciągnął papierosa, zamknął drzwiczki i wrócił do tematu adwokata.

Skinner zobaczył Jimmy'ego w tłumie na peronie linii siódmej metra, na stacji Czterdziesta Druga Ulica. W tamtym momencie miał gdzieś kradzież piwa – albo przynajmniej tak mu się wydawało.

Przywitałby się i tyle. Dzieliły ich ogromne masy ludzi wracających z pracy do domu. Stracił go z oczu w przepelnionym pociągu i nie zobaczył już, wysiadając na końcu trasy. Kiedy wrócił do domu, przysłuchiwał się przez ściany państwu Murphym. Zagościło w nim znajome uczucie strachu, być może wywołane samym aktem nasłuchiwania. Pomyślał, żeby zapukać do nich i wyjaśnić matce Jimmy'ego, jak działa jego umysł.

Poszedł na Sto Sześćdziesiątą Drugą Ulicę i popatrzył na zielone drzwi do baru, które wydawały się za małe dla mężczyzny takiego, jakim go sobie wyobrażał. Zawadził o monopolowy Leiser's Liquors z żółtą markizą i kupił butelkę rumu. Sprzedawali tam azjatyckie wina i mocniejsze alkohole, co świadczyło o zmianach zachodzących w okolicy. Zapłacił kartą. Facet za ladą przesunął nią po czytniku, a Skinner poczuł tarcie, przyciąganie między plastikiem a magnesem ściągającym pieniądze z jego banku ponad kilometr stąd. Zou Lei co dzień mijała ten oddział w drodze do pracy. Od iluś tygodni nie sprawdzał stanu swojego konta. Czy jeszcze coś mu dla niej zostało?

A może będzie z nim dzielić wszystko – papierosa, gorącą wodę z menażki, wyrok, któremu wszyscy stawiali czoła, leżąc wśród piachu i śmieci, zamaskowani, ze zniżonymi głowami?

Pił w suterenie do dziesiątej wieczorem, po czym znów wyszedł. Jake wszystko to z nim dzielił, pomyślał sobie. Stan upojenia wymazał mu Meksykanów sprzed ich domów. Kiedy prawie, prawie na nich wpadł, nazwali go *cabrón*, skurwysynem. Alkohol wyłączył mu większą część świadomości, a jemu wciąż nie było dość.

Zamajaczyła przed nim grupa młodych mężczyzn opuszczających sklep z wyrobami tytoniowymi. Portorykańczyk w podkoszulku zdjął folię z cygara i włożył je sobie za ucho. Wracając z gatorade'em, Skinner zobaczył, jak przed China Garden piją z butelek schowanych do papierowych torebek. Chociaż był otępiały i szedł po drugiej stronie ulicy, w najwyższym z nich rozpoznał Jimmy'ego.

Guado, koleś, trącił Jimmy'ego w ramię. Widzisz tego przygłupa?

Skinner splunął na ziemię tak samo, jak oni pluli na niego, wyzywając go od trepów.

Nazajutrz, gdy wstał, znalazł na swoich schodach śmieć. Był to paperek po gumie do żucia, nie jego. W paperek zawinięta była przeżuta guma.

Kutas rzuca śmieci na moje schody.

Podniósł gumę i cisnął w górę, na piętro Murphych.

W następnych tygodniach po powrocie do siebie kilkakrotnie stwierdzał, że ktoś przesunął jego krzesło w kuchni albo otwierał szafkę.

Pewnego dnia właśnie szedł Czterdziestą Ulicą, gdy jeden z gości przed sklepem na rogu zaczął krzyknąć: Ej! Dokąd idziesz?

Rozpoznał w nim jednego z chłopaków z okolicy. Chyba widział kiedyś, jak koleś bierze papierosa od Jimmy'ego. Kiedy kontynuował marsz ulicą, kolejny zawołał:

Myślałem, że twarziel z ciebie. Chodź tu do nas – i tak dalej. Myślałem, że chcesz się napażać z moim kumplem!

W domu pani Murphy nie wchodził z Jimmym w żaden kontakt; obaj zachowywali się, jak gdyby nigdy nic. Gdy zobaczył go w tłumie na Flushing, do niczego nie doszło. Ale chodnik wzdłuż żółtawych budynków przy Sanford Avenue był wąski. Którejś nocy zauważył, że Jimmy idzie wprost na niego i nie zamierza ustąpić. W swoim wojskowym plecaku Skinner miał berettę dziewięć milimetrów. Ale miał z Zou Lei plany, więc przeszedł na drugą stronę.

Gdy zbliżała się do domu Skinnera, boczne drzwi otworzyły się i na długich nogach wyszedł z nich mężczyzna. Wokół głowy zawiązaną miał bandanę, której końce zwisały razem z jego włosami, jakby były ich częścią i razem z jego brodą wykonano je z pasków materiału.

Niewiele myśląc, zatrzymała się w pół kroku i opuściła głowę, zasłaniając twarz daszkiem czapki, po czym zmieniła trasę, udając, że idzie gdzie indziej. Żeby zyskać na czasie, stawiała drobne krocзки, tak że prawie dreptała w miejscu, aż tamten sobie poszedł. Czują, że ją obserwował, i zorientowała się, kiedy odwrócił od niej wzrok.

Patrzyła, jak oddala się sprężystym krokiem, przechodzi przez ulicę i znika za zakrętem. Zastanawiała się, czy nieznajomy jest w stanie ją widzieć, chociaż na nią nie patrzy, oczyma z tyłu głowy. Sprawiał wrażenie, jakby wiedział, że Zou zawróci i pójdzie do domu, z którego on wyszedł. Udawał, że wpatruje się w coś innego, ale byli jedynymi ludźmi na ulicy.

Kiedy dziewczyna jedzie przez step i widzi z dala tylko pojedynczy ruchomy punkcik, to on również ją widzi. Jeleń, człowiek, wilk.

O trzeciej w nocy na całej alei było ciemno, tylko okna jednego z domów emanowały światłem o niskim natężeniu, jarzyły się nieokreślonym różowo-fioletowym blaskiem zza koronkowych firanek, bijącym z lampki nocnej, którą jakaś kobieta zostawiła zapaloną w sypialni.

Ulica była rozległa i szeroka, jej pusta przestrzeń zapraszała do poruszania się nie tylko w dwóch kierunkach, lecz w dowolny sposób, aż po okalające ją ciemności. Przepuszczalna ściana domów i sklepów, których zwieńczenia i gzymsy odcinały się cieniście na tle nieba. Przy trasie wielki supermarket. Na przeciwnym końcu wiadukt kolejowy i bloki. Tory, a za nimi plamy mroku. Czarne paprocie rosnące między domami, żeby pochłaniać gorące wyziewy szosy.

Pośród innych ciemnych i cichych pojazdów stojących wzdłuż krawężników pick-up zaparkowany nieopodal domu emitującego słabe światło nie rzucał się w oczy.

Czarny sedan zjechał z międzystanowej sześćsetsiedemdziesiątkiosemki, przystanął na czerwonym świetle przy supermarkecie i skręcił w aleję. Minął wysokie ogrodzenie parkingu i śmietniki za knajpą z szyldem „Steki – kotlety – owoce morza”, a następnie skład materiałów budowlanych z napisami po chińsku, i zatrzymał się w pół drogi do następnej przecznicy.

Z samochodu wysiadła Azjatka: wielka torebka, krótka spódniczka, wysokie obcasy, na górze uda duży tatuaż przedstawiający jakieś zwierzę. Prztyknęła zapalniczkę i odpaliła papierosa. Sedan z długą anteną, który ją przywiózł, odjechał. Pewnym krokiem – mimo obcasów – przemierzyła pustą aleję, kierując się do domu, którego okna pulsowały taką samą długością fali fioletu jak jej bluzka bez pleców.

Przechodząc obok pickupa, nagle podskoczyła, a jej obcasy uderzyły o asfalt serią pośpiesznych kroków. Widziała mężczyznę na fotelu kierowcy, zarost wokół ust, sygnety na palcach dłoni leżącej na kierownicy. Wcześniej patrzył na dom, a teraz przyglądał się jej. Rzuciła papierosa za siebie i przed wejściem do budynku obejrzała się na niego z nienawiścią.

Pojechali metrem z Queens na Canal Street na Manhattanie. Roilo się tam od Afrykanów, Banglijczyków i chińskich sprzedawców handlujących T-shirtami z napisem „I Love New York” i podrabianymi rolexami. Stamtąd poszli pieszo do siedzib administracji miejskiej. Wielkie budynki z szarego granitu ciągnęły się przecznica za przecznica. Drzwi sądów karnych i rodzinnych miały wysokość czterech pięter, a przed nimi stały tłumy ludzi w oczekiwaniu na kontrolę wykrywaczem metali. Przespacerowali wzdłuż ozdobionego współczesnymi rzeźbami placu po drugiej stronie ulicy i przeszli obok budynków Sądu Najwyższego. Z boku zobaczyli betonowe barykady i umocnienia oraz punkty strażnicze. Ulice były wyłączone z ruchu. Zdawały się pustymi kanionami z betonu. Mijali turystów i różne typy prawników w garniturach z kory lub w kapeluszach z szerokim, płaskim rondem i jedwabną wstążką albo innym stylowym dodatkiem. Okulary w złotych oprawkach i słomkowe kapelusze sprawiały, że wyglądali jak w przebraniu. Na rogu mieściła się kawiarnia z ekologicznymi muffinkami. Obok stali funkcjonariusze formacji paramilitarnych w czapkach i kurtkach z nazwami jednostek oraz spodniach wpuszczonych w wysokie buty; popijali kawę i rozmawiali z innymi ochroniarzami w swetrach i o włosach ściętych krótko po bokach. Potem wyłonił się kolejny budynek urzędu, z kolumnadą na wysokość całego piętra. Przechodząc pod nią, zobaczyli brukowane dziedzińce, mosiężne drzwi, gołębie i kamienne słupki z łańcuchami kotwicowymi, przypominającymi czasy, gdy miasto było portem morskim.

Kiedy spróbowali wejść do środka, mężczyzna obok przejścia spytał: Czym mogę służyć?

On i jego partner mieli na sobie kamizelki kuloodporne i policyjne wiatrówki. Drugi policjant, Latynos, stał na szeroko rozstawionych nogach.

Skinner powiedział: Szukamy miejsca, gdzie można wziąć ślub.

To nie tutaj. Podał mu właściwy adres, ale za szybko, żeby dało się zrozumieć.

Gdzie to jest?

Dwie przecznice wcześniej. Będzie dodatkowych pięć minut na zastanowienie.

Już się zastanowiłem.

To dobrze. Miłego dnia, proszę pana.

Zastanowiłem się. Nie muszę się więcej zastanawiać.

Obaj funkcjonariusze przyglądali się Skinnerowi ze szczególną uwagą. Z bronią i resztą sprzętu ważyli jakieś sto trzydzieści kilo więcej od niego.

Miłego dnia, powtórzyli.

Skinner dołączył do Zou Lei, która czekała ukryta po przeciwnej stronie dziedzińca.

Nie musisz się z nimi bić.

Poszła przodem, a on za nią. Wrócili obok placu ze sztuką nowoczesną i kolumnady sądu wyższego szczebla. Jacyś turyści żartowali po niderlandzku i włosku, a spod ich głosów wyzierał plac otoczony pustymi ulicami, wypełniony ogromną ciszą i strażnikami popijającymi kawę.

Stwierdzili, że odesłano ich do tych samych budynków, w których mieściły się wydziały karne. Na rogu stał sprzedawca hot dogów, a faceci w garniturach – panowie młodzi i podsądni – jedli precle. Urząd stanu cywilnego miał wyjście na południe. Mosiężne drzwi otworzyły się i wybiegła przez nie mieszana para: młoda, biała kobieta z kwiatami w jasnych włosach, podtrzymująca suknię ślubną, i czarny mężczyzna w prążkowanym garniturze opinającym się na udach. Skinner powstrzymał ciężkie drzwi przed zatrzaśnięciem się i otworzył je przed ubraną w dżinsy Zou Lei, która weszła do środka.

Granitowa podłoga w hallu miała kolor czerwonej ziemi, a lampy rzucały spod abażurów światło

podobne do blasku świec. Był też aksamitny sznur, jak w klubie. Stanęli w kolejce za sporą grupką Latynosów towarzyszących pannie młodej w różowej sukni ślubnej. Była wyższa od swojej matki. Ktoś miał aparat z profesjonalną lampą błyskową. Sklepiony sufit odbijał echo kroków i śmiechu. Brat i ojciec ubrani byli w eleganckie czarne garnitury i kowbojki. Zou Lei ani Skinner nie odzywali się słowem. Spojrzała za punkt informacyjny. Głębiej w pomieszczeniu narzeczeni stali przy terminalach z ekranami dotykowymi służącymi do składania wniosku o zawarcie małżeństwa. Przy punkcie informacyjnym siedział młody Amerykanin azjatyckiego pochodzenia, po studiach, mówiący po angielsku bez akcentu.

Kiedy przyszła ich kolej, Zou Lei i Skinner podeszli do lady, a Zou zapytała, w jaki sposób bierze się ślub. Młody mężczyzna położył ulotkę informacyjną na ladzie i obrócił ją, żeby lepiej widziała. Przynosicie mi państwo paszport albo prawo jazdy, potem idziecie do okienka złożyć wniosek i uiścić opłatę. Kiedy akt ślubu się wydrukuje, przychodzicie z powrotem w ciągu doby do sędziego, chyba że ktoś z was jest żołnierzem służby czynnej, wtedy jest to możliwe szybciej.

Zou Lei nachyliła się nad ladą i oparła głowę na rękach, studiując wymagania podane na ulotce. Młody człowiek spojrzał na kolejkę za nią.

Jeżeli potrzebuje pani więcej czasu, może pani poczekać tutaj.

Proszę dać jej chwilę, powiedział Skinner. Możemy mieć pytania.

Pan jest panem młodym?

Aha.

A co, jeśli będzie problem z dowodem tożsamości?

Ma pani paszport?

Chyba mam, ale chcę użyć dowodu wydanego poza stanem.

W porządku.

Muszę to przemyśleć.

Urzędnik zabrał jej ulotkę.

Będzie jej potrzebna, rzucił Skinner.

Urzędnik oddał ulotkę.

Przepraszam. Czy mogę coś jeszcze dla państwa zrobić?

Zou Lei zaprzeczyła i wyszli ze Skinnerem z urzędu. Za miejskim więzieniem rozciągał się park, a przez metalowy płot najeżony szpikulcami widać było szyldy poręczycieli wpłacających kaucję za aresztowanych, a także podupadłe bary z poczerniałymi oknami. Skinner usiadł na zielonej ławce, zapalił marlboro i patrzył, jak starszawi Chińczycy grają w madžonga wśród gołębi.

Czy jeśli zawrze małżeństwo przy użyciu fałszywego dowodu tożsamości i nazwiska, to będzie ono legalne? Poszła do kancelarii zapytać władającą mandaryńskim urzędniczkę, z którą rozmawiała poprzednio. Kobieta poradziła jej wziąć ślub pod prawdziwym nazwiskiem. Ale jak mam to zrobić? Kobieta kazała jej pójść do urzędu wydającego prawa jazdy i złożyć wniosek o dowód. Nie pamiętała szczegółów sytuacji Zou Lei, która przypomniła jej, że nie ma papierów. Urzędniczka zapewniła, że już kojarzy. W kancelarii panował ruch. Poprosiła Zou, żeby przyszła później.

Zou Lei udała się z powrotem do urzędu miasta, chcąc dowiedzieć się o dokumenty wymagane do złożenia wniosku o dowód, i czekała na rozmowę z urzędnikiem. Chyba jej nie zrozumiał. Zapisał i wręczył jej jakiś adres na skrawku białego papieru. Kiedy pośpiesznie wyszła na zewnątrz, zdała sobie sprawę, że nie wie, po co jej on.

Skinner, na lekach, przybity i pesymistycznie nastawiony, siedział bezwładnie w swojej suterenie, oglądając na laptopie eksplozje amatorskich bomb, postrzelonych i opadających na ziemię Irakijczyków, świat kończący się po jednej osobie. Lista stawała się coraz krótsza, zbliżała się jego kolej.

W pracy znów obcięli jej godziny. Kiedy nie było dla niej dość roboty, co zdarzało się często, snuła się po tylnym korytarzu łączącym kuchnię, rozmawiała z Meksykanami, Tomasem i Miguelem. Wycierała ręce, podchodziła do stołu, przy którym siekano produkty, spędzała całe popołudnia na

lepieniu pierożków, łuskaniu groszku cukrowego i zmywaniu naczyń. Czasy obsługiwania przy ladzie się dla niej skończyły.

Jeśli znów obetną jej grafik, będzie musiała wrócić do zbierania puszek, tak jak robiła w brygadach w środkowych Chinach.

Zrobiła sobie przerwę na wizytę w toalecie, żeby poczytać tam ogłoszenia.

„Kierowców zawodowych”, „\$Okazje\$”, „Praca w środowisku Mac, osoba kontaktowa: pani Chen, wymagane gadanie po angielskiemu”. „Odzież, Bayshine, moda dla dziewczynek”, „Modelarstwo, mile widziany kantoński”. „Poważna oferta dla młodszego specjalisty CAD”. „Niania na Brooklynie”, „Dezynsekcja Wrota Raju”, pomoc domowa, dawczyni jajeczek, masażystka.

Nazajutrz rano poszła do parku późno, mniej więcej po dziewiątej, i zaczęła biegać, żeby zastanowić się, co zrobić. Nie miała powodu, by się zatrzymać przy boiskach do koszykówki. Przeszła przez ogrodzenie i biegła dalej w jasnym słońcu, zwiększając tempo. Miała wolne. Trawa, drzewa i powietrze, wypełnione spalinami, utrzymywały w sobie gorąco. Przebiegła przez ulicę, na której stała zaparkowana sama kabina ciągnika. Wyglądała jak coś zmutowanego, głowa na kołach; jej dziwność podkreślało odseparowanie od naczepy. Między drzewami po prawej dostrzegła, że przechodził w pole golfowe. Słońce wznosiło się na niebie. Przebiegła przez autostradę i asfaltowy plac fabryki, pełen szmat umazanych olejem. Zmierzała ku budynkom, które wyobrażała sobie jako góry. Zatrzymała się i pomyślała o nim. Lał się z niej pot, pozostawiający ślady na wysokości piersi. Od spodu dżinsowych szortów miała plamę w kształcie siodła, jakby jechała na mokrym koniu. Dochodziło południe. Tak czy inaczej wysokie budynki były bardzo daleko. W miejscu, gdzie kończyła się trawa, Zou Lei rozejrzała się dookoła w oślepiającym słońcu. Stała. Skarpetki miała przemoczone. Zdjęła koszulkę przylepiającą się do piersi i strzepnęła ją. Śmieci leżące na ziemi stały się jej częścią. Wysokie budynki podobne do gór były po prostu blokami komunalnymi, milczącymi w cykającym upale. Były tylko tym.

Część III

Jimmy szedł Roosevelt Avenue w cieniu rzucanym przez wiadukt metra, jego filary i podpory, nity i graffiti, mijając stoiska ze świńskimi głowami, mózdkami i flakami, głosy Meksykanów i dźwięk generatorów. Od alei odchodziły uliczki, gdzie imigranci mogli się ostrzyć albo kupić ulubiony rodzaj muzyki. Sprzedawano tam dzinsy, bieliznę, komórki, buty na obcasie, szklane fifki i hiszpańskie romansidła – wąsaty mężczyzna z rękami na biodrach kobiety o kruczoczarnych włosach, wsuwający rękę za dekolt bluzki wiejskiej dziewczyny. Manekiny miały krągłe pośladki i piersi jak torpedy, stały na palcach, a na głowach miały wielkie, czarne peruki i futurystyczne okulary. Każde drzwi prowadziły do baru o ciemnym wnętrzu. W środku grała głośna muzyka, jakby właśnie trwała największa fiesta świata. Za muzyką kryło się jednak niedoświetlone pomieszczenie z trzema czy czterema niechlujnymi mężczyznami zwieszającymi głowę nad stołem zastawionym astronomiczną liczbą butli po piwie, typowy obrazek migrantów upijających się w sztok na przystanku autobusowym.

Pachniało smażonym kurczakiem, frytkami i grillowaną kukurydzą. Był też plac budowy – roboty miejskie pod ulicą. Trąbiły klaksony, a dźwięk silnika jakiegoś brzydkiego, taniego samochodu wybijał się nad pozostałe; pasażerowie auta nosili identyczne czerwono-czarne czapki Bullsów, czarne warkoczyki, białe podkoszulki bez rękawów. Mężczyźni mieli pryszczę, wielkie bicepsy i tatuaże. Grube dziewczyny ubrane były tak samo jak chłopaki, i krzyczały: Ej, skręcaj w lewo, palancie, a krostowaty kierowca przechylał się przez kierownicę, rycząc: Zjedź, czarnuchu, daj jechać innym. Z lusterka wstecznego zwisały rękawice bokserskie z portorykańską flagą, a samochód, wypełniony ciałami dużych młodych ludzi, toczył się na tanich felgach, wyglądających jak zabawkowe.

Jakaś nawiedzona kobieta z Biblią w rękę wygłaszała kazanie przez mikrofon na środku wysepki pod torami, odmawiając jakby niekończącą się, nieprzerwaną litanię, coraz szybszą i głośniejszą, która osiągała kulminację i waliła ogłuszająco z głośników.

Przeszedł Osiemdziesiątą Piątą Ulicę w tłumie. Chińczyk w szarych spodniach, ze złotym łańcuchem i kołnierzem w serek, stał oparty o parkometr. Gdy Jimmy się zbliżył, mężczyzna złowił jego wzrok i zapytał: Masaż? Wskazał na parę Azjatek stojących kawałek dalej. Jimmy podszedł. Jedna miała ogorzałą, piegowatą twarz jak u farmerki, torebkę na ramieniu i miękki kapelusz w kształcie abażura, chroniący ją przed słońcem. Druga była umalowana, miała T-shirt i piersi jak melony. Jej mocne, lśniące, czarne włosy upięte były w prosty kok z tyłu głowy.

Ty, wybrał Jimmy. Ta w T-shircie uśmiechnęła się i powiedziała: Och, tak – a następnie zaprowadziła go do wejścia. Była pod pięćdziesiątkę i chyba pod wpływem. Wszedł za nią po schodach z niskim sufitem, prowadzących do jedyne go mieszkania z wyłączonymi światłami i wiecznie otwartymi drzwiami. Miała szeroki, płaski tyłek, a opinające go dzinsy ozdobione były cekinami. Na schodach obejrzała się przez ramię, by upewnić się, że klient za nią idzie. Posłała mu porozumiewawczy uśmiech, po czym weszli do mieszkania.

Panował w nim gorąc silniejszy niż cały upał tego dnia zgromadzony w jednym miejscu. Miało się wrażenie, że grzejnik jest włączony – skwar był tak przeraźliwy, jakby mógł zagrażać życiu. Brakowało świeżego powiewu – całe powietrze wydawało się zużyte, wyoddychane, przypominało klimat w więzieniu. Od razu nasunęło mu się to skojarzenie. Zapach i tekstura tej atmosfery pochodziły od jedzenia i ludzkich ciał, i innych rzeczy, które nigdy nie zostały przewietrzone, tylko wciąż na nowo wdychane i wydychane. W rezultacie powietrze miało ciężar oraz ciśnienie inne niż na zewnątrz. Mocno pachniało gotowanym makaronem ramen i emulsją do ciała. Choć były tam okna, to zaplombowane i zamalowane. Mieszkanie było wąskim labiryntem, czarnym jak atrament, który robił się coraz

ciemniejszy w miarę zanurzania się w nim. Kobieta zmierzała tunelem do czerwonego blasku, a on za nią. Blask dochodził zza kotary, którą odsunęła. Jimmy był od niej dwa razy wyższy. Spojrzała na niego i uśmiechnęła się. Schylił głowę i wszedł do pomieszczenia oświetlonego na czerwono. Ledwo starczało miejsca na niego i stół do masażu z dziurą na twarz, pozwalającą oddychać, kiedy się leży na brzuchu.

Ile?

Odpowiedziała. Wyciągnął pieniądze, a ona nie spuszczała z nich oczu, aż nie dostała ich do ręki. Złożyła je i zniknęła.

Jimmy zdjął zmechacony T-shirt w rozmiarze XXXL ze spranym logo firmy produkującej narzędzia i odsłonił nagie ciało. Wyglądał jak soczysty biały owad pozbawiony szkieletu zewnętrznego, z widoczną mechaniką mięśni i białego mięsa, które nigdy nie miało kontaktu ze światem zewnętrznym. Zdjął dżinsy, ukazując długie nogi.

I stał tak w czerwonej poświacie, tylko z bandaną na głowie, wpatrując się w kotarę. Nasunął okulary na oczy i stanął twarzą do wejścia z szeroko rozstawionymi nogami i odchyłoną głową, jakby opalał się w czerwonym świetle.

Jak miotacz gotujący się do rzutu polizał trzy palce, sięgnął do kroku i zaczął bawić się końcem nieobrzezanego członka.

Wróciła w różowych klapkach z puszkami, niosąc ręczniki i prześcieradła.

Nie, nie, nie, zacamokała. Ty się kładziesz.

Jego pięść, ta z sygnetami, trafiła ją w twarz.

Cofnęła się pod ścianę i uderzyła w nią głową. Ręczniki i prześcieradła wypadły jej z rąk. Z wywróconymi oczyma osunęła się na podłogę. Ugięły się pod nią kolana, zakryła twarz i wydała okrzyk bólu.

Jimmy podszedł do niej i uderzył ponownie.

Au! – krzyknęła. Nie! Poczołgała się w kąt. Spinka, która przytrzymywała jej włosy, otworzyła się i zwisła na uwolnionych pasemkach.

Próbowała się przed nim ukryć. Wykręcił jej rękę za plecami, prawie ją łamiąc. Krzyknęła, ale wszystkie te dźwięki nie miały dokąd dotrzeć. Zdzielił ją pięścią w tył głowy. Sięgnął do przodu i uderzył ją w twarz sierpowym. Och! – krzyknęła i zaczęła płakać. Obrócił ją przodem do siebie i przyparł znów do ściany, odwiódł jej ręce od twarzy i uderzył po raz kolejny.

Odsłoń twarz.

Uchyliła się, a on znów wykręcił jej rękę.

Złamię ci rękę.

Okej, okej, okej, ja nic nie robić.

Odsłoń twarz.

Nie, powiedziała błagalnie.

Nie mogła zwalczyć odruchu zakrywania twarzy. Była zbyt przerażona, ale on dał sobie z tym radę. Pracował nad nią, aż uzyskał to, czego chciał.

Dlaczego? Dlaczego? – pytała spokojnie. Ale na oślep, ponieważ jej zapuchnięte oczy były pokryte pulsującymi fioletowymi sińcami.

Wzięła mu do ust. Zdjęła ubranie, włącznie z bielizną, i weszła na stół. Uprawiał z nią seks analny, a potem zmusił ją ponownie do oralnego. Robił to tak, żeby bolało jak najbardziej. Wchodząc w nią, ryczał jak silnik na wysokich obrotach. Krzyczała w ręcznik. To, co robił, brzmiało jak uderzenia mokrymi rękawicami bokerskimi w ciężki worek treningowy. Wygiął plecy w łuk. Zatrzymał się, żeby złapać oddech; w gorącym pokoju po bokach ściekał mu pot. Wyglądał jak mężczyzna na dziecku. Głowa dziecka była zmumifikowana. Odetchnąwszy nieco, wpadł w kolejną fazę szału. Kobieta poczuła mdłości i zwymiotowała w ręcznik, którym owinął jej głowę. Miała w żołądku makaron ramen. Teraz masz wirusa, powiedział jej, zakładając dżinsy.

Stała zgięta wpół z niehumanoidalną twarzą. Wyglądała, jakby miała na niej śliską, nierówną, lśniąca grubą maskę, z wilgotnymi szparami tam, gdzie powinny być oczy.

HIV-a, wyjaśnił. Lepiej zrób sobie test.

Cuchniesz, dodał.

Czuł w sobie coś niedokończonego. W pokoju panowało zło i szaleństwo. Chyba tym razem pójdzie na całość.

Wyjął jej z dzinsów pieniądze, komórkę i dowód tożsamości. Poklepał ją po głowie. Uśmiechnij się, powiedział. Nie zareagowała.

Ty nie dzwonić policja, polecił jej w łamanym angielskim, żeby zrozumiała. W jego mózgu przeskoczył jakiś mechaniczny trybik, zrozumiał, że tym razem jednak nie posunie się dalej. Wyszedł z czerwonego pokoju, a jego kroki oddaliły się w czarnym korytarzu.

Kobieta chwiała się na nogach. Minęło pięć minut. Usłyszała, że poszedł. Próbowała wydać z siebie głos, odezwać się, ale tylko zachrypiała. Mimo upału w pokoju trzęsa się, jakby stała naga na śniegu. Przeszła przez kotarę i zaczęła iść korytarzem, stąpając po zniszczonym linoleum w ciemnościach, po omacku.

Na ulicy, w popołudniowym słońcu, Jimmy kupił sobie hot doga na ruchliwym skrzyżowaniu pod torami, gdzie Latynosi i Banglijczycy sprzedawali przewodniki duchowe, diagramy anatomiczne, powieści, tkaniny z azteckimi dziewczycami i wojownikami, orłami oraz hasłem „Śniadzi i Dumni”. Nie zdejmował okularów. Odszedł już jakieś dziesięć przecznic od salonu masażu i czuł się bezpiecznie. Z nieprzeniknionym wyrazem twarzy przyglądał się ulicy, jedząc przy wózku z hot dogami. Skrzyżowanie pachniało watą cukrową. Pokrywało je morze ludzi wylewających się z metra. Latynoskie matki kłóciły się z córkami na temat tego, na co je stać.

Zauważył plamy na swoich palcach i pomyślał, że to ketchup, ale powąchał – to po palcówce, którą jej zrobił.

Serwetkę, rzucił.

Wszedł do baru, czarnej dziury w ulicy, kupił piwo za jej pieniądze, poszedł do łazienki, zsunął dzinsy i popatrzył na czerwone skrzepy w kroczu. Wyjął jej dowód i przeczytał nazwisko. Li Chiao-Yee, Vickie. Hologram był nie taki, jak trzeba, a jej rzekomy adres w Elmhurst zapisano bez „r” – Elmhust. Zdjęcie należało do kogoś innego, do młodszej kobiety z krótszymi włosami i poważną miną. Wyrzucił go do śmieci.

Po kolejnym piwie wsiadł do taksówki, lincolna, i pojechał tam, skąd przyszedł, wypatrując oznak zamieszania. Faktycznie, coś się działo: w którymś punkcie alei zebrali się ludzie i czemuś się przyglądali, ale nie widział czemu. Patrzyli na budynek z graffiti na dachu i szyldem salonu masażu w oknie. Pomyślał, że to tam. Dostrzegł umundurowanego policjanta z przejęciem mówiącego do trzymanej przy twarzy krótkofalówki. Gliniarz, młody chłopak, patrzył ludziom nad głowami. Wyglądał na kogoś skupionego na wykonywanym zadaniu. Lincoln przyśpieszył i przemknął tuż przed zmianą światła, zostawiając z tyłu sznur pozostałych. Korek mieli za sobą. Teraz samochód mknął swobodnie pod ażurową estakadą. Wjechali na most prowadzący do Chinatown na Flushing. Zjechali na East Flushing, pełne budynków pokrytych graffiti w stylu getta i rozpadających się domów Irlandczyków.

Jimmy wysiadł z lincolna i wszedł do swojego trzypoziomowego domu. Matka rozmawiała przez telefon. Zakryła ręką mikrofon. Zamawiam kanapki, wyjaśniła. Masz ochotę?

Mam, odpowiedział.

To skocz po nie.

Skoczyłbym, ale...

Ja stawiam, Jim, zapewniła.

Jimmy włóczył się po rozgrzanej ulicy. Kupił szaszłyki u Chińczyka i stał przy stołach sekty Falun Gong, pozwalając jej członkom się nawracać; przypatrywał się ich medycznym fotografiom. Spotkał znajomych facetów, którzy dali mu pociągnąć z gwinta. Jeden z nich powiedział: Jakbym słyszał o jakiejś robocie, tobym od razu w to wszedł. Jimmy odgryzł kawałek mięsa szczęką wielką jak u psa.

Jest taka jedna robota.

Jaka robota?

Tego nie mogę powiedzieć.

Buddyjscy obrońcy praw człowieka rozdawali ulotki, na których bezpłciowa istota trzymała na brzuchu świetlisty krąg: koło Dharmy. Nosili długie daszki i duże okulary. Na jednym z plakatów widać było stertę ludzi i rowerów. Białe koszule były zakrwawione, podobnie jak ziemia naokoło. Jeden z nich, który nie poniósł śmierci, próbował wstać – na zdjęciu uchwycono, jak usiłuje się dźwignąć na nogi. Było ziarniste od ciemności, w których je zrobiono. Nad placem o radzieckim wyglądzie majaczyło fioletowe niebo i smugi światła. Napis na zdjęciu głosił: „Czemu Chińska Armia Ludowo-Wyzwoleńcza wciąż atakuje tylko Chińczyków?”.

Jimmy odwrócił głowę, żeby posłuchać muzyki, która dochodziła skądś z ulicy, machał długimi potarganymi włosami, udając, że gra na gitarze.

Jego znajomy patrzył na zdjęcie kobiety na metalowym stole. Wydawała się spokojnie odpoczywać na białym prześcieradle. Oczy miała obrzmiałe jak śliwy. Na innych fotografiach widniały powiększenia jej obrażeń. Pokazywały całą jej długość, aż po palec u nogi z zawieszoną na nim etykietką.

Kolejne zdjęcie, zrobione wcześniej, przedstawiało ją na tle parasolowatych drzew, pozującą w letniej sukience i robiącą znak „V” obiema dłońmi. Podpis po chińsku brzmiał: „Wen Fengyu jako studentka leśnictwa na Politechnice Hebei podczas wakacji przy Pałacu Letnim, Pekin 1994, tuż po wstąpieniu na Wielką Drogę Falun Gong”.

Co to za pierdoły? – spytał znajomy Jimmy’ego.

O dziwo, Jimmy umiał mu to wyjaśnić. Oto jak zginęła. Pokazał na członków sekty Falun Gong w ich okularach. Powiedzieli mi, co zrobili, żeby ją zabić. Mają swoją politykę, różne kliki. Chińczycy, Japończycy, wszystko zależy, z kim masz do czynienia. Są zorganizowani. Ci tutaj ze stołami mają swoją organizację. Zbierają datki po to, żeby wszcząć kolejną falę zbrodni. Daj łyka.

Metal na jego palcach uderzył o butelkę, kiedy wziął ją do ręki i pociągnął z niej.

Zawsze kiedy ktoś z ich ludzi ginie, wystawiają takie zdjęcia. Weź na przykład babkę z tego zdjęcia. Znałem ją. Pracowała niedaleko.

Gdzie?

Dosłownie tutaj.

I co robiła?

A jak myślisz? Pracowała w salonie masażu na Czterdziestej Pierwszej Ulicy. Tu się to wszystko odbywa. Mają tu cały swój biznes. Prochy, broń, dziewczynki, co sobie tylko wyobrazisz, wyjaśniał Jimmy. Była pod obserwacją. Wierz mi, że doskonale wiedzieli, czym ona się zajmuje.

Produkowałam się na temat tego, jak to była zupełnie nieświadoma niebezpieczeństwa, aż do ostatniej chwili. Nie dałaby się byle komu, to robota profesjonalisty, zapewniał. Pociągnął kolejny łyk z butelki. I jeszcze jeden. Mówił:

Miała się za cwana. Kiedy wpadła, powiedziała: Okej, macie mnie. Ale miała niezły tyłek. Musiała się nim podzielić. Macie mnie, więc muszę przestrzegać zasad. Więc oni na to: W porządku, skoro tak uważasz. Więc ją wyjebali. Jak na razie wszystko gra. Prawilnie. Macie mnie, i tyle. Jako kobieta była świadoma swojej pozycji i swoich obowiązków. Ale była podstępna. Nie, nie, mówi, nie zawołam psów. Puśćcie mnie wolno. Poszła po torebkę, ale jej nie znalazła. Czemu nie ma moich ubrań? Bo nigdzie nie pójdziesz. Zachowują się bardzo tajemniczo. Więc ona zaczyna mieć się na baczności. I wie, że wpadła, i próbuje się wyłgać, tak jak zawsze ze wszystkiego. Ale tym razem nie da rady. Ten

koleś nie kupuje jej gadki o ciężkim życiu. Mówi: Zrobię tak. Za każdy raz, kiedy skłamałaś, oberwiesz. I tłucze ją jak żaden facet przedtem. On płacze i krzyczy przez jakieś, oj, dwa dni. Na końcu on podaje jej lusterko, a ona ledwo żyje. Nigdy więcej nie będzie chodzić. Nie będzie mieć dzieci. Wzywa swoją matkę. Mamusiu, mamusiu, mamusiu, proszę, nie zabijaj mnie. Wtedy on przekazał jej dobrą wiadomość. Nigdy stąd nie wyjdiesz. Ona na to zrobiła takie oczy. Błagała, żeby dał jej do obciążenia. Nie-e. Chciałabyś? Nie-e. Chcesz? Nie. Nie wyjdiesz. Zdechniesz i to nie będzie przyjemne. Płacz, ile chcesz. Jimmy podniósł palce, na których miał sygnety z trupimi czaszkami, i przyłożył je do kącików oczu, tam, skąd płyną łzy. Nikogo nie wzruszą twoje smutne brązowe oczy. Tak miał wyglądać jej koniec, a ona nie potrafiła w to uwierzyć.

Kiedy dotarła do pracy, zauważyła, że nie ma jej na grafiku – jej miejsce zajął Monroe, licealista – więc w środku poranka wyszła z centrum handlowego i pojechała na Sto Pięćdziesiątą Ósmą Ulicę. Zanim tam trafiła, telefonowała do Skinnera, ale nie mogła się dodzwonić.

Waliła w okno sutereny. Skinner! – szeptała. Było koło jedenastej.

Drzwi otworzył jej mężczyzna, którego przedtem widziała i podejrzewała o bycie synem właścicielki. Przed chwilą biegła po rozgrzanej ulicy i teraz była zarumieniona. Jej T-shirt, kupiony na stoisku z odzieżą używaną na Junction Boulevard, miał na piersi napis „Hand Full”. Mężczyzna spojrział na nią z góry i wyjaśnił:

Nie ma go.

Nie zdążyła nawet powiedzieć, kogo szuka.

Zapytał, czy mimo to chciałaby wejść.

Odwróciła się, odeszła kilka przecznic dalej i nadal nie mogąc się dodzwonić do Skinnera, wróciła na Main Street, by w końcu przez Elder Avenue dotrzeć do parku.

Na East Broadway weszła do agencji pośrednictwa pracy Wachlarz Znaczeń Fuzhou – nazwa ta kryła w sobie chińską grę słów związaną z wyrazem „dobroczynny” – i czekała na rozmowę przez staromodne okienko jak na stacji kolejowej. Naokoło stali mężczyźni w białych skarpetkach i kelnerskich spodniach, rozprawiając przez telefon i omawiając miesięczne pensje. Jeden z nich krzyczał do komórki: Dwa tysiące czterysta. Ale kucharz jest nieuczciwy! Napis na tabliczce głosił: „Nie pluć na podłogę”. Rozdawali darmowe mapy Fuzhou i wybrzeża. Opłata za ofertę pracy wynosiła trzydzieści pięć dolarów. Dostępne były stanowiska: szef kuchni, kucharz, sprzedawca w okienku na wynos, dostawca, kasjer, pomoc i mamka. Można też było dostać kartę ubezpieczenia społecznego bez aktu urodzenia. Tak było napisane po chińsku obok płacy minimalnej podanej po angielsku.

Kiedy przyszła jej kolej, kobieta, która rozmawiała z nią przez dziurę wyciętą w pleksiglasie, poinformowała, że czekają na nią różne stanowiska w innych stanach.

Nie mogę wyjechać ze stanu, wyjaśniła Zou Lei. Muszę się zastanowić.

Wyszła na dwór, kupiła chińską gazetę i zadzwoniła pod numer z ogłoszenia, ale nie zrozumiała tego, co dobiegało z drugiej strony linii. Każdy telefon kosztował ją minuty z karty. Rozłączała się, wybierała kolejny numer i następny. Było późne popołudnie i spaliła już wszystko, co miała w żołądku. Kupiła sobie sajgonki z wieprzowiną po siedemdziesiąt pięć centów. Dwie poproszę. Zjadła je wprost z papieru, w który były zawinięte, stojąc na schodkach przy stoiskach z marynowaną kałamarnicą i kulbinem, starych kwaciarniach z ciemnoczerwonymi drzwiami i pokojami w suterenach, gdzie grano w madżonga.

Nieopodal bloków na skraju parku, blisko swoich wież, Zou Lei spotkała muzułmańskie dzieci bawiące się na ulicy. Wyglupiały się przy odkręconym hydrancie, jeździły na jednym rowerze, pryskały na siebie nawzajem. Włożyła rękę w strumień wody i ochlapała sobie twarz. Grupa mężczyzn w kombinezonach pracowała przy samochodzie. Mijając ich warsztat, pachnący szmatami od smaru, przeszła nad węzem ze sprężonym powietrzem, mięśnie miała napięte od biegania. Asfalt lśnił, a nad ulicą pojawiły się tęcze. Dziewczynki jak małe zakonnice, w chustkach na głowach, na schodach pożarowych udawały, że są w więzieniu. Wylały kubek wody na chłopca stojącego pod nimi, który uchylił się i odbiegł z krzykiem. Zou minęła podnośniki widłowe zaparkowane przed magazynami złomowiska. Na pordzewiałym szyldzie nad sklepem widniały zielona flaga i muzułmański półksiężyc. Szyld pokryty był warstwą brudu. Trzech mężczyzn z Ameryki Środkowej, z plecakami-worami na cienkich ramiączkach, prowadziło po chodniku wózek na zakupy, a w nim mieli długi kawałek aluminium z lampy ulicznej. Wjechali do magazynu, żeby go zważyć.

Przed sobą zobaczyła stację benzynową. Jej dach był upstrzony setkami amerykańskich flag, jakimi ludzie machają na paradach. Miejsce na dachu się skończyło, więc właściciel stacji dołożył następne flagi na kolejnym poziomie dachu, tworząc dwa poziomy flag, dwuwarstwowy pokaz czerwieni, bieli i błękitu, który wymagał tysięcy wypraw po drabinie, żeby dołożyć kolejne elementy.

Podeszła do witryny pełnej zdjęć pasztuńskich nomadów. Przedstawiały kobiety siedzące na krzesłach przytroczonych do wielbłądzych grzbietów. Na innych fotografiach byli gracze w polo, jadący na koniach po brązowym polu nieograniczonym niczym oprócz gór, prawdziwych gór w oddali, pozwalających dostrzec szwy i odcinki ziemi. Mężczyźni w turkusowych, czerwonych i czarnych strojach, wyglądający na Mongołów, w otoczeniu masy widzów grali w polo truchłem cielaka. Nomadzi wydawali się kimś nie z tego świata. Jakby pochodzili jednocześnie z Afryki i Kaukazu w swoich szatach w stylu kabuki. Na głowach mieli koce. Trzech spośród graczy to kobiety i dziewczyna, która wydawała się równie rośła i surowa co mężczyźni w turbanach. Za nimi wznosiły się namioty z wielbłądzych skór.

Właściciel sklepu spożywczego wystawił w oknie licencję na prowadzenie firmy na nazwisko Tesha Noor, sklep mięsno-spożywczy Ramzy, oraz plakat wymieniający dziewięćdziesiąt dziewięć imion Allaha, w tym Ochraniający, Opóźniający, Ostatni i Ten, który wszystko policzył. W dole witryny stała przyparta do szyby puszką groszku pognieciona ulotka nowojorskiej policji z napisem: „W razie podejrzenia terroryzmu” – i z numerem, pod który należało zadzwonić.

Weszła przez otwarte drzwi i przeszła alejką z oliwą sułtańską, stosami pieczywa, workami ryżu oraz beczkami pistacji i migdałów. Z tyłu sklepu zastała właściciela porcjującego mięso za ladą chłodniczą pełną baranich żeberek, udźców, głów i szarych flaków. Miał na głowie białą doppe przypominającą ciastko, haftowaną kamizelkę i koszulę bez kołnierzyka. Był niski i krępy. Jego pełna kaukaska twarz była okrągła jak bochen chleba. Kiedy zobaczył Zou, odłożył nóż i wytarł ręce o fartuch.

Coś podać?

Yahshimusiz, odparła.

O, powiedział z uśmiechem, ponownie wycierając muskularne dłonie. *Yahshimusiz*. Mówisz nieco inaczej ode mnie.

Jestem z Ujgurów.

Ja Uzbek.

Pochodził z uzbeckiego plemienia w Afganistanie, z Akczy. Dwadzieścia lat wojny, prawie trzydzieści. Wyobraź sobie zielone pastwisko, drzewka przypominające z daleka chmurki dymu, między wzgórzami wąż mgły, pojedynczy samotny dom z suszonej cegły o płaskim dachu, jak w górskim pueblu. Jego rodzina mieszkała za rzeką, po drugiej stronie mocno ufortyfikowanej granicy z jej betonowymi murami i ogrodzeniami pod napięciem. Byli z Buchary, miejsca, którego nigdy nie widział, ale i tak był z niego dumny. Narysował w powietrzu sylwetkę wielkiego meczetu z mozaikami.

Gramy w buzkaszi. Jeździ się na koniu – piękne zwierzęta. Kiedy głośno jedzie, to jak grzmot. Naśladował jazdę konną. Pokazując punkt w oddali, powiedział: Na wschodzie są góry, jakich w życiu nie widziałś.

A myślisz, że o czym ty mówisz? To mój dom! – sprostowała Zou Lei. Tak! Kiedy byłam małą, matka opowiadała mi bajki i patrzyłam na te góry. Może ze dwieście pięćdziesiąt kilometrów od nas. Zawsze myślałam, że mogę do nich dojść. Niebo tam jest najbardziej błękitne, najbardziej błękitne, jakie widziałam.

I ludzie też są dobrzy, dodał. Uwierz mi. Ludzie mają serce. Rzeźnik opowiadał o uczynności i stosunku do przybyszów.

Nawet jak nic nie ma, to się podzieli.

Tak, ponieważ jak jesteś moim gościem, ja ciebie chronię. Jesteś u mnie w domu. Jesteś bezpieczna.

Dajesz słowo.

Jestem mężczyzną, więc dbam o swój honor.

Od jak dawna jesteś w Ameryce? – zapytała. Jak udało mu się zająć tak daleko, by dorobić się własnego sklepu?

Piętnaście lat, odrzekł Tesha. Popatrz na to, powiedział, podnosząc kawałek mięsa. Piękne, sto procent świeże.

Oboje popatrzyli z podziwem.

Myślałeś o powrocie do Afganistanu? – spytała.

Nie mogę wrócić.

Z powodu wojny?

Z powodu wojny. Nikt nie może. Mam żonę. Nie mogę. Nawet jeśli miałbym sam, to nie mogę. Jest bardzo źle. Nie da się uwierzyć, co tam się dzieje. Jeśli powiem, to nie uwierzysz. Nie chcę mówić ci tego, co wiem, co widziałem na własne oczy. Chciałoby się nigdy nie zobaczyć, wydłubać sobie oczy. Nie mogę o tym mówić.

To piękne góry.

To piękny kraj, moja droga, ale nie można wrócić. Może wiesz. Skąd jesteś? Z Chin? Więc może nie wiesz. Znasz George'a Busha? On chce wszystkich zabić. Amerykanie wszystkich zabijają. On zabił więcej niż ten drugi, bin Laden. Oto, co nam zrobił. Całe życie kocham Amerykę, myślisz, że dlaczego tu przyjechałem? Teraz Bush bierze i – rzeźnik rozrzucał ramiona – robi tak, wszystko na śmietnik, wszystko na nic. Nie musi tego robić. Bin Laden zrobił burdel w moim kraju, a teraz przybywa Ameryka.

Powiem ci, jak to było, ciągnął. Widzisz to, tę stację po drodze tutaj? Ma te wszystkie flagi. To był dobry człowiek, miły człowiek. Muzułmanin, tak? Tak jak ja, był tu od dawna. Po jedenastym wrześniu zniknął. Przepadł. Nie ma. Kiedyś ciągle go widywałem. Teraz widuję jego dziecko, miły dzieciak. Czemu nie widuję twojego taty? Tata odszedł. Jak to odszedł? Odszedł, mówi. Myślę, że go zabrali. Ktoś mówił, że wzięli go do samochodu. Dwa lata nic nie było wiadomo.

Nie chcę o tym słuchać.

To departament bezpieczeństwa. To stało się tutaj. Rodzina rozwiesiła zdjęcia i w ogóle. To ich zabijało. Zapadali się w sobie. Wiesz, gdzie on był? Cały ten czas był tu, na Queens. Nikt go nie widział, a on był tutaj, przy Queensboro Plaza. Mają tam budynek, który wygląda jak poczta. Kiedy rodzina się dowiedziała, przenieśli go do innego więzienia, w Teksasie. Pięć lat. Rodzina powiedziała: W porządku, idziemy do sądu – myślisz, że to coś zmieniło? Nic. Zatrzymamy go. Nie, wyślemy go na Bliski Wschód.

Pięć lat, powtórzyła. Nie wiem, czybym przeżyła. Kiedy byłam w więzieniu, było mi bardzo ciężko.

Za co cię wsadzili?

Kwestie imigracyjne.

Dzięki Bogu, że cię wypuścili.

Tak, dzięki Bogu. Teraz staram się załatwić sobie tożsamość.

Nie masz do...

Nie mam. Muszę rozwiązać ten problem, stwierdziła. I zaczęła dzielić się z nim swoimi zmartwieniami, skoro chciał słuchać. Nie mogę zarabiać pieniędzy. Muszę opłacić prawnika. Prawnik dużo kosztuje. To dla mnie niedobrze.

Gdzie pracujesz?

W restauracji.

Chińskiej restauracji?

Tak. Opowiadała o tym, popłakując i wycierając oczy. Szef zabrał mi pieniądze.

Tesha westchnęła z poczucia bezsilności, słuchając jej. Szkoda, że mojej żony tu nie ma. Sara! Problem w tym, że ona by jej nie zrozumiała, bo mówi po tadżycku. Żona poszła na piątkową modlitwę.

Kim jest twój szef? Muzułmaninem? Chińczykiem? Bez obrazy, ale Chińczycy – wielu moich klientów to Chińczycy, więc muszę być ostrożny – Chińczycy są zimni.

Wiem, zgodziła się. Dla nich istnieją tylko interesy.

Dał jej pieczywa, nalegając, aby je wzięła, mimo jej protestów, i znów żałował, że nie ma z nim jego żony. Zaproponował jej też jogurt, jeżeli ma ochotę, to jest w małej ciemnej chłodziarce. Co do chleba, to ma duży bochen, jak w Afganistanie, i małe też, jak turecka pita. Co tylko chcesz.

I jeszcze jedno – to ważne: dużo ludzi przychodzi do mojego sklepu, powiedział. Tu, przy

wejściu, mam tablicę, gdzie można przypiąć ogłoszenie, jak komuś potrzebna pomoc. Można się wymieniać. Można poprosić o pomoc.

Miał półeczkę zrobioną z tektury, taką, która składa się jak karton i stoi na podłodze, a na niej wizytówki firmowe i darmowe gazety. Kazał Zou wziąć sobie wizytówkę prawnika od spraw imigracyjnych. *Rahmat*, powiedziała, biorąc wizytówkę i trzymając ją razem z chlebem. Mam też to, wskazał na stosik małoformatowych czasopism w urdu i po chińsku.

Moja żona robi pierożki samsa. Drobnutko sieka składniki, o tak – zrobił ręką gest siekania tasakiem. Piękne. Prawie jak w domu. Musisz spróbować. Wpadnij, jak będziesz mieć czas.

Tylnymi drzwiami weszła jego żona, a Tesha odezwał się do niej po tadżycku. Kobieta okrążyła ladę w szacie z czarnego poliestru i podała Zou kubek wody. Jednocześnie wszedł inny klient i rzeźnik zaczął się nim zajmować, i tak dobiegła końca ich rozmowa. Rzeźnik położył rękę na sercu i powiedział, żeby jeszcze przysła.

Rahmat, powiedziała.

Jego żona Sara wpadła na jakiś pomysł, złapała Zou za rękę i poprowadziła przez zalaną żarem ulicę do domu obok kamienicy zabitej dechami, spośród których wyrastały chwasty. Pociągnęła Zou za rękę przez drzwi, za którymi widać było prostokątne pomieszczenie wyłożone dywanami, z sandałami i innymi butami ustawionymi przy wejściu. Żeby drzwi się nie zamykały, podparto je koszem na śmieci. Mężczyźni w tunikach i luźnych spodniach schodzili się tu z całej ulicy. Zou Lei zobaczyła ich brody i zrozumiała, że to meczet. Do środka wszedł mężczyzna, zdjął sandały i dołączył do pozostałych, klęczących przed czarną flagą i mównicą.

Żona rzeźnika powierzyła ją opiece jakiegoś człowieka i życzyła szczęścia. Mężczyzna zaprowadził ją do wejścia dla kobiet, osobnych drzwi do czegoś, co wyglądało na dom mieszkalny, i polecił jej, by zeszła na dół. Zou Lei weszła do środka, gdzie zobaczyła klatkę schodową i kolejną stertę butów, i poczuła mocny zapach odświeżacza powietrza. Przez jedno z drzwi zauważyła mężczyzn wchodzących do meczetu na parterze. Zdjęła adidasy i zeszła po schodach do piwnicy.

Wyglądała jak prostokąt bez okien, który zdobiły girlandy plastikowych kwiatów i ogromne czarne flagi ze złotymi napisami. W jednym z kątów wisiały zasłonka prysznicowa i jakieś kable. Z sufitu zwisały reflektory, jakby pomieszczenie wykorzystywano do kręcenia filmów, ale były wyłączone. Kobiety siedziały na piętach na dywanie, twarzą do telewizora stojącego na podwyższeniu udekorowanym cekinami. Trwała w nim transmisja na żywo z tego, co działo się w sali modlitwy mężczyzn na górze.

Powiedziano jej, żeby poszła do łazienki i oczyściła się. Obserwowano ją z drzwi, kiedy myła ręce gęstym mydłem w płynie. Kobieta okutana czarną tkaniną poleciła: Stopy też. Zou Lei odczuwała pragnienie po bieganiu, napiła się więc wody z kranu. Stopy też, nalegała kobieta w welonie oblamowanym srebrnymi nićmi. Zou Lei wsadziła stopę do umywalki i obmyła ją.

Kiedy skończyła, usłyszała, że może zająć miejsce z pozostałymi, usiadła zatem na dywanie z tyłu pomieszczenia, za resztą, z jedną nogą zgiętą w kolanie. Jej opalona twarz i nagie łydki były lśniące i ciemne, pot perlił się jej na czole, a ciasne džinsy były wilgotne w kroku. Czekala.

Dywan podzielony był na prostokąty i każda z kobiet siedziała w swoim. Sala nad ich głowami wypełniała się, słychać było przez sufit, jak mężczyźni przychodzą i ustawiają się w rzędy. Rozdawano sznury modlitewne z plastikowych paciorków i okrągłe płaskie kamienie – kamienie umieszczało się przed sobą w prostokącie. Kobiety patrzyły, co dzieje się w telewizorze, który pokazywał mężczyznę w czarnym turbanie w świetle reflektora. Wstał, a kamera skierowała się na podnoszących się mężczyzn. Wstały też kobiety, a Zou Lei razem z nimi. Na górze ktoś zaczął śpiewać, stał przodem do czarnych flag i na monitorze widać było tył jego głowy.

Allahu akbar! – zakrzyknęli wszyscy na obu poziomach budynku. *Allahu akbar*, powiedziała Zou Lei.

Śpiew ustał, a mułła odwrócił się przodem. Był mężczyzną po sześćdziesiątce, średniego wzrostu, o twarzy przypominającej gremlina, porośniętej siwą brodą, przez którą wyglądał niczym brązowa figurka zawinięta w biały papier. W mikrofonie odzywały się trzaski i dudnienia. Mułła

przemawiał przez kilka minut, gestykulując, czasem podnosząc palec wskazujący podczas kazania. Na każdej z rąk miał po pierścieniu z dużym owalnym kamieniem.

W Jego Imię, Imię Proroka, i klanu Proroka, tego, co widzialne, i tego, co ukryte, chwała niech będzie Allahowi. Bo zaiste Dobro stawia czoła Złu. A zatem nakazujcie prawość i zakazujcie zła (chwała niech będzie Allahowi). Nauka w ustach niewiernego (stworzonego przez ogień, czyli jakby niestworzonego) jest zwodnicza. Ten, który używa fałszywych imion, zostanie zdradzony przez ich liczby. Prawdziwe znaczenie liczb jest dla mnie dowodem, jak ja jestem dowodem dla Niego (Najwyższego). Ibn al-Nawawi, trzeci znak. A więc Nauka o Prawości pozwala poznać rzeczywistą Prawdę (niech będzie chwała). Kiedy jednak z codziennego życia znika *salat*, zero odjąć jeden daje minus nieskończoność i wszelkie istnienie ulega zagładzie. Wierny, który ufa Bogu (bądźcie błogosławieni) i który dzień święty święci, będzie żył trzysta siedemdziesiąt pięć lat na ziemi, a dziesięć tysięcy osiemset lat w Niebie. (Chwalcie Allaha w słowach wiernych), a jego nagrodę uczynię dla niego ze złota. Wraz z narodzinami Wiedzy rodzi się Życie. Z narodzinami niewiedzy rodzi się Śmierć, która dotyka wszelkiego żywego stworzenia, a nawet tego, co nieożywione (i nie będzie żyło potem). Sura piąta, *aja* trzydziesta siódma. Przeto życie dawane jest i odbierane zgodnie z Teorią Liczb (Nauką o Liczbach, błogosławiony niech będzie Imam Czasu), odkrytą ponad siedemset lat przed powstaniem współczesnych komputerów. Dziewięćdziesiąt dziewięć imion Tego, Który Jest Najwyższy z Najwyższych, obliczono przed pojawieniem się nowoczesnych metod. Ukojenie zostanie zesłane w przyszłym dniu, którego liczbę obliczono na trzy miliony.

Kiedy skończył mówić, odwrócił się z powrotem plecami i wróciły śpiewy. Śpiewający wprawnie i szybko recytował kolejne wersety, które ciągnęły się przez wiele minut, głos drżał mu przy trudniejszych dźwiękach. Wymawiał setki słów wprawnie i szybko, bez potknięć. Następnie mułła przejął znowu prowadzenie i nadawał rytm modlitwie. Allah jest wielki! – zawodziła jakaś kobieta niczym zahipnotyzowana. Podnosili ręce do twarzy, zdawali się je czytać niby książkę, odrzucali i bili pokłony. Cały budynek padał na kolana, również kobiety przytykały czoła do dywanu przed telewizorem. Przyciskały głowy do kamieni modlitewnych. Zou Lei także.

Kiedy unosiła głowę pomiędzy pokłonami, zauważyła na ścianie wielką srebrną rzeźbę przedstawiającą dłoń. Była udekorowana girlandami plastikowych kwiatów, a pośrodku miała oko.

Gdy modlitwa dobiegła końca, kobiety zaczęły obracać się ku sobie i dotykać się dłońmi. Jedna z nich wzięła dłoń Zou Lei, złapała jak rybę i przesunęła po niej swoimi rękami. Następnie dotykały swoich serc. Ciemnymi palcami pokazywały na usta, zapraszając ją do wspólnego posiłku.

Rozwinęły na podłodze ceratę w jodełkę, ktoś podał plastikowe talerze i kubeczki z wodą, bez sztućców. Cerata robiła za stół. Siadaj, poinstruowały Zou Lei. Usiadła po turecku, jej dżinsy wciąż były wilgotne od potu. Podano aluminiową formę do pieczenia wypełnioną curry z soczewicy. Łamały podpłomyki i nabierały nimi sosu.

Podczas posiłku do pomieszczenia wszedł mężczyzna w szarawarach i tunice z kolejną aluminiową formą i kobiety zaczęły wkładać do niej pieniądze, wypełniając ją dolarami.

Nie mam pieniędzy, skłamała Zou Lei.

W porządku, uspokoiła ją kobieta. Jeszcze jesteś głodna?

Jedna z nich połamała dla niej pieczywo i położyła jej kawałki na talerzu. Patrzyli, jak Zou Lei duszkiem wypija wodę. Następnie wymazała curry z talerza i oblizwała palce. Dobrze, powiedziała. Napelniły jej kubeczek.

Dziękuję.

Nie, poprawiono ją. *Bimsallah*.

Bimsallah, powtórzyła.

Dobrze.

Chciały znać pochodzenie Zou Lei. Skąd jesteś? Z Nepalu?

Kiedy skończyła jeść, poszła na górę z pozostałymi, odzyskać swoje buty. Mułła już o niej usłyszał. Widziała go przez drzwi, spoglądał na nią i kiwnął głową, kiedy inny mężczyzna na nią wskazał. Ten ostatni nosił okulary i elegancką koszulę, spod której przebierał biały podkoszulek. Kiedy

wyszła na zewnątrz, podszedł do niej z Koranem w ręku.

Mogę o coś spytać? Czemu przyszedł tu z odkrytymi ramionami i nogami?

Ktoś kazał mi przyjść.

Rozumiem. Chcesz dowiedzieć się czegoś o naszej wierze. Znasz islam? To prawdziwa wiara. Jedyna prawdziwa. Uczymy o jednym Bogu, czyli o Allahu. Pewnie czujesz się lepiej po modlitwie. Pewnie czujesz się odświeżona. Czujesz się tak? I zaśmiał się jak recepcjonista witający zamożnych gości.

A więc! To dla ciebie coś nowego, ale to bardzo ważna sprawa. Musisz jednak coś wiedzieć – w naszej wierze trzeba zakrywać ramiona, nogi i głowę. Wtedy możesz się z nami modlić. Przygotuję dla ciebie książkę i będziesz mogła się uczyć. Wtedy przejdiesz na naszą wiarę. Masz telefon komórkowy? Możesz podać mi swój numer.

Nie rozumiem nic z tego, co mówił imam, przyznała się Zou Lei.

To dla ciebie inny język, bardzo trudny, wiem, ale to nie problem. Załatwię ci książkę po angielsku. Osobiście pomogę ci dotrzeć do Boga.

W porządku, w porządku, powiedziała, ale nie podała mu swojego numeru. Wyszuszone pot zostawił ślady soli na skroniach i odsłoniętych udach. Włosy miała zesztyniałe, odsunęła je do tyłu ręką i odgryzła kolejny kęs podpłomyka od rzeźnika Teshy.

Moja matka była muzułmanką, powiedziała, przeżuując. Słyszałam o Bogu, ale za dużo zasad.

Nie, nie, nie. Mylisz się, powiedział. Nie, nie. To błąd, że tak uważasz. Powiem ci coś o Allahu. Jest jak cień drzewa w upalny dzień. Jak to ująć? To jakbyś była na palącym słońcu, jest ci bardzo niedobrze. Chce ci się pić i chciałabyś jakiś dobry napój. Wystarczy, że otworzysz te drzwi i wejdiesz do orzeźwiającego chłodu. To właśnie jest Bóg.

Ale, zastrzegł, nie możesz mieć tych pięknych rzeczy, jeśli wiesz złe życie, jeśli grzeszysz, robisz, co ci się podoba. Musisz oczywiście prowadzić przyzwoite życie i przestrzegać prawa. Wskazał na tabliczkę nad wejściem do meczetu po arabsku i angielsku i przeczytał jej głośno: „Następne życie”.

Obserwował reakcję Zou. Zerknęła na niego, a w kącikach jej oczu pojawiły się cienkie, jasne zmarszczki, które od pracy na słońcu zaczęły powstawać na jej twarzy mniej więcej koło szóstego roku życia.

Mam daleko do domu, powiedziała i zaczęła się zbierać.

Oczywiście, musisz już iść, powiedział i poklepał Koran. Nie każ mężowi czekać.

Na odchodnym poprosił, żeby przysłała w niedzielę, jeśli może, o drugiej, bo wtedy będzie kolejny posiłek i on też się zjawi.

Dzieci z okolicy wciąż bawiły się w mokrych podkoszulkach, przebiegając przy odkręconym hydrancie plującym wodą na ulicę. Przejechał samochód i błysk słońca w przedniej szybie odbił w jej oku dokładny kształt, widoczny, kiedy mrugała. Dojadła pieczywo, zrobiło się jej ciężko na żołądku, nogi jej zesztyniały. Nie chciało jej się więcej biegać, ale miała jeszcze spory kawałek, a nie wiedziała, jaki autobus stąd odjeżdża.

Jakiś chłopak donośnym głosem zachęcał ją, żeby pobawiła się z nim i jego kolegami.

Mam daleko do domu.

Jak daleko pani biega? – spytał, próbując dotrzymać jej kroku.

Trzydzieści kilometrów.

Został z tyłu, nie dał rady dłużej biec.

Tak dużo codziennie? – zawołał.

Do widzenia, pomachała mu.

Miał koło jedenastu lat, zrobiła na nim ogromne wrażenie i nie mógł oderwać od niej wielkich oczu.

Fight the power! – krzyknął i popędził za nią.

Było po drugiej w nocy, a Skinner jechał metrem linii siedem. Kiedy pociąg hamował, jego nogi przesuwały się na bok siedzenia. Dżinsy trzymały mu się tylko na biodrach i przydeptywał mankiety nogawek. Pusta puszka wypadła z rąk i potoczyła się po podłodze wagonu. Zatrzymała się pod adidasem Meksykanina, który zastopował ją niczym piłkę futbolową i kopnął w kierunku, z którego przybyła. Ludzie spali albo czytali Biblię. Pociąg szarpnął, drzwi się otworzyły i do środka wpadł upał z nadziemnych peronów, wymazanych graffiti. Skinner obudził się i zachciało mu się wymiotować. Wsiadł, przeleciał przez bramkę i zwrócił zawartość żołądka na półpiętro. Trzymając się poręczy, zszedł w dół na ulicę.

Tam włożył palec do gardła i ponownie zwymiotował. Przeszedł przez kałużę wymiocin i chwiejnym krokiem minął przewrócony kosz na śmieci. Napisy na wszystkich markizach były po hiszpańsku. Wydawało mu się, że rozpoznaje betonowe bloki pod wiaduktem; sądził, że to tam znajduje się bar, w którym poszedł z Zou Lei na drinka w ich pierwszą noc. Był to zamknięty magazyn. Położył rękę na budynku, jakby chciał utrzymać go w miejscu albo nie dać sobie od niego odejść.

Najwyraźniej oddalił się od torów, wszedł w boczne uliczki, które dzieliły osiedle na trójkąty. Z boku brudnych budynków zwisały schody pożarowe o kształcie przypominającym błyskawice. Minął targ warzyw z pozamykanymi stoiskami i pochowanymi produktami. Puste drewniane stragany przypinane były do ścian łańcuchami. Za nimi na kartonach spali jacyś mężczyźni, nieprzytomnie pijani, zawinięci w koce. Ktoś zajęczał. W Park of the Americas Skinnerowi wydawało się, że widzi mężczyznę stąpającego w ciemności jak zombie.

Skądś dobiegał rytmiczny dźwięk o niskiej częstotliwości. Z oddali dochodziła muzyka przypominająca rumuńską.

Przytrzymał się ogrodzenia parku i zaczął sikać. Ktoś krzyknął; pustą ulicą przebiegł mężczyzna, uderzając skórzanymi butami o podłoże, i zniknął za rogiem rozsypującego się domu. Kilka sekund później pojawił się kolejny, gonił tamtego, poruszając się bardzo szybko jak na kogoś jego rozmiarów, i również zginął za winklem. Nie przestając sikać, Skinner obejrzał się za nimi. Drugi z mężczyzn trzymał nóż rzeźnicki długości ćwierci metra. Z ciemności między budynkami, w której przepadli, nic się nie wyłoniło.

Z ciężarówki stojącej na jałowym biegu przed klubem z zacernionymi oknami dochodził niski dźwięk. Wszedł do środka. Pomieszczenie było skąpane w niebieskim świetle. Po kątach siedzieli ludzie w kowbojskich kapeluszach i butach. Mężczyzna w gigantycznej koszulce LA Dodgers gapił się na Skinnera przecpanymi oczyma. Skinner odwzajemnił spojrzenie, a tamten mu pokiwał. Było to tak formalne, że zakrawało na kpinę. Nad ich głowami wirowała lustrzana kula. Jakaś kobieta wstała od stolika przy drzwiach, podeszła do Skinnera i zagadnęła do niego po hiszpańsku. Odparł: Nie wiem. Opadł na krzesło przy stoliku. Kelnerka poszła do baru i wróciła z otwartą coronitą. Dał jej, ile miał, to znaczy cztery dolary. Wzięła je i pokazała kobiecie za barem o twarzy trolla i wielkich matczyńskich piersiach, która potwierdziła: Tak, w porządku.

Przy sąsiednim stoliku nie było żadnych kobiet, sami mężczyźni. Siedzieli plecami do niego. Jeden z nich, który miał ciało wydłużone jak pantera w skoku, nachylał się do pozostałych i mówił, podkreślając słowa gestami wytatuowanej dłoni o długich palcach. Przy pasie wisiała mu ładnie wyprasowana i złożona bandanka. Wszyscy mieli schludne, krótkie włosy. Niektórzy byli ogoleni na zero i eksponowali czaszki pokryte tatuażami. Na czyimś policzku Skinner zobaczył skorpiona. Ich ubrania były czyste, podobnie jak proste adidasowe zaokrąglone czubki. Taka sama wyprasowana

i złożona bandana wystawała z kieszeni każdego z nich.

Kiedy gestykujący skończył mówić, odchylił się na krześle i oparł ramię na stoliku Skinnera. Ten spojrział na nie. Zwrócił uwagę na zapach innego dezodorantu lub środka piorącego. Mężczyzna był chyba świadom obecności Skinnera. Usiadł profilem do niego, żeby móc nań zerkać. Wreszcie odwrócił się przodem, by spojrzeć wprost na Skinnera. Wtedy pokazał twarz całą czarną od tatuaży, z wyjątkiem oczu. Na czole miał krzyż, rogatą czaszkę i litery gotykiem, skorpiony, pajęczyny, liście, spirale przypominające tornado wokół oczu. Zachowywał się w sposób pewny, jak człowiek zadowolony z siebie.

Szukasz odskoczni, co?

Chleję.

Jak wszyscy. Wszyscy się nachlewają. Ale Ty jesteś inny, nie?

Jak to?

No, wiesz. Inny od reszty. Skąd jesteś?

Z Pensylwanii.

Ze jak?

Z Pensylwanii.

No to co tu robisz, zamiast siedzieć w Pensylwanii?

Zalewam pałę.

Qué? – spytał jeden z młodych mężczyzn przy stole. Odpowiedź Skinnera została przetłumaczona na hiszpański. Ktoś przyglądał się Skinnerowi w niebieskim świetle, ktoś z wytatuowaną wargą i grzbietem nosa.

I co jeszcze?

Nico.

Gestykujący w białym swetrze z powrotem pochylił się na krześle i przez parę minut nie rozmawiali, a Skinner wgapił się w wydłużone plecy sąsiada.

Koleś. Ej, koleś.

Skinner stuknęła sąsiada w plecy butelką coronity. Ponownie odwróciła się do niego wytatuowana twarz.

A ty skąd, kurwa, jesteś?

A po co ci to, kurwa, wiedzieć?

Później mężczyzna przywołał gestem dłoni jedną z niskich kobiet i zwrócił się do niej władczym tonem – słyhać było rytm jego słów. Nie patrzył na nią, mówiąc. Wyjęła ładnie złożone banknoty, złożone jak bandany, z jego długich palców i wkrótce przyniosła z baru następną kolejkę piw i limonek.

Ej, kolo, ej, ej, skurwysynu. Chciałeś wiedzieć, skąd jestem.

Wiem już, skąd jesteś.

Gównno tam wiesz. Jestem z Iraku.

A co z Pensylwanią?

Ty mi powiedz – co się stało z twoją twarzą?

Co? *Qué?* – pytała reszta.

No po chuja ci to?

To jak religia. Dla niego – mężczyzna pokazał palcem w górę. I dla niego też – pokazał palcem w dół.

A kto jest tam na dole?

Już ty wiesz, kto tam jest. Każdy wie.

Skinner zachwiał się, a sąsiad odepchnął go łokciem.

Uważaj, *carnal*, kolego.

Hej, hej, koleś.

Skinner wyciągnął rękę i poczekał, aż tamten ją uściśnie, po czym cofnął dłoń. Próbował skłonić pozostałych przy stole do uścisku dłoni. Patrzono na niego z lekceważeniem. Ktoś kazał mu usiąść, zanim stanie mu się coś złego. Ten przygłup aż się prosi.

Jesteś OZI? – spytał wysoki z uśmiechem. Osobowym źródłem informacji?

Jestem tym, który pociąga za spust, sprostował Skinner.

Mężczyzna przewrócił oczyma – białka, które zrobiły się niebieskie od światła w barze, poruszyły się na jego ozdobionej twarzy. A ostatnia wymiana słów, którą Skinner pamiętał, zanim znalazł się w Flushing Meadow Park, wyglądała mniej więcej tak:

Zabijałeś ludzi?

Paru.

Jakich?

Wroga. Irakijczyków.

I jak, fajnie było?

Kilka razy tak. Droczyliśmy się z nimi. Któregoś razu tych dwóch debili siedziało w chacie. Nasz tłumacz mówi im, żeby wyłazili, że wszystko okej. Jak tylko wyszli, otworzyliśmy do nich ogień, więc się z powrotem schowali. Wtedy tłumacz zaczął drzeć z nich łacha. Mówi: Co jest nie tak? Widać było waszą broń. A oni przysięgali na Allaha, że nie, nie są uzbrojeni. Więc tłumacz mówi, w porządku, pogadam z Amerykanami w waszym imieniu. I dalej mówi, że rozmawiał z Amerykanami i że mogą już wyjść. Ale tym razem musicie zaśpiewać piosenkę. Nauczył ich piosenki, tam, na polu bitwy. Więc siedzą za ścianą i śpiewają. On na to: Nie, jest nieczysto. Stany Zjednoczone nie przyjechały do tego pojebanego kraju, żeby słuchać, jak fałszujecie, skurwysyny. Kazał im zrobić próbę. No to wychodzą. Tłumacz mówi, żeby się postarali, jakby występowali w Idolu. Wrzeszczy na nich: Jesteście oceniani. Wszystko spoko. Wychodzą, jak na razie fajnie, śpiewają sobie. A wtedy trach, zdejmujemy jednego z nich. Został jeden. Tłumacz mówi koleśowi: Twój kolega źle wpływał na twój występ. Teraz śpiewaj sam. Pokaż, na co cię stać. Jak bardzo ci zależy? Zaśpiewał całą pierdoloną piosenkę i dostał od nas brawa.

Innym razem znaleźliśmy głowę na polu bitwy i kazaliśmy ją komuś nieść. Mój sierżant włożył ją między nogi jakiegoś trupa. Zamrugał jej okiem. Braliśmy ciała i robiliśmy z nimi wstrętne rzeczy. Sadzaliśmy, jak w *Weekendzie u Berniego*, zakładaliśmy im okulary słoneczne. Albo układaliśmy, jakby się pieprzyły, i nagrywaliśmy film. Co tylko sobie zamarysz. Przebieraliśmy je. Urządzaliśmy z nimi wrestling. Robiliśmy *powerlam* z trupami w workach. Przy każdej okazji rozwalaliśmy ich pierdolone wielbłądy. Rozwalaliśmy ich osły. Śmiałem się pewnie z rzeczy, w które nikt by nie uwierzył.

Miałaś kłopoty? – spytał wytatuowany mężczyzna.

Nie. Za każdym razem, jak zginął ktoś, kto nie powinien, to rzucaliśmy na niego broń albo jakieś kable, jak trzeba było.

Sprytny jesteś.

Nie tyle sprytny, co doświadczony. Chyba to raczej to.

Ty, a jak leciała ta piosenka?

Ja tego nie zaśpiewam.

W moim kraju chyba też mamy taką piosenkę. Nazywa się piosenka weselna, tak to jest śpiewane. Mówisz kobiecie, że ma wybór: Albo kochasz się ze mną dziś wieczór, albo możesz poślubić mój pistolet i on będzie cię kochał po wsze czasy.

Podciągnął gładki biały rękaw swetra i pokazał Skinnerowi tatuaż na przedramieniu.

Co to ma być?

Laska daje dupy. Jak trzeba. Z plastikowym workiem na głowie.

Skinner zaśmiał się. Powaliło cię.

Przystojny mężczyzna również się zaśmiał. Widzisz? Śmiejesz się. Możesz się przyłączyć.

A kto jest za nią?

Za podduszoną kobietą stał szkielet z pistoletem wycelowanym w jej głowę.

To najlepszy facet, jakiego w życiu pozna.

Czy ty w ogóle jesteś tu dla mnie? – spytała Skinnera.

Czego jeszcze chcesz?

Mam wrażenie, że nie obchodzą cię moje problemy.

Przyjął te słowa z niepokojącym brakiem zaskoczenia, nawet nie protestował.

Nie wiem, co robić, jeśli będę mogła wziąć z tobą ślub, jeśli będę miała przez to kłopoty, to nie wiem. Próbuję się dowiedzieć, wszystko fajnie, ale nie mam kogo spytać. Wszystko kosztuje.

To znaczy: chodzi o pieniądze?

Nie, nie chodzi o pieniądze.

Po tych wszystkich razach, kiedy cię zabierałem na miasto?

Nie, nie o pieniądze! Pieniądze mnie martwią, ale to mała rzecz w porównaniu z czym innym.

W połowie zdania zaczęła płakać, po czym wytarła twarz i próbowała kontynuować.

Coś innego jest ważniejsze, ja to wiem. Nie chcę cię o nic prosić, nikogo prosić, wolę być sama niż cię wykorzystywać. Cały czas martwię o ciebie. Widzę, jak siedzisz w tym pokoju, i mnie to przeraża. Co z tobą będzie, nie wiem. Więc też staram się coś przynieść. Nie mogę dużo z powodu pieniędzy. Jakbym mogła, to zabrałabym cię do szpitala, Skinner. Oddałabym wszystko, co mam, bo jeśli cię stracę, to czuję, jakbym straciła wszystko.

Ocierała łzy z twarzy, żeby móc dalej mówić.

A ty mnie ranisz, Skinner. Tak bardzo ranisz. Odtrącasz mnie, zostawiasz na ulicy, uciekasz. I nie dzwonisz, nawet dwa albo trzy dni. O tym nie pomyślisz! Nigdy nie powiesz do mnie: przepraszam. Dlaczego? Bo nie musisz? Bo jestem muzułmańska imigrantka? Więc nie szanujesz? Czy swoją matkę też byś tak zostawił? Oddaję ci siebie. Dla ciebie może to nic, dziewczyna jak z tych twoich świńskich pisemek, zwykły śmieć? Czy to prawda?

Nie! – zaprzeczył. To nieprawda. Nigdy tak o tobie nie myślałem. Nigdy nie traktowałem cię jak śmiecia.

Mówisz, weźmy ślub, dobra, nie ma znaczenia, czy weźmiemy, czy nie, jakby cię to nie obchodziło.

Ciebie jak śmiecia? – powtórzył, mrużąc oczy w kierunku ściany. Ani razu nie potraktowałem cię jak śmiecia. Nie mów, że tak było. Skoro mowa o śmieciach, to coś o nich wiem, i nie traktowałem cię w ten sposób, nie ja. Widziałem ludzi traktowanych jak śmiecie i wygląda to inaczej. Odrobinę inaczej. To tutaj jest całkiem nieźle. Może być o wiele gorzej. I przepraszam, jeśli nie jestem doskonały. Naprawdę przepraszam, że zepsułem ci sobotę, kiedy zabrałem cię znowu na obiad. Tyle rzeczy zrobiłem nie tak. To pewnie jedna z nich. Musisz dopisać do wszystkich moich błędów. Przykro mi, że poznałaś zjeba. Przykro mi, że nie jestem twoim wymarzoną kimkolwiek. Tak, naprawdę mi przykro. Kiedy siedzisz tu i mówisz, czego sobie ode mnie życzysz. Kiedy każesz mi wziąć ślub, jak należy.

Wytarła twarz ramieniem i wymamrotała: Nie rozmawiam z tobą.

Ludzie, powiedział, o rany. Przygryzł wargę i pokręcił głową. Nie wiem... A właśnie, że będziesz ze mną rozmawiać. Nie będziesz wyzywać mnie prosto w oczy. W moim pokoju. W moim kraju. Za który walczyłem. Kiedy ty co robiłaś? Przekradałaś się przez granicę? Aha. Ja ci jestem coś winien. Proszę, zobaczmy, ile tu mam.

Wziął portfel ze stolika nocnego i rzucił przez pokój, aż uderzył w jej pierś i upadł na podłogę. Natychmiast wstała, żeby odejść.

Czekaj! – zawołał, zerwał się i próbował ją powstrzymać. Walczyła jak oszalała, bijąc i kopiąc.

Złapał ją w pasie i pociągnął na łóżko. Nie! – zaprotestowała. Upadli na materac. Czekaj, czekaj, przepraszam, powtarzał jej do ucha, przygniatając ją swoim ciężarem. Uderzyła go głową w bok, wykręciła się i walnęła go pięścią w głowę. Położył się na niej, starając się unieruchomić jej rękę. Kopnęła go kolanem w plecy. Skrzywił się. Patrzyła na niego zza włosów rozrzuconych dookoła twarzy, na której malowały się rozpacz i panika, pokrytej potem i łzami. Spojrzeli na siebie. Znowu wymierzyła mu kopniaka kolanem w to samo miejsce na plecach, co przedtem.

Dawaj, wyrzuc to z siebie.

Kopnęła ponownie.

Zmarszczył brwi.

Mam nadzieję, że bolało, pieprzony dupku. Będziesz mnie WYZYWAĆ? – ryknęła. WYZYWAĆ? *Sini sikey kot ghuy*. Odwinęła się i przyłożyła mu znowu w twarz. Jeszcze się będziesz bać, i to jak. Wydlubię ci oczy! Przepraszam, powiedział. Zaśmiała się i wróciła do desperackich prób wymierzenia ciosu.

Nie bij już, poprosił.

Nienawidzę cię.

W porządku. Tylko nie chcę, żeby komukolwiek stała się krzywda.

Nienawidzę cię. Miałeś mnie, ale to już przeszłość. Teraz będziesz sam. Złaż ze mnie.

Złazł.

Usiadła na łóżku, doprowadziła do porządku koszulkę i spodnie i przyczesła włosy. Zapytał ją, co robi. Odparła, że kończy – to znaczy: kończy z nimi.

Zooey, proszę, nie odchodź.

Udając, że go nie widzi, spojrzała ku drzwiom za jego plecami, przez które zamierzała wyjść, i kazała mu zejść jej z drogi. Jego błagania nie robiły na niej wrażenia. Mówiła poważnie.

Nie wierzę, powiedział Skinner. Nie wiedziałem, że to się dziś stanie. Jego głos był cichy i drżał.

Masz, czego chciałeś.

Nie tego chciałem.

Skoro nie mógł zmienić jej decyzji, chciał pokazać jej coś, zanim sobie pójdzie. Odsunął się od drzwi. Nie zatrzymam cię – możesz wyjść, kiedy zechcesz – tylko ci coś pokażę.

Patrzyła, jak przynosi plecak, siada, otwiera kieszeń, sięga do środka i wyciąga rękę, a w niej miał ciężki wojskowy pistolet. Jej mózg potrzebował dodatkowej sekundy, żeby to dostrzec.

Nie bój się, powiedział i wycelował broń w swoją głowę.

Skinner, nie!

W porządku. Nie ruszaj się. Stój, gdzie stoisz. Posłuchaj. Chcę, żebyś o czymś wiedziała. Jestem – jego twarz wykrzywił grymas, łzy spłynęły mu po policzkach. Zrobił przerwę. Jestem do niczego. Do niczego. Kurwa, do niczego. Chcę umrzeć. Nikt tego nie wie. Przepraszam. Naprawdę. Znowu przerwał. Przepraszam bardziej, niż potrafię to wyrazić. Zaslugujesz na kogoś więcej. Ale powinnaś wiedzieć, że byłaś dla mnie całym światem. Teraz możesz iść. Zamknął oczy i zaczerpnął tchu.

Skinner, podchodź do ciebie. Nic nie rób. Zachowaj spokój. Dotknę twojego ramienia. To moja ręka. Jestem twoją przyjaciółką.

Najdelikatniej, jak się da – jak gdyby trzymała słowika z bajki opowiedanej przez matkę – położyła dłonie na pistolecie i powolutku odwiodła broń od jego głowy. Musiała zdejmować jego palce z uchwytu jeden po drugim, uwolnić pistolet z jego uścisku i odłożyć go możliwie najdalej, na drugi koniec pokoju.

Przez długi czas leżeli na łóżku, przytuleni.

Zmówiłam za nas modlitwę do Boga.

Dziękuję. Pozdrów go ode mnie.

Potem zapytał, czy Zou wciąż chce od niego odejść, a ona pokręciła głową.

Musi być jakiś Bóg.

Nie wiedziałam, że masz broń.

Wiem.

Może lepiej wyjąć z niej kule.

Wstał, rozładował pistolet i odłożył na bok.

Chyba powinniśmy coś zjeść.

Nie chcę, żebyś znów stawiał mi jedzenie. To nie fair wobec ciebie.

Nie mówiłem tego poważnie, Zooey. Proszę, czy zjesz ze mną kolację?

Może powinniśmy zrobić co innego.

O, dobrze. Na pewno?

Tak. Wyciągnęła do niego ramiona. Ale kiedy próbowali się kochać, Skinner miał problem; był zbyt miękki i wypadał.

To nic, to nic.

Nieprawda.

Prawda, jest dobrze. Pomogę ci.

Wreszcie mu się udało. Kiedy skończył, oboje byli zgrzani i spoceni, a kolana mieli całe w brudzie od materaca. Odczuwał ulgę, że ostatecznie dał radę, choć zajęło mu to dużo czasu. Zapytał, czy u niej wszystko okej, a ona odpowiedziała, że w porządku. Poszła pod prysznic. Noc zastała ich, kiedy byli zajęci w łóżku. Pokój zdawał się wypełniony dymem. To tylko jego oczy, samotność. Miejsce na ziemi bez elektryczności. Krajobraz ze zgliszcz. Zapalił lampkę nocną – jak pomarańczowe ognisko w dziczy. Pojawiły się ściany, fioletowe niczym w haremie, i był z powrotem w Queens, gdzie kolory wybierali ludzie, u których wynajmował pokój.

Jedna sprawa, lepiej nie biegaj nago. Tam może ktoś być.

Ktoś jest w suterenie?

Tamten koleś schodzi. Nigdy nie wiadomo.

Okej.

Była przyzwyczajona traktować wszystko poza najściślejszą przestrzenią do spania jako przestrzeń publiczną, więc nie przejęła się tym i zachowywała się, jak prosił, wychodziła w pełni ubrana i zabierała ze sobą jego ręcznik Camp Manhattan.

Wzięła prysznic, ubrała się, uczesała mokre włosy i poszli do Fratello po pizzę. Kiedy jedli, sięgnął przez pomarańczowy stół w kuchni, starając się złapać kawałek Zou Lei. Noc wydawała się szczególnie ciemna. Poprzestał na jej łokciu. Trzymała obiema rękami trójkątny plasterki pizzy, który wyginał się pośrodku jak zwłoki niesione do helikoptera. Skinner trzymał ją za łokieć, patrząc, jak porusza się jej klatka piersiowa, wykonując funkcje życiowe: oddychanie, jedzenie.

To przez tabletki.

Wiem. Jesteś silnym młodym mężczyzną.

Dziś wszystko było jakieś dziwne.

W gardle i oczach poczuł znów słodko-ostry ból, który poprzedza płacz. Opuścił głowę, spojrzał w bok na swoje odbicie w cienkich pionowych lustrach pokrywających ścianę pizzerii. Jego oczy wyglądały, jakby ktoś psiknął w nie sprejem na karaluchy albo jakby wykazywał reakcję alergiczną. Pomyślał o błonach śluzowych, podrażnionych i zaczerwienionych od pocierania w czasie seksu.

Zwróciłaś uwagę na pewną rzecz, kiedy się ze sobą...?

Byłeś po prostu zmęczony.

Nie, chodzi mi o to, czy coś zauważyłaś? Usłyszałaś?

Tylko dźwięki, które my wydawaliśmy.

Nic więcej?

A co więcej?

Coś na zewnątrz pokoju.

Spojrzała do góry, na wiatrak zawieszony pod sufitem, i przypomniała sobie. Coś słyszałam. Jakby ktoś zrzucił coś na podłogę. Myślisz, że ktoś tam jest?

Najwyraźniej tak właśnie uważał. Zapytała, kto mógłby coś takiego zrobić. Skinner zapytał, czy pamięta, jak ginęły mu rzeczy – czasopismo, lekarstwo, sześciopak piwa? Jego zdaniem koleś, który

podkradał mu to i owo, również ich szpieguje. Skinner wiedział, że tamten schodził do sutereny, bo widział go pod zlewem.

Był u mnie, żeby naprawić bojler. Wkrótce potem pani Murphy zrobiła mi wygawor na temat mojego pokoju. Pamiętasz, jak sprzątałem? To jego sprawka. Wiem, że tutaj schodzi i wszystko widzi. Kiedy wychodzę, a potem wracam, zawsze coś jest przestawione, jakby się tu kręcił. Przedtem nic takiego się nie zdarzało. Zaczęło się, kiedy on się pojawił. Któregoś dnia wpadłem na niego tutaj i powstało między nami napięcie. Jakby miało się coś stać.

Czemu on robi te rzeczy?

Nie wiem, jaki ma problem. Widziałas go? Wielki typ, naprawdę wysoki, chodzi w górę i na dół jak na sprężynach, jakby chciał kogoś zabić. Ma bródkę, o tutaj.

Tak, znam go, powiedziała.

Naprawdę?

Kiedys przyszedł do ciebie, ale cię nie było. Otworzył drzwi. To chyba on.

Poważnie? Serio mówisz? To na pewno on?

Przyznała, że chyba tak.

Co ci powiedział?

Próbował zaprosić mnie do środka.

I co zrobiłaś?

Powiedziałam: nie. Poszłam. Ale starał się przekonać.

Uderzał do ciebie?

Może, chyba tak. Po twarzy Skinnera przebiegł grymas. Ale, tłumaczyła, to nie ma dla niej znaczenia. To nie jedyny raz, kiedy na Flushing jakiś facet próbował z nią rozmawiać. Dużo facetów próbuje oszukać kobietę.

Na przykład kto?

Ten chłopak, mówił do mnie mamuśka. Bardzo śmieszne. Tak się mówi do matki?

To był czarny typ?

Tak, czarny. Mamuśka, powiedział.

A co ty na to?

Muszę iść.

To było na Main Street?

Tak, w Chinatown. Nic nie wydarzyło. On na mnie oglądał, jak odchodziłam. Mówił coś, mamuśka, jakby wołał swoją matkę.

No tak, to zrozumiałem. Normalne, biorąc pod uwagę, jak wyglądasz i w ogóle.

Zapytała, czy dobrze się czuje, a on odparł, że jest tylko zmęczony.

Kiedy wrócili do domu, znaleźli się znów na krawędzi smutku. Zapytał, czy mogą położyć się razem na łóżku i przytulać, dopóki będzie mogła zostać. Leżeli tak dość długo, nie gasząc lampki nocnej dla lepszego nastroju. Kochasz mnie? – spytał. Odparła, że nie leżałaby z nim w jednym łóżku, gdyby go nie kochała. Zacisnął szczęki i powieki, a po nosie spływała mu cienka strużka łez, która wyschła w ciągu minuty. Objęła jego głowę i gładziła go po karku w miejscu, gdzie kończyły się włosy. Kocham cię, powiedział.

Nic nie odrzekła i zastanawiał się, czy dla niej te słowa zabrzmiały równie pusto jak dla niego. Głaskał ją po plecach i biodrach. Nie potrafił wypowiedzieć niczego, co mogłoby się równać jej wcięciu w tali.

Żaden nie może mnie dotykać oprócz ciebie.

Słusznie, podsumował.

O jedenastej nagle usiadł na łóżku i rzucił: Poczekaj chwilę. Poszedł po buty, kazał jej się nie ruszać. Zostań tutaj, chcę coś sprawdzić. Przed wyjściem zabrał broń i pobiegł na górę, zostawiając Zou zdeorientowaną i zaniepokojoną.

Obiegł dom i dotarł do uliczki po drugiej stronie, z kratą nad ich oknem. Weszła na łóżko i wyszeptwała: Co ty robisz?

Sprawdzam naszą prywatność. Widzisz mnie stąd?

Nie. Ledwo cię widzę.

W porządku. Chwileczkę. Zaraz wracam.

Znów obszedł dom. Usłyszała, jak zamyka na klucz drzwi wejściowe, a potem dudni butami po schodach i przeszukuje łazienkę, kuchnię, szafę, wszystkie kąty.

Co się stało?

Słyszałem coś.

Odlóż pistolet, poprosiła. Znów się bardzo zdenerwowała.

Na pewno słyszałem coś na zewnątrz. Przy zapalonej lampce nie jest okej, widać wszystko z góry.

Przejazd na Bronx trwał długo i Zou musiała się dwa razy przesiadać. Biali wychodzili z wagonów, a czarni i Latynosi zostawali albo się dosiadali. Wypełniony pociąg był ciemny od ciemnoskórych pasażerów, pachniał potem z olejkiem kokosowym i wiśniowymi kadzidełkami. Z Westchester Avenue pojechała autobusem na wschód, na Soundview. Autobus pomknął ośmiopasmową szosą, nad którą górowały bloki mieszkalne, przy których ludzie wyglądali jak krasnoludki. Nacisnęła przycisk i wysiadła. Każda z tych wież wyglądała jak okręt wojenny wbity w ziemię, sterczący i pordzewiały; naliczyła takich dwadzieścia. Zapytała o drogę jakąś Haitankę w niedzielnych pantoflach. Przejściem podziemnym, wyjaśniła. Jej twarz była poorana głębokimi bliznami. Betonowe schody wiodły w dół pylistego pagórka, tam, gdzie stały niskie budynki o płaskich dachach, a na ulicy parkowały podnośniki widłowe. Na samym dole znalazła adres, którego szukała, fabrykę.

W zakratowanych oknach rozpięto porozrywane sukienki, tak że nie było widać wnętrza. Paski podartego materiału były poprzyczepiane wszędzie, do płotów, siatki i klamki drzwi całych w graffiti po hiszpańsku. Ściany wewnątrz były popisane markerem. W poszukiwaniu wejścia dotarła do korytarza jak w ubojni bydła, który kończył się furtką z metalowej siatki. Na płytach sufitu widniał napis: „Viva Ei”. Przejścia nie było – furtka była zamknięta na klucz. Przez dziury w siatce usłyszała szum wentylatorów i pracujących maszyn oraz dostrzegła pudła, bele materiału w różnych barwach i kobiety przy stołach. Wyszła z powrotem na zewnątrz, minęła drzwi z plastiku, przez które widać było środek, ale wisiała na nich kłódka. Wychudzony mężczyzna z rakowatą skórą rolnika zaklejał kartony taśmą, którą przycinał brzytwą o ręczce również obwiązanej taśmą. Nawet na nią nie spojrział, kiedy spytała o wejście.

Za rogiem znalazła kolejne zakratowane przejście, które pozostawiono uchylone. Na tynku ktoś napisał po chińsku markerem: „Numer tej fabryki to” – i tu następowała lista powykreślanych numerów i kolejnych numerów i nazwisk, i wiadomości po chińsku. Na zewnątrz nisz pod rurami ktoś napisał: „Nie wolno wypróżniać się w toalecie, pod rygorem sprzątnięcia”.

Przeszła po kartonach zgromadzonych obok skrzynek z bezpiecznikami – do cegieł przyczepiono kartkę z płacami minimalnymi, terkot maszyn stawał się głośniejszy – aż zobaczyła całe rzędy stołów, kobiety. Siedziały plecami do wejścia, pracowały bosy, naciskały pedały i uruchamiały dźwignię kolanową. Jedna z nich miała włączone radio, które ledwo przebijało się przez szum wentylatorów. Maszyny do szycia klikały jak telegrafy. W głębi hali, pod belkami stropowymi, obok wyściełanych desek do prasowania służących do spłaszczania ubrań przed ich zapakowaniem piętrzyły się puste kartony i inne rupiecie, stare maszyny do szycia i metalowe krzesła ze skrawkami materiału zwisającymi z nich jak mokre chustki, plus masa ubrań w płóciennych workach pocztowych.

W fabryce pachniało starym drewnem i tekturą – pod nagimi stopami pracownic leżały kartony, żeby wchłaniać olej wyciekający z maszyn do szycia Juki. Były całe oblepione kurzem. Do szpulek przyczepiono czerwone nitki – na szczęście.

W hali pracowało około siedemnastu kobiet, część po dwudziestce lub trzydziestce, większość wyglądających na starsze. Wiele z nich miało na nosach okulary. Nie patrzyły na Zou, nie odrywały wzroku od pracy, przez ubranie na ich zgarbionych plecach widać było zapięcia staników. Było gorąco, więc preferowały bluzki bez rękawków ze sztucznego jedwabiu lub T-shirty. Widziała, jak szarzeją.

Jedna z młodszych podeszła do brudnej lodówki, najwyraźniej po to, żeby wziąć sobie drugie śniadanie z czerwonej reklamówki. Na koszulce widniała narysowana śpiąca osoba z podpisem:

„Budzisz się na własne ryzyko”. Nosiła spodenki do kolan jak Zou Lei, była bardzo chuda, miała prawie czerwoną skórę, wysunięty podbródek i gęste, krótkie włosy i potykała się w plastikowych sandałach. Poszła do łazienki, w której nie wolno było się wypróżniać, i wyszła ze zmoczonym ręcznikiem papierowym na chudych ramionach, żeby schłodzić się przed wentylatorem. Spojrzała na Zou Lei, zrobiła gest, powiedziała coś, znowu wykonała jakiś gest i ledwo słyszalna przez hałas, zawołała:

Za tobą, mężczyzna. Idź do niego.

Zou Lei obróciła się i zobaczyła człowieka rozpartego na krześle biurowym, ze stopami na biurku, na którym stało niepodłączone urządzenie do gotowania ryżu. Na ścianie powyżej wisiały przyklejone taśmą zdjęcia kandydatek na Miss Azji w jednoczęściowych kostiumach kąpielowych. Miały jasną cerę, jedną rękę trzymały uniesioną do fryzury w stylu lat sześćdziesiątych, a drugą opierały na biodrze. Mężczyzna ubrany był w lekko połyskliwe, znoszone dżinsy.

Spojrzał na nią z boku i zadzwonił z komórki. Kiedy skończył, wstał, pomacał się po kieszeniach w poszukiwaniu zapalniczki, wyjął paczkę papierosów White Cotton z biurka, włożył jednego do ust, ponownie obszukał się, chcąc znaleźć zapalniczkę, po czym wyjął niezapalony papierosa pomiędzy warg i poszurał do drugiej części biura. Długie ramiona zwisały mu po bokach ciała jak przy mokrej koszuli, jakby wszystko przerastało go w tym upale.

Poszła za nim do pokoju, który był małą komórką, za to lodowatą. Ustawiony na szesnaście stopni klimatyzator wydychał zimne powietrze do pomieszczenia wielkości szafy wnękowej. Mężczyzna westchnął i obrócił zapalniczkę w palcach, uderzył o biurko i ponownie obrócił. Jego mały palec zakończony był długim, szpiczastym paznokciem. Ani razu nie spojrzał prosto na Zou. Otaczały ich pudełka z metkami znanych marek do naszywania na ubrania oraz z częściami do maszyn, igłami, szpulami Pegasusa i śrubami, paskami klinowymi, pojemniki z olejem smarowym, szpule z czarną, białą, niebieską i lśniąca nicią, faks z migającą zieloną kontrolką i minilodówka. Mężczyzna mówił po kantońsku z akcentem z Taj-szanu; mandaryński go drażnił. Zgodziła się na wszystko, także na to, czego nie rozumiała. Informację o szkoleniu wojskowym zachowała dla siebie.

Zapytał: Ty szwaczka?

Oczywiście.

Wydawał się obojętny. Wymienił różne działy: *Lak gwat*. Przeszedł na angielski, zirytowany, że Zou go nie rozumie. Owerlok. Precyzyjne obrębianie. Lamówki. Perełki. Pięćdziesiąt centów od sztuki. Czasem dziesięć. To zależy. Różne działy zgarniają forszę. Czasem praca w nocy, jak trzeba wypchnąć zamówienie.

Nie ma dni wolnych. Nie ma cię, to nie zarabiasz, i tyle.

Pytania?

Nie miała żadnych pytań, które mogłaby mu zadać. Nie otrzymała jasnej decyzji, czy zostaje zatrudniona, czy nie, i czy ma nazajutrz stawić się do pracy. Nie padło ani pytanie, ani odpowiedź. Rozmowa dobiegła końca, kiedy zrozumiała, że mężczyzna nie zamierza jej nic więcej powiedzieć.

Zdarzyło się jeszcze tylko jedno. Kiedy próbowała wyjść z budynku, zobaczyła człowieka, który zamykał bramę i zakładał na nią łańcuch rowerowy, odcinając jej drogę. Mimo woli zaczęła krzyczeć:

Ej, co ty robisz? Chcę wyjść!

Był to starszy mężczyzna w typie wiecznego kawalera, w podkoszulku, z tych, co już to słyszeli i nie mają z tym problemu. Spojrzał na nią przenikliwie, a zarazem z rozbawieniem.

Spokojnie. Tam są otwarte drugie drzwi, wyjaśnił.

Chciałabym z tobą o czymś porozmawiać, Skinner.

O czym?

Pytała o ciebie jakaś prostytutka z Flushing.

Jak to? Kiedy?

Nie znam dokładnej daty.

Chwileczkę. Jestem skołowany. Nie znam żadnych prostytutek z Flushing. Staram się domyślić, kto to mógł być. Czy wyglądała na Azjatkę?

A bo ja wiem. Syn mówił, że z nią gadał.

A skąd on ją zna?

Powiedział, że kojarzy ją z Flushing.

Mówi pani, że ją rozpoznał?

Zgadza się. Rozpoznał ją. Przyszła tutaj, pytała o ciebie.

Skinner nie wiedział, co odrzec.

Myślałam, że powinieneś wiedzieć.

Gdy leżał w łóżku, śniło mu się, że ktoś stoi za kratą przy oknie w kombinezonie ochrony przeciwochemicznej i wpuszcza do sutereny sarin, gaz spowija Skinnera całego, a on go wdycha i zanim się obudzi, będzie już za późno, żeby go uratować. Robi sobie dwa zastrzyki z atropiny, bez skutku. Zamaskowana zielona postać schodzi na dół w kapturze i masce i zabiera Zou Lei do drugiego pokoju, Skinner nie widzi, co się tam dzieje. Paraliż go zabija. Słyszy jej krzyki i uderzenia o stół. Następnie zostaje przywleczona z powrotem, głowa zwisa jej bezwładnie. Postać w kombinezonie dosiada jej na czworakach jak kozę i zaczyna dusić dziewczynę wężem. Trwa to długi czas, przerywany momentami odpoczynku, podczas których Zou wykrztusza: Nie. Wtedy powietrze zostaje odcięte, jej twarz staje się fioletowa, nogi wyprężają się do tyłu. Skinner zaczął płakać przez sen. Przystań, zaszlochał. Nie rób jej tego.

Patrzył, jak mężczyzna zgniata jej szyję, aż Zou Lei przestanie się trząść, a potem kontynuuje, wsuwając kij od szczotki w pętlę, by zwiększyć siłę garoty. Zaciska ją i zostawia tak na kilka minut. Osobowość i człowieczeństwo Zou Lei już dawno przepadły. Garota spowodowała obrzęk głowy. Wykrzywiona twarz nie przypomina tego, jak wyglądała Zou, gdy to jeszcze była ona.

Jimmy stał akurat ze swoją ekipą. Zobaczyli nadchodzącego Skinnera i poczekali, aż się zbliży. *Guado* był przygotowany, żeby powiedzieć coś lub coś zrobić. Chodziło o to, żeby Skinner miał zagwozdkę. Mogą rzucić coś przyjaznego. Miłego dnia, koleś. Albo powiedzieć coś ledwo dosłyszalnego, by dopiero przecznicę dalej dotarło do niego, że to obelga. Czasem wystarczy słowo. Jego mózg skupi się na nim, kiedy będzie szedł. Albo na przykład można dać mu do zrozumienia, że jest taksowany, a kiedy w najdrobniejszy sposób zareaguje, usztywni się w ramionach albo w chodzie, ktoś ryknie jak wariat: Żebyś się nie zesrał!

Skinner podszedł, a *guado* wymamrotał: Pieprzony cienias. A potem głośniejszym głosem: Co tam, koleżko!

Nic tam, odpowiedział Skinner.

Jimmy: Cwel w dupę jebany. I patrzył na twarz Skinnera, który szedł dalej.

Było absolutną prawdą, że Jimmy miał parę rzeczy, które do niego nie należały, a jedną z nich był „Hustler” zakupiony w sklepie dla żołnierzy, w bazie wojskowej, obok apteki, gdzie wydawali sertralinę, zolpidem, diazepam, risperidon, leki przeciwpsychotyczne i wywołujące psychozę.

Jedna z dziewczyn była podobna do dupy Skinnera, bo miała brązowe włosy, drobną budowę ciała, chociaż była może trochę podrasowana. Tak czy inaczej tamta nie usłyszała kroków Jimmy’ego na schodach do sutereny, kiedy się szykowała. Sądząc po tym, jak brzmiała, wnioskował, że nie ma wykształcenia i pochodzi z niższej klasy. Piękna, kobieca dama, kusząco egzotyczna. A jej chłopak trep to frajer.

Kiedyś ten dzieciak próbował się tak jakby stawiać. Jimmy kręcił się po suterenie, a ten pustak wylazł ze swojego pokoju i zaczął jęczeć coś w stylu: Wiem, że zwinąłeś moje rzeczy.

Ale na gadaniu się skończyło, tak jak Jimmy się spodziewał, więc brał więcej rzeczy, w ramach testu, gry, żeby dać do zrozumienia: nie pasuje ci to, znaczy, nie powinienes tu mieszkać. Nawet nie potrafisz dogodzić swojej lasce.

Skinner znalazł na schodach do siebie wizytówkę pań do towarzystwa. Był na niej napis: „Tylko wizyty domowe”, numer telefonu, Flushing, Nowy Jork, plus zdjęcie opalonej Azjatki w stringach w czarno-białe palemki. Najlepsza dupeczka, zachwalała agencja.

Skinner zachował to jako dowód i wsadził do plecaka, myśląc sobie: Jak rozjebię tego gnoja, to im ją pokażę.

Przez kilka dni w okolicach czwartego lipca, kiedy Monroe konsumował pieczeń wieprzową na piknikach w towarzystwie krewnych, którymi gardził, pozwalano Zou pracować za ladą. Po południu zwykle stopy zaczynały ją boleć od całodziennego stania. Patrzyła wtedy na zegarek, stawała znudzona, oparta na jednym biodrze, w obcisłych dżinsach i uniformie wiecznie poznaczonym plamami zaschniętego jedzenia; zanurzała chochlę w ryżu, przekopywała go i spoglądała zza lady, ledwie świadoma monotonnego gwaru klientów, zamówień składanych po chińsku, stukotu tac, hałasu z kuchni i piosenek pop, słodkich jak ulepek. Dla niej liczyły się tylko jej problemy. Po raz kolejny przeanalizowała rzeczy, które składały się na jej życie: Skinner, dokumenty, gliny, małżeństwo, prawnik, robota, pieniądze, mieszkanie, Skinner, jego choroba, pieniądze. Każda planeta na jej orbicie była kolejną niewiadomą. Nocą w boksie ze sklejki włączała wiatrak, ale i tak nie mogła zasnąć, aż pomieszczenie nie ochłodziło się nad ranem. Cierpiała na bóle głowy i okresowe ataki paniki: a co, jeśli ktoś znów ją zamknie, przekonany, że na tym polega jego praca? Wtedy stawała jej przed oczyma cela. Starła się oddychać głęboko i wymyślić, co począć. Spróbuj przynajmniej coś z tym zrobić, mówiła do samej siebie. Pojedziesz do Skinnera i weźmiecie ślub. Ale czy najpierw nie powinnam załatwić sobie papierów na prawdziwe nazwisko? Autentycznych papierów? Tu znów pojawiała się groźba, że ją zaaresztują. Albo okradną lub naciągną. No i pieniądze. Pieniądze. Kończyły się jej. A co, jeśli nie będę miała na czynsz? Podniosła stopę i złapała podszewę ręką, żeby rozciągnąć udo, a przez nogę przebiegł jej dreszcz, jak czasem po końskim boku.

Przede wszystkim chciała czegoś, nad czym mogłaby panować. Wołała odrzucić każde działanie, które wymagałoby kontaktu z władzami. Było to niezbyt realistyczne, ale marzyła o tym, żeby sprowadzić wszystko do fizycznej próby ucieczki.

Tamtego wieczora pojechała do Skinnera i zastała go w stanie paranoidalnym, miotającego się w tę i w tę na rogu ulicy w blasku zachodzącego słońca. Budynki naprzeciwko torów rzucały cień na aleję. Powitał Zou, rozglądając się po pustej ulicy, lustrując tory, pozycje snajperskie w oknach, na dachach, podciągnął dżinsy bez paska i powiedział: Chodź, wejdźmy do środka. Obszedł całą suterенę, sprawdził coś w łazience, zajrzał do kuchni, otworzył szafę i wbił wzrok w bojler.

Ku swojemu przerażeniu Zou spostrzegła, że Skinner trzyma w ręce broń. Kazała mu ją odłożyć, grożąc, że inaczej sobie pójdzie.

Pomyślała, że musiał wziąć coś, co wywołało u niego manię.

Musimy zachować spokój, zaapelowała, i podjąć właściwą decyzję. Powiedziała, że jak dla niej, jeśli Skinner wciąż chce, wzięcie ślubu jest chyba najlepszym sposobem, by odsunąć od niej widmo deportacji, więc nie powinni dłużej zwlekać. Co on na to?

Był absolutnie za. Jazda. Zróbmy to od razu. Nigdy nie wiadomo, co przyniesie jutro.

Stwierdziła, że teraz nie mogą, biuro jest nieczynne. Więc pójdziemy jutro. Nigdy nie wiadomo, co przyniesie pojutrze. Albo kolejny dzień. Albo jeszcze następny. Nie mają czasu do stracenia. Skinner miał plan. Chcesz posłuchać? Zdecydowałem, że tam wrócę!

Dokąd?

A dokąd? Do Kuwety. Nie mam tu już nic do roboty. Dość tych pokręconych myśli. Wszystkich kłopotów. Kiedyś byłem wysokiej klasy żołnierzem. Muszę tam wrócić. Bo wiem, lepiej wrócić. Tak będzie najlepiej dla wszystkich. Lepiej, niż zamartwiać się wspomnieniami stamtąd z odległości pięciu tysięcy kilometrów.

Powiedział jej, że podczas pierwszej wymiany ognia czuł się bardziej podekscytowany niż

kiedykolwiek indziej w życiu, przedtem czy potem.

Wyjaśnił, że chce się zaciągnąć jako najemnik. Będzie zarabiał sto czterdzieści tysięcy dolarów rocznie. To rozwiąże ich problemy.

Nazajutrz Sassoon wróciła do pracy, a Zou Lei znów trafiła na zmywak. Jak zwykle analizowała swoją sytuację. Piątek. Przejdzie do rzeczy i zabierze Skinera do urzędu w poniedziałek z samego rana, choćby miała przez to stracić dzień pracy. Małżeństwo to priorytet. Koszt wydania aktu ślubu to czterdzieści dolarów. Czynnosc w wysokości stu dolarów tygodniowo płaciła co poniedziałek, więc będzie potrzebować w sumie stu czterdziestu dolarów, plus dwadzieścia na jedzenie. Wyplata przypadała w następny piątek. Nie wiedziała, ile dokładnie jej zapłaca – spodziewała się potrącenia z pensji – byle starczyło jej na życie i na otwarcie sprawy u prawnika, a wtedy poszuka nowej roboty. Mogłaby wymagać udania się poza granicę stanu – za pracą trzeba było jeździć. Czy da radę jeździć w tę i z powrotem do prawnika i na rozprawę? Stwierdziła, że nie. Musi zostać tutaj. Poszuka pracy w innej restauracji w mieście. Pieniądze nie stanowiłyby problemu, gdyby Skinner zarabiał sto czterdzieści tysięcy dolarów rocznie, ale to nie wchodziło w grę. Musiał być na kokainie albo amfetaminie, uznała. Może dałaby radę namówić go na zakup wózka, z którego mogliby sprzedawać shaokao tutaj, na Flushing. Inwestycja wymagała dziesięciu tysięcy dolarów. Mogliby uzyskać licencję na jego nazwisko. Wyobraziła sobie ich dwoje pracujących razem na szczycie wzgórza, mieszkających we własnym mieszkaniu z lodówką i telewizorem. Ależ tam będzie czyściutko! Razem będą też chodzić na siłownię.

O wpół do dwunastej Zhang Zhuojin podeszła do Zou Lei i powiedziała: Lepiej z kimś pogadaj. Ten chłopak cię wygryza.

Zou poszła sprawdzić grafik. Zniknęła ze wszystkich dni.

Podczas drugiego śniadania nielegalne imigrantki rozmawiały na ten temat.

Zwróć się z tym do szefa.

Porozmawiaj z nim. Prawda, że powinna?

Wciąż ma szanse. Szef ją lubi.

Szef lubi ją, a Sassoon tego chłopaka.

Stary gepard osaczył młodego rysia.

Pogadaj z Polem. Potrząśnij przed nim swoimi kwiatkami i gałązkami.

Zou Lei podeszła do lady porozmawiać z Sassoon. Licealista stał tuż obok i śmiał się z Angellą. Czego chcesz? – spytała Sassoon, a wszyscy odwrócili się, żeby posłuchać. Zou Lei odparła: Niczego. Wyleciało mi z głowy.

Ukradła kawałek steku i zjadła ukradkiem w tylnym korytarzu, gdzie trafiały dostawy produktów, a Meksykanie siekali warzywa.

Chinita! Cuál es tu comida preferida?[4]

Adiós, rzuciła do nich, skończywszy jeść, i uściśnęła im ręce wytarte w ściereczkę, przez którą trzymała przedtem stek.

Welbe odłożył nóż i złapał ją za rękę. A ty dokąd? – zapytał po hiszpańsku. I po angielsku: Dokąd? Uśmiechnął się w kierunku różnych możliwych miejsc za ścianą, błyskając krzyżykiem wyrytym na przednim zębie.

Zauważyła, że jest tylko trochę wyższa od niego.

To się okaże, odpowiedziała.

Spał u siebie w suterenie. Był świadom obecności innych istot żywych, chociaż nie słyszał ich bezpośrednio przez ściany budynku. Jego umysł czuwał. Po drugiej stronie płytek, klepki, izolacji, zbrojonego betonu, tynku, daglezi i papieru ludzie oddychali, oglądali telewizję, chcieli żyć. Wykazywali oznaki życia, mieli ciśnienie krwi i tętno. Oczy im błyszczały, a źrenice kurczyły się, chyba że przeszli uraz mózgu lub byli w szoku.

Na razie mieli się gdzie schronić, ale gdyby na tej ulicy doszło do strzelaniny, darliby się: Niech to się skończy – Skinner widział pociski smugowe przelatujące im nad głowami z wściekłym świstem

niczym płonące piłeczki golfowe i wbijające się w karoserię aut wśród odgłosów pękającego szkła. Rano znajdują krew na podziurawionych ścianach. Wyjdą na zewnątrz w kupie, mrugając oczyma, popodnoszą ostre przedmioty z drewna i metalu, rozmawiając o tym, co dalej zrobić. Będą stali w grupkach po bezsennej nocy.

Jego sen ewoluował. Strzelanina ustała. Szedł przez zniszczoną ulicę, stąpając po szkłe chrzęszczącym mu pod butami, przemieszonym z krwią, jasnoczerwoną i lśniąca, prawie pomarańczową, jakby zawisła w powietrzu. Zobaczył wnętrze samochodu obryzganego mięsem. Ani jednego ocalałego. To, co stało się z ciałami, było nieodwracalne. Jakieś gigantyczne łapy połamały je, porozrywały, roztrzaskały, nadmuchały, przebiły, spaliły, cisnęły w dal. Na siedzeniu leżała kończyna – ręka albo noga, nie sposób stwierdzić. Zobaczył strzępki ubrania. Wnętrznosci, wątrobę na czerwonej tkaninie. Kręgosłup na fotelu kierowcy. Wszystko odarte z tożsamości – koszula, spodnie, sukienka – męskie albo damskie – nie dało się rozróżnić po skołtunionych mokrych włosach.

Samochody również uległy przeobrażeniu, od gorąca na lakierze pojawiły się tęcze. Za samochodami dostrzegł dziury w budynkach, witrynach, tunele wiodące do wnętrza, roztrzaskane szyby i nowiutkie adidas leżące na ulicy.

Nie był sam. W chodniku zionął krater. Położył się, włożył do niego rękę, chwycił dłoń osoby znajdującej się w dziurze i pociągnął do góry. Ciało uniosło się z łatwością – Skinner miał dość siły. Wreszcie, jego przyjaciel. Wypalili na spółkę papierosa.

Obok nich mieścił się Dunkin' Donuts. Weszli do środka, rozgarniając szkło butami, obeszlili ciało kobiety wciśnięte za ladę i zaczęli brać pączki.

Umierali z głodu.

Ostrożnie, brachu.

Sconyers wyjął z pączka Skinnera szkło, zanim ten zdążył ugryźć.

Jest kawa?

W szafie z napojami znaleźli czekoladę. Usiedli na kanapie w głębi lokalu i odłożyli broń na stół.

Cholera jasna, niezły wynik.

Nie ma co, stary.

Skinner położył skrzyżowane nogi na stole. Na czubkach butów miał zaschniętą krew. Uderzył jednym o drugi.

Fajnie, że nie umarłeś, stary. Teraz w moim świecie wszystko w porządku, powiedział.

Przyjaciel Skinnera zmienił się, odkąd się ostatnio widzieli. We śnie barwne tatuaże, które zawsze zdobiły ramiona Sconyersa, rozrosły się, sięgając aż do głowy, i pokrywały jego twarz czarnymi spiralami, skorpionami i cierniami.

Po wyjściu z centrum handlowego poszła do Footlockera i poprosiła o parę asicsów. Sprzedawca, który ją obsługiwał, był bardzo cichy i małowówny, aż zaczęła podejrzewać, że nie zna angielskiego albo mówi w jakimś innym dialekcie. Okazało się, że mężczyzna rozmawia tylko z wąską grupą ludzi – innymi czarnoskórymi, z którymi się koleguje. Kiedy poprosiła o mniejszy rozmiar, spojrzał na nią, jakby była niewidzialna. Jego twarz ożywiła się, kiedy ktoś wyszedł z magazynu i krzyknął. Sprzedawca odkrzyknął mu coś ze śmiechem i zażartował porozumiewawczo. Kazał jej zaczekać i odszedł.

Przymierzyła buty i wspięła się na palce. Czuła się w nich jak na sprężynach. Stąpała lekko po

wykładzinie na podłodze.

Sprzedawca zjawił się z powrotem. Za każdym razem, gdy o coś pytała, zdawał się zmieszany. Co się dzieje? – powtarzał, mając na myśli: Co takiego?

Ile ze zniżką?

Nie był pewien.

Spytała, czy żeby tam pracować, trzeba było mieć ubezpieczenie.

Aha, potwierdził i zaniósł pudełko z butami do kasy.

Zapłaciła gotówką, podając młodej kobiecie za kasą banknot studolarowy. Zou Lei dostawała wypłatę do ręki, zwykle w pięćdziesięcio- i studolarówkach. Dziewczyna o bardzo ciemnej skórze miała pryszczki na policzkach i włosy przedłużane lśniącymi, czarnymi doczepkami chińskiej produkcji. Wzięła od Zou banknot, a potem zachowywała się, jakby nie miała pojęcia, co robi. Nie wiedziała, jak nabić towar na kasę. Zawołała głośno: Ile na to jest zniżki? Nikt nie odpowiedział. Mlasnęła i przewróciła oczyma pod adresem chłopaków, mrużąc: Ale oni gupi.

Jej mniej nieśmiała towarzyszka krzyknęła: Ej, Malik!

Co?

Pytała cię o coś. Może odpowiesz.

Malik odrzekł: Nie mam pojęcia.

Przez cały ten czas Zou Lei nie traciła z oczu banknotu trzymanego przez dziewczynę.

Przyszedł kierownik – wyższy od wszystkich pozostałych, nieogolony mężczyzna z nadwagą, pochyloną głową i obwisłymi ramionami, jakby całe ciało spływało mu do pasa. Opadające powieki i kąciaki ust sprawiały, że wyglądał jak uosobienie smutku, a jednak jego głos zabrzmiał fachowo i profesjonalnie, w grzeczny, korporacyjny sposób. Poinstruiował kobietę, co ma robić. Studolarówka powędrowała do kasy, a reszta wylądowała na ladzie. Zou Lei przeliczyła. Dziewczyna powiedziała: Następny.

Zou Lei włożyła adidasy na zewnątrz. Były wspaniałe, wygodne i leciutkie, ale kiedy tylko wyszła ze sklepu, miała ochotę wrócić do środka i poprosić o zwrot pieniędzy.

Głupia jesteś. Ależ ty jesteś głupia.

Myślała, że zabierze ją na coś do jedzenia i w tym momencie wydawało się jej, że nigdy nie zareagowała na jego widok z taką ulgą. Przeszli obok Sheratona LaGuardia, minęli parking i nocny klub karaoke Krańce Świata, którego nazwa żartobliwie nawiązywała do tego, że Ziemia jest szeroka.

Dopytywała, dokąd zmierzają, ale nie chciał odpowiedzieć. Doszli do szeregu trzypiętrowych budynków z czarnymi metalowymi schodami pożarowymi. Na górze mieściła się agencja towarzyska. Jeden z domów był zapieczętowany przez miejską policję. W podziemiach spotykali się imigranci, żeby grać w madżonga, nawiązywać znajomości i robić interesy. Wrzucali do paleniska ofiarę z pieniędzy dla duchów. Spalili też samochodzik – fioletowe bmw wielkości pudełka na buty, które kupili w świątyni taoistycznej. Jej specjalnością była pomoc w uzyskiwaniu tego, czego pragnęło się w następnym życiu. Pogrzebaczem rozgarniali popiół po spalonym bmw, żeby odczytać z niego przyszłość.

Skinner otworzył poplamione drzwi z drewna.

Wejdz.

Weszła do lokalu z założonymi rękami.

Napij się.

Nie piję.

Czemu nie?

Nie potrzebuję tego. Myślę, że podjęłam pewną decyzję.

Możesz się napić. Od kiedy picie przeszkadza w podejmowaniu decyzji?

Siedziała na stołku barowym jak posąg. Coś niedobrego wkradło się między nich. Zeszła ze stołka i opuściła klub.

Skinner złapał ją na Main Street, chwycił za łokieć i obrócił do siebie.

Co ty robisz?

Z trudem powstrzymywał gniew.

Odchodzę.

Dlaczego?

Nie potrzebujesz mnie.

Jak to cię nie potrzebuję?

Skrzyżowała ręce i milczała, odwróciwszy od niego wzrok. Zapadała noc. Spytał, co zrobił nie tak. Nic nie odpowiedziała. Stała do niego profilem. Miała zaciśnięte szczęki. Już od początku był zły. Jej milczenie spowodowało, że zaczął ją prowokować, obrażać na ulicy. Powiedz, z czym masz problem. Oddychał z trudem, czekając na jej odpowiedź. Wpadał we wściekłość. Jesteś taka cholernie doskonała. Podaj mi jeden powód, dla którego twoja opinia się liczy.

Mówił podniesionym głosem.

Powiedz, co takiego zrobiłaś. Czemu mam się tym przejmować.

Zou Lei zamruła, ale nic nie odrzekła.

Jakiś Chińczyk zauważył ich kłótnię i zaczął im się przyglądać.

Jesteś zbyt ważna, żeby ze mną rozmawiać?

Skinner cofnął się o krok, żeby ją chronić. Bał się być za blisko, kiedy tracił nad sobą panowanie. Czekał, aż Zou coś powie – zatrzymaj mnie, myślał sobie – ale ona milczała, a on się nakręcał.

Ej! – ryknął. Ej! Patrz, kurwa, na mnie! Jego twarz znalazła się tuż przed jej twarzą. Traktowałem cię po ludzku!

Wzdrygnęła się. Patrzyli na nich ludzie z całej ulicy. Obrócił się i wszedł wprost na robotnika

budowlanego w turbanie, potrącając go ramieniem. Mężczyzna odskoczył.

Ej, kolego!

Masz jakiś problem? Co? Masz problem?

Sikh przeklął i wrzucił piłę na pakę samochodu.

Jakieś czarne dzieciaki pokazywały sobie palcami tę scenę i uśmiechały się pod nosem.

Idąc donikąd przez Roosevelt Avenue, Skinner kopnął kawałek sklejki oparty o ogrodzenie parkingu, aż echo zadudniło po ulicy.

Mało brakowało, a wybiłby jakąś szybę i trafił do aresztu.

Ale przemknął koło niego podmuch energii – Zou Lei stanęła i zatarasowała mu drogę.

Widok jej spojrzenia ranił jego oczy. Prawie się krztusiła. Spazmatycznie wypluwała z siebie słowa. Nic nie rozumiał, aż pojął, że mówi w obcym języku.

Nie wiem, co do mnie mówisz.

Nie wiem, co do mnie mówisz, przedrzeźniała go.

Ledwo mrugnął, a ona była już pół ulicy dalej.

Czekaj chwilę! – zawołał i ruszył za nią.

Zaczęła biec.

Skinner poleciał za nią, licząc na to, że dogoni ją w dziesięciu krokach.

Ale zamiast dać się złapać, zaczęła przyspieszać i kilka sekund później pędzili łeb w łeb, Zou Lei lekko na prowadzeniu. Kierowali się w stronę bloków, żurawi i wody. Z przeciwka nadchodziły pojedyncze osoby, które odsuwały się na boki przed pędem dwojga biegaczy, lekkiej Zou Lei podskakującej jak na sprężynach i – tuż za nią – Skinnera uderzającego o chodnik wojskowymi buciorami.

Skręciła za rogiem i powiodła ich między bloki po lewej i niewidoczną wodę po prawej. Poprowadziła ich pod wysokim mostem z kamienia, który przechodził nad alejką, i dalej pod górę, aż bloki zostały w tyle, a czerń kanału zniknęła z pola widzenia. Po prawej, za szerokim bulwarem, wznosiły się w szeregu dwupiętrowe domy, a następnie oświetlone lampami sodowymi magazyny z blachy o rozmiarach hangarów lotniczych. Samoobsługowe hurtownie, płatność gotówką. Biegli wzdłuż witryn sklepowych, częściowo oświetlonych, częściowo ciemnych. Zou Lei pędziła przez plamy światła na placach, a Skinner podążał za nią.

Tempo biegu zaczynało mu doskwierać. Pojawiły się wszystkie objawy. Oddychał z coraz większym trudem, nogi robiły mu się ciężkie, krew gęstniała, karmelizowała się jak cukier na rozgrzanej patelni i zamieniała w kwas. Ogarnęło go uczucie powolnego tonięcia, a za nim przyszła świadomość, że nie dogoni Zou. Próbując dotrzymać jej kroku, słyszał stukot swoich butów o chodnik.

Spojrzał do przodu, żeby sprawdzić, czy Zou Lei zaczyna słabnąć. Zalanymi potem oczyma zobaczył podskakujący obraz – Zou biegła lekko i zwinnie.

Magazyny również zostały w tyle. Nastąpiła zmiana terenu. Przegoniła go przez parking naprzeciwko restauracji. Zamajaczyły mu słowa „Steki – kotlety – owoce morza”, i utkwily w myślach jak skandowane hasło, dopóki nie zblakły w starciu o utrzymanie tempa. Za restauracją rozciągała się większa, bardziej granatowa ciemność, której nie umiał rozgryźć. Starał się odgadnąć, dokąd Zou go prowadzi, ale bezskutecznie, więc zaprzestał dalszych prób. Ale zapierdala, pomyślał.

Gdy przecinali część bulwaru, z której zdarto asfalt, powtarzał sobie: uważaj, żeby nie wpaść w dziurę – ale nie poszedł za własną radą, zdolny jedynie do dalszego biegu, balansujący na granicy bólu prawie nie do zniesienia. Miał szczęście, że nie stąpnął krzywo i nie skręcił kostki.

Teraz przebiegali pod rusztowaniem z kantówek i sklejki. Dotarła do wyjścia z tunelu, zanim udało się to Skinnerowi, który na kilka sekund stracił ją z oczu, po czym sam wypadł z tunelu i dobił do Zou Lei, która była jak cień na większym polu ciemności.

Znajdowali się daleko od rozświetlonych sklepów, na betonowej szosie wyrastającej z mroku. Światła samochodów rozbłyskały na autostradzie jak pociski smugowe. Wskoczyła na lekko zapadnięty chodnik i gwałtownie skręciła w wyludnioną jezdnię. Skinner dostrzegł drzewa, jasne proporczyki papierowych śmieci na płocie i pole. Przebiegł po grzechoczącym kartonie na drugą stronę szosy

i poczuł, że ma pod stopami piach.

Pojawiło się ryzyko, że zgubi Zou Lei, ponieważ okolica tonęła w ciemności. Biegąc, wypatrywał sylwetki, śladów ruchu, ale nie widział niczego i poruszał się na ślepo. Poczul, że zwalnia – nie widział jej i zgubił drogę. Biegł jednak dalej, już nie w nadziei, że ją dogoni, a tylko po to, żeby być blisko i spotkać się z nią na końcu, gdziekolwiek miałyby to być.

Wzrok przyzwyczał mu się do ciemności na tyle, że zaczął dostrzegać uciekające mu spod nóg fragmenty terenu, suchej trawy sterczącej z pylistej ziemi. Zapadł się w bezrefleksyjnej monotonii kroków, skupiając się tylko na tym, żeby nie odpaść od towarzyszki. Kiedy tracił prędkość, starał się przyspieszyć. Mimo to wciąż nie widział Zou.

Od czasu do czasu unosił głowę. Przesycone ciemną energią niebo jarzyło się jak ekran telewizora po wyłączeniu zasilania. Po obu stronach widział w oddali światła i budynki. Biegł po niekończącym się polu. Potknął się, ale nie przewrócił. Nie stać go było na rzucenie przekleństwa. Ani nawet na pomyślenie, co mógłby powiedzieć. Jego oddech był przerażający i jakby odłączony od reszty ciała. Gdy po raz kolejny podniósł głowę, zobaczył bursztynowy blask lamp sodowych pomiędzy drzewami. Dostrzegł sylwetkę wielkości muszki u karabinu przemieszczającą się bokiem na tle poświaty i wiedział, że to ona. Zdmuchnął pot znad górnej wargi. Postać zniknęła i znów się wyłaniała, odcinając się na tle atramentowej plamy drzew w świetle lśniącem pośród gałęzi jak rtec.

Pomiędzy konarami pojawiły się domy, ulica skąpana w blasku latarni. Nie widział płotu, ale domyślił się jego obecności po tym, jak postać wzbijała się w górę i zawisła nad czarną ziemią. Mrugnął i zobaczył ją wśród domów. Nie czekając, aż znowu mu umknie, ruszył za nią, aż ogrodzenie wychylnęło przed nim, jakby wynurzyło się nad powierzchnię wody. Uderzył w płot i wspiał się po nim przy akompaniamencie grzechotu siatki.

Z bijącym sercem spadł na ziemię, cudem nie skręcając kostki. Jego ulica łączyła się z inną w kształt litery T. Pobiegł za Zou z potem skapującym z twarzy, łokci, przegubów, brody, nosa – każdej wystającej powierzchni ciała.

Ledwo łapiąc równowagę, biegł dalej, pochylając się ku długiej wstędze szosy wznoszącej się i opadającej wśród plam cienia i fioletowego światła wpadającego w brzoskwiniowy. Podeszwy jej butów do biegania podskakiwały jak dwie kropki. Jego mózg odcyfrował na ich podstawie resztę postaci sunącej miarowo drogą przed nim.

Podążał za nią jak zahipnotyzowany. Ulica ciągnęła się wśród cichych domów i nic nie wybijało go z biegu przypominającego sen. Otoczenie zmieniało się stopniowo. Skończyło się getto. Trawniki robiły się coraz większe. Przez jakiś czas, może ze dwa–trzy kilometry, widział wysokie cieniste żywopłoty i miniposiadłości. Brakowało chodnika. Nie należało tu przychodzić pieszo. Dalej żywopłoty się skończyły, a trawniki skurczyły do rozmiarów znaczków pocztowych. Znów pojawiło się graffiti, po stronie sklepu spożywczego. Obrazy przelatowały mu przed oczyma, jakby był pijany. Pick-up na luzie. Koleś w koszulce bez rękawków wyszedł ze sklepu z sześciopakiem, zauważył Skinnera, połączył ten fakt z dziewczyną, która przed sekundą przebiegła obok, i zaczął się zastanawiać, czy to jakiś wariat, który chce jej zrobić krzywdę.

Skinner miał coraz mniejszą ochotę biec i zaczął targować się z samym sobą. Dwadzieścia minut od parku. Pięć kilometrów. Odsunął od siebie myśl o bólu. Ale on powrócił. Jeszcze pięć minut. Wróc za pięć minut. Ból pojawiał się co pięć kroków. Starał się go lekceważyć. No, jazda, mówił sam do siebie. Ból przybierał na sile. Noż kurwa, najwyraźniej przyspieszyła. Wytrzymam jeszcze pięć minut. Usłyszał, że sapie coraz ciężiej, umęczony morderczym rytmem biegu.

Jeszcze tylko ten kawałek, pomyślał, wyznaczając sobie jeden z domów jako punkt odniesienia. Zaraz zapomniał który to. Wytargowywał od samego siebie sekundę po sekundzie, tracąc resztki dumy. Wszystko w nim wysiadało, organ po organie. Nie mógł się na niczym skupić. Uderzył ramieniem w boczne lustro zaparkowanego vana. Gdyby na jego drodze znalazła się mina domowej roboty, wszedłby na nią. Zmiana kierunku byłaby zbyt bolesna. Nogi odmawiały posłuszeństwa. Mógł tylko biec po linii prostej, a i to stawało się niewykonalne.

Na końcu ulicy skręciła, i wtedy się poddał. Nie dał dalej rady, zaczął się potykać. Spróbuj

jeszcze. Nie strać jej. Powłócząc nogami, dotruchtał do rogu.

Tam była ona, z rękami na biodrach i twarzą ociekającą potem, chodziła w kółko po jezdni.

Skinner podszedł do niej; nawet ta odległość wydawała mu się długą przeprawą. W jej trakcie zastanawiał się, czy Zou będzie dla niego jak ktoś obcy, po tym jak w czasie biegu stała się odległą sylwetką bez twarzy.

Hej, rzucił.

Pokuśtykał w jej kierunku. Hej, hej, powtórzył. Możemy porozmawiać?

Wyżął koszulkę, wylewając na chodnik dobre pół litra wody. Nie chciałem tego wszystkiego powiedzieć.

Ani trochę, powiedział.

Głupek ze mnie.

Kochanie?

Przestała chodzić w kółko i zrobiła skłon, dotykając palców stóp. Obcisłe dzinsy od tyłu, perspektywa anatomiczna. Wyprostowała się i odrzuciła mokre włosy. Uderzyły o plecy jak lina. Skinner za nic w świecie nie mógł sobie przypomnieć, o co się tak złościł. Wciąż żył, biło mu serce.

Ich ciała parowały w świetle lamp sodowych.

Nie ustawał w przeprosinach. Ona prawie nic do niego nie mówiła, z wyjątkiem tego, że jest zmęczona i musi napić się wody. Zatrzymali się przy sklepie na Czterdziestej Pierwszej Ulicy, on wszedł, a ona czekała na zewnątrz. Odrętwiała po przebiegniętym maratonie, wahała się, czy nie pójść sobie od Skinnera, ale nie dała rady.

Przyszedł z wodą i rozlał ją, pośpiesznie otwierając butelkę, jakby Zou była ofiarą wypadku i potrzebowała pomocy. Wzięła od niego wodę i wypila cały litr duszkiem, tym bardziej spragniona, im dłużej piła.

Pójdiesz do mnie?

Idź przodem, poleciała.

Kierowali się do jego domu. Pot wysychał na ich skórze, łączył się z brudem i zamieniał w maź; sztywniały im włókna mięśni ud, a podrażniona skóra zaczynała piec pod ubraniem o przenikliwym ketonowym zapachu. Zeszła z niej adrenalina. Kiedy weszli, spytała, czy może wziąć prysznic. Odpowiedział, że jasne.

Pod prysznicem słyszała, jak Skinner rozmawia z pizzérią. Po kąpeli dostała od niego jeden z jego T-shirtów i usiadła na skraju materaca z mokrymi włosami pachnącymi szamponem. Założyła jedną gołą nogę na drugą. W za dużej koszulce wyglądała jak kobieta na przyjęciu, która przygląda się niezobowiązująco otoczeniu. Kiedy dostarczono pizzę, Skinner otworzył pudełko i trzymał je przed nią na kolanach.

Kazała mu jeść z nią.

Szoruję jajami po ziemi.

Aha?

Nie będę ściemniał. Nieźle mi dokopałaś. Nie biegłem, jak należy. Palenie dało mi się we znaki. Wiele razy mówiłeś, że powinieneś rzucić.

No, mówiłem.

Tak. Mówiłeś wiele rzeczy.

To było serio.

Oczywiście, że serio.

Ale dotrzymałem ci kroku, choć nie było lekko, prawda?

Może czułeś winny, bo mnie nawrzeszczałeś.

Tak, właśnie dlatego. Czuję się winny. Nie chciałem zrobić tego, co zrobiłem.

Może ja nie chciałam iść do więzienia, ale i tak poszłam. Wielu rzeczy nie chciałam robić. Takie jest życie. Teraz chyba najważniejsze jest dla mnie znaleźć pracę. Może być w innym stanie. Pracę z pokojem i jedzeniem.

Odłożył na bok pudełko z pizzą i uklęknął przed nią.

Poczekaj chwilę.

Nie, Skinner, nie nienawidzę cię, ale muszę jakoś żyć.

Zooey, posłuchaj mnie.

Nie chciała słuchać. Skinner przekonywał Zou, że nie musi odchodzić. Nie rozumiała – a on chciał dać jej „wszystko”. Kiedy powiedziała, że nie chce tego „wszystkiego”, cokolwiek miałyby ono znaczyć, znów namawiał ją, żeby go posłuchała i przestała odmawiać. Nie odpuszczał; wreszcie pozwoliła mu mówić. Położył jej ręce na biodrach i delikatnie potrząsał, aż w końcu na niego spojrziała.

Wyjaśnię ci, co znaczy to „wszystko”, Zooey. Mam trochę pieniędzy w banku. Położył portfel

na podłodze, u jej stóp. Tyle mi zostało z tego, co mi zapłacili. To dla ciebie. Tu są moje klucze do tego pokoju. Mogę spać na dworze, wali mnie to. Ale ty musisz mieć dach nad głową. Daję ci to. To miałem na myśli, mówiąc „wszystko”. Czyli właśnie wszystko. Do leżącego na ziemi portfela dodał klucze. To znaczy cała pizza, lodówka, jej zawartość, wszystko. Moje papierosy, kontynuował. Mój laptop. Chcę, żebyś miała wszystko, co mogę ci dać. Nie mam innych planów. Jutro weźmiemy ślub. Możemy iść do prawnika. To rozumiem przez „wszystko”. Patrz – rozejrzał się po pokoju za jej asicsami. Podniósł jeden z nich do góry jak sprzedawca w obuwniczym. Prawnik. Umieścił buty przy portfelu i kluczach. Sięgnął po swoje buciory. Małżeństwo. Dołożył je do adidasów i kazał jej spojrzeć na ten diagram z przedmiotów.

Są rzeczy, których nie mogę zrobić, więc pozwól mi zrobić przynajmniej to, co mogę.

Pieniądze, klucze do pokoju, umowa prawna o niepewnej skuteczności: lista krótka, lecz znacząca. Nie wiedziała, czy lepiej odrzucić, czy przyjąć wszystko to, z czym Skinner gotów był się rozstać. A co jemu zostanie? Leki, pistolet ukryty gdzieś w wojskowych rzeczach leżących w kącie? Na czarnych płytkach podłogi między jej stopami było jeszcze dużo pustego miejsca.

Ponownie dotknął portfela.

Mam kilka tysięcy dolarów. Na początku było ich dziesięć. Szkoda, że nie mam już całej tej sumy dla ciebie.

Nie mogę przyjąć.

Owszem, możesz.

Wziął swoją kartę bankową i zaczął wtykać jej do ręki, powtarzając kod PIN. Kazała mu przestać, sięgnęła w dół i dotknęła jego krótkiego zarostu, na którym pot zostawił słone ślady. No dobrze, poddał się, ale pamiętaj o mojej ofercie.

Nagle jej oczy wypełniły się łzami. Odwróciła wzrok.

Będę pamiętać, obiecała.

Po czym dodała: Odłóż kartę na miejsce, bo ją zgubisz.

Dobrze, ale powiedz, że mnie nie nienawidzisz.

Nikogo nie nienawidzę.

A mnie?

Wgramolił się do niej na łóżko.

Czekaj.

Odsunęła pudełko z pizzą.

Leżeli razem na łóżku i zanim zasnęła, Skinner jeszcze raz zapytał, czy wszystko w porządku. Czuję, że serce ci bije, jakbyś się czymś martwiła. Nie martwisz się, prawda?

Nie.

Sytuacja nie jest najgorsza.

Wiem.

Buzi na dobranoc, powiedział.

Pocałowała go.

Oboje zapadli w sen.

Kiedy o świcie pierwsze promienie wpadły do sutereny, stali się dla siebie widoczni. Leżeli twarzami do siebie, stykając się czołami i kolanami, jak dwa apostrofy.

Światło bezgłośnie przybierało na sile, przechodząc od szarego przez różowe do złotego. Delikatny blask słońca i trzepoczące cienie liści pokrywały całe łóżko, ciała śpiących oraz ściany, zmieniając pokój w leśną polanę, piękną i wyciszoną. Ten obraz najwyraźniej przeniknął do jej myśli. Śniła, że biegną wśród drzew.

W sobotę rano obudził się o siódmej i jako pierwsze dotarło do niego, że jest dokładnie taki sam, jak dzień wcześniej. Po czym stwierdził co innego: ciało skulone obok niego było nieznośnym ciężarem niebudzącym żadnych uczuć. Poza tym, że stanowiło kłopot. I było denerwujące. Żałował, że się obudził. Ledwo dosłyszalny głos sąsiada rozmawiającego na ulicy wywoływał w nim wściekłość. Plamy słońca i liści na ścianach pokoju, które komu innemu wydałyby się słodkie i kojące, przywodziły mu na myśl gruzowisko, zniszczony, niespokojny świat, którego nie było w stanie powstrzymać coś tak kruchego, jak ściana. Nie potrafił stawić czoła temu światu, przed którym nikt nie mógł nigdy być bezpieczny. Czuł się wyczerpany, bolała go głowa i nie potrafił skupić myśli na tyle, by stwierdzić, jakie lekarstwo umożliwi mu przetrwanie poranka.

Stało się dla niego jasne, że znajduje się w trudnej sytuacji – nie mógł pozwolić, żeby zobaczyła go w takim stanie. Jeśli w niego zwątpi, jeśli da mu odczuć swoje potępienie, jeśli się pokłóca... Instynkt samozachowawczy kazał mu za wszelką cenę unikać każdej z tych ewentualności.

Leżał tak przez godzinę i snuł strategiczne plany, jak gdyby trwał na posterunku, a wróg podchodził coraz bliżej. Świadomość tego, do czego może dojść, jeśli sprawy z Zou przybiorą zły obrót, pozwoliła mu wziąć się w garść.

Zanim się poruszył, odwrócił od niej twarz. Otworzyła oczy i zapytała go, czy wstaje.

Położył jej swoją dużą dłoń na oczach, żeby nie zdołała na niego spojrzeć.

Śpij dalej.

Dobrze.

Chcę tylko poćwiczyć.

Nie jesteś zmęczony? Niezły jesteś.

Mówiłem ci, zmieniam się na lepsze.

Znów położył jej dłoń na twarzy i kazał odpoczywać.

Zamknij oczy.

Dziękuję, odparła.

Zasznurował buty, podniósł portfel i klucze, i pozostałe elementy wczorajszego przedstawienia, które wydawało mu się wymuszone pod fałszywym pretekstem, ponieważ teraz, za dnia, był przekonany, że nie jest nic winien nikomu, kto nie był z nim na wojnie.

Wrócę za parę godzin.

Podniosła się, wspierając się na łokciu.

Poczekam ciebie, Skinner, zapewniła.

Gdy był już na ulicy, w obrazie Zou samej w suterenie, wyglądającej za nim, dostrzegł coś niezwykle samotnego. Ale wciąż zmagał się z irytacją. Prawie rzucił do niej: Ej, broń jest w kącie. Jak ktoś przyjdzie, to strzelaj.

Miał świadomość, że jeśli to powiedział, wszystko między nimi ległoby w gruzach, a mimo to ledwo się powstrzymał. Żeby nie musieć utrzymywać z Zou kontaktu wzrokowego, zajął się sprawdzaniem zamka w drzwiach do pokoju, żeby była choć trochę bezpieczna, kiedy jego nie będzie.

W dojmującym upale dotarł do parku przy Elder Avenue. Obok liceum Bowne'a przechodziły kobiety z Ameryki Środkowej, dźwigające worki z praniem dorównujące im rozmiarami, taszczyły je do wejść na parterze, przypominających kwadratowe jamy. Drzwi każdego z pomieszczeń były otwarte, żeby wpuścić powietrze, na ścianie wisiała tablica z wieszakami na produkty za dziewięćdziesiąt

dziewięć centów, w głębi stała zaparowana szafa chłodnicza z flaszkami wzmocnianego piwa Olde English o pojemności litr dwadzieścia w pojemniku z wodą. Wentylator chodził, światło wyłączono dla oszczędności. W sklepach sprzedawano losy na loterię i przyjmowano bony żywnościowe. W pralni samoobsługowej ściany obłaziły z PCV, pralki bez ustanku wirowały, a Chinka w piżamie zamiatała wokół krzesel plastikową szczotką. W sąsiednim lokalu siwowłosa mężczyzna siedział sam w ciemnościach przy barze, w przeciągu z otwartych tylnych drzwi. Jego sylwetka odcinała się na tle prostokąta tylnej uliczki z koszami na śmieci. Ani drgnął, jakby konfrontacja z alkoholem odebrała mu zdolność poruszania się.

Na chodniku przed sklepem spożywczym otoczonym betonowymi słupkami, uniemożliwiającymi kradzież wózków, stała gromadka kobiet o długich brązowych stopach. Klóciły się w urdu o worek ryżu i bony żywnościowe. Skinner prześlizgnął się obok, przeciskając się między kobietami a słupkami, po czym wszedł po rampie prowadzącej na osiedle. Betonowe ściany pokryte były pnączami, siatką pordzewiałą na górze, a pod nimi stały śmietniki. Boiska pośrodku były otoczone budynkami z brązowej cegły z masą załomów oraz alejek i wycelowanych w nie kamer w kształcie pudełek po butach.

Grupka mężczyzn grała w koszykówkę na połowie boiska, żaden się nie odzywał, słyhać było tylko uderzenia piłki i butów o cegłę i asfalt. Inni wałęsali się dookoła po ogrodzonych terenach do piłki ręcznej, rozmawiali i palili. Któryś pił z butelki w papierowej torebce. W powietrzu unosił się zapach zioła.

Ktoś stwierdził: Ujarałem się jak skurwysyn.

Tak trzymać, usłyszał w odpowiedzi.

Było ponad trzydzieści stopni, a temperatura nadal rosła. Skinner założył rękę za głowę, rozciągając chiński napis na tricepsie. Sięgnął do góry, chwycił drążek i zawisł na nim, czując ciężar całego ciała, aż do butów, szybko zaczerpnął powietrza i zaczął się podciągać.

Piłka uderzyła w tablicę nad koszem, która zagrzecotała. Skinner wciąż wisiał, choć tracił już siłę w ramionach, spojrzął na drążek i podciągnął się po raz kolejny.

Między seriami przechadzał się wśród drążków i wycierał twarz w czarną koszulkę. Jego przedramiona wyglądały na większe od łydek. Grający w koszykówkę zrobili sobie przerwę. Chcesz dołączyć? – pytali, kiedy któryś chciał odpocząć. Skinner widział, jak idą w kierunku boiska do piłki ręcznej, gdzie mężczyzna w okularach o żółtych szklach sprzedawał napoje z lodówki turystycznej na czterokołowym wózku. Potem usiedli pod ścianą i patrzyli na mecz toczący się po lewej, a nad ich głowami widniało graffiti: „Pamięci P. Gupty Celt One St.”.

Utykając, Skinner przeszedł wzdłuż linii bocznej na boisko do piłki ręcznej, ręce miał opuchnięte i przykurczone od drążka, a krótkie czarne włosy przylegały mu do czaszki, jakby zanurzył głowę w rzece. Gdy tylko przelazł przez dziurę w zardzewiałej siatce, podszedł do niego facet w żółtych okularach i stanął przed nim. Masz ochotę na relaks? Był po czterdziestce, tego samego wzrostu co Skinner, miał na sobie obszerne bawełniane szorty w paski i adidas Closeout City. Zza szkieł widać było tatuaże wokół oczu. Co byś chciał? Zdjął pokrywkę lodówki, ukazując butelki gatorade'a pływające w topniejącym lodzie. Mam niebieski i czerwony.

Skinner dostrzegł ostatniego red bulla i powiedział, że go weźmie.

Nie ma sprawy, kolego.

Skinner otworzył puszkę i pociągnął łyk napoju. Na klatce piersiowej miał plamę potu niczym odwrócony płomień.

Coś dla ochłody, powiedział sprzedawca. Gorąc jak cholera. Schował pieniądze do kieszeni spodnek do kolan. Skinner beknął i odszedł.

Sprzedawca i chłopy, niektórzy z rowerami, wrócili do rozmów. Niektórzy byli z innych dzielnic, co stało się tematem dyskusji.

Nie mógłbyś robić tego, co ja teraz. Nie tam, skąd pochodzę, tłumaczył sprzedawca. Wschód Nowego Jorku. Pinkerton Avenue. Czarnuchy dopadłyby cię i oskubały z twoich marnych groszy. Chwycił się za nogawkę spodnek, żeby zademonstrować, jak wyrywali pieniądze z kieszeni. Byliśmy

na samym dnie dna, z getta w getcie.

Czarnoskóry mężczyzna w grubych okrągłych okularach korekcyjnych i podkoszulku bez rękawów stwierdził: Trzeba było cholernie uważać. Na asfalcie u jego stóp w wyjściowych pantoflach stała butelka w brunatnym papierze. Spodnie miał rozpięte u góry i wyłącznie jego kość biodrowa utrzymywała je na miejscu. To mój kuzyn. Jesteśmy tu od dwunastu lat.

Tu to jest Disneyland, podsumował sprzedawca.

Disneyland. Mój ziomek. Przybij pionę.

Czarnoskóry mężczyzna wykręcił się jak kosmita i wyciągnął długie, zgięte ramię. Przybił i cofnął dłoń, nie patrząc na kumpla.

Całe moje życie to była przemoc, dodał sprzedawca. Rany klute, rany postrzałowe. Wskazał gestem na ramiona i tułów. Jasne, swoje odsiedział, ale nie miał ochoty o tym gadać. Tatuaze mówiły same za siebie. Zdjął żółte okulary i kazał chłopakom się przyjrzeć. Na powiekach miał napis: „Jeb się”. Tak właśnie się czułem. Na twarzy miał „BK”, skrót od Brooklyn. I kolejny „Brooklyn” na szyi. Między oczyma – gwiazdka. Czarna łza na policzku. Teraz nie brak mi pokory. Odnalazłem Boga. Co dzień grzecznie staram się zarobić parę dolarów.

Jego rzekomy kuzyn pociągnął łyk napoju i powiedział: Nie co dzień się to widuje. Pokornych ludzi. Przybij. Jego dłoń zawisała jak płaszczka na końcu żylastego ramienia, aż ktoś ją uściśnął. No, ale weź popatrz. Powiem ci coś. Pieniądze i rodzina nie idą w parze. Podniósł paczkę dunhilli, żeby wszyscy mogli je zobaczyć. Widzicie, jakie palę fajki, więc wiecie, że mówię szczerą prawdę.

Skinner robił pompki z butami na stopniu. Kiedy skończył, z trudem wstał. Siedział beczynnie przez jakiś czas, po prostu siedział pod zjeżdżalnią, z brody kapał mu pot, a on patrzył na krople spadające mu między palce.

Gdy uniósł wzrok, zobaczył pitbulla, piękne, silne zwierzę z lśniąca sierścią na napiętych mięśniach, ciągnące swojego pana przez boisko. Właściciel psa szedł odchylony, ze skórzaną smyczą owiniętą wokół pięści. Zwierzę obróciło paskudny łeb w stronę Skinnera, a ten z ciekawością przyglądał się dyszącej bestii z rozwartymi szczękami, spomiędzy których wyzierało różowe wnętrze pyska.

W upale Skinner stracił poczucie czasu. Zerknął na telefon – para skropliła się pod ekranem – i zmarszczył brwi, zbity z tropu. Utykając trochę, zszedł po rampie, spoglądając na niekończący się strumień przejeżdżających obok niskich samochodów. Słońce było wszędzie, a od betonu aż bolały oczy.

Jesteś? – powiedział do słuchawki. Włączyła się jej poczta głosowa. Oddzwoń, powiedział do maszyny.

Zaczął iść Sanford Avenue, przechodził obok graffiti z nazwami mijanych ulic i nazwiskami mieszkających na nich ludzi. „Dek 142 St Love Trouble CSNR”. W niektórych ogródkach były plastikowe zabawki, huśtawki i śmieci, pacholki drogowe, sprzęt budowlany, bo właściciele prowadzili własne firmy ogrodnicze w miejscu zamieszkania. Pomyślał, że Zou oddzwoni w ciągu dziesięciu przecznic. Usłyszał dźwięk młotów i piły. Z głośników samochodu z hrabstwa Nassau, który przemknął obok niego, dochodziło głośnie R’n’B. Czuć było, że to popołudnie jest początkiem sobotniej nocy.

W jednej z bocznych uliczek zobaczył mężczyzn, którzy wylazili z opuszczonego domu, szabrujących, co się jeszcze dało – rzucali na pakę spróchniałe drewno.

Ponieważ nie oddzwoniła do czasu, aż dotarł na swoją ulicę, pomyślał, że pewnie bierze prysznic. Dom wyglądał tak samo jak zawsze, trzy płaszczyzny dachu znaczące poszczególne piętra zwijały się niczym brudne jęzory. Z tego miejsca widać było szopę na tyłach domu, okno na strychu z wylazłą szarozółtą izolacją. Obszedł wypłowiałego Jezusa w ogródku i skierował się do środka. Zbiegając po schodach, zawołał: Zou Lei!

Coś kazało mu stanąć i nasłuchiwać. Brak odpowiedzi. Zooey, powtórzył. Ale zrozumiał, że jest w suterenie sam.

Zszedł na sam dół, przytknął włącznikiem światła w łazience, rozejrzał się i stwierdził, że nikogo tam nie ma. Zajrzał do kuchni przez próg, w górę, na dół, w prawo i w lewo. Ani żywej duszy, tylko szafki, zlew i lodówka. Drzwi do sypialni były zamknięte. Zooey? – zapytał. Otworzył je kluczem. Pokój

był pusty – nie było tam Zou. Stał i wpatrywał się w łóżko, ostatnie miejsce, w którym ją widział.

Co jest, do kurwy? – pomyślał. W pokoju coś mu się nie zgadzało. Łóżko stało pod kątem do ściany, a wiatrówka leżała na podłodze.

Wrócił na ulicę i rozejrzał się, ale nie zobaczył niczego oprócz domów i samochodów ciągnących się kilometrami. Jej nieobecność mogła wynikać z miliona powodów, tłumaczył sobie. Pewnie w życiu nie wpadłbym na właściwy. Zszedł z powrotem na dół, wykręcił jej numer i czekał, oparty o ścianę, z czołem przyciśniętym do spoconego bicepsa. Czekał, aż odezwie się sygnał.

Połączenie przeszło satelitą i sekundę później usłyszał dzwonek komórki. Znajdowała się w suterenie razem z nim. Poszedł za dźwiękiem do sypialni i zaczął szukać aparatu. Dzwonienie dobiegało z okolic stolika nocnego. Uklęknął i sprawdził pod spodem, gdzie znalazł saszetkę Zou. Dźwięk dochodził ze środka. Chwycił saszetkę, rozsunął gwałtownie suwak i znalazł telefon, na którego ekranie wyświetlało się jego imię.

W torebce były wszystkie jej rzeczy: portfel, pieniądze i klucz do domu. Wyjął je i przeszukał całość, do czego nigdy przedtem się nie posunął... ale to przecież jej własność. Ręce mu drżały, własne ciało robiło mu numery. Niezgrabnie szperał palcami, które odmawiały mu posłuszeństwa. Nie był w stanie zamknąć suwaka. Kiedy odłożył torebkę na stolik, nic się w niej nie mieściło; jej zawartość sterczała na wszystkie strony jak błędne wnioski.

Wszystko z nią w porządku, przekonywał samego siebie. Opanuj się. Za dziesięć sekund wejdzie tymi drzwiami.

Zaczął od nowa przeczesywać suterene, tym razem dokładniej, gotów rozłożyć wszystko na części, wypatroszyć materac i wybebeszyć szuflady.

Z uwagą obejrzał wykładzinę na schodach w poszukiwaniu czegoś, co mogła upuścić. Przesuwał dłonią po milionie maszynowych ściegów. Niczego nie znalazł. Żadnych listów ani wiadomości. Ani kawałek rozbitego szkła nie wbił mu się w palec. Wrócił do łazienki, otworzył drzwi kabiny z matowymi szybami i zajrzał pod prysznic, chociaż przez drzwi nie było widać żadnego cienia ani skulonego ciała. Sedes nie był używany. Otworzył wszystkie szafki w kuchni i zaglądnął do lodówki, wszystko na nic. Sprawdził też między lodówką a ścianą, w szparze, gdzie zbierają się kłęby kurzu, przyciągane elektrostatycznie. W sypialni zlustrował szafę, miedziane rury i bojler z rdzawymi zaciekami.

Obrócił się i jeszcze raz spojrzął na łóżko – jego widok zrobił na nim większe wrażenie niż cokolwiek w tamtym miejscu. Wyglądało, jakby ktoś je kopnął. Przed oczyma stanął mu obraz kogoś wpadającego w gniew – nie Zou, kogoś innego. Ale przecież nikogo z nią nie było. Umysł podsuwał straszne scenariusze, zrobiło mu się niedobrze i słabo.

Z bliska wyraźnie zobaczył, że łóżko stoi pod kątem do ściany. Ustawił je na powrót równo. Posłanie składało się z pojedynczego materaca na metalowej ruchomej ramie, której części można rozsuwać, żeby dostosować je do żądanej szerokości. Nietrudno było ją przesunąć. Kółka trafiły z powrotem do zagłębień w linoleum, gdzie zawsze tkwiły.

Schylił się i zajrzał pod łóżko. Leżała tam zwinięta skarpeta i opakowanie po prezerwatywie. Z jakiegoś powodu znalazło się tam również pudełko z pizzą. Kiedy je wyciągnął, stwierdził, że wygląda, jakby ktoś nadepnął na środek. Zaniepokoił go ten szczegół, ponieważ takie zachowanie nie pasowało mu do Zou Lei.

Podniósł wiatrówkę i pomacał ją. Przynął do twarzy i powąchał. Strzepnął. Nic z niej nie wypadło. Przebiegł palcami każdy cal tkaniny. Nie wiedział, czemu serce tak mu wali. Wbił wzrok w materac. Dotknął go dłonią. Tutaj leżała Zou. Uklęknął, niepewny, co powinien dalej zrobić. Uczuciem, które w nim przeważało, było zdumienie.

Odłożył wiatrówkę na łóżko, jakby tym porządkującym gestem nieświadomie przygotowywał się do wstania, i wtedy odkrył jej buty. Odsuwając zielony wojskowy koc, czuł się, jakby odsłaniał kurtynę, za którą kryje się niespodzianka. Jego mózg oczekiwał gołego linoleum, a okazało się, że Skinner ma przed sobą parę nowiutkich damskich asicsów z fosforescencyjnym wykończeniem koloru brzoskwini. Należały do niej i przez ułamek sekundy miał wrażenie, jakby znalazł prezent pod choinką. Krótkotrwałe zwycięstwo. Po chwili zaczęło do niego docierać znaczenie tego odkrycia.

Dlaczego patrzę na buty pozbawione właścicielki?

Nie było przy nim nikogo, kto by odrzekł: Tak bywa na wojnie, zdarza się.

Powoli i z trudem wciągnął powietrze przez nos, unosząc klatkę piersiową jak astmatyk starający się powstrzymać atak.

Imigracyjni? Jimmy? Tak czy siak to вина tego skurwiela.

Zaczął wybierać numer alarmowy, miotając się po pokoju, rozrzucając rzeczy dookoła, wyciągając swój sprzęt, swój nóż szturmowy – usta mu pobladły, a oczy wędrowały ku sufitowi. W obawie przed tym, co każą mu powiedzieć gliny, zrezygnował z telefonu. Chciał zadzwonić do Jake'a i poprosić: Siedzę w suterenie z pistoletem w dłoni, zaraz pójdę na górę i kropnę tego kolesia. Powiedz, co mam robić.

Nie wiem. Nie wiem. To się nie dzieje.

Ręce miał wilgotne. Próbował się uspokoić. Usiłował schować przed sobą broń. Nie ufał, że wytrwa w postanowieniu, więc wyszedł z pokoju i zamknął go na klucz, byle odizolować się od pistoletu. Dotarł po schodach pod drzwi do mieszkania Murphych i zapukał.

Głosy po drugiej stronie ucichły. Czekał w zacienionej wnęce, aż ktoś mu odpowie. Odezwała się pani Murphy.

Kto tam? To ty, Skinner? Wejdz, otwarte.

Siedziała tam, gdzie zawsze, w tej samej podomce, z niezapalonym slimem w jednej ręce i zapalniczką Bica w drugiej. Kontynuowała wypowiedź:

Od samego początku mówiłam jej: nigdy nie udostępnię ci tego w całości. Mężczyźni używają go przez cały tydzień i tak łatwo nie zrezygnują. Mówię jej, rób to u siebie.

Po drugiej stronie kuchni stała Erin, w czerni. Nie przywitała się ze Skinnerem. Zwróciła się do matki:

Jej dom jest za mały.

Nie jest, jeśli doliczyć ogród. Miejmy nadzieję. Bo, mówię ci, nie dostanie tamtej sali. Cześć, Skinner.

Dopóki się do niego nie zwróciła, nie wiedział, co powiedzieć.

Głos mu się załamał, z jego gardła dobiegła dziwna melodia: Czy pani syn jest w domu?

Mój syn w domu? Jimmy?

Jest?

Może i jest, odparła pani Murphy. A po co ci on?

Muszę z nim porozmawiać.

A o czym musisz z nim porozmawiać?

Po prostu muszę porozmawiać.

Musisz porozmawiać.

No. Muszę z nim porozmawiać. I to natychmiast.

Erin prychnęła drwiąco.

Może łaskawie powiesz mi, o co chodzi?

Nie wiem. Chciałem spytać panią o to samo. Nie wiem, czy ma mi coś do powiedzenia, czy pani ma mi coś do powiedzenia. Czy stało się tu coś dziś pod moją nieobecność?

Co się miało stać?

Nie wiem. Usiłuję się dowiedzieć.

Popatrzyli po sobie. Pani Murphy wyglądała, jakby zaraz miała wyrzucić go z domu.

Jiiimyyy! – wrzasnęła Erin.

Przestań, uciszyła ją pani Murphy.

On się tym zajmie. Jeśli temu tak bardzo zależy na rozmowie, to niech porozmawiają, wyjaśniła Erin.

Jimmy, nie schodź tutaj! – krzyknęła pani Murphy.

W czym problem? – spytała Erin. Niech przyjdzie. Chce, to będzie miał. Chcesz z nim pogadać, tak? O, już jest.

Jimmy wkroczył do kuchni z niebieskawego holu obwieszzonego starymi zdjęciami w ramkach. Poruszał się z nonszalancją, kołysząc się na boki. Sygnety na palcach kończących ramię wydawały się ciężkie. Wypełniał sobą pomieszczenie.

Co jest? – zapytał Jimmy z wysuniętą brodą.

Skinner spojrział na niego z odrazą.

Coś ty jej zrobił?

Że co?

Jeden z nich – a może obaj naraz – zrobił krok wprzód, a chwilę później trwała już bójka.

Jimmy! – warknęła pani Murphy.

Skinner nawet nie poczuł uderzenia. Upadł na podłogę, ale natychmiast zebrał się do kupy. Musiał nieźle oberwać, srebro aż zadźwięczało. Był przerażony. Doszło do zvarcia. Bili się na podłodze, kobiety się wydzierały, Skinner został przygnieciony i nie mógł oddychać. Pięść Jimmy'ego wyswobodziła się i trafiła go w głowę, która walnęła o podłogę, a srebro odskoczyło. Oberwał po raz kolejny. Jimmy naciskał przedramieniem, usiłując złamać mu nos. Skinner czuł jego skórę na twarzy. Prześlizgnęli się po podłodze, zostawiając krew z nosa Skinnera na posadzce i rozmazując ją nogami. Jimmy dusił go jego własną koszulą. Skinner usiadł, dostał z pięści i zamrugał. Uwolnił nogi i zaczął kopać. Rozdarła mu się koszula. Gdy wstawali, coś upadło i pękło. Skinner dyszał, mimo braku siły zamachnął się i uderzył Jimmy'ego w twarz. Cholerny kutas, wycedził Jimmy i wymierzył cios, od którego Skinner zgiął się wpół. Przechylili się do tyłu, Skinner nadepnął na rozbitą szufladę z drewna, poślizgnął się, a spod jego stopy wystrzelił widelec i poleciał na bok.

Skop temu debilowi tyłek! – krzyknęła Erin wysokim głosem.

Cholera, rozwalicie mi całą kuchnię! Weź go na zewnątrz!

Upadli i zwarli się na podłodze, chwytając się za skórę na twarzy. Skinner odpychał brodę Jimmy'ego. Poczul na policzku, jak serce Jimmy'ego wali w szerokiej, rozgrzanej piersi. Trwali w klinczu, oddychając intensywnie, odpoczywali. Skinner brał poszarpane, nierównomierne oddechy i próbował stanąć na nogi. Szorty zsunęły mu się do połowy i widać mu było pośladki.

Pani Murphy czekała na połączenie telefoniczne. Udało się! – powiedziała. Zabiorą tego małego pojeba do pierdla. Tak, potrzebuję tu patrolu. Jakiś mężczyzna napadł na mojego syna.

Szamotoanina trwała dalej, aż Skinner stracił zapał do walki. Został wypchnięty na zewnątrz i chodził teraz w tę i z powrotem po podjeździe w podartej koszulce Army Strong, z czerwonymi śladami na szyi oraz krwią kapiącą z nosa i rozmazaną na przegubie, którym ją wycierał. Wbił wzrok w ziemię. Jimmy odwrócił się do niego plecami i poszedł do domu. Skinner podciągnął spodnie.

Erin stała w drzwiach i mu się przyglądała. Mam na niego oko – rzuciła w głąb domu. Niech tylko spróbuje, to mój brat pośle go do szpitala.

Wyśmiewała się z niego.

Zobaczymy, co gliny powiedzą, jak tu przyjadą, powiedziała do Skinnera. Dostałeś po dupie.

Skinner splunął krwią.

Pierdol się, suko.

Głos mu się podniósł i wyraźnie drżał.

Czego tu jeszcze chcesz? Dlaczego sobie nie pójdiesz?

I co, mam zostawić swoje rzeczy?

A nasze rzeczy to ci wolno niszczyć? Wiesz, mój brat jeszcze z tobą nie skończył, dodała. Lepiej wyjedź z miasta.

Skinner wykorzystał poszarpaną koszulkę do wytarcia twarzy.

Na podjeździe za nim pojawili się policjanci.

Dzień dobry panu. Czy to pana dom? Proszę tu podejść. Czy ma pan dokument tożsamości? Czy brał pan udział w bójce? Z chłopakiem, który tu mieszka? A pan gdzie mieszka? Jaki był powód bójki?

Z policyjnej krótkofalówki dochodziły trzaski. Skinner pokazywał na dom i próbował mówić, ale z jego ust płynął tylko potok bluzgów. Spokojnie, proszę pana, upominali go. Proszę się nie unosić. Z wejścia do domu przyglądała mu się Erin. Odbiło mu. Wszyscy się go boimy.

Policjant przypominający szkolnego trenera futbolu z kręconymi włosami na przedramionach powiedział: A może byśmy weszli do środka, dobrze? – i pokierował Erin do wnętrza domu. Podniósł okulary, przeszedł powoli i ostrożnie przez próg Murphych i ruszył za nią. Gdzie jest ten drugi? Tutaj?

W przedpokoju policjanci obmacali kieszenie spodenek Skinnera.

Powtarzają, że mi odbiło. Nie mają jeszcze pieprzonego pojęcia, co to znaczy.

Czterech policjantów stało przed nim w półkolu.

Ostatnia szansa, rzucił jeden z nich.

Skinner zazgrzytał zębami.

Powalili go na ziemię, przycisnęli kolanem plecy w miejscu, gdzie szrapnel pozostawił bliznę, i skuli kajdankami.

Będzie teraz spokój?

Wsunęli Skinnerowi pałkę między przedramię a łopatkę i wyprowadzili go na ulicę. Któryś otworzył drzwi samochodu.

Mam go. Nie rzucaj się.

Nie rzucam się!

Posadzili go z tyłu i zamknęli drzwi.

Silny chłopak.

Zamykamy go?

Najpierw zobaczymy, co się dzieje w środku.

Skinner siedział za kratą samochodu patrolowego, wykręcał szyję, rozglądając się dookoła, i wytrzeszczał obolałe oczy jak u spłoszonego konia, starając się śledzić rozwój wydarzeń. Pochylił się i nie dysponując rękami, wytarł nos o kolano. Wydmuchnął bąbelek krwi i rozsmarował go na nodze.

Jakieś dziesięć minut później policjanci wyszli z domu, wsiedli do auta i rozmawiali między sobą, lekceważąc Skinnera. Zapytał, czy trafi do aresztu. Jeden z nich spojrzał na niego w lusterku wstecznym.

Owszem.

A co z tym drugim?

W jakim sensie?

Skinner uderzył głową o szybę. Powiedzieli mu, co będzie, jeśli ją stłucze.

Dobrze już, powiedział i wbił wzrok w kolana.

Zawieźli go do Chinatown. Całą drogę jechał ze spuszczoną głową. Słuchał policyjnego radia. Czuł świat przemykający za szybą samochodu i nie chciał na niego patrzeć. Na ulicach rozkręcała się sobotnia noc. Słyszał muzykę i samochody dodające gazu. Kajdanki wpijały mu się w kości prawego nadgarstka. Na światłach zauważył, że ludzie mu się przyglądają. Jeden z grupki facetów z afro i w białych podkoszulkach spojrzał na niego sceptycznie, paląc papierosa. Radiowóz skręcił w zatłoczoną uliczkę, wzdłuż której ciągnęły się stragany z owocami. Usłyszał jakieś słowa po chińsku. Przeczuwał, że gdzieś tam zachodzi słońce, ale nie miał zamiaru na nie patrzeć. Samochód policyjny zjechał na bok i zaparkował przy nieznanej mu ulicy. Zapach chińszczyzny był tak apetyczny, że Skinner spytał funkcjonariuszy, czy nie mógłby czegoś zjeść. Jeden z nich powiedział, że zastanowią się nad tym, ale chodziło mu tylko o to, żeby Skinner współpracował. Żaden z funkcjonariuszy na niego nie patrzył. Jeden z nich przytrzymał go dłonią w czarnej rękawiczce, drugi – blondyn z jasną skórą, lekką nadwagą i miękkimi ramionami – siedł przodem z przezroczystym plastikowym kubkiem mrożonej kawy z Dunkin' Donuts, którego chciał się już pozbyć. Kosz na śmieci przed komisariatem był zbyt pełny, więc policjant musiał ustawić go delikatnie na czubku góry odpadków w nadziei, że nie spadnie. Otworzył drzwi, a jego kolega wprowadził Skinera do środka i popchnął przez bramkę obrotową.

Zadzwoił telefon, odebrała kobieta o głosie podobnym do pani Murphy. Skinner zobaczył wysoką ladę, a za nią policjantów metr osiemdziesiąt parę w granatowych mundurach; patrzyli, jak go wprowadzają. W kącie stała amerykańska flaga ze złotymi frędzlami.

Ci, którzy go aresztowali, zsunęli okulary przeciwsłoneczne na czoło i załatwili papierkową robotę z funkcjonariuszem za ladą – młodym mężczyzną podobnym do wysokich kolegów w mundurach. Jadł kanpkę. Odłożył ją, strzepnął okruszki z rąk i spytał nad głową Skinera:

Co my tu mamy?

Napaść.

Skinner stał z rękami schowanymi za plecy, a oni określali go mianem więźnia i dotykali przez rękawiczki. Weszli mocno opaleni mężczyźni z torbami jak na siłownię, żeby zacząć pracę. Ktoś zawołał: Mikey, jak było nad morzem? Niski facet z siwymi włosami na jeża i lisimi oczyma bez okularów odparł: Później opowiem – i poczłapał schodami na górę, mijając ogłoszenia o uprowadzonych dzieciach. Policjanci sprawdzili, czy Skinner nie jest aby poszukiwany. Pokręcił głową.

Mówiłem, że nie jestem. Mówiłem, że nie powinno mnie tu być.

Otwórz usta, sprawdzę, co masz w środku, rozkazał starszy z funkcjonariuszy, którzy go aresztowali – wysoki mężczyzna z wąsami jak szczecina i wałeczkiem tłuszczu na karku. To jak wizyta u lekarza.

Portfel Skinera trafił do koperty z szarego papieru, którą mężczyzna zza lady umieścił w szufladzie. Zabrali mu sznurowadła. Patrzył w dół, wciągając brzuch, kiedy przecinano mu nożem sznurek w spodenkach. Partner wysokiego gliniarza, ten blady z jasnymi włosami, nadwagą i miękkimi ramionami, złożył nóż i powiedział: Idziemy tędy. Skinner poszedł za nim po posadzce z terakoty, w klapiących butach. Zobaczył schody, powgniatane stalowe drzwi i znak: „Zakaz wnoszenia broni palnej”. Policjant otworzył przed nim drzwi i wpuścił go do sali dla zatrzymanych. Oczom Skinera ukazały się żółtawe ławki w celi otoczonej siatką. Zamek obłaził z farby. Zdjęto mu kajdanki. Na przegubie Skinera widniała podwójna czerwona linia. Policjant otworzył celę jednym z płaskich złotych kluczy i kazał Skinnerowi usiąść. Proszę się nie kłaść. Skinner wszedł do środka, drzwi zatrzasnęły się za nim, a cała metalowa konstrukcja zagrzecotała.

Świat widziany z wnętrza celi poszatkowany był drucianą siatką. Wypukłe lustro na suficie pokazywało nieruchomy, zniekształcony obraz, jarzeniowe światło i płytki w kolorze oliwek ze słoika. Nawet gdy Skinner zmieniał pozycję, zginał się wpół i kładł głowę na kolanach, jego ruch nie odbijał się w lustrze. Także wtedy, gdy podniósł głowę i westchnął „kurwa” w kierunku żółtego sufitu. Poruszał się tylko zegar. Na ścianie wisiał plakat z napisem: „Jak się ćpa, tak się ma”.

Godzinę później drzwi otworzyły się, wszedł blond gliniarz i wyprowadził Skinnera. Powiedział mu, gdzie ma stanąć i w jakim kierunku patrzeć, po czym kliknięciem myszki cyknął mu zdjęcie z przodu i z boku, jak przy wyrabianiu prawa jazdy. Potem było pobranie odcisków. Policjant przyłożył jego palec do szklanej powierzchni skanera podobnego do kserokopiarki i linie papilarne pojawiły się na ekranie komputera obok spoconej twarzy aresztowanego.

Długo tu zostanę?

Parę godzin, zależnie od ruchu na komisariacie. Musimy wypełnić papiery, załatwić, co trzeba, i prokurator też. Różnie bywa.

Chodziło mi o to, ile dostanę.

To zależy. Byłeś karany?

Raz za zakłócanie porządku.

Kiedy to było?

Przed wojskiem. Dawno temu.

Byłeś w wojsku?

Aha.

Weteran?

No.

Irak?

Tak jest. Trzy misje. Mam to na koszulce. Myślałem, że widać. A to mój szrapnel.

Oż, w dupę.

Trzy kilometry na sekundę, panie władzo. Zapadnięte płuco. Jest sprawa, ten pierdolony w dupę jebany skurwysyn, z którym się biłem – pan mnie posłucha – ten kutas jest niebezpieczny. To on tu, kurwa, powinien teraz być. Siedział w pierdlu.

Jego nazwisko?

Jimmy. Pieprzony Jimmy Murphy.

Wiesz, za co siedział? Może za narkotyki?

Za pierdolenie swojej matki, jak się domyślam. Kawał chuja z niego.

Dobra, rozumiem. Teraz krok do przodu i spojrzeć w kierunku drzwi.

Gliniarz zamknął go z powrotem.

Jestem Brad. A ty?

Mam to napisane na mundurze. O'Donnell.

Policjant życzył mu miłego siedzenia i wyszedł, zatrzasnąwszy za sobą drzwi aresztu. Trzy godziny później Skinner wciąż gapił się w wejście przez druciane iksy, czekając na powrót funkcjonariusza. Opierał się plecami o klatkę, obejmując się rękami za brzuch. Był bardzo głodny, ani drgnął, jak zwierzę oszczędzające energię, częściowo zakamuflowany przez stalową siatkę. Słuchał odgłosów komisariatu za drzwiami, dobiegła go melodyjka telefonu, kilka taktów z piosenki Billy'ego Joela.

Policjanci w cywilu wprowadzili kolejnego aresztanta, niskiego młodego mężczyznę z pobrużdżoną twarzą czterdziestoletniego farmera, w bokserkach, potykającego się o spodnie, które opadły mu do kostek. Otworzyli celę i wpuścili go w kajdankach. Twardzi jesteście, powiedział głosem jednocześnie wysokim i potężnym, jakby miał w piersi stroik od klarnetu. Usiadł na środku ławki z rozłożonymi nogami, podniósł skute ręce i pokazał funkcjonariuszom środkowy palec. Widzicie, co tu mam? Pomieszczenie wypełniło się czarnoskórymi mężczyznami w wieku między trzynaście a osiemnaście; pokrzykiwali i wymachiwali rękami w kierunku policjantów. Najmłodszy miał afro w kształcie wieloramiennej gwiazdy. Jeden z nich powiedział: Ej, panie psie, mam pytanko. Wystawił członek na wierzch. Skinner mruknął: cholera, i odwrócił wzrok. Starali się zwrócić jego uwagę, kopiąc

czubek jego buta swoimi jordanami bez sznurowadeł. Czuł ich zapach. Któryś oparł kolano o jego i udawał, że nie zauważa obecności Skinnera. Ten odsunął się i schował głowę w dłoniach w oczekiwaniu, aż otrzymają posiłek. Siedział z zamkniętymi oczyma i słuchał:

Kolesie z Glenmore. Jeden podbiega do nas i wyciąga spluwę. Zaczyna strzelać. Bum, bum, bum! To było pod ósemką. To oni też strzelają. Załatwili go. Wiecie, gdzie jest supermarket Pioneer. Wiem, o co biega. Mówiło się na to pod ósemką. Mój ziomek dostałby w brzuch, gdybym się nie schylił. W okolicach Howard Street. Moi dziadkowie tam mieszkają. On jest szefem gangu. Siedzi w Rikers. Rzucił się na jednego typa i go rozwalił. Zaryło mnie. Oni tak ciągle. Dostał w nogę, w obie nogi. Jego twarz była cała we krwi. Kopnął mnie butem. Nie mogłem się ruszyć, tak mi przysolił. Zjawił się mój wujek. Byłem spuchnięty jak cholera. Budda przyszedł. Zaryło mnie, mówię ci. Prawie dwa dni później, to było lato, już ja wiem, gdzie on poszedł. Kij bejsbolowy pękł na pół. Kopałem go po pysku. Budda na to: Wystarczy. Lepiej spadaj do domu. Naskoczyli na mnie. Sprąłem kolejnego gnoja. No i ta laska Buddy. Próbowwała mi ściągnąć sygnet, koles. Drugi raz starała się go zdjąć. Połamaliśmy stolik, stary. Rzuciliśmy tym palantem o stolik, a kumpel go dźgnął. Prosto w klatkę.

Policjant w cywilu, który wyglądał jak niski, umięśniony biały raper w koszulce bejsbolowej, dżinsach i czapeczce z daszkiem nasuniętej na oczy, wszedł i wywołał nazwisko Skinnera.

Jestem, odpowiedział Skinner.

Wystąp. Otworzył celę. Tylko ty. Ty siadaj, polecił jakiemuś chłopakowi.

Ale matka na mnie czeka.

Skinner wyszedł.

Biała ciotunia.

Wychodzisz bez kaucji. Koles, z którym się biles, miał problemy z prawem, co przemawia na twoją korzyść.

Dziękuję! – krzyknął Skinner. Jego głos zabrzmiał agresywnie.

Podziękuj temu, który cię aresztował.

Funkcjonariusz podsunął Skinnerowi formularz do podpisu, po czym oderwał białe i żółte kopie i oddał mu je.

Tu masz datę rozprawy.

To tyle?

Chyba że chcesz zostać.

Skinner odebrał swoje rzeczy przy ladzie. Bez słowa wziął kopertę, przeszedł przez bramkę, a potem przez drzwi wejściowe w ciepłe, nocne powietrze. Ku fioletowemu niebu uniósł się znad ulicy nagły hałas.

Przysiadł na krawężniku i zasznurował sobie buty. Kiedy chciał z powrotem wstać, był zeszywniały i obolały, oparł się więc na dłoniach i kolanach jak ktoś cierpiący na zanik mięśni.

I co ja mam teraz, kurwa, zrobić? – spytał rozpaczliwie.

Światła przejeżdżających samochodów pozostawiały smugi na siatkówce. Wezwanie do sądu, które złożył na pół, wypadło mu z kieszeni. Podniósł je. Stał przed parkingiem. Po drugiej stronie było Chinatown. Dawaj, powiedział do siebie i zaczął iść. Zanim pomyślał, żeby obejrzeć się w kierunku komisariatu, był już kilka przecznic dalej. Skręcił w rozświetloną neonami Roosevelt Avenue. Na pewno tam gdzieś jest, powtarzał sobie. Zwinął wezwanie w twardy rulon, zostawiając na nim odciski dłoni.

Zatrzymał się w McDonalddie, gdzie pochłoniął hamburgera na stojąco. Pijąc colę, zamruczał i westchnął: o, cholera. Pośpiesznie zabrał napój ze sobą i kiedy zostały tylko kostki lodu, wyrzucił kubek do śmieci, jakby ciskał piłką bejsbolową. Przemknął się przez tłum, zdjął po drodze koszulkę, by wytrzeć nią twarz i oczyścić ręce z keczupu, odsłaniając blade wytatuowane ciało oświetlone reflektorami samochodów.

Miał wrażenie, że ulica prowadząca do autostrady ciągnie się kilometrami. Chętnie by pobiegł, ale jego nogi stać było co najwyżej na żwawy chód. Uważnie przyglądał się oknom identycznych domów z cegły – w każdym wisiało pranie – starając się zidentyfikować to, co powinno być jej mieszkaniem. Szukał zapalonego światła. Na pewno jest w domu i rzuci mu się na szyję, kiedy go zobaczy.

Podbiegł ostatnie dziesięć metrów do jej drzwi i zapukał.

Zou Lei! – zawołał. Cofnął się na ulicę i spojrzął w okna. Ponownie krzyknął jej imię. Nikt nie odpowiedział. Usłyszał zza ściany kogoś mówiącego po chińsku. To nie była ona. Uderzył jeszcze kilka razy w drzwi. Halo! – ryknął.

Wreszcie ktoś podszedł do okna na pierwszym piętrze. Z ulicy widział tylko cień głowy.

Zou Lei! Możesz ją poprosić?

Co?

Możesz poprosić moją dziewczynę? Opiszę ci ją. Jakiś metr sześćdziesiąt. Chinka. Mieszka tutaj.

Nikogo nie ma.

Nie sprawdziłaś. Proszę, sprawdź.

Nie ma.

Sprawdź to dla mnie. Zapukaj do niej.

Cień zniknął. Skinner myślał z początku, że po to, aby sprawdzić, ale w miarę upływu czasu zrozumiał, że nie wróci.

Halo! – zawołał.

Bez odpowiedzi.

Możesz ze mną porozmawiać?

Darł się sam do siebie na ulicy, wśród koszy na śmieci, żelaznych krat przeciwwłamaniowych, koszulek, spodni i staników na sznurach do bielizny, otoczony przez ciszę.

Kiedy jego ciało poruszyło się obok niej, natychmiast się obudziła. Załedwie minutę wcześniej biegała po lesie ze snu, a teraz przyglądała się Skinnerowi, który przełazi nad nią, wkłada bieliznę, wiąże buty, rozgląda się i zbiera swoje rzeczy, jakby się dokąś wybierał.

Starła się zrozumieć, co on właściwie robi.

Ma jakieś umówione spotkanie? – zastanawiała się. Coś, o czym zapomniał powiedzieć, kiedy klęczał u jej stóp zeszłej nocy i na nowo zapewniał o swoim zaangażowaniu?

Chyba wyczuwała niespójność między Skinnerem, który wczoraj gotów był jej oddać wszystko, a tym, który dziś wychodzi, odwracając od niej twarz. Chciała opowiedzieć mu swój sen, że właśnie śniła o wspólnym bieganiu z nim. Bała się jednak, że on nie będzie chciał słuchać, więc milczała. Życzyła mu udanego treningu.

Zamknął za sobą drzwi i zabrał klucze – te, które symbolicznie obiecał jej zeszłej nocy – i zostawił ją samą w pokoju.

Łóżko, na którym leżała, znajdowało się poniżej poziomu chodnika. Światło wpadało do pomieszczenia przez zakratowane okno nad jej głową. W suterenie były miedziane rury, które biegły z kuchni i łazienki, oraz cichy bojler, wszystko pod ziemią. Woda z całego domu ściekała do rury kanalizacyjnej w skale pod Zou. Płytki na podłodze miały ponad dziesięć lat, a zaprawa łącząca je z podłożem rozpadła się chemicznie. Kiedy po nich stąpała, odłaziły na boki i odsłaniały surowy beton, z którego unosiła się ziemista wilgoć. To dziwny, gówniany pokój, pomyślała sobie, i stwierdziła, że niedobrze jej tam samej. Zastanawiała się, po co ktoś pomalował go na tak jaskrawy, kurewski fiolet – chyba tylko po to, żeby kręcić w takim miejscu filmy porno.

Próbowała jeszcze pospać, ale zamiast usnąć, zamartwiała się szczegółami swojej niepewnej sytuacji. Aby opanować niepokój, wstała, założyła stanik, odnalazła ubrania, w których biegała.

Kiedy zakładała szorty, dobiegły ją hałasy z góry, codzienna krzątania ludzi zbierających się i wychodzących razem. Słyszała rozmawiające kobiety, których głosy przybierały na sile po otwarciu się drzwi, a potem niknęły na ulicy.

Nie podobało się jej, że musi tu tkwić w oczekiwaniu na Skinnera. Rozważając telefon do niego, zerknęła na godzinę i stwierdziła, że jest dziesiąta. Robiła się głodna, więc pomyślała, że zajrzy do lodówki.

Z zewnątrz dobiegł ją cichy odgłos silnika samochodowego. Izolacja pokoju niepokojąco tłumiła wszystkie dźwięki.

Zmartwiło ją, że już dziesiąta, a on jeszcze nie dzwonił. Opadła z powrotem na łóżko i przysnęła, czy też wpadła w trans, na siedząco. Ogarniał ją głęboki smutek.

Wyszedł, nawet się z nią nie pokochawszy.

Jestem sama, powtarzała w myślach. Jestem sama. Sama. Sama.

Samotność. Śmierć. Śmierć. W samotności.

Skądś to znasz, powiedziała do siebie.

Przeraziła ją myśl, że drzwi mogą być zamknięte od zewnątrz. A co, jeśli ten, którego pokochała, był kimś obcym? Co, jeśli to izolotka, a ona nigdy z niej nie wyjdzie?

Stanęła w zalanym słońcem pokoju i zaczęła się zbierać. Żeby przestać myśleć o Skinnerze, żeby pozbyć się go z głowy, schowała telefon w swojej saszetce i odłożyła ją na stolik nocny. Rozprostowała włosy, związała za powrotem i rozejrzała się za skarpetkami. Usłyszała dźwięk dobiegający z dołu, spoza mieszkania Skinnera, ale uznała, że to coś na dworze.

Miała wrażenie, jakby czegoś jej brakowało. Naraz zorientowała się, że chodzi o adidas. Włosy wciąż miała poplątane, zaczęła więc je czesać, jednocześnie szukając butów na podłodze. Znow coś usłyszała i znieruchomiała z grzebieniem w ręce.

Przez chwilę zastanawiała się, czy to nie on wraca.

Skinner? – zapytała.

Brak odpowiedzi.

Opuściła grzebień.

Stojąc tak, czuła, że coś zbliża się do niej z drugiej strony. Było to wrażenie tak silne, że niemal widziała przez drewno cień męskiej sylwetki. Włosy zjeżyły się jej na karku. Trwała w bezruchu. Musiało jej się tylko przywidzieć.

Za drzwiami odezwał się męski głos.

Ani drgnęła, zmartwiała z przerażenia.

Ktoś poruszył klamką.

Otwieraj, rozkazał.

Głos zdawał się nie znosić sprzeciwu, pomyślała więc najpierw, że to policja.

Spojrzała na szaszetkę spoczywającą na stoliku nocnym, w której miała pieniądze, klucze i komórkę – tych rzeczy nie wolno jej było zgubić. Nie widziała swoich asicsów, które ukryły się pod pudełkiem na pizzę, i w panice nie mogła sobie przypomnieć, gdzie się podziały.

Mężczyzna znow coś powiedział. Brzmiał, jakby miał pełne usta i gruby, spuchnięty język.

Zawołała: Mój chłopak śpi, przyjdź później!

Następnie usłyszała dźwięk kluczy.

Zamek szczęknął. Kiedy drzwi się uchyliły, krzyknęła: Nie! – i podbiegła, by je zamknąć.

Gdy tylko zobaczyła jego twarz, wiedziała już, co się stanie, i zemdliło ją. Popchnął ją obiema rękami. Siła uderzenia odrzuciła ją na drugi koniec pokoju, wprost na łóżko.

W momencie gdy jej plecy walnęły o materac, odskoczyła i migiem czmychnęła za napastnika. Zanim Jimmy obrócił swoje zwaliste cielsko, ona była już na schodach, przeleciała przez drzwi i boso pobiegła przez ulicę.

Następna dotarła do niej świadomość alei, na której się znalazła, nie wiedząc, jak daleko odbiegła. W oczy świeciło jej słońce, obok niej przemykały samochody, a ona nie czuła bólu bosych pięt, tylko uderzenia stóp o beton.

Wytraciła pęd i z biegu przeszła w opętańczy chód. Łapała powietrze. Obróciła się i zaczęła iść w przeciwnym kierunku, oglądając się za siebie, gotowa dalej biec. Coś w niej chciało się śmiać. Stanęła, obejrzała się na aleję, by sprawdzić, czy ktoś jej nie śledzi, ale nikogo nie zobaczyła.

Boże jedyny. Boże jedyny, pomyślała. O Boże.

Z trudnością odczytywała znaki drogowe. Rozpoznała Kissena Park dopiero, gdy już w nim była. Podeszwy stóp piekły ją od szorowania po chodniku, starała się nie nastąpić na szkło.

I co teraz? Wszystkie swoje rzeczy zostawiła u Skinnera.

Boże jedyny, co się stało?

Weszła do sklepu „wszystko po dziewięćdziesiąt dziewięć centów” i błagała sprzedawczynię w daszku na głowie o parę kłapek pod przysnic. Jakiś przechodzień usłyszał Zou Lei i dał jej dolara, smukła kobieta po czterdziestce o błyszczących oczach, jedna z tych, które trafiają w Chinach do więzienia. Jestem buddystką, oznajmiła z uśmiechem. Zou Lei podziękowała, po czym rozerwała żyłkę łączącą plastikowe kłapki i wsunęła w nie stopy czarne od kurzu.

Rozejrzała się, szukając pomysłu, co zrobić dalej. Buddystka rozpląnęła się w gąszczu ciemnowłosych głów, krótkich rękawków ze sztucznego jedwabiu, plastikowych zabawek i gadżetów wydających różne dźwięki, narastającej muzyki i cukierkowych głosów kobiet, zachęcających z nagrania: kup teraz, druga sztuka gratis. Chudy mężczyzna ciął nożem trzcinę cukrową, a długie zielone liście spadały mu na stopy.

Przeszła przez Main Street i skierowała się w dół wzgórza, w stronę autostrady. Próbowwała otworzyć drzwi do swojego domu, ale były zamknięte na klucz. Przez pewien czas chodziła w tę

i z powrotem z założonymi rękami. Nie chciała wejść do środka; pragnęła, żeby był z nią Skinner. Obróciła się gwałtownie i przygryzła wargę. Co u licha mam zrobić? Podniosła głowę. Koniecznie musi poczekać. Kiedy Skinner zauważy jej nieobecność, na pewno tu przyjdzie.

Zmęczona dreptaniem w miejscu, przykucnęła w głębokim azjatyckim przysiadzie, obserwując okolice wejścia do domu pomiędzy zaparkowanych samochodów. Położyła spracowaną dłoń na głowie i przywarła do chodnika stopami, których palce chwytały brzeg klapków. Kosmyk włosów opadł jej na twarz. Rozchyliła usta i wbiła spojrzenie brązowych oczu w drzewa na skrzyżowaniu, wypatrując oznak ruchu.

Słońce zmieniło pozycję. Późnym popołudniem ludzie pracujący również w sobotę wyłaniali się zza drzew i rozchodzili do swoich domów. Minęła kolejna godzina. Zou Lei zmuszała się do czekania. Ze wzgórza schodził, utykając, jeden z tysięcy samotnych imigrantów, ze spuszczoną głową, wlokąc za sobą swój cień. Ubrania i dłonie miał całe w farbie i tynku. Znali się z widzenia, częstował ją kiedyś napojem. Spojrzeli na siebie. Musiał zauważyć jej rozpacz. Widziała, jak mężczyzna dochodzi do wniosku, że to nie jego sprawa, i kieruje się do domu.

Kiedy nie mogła już wytrzymać, wstała i zaczęła przestępować z nogi na nogę, jakby potrzebowała skorzystać z toalety. Żywym krokiem przemierzyła wybetonowaną ścieżkę i dotarła do kępy zielska oraz paproci, które rozrosły się bujnie dzięki upałowi. Stała na brzegu bulwaru i wbiła wzrok w horyzont. Między dachem stacji benzynowej a pomarańczowym słońcem widać było tylko wąziutki pasek wieczornego nieba.

Ustaliła pewną zasadę: jeśli stwierdzi, że Skinner nie przyjdzie, i będzie chciała się poddać, to poczeka jeszcze troszkę, a to się jej opłaci, bo on się zjawi.

Była noc. Ciężarówki pędziły autostradą, a ryk ich silników docierał do Zou Lei niesiony przez wiatr hulający między budynkami. Podała się, poczekała jeszcze troszkę, ale się nie opłaciło, choć powtórzyła to sobie dwa razy. Zaczęła iść, kiedy zaszło słońce i przebarwiło się niebo usiane kawałkami chmur. Wiedziała tyle, że została porzucona. Czuła rozpaczę i nie mogła zebrać myśli. Nie miała pojęcia, co począć. Chciała odejść albo po prostu iść przed siebie, aż do końca świata – albo jej własnego.

Jakoś udało jej się bez biletu dostać do metra, które szumiło hipnotycznie. Na Manhattanie wjechali pod ziemię, biali wysiedli, a pociąg kontynuował podróż na Brooklyn. Z klimatyzacji kapą na szare siedzenia i pasażerów z Indii Zachodnich oraz Afryki. Na każdej stacji policjant wysuwał głowę z wagonu na peron.

Na końcu trasy skończyły się tory, a na sąsiednich stał kolejny pociąg. Tłum wysiadł, a Zou razem z nim. Policjanci przesiedli się do następnego składu. Ściany były pomalowane beżową farbą olejną. Pachniało jak w toalecie. Jamajczycy wskakiwali po betonowych stopniach, którymi ona schodziła. Za nimi podążały małe, chude dzieci w używanej odzieży. Na chodniku zalegała woda, czuć było ściekami. Zajrzała do okien czyjś mieszkani na pierwszym piętrze, nad restauracjami i tanimi sklepami. Uderzył ją zapach smażeniny. Samochody, z których dochodziła muzyka, przejeżdżały przez skrzyżowanie i kanał pełen delikatnego światła zielonych i fioletowych neonów. Wychudzony *cholo* z ogoloną głową prowadził złote auto. Przybywali skądinąd w poszukiwaniu dobrej zabawy. W każdym wozie leciała inna muzyka, kierowcy mieli poważne twarze, a na tylnych siedzeniach obwozili swoich znajomych w bejsbolówkach. Ktoś triumfalnie zatrąbił klaksonem. Na światłach zatrzymał się rozklekotany cadillac bez pasażerów, z którego dudniła muzyka, a mężczyzna za kółkiem pokrzykiwał: Strzelą korki od szampana, a ty będziesz dzisiaj brana! Miał niedziałające reflektory. Przepędziła tuż przed nim i skierowała się ku Liberty Avenue.

Minęła restaurację Dobra nadzieja, Bar pod iskierką i młodego mężczyznę na rowerze, w czapce tyłem naprzód i z papierosem za uchem, który zaraz pognął slalomem po ulicy. Miał na sobie koszulkę marki Hustle Trees. Potem przeszła obok dwóch bezdomnych o stalowoszarych, wilgotnych włosach, w dresach i rękawiczkach, grzebiących w śmieciach. Byli z Indii, znali się nawzajem. Przerwali i omawiali ze sobą, gdzie bardziej opłaca się szukać, i jeden z nich odszedł, ciągnąc za sobą swój wózek na zakupy. Jakaś kobieta z blizną pooparzeniową ciągnącą się od policzka w dół przelazła obok jak zombie. Zou minęła restaurację Dabar Halal z zieloną markizą i białym światłem, w której kierowcy taksówek posilali się z tac.

Skrzyżowanie zostało w tyle, a na ulicy zrobiło się ciemniej. Oglądając się za siebie, zobaczyła czerwone światło policyjnego koguta migające wśród samochodów i rzucające blask na niskie budynki, w których leciało reggae. Przed sobą dostrzegła nieoświetlony meczet za parkingiem obwieszonym trójkątnymi proporczykami, pogrążonymi w cieniu. Nad drutami telefonicznymi unosił się księżyc wielkości dziesięciocentówki. Zmierzała na wschód, do Freeport. Samochody nagle pojawiały się na ulicy, na której co niespełna kilometr stały stragany z owocami. Inne sklepy były nieczynne. Na ścianie budynku zobaczyła plakat uzdrowiciela. Gdyby się zatrzymała, mogłaby przeczytać na nim słowa: „Odczynianie czarnej magii” oraz zobaczyć natchnioną twarz uzdrowiciela namalowaną czerwoną i żółtą farbą. Dalej były zabite dechami kościoły urządzone w dawnych sklepach, zza których wyrastały drzewa, rozkładające konary w ciemności. Wypływały szyld na kartonie ponad jej głową reklamował Siedem Koron Chwały. Pojawił się zakapturzony, brodaty mężczyzna w szortach i skarpetach przypominających owijacze. Dzięki uprząży ze sznurów na bieliznę ciągnął za sobą wózek na zakupy wyładowany workami

pełnymi śmieci. Z przejeżdżającego czarnego samochodu grzmiała muzyka: Jeden naród... Z bożą opieką... Prawdziwi czarni... Gruba kasa... Kobiety szykujące się na imprezy w zaparkowanym wanie pożyczaly sobie kosmetyki wyciągane z torebek. Ulice stały się nieregularne, przechodziły po skosie. Zbliżyła się do autobusów zaparkowanych wzdłuż pasa zieleni, naprzeciwko chodnika zastawionego samochodami. Drogę zagradzał jej zdezelowany ford crown victoria z pourywanymi drzwiami, tylną kanapą zamiast przednich siedzeń, dachem zgniecionym jak kanapka i resztkami przedniej szyby na chodniku. Obeszła go i zaczęła iść po jezdni. Omijała wozy nadjeżdżające z przeciwnika. Pojawiły się zakłady mechaniki samochodowej. Pizzeria Domino's. Kierowca w niebiesko-czerwonej koszuli wysiadł z samochodu i wszedł do restauracji, niosąc termoizolacyjną torbę na pizzę.

Przez kilkaset metrów znowu nic, aż wreszcie natrafiła na człowieka. A dokładnie dwóch ludzi w spodniach roboczych, siedzących na ganku częściowo zasłoniętym przez żywopłot, akurat otwierali butelkę. Potem weszła do świetlistej doliny otaczającej stację benzynową, gdzie młody mężczyzna o skórze takiego samego koloru jak jego czarny T-shirt tankował poobijaną elantre. Dystrybutor napojów owinięty był drutem kolczastym. Przeszła na drugą stronę autostrady z wrażeniem, że w jej echu odbija się cała reszta Ameryki. Idąc znowu ulicą, minęła kolejne zaparkowane samochody. Przed jednym z nich dwie kobiety, chyba Latynoski, pisały SMS-y. Jedna z nich nosiła okulary i miała długi nos. Następnie, obok sklepu z artykułami budowlanymi, był klub JouVay, który trząsał się od muzyki aż po dach.

Choć był późny sobotni wieczór, tu i tam widać było ludzi taszczących torby z praniem oraz worki na śmieci wypełnione ubraniami; byli w trakcie przeprowadzki albo wykonywania jakiejś pracy. Zobaczyła cztery duże kobiety, które przysiadły w kółku na samochodach i najwyraźniej nie robiły w tę upalną noc nic poza gadaniem. Chodnikiem szedł ku nim pijany Latynos, stawiając długie, chwiejne kroki w przód i w tył. Miały krótkie włosy – jak lesbijki. Jedna z tych kobiet, która siedziała w przejściu, wstała. Latynos pogapił się na nią w milczeniu i poczłapał dalej, jak gdyby stwierdził, że nic z tego nie będzie. Ej, *papito*, misiaczku, wracaj! – zawołała kobieta. Niech idzie, stwierdziły pozostałe. A ona na to: Nie, potrzebuję tych pieniędzy. *Afuera*, zarządziła głośno, ale z sympatią. *Papi, ven aqui*[5].

Zou Lei przeszła między nimi, ocierając się o przejeżdżające samochody, o chodnik i tę późną porę, wbrew świadomości, że powinna była stanąć ileś kilometrów wcześniej i że to, co robi, nie ma sensu. Ale nie mogła się zatrzymać. Dwadzieścia minut później miała kryzys, kiedy dopadło ją wszystko naraz. Nagle poczuła głód, jakby coś się w niej wyłączyło, i nie wiedziała, co począć. Zostawiła za sobą bary, żeberka z grilla, wina i wódki, i stała na rogu w ciemności, na jałowej ziemi, wśród złomowisk. Aleja przeszła w szosę, po której mknęły samochody, wzbijając kurz z tłuczniowej nawierzchni, a w kanałach odpływowych zalegały śmieci i woda. Między jej stopami a chodnikiem były tylko klapki pod prysznic. Gdyby w tej chwili wykonała zwrot, niczego by nie straciła. Wyglądała tam jak prostytutka. Miała pusty żołądek i puste kieszenie. Była przerażona.

Szeroki samochód ze skrzydełkami nad lampami z tyłu oddzielił się od powodzi aut, podjechał, zwalniając, i zatrzymał się przy krawężniku. W środku siedziała czarnoskóra para. Za nimi stanął duży radiowóz. Bała się zostać tam, gdzie była, więc ruszyła do przodu. W środku policyjnej furgonetki paliło się światło. Zauważyła, że jeden z funkcjonariuszy, mężczyzna z włosami na żel, zerknął na nią, kiedy wprowadzał dane na klawiaturze zamontowanej na kokpicie. Zaczęła ćwiczyć w myślach swoją wersję: Mój przyjaciel żyć na ta ulica. Ja wyjść po chleb. Ja się zgubić. Bardzo przepraszam. A co by było, gdyby opowiedziała im, co przydarzyło jej się tego dnia? Miała szczęście, bo niewiele brakowało, a w ogóle by jej nie było. Uciekła, ale straciła pieniądze, dokumenty, telefon, nawet buty. Oficer pewnie odpowiedziałby: Może to i prawda, ale wobec braku dokumentów musimy najpierw potwierdzić tożsamość, więc konieczne będzie zatrzymanie. Skuliby ją i zapakowali do furgonetki. Co myślisz? – spytałby jego partner, otwierając notatnik. Zakwalifikowałiby ją jako prostytutkę, bo ta okolica z nich słynęła, i wsadzili do celi we wschodnim Nowym Jorku.

To bliskie spotkanie odsunęło głód na bok, a strach dodał jej energii, przeszła więc kilka następnych mil w środku nocy, zanim na nowo przypomniała sobie o zmęczeniu.

Biało-czerwono-pomarańczowe światła migoczące na radiowozie zniknęły z tyłu za zakrętem drogi. Przed Zou wyłoniły się silosy na piach i żwir, pochyły pas transmisyjny na tle nieba, betoniarki

stojące za płotem w szeregu – jak słonie. Wszędzie pełno zdewastowanych samochodów i rozbitych szyb. Złomowisko na Wschodnim Wybrzeżu. Za czarnym polem jaśniały potężne reflektory, oślepiające nawet jeśli patrzyło się na nie z kilometra. Warkot kompresora. Co jakiś czas mijał ją samochód pełen młodych mężczyzn jadących z Long Island. Żadni gangsterzy, po prostu biedni. Przejeżdżały też obok niej samotne kobiety, piszące SMS-y w drodze na imprezę. Trafiały się też nowo zakupione auta, jeszcze z napisem „NA SPRZEDAŻ” i przebiegiem. Z pasa zieleni między szosami sterczało suche zielsko. Domy wyglądały jak wiejskie rudery. Zobaczyła paprocie. Przypominało to parking dla ciężarówek zmierzających autostradą na południe, porośnięty zdziczałymi drzewami.

Przeszła obok spalonej pralni samoobsługowej, kościoła Biblistów Głębokiego Życia, wysokiej czarnoskórej kobiety o zdrowej postawie, w spodniach, poruszającej się zgrabnie, która skręciła w boczną uliczkę ku dudniącej muzyce. Miała w sobie coś godnego i fatalistycznego.

Budynków po pożarach robiło się coraz więcej, aż cała okolica zaczęła tchnąć pustką i śmiercią. Na rolecie przeciwwłamaniowej widniało graffiti z egipskimi piramidami i faraonami wznoszącymi się jak chmury burzowe nad panoramą Nowego Jorku jeszcze z bliźniaczymi wieżami. Napisy przy nim głośiły: „Cywilizacja pochodzi z Afryki”. „Wchodzisz na własne ryzyko”. Ale sklep, do którego się odnosiły, został dawno zdewastowany i splądrowany od środka. Widać było dziury w ceglanych ścianach. Zza domów dalej dobiegała ciężka muzyka, z miejsca przypominającego studnię ukrytą za porzuconymi, wypalonymi squatami, stosami materaców i sof przy ciemnych gankach, na które strach było spojrzeć. Osiedla bez przecznicy ciągnęły się bez końca. Za kolejnymi budynkami widziała scenki rozgrywające się wśród drzew, oddalone postacie w białych koszulkach kręciły się wokół samochodów ze wszystkimi drzwiami otwartymi na oścież. Każdy miał na sobie coś czerwonego, choćby spodenki czy czapkę. Czuło się, że w tym miejscu żyją obcy sobie ludzie, okradający się nawzajem i obstawiający, kto będzie następny. Droga przechodziła obok parku, który w mdłym świetle wydawał się zupełnie szary, a w domach za nim panowała cisza. Usłyszała serię strzałów. Po ulicy przechadzał się brodaty mężczyzna, podciągnął koszulkę i pogłaskał się po płaskim brzuchu. Zauważył Zou i spojrzął na nią tak, jak się patrzy na banknot leżący na chodniku. Rozejrzał się, jakby chciał sprawdzić, czy ktoś jej towarzyszy. Gdy obok Zou przejeżdżał autobus Freeportu, chciała wsiąść, ale kierowca się nie zatrzymał.

Bała się iść dalej, więc skręciła na północ i poszła drogą wśród krat, świerszczy i metalowych ogrodzeń. Okolice miała w sobie coś bagnistego. Wciąż znajdowała się w getcie. Przechodziła obok parterowych barów z niebieskimi neonami oraz wysokiego Jamajczyka pilnującego drzwi w pastelowej marynarce i butach z krokodylej skóry. Minęła Mexico Street i Murdoch Avenue. W tę sobotnią noc samochody popisywały się niecodziennymi światłami, podwójnymi reflektorami, śmigły, nagle skręcały w pogoni za imprezą i z warkotem wjeżdżały w boczne uliczki. Jeden z nich ryknął silnikiem, wyminął jakiegoś jeepa i wyrwał do przodu jak wyścigówka, zostawiając za sobą cichnący hałas podobny do dźwięku motocykla. Na kościołach wisały zaangażowane plakaty na temat walki duchowej. Z klubów wychodzili ludzie ubrani jak nastolatki. Nocny upał zelżał i zrobiło się znośnie. W powietrzu bzycały komary. Wszystko powoli cichło. Samochody stały w dużych odstępach. Zobaczyła dom z otwartymi drzwiami na ganek i telewizorem tak wielkim, że zdawał się zapraszać do środka; w budynku nie było widać żywej duszy. Usłyszała odgłos klimatyzatora. Przechodząc pod torami, usłyszała świerszcze w zaroślach. W krzakach po drugiej stronie stał billboard ukazujący roześmiane kobiety w sukniach bez ramiączek, które wznosiły toast wódką.

Jej uwagę przykuł zbiór chałupniczych transparentów na kartonach i prześcieradłach: „NIE PAL NICZEGO”. „GORZAŁA = GŁUPOTA, GNUŚNOŚĆ, GRZECH”. Wszystko na tę samą literę. „PALENIE = PORAŻKA, PATOLOGIA, PIEKŁO”. „W BUTACH ADIDAS – JAK NA SKRZYDŁACH”. Na ganku wisała flaga Teksasu. Na dachu widniał napis „ŚWIĄTYNIA”.

Widok tego wszystkiego ją rozproszył. Weszła na ulicę, nie patrząc na boki, po czym znikąd pojawił się samochód i prawie ją potrafił. Kiedy wróciła po kłapek, światła zawirowały i musiała złapać równowagę. Od zmęczenia była jak pijana. Czuła się dziwnie, ale w ruchu wszystko wracało do normy. Zaczęła więc znów iść i było w porządku. Ale myśleć dalej nie mogła. Księżyc wyglądał jak latarnia uliczna i Zou miała problem z uświadomieniem sobie, że wisi on na niebie, a nie jest z nią tu, na dole.

Poszła na północ przez Woodhill, rozrywając pajęczyny i słuchając świerszczy. Ciche domy, linie wysokiego napięcia. Grzmot odrzutowca na niebie. Nad głową majaczyły jej największe drzewa, jakie dotąd widziała. Szelest liści, odgłos początku, czegoś, co zaraz zacznie wrzeć i kipieć. Po czym przejechał autobus: nowy, czysty, klimatyzowany autobus z napędem wodorowym – jak na lotnisku – zagłuszając liście gładkim, jednostajnym pomrukiem silnika.

Przeszła przez aleję bez znaków, na której imprezowicze robili nawrotki samochodami. Cambria Heights Academy. I znowu strzały z oddali.

Na ciemnej ulicy dostrzegła tylko jedno źródło światła: ponure wnętrze widoczne przez otwarte okno, tak samotne, że nadawałoby się na miejsce zbrodni. Z samochodu dobiegło „cześć”. Napis na skrzynce pocztowej brzmiał: „Khan”. Z ziemi jak gęsie pióra sterczały flagi państw Azji Południowej.

Dotarła do Hillside Avenue i przyjrzała się budynkowi mieszkalnemu z niebieskim neonem. Bezdomny z brodą jak u proroka i w rękawiczkach lekarskich pchał wózek na zakupy i podniósł plastikową butelkę z rynsztoka. Przy dwukolorowych ceglanych budynkach powiał chłodny wietrzyk. Aleja ciągnęła się kilometrami w obie strony. Zou Lei dobijał głód, przed oczyma latały jej mroczki. Szła dalej na wschód. Zbliżył się do niej ambulans, a może radiowóz, i przejechał w ciszy, bez sygnału, tylko z kogutem migającym jak zimne ognie.

Pomyślała: Muszę tylko wytrzymać i nie zasnąć do rana, a wtedy znajdę coś do jedzenia. Wtedy przypomniała sobie, że jest bez pieniędzy.

Na światłach zatrzymał się samochód z rozkręconym na cały regulator radiem, a Zou Lei zignorowała to, co krzyczeli do niej młodzi mężczyźni w czapkach bejsbolowych. Za budynkiem z łososiowej cegły, ośrodkiem społeczności muzułmańskiej, aleja rozszerzyła się, wyładniała i rozszczepiła na dwie części przedzielone pasem zieleni. Przejechał autobus, prędeż z literą N jak Nassau niż Q jak Queens. Duża rozświetlona stacja benzynowa była cała we flagach, jakby wciąż świętowano na niej wielkie otwarcie. Jej dach był niższy niż na stacjach na zachodniej pustyni, gdzie Chińczycy budowali je tak wysoko, że wyglądały niczym pająki na teleskopowych odnóżach. Nad tą górowały potężne drzewa.

Zou Lei weszła na stację i jak zaczarowana wpatrywała się w ciasteczka, mleko i chipsy ziemniaczane, niepomna, jak właściwie się tam znalazła. Mężczyźni o opadającej dolnej wardze, w koszulach i spodniach od garnituru wchodzili i wychodzili, zapłaciwszy za kawę i „Punjabi Timesa”, po czym wsiadali z powrotem do swoich taksówek. Zegar ścienny pokazywał trzecią rano. Miała wrażenie, jakby wykonała skok w czasie.

Młody mężczyzna o kręconych włosach stał wyprostowany za blatem i obsługiwał taksówkarzy z powagą, oddaniem, wręcz poświęceniem. Miał szczupły kark, zarost na szyi i duże brązowe oczy. Po otrzymaniu pieniędzy od każdego kolejnego klienta wypowiadał szczerą *bimsallah*. Zou spytała, czy dostanie szklankę wody.

Proszę bardzo, odparł. Zaraz wszystko pokażę.

Wyszedł zza szyby, otworzył szafkę i podał Zou plastikowy kubeczek. Tu jest gorąca – powiedział, wskazując na czerwoną dźwigienkę na ekspresie. Była wyczerpana, zmęczenie dopadało ją falami. Czuli się jak we śnie. Nie mam pieniędzy, powiedziała dobitnie. Sprawiał wrażenie, że jej nie słyszy. Kiedy wrócił za ladę, zasłoniła się plecami i nalala sobie kawy z mlekiem. Wsypała do środka kilka torebek cukru, wypila aż do brązowego osadu na dnie i ponownie napełniła kubek. Pijąc, cały czas stała plecami do lady. Słyszała, jak sprzedawca nabija coś na kasę. Obejrzała paczkę twinkies, zerknęła w lustro i odłożyła ją na półkę. Wszedł kolejny taksówkarz. Ponownie sięgnęła po twinkies i skierowała się do wyjścia. Młody sprzedawca patrzył, jak wychodzi.

Przyniosę pieniądze, zapewniła. Dobrze?

Dobrze, odrzekł, przymykając powieki.

Wyszła na zewnątrz, na miejscu zjadła zawartość opakowania i na kilka minut przysnęła, skulona na krawężniku.

Natychmiast zaczęło się jej coś śnić. Roily jej się kolory, ruch, głosy, pozbawione kształtu realnych osób, które widzi się na jawie. Jej umysł tonął w rozmytych obrazach i próbował się ratować.

Poczuła, jakby z workiem na głowie spadała ze szczytu góry, uderzając po drodze o jodły.

Siedziała tak skulona na krawężniku w bursztynowym blasku latarni na skraju ośmiopasmowej drogi, z nogami wyciągniętymi przed siebie. Jej stopy i kostki były czarne od brudu. Podeszwy przywarły do kłapek. Stwardniała skóra miała kolor żółto-czarny. Pod nią tworzyły się pęcherze. Usta miała otwarte. Zaczęła opadać na bok i podskoczyła, budząc się.

Nie mogła skupić wzroku ani stwierdzić, gdzie się znajduje. Rozejrzawszy się, zobaczyła tylko fioletowo-czarną przestrzeń poprzecinaną smugami światła, po czym usłyszała w oddali ruch uliczny jak szum oceanu. Ponownie zasnęła i obudziła się przestraszona, bo wydawało się jej, że podchodzi do niej policjant. Tym razem zmusiła się do utrzymania oczu otwartych. Nie mogła myśleć. Wiedziała tylko, że musi pozostać w ruchu aż do świtu. Z trudem zdołała się podźwignąć. Kiedy stanęła na nogi, skrzywiła się z bólu. Chwiała się, spocona i brudna. Spojrzała w dół na stopy. Pięty miała posiniaczone od chodzenia bez amortyzacji. Gdy nastąpiła na kamyczek, aż zaparło jej dech w piersiach z bólu. Dokuśtykała do krawężnika, usiadła przy kompresorze powietrza, żeby się obejrzeć. Zsunęła kłapek i otrzepała piasek ze stopy. Jej podeszwa była lepka, jakby powierzchnia plastiku stopiła się od tarcia. Zauważyła, że paski kłapek wpiły się jej w skórę. Ten obejmujący duży palec pozostawił po sobie czerwoną obrączkę. Poczuła, że od dotykania stóp jej ręce zrobiły się brudne. Buty rozlatywały się na kawałki, miały kompletnie starty bieżnik. Oczyszczyła jedną stopę, drugą, po czym ostrożnie wsunęła je w klapki i wstała.

Poprawiła na sobie ubranie, obciągnęła szorty. Żeby ustalić swoje położenie, prześledziła drogę, którą przebyła, nim zatrzymała się na stacji, po czym zawróciła i zaczęła powoli, sztywno, iść z powrotem.

Jeszcze przez jakiś czas była półprzytomna, ledwo dostrzegała otoczenie. Francis Lewis Boulevard. Plac zabaw Belle Aire. Na wysepce między pasami jezdni czarnoskóra kobieta, chuda jak Afrykanka, z włosami ufarbowanymi na blond. Zraszacz opryskujący trawnik. Drzwi od toalety publicznej były otwarte, widać było umywalkę i kabinę. Przejechały dwa samochody, z których dudnił rap. Przeszła kładką nad bulwarem Grand Central Parkway. Minęła świątynię Satya Sanatan Dharma Mandir. Szpiczasty płot z żelaza. Szpital psychiatryczny Creedmoor – budynki ustawione pod przypadkowymi kątami, niedomknięta brama z metalu. Zielsko wyrastające z asfaltu jak żdzbla na polu ryżowym. Obiekt wydawał się opuszczony, karetki zaparkowane jedna przy drugiej. Wgniecenie w płocie – ślad po samochodzie. W świetle rtęciówek dostrzegła cień, który nie należał do niej, i obejrzała się, żeby sprawdzić, kto to, ale w pobliżu nikogo nie było.

Miała wrażenie, że stare kamienice z trawnikami ciągną się przez wiele kilometrów. Wisiały na nich w dużych odstępach porzewiałe tabliczki. „Fallout Shelter”. „Lek. med. Girish Bulsara”. „Delikatesy Bala Ji”. „Hurtownia samoobsługowa Apna Baza”. „Patel – rzeźnia hałał”. Dwóch robotników kupujących tacy z furgonetki. Graffiti na skrzynkach od sygnalizacji: „NW\$”. „Bulwar Cross Island Parkway”.

Zaszła zmiana w krajobrazie. Ulica rozdzieliła się i skręciła na północ. Zou minęła schludny budynek liceum z przedmieścia. Szkoła miała równo przystrzyżony trawnik i bramki do futbolu amerykańskiego. Na asfalcie leżały szyszki sosny. Szosa była szeroka, płaska i czysta i panował na niej prawie absolutny bezruch. Było chłodno i przyjemnie. Grały świerszcze.

Szła już od dłuższego czasu i w którymś momencie całkiem oprzytomniała. Przekonana, że świta, spojrzała na niebo, gdzie jednak nie było śladu słońca. Wciąż trwała noc, czarne niebo wpadało w indygo. Zobaczyła chmury. Niezależnie od godziny, umysł miała jasny i bystry, było jej wygodnie. Rozgrzane mięśnie sprawiły, że dyskomfort w nogach minął. Stopy też już jej nie bolały. Stawiając je na ziemi, czuła tylko rytmiczny nacisk kroków, bez nieprzyjemnych wrażeń. Przed czymś domem stała ciężarówka z odkrytą paką, a po lewej wznosiła się ściana lasu. Zou mogłaby tak wędrować i wędrować, miała więc pewność, że da radę wytrzymać do rana.

Słyszała samochody, zanim była w stanie je zobaczyć. Warkot silnika robił się coraz głośniejszy, po czym wóz przemykał obok, a ona widziała tylko oddalające się tylne światła. Zaczęła się zastanawiać, co by było, gdyby któryś z nich miał za zadanie ją odnaleźć. Ilekroć jakiś przejeżdżał, coraz wyższy

dźwięk tworzył atmosferę napięcia, która utrzymywała się jeszcze przez jakiś czas, kiedy znów zapadała cisza, a Zou czekała na kolejny raz.

A co, jeśli w następnym, który usłyszysz, będzie jechał Skinner?

Biały chevrolet malibu śmignął, nie zatrzymując się, i teraz niczym plama światła przemieszczał się po czarnej szosie biegnącej między domami ku nocnemu niebu.

Nie, nie, to na pewno nie on. Nie ma go tu, powiedziała sama do siebie. Poza tym nie ma samochodu. Spotkają się gdzieś dalej. Musi tylko wytrwać całą noc. Nad ranem, kiedy wzejdzie słońce, zjawi się też Skinner. Przed nią długa droga, ale jeśli Zou zrobi wszystko, jak trzeba, i nie da za wygraną, to się jej opłaci. Aby jednak tego dokonać, musi wziąć się w garść. Musi iść daleko, bardzo daleko. Tym razem naprawdę będziesz musiała pomachać nogami, stwierdziła. Lekko nie będzie. Skinner nie pojawi się ot tak. Będzie musiała iść ku niemu aż do gór. Wtedy wreszcie go zobaczy.

Zacząła planować, co powinna zrobić, żeby odpowiednio wydłużyć dystans. Postanowiła kierować się na wschód aż do odpowiedniej pory, potem w miarę możliwości na północ, a następnie z powrotem. Całą drogę do jego domu pokona pieszo, a gdy tam dotrze, Skinner będzie stał w otwartych drzwiach. Otworzy je ze zmartwionym spojrzeniem, ale kiedy ją zobaczy, jego twarz błyskawicznie się wygładzi, kamień spadnie mu z serca. Wyobrazila sobie ulgę i radość, kiedy obejmą się w wejściu do domu. Zateśniła za jego obecnością. Jeszcze trochę, pocieszyła się. Musiała utrzymywać na miejscu serce, które zachowywało się, jakby miało skrzydła i gotowe było wyrwać jej się z piersi.

Zabiła komara na nodze, przechodząc obok domu pogrzebowego z kolumnadą, strzyżonymi żywopłotami i podświetlanym kasetonem, na którym widniała wykaligrafowana nazwa zakładu i napis „Życzymy miłego dnia”, jakby chodziło o motel. Minęła maszynę do lodu przy stacji benzynowej, stojącą na tle drzew. Dobiegł ją głos kogoś tankującego samochód. Czowała zapach benzyny, ale nie widziała kierowcy.

Po kolejnym kilometrze czy dwóch minęła jasno oświetlony sklep, pogrążony w ciszy, po czym dotarła do parkingu przed Super Stop & Shop. Na powybrzuszonym asfalcie samochody stały gdzie popadnie.

Wyświetlacz cyfrowy przed Valley National Bank pokazywał „4.59, 21°C”. Stwierdziła, że na to właśnie czekała. A więc czas na zmianę drogi, powiedziała.

Skręciła w kolejną ulicę po lewej, przeszła za ciągiem sklepów wśród szumu urządzeń chłodzących przy wejściach dla dostawców i śmietnikach, i skierowała się na północ.

Ulica, którą teraz szła, była mniejsza, całkowicie zaciemniona i cicha, jak wiejska dróżka. Wzdłuż niej rosły żywopłoty sięgające Zou nad głowę, tworzące czarną ścianę. Za nimi mogły znajdować się domy wypoczynkowe. Czasem dostrzegała ich zarys. Były też drzewa, jeszcze wyższe niż domy i żywopłoty. Chodnik był wąski i niewygodny, czasem nie dało się po nim iść. Wtedy przechodziła na jezdnię, wyglądając nad koronami drzew nadchodzącego świtu. Nad jej lewym okiem wznosił się księżyc. Minęła szpital. Oświetlony przystanek autobusowy. Miękkie, ciemnozielone trawniki, żywopłoty, maszty flagowe. Białą kaplicę. Szpitalne budynki oznaczone były jak sektory parkingu na lotnisku, podświetlone tablice wskazywały 1A, 2C i tak dalej. Odnotowała klomby kwiatowe i szum klimatyzacji. Włączyły się zraszacze, zaczęły omiatać trawę. Zmoczyły jej nogi.

Za chmurami na niebie od wschodu pojawiły się smużki światła. Przejechała przed nią odkryta ciężarówka, poruszyła powietrze za sobą. Przeszła przez kamienny most nad szeroką aleją i zobaczyła swój cień na znaku ZAKAZ WJAZDU. Dostrzegła gwiazdę poranną. Centrum żydowskie Lakeville. Podmiejska szkoła Montessori. Wróciła na chodnik, cienki pasek między murawą a płotem. Niebo się zmieniło. Świtało. Szaroniebieskie światło poranka padało na wszystko, włącznie z nią. Drzewa i liście tworzyły kleksy na tle nieba. Przechodziła przez lasek porośnięty pnączami, wierzbami, roślinami zwisającymi z drzew, które układały się w kształt twarzy brodatych starców. Przerwała kolejną pajęczynę, a w świetle latarni zobaczyła pająka. Był bardzo duży, wielkości dwóch kciuków. Rozpiął swoje sieci między dwoma słupami telefonicznymi. Poczowała zapach ziemi.

Pobocze było wyboiste. Szła po żwirze i piachu między nieskoszonymi chaszczami a białą linią. Woń drzew liściastych i traw była bardzo silna. Pachniało też sosnami. Kiedy przemykały obok niej

samochody, musiała zbaczać w zarośla, i zsuwały jej się klapki. Stąpnęła krzywo i w jednym z nich wysunął się pasek przy dużym palcu. Wsadziła go na miejsce i szła dalej wśród śpiewu ptaków.

Wszędzie naokoło rosły drzewa. Liście otaczały dąb jak obłoki. Z drewnianego ogrodzenia spływały kaskady bluszczu. Księżyc wyglądał jak małe słońce we mgle. Na otwartym niebie na wschodzie pokazały się delikatny róż i jasny błękit. Róż stawał się coraz wyrazistszy. Światło przechodziło całkowitą przemianę. Widziała drogę i samą siebie w niebieskim blasku dnia. Asfalt na autostradzie pachniał ropą i wulkanizowanymi oponami. Drogowskaz mówił: „Międzystanowa 495 na zachód: Nowy Jork”. W krzakach stał kolejny, z napisem: „Międzystanowa 495 na wschód: Riverhead”. Przed jej oczyma rozciągała się żywa panorama nieba o brzasku. Chmury pęczniały jak kłęby pary, niektóre były lśniące niczym brzuch ryby i żebrowane, jakby tkwiły w nich proste ości. Pochłaniały słońce, którego jeszcze nie było zza nich widać. Wyglądały jak prześwietlenia – ażurowe, przejrzyste, złożone z nakładających się obrazów.

W przejściu pod autostradą temperatura była wyższa niż w mieszkaniu. Kiedy dotarła na drugą stronę, światło zaczynającego się dnia było jeszcze jaśniejsze.

Droga była niebezpieczna – nie widziała nadjeżdżających samochodów i na zakręcie musiała przejść na drugą stronę. Minęła pole golfowe, wchodziła w jedną pajęczynę za drugą i wybierała z włosów ich kawałki. Wydawało się, że jest jedyną użytkowniczką tej drogi. Czterech dobrze odżywionych starszych panów w spandeksie, butach kolarskich i kaskach śmignęło na rowerach lekkich jak piórko. Zou wspinała się drogą, która zaczęła iść pod górę. Daleko w górze zobaczyła gigantyczną wieżę ciśnień na stalowych nogach. Na linii wysokiego napięcia siedziała wiewiórka. *Dolce vita* Leonarda. Okrężna aleja. Rzymskie posągi. Trzypiętrowe biurowce. Chirurgia laserowa Vincent Jacone. Nagietki i inne kwiaty, obręcz do koszykówki. Ciemnozielona ciężarówka z żółtą łopatą do śniegu. Samochód do holowania: Appalachian. Pachniało oponami i benzyną. Zauważyła spalony budynek po restauracji Bombay Palace. Drzewa, także jodły, były o wiele wyższe od budynków. W tym wzniesionym w stylu holenderskim mieściła się straż pożarna dzielnicy Manhasset. Zaczynał się piękny słoneczny dzień. Na szczycie wzgórza dotarła do skrzyżowania z główną ulicą. Miała przyspieszony oddech. Stwierdziła, że doszła do Northern Boulevard na Great Neck.

[5] Hiszp. „Spadajcie... Misiu, chodź tutaj”.

Wspiął się na wzgórze, a kiedy wyszedł zza drzew i zabudowań otaczających boiska, minął parking obok dawnej apteki, której rozbita szyba błyszczała na asfalcie w bursztynowym świetle latarni. Zajrzał do sklepu monopolowego po drugiej stronie ulicy. Miał on kształt wąskiej kieszki i był zastawiony butelkami aż pod sufit. Nie było drzwi, po prostu wchodziło się do środka. Sprzedawali tam szkocką McIvor w opakowaniu podarunkowym oraz wino Mr. Boston.

Azjatka za pleksiglasem stała tu od lat osiemdziesiątych, była miła, w typie mamy. Jej wielkie powieki unosiły się gładko do czoła, nie napotykając brwi, dzięki czemu wyglądała, jakby była zdziwiona i rada, że cię widzi.

Którą podać? – spytała z uśmiechem, pokazując różne butelki bacardi.

Skinner postukał w jedną z nich. Tę.

Do środka weszło trzech starszych czarnoskórych mężczyzn w czapkach bez daszków, z papierosami wiszącymi z ust. Jeden z nich powiedział: Ten skurwysyn chce chivasa. O kim mówisz? O Softeem? Skinner przemknął się obok nich z butelką w rękę i zniknął za rogiem.

Szedł ulicą w poszukiwaniu miejsca, gdzie mógłby się napić. W bocznych uliczkach mieściły się osiedla mieszkalne z brązowej cegły z balkonem na każdym piętrze i z alejkami obrośniętymi przez paprocie. Wszedł w zaułek w kształcie litery U między trzema budynkami, otworzył butelkę i zaczął pić.

Pięć minut później grupa mężczyzn zebrała się wokół lincolna zaparkowanego na drugiego. Skinner schował butelkę w obawie, że to policjanci w cywilu. Wyszedł z zaułka i poszedł dalej ulicą. Na kolejnym rogu były sklepy z alkoholem, chińskie i salwadorskie restauracje, pralnie automatyczne i bar. Wszedł do spożywczego po papierosy. Jednego poproszę. Sprzedaje pan na sztuki? Paczka to więcej, niż mieści się w moim planie na przyszłość. Zapalił pod żółtą markizą, usiadł na chodniku z papierosem między palcami obitymi od walki i skupił się na dymie, czerwonej drobinie żaru, smolistych oparach w nozdrzach i gardle.

Kiedy dopalił, wstał i przeszedł przez aleję, która w świetle lamp wydawała się szara, po czym skręcił w jedną z ulic biegnących równolegle do torów – Franklin albo jakąś inną, nie bardzo go to obchodziło. Po kilku minutach zatrzymał się w ciemnym miejscu, wyjął butelkę z powrotem i zaczął wlewać w siebie alkohol, jakby to była woda źródłana. Wypił połowę, około ćwierci litra, w ciągu mniej niż pięciu minut. Kiedy trunek trafił do krwiobiegu, Skinner zakołysał się – nie mógł ustać prosto. Ale wciąż nie miał dosyć. Wypił do dna i urwał mu się film.

Wciąż nieprzytomny, dotarł do placu budowy gdzieś w ślepej uliczce. Oderwał taśmę ostrzegawczą z prętów zbrojeniowych przed domem i wdepnął w mokry cement. Dom był obłożony żółtym pokryciem ochronnym. Kopnięciami oczyścił sobie drogę z płyty pilśniowej, mającej zniechęcić niepowołanych gości, i znalazł gruzowisko, gdzie rozwalano stare betonowe płyty. W świetle latarni zaczął dźwigać kawały betonu, wynosił je z domu i taszczył ulicą tak daleko, aż musiał je puścić. Pozostawił za sobą na asfalcie zbieraninę ponadpięćdziesięciokilowych brył.

I po sprawie, powiedział głośno, po czym odbiegł truchtem z rękami białymi od pyłu i rozkrwawionymi kolanami.

Nie miał świadomości tego, co robi, ani że biega po okolicy, chowa się, czai przy zaparkowanych ciężarówkach firm ogrodniczych. Nadal zamroczony, szedł za drogowskazami pod swój adres. Przeknął się na rogu Sto Pięćdziesiątej Ósmej Ulicy, wciąż kompletnie pijany, nieświadomy, że tam mieszka. Pomyślał, że jest tam dla Zou Lei, że ona będzie na niego czekać. Sądził, że zobaczy ją stojącą tam na silnych nogach i w nowych butach, gotową do wspólnego biegania. Ale jej nie było.

Para sparciałych adidasów zwisała z linii wysokiego napięcia jak upolowana zwierzyna. Skupił wzrok na posążkach w ogródku Murphych. Przypomniał sobie, że aresztowano go tego popołudnia. Dom wcale nie musiał być pusty – świeciło się w środku. Ktoś mógł być wewnątrz, za drewnem, aluminium, szpachlą i włóknem szklanym.

Skinner chwiejnym krokiem przeszedł na drugą stronę ulicy i maszerował prosto na dom, dopóki nie zatrzymał go płot wysoki do pasa. Jego uwagę przykuły kosze na śmieci stojące na chodniku. Pochylił się nad jednym z nich, jakby chciał do niego zwymiotować. Ale nie było mu niedobrze. Przyglądał się temu, co było w środku. Po chwili sięgnął w głąb kosza, chwycił za materiał w barwach maskujących i spojrzął na niego, nie rozumiejąc.

Zaczął wyjmować z kubła na ziemię resztę tkaniny niczym magik wyciągający z kapelusza jedwabne chusteczki. Jego myśli i działania były na zmianę trzeźwe i nieprzytomne, jak gdyby wewnątrz niego obracało się koło, które uruchamiało różne części Skinnera. Jak dotąd rozpoznał swoją wiatrówkę. Wymamrotał coś, wpatrzony w kurtkę. Następnie podniósł kosz, obrócił do góry dnem i cała zawartość wyleciała gradem śmieci: džinsy, moro, puszki po piwie, drogie ubrania, wojskowy śpiwór z naszytą flagą USA, czasopisma. Jego rzeczy były przesiąknięte sokiem z zepsutego kurczaka. Upuścił kosz, który zaraz potoczył się po ulicy. W twarz uderzył go smród, a zaraz po nim chmara much wleciała znad odpadków.

Niektóre rzeczy nie trafiły do śmietnika. Wyczuwał ich nieobecność. Brakowało laptopa i telefonu komórkowego. W kiepskim świetle sprawdzał zawartość kosza i znalazł adidasa, ale nie tego należącego do niej, lecz do niego, więc odrzucił go na bok.

Wtedy jego ręce natrafiły na coś, od czego serce mu drgnęło. Obmacał dla pewności, ścisnął w dłoniach i poczuł, co jest w środku. Znalazł swój plecak. Poszukał przedmiotu w kształcie litery L. Był na miejscu. Zapiał z radości. Z muchami na twarzy zanurkował ręką do plecaka i wyciągnął z niego broń.

Wstał i rozejrzawszy się po ulicy, poszedł na podjazd przed drzwiami Murphych. Odciągnął i zwolnił część pistoletu zwaną zamkiem, co umieściło kulę w komorze. W stanie upojenia z bliska przyglądał się pistoletowi, starając się ustalić, czy zadziała. Ponownie powiódł wzrokiem po ulicy i nie zobaczywszy niczego poza wirującymi światłami, zadzwonił do drzwi.

Minęło dwadzieścia sekund. Skądś w głębi domu dochodziły ledwo słyszalne głosy. Usłyszał kroki dudniące po wykładzinie na stopniach w przedpokoju. Założył rękę za plecy i czekał. Przez wizjer musiał wyglądać jak zalotnik z kwiatami. Kciukiem odbezpieczył broń. Deski podłogi zaskrzypiały i za drzwiami zjawił się Jimmy.

Lepiej stąd spadaj.

Brakuje mi paru rzeczy.

Brak odpowiedzi.

Słuchaj, powiedział Skinner, ewidentnie pijany, możesz zgrywać upartego i będziemy się tak bawić całą noc. Albo spuścisz z tonu i oddasz mi laptopa.

Cisza trwała przez sekundę, dwie, trzy, cztery, pięć.

Zamek odskoczył. Skinner nabrał pełne płuca powietrza. Drzwi stanęły otworem. Zrobił krok naprzód i wymierzył z broni w twarz Jimmy'ego.

Ten zatrzasnął drzwi, a Skinner z powrotem je otworzył. Jimmy rzucił się schodami na górę, a potem przez drzwi do kuchni. Skinner chwycił za futrynę, złapał równowagę i popędził do mieszkania Murphych. Jimmy czmychnął przez kuchnię i niebieski tunel korytarza. Przytrzymując się barierki, wbiegł po schodach. Skinner przeleciał na drugą stronę kuchni, która była dla niego jak żółta plama musztardy. Jednym butem wylądował na linoleum, a drugim już w przedpokoju. Jimmy'ego ani śladu. Następny sus zaprowadził go na kraniec korytarza. Ściany ograniczały mu widzenie jak klapki na oczach. Chwycił barierkę i przesadził schody. Dwa metry przed nim Jimmy wdrapywał się na stopnie z nogami zgiętymi w kolanach, sadząc kroki jak alpinista. Skinner wycelował broń w jego plecy i pociągnął za spust.

Huk pierwszego strzału brzmiał jak za mocno nadmuchana opona eksplodująca w zamkniętej

przestrzeni. Skinner nic nie usłyszał. Nie dobiegł go krzyk. Z wykonanej ze sztucznego drewna ściany na półpiętrze spadło zdjęcie. Jimmy wbiegł do pokoju, a Skinner tuż za nim. Tam po raz kolejny pociągnął za spust. Rozległ się głuchy grzmot. Odwiódł zamek. Gorąca łuska wyskoczyła i spadła na dywan. Znow wycelował w pokój, mrużąc oczy, i strzelił.

Hałas przeszedł przez płytę pilśniową i doszedł aż do fundamentów. Skinner wpadł do sypialni. Były tam wieża stereo, plakat na ścianie i przekrzywione żaluzje. Świeciła się lampa. Jimmy był w połowie schowany za łóżkiem, zza którego wystawały jego długie nogi. Falowała mu klatka piersiowa.

Skinner wymierzył w niego pistolet i kopnął go w stopę.

Tamten przekrzywił głowę na podłodze i poruszył zuchwą.

Spadaj.

Ze co?

Po prostu spadaj.

Za chwilę, odparł Skinner. Nachylił się i przyłożył Jimmy'emu broń do tyłu głowy, pokrytej miękkimi brązowymi włosami, jaśniejszymi niż Skinnera.

Czujesz to?

Daj spokój, stary.

Słuchaj no. Nie wiem, co jej zrobiłeś.

Nic jej nie zrobiłem, człowieku.

Posłuchaj mnie. Nie wiem, co jej zrobiłeś, i godzę się z myślą, że nigdy się nie dowiem. Wiedza niczego nie zmieni. Tyle już wiem.

Weź, koleś, nic nie zrobiłem.

Jasne, już w to wierzę.

Nie, zaprotestował Jimmy.

Skinner pociągnął za spust, lufa znajdowała się trzy centymetry od czaszki Jimmy'ego. Jego głowa odskoczyła. Łóżko odsunęło się od ściany. Łuska wpadła w pościel. Lampa przewróciła się i rzucała stożek światła pod skosem na ścianę pokrytą białym tynkiem.

Cofnął się o krok w niewidocznej chmurze dymu po wystrzale i mrugając, patrzył na ciało leżące w dziwnym świetle jak manekin. Odsunął się od tego, co ukazywało światło. Dzwoniło mu w uszach. W pokoju nie było innego źródła dźwięku. Na piętrze panowała ciemność, prawdziwa ciemność miejsca zamieszkanego przez ludzi, a im bardziej się w nią zagłębiał, tym ciemniej się robiło. Poczł zapach ich domu i zobaczył pranie na podłodze.

Zadzwoiła pod numer alarmowy: Pomocy, ktoś strzela w moim domu.

Proszę mówić wolniej, powiedział operator. Proszę się nie rozłączać.

Erin wybiegła na zewnątrz i oddaliła się od domu. Gwałtownie łapała powietrze.

Boję się jak cholera, wydusiła.

Skinner zbiegł po schodach, głośno waląc butami i celując do wszystkiego na swojej drodze. Nikogo nie spotkał. Kiedy przechodził nad schodami do sutereny, chciał jeszcze raz zawołać Zou Lei, żeby sprawdzić, czy odpowie, ale nie mógłby znieść własnego głosu. Pomyślał, żeby zejść na dół i jeszcze raz jej poszukać, ale wiedział, że jeśli jej tam nie będzie, on targnie się na własne życie, więc postanowił opuścić dom.

Z niewinną miną wyszedł z boku budynku i na ulicę, szybko dotarł do rogu, przechodząc nad przewróconym koszem na śmieci, po swoich rzeczach, ledwo świadom tego, że depcze własny dobytek.

Na rogu puścił się pędem, bo usłyszał syreny.

To był dźwięk syren, bez cienia wątpliwości.

Przebiegł przez teren aleją oświetloną lampami sodowymi, aż do czarnych drzew, torów i skał naprzeciwko.

Niski, krępy mężczyzna idący po drugiej stronie ulicy stanął, kiedy zobaczył Skinnera, który pędził na niego znikąd. Cofnął się i uniósł ręce.

Skinner przeleciał obok, nie zwracając na niego uwagi, z pistoletem sterczącym z końca masywnego przedramienia. Nogi wystawały mu z butów jak rączki od miotły, ciągnąc je do góry i popychając na dół; biegł wyraźnie zmęczony i nieskoordynowany, jakby zaraz miał się potknąć i runąć jak długi. Jego wilgotny czarny T-shirt uderzał o skórę, krótko ostrzyżona głowa obracała się na bok, w kierunku wyjących syren i czerwono-białych błysków w oddali.

Gdy przebiegł koło nieznanego, mężczyzna opuścił ręce i odsunął się daleko od ciemnego obszaru zarośniętego czarnymi drzewami, wśród których zniknął Skinner.

Syreny wyły coraz głośniej i potężniej, aż przerodziły się w pulsujące fale uderzeniowe. Słysząc też było warkot silników i czuć drżenie asfaltu, kiedy radiowozy podjeżdżały, lawirując między drzewami stojącymi im na drodze. Pierwszy samochód zjawił się w ciągu kilku sekund, z ogłuszającym rykiem sygnału, po czym skręcił ostro w Sto Pięćdziesiątą Ósmą Ulicę. Kolejny wóz wyjechał z ciemności przy Bayside. Dołączały do nich kolejne. Czerwone światła padały na domy i twarz mężczyzny, który patrzył na kawalkadę.

Niebawem na ulicy zaroilo się od policyjnych samochodów, było ich zbyt wiele, żeby mogły wjechać w ulicę, więc zaczęły stawać w alei. Funkcjonariusze wyskakiwali z nich i biegli do miejsca przestępstwa z dłońmi na kaburach przy podskakujących pasach. Dało się słyszeć brzęk ich kluczy. Niektórzy maszerowali zdecydowanym krokiem.

Ilu ich było? – krzyknął ktoś. Ktoś widział, gdzie poszli?

Z dala od epicentrum w wejściach do domów stali Meksykanie z twarzami na zmianę czerwonymi od świateł i tonącymi w ciemnościach.

Doświadczony szpakowaty policjant zauważył mężczyznę stojącego po stronie alei sąsiadującej z torami.

Widział pan kogoś?

Mężczyzna pokiwał głową: *Sí* – odparł i pokazał w kierunku torów.

Policjanci przestawili samochody, żeby wpuścić karetkę.

W domu czysto! Wchodzimy – wrzasnął ktoś.

Bardzo chcieli uratować komuś życie.

Ale na górze znaleźli Jimmy'ego z kawałkami mózgu na wierzchu. Policjanci, którzy spotkali ratowników w drodze na dół, powiedzieli: Już po sprawie.

Serio?

Serio, serio.

Zawrócili i wyszli.

Do Jimmy'ego zawołano detektywów, dystyngowanych panów w garniturach i filcowych kapeluszach. Jeden miał w kieszonce lawendową poszetkę. Weszli po schodach do sypialni. Jimmy zgiął twarzą do ziemi. Jeden z policjantów przekręcił ciało, żeby ją zobaczyć. Zrobiono fotografię cyfrową.

Chociaż zwłoki należały do mężczyzny, wydawały się połączone z inną formą życia, niczym hybryda z nieznanym gatunkiem roślinnym. Z czaszki wychodził pęd, jak gdyby głowa została porzucona na polu i po upływie wielu lat zaczęło z niej wyrastać drzewo. W rzeczywistości osiągnął on długość jakichś dziesięciu centymetrów zaledwie w ułamku sekundy. Rozszczepiał się i zawijał jak serpentyna wystrzeliwująca na przyjęciu albo jak paznokcie, które zapuszczano przez dziesięciolecia, aż utworzyły spirale.

Jadłeś *dim sum*? – spytał detektyw, nawiązując do oślizgłej białej tkanki zmieszanej z krwią, podobnej do galaretowatych klusek podawanych jako przekąska w kantońskich lokalach.

Sumienny młody policjant znalazł panią Murphy leżącą na podłodze. Mogła mówić i spytała, czy jej syn nie żyje. Funkcjonariusze próbowali wyciągnąć z niej, ile się da. Znow pojawili się ratownicy medyczni, zauważyli jej posiniałe palce i rozłożyli przenośny defibrylator do przywrócenia prawidłowego rytmu serca. Położyli ją na noszach, ale z uwagi na jej rozmiary bardzo trudno było wynieść ją z domu i w karetce doszło do kolejnego zatrzymania akcji serca, zanim zdążyli ruszyć do szpitala.

Później detektywi stanęli na zewnątrz, porównywali notatki i rozmawiali ze sobą, dopóki nie przyjechała chłodnia, a następnie trzej potężni czarnoskórzy mężczyźni w kombinezonach i gumowych butach weszli na górę i znieśli Jimmy'ego w worku na zwłoki.

Matka słyszy dzwonek do drzwi. Syn idzie otworzyć. Rozmawiają, ale nie słyszy, co mówią. Wtedy następują strzały. Słyszy bieganinę po domu.

Tak powiedziała matka?

Tak powiedziała matka. Była w swoim pokoju, bała się wyjść, więc nie potrafi nikogo zidentyfikować. Woła syna, ale on nie odpowiada. Z tym że ona upiera się, że wie, kto to zrobił.

Lokator z dołu.

Racja, mieli przedtem sprzeczkę.

Ale matka zmarła.

Niestety, nie żyje.

A córka może go zidentyfikować?

Tak przynajmniej twierdzi.

Erin stała na ulicy w otoczeniu ludzi z sąsiedztwa, w tym wielu obcych, nieznanomych. Jeden z policjantów spróbował zamienić z nią kilka słów, ale odeszła z krzykiem. Rozmawiała przez telefon, szlochała, każdy chciał jej zadać jakieś pytanie, wpadała w histerię. Córka Barbary Gambii, blondynka z szerokimi ramionami i włosami w mysie ogonki, odbiegła od gapiów w czerwoną ciemność, zawołała: Erin! – i próbowała objąć przyjaciółkę.

Erin naskoczyła na nią i zaczęła krzyczeć: Jakiś kutas rozwalił całe moje życie! Mój ojciec ma nas gdzieś i nawet się tu nie zjawił. A wszyscy inni nie żyją!

Skinner przesadził susami dwa metry po skałach w górę, padł na kolana i doczołgał się na szczyt po omacku. Spod stóp pryskały mu pył i żwir, które następnie opadały na chodnik. Gdy tylko dał radę, skoczył na równe nogi i przedarł się przez ścianę chrzęszczących jeżyn aż do dróżki biegnącej wzdłuż torów, i zaczął gnać ile sił. Odgłos jego kroków i dźwięk powietrza wciąganego do płuc zagłuszyły wszystko dookoła.

Znalazł się w wąskiej przestrzeni między tyłem starych sześciopiętrowych budynków mieszkalnych z cegły, połączonych w długi szereg, a betonową ścianą oporową wzdłuż torów. Było tak ciemno, że ostatecznie stracił orientację. Groziło mu, że wpadnie na mur budynku i niechcący wystrzeli z broni.

Dalej na ulicy rozbrzmiewały syreny, a błyski czerwonego światła padały na drzewa i śmieci w odstępach między budynkami. Zatrzymał się, zdyszany, spanikowany, i śledził regularne migotanie kogutów. Zaułek wydawał się bezpieczny, ale taki nie był. Za dużo prostych linii. Wystarczy, żeby ludzie z policji zaświecili reflektorem, i zaraz go zobaczą.

Popędził na ugiętych nogach do ściany oporowej, położył pistolet na szczycie, przeskoczył na drugą stronę, zabrał broń i zaczął biec po nasypie kolejowym, wdeptując w błoto, liście, omijając pnącza i chwytając się drzew.

Wbiegł na ogrodzenie oddzielające go od torów. Siatka oderwała się od poprzeczki na górze i odgięła się, kiedy próbował się na nią wspiąć. Nie mogąc pokonać ogrodzenia jedną ręką, upewnił się, że broń jest zabezpieczona, i cisnął ją na drugą stronę. Wylądowała na żwirze, a on piął się w górę. Na drodze stały mu trzy gałęzie. Gdy chwycił się ogrodzenia, drut kolczasty wbił mu się w dłoń. Oderwał rękę jak oparzony. Podpierając się na ramionach, przełożył nogę nad drutem kolczastym, wsadził czubek buta w siatkę i przerzucił drugą nogę. Zahaczył spodenkami, ale zaraz je odczepił od kolca. Zeskoczył na żwir i upadł na tyłek. Pistolet leżał przy podkładzie kolejowym. Podniósł go i kontynuował wędrówkę, obserwując tory, drzewa i niebo w różnych odcieniach mroku.

Myślał sobie:

Mogę po prostu biec, pozbyć się gnata. Nikt nie wie, gdzie jestem. Mogę po prostu biec. Wrócić i znowu się zaciągnąć. Kupić bilet lotniczy do Iraku. Polecieć jako najemnik. Polecieć jako ktokolwiek, byle polecieć, zacząć tam, gdzie skończyłem. Stamtąd mnie nie ściągną. Pójdę dziś wieczorem i powiem: Chcę wstąpić do wojska, panie majorze, chcę tylko walczyć, panie majorze, i jestem wolny od zobowiązań.

Rozejrzał się po otaczającej go nocy i poczuł, że wojna i wolność, którą mogłaby reprezentować, leżały poza granicą tego, co było dla niego widoczne, jakby znajdowały się na skraju miasta.

Prawie kilometr dalej tory zeszły poniżej poziomu ulicy. Gołe ściany tworzące V-kształtny tunel z nim pośrodku wyrosły po obu stronach, a dwunastopiętrowe bloki strzelały w powietrze jeszcze wyżej. Niebo się oddaliło, a pole widzenia uległo zawężeniu. Z przodu nad torami przechodził wiadukt i Skinner słyszał ruch uliczny. Żadnych sygnałów policyjnych. Na wprost przed nim tory wchodziły do tunelu, wielkiej czarnej dziury.

Spojrzał na wiadukt, po którym samochody jeździły w blasku niewidocznych stąd sklepów. Dostrzegł w powietrzu poświatę chińskiego neonu. Pracowali do późna w sobotnią noc, smażąc w głębokim tłuszczu skrzydełka i frytki dla ludzi wychodzących z barów, par zmierzających do domu, by tam otworzyć styropianowe opakowanie i w ciemności razem zjeść coś ciepłego.

On wkłada jej palec do ust, ona zlizuje z niego keczup, przez otwarte okno wpada do pokoju przyjemny chłód, szum ulicy dociera do ich uszu, a ona rozkłada nogi.

Wtem przemieniła się w Irakijkę, leżącą w rowie na plecach z rozsuniętymi kolanami, jakby rodziła pożerające ją muchy albo rehot jego plutonu. Obrazy wojny wylatywały z jego głowy i przylepiały się jak SMS-y do bezdennej, czarnej pustki tunelu. Każda scena budziła w nim mdłości i przerażenie. Ostatnią z nich była ta, gdy Jimmy leży twarzą do podłogi z berettą przy głowie, jego usta

wypowiadają prośbę o darowanie życia, która dociera do Skinnera, ale on i tak strzela, głowa odskakuje, a krew bucha ustami i nosem. Ciało robi się jak z plastiku. Staje się kranem do spuszczenia krwi, która leje się z warg i nozdrzy, jakby do tego tylko służyły. Nieożywiona krew szumi jak strumień wody z węża. Brzmi żywo, choć ciało jest martwe. Niewidzącymi zwłokami wstrząsa dreszcz, jak gdyby miały stanąć na równe nogi. Oczy jak u zombie albo chorego neurologicznie, jak u żołnierza z ciężkim uszkodzeniem mózgu po wybuchu przydrożnej miny.

Szybki wypływ krwi potrwał około dziesięciu minut. Piana zmyła kawałki mózgu. Usta były otwarte, ale nie oddychały. Ciało przestało się trząść. Strumień przestał płynąć z ust, ale nie z nosa. Potem przeszedł w strużkę, aż zamarł zupełnie, a zwłoki leżały jak człowiek, który śpi.

Skinner zastanawiał się: Czy wszystko w porządku? Zrobiłem ci krzywdę? Tylko odpoczywasz? Mam wezwać lekarza?

Mam zadzwonić do twojej matki? Jakiejś kobiety, z którą jesteś blisko? Kogoś, kogo nie chciałbyś opuścić?

A może ona też przepadła? Pobiegła bez ciebie? W takim razie lepiej za nią pędź i towarzyszyć jej przez ulice i parki. Przygotuj się na długi bieg, który wyciśnie z ciebie siódme poty, oczyści cię i przygotowuje na nowy początek. Więc pij wodę, przyjacielu, dużo wody.

Dotarło do niego, że wiadukt prowadzi do parku, gdzie ćwiczył tego ranka, co oznaczało, że jest nie dalej niż trzy przecznice od komisariatu na Union Street, na którym spędził popołudnie. Jeśli wejdzie na górę i będzie jej szukał w Chinatown, zauważy go patrol w radiowozie, a wtedy wiadomo, co nastąpi. Niestabilny emocjonalnie dwudziestotrzylatek po liceum stał na dnię otchłani w spodenkach do koszykówki, jakieś trzy kilometry od miejsca, w którym zamordował cywila. Cokolwiek się zdarzy, stracił ją i nigdy jej nie odzyska.

V-kształtne ściany pokryte były graffiti, ledwo widocznymi, niczym pochod słońi w nocy. Wielgachnymi garbatymi literami, wysokimi na ponad cztery metry, ktoś napisał „MS-13”. Ten gigantyczny, nawracający wrzask ciągnął się po horyzont i całe kilometry wstecz, w kierunku, z którego Skinner przyszedł. Słyszał upiorne wycie walczących, którzy przedarli się przez ostatni bastion, wlewają się do miasta.

Tunel zionął całkowitą ciemnością, ale Skinner wszedł do środka. Pod butami chrzęścił mu żwir. Graffiti ciągnęło się aż tutaj, ale nie widział niczego poza całkowitym mrokiem. Nie wiedział, dokąd idzie. Gdy się zatrzymał, chrzęszczenie ustało.

Chociaż przepełniał go bezbrzeżny smutek, był daleki od niewinności. Wybrał coś zamiast niej, a gdy nad tym ubolewam, myślę, że nawet jego żal był upośledzony. Taka była cena daru, który otrzymał razem ze Sconysem. Dowiedzieli się, że wszystko można zniszczyć, że to zniszczyli. Dowiedzieli się też, jak wygląda to zniszczenie. Wszystko inne przepadło. Ona przepadła. Miał tylko swoją wiedzę, ale była to wiedza głęboka. Nawet płacząc z zamkniętymi oczyma, wiedział, co czeka go w tunelu.

Odbezpieczył pistolet, przyłożył go do boku głowy, zaczerpnął tchu, jakby chciał wykonać jeszcze jedno powtórzenie w serii, i przekonując samego siebie, że jest tylko jeden sposób, by znów się z nią zobaczyć, pociągnął za spust.

Tak mi przykro. Nie umiem wyrazić, jak mi przykro.

Na tle tunelu czarnego jak atrament biała kula otoczona niebieskim pierścieniem rozbłysła przy jego głowie. Czaszka odskoczyła, a ciało upadło na ziemię, twarzą do kolan, w błyskawicznej sekwencji. Siła odrzutu odepchnęła jego rękę na bok, a pistolet poleciał na ziemię.

Umarł w ciągu dwóch minut, kolejne części jego organizmu wyłączały się jedna po drugiej. Serce przestało pompować krew. Wydał z siebie dźwięk przypominający krztuszenie lub westchnienie, ale nikt go nie usłyszał. Nie odwiedziła go, nie wzięła za rękę. Pięć minut później jego temperatura spadła do trzydziestu pięciu i pół stopnia i przez całą noc nadal spadała, aż zrównała się z chłodem żwiru pod ciałem.

Nie czuła już, że idzie, ale szła dalej. Miała pusty żołądek i opadała z sił. Nogi odmawiały jej posłuszeństwa. W ciągu nocy przebyła pięćdziesiąt kilometrów, może nawet więcej. Nie miała pojęcia, ile jeszcze będzie musiała przejść – wiedziała tylko, że po linii prostej. Ulica wiodła w dół wzgórza przez zarośla na podmokłym terenie, a potem znów w górę do zjazdu z autostrady, której znaki odbijały złote słońce: JFK-Belmont Aqueduct, Throgs Neck Bridge. Sam widok był trudny do zniesienia, most wiszący wyrastał w oddali nad trawą, jasny na tle błękitu nieba – samo poczucie odległości było dla niej nieznośne. Szła, utykając, w tempie trzech kilometrów na godzinę, a za jej uchem słońce uniosło się o kolejnych parę centymetrów. Stopy miała pokaleczone, bała się na nie spojrzeć. Jeśli zatrzymałaby się, by odpocząć, mogłaby już się nie podnieść. Ruch uliczny był niemal bezgłośny w ten niedzielny poranek. SUV-y stały na światłach, choć nikt nie przechodził przez skrzyżowanie. Była jedynym pieszym w polu widzenia. Obolała, zbliżyła się do samochodów czekających na jałowym biegu, nastąpiła zmiana świateł, wozy ruszyły, a ona kuśtykała dalej w chwilowej ciszy, mijając koreańskie firmy, salony samochodowe i inne sklepy. Wszystko było pozamykane, ludzie spali w rozsypujących się białych domach. Albo wstawali w ciszy, szli do lodówki po mleko, mrużąc jeszcze zaspane oczy. Bez spinania się. Może siedzą sobie w kuchni i popijają kawę. Mają swój pożółkły dach nad głową, wiatrak elektryczny, prysznic, pracę, poniedziałkową pracę i spożywczy, do którego zaglądną po południu. Wyobraziła sobie czerwony stek w plastikowym opakowaniu w chłodni sklepowej, miękkie, zimne mięso, tłuszcz pod jej palcami. Jej własny tłuszcz został wyssany z ciała – czuła, jak organizm pobiera go, by zasilać nogi. Muszę odpocząć. Oparła się o parkometr. A potężne samochody z sykiem przejeżdżały po Northern Boulevard, zalanym słońcem. Były przy nim greckie knajpki, kancelarie prawne, doradcy podatkowi, przystanki autobusowe, markizy rzucające kawałek cienia, koreańska świątynia, wielka jak pagórek. Niebo za plecami Zou było niebieskie, płynęły po nim wełniste chmury, a słońce przeświecało białym blaskiem. Jej cień tracił nogi. Spojrzała przed siebie na bulwar w kierunku, w którym mieszkał Skinner, gdzieś za tymi wszystkimi nieczynnymi firmami, niskimi dachami ciągnącymi się w nieskończoność aż po niezamieszkaną dal, i znów ruszyła w drogę. Na horyzoncie widać było linię chmur. Szła ku niej.

Kiedy przechodziła przez Utopia Parkway, ulicę z wysokim krawężnikiem, pękły jej klapki. Nie mogła poskładać ich do kupy, więc spróbowała przytwierdzić je do stóp w inny sposób – gdyby tylko miała jakiś sznurek – ale nie dała rady. Usiłowała iść, przytrzymując paski palcami stóp, ale tak było jeszcze gorzej. Wyrzuciła buty na ulicę i szła dalej bez nich, podkurczając stopy, żeby nie szorować pęcherzami po chodniku, który zdierał jej skórę. Przydałby się lekarz. Twarz jej zmizerniała. Krawędzie stóp miała czarne i poranione. Spojrzała w dół i zobaczyła, że zaczynają ropicć. Doszła do miejsca, gdzie zaczynała się kolejna ulica – wpadała w Northern Boulevard pod kątem, jak rzeka, a nazywała się Sanford Avenue. Wśród rozsypujących się budynków znajdował się zakład pogrzebowy z koreańskim szyldem, były też ławki parkowe, drzewka, tłuczone szkło i zaparkowane samochody podobne do głazów na brzegu rzeki. Dwieście metrów przed Zou tory kolejowe przebiegały nad bulwarem i stoiskami z prasą oraz kwiatami. Graffiti na metalowej powierzchni: „DEN RIP”.

Udało ci się, powiedziała i szła dalej, lekceważąc ból. Szukała na niebie jastrzębia albo samolotu, ale zobaczyła gołębie. Siedziały przycupnięte pod mostem, kiedy przechodziła obok. Przeszła przez ich białe łajno krwawiącymi stopami, było chłodne i mokre. Dotarła do szarego nieba, które przedtem widziała. Było ciepło i zanosilo się na deszcz. Ktoś napisał na desce: „Wieńce pogrzebowe”. W Food Marcie sprzedawali luksusowe cygara. Dalej kawiarnia u Steve’a. Pizzeria Fratelli. Supermarket Deli, siedem dni w tygodniu. Przyjmujemy bony żywieniowe. Powyżej, w kwadratowych budynkach z cegły,

ludzie spali w swoich mieszkaniach przy otwartych oknach, na poszarpanych markizach siedziały gołębie. Piwo Napoje Lotto. Mleko prosto od krowy. Sklep spożywczy Deli. Karty telefoniczne. Bilety komunikacyjne. Wypływała reklama sklepu mięsnego Pod Wieprzem. Jakiś bar, w którym dorośli mężczyźni grali na automatach przy półkach z chipsami. Restauracja New Asia, założona w tysiąc dziewięćset osiemdziesiątym dziewiątym roku, tym samym co masakra na placu Tienanmen. Furgonetki zieleni miejskiej. Szereg wypalonych lokali, zabitych dechami, a na którejs z nich graffiti „Blunty”. Szyld „Architekci Victor Han”. T z dorysowanymi różkami. „Śmierć 666”. „Alkohole u Leisera”. Zepsuty parkometr obwiązany bluzą od dresu. „CSNR”. „Romer”. „Wielki kutas – ruchanie na okrągło”. „MS-X3”. Tablica informacyjna placu budowy Hua Fong Construction Corp. Bar Feeneya: dwa zielone żółwie i zielone drzwiczki, numer dwa tysiące czterdzieści jeden.

Przeszła Sanford Avenue obok domu zaplombowanego przez policję, ale chyba i tak zamieszkałego, z fasadą całą w sadzy i graffiti i z zarośniętym podwórkiem. Jacyś Meksykanie czekali na autobus. Między czteropiętrowymi blokami typowymi dla getta rozciągało się morze zielska, wysokiej trawy, opon, pachółków drogowych, ciężkiego sprzętu budowlanego. Budynki stały do siebie pod kątem i wszystko się rozlażyło. W sąsiednim ogródku Meksykanie naprawiali drzwi poobijanego chevroleta w kolorze złoty metalik. Przejechała kolejka Long Island Rail Road. Graffiti na kamieniach oznajmiało: „GLCS”. „Pocos pero locos”. Serce, a obok: „Brazalhax y Soldado”. Na krawężniku zobaczyła rozsypane śmieci i ubrania moro. Żółta taśma policyjna ciągnęła się aż na podjazd. Rozpoznała własne ubrania przemieszane z jego. Podeszła do drzwi Murphych i zapukała. Typowy miejski poranek. Słychać było ptaki i samochody. Pociąg z Port Washington przejechał z łoskotem między drzewami po drugiej stronie alei, a ona czekała. Odrzuciła włosy do tyłu i przygotowała się na rozmowę po angielsku.

Drzwi otworzyła córka z zaczerwienionymi oczyma.

O co chodzi?

Zou Lei próbowała zapytać o Skinnera.

A kim on dla pani był? – spytała córka.

I kim pani jest?

Okej, przepraszam, czy mogę spisać pani dane, na wypadek gdyby policja chciała z panią rozmawiać?

Zou jak?

W porządku, dziękuję bardzo.

Opiszę im panią.

Epilog

Odkryła pustynię większą niż kiedykolwiek przedtem. Najwyraźniej była wielką odkrywczynią. Była to jałowa ziemia najbardziej niegościnnego rodzaju. Formacje mineralne. Brak wody pitnej. Na jej przejście byłoby potrzeba więcej niż jednego życia, szacowała. W każdym razie więcej czasu, niż ona ma. To jak podróże w przestrzeni kosmicznej. Ale weszła na nią i maszerowała jak nomadowie, w normalny dla niej sposób. Jeśli spodziewała się coś dostrzec, to groby innych migrantów, ich ciała na wpół pogrzebane wśród pni po ściętych drzewach. Teren był tak rozległy, że nawet nie liczyła na spotkanie z kimkolwiek znajomym, ani z matką, ani z ojcem. Postacie, które widziała, były za małe, by je rozpoznać. Nikt nie zawołał: Córeczko, pamiętam cię. Dokąd idziesz? Zostań i zjedz z nami.

Nie na tej pustyni.

Wysiadła z busu Greyhounda w miejscu, gdzie blask słońca zmuszał do zamknięcia oczu. Założyła bejsbolówkę – wyblakła granatowa bawełna była gorąca – żeby ta odrobina cienia pozwoliła jej stwierdzić, dokąd zmierza. Przeszła wśród Meksykanów w dżinsach i słomkowych kapeluszach, kobiet z szerokimi biodrami, dużymi piersiami i z oczyma pomalowanymi na Kleopatrze, dźwigających worki pełne ubrań, zabawek dziecięcych, ryżu. Wsiadały do samochodów złowrogo wyglądających członków rodziny, którzy przyjechali po nie na pustynię.

Tym razem przyjechała z Queens, gdzie przeszła przez taśmę policyjną i próbowała odzyskać jego koc czy cokolwiek z ich rzeczy, co tylko dało się uratować spośród śmieci. O pieniądzach nawet nie pomyślała. Skupiała się tylko na tym, by jakoś utrzymać połączenie z nim. Ale w ten sposób znalazła asicsy, a w nich jego kartę do bankomatu, którą odkryła wepchniętą do prawego buta podczas próby założenia go na nogę.

Zorientowała się, że pamięta jego PIN. Po wypłaceniu dwustu dolarów kupiła singapurskie smażone kluski i rdzawą taksówką udała się na pogotowie. Usiadła tam, jadła kluski i oglądała reality show, aż wywołali fałszywe nazwisko, które im podała, a pielęgniarka obejrzała jej stopy.

Coś strasznego. Jak się pani tego dorobiła?

Kilka godzin później Zou Lei wyszła ze szpitala z zabandażowanymi stopami oraz zapasem antybiotyków i kolejną brunatną taksówką wróciła na Cromellin Street.

Przez następnych dziesięć dni z czapką nasuniętą na twarz i o kulach odwiedzała bankomaty, żeby wyciągnąć maksymalną dzienną kwotę, aż wypłaciła całe oszczędności Skinnera.

Kiedy stopy się zaleczyły i mogła chodzić bez kul, wzięła swoją plastikową siatkę, zostawiła klucz innemu najemcy Hara i skierowała się do Port Authority, gdzie kupiła bilet na autokar do Phoenix w stanie Arizona.

W Phoenix pracowała w chińskim fast foodzie mieszczącym się w ciągu sklepów na piętrze. Fasady budynków wykonane były z otynkowanego styropianu, w którym wybito łuki i umieszczono inne południowe motywy architektoniczne. Stiuki były pomalowane na kolor suszonej cegły. Była to konstrukcja tania, lekka i niezbyt urodziwa, i miała tę niezamierzoną zaletę, że można było przejść wprost przez nią do dowolnie wybranego sklepu.

Kusiło ją, żeby zobaczyć, jak jej kierownik przelatuje przez stiuki, kiedy wylał ją za podanie fałszywego numeru ubezpieczenia. Wtedy po raz pierwszy jej szefem w chińskiej knajpie był biały Amerykanin. Jego uwagi na temat imigrantów, których nazywał Onymi, doprowadzały ją do szału. Czuła też, że kierownik jest o wiele za bardzo dumny z tego, że odkrył jej występki za pomocą e-weryfikacji, swojej ulubionej nowej zabawki. Na skraj rękoczynów przywiodła ją jednak dopiero groźba, że zadenuncjuje ją władzom imigracyjnym.

Tylko spróbuj, a będziesz miał kłopoty. Znam ludzi, z którymi lepiej nie zadzierać. Pójdę przez ciebie siedzieć? To ty pójdziesz – do piachu. Przemyśl to.

Od czasów Skinnera, patrząc na mężczyzn, zastanawiała się: Czy on kiedykolwiek zabił? Czy do niego strzelano?

Chodziła pieszo lub łąpała stopa w pogoni za każdą pracą, jaką zdołała znaleźć. Szła poboczem długiej falującej szosy, a złoty wschód słońca, pokaz galaktycznej majestatyczności, zalewał pustynię, jeszcze chłodną i niebieską po nocy. Co pół minuty przemykał koło niej ford F jak kinetyczna burza i kpina z każdego piechura. Przez jakiś czas jeździła busem przez centrum do fabryki, która produkowała styropian budowlany. Ubrania i płuca miała przesiąknięte jego gryzącym, gorzkim, przemysłowym zapachem.

Można ją było zobaczyć idącą po parkingach przed wielkimi, czystymi, przestronnymi sklepami, które były jednocześnie uprzejme i wrogie. Na zachodzie wszystko miało swoje drugie dno.

W supermarkecie Fry kupiła magazyn kulturowy.

W hodowli koni, gdzie co dzień pracowała przy czyszczeniu stajni, poznała inny typ Amerykanina, kowboja z Dakoty Północnej, który przybył do Arizony, żeby spotkać się z właścicielką rancza poznaną w sieci. Nosił kapelusz typu stetson, kowbojski krawat z rzemyków ze srebrnymi końcówkami, dżinsową koszulę i czarną chustę wokół szyi.

Widziałem cię przy pracy, powiedział. Jesteś Meksykanką czy Indianką?

Obama naraz. Jestem Ujgurką.

Musisz mi wytłumaczyć, co to znaczy.

A kiedy wyjaśniła, odparł, że wydaje mu się to fascynujące. Jego lud też przebył daleką drogę. Amerykańscy Grissomowie pojawili się w Dakocie Północnej i Południowej w tysiąc osiemset dziewięćdziesiątym roku. Henry Grissom walczył w wojnie secesyjnej. Przywiózł wszystko ze sobą z Tennessee. Robili własną whiskey. Była to jedna z wielu rzeczy, które robili, a wychodziła im ona całkiem nieźle. Wtedy poszli na zachód i zajęli się hodowlą. Założyli też ranczo na Black Hills, gdzie znajduje się po dziś dzień. Przepracowałem tam całe życie. Teraz prowadzą je głównie moi synowie.

Macie tam jakąś kobietę albo dziewczynę do pracy?

Mamy. Świetnie sobie radzi i bardzo ją cenimy.

Usłyszawszy, za co Zou Lei została zwolniona z poprzedniej pracy, stwierdził, że nie uważa, aby rząd musiał wtykać nos we wszystko, co się da.

Sam w sobie nie jest zły, wyjaśnił, ale nadmiar przepisów przynosi więcej złego niż dobrego.

Podał jej adres internetowy rancza – tak, mają e-mail – i polecił, żeby wkrótce się odezwała. Albo po prostu podskocz tam, kiedy zechcesz. Jest masa pracy. I to ciężkiej. No i jest zimno. Ale niektórym to naprawdę odpowiada.

Uścisnęła mu rękę, a on uchylił kapelusza.

Miał styl mężczyzny przyzwoitego i niezależnego, który wie, co do niego należy.

Do domu podrzuciła ją furgonetka z grupą meksykańskich robotników.

Zjadła asadę, purée z fasoli, żółtego ryżu, *picante*. Teraz mówiła po hiszpańsku częściej niż po chińsku. *Con todo*, powiedziała Meksykance w przydrożnym zajeździe. Ze wszystkim. Małą kawę nazywali tam *chico*.

Naranja fresco ha muchas vitaminas[6].

Na przydrożnej stacji benzynowej Circle K sprzedawali gazetę „Pinal County Slammer”, w której zamieszczano policyjne zdjęcia wszystkich aktualnie przetrzymywanych. Nadasane Indianki z nieumyтыми włosami, skinheadzi z obłędem w oczach, kowboje o pociągłych twarzach, tułacze, którzy pracowali w całej Ameryce, od przetwórci rybnych na Alasce, przez kalifornijskie tartaki, aż po hodowle świń w Karolinie Południowej, a w każdym stanie po drodze trafiali do aresztu.

Przestrzegając ścisłego rozkładu dnia, szła spać wcześniej i wstawała rano. Nie tak jak inni, uganiający się za miłością.

Raz, późnego sobotniego wieczora, kiedy spała już od kilku godzin w swojej przyczepie, obudziła ją stojąca pod oknem furgonetka, z której dobiegała piosenka miłosna. Podniosła głowę, a gdy

tylko usłyszała harmonię, uderzyła ją bolesna słodycz melodii. Zatkąła usta dłonią i zaczęła szlochać.

Za dnia powiedziała mu, że nie wybaczyła niczego – zwłaszcza tego, że zostawił ją na tym świecie. No jasne, stwierdziła, kiedy odpowiedział. Miałeś swoje powody. Tak słyszałam.

Skinner, dobrze się odżywiam. Popatrz na to: widzisz to słońce? To ciepło? To moje miejsce. Patrzę nad dach fabryki i widzę Góry Przesądów. Prawda, że dobrze sobie radzę? Zajrzyj do mojej kieszeni – widzisz? Gotówka. Jestem splukana, płacą mi tu gównianą kasę. Dzięki twoim pieniądzom mogę jak na razie jeść steki. Kiedy się skończą, przejdę na ryż i fasolę. Widać, że jestem szczęśliwa, Skinner? Prawda, że świetnie wyglądam?

Wieczorem udała się w kierunku sklepów z torbą Adidasa na ramieniu i weszła do siłowni z zieloną szybą od frontu. Wnętrze było klimatyzowane i dostawało się tam świeże białe ręczniki, wliczone w cenę. Kradła je, odkąd przyjechała. Ćwiczyli tam sportowcy z Arizona State University, kulturyści i wojskowi – obok gawędzących seniorów, mam, dziwaków i zwykłych facetów zatrudnionych w przemyśle budowlanym, sprzedaży albo telemarketingu. Siłownia miała flotyllę bieżni i lustrzaną katedrę olimpijskich ciężarków.

Weszła do przebieralni i ściągnęła zakurzone buty oraz dżinsy, po czym zdjęła koszulkę, którą czuć było kołmi, i wrzuciła wszystko do szafki. Całe życie wypełnione ciężką pracą nadało jej dłoniom szorstkość, a odkąd zawitała na zachód, przedramiona i twarz zrobiły jej się ciemnoczerwone od słońca. Jej twarz miała w sobie dzikość. Wyglądała na starszą, uwydatniły się jej linia żuchwy i mięśnie przy skroniach. Ale kiedy stała przed lustrem bez niczego na sobie, wyglądała jak Diana z fryzu na ścianie świątyni.

Rozsunęła torbę i wyjęła z niej spandeksowy strój oraz asicsy ze starymi plamami krwi na wkładkach i ubrała się.

Włożyła słuchawki do uszu, zamknęła szafkę i wyszła do sali z ciężarami, mijając ladę z shake'ami i chłodziarkę na napoje, w której stały odżywki białkowe: zielone, pomarańczowe, fioletowe i czerwone, niczym płynne klejnoty – czterdzieści gramów białka, zero węgli, kolor i soczystość jabłka, melonów, winogron i śliwek, wszystkich darów natury zbieranych przez biedaków w sadach. Całe białko potrzebne kulturyście, do tego gotowe i czystsze niż jagniątko. Wrzucało się szklaną butelkę do kosza z recyklingiem, a o jej wymianę martwił się kto inny. Ty jedynie połykałeś swoją ucztę w płynie. Dywan w tej dolinie obfitował we wszystko, czego tylko można było zapragnąć, o ile nie przeszkadzał ci chemiczny posmak.

Nie odzywając się do nikogo, podeszła do suwnicy ze słuchawkami iPod'a w uszach, jakby odbierała przez nie instrukcje od dowódcy drużyny snajperów; poruszała się w skupieniu. Nawet gdyby któryś z samotnych mężczyzn ćwiczących na sali chciał z nią porozmawiać, zrezygnowałby, nie chcąc przeszkadzać tak skoncentrowanej kobiecie. Uważnie założyła obciążenie, unosząc talerze pokryte gumą i wsuwając je na grube końce po obu stronach sztangi.

Spod daszka zerkała na wielkość obciążenia. To było dla niej spore.

Ale nigdy nie wiadomo, kiedy trzeba będzie nagle wyjechać. Uderzyła pięścią o otwartą dłoń. To może być ostatnia szansa.

Ze smołowanego dachu siłowni zerwał się jastrząb, przeleciał nad doliną Phoenix, wylądował na wzniesieniu i czekał, aż ona do niego dołączy. Kiedy do niego dotrze, ptak znowu wzbije się w powietrze, pozostawiając za sobą kanonadę, i poprowadzi ją za sobą na otwartą pustynię w kierunku słabego, lecz powoli narastającego dźwięku głosów.

Umieściła ramiona pod sztangą, zmówiła do niego modlitwę, i przygotowała się do uniesienia ciężaru.

[6] Hiszp. (lamane) „Świeża pomarańcz ma dużo witamin”.